

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1873.

Tom trzeci.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1873.





Дс. II. 1.

Дозволено Цензурою

Варшава, 15 Июня 1873 года.

к. 35/46.

Ż Y D WIECZNY TUŁACZ.

LEGENDA ŚREDNIOWIECZNA.

Opowiedział i krytycznie rozebrał

Jan Karłowicz.

„I rzekł Pan do Kaina: tułaczem i bieżunem będziesz na ziemi.“ (I. Mojż. IV. 12).

[Jacob Bibliophile (Paweł Lacroix) *Curiosités de l'histoire des croyances populaires au moyen âge.* Paryż. 1859. Od str. 105. La légende du Juif-errant.—Grässe: *Der Tannhäuser und ewige Jude* i t. d. Drezno. 1861 rok. H. Dalton: *Der ewige Jude und der Ew. Johannes.* Petersburg, 1867. S. Baring-Gould: *Curiousmyths of the middle ages.* Londyn. 1869. Od str. 1. The wandering Jew.—F. Bässter: *Ueber die Sage vom ewigen Juden.* Berlin. 1870.—Powołując się na te pisma, skracam następnie tytuły: *L.* zamiast dzieła Lacroix, *Gr.* zamiast Grässe'go, *D.* Daltona, *BG.* Baring-Goulda, *B.* Bässtera.]

I. Waryanty legendy.

„Discordia varietasque historicorum mendacii nota est.“ Paul. Diac. *Miscell.* IV, 2, 13.

Kronika przypisywana Mateuszowi Parisowi, mnichowi klasztoru benedyktyńskiego Ś-go Albana w Anglii, prowadzona od roku 1066 do 1259, podaje pierwszą wiadomość o Żydzie Tułaczem w następujących wyrazach:



„Roku 1228 przybył do Anglii pewien arcybiskup ormiański i za pytywano go: czyby nie widział, lub nie słyszał o tym Józefie, o którym tyle pogłosek u ludu chodzi, iż obecnym był męce Pańskiej, że z Panem Jezusem rozmawiał i że żyje do dziś dnia na świadectwo prawdy nauki chrześcijańskiej; na to ów Ormianin opowiadał jedno po drugiem co tylko o nim wiedział, a pewien rycerz z Antyochii, krewny arcybiskupa, znany zresztą posługaczowi wielobnego Opatu Henrykowi Spigurnelowi, tłumaczył opowieść owego Ormianina na francuzkie w następujący sposób: Pan mój zna dobrze tego człowieka i przed samym wyjazdem pańskim na Zachód, jadł ów Józef z Arymatei u stołu pana mojego arcybiskupa, który go nieraz przedtém widywał i mówiącego słuchał. A gdy go proszono o szczegółową relacyę o tym Józefie, tak rzecz dalej ciągnął: Podczas męki Jezusa Chrystusa, gdy został uwięziony przez Żydów i zaprowadzony do domu Piłata, aby przezeń był osądzony, gdy go Żydzi ciągle oskarżali a Piłat nic w nim kary godnego nie znajdował, rzekł do nich: bierzcie go sobie i osądźcie wedle praw waszych. Lecz gdy okrzyki Żydów wzmagaly się, Piłat na prośby ich uwolnił Barabasza a Jezusa wydał na ukrzyżowanie. Wtedy Żydzi wyprowadzili Jezusa i gdy wlekli przez bramę Kartafilus, odźwierny palacu Piłatowego, uderzył Go pięścią w kark i zawolał szyderczo: Idź, idź prędzej Jezusie, czemu się ociągasz? Jezus zaś spojrział nań wzrokiem surowym i rzekł: Ja idę, ale ty zaczekasz aż wrócę. Mówiąc zaś słowami Ewangelisty: Syn człowieczy idzie, jako jest napisane, ty zaś czekać będziesz drugiego przyjścia mojego. Tak tedy według słów Pańskich czeka ów Kartafilus, który podczas męki Chrystusowej miał lat około trzydziestu i zawsze gdy dożywa stu lat, wpada w nieuleczoną chorobę, dostaje jakby omdlenia; lecz po wyzdrowieniu wraca do tego wieku, jaki miał w chwili gdy Pan był unęczony, tak iż prawdziwie powiedziećby mógł z Psalmistą: *Pan odnawia jako orła młodość moją*. Lecz po męce Pańskiej, gdy wiara katolicka wzrastała, ów Kartafilus ochrzczony został przez Ananiasza, który ochrzcił Ś-go Pawła apostoła, i nazwany Józefem. Często przebywa w obudwu Armeniach i innych krajach Wschodu, żyjąc z biskupami i innemi dostojnikami kościoła, jako mał religijny i świątobliwego obcowania, mało i oględnie mówiący i to nie inaczej jak na wezwanie biskupów lub innych dygnitarzy. A wtedy opowiada o sprawach starożytnych i wypadków z czasów męki Pańskiej i Jego Zmartwychwstania, o świadkach takowego, to jest o tych co zmartwychwstali razem z Chrystusem i przybywszy do grodu świętego wielom się ukazywali. Opowiada także o symbolu apostołskim, o rozejściu się uczniów i krzewieniu wiary, a wszystko to czyni bez żadnego uśmiechu lub słów lekkomyślnych, bez żadnej oznaki przeczenia lub nagany, jako mał we łzach i bojaźni bożej życie pędzący, a obawiający się przybycia Jezusa Chrystusa ogniem grzech oczyszczającego, iżby go na Sądzie Ostatecznym, nie znalazł rozgniewanego za to, iż gdy szedł na mękę, znieważywszy szyderstwem, do słusznej Go pomsty pobudził. Przybywają do niego z najdalszych części świata, ciesząc się jego widokiem i opowieściami, a gdy wi-

dzi iż ma do czynienia z ludźmi prawemi, w krótkich słowach rozwiązuje zadawane pytania. Podarki odrzuca, zadowolniając się skromnym pokarmem i ubiorem. W tém zawsze nadzieję zbawienia swojego pokłada, iż przewinił z niewiomości, gdyż Pan mówił i prosił: Ojcze, przebac im, nie wiedzą albowiem co czynią. Bo téż i Paweł zgzeszywszy niewiomością, przebaczenie zyskał; podobnież i Piotr, który przez ułomność, a mianowicie ze strachu Chrystusa się zaparł; Judasz zaś, co przez niegodziwość, czyli z chciwości Pana wydał, wyparte mając wnętrzości, na stryczku się obwiesił, kończąc bez nadziei zbawienia nieszczęsny żywot. Tą myślą odpuszczenia Kartafilus się pociesza, widząc w pomyśle swój niejaką obronę. Gdy zapytywano rzeczzonego arcybiskupa o arce Noego, iż znajdować się ma jeszcze na górach armeńskich i wielu innych rzeczach, stwierdzał je świadectwem swém prawdę popierając, a szanowna jego osoba i niewątpliwa rzetelność, obudzały wiarę słuchaczy w jego opowiadania, pieczęcią rozumu napiętnowane. Ze zaś rzeczy tych o fałsz posądzać nie należy, świadczy jeszcze szlachetny i mężny rycerz Ryszard z Argentominu, który ślubowawszy pielgrzymkę do ziem wschodnich, zwiedził je osobiście wraz z wielą innemi.“

Taż kronika pod rokiem 1252 powiada: że inni Ormianie do Anglii w tym czasie przybyli, „twierdzili niewątpliwie, że ów Józef, który widział Chrystusa na ukrzyżowanie idącego, czeka sądu ostatecznego i żyje jeszcze jak dawniej.“

Prawie współcześnie z tém opowiadaniem Mateusza, biskup diecezji Tournay Filip Mouskes, zmarły r. 1282 czy 1292, autor tak zwanej „Kroniki rymowanej“ doprowadzonej do roku 1242, a wydanej 1838 przez barona Reiffenberga w Brukseli, opisuje powyższe opowiadanie arcybiskupa ormiańskiego wierszem starofrancuzkim; zgodność kroniki téj z relacją Mateusza wnosić pozwala, iż biskup Filip czerpał z latopisca angielskiego. Pewna jednak różnica zachodzi w następnych szczegółach.

Żyd woła na lud wlokący Jezusa: „Zaczekajcie na mnie! idę i ja patrzeć jak będą krzyżować fałszywego proroka!“ A Chrystus mu odpowiada: „Oni nie zaczekają na ciebie, ale wiedz iż ty na mnie zaczekasz.“

Oprócz tych dwóch kronik, żadne inne źródło średniowieczne, ile dotąd wiadomo, nie wspomina ani słowa o żydzie nieśmiertelnym.

Ukazuje on się dopiero znowu z początkiem dziejów nowożytnych i odtąd aż do naszych prawie czasów nie przestaje zajmować mniej lub więcej umysłów, a raczej wyobraźni europejskich.

Roku 1505 widział go tkacz Kokot w Czechach, w Králowé-Hraden (Königinhof); miał wówczas lat siedmdziesiąt, przyjął poczęstowanie od tkacza, ale jadł stojąc, gdyż jak powiadał, inaczej mu się posilić nie wolno było; dopomógł Kokotowi do znalezienia skarbu, zakopanego przez jego dziada przed 60 laty, o czém jako świadek zakopania powiedział wnukowi; za usługę swą żadnego wynagrodzenia, oprócz poczęstunku nie przyjął. (Gr. z Gubitz'a Gesellschafter 1845. Nr. 18).

W pierwszej połowie XVI wieku chodził po rękach i wkrótce wydrukowany został po niemiecku i po francuzku list niejakiego Chryzostoma Dudulaeusa Westfalczyka (oczywiście pseudonim, ale czyj, nie wiadomo), pisany niby z Rewla pod datą 29 czerwca 1564, cały zajęty nowym pojawieniem się żyda. Podają go tu według przekładu francuzkiego w Lejdzie w końcu XVI wieku wydanego, nadmieniając że Paweł Eitzen był zwolennikiem Lutra, trochę pisał, był nadwornym kaznodzieją w Szlezwiku i umarł 1598 roku.

Na karcie tytułowej zacytowane są słowa Ewangelii: „Zaprawdę powiadam wam: Są niektórzy z tych, co tu stoją, którzy nie ukuszą (nie skosztują) śmierci, ażeby ujrzeli Syna człowieczego, idącego w Królestwie swoim“ (Mat. XVI. 28). Tekst listu brzmi następujnie (L. 114—116):

„Nie mając nic nowego do doniesienia, opiszę Panu dziwne wydarzenie, o którym się dowiedziałem przed kilku laty. Paweł Eitzen, doktor teologii i biskup szlezwicki, człowiek rzetelny i znany z pism, które wydał po wyniesieniu go przez księcia Adolfa Holsztyńskiego na biskupstwo, nieraz mnie i innym opowiadał, iż odbywając nauki w Wittenberdze, w zimie r. 1542 pojechał do Hamburga odwiedzić rodziców; następną niedzielę, podczas kazania ujrzał wprost kazalnicy wysokiego mężczyznę z długimi spadającymi na ramiona włosami, z bosemi nogami, słuchającego kazania z takim przejęciem, że się wcale nie ruszył; tylko gdy kaznodzieja wymieniał Jezusa Chrystusa, schylał się, bił się w pierś i głęboko wzdychał: choć to czas był zimowy, nie miał innego ubrania prócz spodni marynarskich, zachodzących aż na stopy, krótkiego żupana i płaszcza do ziemi. Zdawał się mieć na oko lat z pięćdziesiąt. Widząc jego dziwny strój i ruchy, Paweł Eitzen postanowił się dowiedzieć kto to był: powiedziano mu, że tejże zimy był już tu przed kilku tygodniami, że jest rodem żyd, imię nosi Ahaswerus i jest szwemcem z rzemiosła; iż był przytomnym śmierci Jezusa Chrystusa i odtąd nie umierając zwiedzał liczne kraje; że dla stwierdzenia tego opowiadał mnóstwo szczegółów o uwieszeniu i stawieniu Jezusa przed Piłatem i Herodem, o Jego ukrzyżowaniu i to w sposób odmienny od podań dziejopisów i ewangelistów; opowiadał także o zmianach zaszłych na Wschodzie po śmierci Pana Jezusa, o apostołach; gdzie który żył i męczeństwo poniósł: wszystkie te rzeczy wyłuszczał należycie. Paweł Eitzeu zdumiewając się bardziej temi opowiadaniem niż niezwykłą powierzchownością żyda, szukał sposobności do bliższego z nim rozmówienia się. Wreszcie gdy go zaczepił, żyd mu odpowiedział: że za czasów Pana Jezusa mieszkał w Jeruzolimie, że prześladował Chrystusa, mając go za oszusta i słysząc że arcykapłani i uczeni za takiego go uważali: a nie wiedząc prawdy, robił co mógł aby go zgubić; że w końcu należał do liczby tych co go powiedli przed arcykapłana, krzycząc aby go ukrzyżowano zamiast Barabasa, co sprawiło iż go na śmierć skazano; poczem pobiegł przed dom swój, mimo którego Jezus Chrystus musiał przechodzić i oznajmił o tém swojej rodzinie, aby go także widziała, a wzięwszy małe swe dziecko na ręce, stanął we drzwiach aby mu go również dać widzieć. Pan Jezus przechodząc obar-

czony krzyżem, oparł się o dom żyda, a ten dla okazania gorliwości, podbiegł i odepchnął go z obelżywemi słowy, wskazując na miejsce męki, dokąd iść był winien. Wtedy Jezus Chrystus popatrzył nań długo i rzekł: „Ja się zatrzymam i spocznę a ty pójdziesz.“ I zaraz postawwszy na ziemi dziecię, żyd uczuł że się w domu już zatrzymał nie zdoła. Poszedł za tłumem i przypatrywał się śmierci Pana Jezusa; poczem nie mógł już wrócić do domu, do Jerozolimy i odtąd nie ujrzał nigdy żony i dzieci: błąkał się po cudzych krajach, w sto lat dopiero wrócił i znalazł już Jerozolimę zburzoną, tak iż nic w niej poznać nie mógł. Nie wiedział też iż Pan Bóg postanowił uczynić zeń świadka śmierci i męki Jezusa Chrystusa, na ciągle przekonywanie niedowiarków i bezbożników, zachowując go tak długo przy życiu, a może nawet przeznaczając mu do trwanie aż do dnia sądnego; on zaś życzyłby aby go Bóg przedjąc do siebie powołał. Oprócz tego Paweł Eitzen i rektor szkoły hamburskiej, człowiek uczony i znający dzieje, rozmawiali z nim o wypadkach na Wschodzie od śmierci Pana Jezusa dotychczas zasłych, i tyle od niego się dowiedzieli, że aż się tém zdumiewali. Zresztą był to człowiek milczący i zamknięty w sobie; mówił tylko gdy go pytano; gdy zapraszano szedł, ale pił i jadł mało; gdy mu ofiarowywano cokolwiek pieniędzy, nie brał więcej nad kilka groszy i zaraz je rozdawał ubogim, powiadając, że nie wiedział co robić z pieniędzmi i że Bóg się nim zaopiekuje. Przez cały czas pobytu jego w Hamburgu nie widziano uśmiechu na jego twarzy. Gdziekolwiek poszedł, mówił językiem krajowym; po sasku tak rozmawiał, jakby był rodowitym Sasem. Nie mało osób z różnych okolic przybyło do Hamburga dla widzenia jego; różnie o nim sądzono; najwięcej mniemało iż opętany był od ducha jakiegoś. Ale Paweł Eitzen nie był tego zdania, bo nie tylko słuchał on i chętnie rozprawił o słowie Bożem, lecz nadto nie mógł znieść bluźnierstwa, a gdy słyszał bożenie się, wpaadał w zapał i mówił z oburzeniem i płaczem: „Człowiecze niegodziwy, nędzna istoto! jak śmiesz imię boże brać naderemnie i nadużywać go? Gdybyś widział z jakim smutkiem i goryczą cierpiał za ciebie i za mnie Pan nasz, wolałbyś znosić dla Jego chwały, niżeli bluźnić imieniem Jego!“ Oto com się od Pawła Eitzena i wielu innych osób wiarogodnych dowiedział w Hamburgu wraz z wielu innymi rzeczami.“

Tenże list z Rewla, niby 1 sierpnia 1613 r. pisany po niemiecku, oddzielnie (bez miejsca i daty) drukowany, zawiera oprócz kilku mało znaczących odmian i dodatków, następne dopełnienia:

„Było wiele też innych osób, panów i szlachty, które tego człowieka (t. j. Żyda Tułacza) widziały w Anglii, Francyi, Włoszech, Węgrzech, Persyi, Hiszpanii, Polsce, Moskwie, Infantach, Szwecyi, Danii i Szkocyi.“ (Gr. 86).

W innym miejscu: „Wszystko to (o Żydzie Tułacz) pan doktor P. Eitzen wraz z innymi naocznymi a wiarogodnymi świadkami pilnie i wiernie w Szlezwiku opowiadał, a wielu swoich dawnych znajomych, którzy tegoż człowieka własnymi oczami naówczas w Hamburgu widzieli

i z dr. Pawłem Eitzenem mówiącego słyszeli, stwierdzili to, ja zaś rzetelnie tu powtórzyłem.“ (Gr. 90).

Gdzieindziej dodaje znowu: „Wkrótce potem r. 1575, Krzysztof Elsinger i niejaki magister Jakub (inne wydania inaczej ich nazywają), wysłani przez księcia holztyńskiego do Madrytu dla upomnienia się o zaległy żołd wojska holztyńskiego, które posiłkowało w r. 1571 księcia Albę w Holandyi, opowiadali po powrocie do Szlezwiku, najmocniej za prawdę słów swych zaręczając, że człowieka tego (Żyda Tulacza) spotkali w Madrycie, rozmawiali z nim i zauważali wraz z wielu innymi osobami z wyższego i niższego stanu, iż wtedy dobrze po hiszpańsku mówił.“ (Gr. 90, L. 117).

W kilka lat widziano znowu zagadkowego żyda w Strasburgu; stawil się on tam przed urzędem wyznając, że przed dwustu laty przechodził przez to miasto, co sprawdzono zaraz w registrach miejskich. Mówił tak płynnie po niemiecku, że to aż pewne podejrzenia obudziło; ale je zaraz rozwiał żyd dowodząc iż z dopuszczenia bożego, gdziekolwiek nogą stąpił, natychmiast język miejscowy rozumiał i mówić nim był w stanie. Nie długo zabawił w Strasburgu, a na odehodném wyraził życzenie, aby po raz ostatni być tu mógł, gdyż po przebieżeniu Indyi Zachodnich miała się skończyć jego pielgrzymka, po czém zaraz nastąpiłby sąd ostateczny. (L. 117 i nast.).

Wzmiankowana wyżej niemiecka wersja listu Dudulaeusa twierdzi i nadto: że w grudniu 1599 r. pewna wiarogodna osoba pisała z Brunświku do Strasburga, iż „widziano wówczas w Wiedniu, w Austrii żyda owego dziwnego przy życiu zostającego i zamierzającego udać się do Polski i Moskwy,“ i dalej: „Ahasverus ten r. 1601 był w Lubece a także w Rewlu, Inflantach, w Krakowie w Polsce, oraz w Moskwie, gdzie go nie mało osób widziało i z nim rozmawiało.“ W końcu listu autor dodaje refleksyę taką: „Co ludzie rozsądni a bogobojni pomyslą o tój osobie (t. j. o żydzie), zostawioném jest wolności ich; wszelakoż sprawy boże są dziwne, niezbadane i niezgruntowane, wyjaśniają się dopiero w dzień Sądu ostatecznego.“ List wszędzie podpisany przez „Chryzostoma Dudulaeusa Westfalczyka“ z Rewla, datę tylko nosi nie jednostajną, to 1564, to 1613 i t. d. (Gr. 85—91).

Roku 1603 żyd nasz znowu był jakoby w Lubece; donosi o tém Bangert w swém piśmie „Coment. de vita Coleri“ (Colerus był prawnikiem w Lubece): „Dnia 14 stycznia 1603 r. zapisał (Colerus) że był w Lubece ów żyd nieśmiertelny, który utrzymuje iż był przy ukrzyżowaniu Chrystusa i że od szesnastu wieków nie jadł, nie pił i nie spał“ (Gr. 126; L. 123).

Następnego zaraz roku (1604) spotkali go we Francyi dwaj panowie jadący z południowych stron tego kraju na dwór Henryka IV, rozmawiali z nim o męce Pana Jezusa i zapowiadali przybycie wędrowca tego do Paryża (L. 118).

Jednocześnie Mikołaj Heldvater autor pisma p. t. „Sylva chronol. circuli Baltici“ zanotował (cz. II str. 271) co następuje: „Tego 1604 r.

wyszła z druku baśń o pewnym Żydzie, który miał być za czasów Pana Jezusa szewcem w Jerozolimie i za to, że w Wielki Piątek uderzył kopytem Chrystusa Pana na mękę idącego, nie mógł umrzeć, lecz błakać się i tułać musi po świecie aż do dnia sądnego.“ Druku tego dotąd nie wynaleziono. Iune o Żydzie traktujące broszury z początku XVII stulecia wymienia Gräse od str. 101. Jedna z nich nosząca datę tegoż 1604 r., napisana przeciwko szarlataństwu Paracelsa (przez Leonarda Doldiusa lekarza norymberskiego, przełożona na łacinę przez Libaviusa lekarza z Rothenburga, wspomina mimochodem Żyda naszego i nadaje mu imię zkądinąd nie znane; mówiąc o podaniu jakoby Paracelsus nie umarł, lecz śpiący czy drzemający pochowany został w Strasburgu, zabezpieczonym będąc od śmierci jakimś lekarstwem, autor powiada iż uwirzy raczej w Żyda Ahaswera tułającego się po świecie, zwanego przez jednych Buttadaeus, a przez innych inaczej (BG. 20).

Zapowiedziany przez szlachtę gaskońską tułacz, rzeczywiście się miał pojawić tegoż 1604 r. w Beauvais; przynajmniej Piotr Louvet uczony prawnik, autor Dziejów miasta Beauvais drukowanych 1614 w Rouen, zapewnia że w październiku 1604 r., po wysłuchaniu mszy w kościele N. M. Panny, ujrzał przy wieżach pałacu biskupiego jakiegoś starca „otoczonego gromem dziatek, które nauczał, mówiąc im o Męce Pańskiej. Powiadano w prawdzie że to był Żyd Tułacz, lecz nie wiele nań zwracano uwagi, raz dlatego że był skromnie ubrany, a powtóre iż go miano za kłamcę, nie przypuszczano bowiem aby żył aż od owych czasów.“ Louvet nie śmiał zbliżyć się do tego człowieka, w obawie iżby mu tego za ślepą łatwowierność nie poczytano; Żyd zaś nie mając powodzenia w Beauvais pozebrowawszy trochę po domach puścił się na wieś i tam więcej znalazł łatwowiernych (L. 118 i nast.).

Wkrótce potem jakiś nieznany poeta francuzki puścił w obieg pieśń o Tułaczu p. t. „Opowieść prawdziwa o Żydzie Tułaczu, który utrzymuje iż był przy ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa i dotąd w życiu pozostał,“ drukowaną 1609 r. w Bordeaux; sprzedawano ją po jarmarkach i odpustach za dwa soldy, przerobiona później dwukrotnie przybrała formę taką, w jakiej do dziś dnia lud francuzki ją kupuje i czyta jak dawniej. Treść tej pieśni niczem się prawie nie różni od wersyi, które z powyższych przytoczeń poznaliśmy. Jest w niej tylko bliższe oznaczenie końca wędrówki Żyda, a tém samém i nadejścia dnia sądnego. „Do skończenia pielgrzymki pozostaje mu, powiada poeta, trzecia część tylko wędrówki po Zachodzie i niektórych wyspach.“ Ostatnia strofa brzmi następnie: „Gdy patrzę na świat i rozmyślam (powiada niby Żyd Tułacz), zdaje mi się że Bóg uczynił mię świadectwem swęj męki i śmierci, nim zmartwychwstanie nastąpi“ (L. 119—122).

Nie tylko w Beauvais, lecz i w Paryżu na początku XVII w. krążyły pogłoski o tym długowiecznym pątniku; mamy wzmianki o tém jedną zapisaną w „Comment. de rebus toto orbe gestis“ (dziele wydaném 1610 r. w Paryżu i Frankfurcie) Botoreusa adwokata przy parlamencie paryzkim, który choć się wstydzi nieco o tój baśni wspominać, pow-

tarza jednak co gmin prawił: że około r. 1604 odwiedził stolicę Francyi niejaki Żyd Tułacz, Grzegorzem się nazywający, żywy świadek męki Pana Jezusa, o którym dawniejsi kronikarze wspominali (Gr. 126). Krytyczniejszy współczesnik autora tego Bulenger w swojej „Historia sui temporis“ powtarza znaną gawędę o Żydzie, dodając w końcu w Horacyusza: „Credat Judaeus Apella; za bytności mój w Paryżu nie widziałem tego człowieka ani też od dość pewnych świadków o nim nie słyszałem“ (Gr. 126 i nast.).

Liczne jednak pisemka ulotne francuzkie i niemieckie (które wymienia Gr. od 101) z XVII wieku zapisują bytność Ahaswera w coraz to innych miejscowościach i datach; i tak np. jedna broszura niemiecka wie iż był on „r. 1610 w Lubece, 1612 w Tarnowicach na Szlązku, 1614 w Rewlu, Krakowie i Moskwie“ i t. d. (Gr. 127). 1633 roku znowu widziano go w Stade pod Hamburgiem w kościele. 1640 roku dwaj mieszczanie brukselscy zamieszkali na ulicy Garbarskiej, spotkali w lesie Soignes starca bardzo licho i postarostwiecku ubranego. Zaprośili go do oberży; poszedł z nimi ale nie chciał usiąść, lecz pił stojący. Gdy wyszli ztamtąd, opowiadał im dużo, szczególnie o zdarzeniach przed wielu wiekami zaszłych. Z tego poznali mieszczanie że towarzyszem ich musi być Izaak Laquedem, żyd, który Panu Jezusowi odmówił wypożyczynku przy drzwiach swoich i odłączyli się od niego w wielkiem przerażeniu (Gr. 91 i nast.).

Lecz wbrew tym opowiadaniom o wędrownkach Ahaswera po Europie, pobożni pielgrzymi wracający pomiędzy 1641 a 1643 r. z Ziemi Świętej zapewniali stanowczo, że Żyd Tułacz nigdy z Jerozolimy się nie wydał, gdyż zostawał tam więźniem pod strażą Turków. Zamknięty był w głębokiem podziemiu i żadnej rozrywki nie miał jak tylko przechadzkę w szerz i wzdłuż między czterema ścianami, nie mówiąc, bijąc się w piersi i dotykając murów wyschłemi rękami. Nosił jeszcze dawny strój rzymski, który nie wydawał się zużytym pomimo sześćnastu wieków. Zapisał tę wiadomość wzmiankowany wyżej Louvet w swojej Historii miasta Beauvais (L. 124).

Mieszkańcy Lipska widzieli znowu jednak nieśmiertelnego tułacza 1642 r. w swoich murach; nateraz wyglądał jak stary żebrak i przyjmował hojne jałmużny (Gr. 92).

W kilka lat potem wyszła na świat w Belgii książeczka p. n. „Dziwna historia Żyda Tułacza“ po francuzku, przedrukowywana później w różnych miastach Belgii i Francyi i wcielona do głośnej w swoim czasie Biblioteki Błękitnej (zkaład francuzkie wyrażenie *conte bleu* o dubach smalonych). Opowiada ona dzieje naszego żyda w formie romansu i znacznie się różni od pierwotnej legendy. Dodana jest do niej pieśń o Tułaczcu, również znacznie się różniąca od poprzednio wspomnianej; pieśń tę długo przedrukowywano oddzielnie we Francyi i Belgii i sprzedawano na jarmarkach. Tytuł ma następny: „Cudowna historia o Żydzie Tułaczcu, który od r. 33 aż dotychczas ciągle wędruje, opisująca jego pochodzenie, karę i dziwne przygody we wszystkich czę-

ściach świata.“ Piesń zawiera kilka ciekawych rysów, które tu zapisujemy. Żyd mówi w niej iż „kroczy we dnie i w nocy bez ustanku, tak po ziemi jak i *po morzu*,” dalej znowu gdy usłyszał wyrok Pana Jezusa skazujący go na wieczną wędrówkę, powiada iż opasawszy się pasem „zabrał pięć soldów“ i puścił się w świat, który nazywa „okrągłą maszyną“ (machine ronde); wreszcie nader słusznie dodaje: „Jeżelibym znał Zbawiciela jak wy, nie popadłbym w to nieszczęście, lecz uczciłbym jego boską osobę.“

Nie tylko lud wiejski czytywał te jarmarkowe druki, lecz i poważne uniwersyteckie głowy Niemców zaprzętały się ciekawą baśnią o wędrowcu z Jerozolimy. W Jenie Marcin Droscher wydał 1668 r. rozprawę łacińską „O dwóch żyjących świadkach męki Chrystusa,“ w Witemberdze tegoż roku, Frentzel pod pseudonimem G. Thilo, ogłosił dysertację „O żydzie nieśmiertelnym,“ a w Królewcu 1689 r. Marcin Schmied, pod pseudonimem Ch. Schultza, wydał pismo „Rozprawa historyczna o Żydzie nieśmiertelnym“, która bardzo musiała zajmować czytelników, gdyż do r. 1711 przedrukowywano ją cztery razy. Droscher wpadł na myśl osobliwszą zrobiwszy z jednego dwóch Żydów tułaczy: Ahaswera i Kartafilusa, co starał się poprzeć energicznymi dowodami, nie wątpiąc ani trochę o istnieniu obudwu.

Po kilku wiekach niebytności przypomniał sobie nasz wędrowiec, czy też, gdy się zgodzimy na twierdzenie Droschera, jeden z wędrowców, że należy się odeń wizyta i Anglii, jakoż w „Dziejach Stamfordu“ Peck'a czytamy: „Po Zielonych Świątkach roku Pańskiego 1658 około szóstej godziny zaraz po niesporach, niejaki Samuel Wallis ze Stamfordu, długo męczony trawiącą konsumcją siedział przy kominie, czytając prześliczną książkę pod tytułem: „Prośby Abrahama za Sodomą.“ Wtém usłyszał pukanie do drzwi, a że gospodyni nie było, sam się do nich przyczołgał i otworzył. „Ujrzałem, powiada Samuel, starca przyzwoitego, poważnej i wyniosłej postawy. Rzekł do mnie: „Przyjacielu, daj proszę, staremu pielgrzymowi szklanicę cienkiego piwka,“ ja zaś odrzekłem: „Panie, proszę Cię, wnijdź i bądź pozdrowiony;“ a on nato: „Nie jestem panem, proszę więc mnie tak nie nazywać; wnijsz muszę, gdyż nie mogę drzwi twoich ominąć.“ Po wypiciu piwa „Przyjacielu, rzekł, jesteś niezdrów.“ Prawda panie, odrzekłem, jestem cierpiący od lat kilku.“ On zaś zapytał: „Jakaż jest twoja choroba?“ Odpowiedziałem: „Ciężka konsumcja, panie; lekarze nasi mówią że niema już rady, do tego bardzo jestem ubogi i nie mógłbym korzystać z ich zaleceń.“ „Jeżeli tak, odparł, to ci powiem co masz czynić, a z pomocą Boga Najwyższego musisz przyjsz do zdrowia. Jutro zaraz po wstaniu idź do swego ogrodu, dostań dwa listki czerwonej szalwii, jeden krwawniku i włóż je do szklanki z piwem. Pij ile razy ci się zechce, a gdy wypróżnisz naczynie, napełnij znowu, liście świeże wkładaj co cztery dni, a obaczysz jak z miłosierdzia i łaski bożej do dwunastu dni będziesz zdrów, a ciało twe się wzmocni.“ Po tej skromnej recepcie Wallis zapraszał gościa na przekąskę, ale on odrzekł: „Nie, przyjacielu jeść nie chce; Pan Jezus mnie

opatruje. Bardzo rzadko pijam piwo i to tylko takie, co to płynie z pod kamienia. Niech więc Pan Bóg ma cię w swej opiece.“ To powiedziawszy odszedł i nic już o nim nikt nie słyszał; chory wyzdrowiał w oznaczonym terminie, a mędracy Stamfordu długo i zawzięcie się spierali, czy przybysz ów był dyablem, czy aniołem? Szanowny pan Samuel szczegółowo opisał ubiór jego. Sukmanę miał purpurową zapiętą do połowy, spodnie ubranie teje barwy; pończochy bardzo białe, lecz czy z lnu, czy z wełny, tego opisujący nie zauważał; brodę i włosy na głowie miał siwe i białą laskę w ręku. Chociaż dzień był dżdżysty od rana do nocy, nie miał żadnego śladu błota na sukniach“ (BG. 21—23). To samo prawie dosłownie opowiada Aubrey; miejscem tylko wypadku tego mają być błota hrabstwa Stafford, pielgrzym nosi „kosmatą purpurową opończę i przepisuje liście balsamu“ (BG. 24).

Wiek XVIII, głośny ze swego sceptycyzmu, widział jednak nieraz zapewne, „przed oczami duszy swój“ niezmordowanego pokutnika. I tak: w Mnichowie widziano go przy bramie miasta 22 lipca 1721 (Gr. 92). W Bruxelli zaś 22 kwietnia 1774 r. o szóstej wieczorem; tak zapewnia broszura w niezliczonej ilości rozpowszechniona w XVIII wieku po krajach, francuzką mową mówiących, ozdobiona kolorowanym portretem Żyda Tułacza, a zawierająca pieśń o nim w nowém, do dziś dnia nie zmienioném obrobieniu, które dwa dawne ostatecznie zastąpiło. Z pieśni tej przywodziny następujące charakterystyczne ustępy: „Dnia pewnego, pod miastem Bruxellą w Brabancie, bardzo spokojni mieszczanie spotkali Żyda Tułacza i zdumieli się, bo nigdy nie widzieli człowieka z taką brodą (Jamais ils n'avaient ou Un homme si barbu).“ Na zaproszenie ich, wędrowiec nie odmówił napić się z nimi piwa, jak i u chorego Wallisa, ale usiąść nie chciał; oznajmił im że ma tysiąc siedmset lat z górą, ale nie czuje więcej nad trzydzieści; że się nazywa Izaak Laquedem, jest Żydem Tułaczem, piąty raz już świat wokół obchodzi, nie mijając mórz, rzek i strumieni; że nie w jednej był bitwie, ale nigdy rany nie odniósł i choć widział w Ameryce i Afryce wielki mór, śmierć go omijała; że ma tylko pięć soldów w kieszeni, nigdy mniej ani więcej; że przyczyną pokuty jego jest wiadomy wyrok Pana Jezusa. Pieśń kończy się tak:

„Messieurs, le temps me presse,
Adieu la compagnie. . .
. . . Je suis trop tourmenté
Quand je suis arrêté.“ (L. 129—133).

Cokolwiek pierwój Ahaswerus dał się poznać w Wirtemberskiém; w dzień nowego roku 1766: do pewnego chłopca we wsi Altbach nad Nekarą, przyszedł jakiś pielgrzym i prosił o nocleg. Gospodarz wskazał mu kąt w stajence, dokąd chętnie się udał. Gdy zaś nazajutrz rano długo się nie pokazywał, wieśniak poszedł do stajenki zobaczyć co gość robi. Znalazł ją pustą, ale na ścianie ujrzał napis: „Ja Ahaswerus

z Jerozolimy powtórnie w stajence tój dobrze przyjęty byłem, za co Bóg zapłać. 1 stycznia 1766.“ Napis ten przetrwał aż do końca prawie XVIII wieku, kiedy stajenkę na kuźnię przebudowano. (B. 7 i nast.).

Na początku wieku XVIII (roku źródła nie oznaczają) widziano Żyda naszego w Anglii; „wydawał on się za członka wielkiej rady Jerozolimskiej i twierdził, iż gdy Chrystus wyszedł z pałacu Pilata, on uderzywszy Go krzyknął: idź, wynoś się, czego tu marudzisz? Na co Pan Jezus odrzekł: „ja idę, ale i ty chodźć będziesz aż do mojego powrotu.“ Przypominał sobie iż widział wszystkich apostołów, opisywał rysy ich twarzy, włosy, ubranie; dowodził że zwiedził wszystkie kraje świata i że wędrować musi aż do jego końca; wmawiał iż leczy chorych swém dotknięciem; mówił kilkoma językami i tak dokładnie opowiadał o wszystkim, co kiedykolwiek zaszło, iż słuchacze nie mogli wyjść z podziwienia. Obadwa uniwersytety angielskie wysłały do niego najuczestszych swych professorów, lecz ci nie zdołali go złapać na żadnej sprzeczności. Pewien szlachcic angielski, wielce uczony, przemówił do niego po arabsku, lecz Żyd odpowiedział tymże językiem, dodając, że na całym świecie nie ma ani jednej prawdziwej historii. Poczém szlachcic ów zapytał się go, co trzyma o Mahomecie, na co odpowiedział: Znałem osobiście ojca jego w Ormuz; co zaś do niego samego, był to człowiek bardzo oświecony, chociaż, jak wszyscy, nieraz błędom hołdował, zaprzeczając naprzykład ukrzyżowaniu Pana Jezusa, na które ja przecież własnymi oczami patrzyłem. Opowiadał nadto iż był w Rzymie, gdy to miasto Neron podpalił, że widział Saladyna wracającego do domu z wypraw zwyciężkich, a o Solimanie wielkim dziwnie rzeczy wygłaszał. Znal także Tamerlana, Bajazeta, Eterlana, wiedział najdrobniejsze szczegóły o wojnach krzyżowych i przyrzekał wkrótce być w Londynie, gdzie mógłby zaspokoić ciekawość wszystkich, którzyby tylko coś od niego dowiedzieć się pragnęli.“ (Gr. 92 i nast.).

W bieżącym stuleciu nawet zdawało się wielu osobom w Anglii, iż Żyda Tułacza własnymi oczami oglądały; było to w latach 1818, 1824 i 1830, (The Athenaeum, 3 listopada 1866 str. 561).

Opócz tego wiele krajów zwiedzić miał nasz pielgrzym; są o tём wzmianki niejednokrotne, ale czyniący je zapomnieli podać dat bytności żyda. Tak np. teolog Mitternacht w rozprawie o ś. Janie ewangelistcie wspomina, że Żyd Tułacz był w Naumburgu nad Sałą, że nie wolno mu było ani stać ani siedzieć, skutkiem czego w kościele podczas kazania przechadzał się to w tył to naprzód, a opowiadał że dotychczas nie spoczął ani we dnie ani w nocy; że bez jadła i napoju, bez snu i wytchnienia cudownym sposobem tyle wieków przeżył, poczem go kupcy tameczni hojnie obdarzyli (Gr. 91). W Danii widywano go także, mianowicie w Jutlandyi, w Aalborgu i niektórych innych miastach; w podaniach przechowały się niemniej ślady bytności jego w Szwecyi; w Hiszpanii opowiada lud wiejski, iż Żyd Tułacz nosi przepaskę na czole dla ukrycia ognistego krzyża, który pożera ciągle odrastający mózg jego (Gr. 93 i nast.).

Gdy więc poprzednie wskazówki miały pozór dat historycznych, wymieniały czas, miejsce i okoliczności pojawiania się wiecznego wędrowca, powoływały się na świadków, podawały nawet jego portret i powtarzały własnoręczne jego napisy; te ostatnie mniej już dokładnie postać tę malują, nie roszeją praw do kronikarskiej pewności i ze sfery legend pisanych wprowadzają nas w obręb czystych podań ludowych, przedstawiających nieraz zmieszanie mitów o Żydzie, z podaniami o innych postaciach mitycznych, mających pewne wspólne z nim rysy.

Tak w Szwajcaryi naprzykład opowiadają że na Mattersberskich lodowinach, z których wypływa rzeczka Visper, w kantonie Wallis, pod górą Matterhora, dawniej wielkie miasto się wznosiło; Żyd-Biegun (der laufende Jud), jak go Szwajcarowie nazywają, przechodząc raz przez nie, rzekł: „gdy po raz wtóry tędy przechodzić będę, na miejscu ulic i domów porosną drzewa i legną kamienie; a gdy trzeci raz wrócę, śniegi i lody pokryją to miejsce“ i jakoż dziś nic prócz śniegów i lodów tam nie ma (Grimm, Deutsche Sagen Nr. 344). Podanie to natchnęło Doręgo do jednego z najpiękniejszych jego rysunków. W Westfalii o Żydzie powiadają, że za obelgę wymierzoną przezeń Panu Jezusowi, skazanym jest na bezustanną wędrowkę po świecie, i że tyle tylko wolno mu wypocząć, ile czasu potrzeba na zjedzenie bułki groszowej, a i wtedy może siedzieć tylko na zrosniętym z dwóch pni dębie (Kühn, Sagen aus Westfalen, I, 115). Około gór Harzu mieszają Żyda z dzikim strzelcem (postać mityczną, o której niżej powiemy) i powiadają że pokutuje za to, iż gdy był niegdyś Żydem, nie pozwolił Chrystusowi napić się z rzeki, czy też koryta końskiego, lecz pogardliwie wskazał mu wyciśnięty na drodze ślad podkowy, w którym nieco wody się zebrało, radząc aby ztamtąd pragnienie ugasił (Kühn i Schwarz, Norddeutsche Sagen, str. 499). W Westfalii lud mniema, iż Żyd wówczas ma noc odpoczynku, gdy ktoś litościwy postawi dwie brony naksztalt daszku; dlatego też inni przestrzegają, aby po bronowaniu bronią zębami do góry przewracać, bo inaczej Żyd na niej siądzie; w innych okolicach Westfalii zamiast Żyda wymieniają w tych zabobonach dzikiego strzelca (Kühn, Sag. aus Westf. II, 932. Wuttke, der deutsche Volks aberglaube 1869, str. 446). W Tyrolu jest podanie że niegdyś czarownica zwana *Langtütin* (t. j. długie piersi mająca) ciągnęła losy z Żydem Tulaczem, kto z nich będzie biegał po świecie, a kto na wieczne czasy zasiądzie na górze Firner w dolinie Oelzu; drugi ten los dostała czarownica i siedzi zakłeta na szczycie śnieżnym, a Żyd wędruje bez końca. (Weber, Tirol, III, 281). Widzieliśmy zresztą już wyżej w wyjątku z Mateusza Parisa, iż kronikarz ten zmieszał Żyda naszego z Józefem z Arymatei; zacytujemy poniżej legendę o tym ostatnim, dla okazania powodu tego zmieszania. We Francyi lud łączy Żyda Tulacza z duchami burze i klęski sprowadzającymi (które w Niemczech dziki strzelec przedstawia); powiada: „Żyd Tulacz przechodzi,“ gdy w pogodny dzień raptem zerwie się gwałtowny wicher (B. J. 119); twierdzi również że pojawienie się wędrowca tego wróży zawsze jakieś nieszczęście pu-

bliczne: jakoż miał się pokazać w Strasburgu, Beauvais i Noyon przed samém zamordowaniem Henryka IV, przez Ravaillac'a (tamże 26). Średniowieczni wreszcie teologowie upatrywali nieraz to Malchusa, to nienawróconego łotra, to Pilata w osobie błędnego Żyda. (L. 108).

(Dokończenie nastąpi).

A N N A .

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

PRZEZ

A. M.

(Dokończenie).

AKT III.

Trzy lata później.

(Salon jak w pierwszym akcie, HRABINA i P. WOJSŁAWSKA.)

S C E N A I.

HRABINA.

Nieszczęście za nieszczęściem, Wando, na mnie spada,
Zawiedzione nadzieje, najmiłsze marzenia;
Pan Bóg wciąż nowe ciosy do dawnych dokłada.
I nędza materyalna i z Anną zmartwienia...
Trzy lata upłynęły, ona trwa w uporze.
Mamże patrzeć na śluby?

P. WOJSŁAWSKA.

Nie, to być nie może!

Pan Bóg to da inaczéj, nie tracę nadziei.

HRABINA.

Wszystkich środków Wandeczko użyłam z kolei
I wszystkie omyliły.—On lada dzień wróci...

P. WOJSŁAWSKA.

O niechaj się Helenka napróżno nie smuci.
Opatrzności nad nami, mamy dowód świeży!
(*cicho do ucha*)
Spadł z konia; nogę złamał, długi czas poleży,
A dla nas dobrodziejstwem każda chwila zwłoki.

HRABINA.

Najdroższal Czyżto zmieni fatalne wyroki?
Miłość jej jeszcze wzrośnie w tój nowój boleści.

P. WOJSŁAWSKA.

Musimy strzedz starannie, by nie doszły wieści
Do niej, o tym wypadku. Mogę się poszczycić
Że potrafię właściwie sposobność pochwycić.
Wszakże ją niepokoją zwłoka i milczenie?...

HRABINA.

W tobie droga Wandeczko, nasze ocalenie!

P. WOJSŁAWSKA.

Jeszcze jednego środka musimy spróbować...
Byłam tyle przezorną by listy przejmować:
Mam ich spory pakiecik. Wyobraź zuchwałość
Nędznika, kiedy pisze: wierząc w twoją stałość...
Jak cię kocham; *ty* pisze, jak do równej równy
Jakiś tam szlachciancezki lub ekonomówny!
Więc „wierząc w twoją stałość; (Dziękuję Opatrzności,
Pośród mąk niewymownych szalonej tęsknoty,
Jednej choć najstraszniejszej nie znałem zgrzyzoty,
To w świętość twoich uczuć, w ciebie nieufności)!
Więc przyjeżdżaj do Chojnic“. Czy uwierzysz temu?
Nie wypada przyzywać już narzeczonemu
Narzeczonej do siebie; ten intruz zgłupiały
W ten sposób śmie jej swoje wynurzać zapaly!
Wszystkiemu winien hrabia, ten komedyant stary,
Co wiecznie lubi na świat marudzić i zrzedzić:
Zamiast z domu zuchwalca natychmiast wypędzić,
On z nim wchodzi w układy.

Takie to filary

Naszój arystokracji! Na poły umarli,
Zbutwiali; bo tradycyi dawniej się wyparli,
Podwaliny, na której stały wielkie domy,
Nie dziw więc, że straszliwe sprowadzają gromy!
Upadek za upadkiem! Niemasz spójni ducha,
Ztąd wszystko się rozpada jako pianka krucha!



HRABINA.

Gdy spojrzę na te sprzęty, posągi, obrazy
 I dodam dwa okropne choć krótkie wyrazy:
 „To wszystko już nie moje“, krew się w żyłach ścina,
 Wszystko dawne rozkosze, szczęście przypomina;
 Potém okrutne dzisiaj do myśli przywodzi.
 O kochana Wandeczko! Wyobraź mą mękę,
 Mnie trzeba po jałmużnę! *Mnie* wyciągać rękę!
 Ach! to nad wszelkie siły! O, Anna przychodzi...
 Odchodzę, znieść nie mogę upornój widoku.
 Jednego trzeba słówka, jednego jój kroku,
 Aby nas wyratować. (*odchodzi*).

S C E N A II.

P. WOJSŁAWSKA: (ANNA *blała, zmieniona*).

P. WOJSŁAWSKA.

Chodź Andziu kochana,
 Chodź, bo oto dla ciebie jest wieść pożądana:
 Stanisław zdrów, wesoły.

ANNA (*ucieszona*)

Zkądże wiadomości?

P. WOJSŁAWSKA (*do siebie*).

Środka ostatecznego, spróbuję—zazdrości.

(*głośno*)

Nasz sąsiad był w Chojnicach, przyjrzał mu się z bliska,
 Wiesz, ten blondyn malutki; nie pomnę nazwiska:
 Stanisław zyskał łaski, od wszystkich kochany
 Comme le fils de la maison, prawie uważały.

ANNA.

Więc czemuż nie przyjeżdża? Minęły trzy lata...

P. WOJSŁAWSKA.

Znać jemu nie tak pilno; szybko czas ulata.
 W Chojnicach jest wesoło, bo najmłodsza córka
 Bawi tam; znasz ją przecie, figlarna przepiórka
 A przytém popularna, niby demokratka.

ANNA.

Sama bawi u ojca?

P. WOJSŁAWSKA.

Jest i pseudo-matka,

Jakaś stara kuzynka, czy coś podobnego,
Tak, podobno, wesoło teraz u hrabiego.

ANNA (*chodząc po salonie, chwilami zatrzymuje się i mówi do siebie*).

Czy być może? Stanisław, byłżeby niestały?

(*po chwili*)

Ach! tamtę ma na oczach, widzi ją codziennie,
Do mnie niewolno było przeciąg czasu cały
Odezwać się, przypomnieć chociażby piśmiennie:
Wrażenia się ścierają, bledną mimowoli,
Nie mogę o tém myśleć, tak mocno mię boli.

(*Staje przed zwierciadłem*)

Boże! Jakżem zmieniona, samam się strwożyła,
Tu głęboko, tu w piersi, śmierć się rozgościła!
Dreszcz przebiegł wszystkie kości, jakaś trwoga zgonu,
Tęskne pragnienie życia i śmierci przecucie,
Jakby dwie naraż pieśni z odmiennego tonu
Zagrały w głębi duszy! Okropne uczucie!

(*po chwili*)

Najdroższy! Nie zdradzaj mię, nie odpychaj biédnej;
Ach! więcéj przecierpiałam w téj minucie jednéj,
Niż te całe trzy lata dręczącój tęsknoty!
Bom ufała... widziałam w tobie wszystkie cnoty:
Dzisiaj przyszło zwątpienie....

Lecz jam także dumna!

Nie chcę twojéj litości; jeśliś przestał kochać,
Jako dziecię za cackiem ja nie będę szlochać:
Precz! Precz żale niewczesne! Tkliwość nierozumna!

(*Głośno do P. WOJSŁAWSKIÉJ.*)

Dziękuję dobrej pani za wieści szczęśliwe.

P. WOJSŁAWSKA.

Dla ciebie to już starczy dziewcze samolubne,
Choć dom ten dotykają wciąż wyroki mściwe,
Ty wyglądasz wesela, wiesziesz wieńce ślubne.

ANNA.

Jestem już pełnoletnią, prawnie rozporządzę:
Ciotce oddam majątek i wszystkie pieniądze.

P. WOJSŁAWSKA.

To zbyt wielka jałmużna; bez bliższego związku
Ciotka pewno nie przyjmie.

ANNA.

Lecz ja z obowiązku

Powinam to uczynić. Chodźmy ciocię skłonić,
Będę prosić gorąco: nikt nie może wzbronić
Mnie, dziś działać dowolnie.

P. WOJSŁAWSKA.

Nie wspominaj o tém!
Nie rozdrażniaj boleści! Gdyś biędną skrzywdziła
Twardością, brakiem serca, nie nagrodzisz złotem,
Bo w nędzy wzrasta duma!

ANNA (*głucho*).

Wszystkobym zrobiła
I wszystkobym oddała, byle złe naprawić!

P. WOJSŁAWSKA.

Jeden tylko znam sposób; mamże go wyjawić?

ANNA (*tuląc się do niej*).

Nie, nie, hajdroższa pani!

P. WOJSŁAWSKA.

Więc niema sposobu!

ANNA.

Wkrótce rzeczy się zmieniają, ja wstąpię do grobu,
Bo wszystkie źródła życia dla mnie się zawarzyły!
Testamentem zapiszę cioci mój majątek:
Co żywój odmówiła, przyjmie od umarłej...

P. WOJSŁAWSKA.

Wiedziałam że tak powiesz, u młodych dziewczątek
W śmierci wczesnej na wszystko jest jedyna rada.

ANNA (*patrząc przez okno*).

Co znaczy tylu żydów? I ludzi gromada?
Co za hałas straszliwy!

P. WOJSŁAWSKA.

Są to wierzyciele:
Komornik zajął resztę sprzętów i dobytku.

SCENA III.

(*Żydzi i różni ludzie wpadają z krzykiem i złorzeczeniami*).

JEDEN Z TEUMU.

Tu w pałacach się kryją nasi krzywdziciele!
Za naszą krwawą pracę przewalają w zbytku!
Zabrać! Zabrać to wszystko! Suknie z nich ściągniemy,
Oni w złocie, w jedwabiach, my w nędzy gnijemy!

ŻYD.

Za ksiwdy biędnych źidków niech ich Pan Bóg skarzel!
Niech oni jak psy zdechną!

ANNA.

Jak okropne twarzel!
Co za tłuszcza piekielna tutaj się przedarła!
Ach! któż śmiał ich powpuszczać?

KTOŚ Z TŁUMU.

Bodaj śmierć pożarła
Was wszystkich wydrwigroszel!

DRUGI

My teraz panowie!
My teraz kasztelani, książęta, hrabiowie!
My ściany obedrzemy za nasz grosz i pracę!...

ANNA (*przystępując*).

Stójcie! Przez Boga, stójcie! Ja wszystko zapłacę;
Mam majątek, mnie wolno!

P. WOJŚŁAWSKA (*wstrzymując ją*).

Daj pokój! Zaczekaj!
Wszystkie twoje zasoby utoną jak w studni;
Położenie was... Twoje, jeszcze się utrudni;
Zaklinam nie czynić tego: słowa nie wyrzekaj!...

ANNA (*zalamując ręce*)

Mamże patrzeć spokojnie na to widowisko?
Okropne złorzeczenia, i urągowisko?..
Przez litość! Jaką pomoc przyjmijcie odemnie!

P. WOJŚŁAWSKA.

Tybyś pieniądze w błoto rzucała daremnie
Tym lichwiarzom, co ciotkę obdarli ze skóry!

ANNA.

O Boże! Wielki Boże! Jak ten świat ponury!
Jakie życie okropne!

P. WOJŚŁAWSKA.

Z własnej twojej woli
Wtrąciłaś wszystkich w zgubę i przepaść niedoli!
Na odkupienie złego już życia niestanie!...

ANNA (*zakładając ręce*).

Boże! Co mam uczynić? Ach! oświeć mię Pani!

Między przysięg złamaniem albo niewdzięcznością
Stoje, miotana srogo bólem, niepewnością.

P. WOJSŁAWSKA.

Myślisz że tamten równie pozostał ci wierny,
Że dba o tve przysięgi?...

ANNA.

Boże miłosierny!

Ulituj się nademną! Wszystko w Twojej mocy!
Przyjmij mię na swe łono! Utul ból sierocy!
Wzgardzona, odepchnięta, jam dla nich zawadą,
Daremnie się oglądam wśród ludzi, za radą,
Za pociechą, współczuciem!..

P. WOJSŁAWSKA.

Któż pocieszać zdoła

Jak my, do męczeńskiego, sam wpleciony koła!

(do tłumy).

Po cóż gwałty czynicie? Co komu należy
Pozostanie zwróconém.

JEDEN Z TŁUMU.

Niech piorun uderzy,

Za waszą mowę taką! Grosz zapracowany
Powierzyłem hrabinie! Grosz mym potem zlanyl
Mój grosz zapracowany! Czekałem cierpliwie
I myślałem: hrabinie, ja się nie sprzeciwię,
Gdy będzie mogła odda. Dziś wszystko przepadło!
O bodaj na was jasnych sto piorunów spadło!

ANNA (do pani Wojsławskiej).

Temu oddam przynajmniej.

P. WOJSŁAWSKA (do Anny).

Takich jest bez liku.

(do tłumy).

Zaprzestańcie przynajmniej złorzeczeń i krzyku!
Pani hrabina odda; zaręczam wam dróždy,
Bo cóż tak gwałtownego! Nie bardzo ubodzy,
Możecie jeszcze czekać.

TEN SAM.

Za długo czekałem,

Kiedy odda? Zkąd odda? Napróžno pytałem:
Niech powie kiedy odda. Czemuż tak nie zrobi?
Ale się do podróży cichaczem sposobi,
Przepraszam, nie wyjedzie, bo konie zabrane,

Bramy dworskie i drogi będą pilnowane!
Do stu diabłów! Nie zmami! Już się nie wykręci!

ANNA.

Jak ci ludzie są straszni! Okropnie zawzięci!

S C E N A IV.

Ciż.—EDWARD.

EDWARD (*rozkazująco*).

Ustąpcie ztąd! Idźcie precz! Dam słowo honoru,
Że wszystko wam zostawię, wyjdę w sukni jednej;
Ostatni grosz, gałganek, oddaję bez sporu,
Lecz oszczędźcie scen strasznych mojej matce biédnej!

KTOŚ Z TŁUMU.

Honor! Ten bez honoru, kto cudze wydziera!

EDWARD (*wyjmując rewolwer*).

Między życiem a śmiercią niech każdy wybióra!
Będę strzelał jak do psów!...

(*Wszyscy z krzykiem i strachem uciekają*).

Precz! Precz co do nogi!

(*śmiejąc się gorzko*).

Wnet zuchom i krzykaczom napędziłem trwogi!
Strzelałbym na mój honor! Z twarzy to odgadli!

P. WOJSŁAWSKA.

Nędznicy! Jak szarańcza z hałasem tu wpadli!

EDWARD (*do Anny*).

Przyszedłem cię pożegnać;... przebac... i... bądź zdrowa!

ANNA.

Gdzie odjeżdżasz? Sam jeden? Co znaczą te słowa?

EDWARD (*ponuro*).

Gdzie... alboż ja wiem... Anno!.. Sam idę... tak muszę...

ANNA (*z trwogą*).

Przerażasz mię,.. tak patrzysz... Ach! nie grzesz rozpacz!..

EDWARD.

Jeśli nie chcesz oszaleć, nie patrz w moją duszę.
Szczęśliwy, komu nieba taki los przeznacza,
Że nie pozna co rozpacz!

ANNA.

Jesteś młody... zdrowy...

EDWARD.

Na co mi młodość, zdrowie? Sługa podwórzowy
 Więcej znaczy odemnie, bo umie pracować,
 Przedpokoje zamiatać, lub jak pies stróżować;
 Umie znosić pokornie fantazje lokai
 I chętnie usługiwać grubijańskiej zgrai!
 Jam do tego nie zdolny!

ANNA.

Lecz w innym zawodzie
 Nauczysz się pracować.

EDWARD.

Uczyć się o głodzie?
 Nie możebnie! Zapóźno! Są prawa społeczne
 Druzgoczące jednostki zacołane, sprzeczne,
 Walka o byt odwieczna! Kto nie ma sposobu
 Żyć kosztem słabszych, musi sam zstąpić do grobu!

ANNA.

Chrystusa prawo słabszych nie gubi, lecz wspiera,
 Serca bratnie, nieszczęście tobie pootwiera,
 Poznasz miłość, a którą, tyś szpetnie ochydział:
 „Poznasz słodycz współczucia, któreś tak wyszydział.

EDWARD (*gorzko*).

Niestety! Chrześcijaństwo na ustach nie w czynie!
 Nie zdołasz mię powstrzymać zwodnemi wyrazy!
 Dziewczyno! Nim dzień jeden.. godzina upłynie.
 Już... bądź zdrowa kochana, zapomnij urazy!
 (*chce odejść*)

ANNA (*chwytając go za rękę*).

Edwardziel.. Ja nie puszczę.. ach! popatrz mi w oczy!
 Coś je tak nic dobrego, złowróźbnego mroczy;
 Żem zadrżała... Edwardzie... Będę się modliła...
 Przebacz żem obojętną tak dla ciebie była;
 Powinnam jako siostra czuła i kochana
 Z przywiązaniem, tkliwością być tobie oddana:
 Jakżem zaległa w długi powinnej wdzięczności,
 Wylana własnym sprawom, nieszczęsnej miłości.

(*odchodzi na bok i mówi do siebie*).

Ach nieszczęśliwa miłość! Do czego przywidła?
 A jeszcze jaka miłość? Wystygła, wychłodła,

Ciąży nam jak łańcuchy i boleśnie krwawi!
(gorzko).

Widocznie przestał kochać, wesoło się bawi...
Nęcą go uśmiechami, wesołym szczebiotem,
O, bo Lora jest taka! Wabiła a potem...

(Spostrzega że nie masz Edwarda).

Gdzież on poszedł? O Boże! Wstrzymajcie! Wołajcie!
Edward, Edward niech wrócił! Wychodzić nie dajcie!
On zgubi siebie! Zgubi w tej okropnej chwili!
Panie! Ty widzisz serce!.. Panie widzisz czyli..,
(Do p. Wojsławskiej).

Tak! Złamaniem przysięgi ocalić go muszę!
Idź pani mu powiedzieć, że chcę jego żonę...
Czy pani nie rozumie? Że mi przeznaczono
Edwarda być małżonką! Boże zbaw mą duszę!..

P. WOJSŁAWSKA.

Zaledwie pojąć mogę co żądasz me dziecię.
Mam zawołać Edwarda?

ANNA.

Ach! nie, za nic w świecie!
Pani powiedz odemnie, że chcę go za męża,
Przywiązanie rodzinne dawne sny zwycięża!
Może tém jedném słowem zdołam cuda sprawić,
Najdroższe mi osoby z nieszczęścia wybawić.

(Edward wraca, Anna przystępuje do niego).

ANNA.

Edwardzie mój najdroższy! Proszę cię, zaklinam,
Nie opuszczaj, nie odchodź... Kochać cię zaczynam...
Będę twoją na wieki! (odwraca się)

Wstydem płonę cała!

Jam pierwsza jemu rękę swą ofiarowała...

EDWARD.

Andziu! Andziu! Coś rzekła? Kochasz? Chcesz być moją?
Czy być może najdroższą!

ANNA (z trudnością).

Tak jest, chcę być twoją!
(Wychodzi).

S C E N A V.

EDWARD, P. WOJSŁAWSKA.

EDWARD.

Co to jest, nie pojmuję.

P. WOJSŁAWSKA.

Rzecz najprostsza w świecie,
Kochała już, lecz duma właściwa kobiecie
Wstrzymywała wyznanie; było spodziewanem,
Że zapomni o tamtym, a zajmie się panem.

EDWARD.

Więc mię kocha doprawdy?

P. WOJSŁAWSKA.

Wszak sama wyznała
A potem zapłoniona wstydem, uciekała.

EDWARD.

Jednakże trzeba przyznać, że się w czepku rodził,
Bo szczęście przyszło samo gdy po nie nie chodził;
Chciałem napluć na życie! Palnąć w łeb! i kwita!
A ono mię uśmiechem i miłością wita.
Nie wiem czyli to Pan Bóg, czy czart rządzi światem,
Dzisiaj cześć mu oddaję, bo jest dzielnym chwatem!

P. WOJSŁAWSKA.

Bój się Pan Boga! Nie mów w ten sposób przy Annie.

EDWARD.

O przy niej będę Bogu i Najświętszej Pannie
Dzięki składał i będę wielbił jej patronkę,
Że raczyła uprosić mnie taką małżonkę,
Żadna wprawdzie już nie jest, mais, comme ça supportable.

P. WOJSŁAWSKA.

W panu siedzi djabełek parisien véritable!
Chodźmy mamę pocieszyć. Na mojem się stało!
Wszystko nam się jak chciałam wyborźnie udało!

S C E N A VI.

Ciz.—HRABINA.

P. WOJSŁAWSKA (*całując ją*).

Helenko, Bóg pocieszył, porzuć łzy i zale;
Jam szczęśliwa twém szczęściem!

HRABINA.

Czyś w gorączki szale?
Wandeczko, słowo szczęście, już dla mnie przebrzmiało.

P. WOJSŁAWSKA.

Nie, nie, najdroższa moja! Inaczéj się stało.

EDWARD.

Mam zostać mężem Andzi, wybrała mię sama
I miłość swą wyznała: niech mi wierzy mama.

HELENA.

Żarty wasze nie w miejscu.

P. WOJSŁAWSKA.

Któżby śmiał żartować?

Pan Edward mówi prawdę.

HRABINA (*do Edwarda*).

Daj się ucałować;

I życzyć szczęścia tyle w pragnioném małżeństwie,
Żyj drogi w powodzeniu, i błogosławieństwie.
Lecz gdzież Andzia najdroższa? Ta szczęścia sprawczyni!

P. WOJSŁAWSKA.

Czym nie zgadła jak będzie? Czym zła prorokini?

HRABINA.

Tyś Wando najwierniejsza i święta w przyjaźni!
Nie umiem ci wdzięczności okazać wyraźniej...
Słów brakuje w téj chwili. Więc wszystko snem było?
(*Wzdycha*)

Snem ciężkim i bolesnym!

P. WOJSŁAWSKA.

Wszystko się spełniło

O czém marzyłaś zdawna.

HRABINA.

Cóż ją wreszcie skłania

Do zwrotu na właściwą i bezpieczną drogę?

P. WOJSŁAWSKA.

Sama do rozumnego przyszła przekonania.

HRABINA.

Lecz dlaczego tak nagle, ja pojąć nie mogę.

P. WOJSŁAWSKA.

To łatwo wytłumaczyć, miłość ukrywana
W chwili smutnej rozstania, wstydem wstrzymywana,
Przełamała zapory, wylała jak woda.

HRABINA.

Lecz szkoda że nie pierwój! Ach szkoda! Ach szkoda!
Dziś zaszedliśmy daleko; mimo jój przysługi,
Gdy chcemy w dobrach zostać pozostaną długi.

P. WOJSŁAWSKA.

Bo któż tak interesa, ma droga, prowadzi?
 Któż wszystkie spłaca długi? Na to się poradzi.
 Pełnomocnik małżonki musi się układać,
 Większa długów połowa powinna pospadać.
 Młodych państwa wyprawić trzeba za granicę,
 Dla zdrowia, spokojności. Ja twą doradczynią
 Będę droga Helenko, ty wykonawczynią!
 Ujrzysz jakim talentem wkrótce się poszczycę.
 Nie pierwszy raz działałam już w podobnej sprawie,
 Mam wprawę w takich rzeczach i znam się na prawie;
 Dlaczego dziś zostałam jednak bez funduszy
 Długoby opowiadać. Znaćcie Ildefonsa,
 Choć szczęścia jam pragnęła jego z całej duszy,
 Nie chce mię nigdy słuchać, z opieki się strząsa.

(Zasłona spada).

AKT IV.

(Salon jak w poprzednim akcie oświecony, kilka dam siedzi na kanapie, między niemi p. Wojsławska i Hrabina; naprzeciw stoją lub siedzą mężczyźni, między niemi Edward i Ildefons).

S c e n a I.

(Nowa dama wchodzi, Hrabina wstaje i przyjmuje ją na środku salonu).

DAMA.

Witam panią Hrabinę, zarazem winszuję
 Małżeństwa pani syna.

HRABINA.

Prześlicznie dziękuję.

DAMA.

Pan Edward lubi robić światu niespodzianki:
 Przed tygodniem o ślubie nie uczynił wzmianki,
 Pytany, protestacye tak śmiało wygłasza,
 A w sześć dni niespodzianie, na swój ślub zaprasza.

HRABINA.

Okoliczności pewne do tego zmusiły,
 Nie myślał, by projekta rychło się spełniły;
 Lecz biedna narzeczona tak straciła zdrowie:
 Pani zna śmierć jej matki. Przytém doktorowie

Strwożeni, przepisują podróż na Południe:
 Wszyscy jechać nie możemy. Pani wie jak nudnie
 Poplątani jesteśmy w różne interesy
 Grożące nam upadkiem, zawiłe processy.
 Więc sami państwo młodzi od domu odjadą,
 Ja zostanę w kłopotach. Za lekarzy radą
 Projekta te spełniono.

DAMA.

I bardzo loiczne;
 Jakby kosą podojęte to kwiecie przesłiczne,
 Pod cudnym włoskiem niebem swą świeżość odzyska.

HRABINA.

Po dniach chmurnych zazwyczaj pogoda zabłyska,
 I mnie nadzieja cieszy; chociaż z pewną trwogą,
 Patrzę na przyszłość syna. Jakżeż to złowrogo,
 Młodemu człowiekowi wybrać suchotnicę,
 Którą wozić potrzeba zaraz za granicę
 Dla odzyskania zdrowia. Ale tą ofiarą
 Trzeba biedną ratować! A Bóg równą miarą
 Może chęci nadgrodzi; czas próby ukróci,
 Ochroni od wypadku i zdrową powróci.

DAMA.

Pan Bóg szlachetność państwa z pewnością nagrodzi.
(Idą ku damom, nowo przybyła wita się i siada obok, Helena odchodzi).

DAMA *(do sąsiadki)*.

Pod jakże smutną wróżbą ślub się ten obchodzi?

SĄSIADKA.

Widziałaś narzeczoną? Jak trupek wygląda.

DAMA.

Podobno jest nie dobrze, i sam lekarz żąda
 By ją do Włoch wywieźli. Lecz z Edwarda strony
 Pięknie że się poświęca!

SĄSIADKA *(śmiejąc się)*.

Tak więc ustrojony
 Czyn beieczny w istocie. Ty wierzysz w szczerości
 Że robią z poświęcenia, serca szlachetności,
 Tę ofiarę? Pieniądze to główne sprężyny!
 Dla nich życie skrócili nieszczęsną dziewczyny!
 Ciebie łatwo jak widzę wyprowadzić w pole,
 Ja bo prawdę wyczytam każdemu na czole.
 Hrabina o ofiarach dziwy mi gadała,
 Jam słuchając z przejęciem w duszy się naśmiała.

DAMA.

Piękny posag, bo wezmą dobra i gotówkę.

SĄSIADKA.

Znakomita zwierzyna wpadła w samolówkę.
 Biedna kochała bardzo, o innym marzyła,
 Familja tak mąciła, aż rybkę złowiła.
 Chociaż zemrze biedactwo, a cóż im to szkodzi?
 Nie o chorą osobę, lecz o posag chodzi.

DAMA.

Zkąd masz wieści podobne? Zkąd takie domysły?

SĄSIADKA.

Sprawek tajnych domowych jam kontroler ścisły.
 Nic nie ujdzie ma droga, ni uszu, ni oczu,
 Kiedy sobie cichaczem siądę na uboczu.
 Uważasz tę łysinę i frak granatowy:
 To rejent, co mu każą gryzmolić, gotowy:
 Tam stemple w pogotowiu. Hrabina w gorączce
 Płonie z niecierpliwości, łamie wachlarz w rączce.
 U tamtej czarne oczy błyskają jak race,
 Widać we wnętrzu ducha niespokojną pracę:
 Ludzie z czystym sumieniem tak nie wyglądają.

DAMA.

Jednakże im się uda; jednakże wygrają.

SĄSIADKA.

Najczęściej moja droga w nastawione sieci
 Gracz choć niby przezorny nieopatrznie wleci;
 Zawsze Pan Bóg ukarze podobne frymarki,
 Gmachem sztucznie wzniesionym przywali im karki:
 Na dobre nie wychodzą podstępne zdobycze!

DAMA.

Kiedy tak, kary nieba z całej duszy życzę.

S C E N A II.

(Ciż. ANNA wchodzi w ślubnym ubraniu, blada i znękana; kłania się wszystkim; EDWARD występuje i podaje jej rękę.)

DAMA (do sąsiadki).

Zda się, że z katafalka tylko co powstała.

KTOŚ DRUGI.

Przerażająco blada!

INNY.

Jak niezmiernie biała!

ANNA (*usłyszawszy z uśmiechem*)
Zapomniałam o różu, przy takim obchodzie
Być różową, kwitnącą podobno jest w modzie.

DAMA (*do sąsiadki*).
Patrz, jaki uśmiech przykry, kiedy serce pęka!

ANNA (*zrzucając białe rękawiczki*).
Zdejmę to, bo się zdaje że już trupia ręka;
Takie białe, fe! brzydkie! O jakżem dziecinna!

EDWARD.
Zkądże takowe myśli?

ANNA.
Jam temu nie winna,
Czemuż taki jest zwyczaj dziwny, nierozumny,
Jednako stroić panny do ślubu i trumny?

EDWARD.
Marzysz jak we śnie, Andziu; już zaszły pojazdy.

ANNA (*marząc, do siebie*).
Więc wszystkie już pogasty promyki méj gwiazdy!
Ostatnie pożegnanie, niktąca nadzieja!
(*sposstrzega rejenta*).

Smutne, dziecinne myśli wkrótce się rozwieją
Przy sprawie poważniejszej. Więc panie rejencie
Weźmy się do roboty. Zatem, w testamencie...

REJENT.
O intercyzie pani mowa i o ślubie,

ANNA (*śmiejąc się*).
Ach! to taka niesmaczna pomyłka w rachubie!..
Pisz pan jak się podoba: Ja Anna Mostowska
Dziedziczka dóbr Chmielniki, Mostowa, Gadomska,
Kapitałów podobno, rubli sto tysięcy;
Nie wiem dobrze: Edwardzie, powiedz czy nie więcej?
Cały ten mój majątek dzisiaj zapisuję
Edwardowi... mojemu...

REJENT.
Pani nie pojmuje..
Niedoświadczona, młoda... ale mnie wypada..
Mam nawet w obowiązku... pani dzisiaj składa

We chwalebnej ufności wszystko w ręce męża,
Ale... potem...

ANNA.

Wymowy niech pan nie natęga:
Dziękuję za przychyłość, lecz czynię rozważnie.

REJENT.

Ależ nadto wspaniale! Za nadto odważnie!

ANNA.

Nie jestem już tak młodą, a wielkie cierpienia
Zestarzały mię, dały—wiele doświadczenia.
Możesz pan jeszcze dzieckiem obok mnie... O Boże!
Nie śmieję się ze mnie, panie—tak trzy po trzy plotę,
To żeby stłumić gorycz... i dziwną tęsknotę...
Lecz piszmy; póki jestem w dość znośnym humorze.
Nie mam nic do dodania. Określ to pan prawnie,
Ja na formie się nie znam.

DAMA (*do sąsiadki*).

Czy nie zgadłam sławnie?
Sierocie, zdrowie, spokój, majątek wydarli!
Pewno zajękli w grobie rodzice umarli!

EDWARD.

Anno, szczęśliwy jestem z twojego zamiaru,
Ale przyjąć nie mogę tak znacznego daru:
Odmień postanowienie!

ANNA.

Com rzekła jest święte!
Przywykłam wykonywać zamiary powzięte.
(*Zalewając się łzami*)
Ach! raz tylko inaczej!

DAMA (*do sąsiadki*).

Widziałaś? słyszałaś?

REJENT.

A więc pani koniecznie tę drogę wybrałaś,
By nieograniczone w mężu zaufanie...

ANNA (*niecierpliwie*).

Pisz jak już powiedziałam; proszę cię mój panie!
(*Rejent siada*).
Bo zważacie w tém państwo, coś nadzwyczajnego?
W małżeństwie przecież nie ma mojego, twojego:
Jedna myśl, jedno czucie. Maż ten pieniądz marny
Rozdzielać nas złowrogo jakoby cień czarny?

(*opiera się o stolik*)

Więcej niż pieniądz jemu niosę w upominku;
Lecz kończmy... tak mi słabo... Pragnę odpoczynku.

(*Edward przystawia fotel, Anna siada: po chwili*)

Lud powiada, że tego kto przysięgę złamie,
Przed końcem roku dotknie mściwe Boskie ramię;
Zdruzgocze młode życie, odmówi pociechy:
Na mnie sprawdzą się słowa, bo ciężkie me grzechy!

(*Rejent wstaje i odprowadza Edwarda na bok*).

REJENT.

Ta osoba jest chora, mocno chora, panie;
Gorączka odejmuje przytomność umysłu:
Nie można rozporządzeń dawać w takim stanie.

P. WOJSŁAWSKA (*która przyłączyła się*)

Niech pana ekscentryczność nie straszy pomysłu,
Niezawodnie, mój panie jest stan chorobliwy;
Sprzeciwiać się nie można. Chybaby oliwy
Chcieć dolewać na ogień! Chodzi o ratunek
Zdrowia, życia, co prędzej téj biédnej dziewczyny,
Można się na charakter spuścić jej rodziny:
Wiesz pan zapewne dobrze z kim będzie stosunek!

(*Rejent siada i pisze, chwila milczenia, tylko słyhać skrzyp pióra po papierze*).

SCENA III.

Ciz. HR. MIŁOSŁAWSKI—STANISŁAW.

(*Anna spostrzegłszy wydaje krzyk, wstaje, biegnie kilka kroków, nagle zatrzymuje się, chwiała i upada na ziemię. Hrabina, Edward, p. Wojsławska, biegną ku niej, ale Stanisław wyciągając rękę na której wspiera się woła:*)

STANISŁAW.

Precz! Przez Boga żywego! Niech się nikt nie zbliża!

(*wszyscy cofają się, schylając się nad Anną i łagodniejąc*).

Znędziała, wychudzona, jakby zdjęta z krzyża.

(*podnosi rękę z groźnym gestem*)

Nie wiem, czy Bóg Wszchemocny wam kiedy przebaczył!
Gorsi od rozbójników i krwawych siepaczy!
Rodzie faryzeuszów!

(*klękając przy Annie*)

Ty gołąbko złoty!

Przecięto twoje pasmo w połowie żywota!

(*podnosząc ją*)

W twoich rysach wryte straszne opowieści.

(drugą ręką chwytając się za głowę)

Boże daj, bym nie szalał! Nie wściekł się z boleści.

P. WOJŚLAWSKA *(zbliżając się)*

Wszak już pan oszalałeś! Pozwól ją ratować!

ANNA *(otwierając oczy)*.

A, ty przy mnie? O Boże!.. Potrafisz darować?

(Jeden z obecnych przysuwa fotel, Stanisław sadza ją i klęka przy nogach; Anna powoli bierze jego rękę i przyciska do ust).

Przebaczyłeś mój drogi?—Bóg ci wynagrodzi,

Za tę pociechę... może... Życie twe osłodzi...

Później... w przyszłości może...

STANISŁAW *(łkając)*.

Boleść słowa dławi...

Anno!.. Andziu najdroższa...

ANNA.

Niech Bóg błogosławi

Twoje szlachetne serce! *(z trudnością zrzuca welon)*

Ach te ślubne stroje!

Weźcie je... bo zdradzają ciężkie zbrodnie moje!

Nie dochowałam wiary... złamałam przysięgi...

Weźcie i białe kwiaty... i te strojne wstęgi...

STANISŁAW.

Anno, nie twoja wina lecz tych!..

ANNA.

O, jedyny!

Nie składajmy na drugich swojej własnej winy!

Bo duma obrażona... Twe długie milczenie,

L... obudziło we mnie przykre podejrzenie;

Nistałość z twojej strony. Fatalne pozory!

STANISŁAW.

Przecież nogę złamałem, byłem bardzo chory;

Zmuszony w łóżku leżeć!

ANNA *(zdziwiona)*.

O tém nie wiedziałam.

STANISŁAW.

Pisałem z dziesięć listów.

ANNA *(z pogębieniem)*.

Tych nie odebrałam.

STANISŁAW

Widzisz, widzisz nieszczęsna jak intryga podła
Do strasznej katastrofy, dzisiejszej przywiodła!
Ale Bóg jest na niebie co nikczemnych karci!

(grożąc ręką)

Zadrżycie wy nędznicy ze wstydu obdarci!

P. WOJŚLAWSKA *(przysuwając się)*.

Czyż pan nie masz litości nad tą nieszczęśliwą?
Zabijasz ją do reszty sceną obelżywą!
Taka to twoja miłość? Takie twoje względy?
Dla choréj i cierpiącój? Szalone obłędy
Umysł opanowały! Przyjdź pan do rozsądku,
Nie dałeś jój ratować z samego początku;
Teraz dręczysz słowami bez sensu i ładu.
Patrz pan, oto dostaje nowego napadu,
Dla nerwów rozburzonych potrzeba spokoju.
Przenieść do oddzielnego wypadu pokoju,
Rozebrać, w łóżko włożyć, posłać po lekarza;
Tém niechaj się pan zajmie, nie ludzi znieważa!
Bo to tylko waryatom ujść może bezkarnie!

ANNA *(biorąc rękę Stanisława)*.

Dajcie pokój... Bóg skończy wkrótce me mgczarnie.
Niech te ostatnie chwile spędzę między wami...
Nie obrażajcie Pana brzydkimi waśniami,
Nie zaostrzajcie Jego strasznego sądu!
Niech ja będę ostatnią ofiarą przesądu!
Zabito mnie niestety! chcąc świadczyć przysługi,
Abym nie zaślubiła moich krewnych sługi!
Daruj im Stanisławie, jak ja im daruję...
Przebaczysz im?... Przymierz mi...C zy tak?

STANISŁAW *(głucho)*.

Tak.

ANNA.

Dziękuję.

Edwardzie, ja od ciebie teraz żądam łaski:

(Wyciąga do niego drugą rękę, ten jój podaje swoją)

Daruj mu, rzuć w niepamięć dzisiejsze niesnaski.

(składa ich ręce z sobą)

Kochaj go, bo był dla mnie najdroższym na świecie,
On mistrzem mym. Ja jestem jego ducha dzieciej;
On takie blaski święte w mém sercu zgromadził,
On do błogiej krainy swych pojęć wprowadził,

Gdziem doznała szczęść tyle, błogosławieństw tyle...

EDWARD (*cofając rękę*).

Jeśli każesz, szatana uściskam serdecznie!
Lecz ten człowiek znieważył, podeptał nas w pyłe!
Słowa strasznej obelgi zapamiętam wiecznie!

STANISŁAW.

W obec téj krzywdy, panie, krzywdy niesłychanej,
Gdybym ja nie był mówił, mówiłyby ściany!
Zajęłyby kamienie, albo martwe sprzęty!
Chybaby wstecz cofnęły dwa ziemskie bieguny!
O, radbym ściągnął z niebios ogniste pioruny!...
Jednak mięknę w pokorze, na prośbę téj świętej,
Błagam o przebaczenie!

(EDWARD *waha się chwilę, wreszcie przyjmuje obojętnie wyciągniętą rękę*).

ANNA.

Wielki Boże!—Dziękil

Ale nie puszcze jeszcze z rąk mych twojej ręki.
Pozwólcie mi odpocząć..

STANISŁAW.

Zaniesiem do łózka:

Radzie pani Wojstawskiej zechciej być posłuszną.

ANNA.

Nie, jeszcze chwilę... potem... może jest poduszka...
Głowę oprę... otwórzcie okno... bo tak duszno...

(*okno otwierają*).

Jak ożywczy ten powiew rzeźwi mię, ocuca;
Zda się że wiatru tchnienie uzdrowi me płuca...
Trzeba z czasu korzystać. Chodź panie rejencie,
Czeka nas nowa praca... nowe rozpoczęcie...

HRABIA.

Dajże pokój! Spoczynek na gwałt ci potrzebny.

ANNA.

Nim zdołam do wędrowki wybrać się podniebnej,
Potrzeba sprawy ziemskie jakkolwiek zakończyć.
Chciałabym tych dwóch blisko sercami połączyć...
Jeden był narzeczoną a drugi kuzynkiem;
Nie gardźcie, proszę, błagam, małym upominkiem:
Pozwólcie niech majątek między was podzielę.

STANISŁAW.

O nie, nie: ty nie umrzesz najdroższy aniele!

Nie mów tak jeśli nie chcesz bym z bólu oszalał!

ANNA.

Będę prosić, by Pan Bóg zle myśli oddał
 Od was; gdy mię nie będzie, mój duch będzie z wami:
 My nie rządźmy zaprawdę, naszymi losami!
 Ginącego nie możemy zatrzymać oddechu...
 Zkąd wzięś życie gdy zbraknie? Kończę więc w pośpiechu.
 Jeśli umrę, me mienie zabierzcie: w połowie
 Edward, Stanisław w drugiej *(do przytomnych)*.

Słyszycie panowie?

Spuściznę mą rozdzielcie jak trochę opłatka.
 Edwardzie, niechaj w nędzy nie umiera matka!
 Zabezpieczyć jej przyszłość, niech twą uślisznością
 Bądźcie! *(do Stanisława)*

A ty ich wspieraj nauką, zdolnością.
 Uczynisz to? Nie prawdaż? Pisz panie rejencie
(z uśmiechem).

Nie w intercyzie teraz, ale w testamencie...

HRABIA.

Dobrze, ja dopilnuję; wreszcie spocznij sobie
 W łóżku.

ANNA.

(cicho).

Dosyć odpocznę... potem, potem... w grobie.

STANISŁAW.

Po co tak mówisz? Droga, ty musisz być zdrową,
 Jesteś słabą, lecz szczęście do sił cię przywróci.
 Wszechmocny wstrzyma gromy wiszące nad głową,
 Nic nam, nic nam pokoju odtąd nie zakłóci!
 Czemuż z bladym uśmiechem odpychasz nadzieję?

ANNA.

Czy słyszysz jak szyderczo wicher się z nas śmieje?
 Zimno... Zamknijcie okno... przejęty mnie dreszcze.

HRABINA *(okrywa ją szalem)*.

Dobrze żeś przyszła ciociu, z tobą się popieszczę.

(HRABINA całując ją).

Biędne, kochane dziecię, wszystko będziem łożyc,
 Byś mogła przyjść do zdrowia i późnych lat dożyć.
 Pojedziem wszyscy do Włoch: ja i twój wybrany.

ANNA *(biorąc kwiat mirtowy z wieńca)*.

Achl biędny ten kwiateczek z krzaka oderwany,

Dziś świeży, woniejący, jutro zwiędnie, skona,
 Choć tkliwie go otacza gałązka zielona.
 Prowadźcie mię, już dłużej tu bawić nie mogę:
 Inaczej się sposobić trzeba w wielką drogę!..
(Stanisław i Edward wyprowadzają ją, za nimi idzie hrabina).

P. WOJŚLAWSKA *(do rejenta)*.

Pojmujesz pan że dziwne chorobliwe cienie,
 Zmajaczyły jej umysł, spląbały zmysł zdrowy;
 Bóg wie jakie marzenia przychodzą do głowy:
 Spełniać wolę tak chorych zabrania sumienie.

REJENT.

Daruj paui, że słowa te muszą mię zdziwić:
 Mówiłaś, że nie można chorym się sprzeciwić?

(P. WOJŚLAWSKA odchodzi rozgniewana).

Jak widzę jest to podła, nikczemna gadzina,
 Choć zdeptana ślini się, wypręża i wspina.
 O gdyby sprawiedliwość istniała na ziemi,
 Onaby z zbrodniarzami iść razem powinna!
 Trzeba uwierzyć w piekło z karami przyszłemi!

HRABIA.

Bo u Sędziego z niebios sprawiedliwość inna!
 Nie odmienna, na wieki, ale nie tak skora;
 Przyznajmy się do winy, bo zbawia pokora!
 Jam to szlachetnej sprawie tak źle się zastużył,
 Bo gdy przyszło do czynu, wyznaję żem stchórzył.
 Trzy lata zwłoki dla niej, trzy lata wałk, męki!
 Nie chciałem by szła za mąż w ten sposób z mej ręki.
 Bałem się ludzkich sarkań, odpowiedzialności
 Unikłem każąc czekać do pełnoletności.
 Nałogi zwyciężyły, serca skłonność stara!
 Tak państwo, jest to biedna przesądu ofiara!
 Pokochał ją młodzieniec pełen zalet, cnoty;
 I ona pokochała. Tak te dwie istoty
 Były sercem, umysłem i duszą zbliżone,
 Jakby dla siebie tylko przez Boga stworzone!
 We wzajemną swą miłość mieli wielką wiarę,
 Piersi błogo się wznoszą, gdy wspomnę tę parę:
 On godność, jak królewską koronę nad czołem
 Nosił, a ona była precudnym aniołem!
 Lecz nie miałem odwagi wystąpić otwarcie,
 Brakło sił na gwałtowne z przesądami starcie.
 Przezco złość lu... szatańska i rzeczy zbieg rzadki
 Sprowadziły dzisiejsze fatalne wypadki!

Resztę niechaj pokryje przed wami zasłona,
 Lecz ja będę w rozpaczę gdy to dziecko skona!
 O bo ciężkim jest grzechem pojąć świętość sprawy,
 A nie umiść jej służyć z całych sił i serca!
 Zachęcać z przekonania, a cofać z obawy!
 Ja, to czuję dziś mocno, jam jest jej morderca!

HRABINA (*wpada załamując ręce*).

Nie mogę patrzeć... widok serce mi rozdzięra,
 O mój Boże! Mój Boże! Ona już umiera!

Zasłona spada.

O BITWIE NA PSIEM POLU

I O NAZWISKU.

PRZEZ

Bolesława Sikorskiego.

Z mglistych ciemności, jakimi niejasność kronik pierwsze dziejów naszych wieki okrywa, w wyraźniejszych występuje rysach panowanie Bolesława Krzywoustego, które znalazło w Gallu współczesnego, a znakomitego kronikarza. Przy łatwowierności i zawitości późniejszych kronikarzy, Gallus w dociekaniu rzeczy Krzywoustowych bezpiecznym jest punktem oparcia, bo sumiennosc jego wybitnie występuje w zaznaczaniu wad i niepowodzeń uwielbianego Bolesława, a prawdy nie trudno odłączyć od poetycznych opisów i pochwał, jakimi zwykł wynosić swego bohatera.

Alé właśnie dlatego, że Gallus z przywiązaniem pewnym do Bolesława, raczej *opiewa* niż *opisuje* panowanie i dzieła jego, zadziwia, że zdarzenie, którym powszechnie uświetniają czasy Krzywoustowe, a które dla Galla mogło być najpiękniejszym tematem do Kantileny, nie wywołało u niego ani wzmianki. Mówię o bitwie na *Psiem polu*, która miała zakończyć wojnę cesarza Henryka V z Bolesławem Krzywoustym w roku 1109.

Wiadoma rzecz, że cesarze niemieccy zawsze rościli prawo do zwierzchnictwa nad Polską. Jednocząc fałszywie misją nawracania pogańskich ludów z ich podbijaniem, zniewolili pograniczne ludy słowiańskie, a wreszcie i Mieczysława, do uznania ich zwierzchnictwa. Ale hołdownictwo Mieczysława było tylko osobiste. Już następca jego, Bolesław Chrobry, wznosił się na stanowisko samodzielne, a następcy tegoż w ogóle utrzymali się przy niezależności. W obec bezustannych wojen domowych w Niemczech z jednéj, a wzrostu Polski z drugiej strony, pretensye cesarzy, nie mogąc być czynem poparte, traciły coraz więcej na znaczeniu, a ze strony polskiej przestano się o nie troszczyć.

Atoli sprawę tę podjął znowu Henryk V, wstąpiwszy roku 1106 na tron niemiecki. Zamierzył on, jak między niemieckimi książętami, tak i na Wschodzie przywrócić powagę cesarstwa osłabioną za jego poprzedników. W tym celu winęszał się najpierw w sprawy czeskie i węgierskie. Z Świętopełkiem, którego wsparł w objęciu tronu czeskiego, ruszył przeciw Kolomanowi królowi węgierskiemu, w sprawie wypędzonego przezeń brata Almosa. Było to w roku 1108. Korzystając z nieobecności Świętopełka, wkroczył Bolesław Krzywousty, ujmując się za wypędzonym przezeń Bożywojem, do Czech w chwili, kiedy Henryk oblegał Presburg, a Świętopełk miał się z nim połączyć. Napadł tym na Czechy zniewolił Bolesław Świętopełka do powrotu i udaremnił tém samém Henrykowi zdobycie Presburga. Okoliczność ta utwierdziła cesarza w zamiarze przywrócenia i w Polsce przewagi Niemiec, podżegania zaś Zbigniewa i namowy Świętopełka, dopełniły reszty.

Kiedy Bolesław w lipcu roku następnego, zajęty był podbiciem Pomorza, a w szczególności zdobywaniem Nakła, przybyło doń poselstwo od Henryka, żądające dla Zbigniewa połowy państwa, a dla cesarza 300 grzywien rocznej daniny, lub tyleż wojska na wyprawę do Włoch. Odmówną odebrawszy odpowiedź, wkroczył cesarz z licznym wojskiem w granice Polski. Zbigniew go ośmielał, zapewniając, że mało znajdzie oporu, Czesi przyrzekali mu służyć żołnierzem i znajomością dróg. Ale już przyszedłszy pod Bytom, miasto na krańcu Ślązka leżące, ujrzał się Henryk zawiedzionym. Znalazł miasto tak silnie bronionem, że nie oblegając go, ruszył ku Głogowiu. Usłyszawszy Bolesław o wkroczeniu Niemców, czempredziej pospieszył z małą częścią wojska, która mu z licznych bitew na Pomorzu pozostała, nad Odrę, by tamże przejść broń, aźby posiłki z pojedynczych dzielnic kraju, z Rusi i Węgrzech nie nadeszły. Stanął obozem niedaleko Głogowy, ale część wojska wysłał pod samo miasto, by przejść przez rzekę broń. Pomimo to udało się Henrykowi w dzień Ś-go Bartłomieja t. j. 24 sierpnia, podczas nabożeństwa, w nieznanem miejscu przekroczyć Odrę i miasto osaczyć. Bolesław Głogowianom ukrzyżowaniem zagroził, by się nie poddawali. Ci też wiernie dopełnili obowiązku, nie wahając się nawet wtenczas odpierać nieprzyjaciół, gdy

cesarz zakładników, synów znakomitych Głogowian, u przodu machin uwiązać i tak pod mury podchodzić rozkazał. Tymczasem Bolesław unikając stanowczej walki, ustawicznymi napadami niepokoił wojsko niemieckie. Cesarz napróżno ponawiał szturm. Z każdym nowym szturmem nową ponosił klęskę, mianowicie w męzach znakomitych, których ciała do Bawarii i Saxonii odesłano. Przekonawszy się wreszcie o płonności swoich wysiłków, odstąpił od oblężenia i ruszył ku Wrocławowi, bezustannie niepokojony przez Bolesława. Wynikłe ztąd niezadowolenie w wojsku i brak żywności, której dowozu Bolesław odcinać nie zaniedbywał, skłoniły go wreszcie do żądania pokoju. W tym celu wysłał do Krzywoustego poselstwo, dopominając się teraz już tylko trzystu grzywien daniny rocznej z zagrożeniem, że w razie odmownej odpowiedzi, ruszy na Kraków. I rzeczywiście zdawał się za bierać do dalszego pochodu. Ale niczem nieustraszony Bolesław odpowiedział cesarzowi, że pokoju nie odrzuca, ale daniny płacić nie myśli. Tymczasem podsuwał się Henryk pod Wrocław, błędząc tu i owdzie nad brzegami Odry w zamiarze zaniepokojenia Bolesława, jakoby zmierzał ku Krakowu. Przekonawszy się jednakże, że dłuższe pozostawanie w niebezpiecznym położeniu w obec ustawicznych napadów, braku żywności i niezadowolenia wzrastającego, w wojsku straty tylko powiększyłyby mogło, postanowił zaniechać dalszego pochodu i wrócić do Niemiec ¹⁾.

Tak opisuje Gallus wyprawę Henryka V do Polski, a w szczególności zdarzenia i położenie jego około Wrocławia. Żadnej tu nie ma wzmianki o bitwie stanowczej, lubo nie braknie wyrażen, stanowiących o ruchu wojennym około Wrocławia i o stratach w wojsku niemieckim.

Trudno przypuścić, ażeby Gallus, który tak obszernie kreśli czyny Krzywoustego i w tak żywych przedstawia barwach, miał pominąć jakiegokolwiek, a tém mniej świetne dla niego zdarzenie. A przecież w sto lat później znajdujemy w kronice *Wincentego*, zwanego *Kadłubkiem*, następnego zaraz po Gallu znanego nam kronikarza, wiadomość o walnej bitwie, która się miała toczyć niedaleko Wrocławia, rozstrzygnąć wojnę Henryka V z Krzywoustym i do której ma się odnosić nazwa miejsca: *Psie pole*.

Przebieg zdarzeń aż do owój bitwy jest u Kadłubka ten sam, co w kronice Galla. Tak tu, jak tam wkraczają Niemcy do Szlązka, kiedy Bolesław oblega Nakło; tak tu, jak tam stanowią miasta Bytom, Głogowa i Wrocław główne punkta w pochodzie wojsk cesarskich. Ale „gdy pod Głogową,“ czytamy u Kadłubka „siła, podstęp i groźby spelżyły na niczem, wojenne ku najbogatszej prowincyi Szlązkiej wróg zapuszcza zagony, lecz pod najniepomyślniejszą wieszczbą. Dzielność bowiem owa Szlązaków, która wszędzie świetnie błyszczała tryumfami, jaką niegdyś Wielkiemu Aleksandrowi, taką samą i teraz Niem-

¹⁾ Gallus III 1—17.

com złożyła dań, a nie mogąc przenieść by na ich ziemi taki wróg się rozlegał, proszą Bolesława, by nie odkładał bitwy, gdyż zwłoka niebezpieczeństwo za sobą pociąga i lepiej raz poledz, jak ciągle padać, by nieustraszenie działał, to jest bowiem sposób niewątpliwego zwycięstwa. Posłał więc do cesarza król Bolesław z oświadczeniem: Kto do boju gotowy, a takowy odkłada, sam o własnej niedołężności świadczy! Wymagasz daniny, (żądał bowiem, by mu na dzień następny krwawą złożono daninę), co od kogo masz wymagać, dowiesz się jutro ze znanego podarku. Jak skoro dzień zabłysnął, wylatują z obu stron lekko uzbrojeni, liczbą i odwagą od siebie różni, naprzeciw siebie ustawiają szyki; a o ile Niemców powiększa się liczba, o tyle Polaków większa zagrzewa odwaga. Tymczasem niepoślednia garstka Szlązaków z tyłu napada, znaczną ilość nieprzyjaciół na siebie obraca, umyślnie ucieczkę udaje, nieprzyjaciół od oddziałów odciąga, coraz dalej wywabia i ku zwabionym się wraca, a w nagłym obrocie ukośnym dzid uderzeniem wszystkie ich włócznie naraz odpiera i w nich godzi. Gdy ci polegli, spieszą im inni ku pomocy, lecz i ci padają i tak jedni po drugich, aż prawie wszystkie tylne szyki przeciw nim się zwróciły, przez co nie tyle środkowe, ile pierwsze zmięszwały się szyki, a nie wiedząc przyczyny zamięszania sądzą, że swoi uciekają, a nie nacierają i prawie rozpierzchły się w ucieczce, lecz ich z jednej strony wstyd, z drugiej Polak do zatrzymania się zmusza. A że zastępy Prażan na czele stały, więc też w pierwszym poległy starciu. Olbrzymie zaś owe niemieckie legiony, jedne od Bolesława, drugie od Szlązaków pobite zostały, a inne znowu, które między szeregi walczących niepewnie kroczyły, a nie wiedziały co czynić, komu nieść pomoc, tłumnie to w jedną to w drugą stronę porywano. Niektórzy giną od strzał zatrutych, czém pierwsze szeregi cesarskie do boju pieszego zstąpić zmuszone zostały, gdyż konie ich zaledwo ugodzone, w skutek jadu padały. Tak chwalebnie uwielbiony został Pan: konia i jeźdźca w morze rzucił! Zbiegłych i pobitych resztki smutne zebrały Niemcy, życie cesarza za łaskę, a ucieczkę za tryumf poczytują. Na dowód tego pozostało nazwisko miejsca; tam bowiem zbiegła się niezmierna mnogość psów, a pożerając trupy, w taką popadła srogość, że nikt tamtędy przepawić się nie mógł; od czego też miejsce owe *Psiem polem* nazwane ¹⁾.

Jak wszędzie w kronice Kadłubka, spotykamy się i tutaj z anachronizmami, napuszonocią stylu, jaskrawością obrazów i retorycznymi zwrotami, zaciemniającemi rzecz i nadającemi jej barwę więcej powieści, niż historycznego zdarzenia.

Zniewoleni milczeniem Galla, a ogólnikowocią opisu Kadłubka do wątpliwości, musimy przedewszystkiem odpowiedzieć na pytanie, z kąd wziął Kadłubek powyższą wiadomość?

1) Kadł. Przeźdz. tłum. 148 i 149.

Nietylko w Gallusie, ale w żadnych mniej więcej współczesnych niemieckich kronikach, ni też w kronice Kosmasa, dotyczących wyprawy Henryka V do Polski, nie znajdujemy wzmianki o bitwie stoczonej pod Wrocławiem. Kosmas wypadek wojny milczeniem pomija. Niemieckie roczniki i kroniki bardzo krótko i ogólnikowo wspominają całą wojnę, dając jej koniec dla cesarza pomyślny. W kronice współczesnego Ekkeharda ¹⁾ pod rokiem 1109 czytamy ²⁾: „Henryk do Polski, kraju obszernego, wprowadził wojsko, a po rozlicznych i mozolnych pracach, długi czas zaprzeczaną z ziemi tej ściągnął daninę“.

Reszta dotyczących niemieckich kronik i roczników nieomal dosłownie powtarzają to samo. Krótkie te zapiski nie mogą być rozstrzygającami przeciw Gallowi, którego potwierdza obszerniejszy opis niniejszej wojny we współczesnych prawie *Annales Pegavienses*. Pisał je roku 1148 i 9 mnich klasztoru w Pegawie, celem skreślenia życia Wigberta, księcia grojeckiego, fundatora tegoż klasztoru. Zdarzenie poprzedzające epokę życia Wigberta i wypadki nie stojące z nié w ścisłym związku, opisuje mnich podług kroniki Ekkeharda, od której jednakowoż odstępuje, ilekroć własnemi, lub od współzakonników zaczerpniętymi wiadomościami lepsze i obszerniejsze o życiu założyciela może podać szczegóły. Tak też postępuje opisując wyprawę cesarza do Polski, w której Wigbert również brał udział. Założyciel klasztoru pegawskiego musiał przy tej sposobności zajmować głównie zakonników. Wiadomości więc przez nich podane powinny zasługiwać na uwagę, zwłaszcza, że się co do rezultatu zgadzają z Gallusem. Jeżeli mnich pegawskiego klasztoru, którego główném źródłem aż do roku 1125 była kronika Ekkeharda, nie uwzględnił krótkiego jej zapisku, to i my tego uczynić nie możemy w obec dwóch obszerniejszych opisów i mając w wyrażeniu Ekkeharda „*multo et diutino desudans labore*“ dowód, że i on wiedział o trudach, jakie Henryk w Polsce miał do zwalczania. Widocznie przekraczają lub ukrywają niemieccy kronikarze niepomyślny dla nich koniec wyprawy. Oprócz świadectwa Galla i mnicha pegawskiego świadczą i następstwa o niefortunnym dla Henryka rezultacie. Nie słychać bowiem nigdzie, nawet u niemieckich kronikarzy o odstąpieniu Zbigniewowi połowy państwa, ani o podatku, (gdyż Ekkeharda: „*tributi exedit debitum*“ nie może tutaj z powyżej podanych powodów rozstrzygać), ni też o dostawieniu cesarzowi ze strony Bolesława wojska na wyprawę do Włoch; a o te rzeczy chodziło właśnie Henrykowi. Wypadek zatem wojny był dla Niemców nieszczęśliwym;

¹⁾ Perz. Mon. scr. VI.

²⁾ Heinricus ad Poloniam, gentem longinquam, movit exercitum multoque ibi atque diutino desudans labore, diu negatum a terra illa tributum exegit debitum.

ale, że zwycięstwo na stronę Bolesława stanowcza jaka bitwa przechyliła, przed Kadłubkiem nikt o tém nie mówi.

Mógł więc nasz kronikarz, chyba tylko z nieznanego nam źródła jakiego wiadomość swoją zaczerpnąć. Lecz i tego przypuszczenia zrobić nie możemy z następujących powodów. Widoczną jest rzeczą w kronice Wincentego, że dopóki Galla stało, żadnego innego piśmiennego nie używał źródła ¹⁾. Wszystkie różnice i odmienności pochodzą ze skrzywienia reflexyami i mędrkującym tłumaczeniem faktów podanych przez Galla, lub téż z własnego kronikarza wymysłu. W opisie niniejszej wojny zachowane w ogóle również to samo następstwo zdarzeń, te same myśli, co u Galla, tylko, że takowe w sposób Kadłubkowy do tego stopnia są pokrzywione i poprzekęcane, że „wszystkiemu inną nadają barwę“ ²⁾. Nawet zwroty i wyrazy Galla odbrzmiewają co chwila w kronice Kadłubka. Kiedy np. Bolesław Głogowianom zabrania poddać miasta Henrykowi, wyraża Gallus ³⁾ myśl Krzywoustego w sposób następujący ⁴⁾: „Lepiej jest i szlachetniej aby i obywatele i zakładnicy zginęli za kraj swój od miecza, niż gdyby ocaliwszy swe życie przez poddanie się, obcego narodu stali się służalcami.“

A Kadłubek ⁵⁾: Lepiej tedy stracić zakładników jak wolność. Bezpieczniej bowiem jest poświęcić swobodę kilku, niż przez trwożliwą małoduszność wielu do zguby doprowadzić ⁶⁾.

Rozpoczynając opis bitwy, podaje Wincenty ⁷⁾: „Używszy więc napróżno siły, postępu, gróźb, w najbogatsze strony Szlązka powiedli zastępy, ale pod wróżbą najniepomyślniejszą i zgubną“ ⁸⁾. Pierwsza połowa tego zdania jest streszczeniem słów Galla ⁹⁾: „Cesarz zaś rozpoznawszy wypadki i sprawy, ponieważ widział iż napróżno pracując lud tylko utrudzał, niechcąc się sprzeciwić woli Bożej,

¹⁾ Lelewel, Polska wieków średnich I: 94.

²⁾ Tamże.

³⁾ Gallus III 7.

⁴⁾ *Esse melius et honestius et oives et obsides gladio pro patria morituros, quam facta deditioe vitam inhonestam redimentes, alienis gentibus servituros.*

⁵⁾ Kadł. Przedz. 122.

⁶⁾ *Potius itaque obsidibus, quam libertate cendum. Tutius enim est paucorum salutis non parcere, quam pusillanimitatis ignavia plurimos in discrimen adducere.*

⁷⁾ Tamże 123.

⁸⁾ „*Frustratis igitur viribus, arte, minis, in ditissimam sileucii provinciam signa surgunt bellica, sed omine infaustissimo et alite sinissimo.*“

⁹⁾ Gallus III 12.

co innego potajemnie umyślił a co innego zdawał się przedsiębrać ¹⁾.“ Słowa zaś „sed omine infaustissimo et alite sinistimo“ wydają myśl Galla ²⁾: „Cesarz zbyt gwałtownym gniewem uniesiony, taki powziął zamiar, taką przedsięwziął drogę, iż nie mógł ani jęj przebyć ani z nięj powrócić inaczej, jak po największej swojej i swoich klęsce ³⁾. Niemniej czuć się daje w dalszym przebiegu opisu, że Kadłubek ma przed sobą Galla, którego dowolnie tłumaczy i którego myśli i wyrażenia stanowią dlań źródło najdziwaczniejszych częstokroć kombinacyj. Po odstąpieniu od oblężenia Głogowy wystął, podług Galla, cesarz do Bolesława poselstwo, dopominając się już tylko rocznej daniny ⁴⁾. Książę północny odpowiedział cesarzowi: Bolesław wódz polski, pokoju wprawdzie żąda, ale nie za denary ⁵⁾. „U Kadłubka ⁶⁾ wysłał Bolesław także poselstwo do cesarza „*mandat igitur Imperatori Boleslaus rex*“, ale nieodpowiadając na propozycyę pokoju, lecz zapowiadając bitwę. Pomimo tych sprzeczności chodzi jednak u obydwóch kronikarzy o jedną rzecz, to jest o daninę; tylko że kiedy u Gallusa każe Bolesław Henrykowi oznajmić, że ani lichego grosza od niego nie otrzyma, Wincenty tę myśl przetwarza w pełne chępliwości wyzwanie do boju: „Wymagasz daniny, (żądał bowiem, by mu na dzień następny krwawą złożono daninę) co od kogo masz wymagać, dowiesz się jutro ze znanego podarku“ ⁷⁾.

Poprzekręcawszy w ten sposób myśli Galla, potrzeba było Kadłubkowi tylko jednego kroku konsekwencyi, by rozniecić straszliwą walkę. To też, „skoro dzień zabłysnął, wylatują z obu stron lekko uzbrojeni i t. d.“

Nie brakło też w kronice Galla wyrażen, podtrzymujących go w bojowym zapędzie. Po owęj odpowiedzi Bolesława, że ani lichego grosza Henrykowi nie złoży daniny, następuje u Galla ⁸⁾ ustęp zatytułowany: „Cesarz powracający a zamiast daniny trupy przynoszą-

¹⁾ Caesar vero exemplis et operibus recognoscens, quia frustra laborando populum affligebat, nec divinae voluntati resistere valebat, aliud secretius cogitavit et aliud se facere simulavit“.

²⁾ Gallus III 3.

³⁾ Caesar perinimium ad iracundiam provocatus talia mente concipit, talem viam incipit, unde non exiit, neque rediit, nisi se ipso suoque damno quam maxime castigatus“.

⁴⁾ Gallus III 14.

⁵⁾ „Ad haec Dux septentrionalis remandavit caesari: Boleslaus, dux Polonorum pacem quidem vult, sed non in spe denariorum.“

⁶⁾ Kadł. Przeźdź. 124.

⁷⁾ Tamże.

⁸⁾ Gallus III, 15.

cy“¹⁾. A dalej: „To usłyszawszy cesarz do miasta Wrocławia przyciągnął, ale tu w miejsce żywych, w umarłych się ubogacił“²⁾. Tego już sobie Wincenty inaczej nie mógł wytłumaczyć, jak bitwą.

Opowiedziawszy bitwę, przy zakończeniu znou wraca Kadłubek do kroniki Gallusa, razem z nim opisując powrót cesarza i wynosząc Bolesława. Czytamy u Gallusa³⁾: „Z takim to cesarz z Polski wrócił tryumfem, zamiast radości, żalność; zamiast daniny ciała poległych uniósł na pamiątkę“⁴⁾. Tę samą myśl rozwija Kadłubek, lubo ją w swój sposób przetwarza. Odrzuciwają jednakowoż u niego te same wyrazy⁵⁾: „Tak chwalebnie uwielbionym został Pan, konia i jeźdźca w morze wrzucił, zbiegów jednak i niedobitków smutna zebrała Germania, życie cesarza za zwycięztwo a ucieczkę poczytawszy za tryumf“⁶⁾.

Widzimy zatem, że ramy i tło do opisu bitwy podała Wincentemu kronika Gallusa. Przypuszczenie, że całą wojnę opisując podług Gallusa, samą bitwę tylko, tak ogólnikowo nakreślona, mógł mieć z innego źródła, z trudnościaby znalazło poparcie.

Podaje Kadłubek na dowód swój bitwy nazwę miejsca *Psie-pole*; my zaś widzimy w tej okoliczności nowy dowód na to, że cała bitwa jest kombinacją kronikarza. Uczepił się on tej nazwy, a mając w Gallu liczne wyrażenia naprowadzające na ruch wojenny koło Wrocławia i kłęski w wojsku niemieckim, wykombinował bitwę. A jednak, jeżeli się oprzeć na Gallusa możemy, nic nie jest więcej do prawdy niepodobnym, jak, że Bolesław miał zaczepnie wystąpić do boju, on, który mając tylko resztki wojsk przerzedzonych na Pomorzu, widocznie trzyma się taktyki odpornej, unika stanowczej walki i stara się napadami, odcinaniem dowozów żywności uniemożliwić nieprzyjacielowi dłuższy pobyt w obcym kraju. Podług opisu *Kosmasa* wiódł cesarz Henryk do Polski wojsko ogromne, złożone z Bawarczyków, Franków i Sasów. Świętopełk towarzyszył mu z czeskimi hufcami. W *Annales Pegavienses* czytamy nadto, że Wigbert, książę grojecki, przyłączył się do Henryka z dwoma tysiącami Miśniaków. Gallus zaś porównywając siły niemieckie z polskimi powiada, że na jednego

1) Caesar radiens ac pro tributo cadavera portans.

2) His auditis caesar urbem Wratislaviensem adivit, ubi nihil, nisi de vivis mortuos acquisivit.

3) Gallus III, 16.

4) Taliter caesar de Polonia radiens triumphavit, videlicet luctum pro gaudio, mortuorum cadavera pro tributo memorialiter reportavit.

5) Kadł. Przewdz. 125.

6) Sic dominus gloriose magnificatus est, equum et ascensorem projecit in mare; exiles tamen et contractas eorum reliquias mesta recollegit Germania. Qui vitam caesaris pro numine et fugam oolueru pro triumpho.

Polaka przypadło stu nieprzyjaciół. Bądź co bądź, wojsko cesarza musiało być potężne, a Bolesław nie mógł bez narażenia się na niebezpieczeństwo wyzywać nieprzyjaciela do walki. Prowadzenie wojny odpornej przeciw liczniejszemu nieprzyjacielowi, okazuje w królu naszym znakomity talent wojenny i więcej mu sławy przynosi, niżby jój przyniosło z niebezpieczeństwem połączone zwycięstwo. Przez to, że Bolesław nie dawał Henrykowi sposobności użycia sił swych w walce otwartej, pobyt jego w nieprzyjacielskim kraju się przedłużał, a w obec braku żywności położenie jego stawało się tém trudniejszém, im liczniejsze było wojsko do zaopatrywania. Ale do tych trudności i sarkania wojsk, przybyła jeszcze inna, to jest strata posiłków czeskich, spowodowana śmiercią Świętopełka, który w nocy 21 września padł od ręki morderczój. Zapewne nasadził na niego mordercę wspomniany Wigbert, mszcząc się za wypędzenie z Czech Borzywoja, szwagra i przyjaciela swego, a mając nadto osobiste do Świętopełka urazy. Wiadomość o śmierci księcia ogromny wywołała popłoch pomiędzy Czechami. Cesarz, pragnąc uspokoić pozbawionych wodza i księcia, polecił im obiór nowego. Pominąwszy synów Henryka i Wacława, okrzyknęto księciem Ottona, brata zamordowanego. Jednakże nie przestając na tém, poczęli mocno nalegać o odprawę, pod pozorem zawiezienia do kraju ciała księżęcego; w rzeczy zaś samej dla uprzedzenia Władysława, ażeby on, mając już dawniej od narodu tron zapewniony, stolicy nie opanował. I tak opuścili Henryka Czesi. W obec tych wypadków, położenie jego stawało się coraz przykrejszém. Wezwał zatem Wigberta, by go on przynajmniej nie odstępował. Jeżeli sobie uprzytomnimy straty jakie poniosło wojsko niemieckie pod Głogową, w pochodzie ku Wrocławowi, a wreszcie pod samym Wrocławiem niepokozone bezustannie przez krajowców i opuszczone przez Czechów, zrozumiemy, że Henryk już w końcu potrzebował pomocy Wigberta, który się skłaniał wraz z Czechami opuścić obóz cesarski. Korzystając ze sposobności, wymusił teraz książę projecki na Henryku przyrzeczenie popierania Borzywoja na tron czeski. Oslonięty wojskiem Wigberta powrócił cesarz do Niemiec.

Podają nam te okoliczności *Annales Pegavienses* ¹⁾ i potwierdzają zarazem podanie Galla, że nie stanowcza porażka zmusiła cesarza do odwrotu, tylko trudne położenie, w jakie go ruchy Bolesława i zamieszania we własném wojsku wprawiły. Ze zwycięstwa zresztą tak świetnego, jakie, według Kadłubka, miał odnieść, byłby Krzywousty niezawodnie korzystał i uciekającego nieprzyjaciela ścigał; gdy tymczasem spokojny Niemców odwrot leży w naturze rzeczy. Henryk nie może się dłużej w nieprzyjacielskim utrzymać kraju, a Bolesławowi sił niedostaje do otwartego działania. Do tych wyników prowadzi jaknajnaturalniej ów koniec wojny u Gallusa bez właściwego rezultatu.

¹⁾ Perz. mon. scr. XVI 250, 251

Ale zapytujemy się wreszcie, czy Kadłubek nie zaczerpnął swęj wiadomości z podania ludowego, dalej, zkąd nazwa owa osobliwa *Psie-pole*? Na oba pytania trudno dokładnie odpowiedziéć. Co się tyczy powieści ludowej, to któż dzisiaj wyjaśni, co lud sobie przed wiekami opowiadał, kiedy nikt nam tego pismem nie dochował, kiedy śladu żadnego nie ma w żyjącej jakiegóś legendzie. Lecz gdyby sława bitwy tak była wielką, żeby się przez tradycją w pamięci utrzymywała i przez ustne podanie doszła do wiedzy kronikarza, to zadziwia, że jęj Gallus nie wyzyskał dla wyniesienia swego bohatera.

Jednakże podanie ludowe częstokroć z tak niedocieczonego plynie źródła, że trudno ze wszystkiém zaprzeczyć, żeby Wincenty z niego nie czerpał; ale to pewna, że tak podanie bitwy nie opisywało, jak nam ją kronikarz dochował. W opisie Kadłubka nie ma niczego, coby w podaniu ludowém źródło wskazywało. Braknie mu najważniejszego legendy warunku, to jest prostoty. Zbyt w nim odbija się sam mędrkujący i kombinujący kronikarz, który znając klasyków starożytnych, w opisie swym miał może na myśli podobną walkę, jak Horacyuszów z Kuracyuszami, w której tak, jak i tutaj, udana ucieczka prowadzi do zwycięstwa. Ale chociażby powieść ludowa znała ową bitwę, to jeszcze ztąd nie wynika, że bitwa rzeczywiście została stoczona? Lud powszechnie pamięta tylko zdarzenia szczególne, wybitne, a zbiorowe i ogólnikowe sprowadza na pewne; mógł zatem téż z owych ruchów wojennych około Wrocławia utworzyć jedną, pewną bitwę. Wszakże wszelkie przypuszczenia, jakiebyśmy uważając podanie za źródło Kadłubka zrobić chcieli, nie będą miały tak silnej podstawy, jak to, że kronikarz sam z nazwy miejsca i wyrażeni Galla wytworzył ową bitwę. Odpowiada to zupełnie naturze Wincentego, który żadnej sprawy czysto nie oddaje, który konceptami wszystko przetwarza, a nieraz własną rozwija powiastkę.

Że zaś bitwa na *Psiem polu* żyje w pamięci narodu, nie powiem ludu, to bez wątpienia sprawa Kadłubka i nazwy osobliwszej miejsca. Otdąd bowiem powtarzają ją wszystkie nieomal kroniki, a z kronik podała ją narodowi większa część naszych historyków.

Jeżeli w niektórych późniejszych kronikach napotykamy inne tłumaczenie nazwy *Psie-pole*, to przekonujemy się tém więcéj, że wszystkie te podania nie mają podstawy, nie opierają się na żadném źródle i są tylko kombinacyami. I otóż piszący około roku 1359, *Jan kronikarz* inaczęj tłumaczy sobie ową nazwę. Podczas kiedy ona u Wincentego ztąd pochodzi, że mnóstwo psów się na pobojuwisko zlatywało dla pożerania trupów, u tego kronikarza wynikała z nienawisći Polaków, mówiących z pogardą o obozie niemieckim na polu owém rozwiniętym: „Polacy przez nienawisć poległych, miejsce ich obozu nazwali miejscem psów niemieckich“ ¹⁾. Zadziwiającem jest, co tenże

¹⁾ Poloni ob odium occisorum ibi et castrorum loco nomen praemisum indiderunt Theotonicos Canes appellantes.

sam kronikarz o całej wojnie donosi. Według niego Henryk rozgniewany na Bolesława, że mu wyprawę zwichnął węgierską, wracza do Polski i w pierwszej potyczce bierze go do niewoli. Bolesław za przyrzeczeniem wysokiego okupu dostaje się na wolność, lecz zamiast po pieniądze, posyła do Getów, na Ruś i do Węgier po posiłki. Z temi rozpoczyna kroki wojenne i bierze cesarza do niewoli, zawożąc go do Kołobrzega, twierdzy na wybrzeżu Bałtyckiem. (Miałożby to być tłumaczenie frazesu Kadłubkowego: „*equum et ascensorem projecit in mare*“). Puszczony jednak po kilku miesiącach na wolność dla utrwalenia przyjaźni z Krzywoustym, daje Władysławowi synowi jego najstarszemu, córkę swą Krystynę w małżeństwo. Ustęp ten zakończy nasz kronikarz jeszcze następną zagadką: „Kiedy Bolesław miał się koronować, anioł zdjął mu z głowy koronę i włożył ją na skronie króla węgierskiego Michała. „Co z temi wiadomościami począć, nie wiedział, o ile mnie się zdaje żaden z naszych dziejopisarzy. Tylko małżeństwo owe Władysława zdawało się być faktem historycznym. Ale Naruszewicz już wykazał, że Władysława żonie imię było Agnieszka i że była córką Leopolda austriackiego i Agnieszki córki cesarza Henryka V.

Już w końcu wieku XIV a zatem nie wiele lat po *Janie kronikarzu* mamy w *Anonima „Chronicon principum Poloniae“* nie jako ocenienie tego podania. Nieznany autor tej kroniki opisuje całą wyprawę Henryka V podług Gallusa, nie odstępując nawet od jego sposobu przedstawiania rzeczy, ale nie odważa się bez zastrzeżenia do tekstu swego przyjąć wiadomości Jana, tylko ją zamyka modyfikującym: „*In alia vero legitur cronica.*” Przypisnik zaś zanotował na boku: „*De proelio prope Hundsfeldam anno 1109 gesto anceps fama.*” Widzimy zatem, że już dawniej sprawa bitwy na *Psiem polu* była zakwestyonowaną. Ależ zkąd owa nazwa szczególna „*Psie pole?*” Otóż tu tyle tylko z pewnością wyrzec możemy, że jęj nie wywołała żadna bitwa, żadne historyczne zdarzenie. Niema bowiem najsamprzód w słowiańszczyźnie żadnej podobnej analogii, a przynajmniej Miklosich w dziele swoim „*Die slawischen Ortsnamen von Appullatiwen*“ w pierwszym rozdziale mówiąc o wyobrażeniach, na jakich osnute są nazwy miejscowości słowiańskich, nie kładzie w ich rzędzie wspomnień historycznych, lubo wymienia urzędzenia polityczne. Dalej nazwa, któraby miała za podstawę wspomnienie historyczne, powinna być właściwą jednej miejscowości, stojącej w jakimkolwiek związku z wypadkiem. Z nazwiskiem „*Psie pole*“ bynajmniej tak nie jest. Istnieją o ile nam się dało wywieść, oprócz „*Psiego pola*“ pod Wrocławiem jeszcze dwa inne miejsca téj samej nazwy i to na Szlązku wieś w powiecie świdnickim i w W. Ks. Poznańskim folwark niedaleko Kozmina w powiecie Krotoszyńskim ¹⁾. Śmiało, zdaje mi się, możemy uważać

¹⁾ Co do ostatniego, to opieram się na zapewnieniu p. Dr. Mosbacha.

nazwę wsi *Hundsfeld* w powiecie świdnickim, która to wieś także *Kl. Leutmannsdorf* się zowie, za przetłumaczenie dawniej nazwy polskiej „Psie pole.“ Mnóstwo jest bowiem na Szlązku nazwisk niemieckich, które zostały z polskich przetłumaczone, a owo *Psie pole* pod Wrocławiem zowie się obecnie także *Hundsfeld*.

Ponieważ istnieje więcej miejscowości tej samej nazwy, nie może ona być zatem przywiązaną do jednego jakiegoś zdarzenia, jak raczej do okoliczności powtarzającej się w tych samych warunkach. Zresztą nazwy miejsc utworzone od wyrazu „pies“ są bardzo powszechne. W samym Szlązku znajdujemy ich nie mało. I tak: *Psaar*, *Psurów*, wsie, *Psiuk*, młyn w powiecie lublinickim. *Psow*, teraz *Pschow*, wieś i *Psina*, młyn w pow. rybnickim. Niektóre z miejsc dotyczących zachowały obok niemieckiej jeszcze polską nazwę jak: *Psary*, (teraz Hünern, dawniej Hundern), wieś w powiecie trzebnickim, *Psiary* (Heidau), wieś w powiecie olawskim. Inne zaś istnieją już tylko pod nazwą niemiecką: *Hundsbeck*, wieś koło Nowych Katkowic w powiecie nowomiejskim; *Hundemühle*, młyn wodny w powiecie grotkawskim; *Hundspass*, wieś w powiecie gurawskim. W W. Ks. Poznańskim wiemy o dwóch wsiach zwanych „*Psarskie*“ w powiecie śremskim i w pow. szamotulskim.

Gdzież szukać początku podobnych nazwisk? Okolicznością dającą tu jakieś oparcie jest polowanie, które w średnich wiekach było więcej, niż przyjemnością. Do polowania taką przywiązywano wartość, że śmiercią karano tego, kogoby w obeym lesie przy zwierzynie zastał, a książęta zachowywali dla siebie wyłącznie prawo polowania. Przy polowaniu zaś najgłówniejszą rolę grały psy i sokoły. Łowczy nazywał się psiarzem ¹⁾. Zdaje się, że piecza o psy była najważniejszym jego obowiązkiem. Opatrywać i utrzymywać psy książęce, należało do ciężarów jakie ponosili włościanie względem książąt. Nazywała się ta powinność „*psare*“ Tak przynajmniej pisany jest wyraz ten w dokumencie wystawionym roku 1228 przez Kazimierza księcia Opolskiego, uwalniającego przezeń niektóre wsie od różnych ciężarów, a między nimi i od *psare* ²⁾ (może to tylko niedokładna pisownia zamiast „*psary*“—„*psiary*“). Na Mazowszu nazywała się ta powinność według Czackiego „*Psiarskie*“ i polegała na tém, że włościanie musieli dla psów książęcych dawać łby zabitych bydła, a prawdopodobnie zaopatrywać także psy i psiarzy, ilekroć w czasie polowania w ich wsiach się rozgościli. Skoro okoliczność ta w sposób tak dotkliwy uwagę ludu na siebie tak zwracała, nie dziw, że te miejsca gdzie mieszkali psiarze lub stałe psiarńie książęce albo po prostu nazwiskiem owego ciężaru oznaczał, lub im téż dawał nazwy stojące w jakimbądź związku z wyrazami „pies“ lub „psiarz.“ Do pierwszego sposobu ozna-

¹⁾ Czacki. Wyd. Edw. Rac. II, 255.

²⁾ Gruenhagen Regesten zur Schlesischen Geschichte.

czenia odnieść z pewnością możemy nazwy: Psarskie, Psary, Psaar, do drugiego stosują się prawdopodobnie inne, podobne, od pierwiastku „pies“ utworzone, a mianowicie „*Psie pole*.“

Nie pozostaje nam jak uciec się do tego przypuszczenia, które przynajmniej jest prawdopodobnym. Nie pozostaje nam nic więcej, gdyż nigdzie nie natrafiłszy o nazwie tej wzmianki, któraby nas do pewnego doprowadziła wytłumaczenia. Wiemy tylko, że nazwa ta już w wieku XII istnieje. Oprócz w Kadłubku, który ją wspomina jako „*campestre caninum*“ znajduje się jeszcze w dyplomie, który wystawił roku 1206 Henryk I książę szlązki, dając klasztorowi św. Wincentego we Wrocławiu „*Psepole*“ z osiadłymi tamże Niemcami w zamian za Olawę ¹⁾. Z tego samego roku istnieje jeszcze jeden dokument, w którym Gerard, opat klasztoru św. Wincentego, po zamianie uczynionej z Henrykiem, przydziela kościołowi swemu w „*Psepole*“ las, staw, pola, łąkę graniczną i t. d. ²⁾.

Następnie spotykamy się jeszcze z nazwą naszą w roku 1239 w dyplomie wystawionym przez Henryka, księcia szlązkiego i krakowskiego, potwierdzającego klasztorowi w *Mogile* nadanie włości Wrocierzyża. Ale tutaj jest tylko wymienione „*Psepole*“ jako miejsce wystawienia dokumentu bez wszelkich objaśnień ³⁾. Powątpiewają nawet, czy oznacza ową miejscowość pod Wrocławiem.

Otóż to najdawniejsze wzmianki o naszej miejscowości. Drobne to wskazówki, z których trudno coś pewnego wyczytać. Natomiast

¹⁾ Tschoppe und Stenzel. Urkundensammlung 273.

²⁾ Znajduje się dokument ten w archiwum szlązkiem, gdzie nam go pan Prof. Gruenhagen łaskawie udzielił. Ponieważ nie jest jeszcze ogłoszony, a w nim jednym znajdują się bliższe miejscowości objaśnienia, przytaczamy go zatem w całości. Zdaje się że nie pochodzi z roku, który nosi na sobie, ale niewątpliwie jest prawdziwym.

In nomine domini amen. Res bene et provide geste facile solent oblivione vel aliis de causis perturbari, nisi eis literarum testimonia longevam perhibeant firmitatem. Noverint itaque universi presentes et futuri hanc paginam inspecturi quod ego Gerhardus abbas sancti vincencii facto concambio cum illustrissimo principe H. dei gratia duce vtratislaviensi de assensu et voluntate totius capituli fratrum meorum descendens in *psepole* sic dictum *vulgariter* ibidem ecclesie mee ex consensu omnium fratrum meorum sub Addidi (?) silvam et lacum et agros et prata ibidem adjacentia a ponte qui jacet super vidavam usque ad viam que descendit in colnerowcz cundo in Namslaviam. Insuper ex voluntate fratrum meorum ecclesie prenominate super addi de agris meis qui pertinent ad dotem tantum quantum sufficeret ad duos magnos mansos eidem in perpetuum possidendos, decimas quoque tam in campis quam in ortis plenarie sufferendas. Quod autem hoc sit ratum et incommutabile munimine sigilli mei totiusque capituli fratrum meorum feci roborari. Actum est anno ab incarnatione domini 1206.

³⁾ Monografia zakonu Cystersów we wsi *Mogile* pod rokiem 1239.

przypuszczenie nasze, że miejsca, noszące nazwę „*Psiepole*“ noszą ją ztąd, iż powstały na miejscu dawnych psiarni książęcych, zyskuje pewniejsze poparcie. Dowiadujemy się bowiem z drugiego powyżej wymienionego dokumentu, że do *Psiego-pola* pod Wrocławiem las należał. Jeżeli dodamy, że i teraz okolica ta jest lesistą, że z obu stron Koźmina, pod którym to miastem słyszymy o folwarku „*Psiepole*, ciągną się wielkie lasy ku Kościanowi i ku Krotoszynowi, że i do wsi *Hundsfeld* w powiecie świdnickim las przytyka; to znajdujemy we wszystkich trzech miejscach te same warunki sprzyjające polowaniu. Prawdopodobnie więc stały tam pierwotnie psiarnie książęce. Z czasem chat przybyło i powstały wsie, a pod Wrocławiem nawet miasteczko.

Zresztą lasów na Szlązku nie braknie, a dawniej jeszcze więcej ich było tak, że wszędzie, gdzie nazwy, o które nam chodzi, się znajdują, tam i lasy napotkać można. Ale co zastanawia, to to, że w obwodzie opolskim, gdzie najwięcej lasów, tam też najwięcej napotykamy nazwisk mających związek z wyrazem „*pies*“. W samym powiecie opolskim ma być 80,000 morgów lasów królewskich. Powiaty lublinicki i wielkostebecki są prawie do połowy zarosłe lasami. Ale i reszta powiatów górno-szlązkich; z wyjątkiem lalkenbergskiego, jest w lasy bardzo bogata. To też tam leżą miejscowości: *Psurów*, *Pśów*, *Psina*, *Psiuk*, *Psoar*, *Hundsbeck*.

Wszystkie te okoliczności lubo nie rozstrzygają sprawy całkowicie, dają jednakowoż przypuszczeniu naszemu przynajmniej jakąś podstawę, na której aż do szczęśliwszych odkryć możemy poprzestać.

Pozostaje nam jeszcze przejść wkrótce koleje, jakie przechodziło podanie Kadłubkowe, zakradłszy się do dziejów naszych. Pomiedzy kronikarzami najwięcej Długosz nadał mu znaczenia. Sposobem swoim rozwijania wszystkiego, opisał nam jeszcze walniejszą, aniżeli Kadłubek, bitwę. Ale różnice polegają tylko na drobnostkach. Nie mówi n. p. że Bolesław postanowił stoczyć walkę na życzenie Szlązaków; powiada dalej, że bój trwał od rana do nocy, że z początku przechylało się zwycięztwo na stronę Niemców i że dopiero podstęp Szlązaków, napadających z tyłu wojsko nieprzyjacielskie rozstrzygnął walkę na korzyść Krzywoustego. Retoryczny zwrot Kadłubka: „*fugam coluere pro triumpho*“ rozwija Długosz do tego stopnia, że u niego cesarz uciekając, nawet ubiór, by go niepoznano przemienia. Następni po Długoszu kronikarze, Miechowita i Kromer nie oddalają się w niczem od niego; Kromer tylko jeszcze więcej farb dodaje do obrazu.

Z tych to czerpiąc źródła, przyjęli wiadomość o bitwie na *Psiempolu* i dziejopisarze nowszych czasów, a Niemcewicz zaśpiewał o niej w pieśni historycznej o *Bolesławie Krzywoustym*. Nie robimy z tego bynajmniej zarzutu Niemcewiczowi, gdyż poecie nie tak chodziło o prawdę historyczną, jak o trafność obrazu i prawdę charakteru; ale w *Podróżach historycznych* nie powinniśmy się już z ową bitwą spoty-

kać. Zadziwia, że i Naruszewicz ją w swém dziele umieścić i że nawet w najnowszej, bo w ciągu zeszłego roku wydanej *Historji Polskiej Teodora Morawskiego* znalazła pomieszczenie.

Z nowszych dziejopisarzy, o ile wiem, piérwszy Jerzy Samuel Gandtkie bitwę na *Psiem-polu* lubo nie ze wszystkiem wykreślił, to jednakże mocno zakwestyonował. Lelewel na kilku miejscach wręcz wypowiedział, że owój bitwy nie było. Moraczewski wyraża się w sposób następujący:

„W zwykłych historyach polskich stoi zawsze o jakiejś bitwie na *Psiem-polu*. Wiele tam koni pozdychało, a może być, że się i psy znęciły, ale o niczém więcj nie masz wiarogodnego śladu. Gallus, panegirysta Bolesława Krzywoustego byłby umiał ze zwycięstwa korzystać i byłby zarazem huczne dytyramby porymował.“ Niemieccy dziejopisarze nie zaprzeczają bynajmniej, że pod Wrocławiem cesarz Henryk V najzupełniejszą poniósł klęskę, ale wiadomość o bitwie na *Psiem-polu* uważają za zmyślenie. Roepell ¹⁾ w swój *Historji Polskiej* tak kończy opis wojny: „Przecież zamiar Henryka, aby cesarską zwierzchność nad Polską siłą oręża utrwalić, całkiem się nie powiódł. Bez właściwój bitwy prawie zupełnie na sposób Bolesława Chrobrego odparli Niemców Polacy i wolność swą zachowali.“ Do powyższych uwag dodajemy i naszą, że Kadłubek z nazwy miejsca i wyrażen Galla bitwę ową wykombinował i że miasteczko *Psiepole* co do nazwiska z żadnóm historycznym zdarzeniem w związku nie stoi; lecz prawdopodobnie tój okoliczności swą nazwę zawdzięcza, że stoi na miejscu, które pierwotnie zajmowały psiarnie książęce.

Wszakże na wykreśleniu z historyi bitwy na *Psiem-polu* prawda zyska, a sława nasza dziejowa nie traci, owszem przez nie otrzymuje dopiero podstawę nienaruszalną wątpliwościami. I bez owój bitwy Bolesław zwycięża, a Niemcy ponoszą klęskę.

¹⁾ Roepell: *Geschichte Polens*.

U Ł A M E K

starożytnego kazania o małżeństwie.

(Z dwiema podobiznami).

Przeglądając w roku zeszłym z przyjacielem moim p. A. Starzeńskim inkunabuły mego księgozbioru oprawne w stare pergaminowe łącińskie i niemieckie rękopisma, a szukając polskich, postrzegliśmy na jednej okładce dźwięki mowy naszej. Po rozlepieniu kompatury pokazało się że stanowiła ją arkuszowa karta wielkiej księgi obustronnie zapisana w dwie szpalty, lecz obcięta u dołu, może w połowie, g'woli ćwiartkowej wielkości dzieła. Dwie tablice tu dołączone przedstawiają dwie strony téj karty czyli urywki czterech szpalt utworzone z powodu odcięcia dolnej połowy. Odczytanie było bardzo trudnym, bo okładka zewnątrz jest wyszarzana, a wewnątrz zamazana kléjem, który wiele pisma w sobie rozpuścił. Dla odróżnienia liter czerwonych od czarnych oryginału, gdy w dołączonej tu podobiznie nie mogłem zachować właściwego koloru, nakreśliłem je w sposób odmienny obwódki. Linowanie zaś między wierszami na pergaminie nie jest także czarne, ale jakiejś sepiowej barwy. Przy odczytywaniu które bez użycia środków chemicznych powiodło się prawie zupełnie, pokazało się, że jestto palimpsest jeżeli nie całkowity, to częściowy. Oto tekst czterech ulamków bez zachowania staréj pisowni i znaków.

I.

„Kto zdradził Adama niewinnego, a Dawida świętego, a Salomona mądrego, a Samsona mocnego, Absolona krasnego, zaprawda nikt jedno niewiasta. Prawa dobra zenszczczyzna ta jest skład wszego dobrego, jest siostra czystocie i kłątwa wszemu złemu, jest stroża myśli a jest wielebność przyrodzenia a stolec onoty, jest okrasa żywota. Jeden uczennik mówi tako trojaką rzeczą będzie czystota schowana (zachowana): pirzwa jest rychle ucieczenie od złych myśli słowy uczynki (?) i obyczajów, druga jest ulręczenie ciała, trzecia jest ostrzeżenie zmysła i kwapienie od ludzi jako matka boża, ta gdy przez ulicę szła wzdy się pośpieszała do domu a w domu“.....

II.

„Jedno pismo mówi: Ten jest odłączon kto się gospodnu oferuje w jego wzeoh uczynkoch i opuszczany cirzpieć, tako więc najdzie gospodna na każdy

czas. Jeden uczeń mówi tak: Odlączenie przez rozum to jest ślepotą człowieka. Jeden uczeń mówi tak: Kto Bogu dosyć jest ku samemu bożemu kazaniu i napominaniu w rozumie odlączenia, temu będzie odplacono równością iściną bożą. Jeden uczeń mówi: Kto swego wszego pokuszenia (?) i cieżnienia mocen jest, tego ja i mam za najlepszego człowieka, jeden mistrz mówi: Świąte pismo to wszem ukazuje na to, "

III.

. „anielscy byli ogniem będzie uczyniono, a ogniem też będzie skazono. Takież małżeństwo rodzi dziewice a też małżeństwo skazi dziewice. Jeden uczeń mówi tak: To jest małżeństwo kto trzyma p... t... bienie małżeństwa. *Bernardus*: miła bracia powiadam wam zaprawdę iżże urapność czyni często z mężczyzny niewieście serce. Świąte duch mówi: Odzienie czelne a śmianie ustne ukazują co w sercu jest, jako we szklenicy wszystko widzieć. *Augustinus*: Najd: często w nabożnem ukazaniu skrytego anioła nieczystoty, ja więcej dowierzam pokornej grzesznicy niż pysznej dziewce. *Seneka*: kto ma czysty żywot ten się waruj, "

IV.

. „cią siostrą (?) a chcą przed jemi (?) uciekać jako przed nieprzyjacielem kto czystotę miluje ten się trzyma ku wszelkiej nieczystocie jako owca przeciwko wilkowi. *Jeronimus*: Chcesz niewiasty widzieć przekrasę tegdy pamiętaj, iżże tamta (?) od swego brata czystotę zgubiła. Niewieści (?) obraz jest jako ogniowy miecz, przeto bacz się wielmi pomny iżże niewiasta wypędziła Adama z raju, bo jał nigdy nie będzie rychlej dan jedno w słodkiej strdzy. Jeden uczeń mówi tak: między wszemi grzesznymi skutki nie nie oślepia rychlej jako nieczystota albo nieczysta słowa, aczby też kromie grzechu się stało jako w małżeństwie prawym obrzą "

Oddając zabytek niniejszy pod rozbiór ludzi uczonych, nie myślę tu ani ważności jego przeceniać, ani czasu z którego pochodzi oznaczać. Od kilku atoli pobieżnych uwag nie będących owocem głębszych ani długich studyów, ale następczących się od pierwszego rzutu oka, trudno było powstrzymać się ogłaszającemu.

Najpierw karta pochodząca prawdopodobnie z wielkiej księgi zdaje się dowodzić, że istniał zbiór polskich kazań wcale inny od znanych i wydanych dotąd. Piękny i staranny styl naszego ułamku zdaje się wskazywać, że mógł to być zbiór znakomicie jak na owe czasy opracowany, a który później pocięty został na okładki i poszukiwać go w bibliotekach klasztornych należy. Professor Józef Przyborowski którego uczonego sądu zasięgałem w tym przedmiocie, jest zdania, że zabytek nasz należy do najstarszych jakie dotąd posiadamy.

Treścią kazania było jak się zdaje małżeństwo i kobieta o której jest tu kilka trafnych uwag psychologicznych. Język w tak krótkim tekście nie może zawierać zbyt wiele osobliwości, ale jednak jest już dowodem pewnego rozwoju i bogactwa, z którego tak dzielnie później skorzystali nasi pisarze złotego wieku. Zdaje mi się że w języku tym, pisowni i piśmie są ślady nie jednej epoki. Ponieważ kazanie

Proto Sdraadzi adama ny ewyn-
nego. adcaunda swote go. a fal-
uona mcdrego. a samsona
mocznego. absolouaa krašnee-
go. zaprawda ny kt jedno ny ee-
wia sta. prawa dobra zensczy na
ta iest sklad wszego dobrego
iest syoltra czistocze. y klotwa
wszem zlem. iest stroza myski
a iest wielebnośc przyrodzenia
astolecz cznoty. iest okrasa ywo-
ta y eden wzenyk mowi tako
Troia ko rzeczo bodze czistota
schowana Pryzwa iest richle
wzczeczenie odzlich mysly slowy
y gylzy y obycajow Druga
iest wdrczenie czala Trzecia iest
ostrzenie smysla y kwapie-
nye odwdzy. iako matka boza
ta gdy przezwliczo cla wszdi sye
po piekala do domu a w domu

I.
~~...~~ a yedno pilino
mowy. Een iest odloczni kto
sie gospodny offerwie wiego
wszech uczyukoch. y opuszczany
czy rzpeecz. tako wdcz naydree
gospodna na kazdy czas. Jeden
wzenyk mowy tako. Dolo-
zenie przestrozum. to iest slee-
pota czlowyeca y eden wzenyk
mowi tako. kto bogu doslycz
iest. ku same mu boze mu ka-
zany y napomynany wro-
zumye odlczenie. temu bodze
odplacono rownosco y licy no
boz y eden wzenyk mowy.
kto swego wszego poru-
zenia y czyrpye nya moczen iest tee-
go ya y usam zana y lepszego
czlowieka y eden wytrzmowi
Swote pilino to wszem uka-
wie nato. dr... k... be

angelscy byli
 oqueem bodze uczyonyo aog-
 neem tees bodze skazono. **T**ea
 kesz malzenstwo rodzy dzewy-
 che atees malzenstwo skazy dze-
 wicze jeden uczeniuk mowi ta-
 ko. **T**o jest malzenstwo kto trzi-
 ma przy sobie malzenstwa
Bernhardus. **O**gila bracia po-
 wiada nam wam zaprawdo yze
 wropuolcz czyny czosto zmoczy ny
 nyewieesze serzee **S**woty duch
 mowi. **D**ozenye zelnee. a siuya-
 nye ustnee. ukazwalo wierczu
 jest. yako wsklenyzy wszystko wi-
 dziecz **A**ugustinus. **N**ayd. **O**sto
 w nabolz neem ukazany u skritego
 angyala ny czystoty. ya woczey do-
 wierzam pokornej grzesnyczy
 nyz pylneey dzewcze **G**enekaa
 kto maczty w mot tensie warny

ychto przed
 yemy uczeacz iako przednyeprzy-
 yaczelem. kto czystoty mywie ten
 sie trzyma ku wszelkeey nyeczisto-
 cze iako owca przeczywko wil-
 kowi **J**erominus. **C**hcesz nyee-
 wiasty widzech przekrasz. teg-
 di pamyo tay. yze ta nita odswe-
 go brata czystoty figubila. **J**lye-
 wieszy obrasz jest iako ognyo-
 wi miecz. **P**rzeto bacz sye wilny
Pomny yze nyewiasta wipodzy-
 la adama fraya. bo yad nygdy
 nyebodze richley daan iednoo
 w slodkey strdzy yeden uczeniuk
 mowi tako. **M**iedzi wszemy grzes-
 nym skutky nyzis nyeoslepy
 richley iako nyeczystota albo
 nyeczista slowa. aczby tees kro-
 mye grzechu sye stalo yako w
 malzenstwie prawym obrad-

składało się z osobistych zdań kaznodziei i cytat przez niego czynionych, a zawierających najwięcej starożytnych archaizmów, otóż wnioskuję, czy przytoczenia te z Pisma Świętego i Ojców kościoła nie są starsze a z dawniejszych tłumaczeń polskich poczerpnięte. Cytat nie można w żadnym razie odnosić do zbyt dalekiej starożytności, bo jest w nich wzmianka o Bernardzie (świętym) żyjącym w XII wieku. *Bernhardus* ten powiada w naszym kazaniu że „urąpność czyni często z mężczyzny niewieście serce.“ Wyraz *urąpność* (a może *urępność*?) oznacza tutaj urodę—jako rzeczownik nie był dotąd nikomu w polskich tekstach znany, zaś przymiotnik *urąpny* mamy raz jeden tylko użyty w 44-m psalmie psalterza floryańskiego (przyznawanego długi czas królowej Małgorzacie), gdzie w trzecim wierszu czytamy: „*Urąpny* wyobrażeniem nad syny ludzkie“, co zapewne znaczyło: urodny (urodziny) wyobrażeniem (powierzchnością) nad synów ludzkich. Ponieważ w tym psalterzu uważanym za pomnik najstarszy, raz tylko spotykamy wyraz *urąpny*, a wiele razy uroda i urodny, w późniejszych zaś zabytkach nie widzimy już go nigdzie; wnosić zatem należy iż wyraz ten bądź wychodził z użycia w czasie tłumaczenia psalterza, bądź zapożyczony z innego języka nigdy nie był upowszechnionym. W wydaniu Borkowskiego przy wyrazie *urąpny* położono *sie* a w dołączonym słowniczku powiedziano że znaczy *piękny, urodny*, a wzięty jest z czeskiego. Professor Nehring w swojej bardzo szacownej pracy *O psalterzu floryańskim* (s. 28) uważa niesłusznie wyraz *urąpny* za prostą pomyłkę przepisywacza, który powinien był napisać *urodny*. Zaś p. Konstanty Małkowski w pracowitym *Przeglądzie najdawniejszych pomników języka polskiego* rozbiegając osobliwości psalterza, pomija ten wyraz. Gdy jednak w jego dziele znajdujemy poruszony sanskryt, inne języki i tyle dalekich interesujących zagadnień, spodziewaliśmy się znaleźć i wzmiankę o związku, jaki np. zachodzić może między wyrazem *urąpny* a sanskryckim *rupa* znaczącym piękność, lub lużyckim *hurupny*—piękny ¹⁾).

Do wyrazów starych kazania należy *stredz*, wzięty może z czeskiego *strd*—miód; pisany różnie w biblii szarospatackiej i psalterzu floryańskim np. *stredz, strzedz, strdz, strdz i serdz* (ps. 18 wiersz 11; p. 80, w. 16; p. 118, w. 103 i t. d.). W kazaniu czytamy: *bo jad nigdy nie będzie rychłój dan jedno w słodkiej strdzy*. *Stredz* ma tu znaczyć zapewne miód, ale w 18-m psalmie floryańskiego psalterza *stredz* widzimy obok miodu. (W języku rossyjskim miód praśny zowie się *syrec*). Do archaizmów kazania o małżeństwie, wspólnych innym starym pomnikom języka należą: *żenszczyzna, czystota, nieczystota, pyrswa* (w psał. flor. *pirzwerodzeny* pierworodny, ps. 134, wiersz 8), *uczennyk, gospodyn, iścina, przekrasa, wielmi, kwapienie, tegdy* i inne.

¹⁾ Żeglarze niemieccy *rupą* zowią tylny koniec wiciny i baty, gdzie rudel się znajduje.

Pisownia kazania jest bardzo stara, która w ciągu wieku XV wyszła zupełnie z użycia. Prawdopodobnie kazanie to jest już przepisywane z tekstu dawniejszego, przez człowieka umiającego tylko naśladować mechanicznie pismo pierwowzoru; czytamy bowiem *a damda* zamiast *a dawida* wskutek pomyłki przepisywacza, który krótkie *v* tudzież następne *i* w pierwowzorze uważał razem za literę *m*, a rozumować nie umiał lub nie śmiał. Stałych zasad pisowni nie widzimy, bo miano tylko pewne zwyczaje, do których więcej lub mniej się stosowano pisząc najczęściej, jak powiada Małecki, na chybi trafi. Szczególniej w użyciu znaków nosowych tudzież *z*, *y*, wielka zachodzi mieszanina; i tak wyraz *nowi* napisano trzy razy przez *y*, a sześć przez *i*, *dziewice* raz przez *i*, a drugi raz przez *y*, *się* trzy razy przez *i* i tyleż przez *y*, *jako* cztery razy przez *i*, a raz przez *y*. W ogóle zaś *i* w znaczeniu *y* (wedle dzisiejszego zwyczaju mówienia) użyte razy 17, w znaczeniu *j* razy 30, w znaczeniu właściwem razy 36, a z tych dla zmiękczenia *w* razy 9, dla *s* razy 4, dla *m* razy 2, i tyleż dla *p*. *Y* w znaczeniu dzisiejszém użyte razy 32, w miejscu *j* razy 24, a zamiast *i* razy 95; lecz z tych dla zmiękczenia *n* razy 26, *s* razy 5, *w* razy 2, *m* razy 4 i dla *p* 1. *Z* i *s* miękczone jest niekiedy przez *e* i *ę*, mamy bowiem: *będzie*, *święty*, *widzecz* i t. d., *c* zaś przez dodanie *z*. Małżeństwo pisane jest dwa razy przez *sz* i tyleż przez *z*, serce raz *serczee*, a raz *siercze*, *uczennyk* wszędzie przez dwa *n*, a raz tylko przez jedno dla niedostatku miejsca w wierszu na podwójne *n*.

Samogłoski podwójne czyli długie: *aa*, *oo*, *ee*, tudzież *oo*, nosowe (czyli z ogonkami u dołu i góry) używane są tu często podobnie jak w najstarszych zabytkach, gdzie np. widzimy to nader liczne w 101—106 psalmie. W żadnym atoli ze znanych pomników podwójne *ee*, nie jest tak pospolite jak w naszym, bo w tak krótkim ułamku kazania użyte razy 63, zaś *aa* użyte razy 52, *oo* razy 5 i tyleż nosowe (podwójne). W używaniu znaków nosowych brak jest także stałego prawidła, i tak podwójne nosowe *oo* trzy razy położone jest w miejscu dzisiejszego *o*, a raz w znaczeniu *e* (w wyrazie *więc*). Pojedyncze *o* nosowe w 16-tu razach znaczy *e* a w 10-ciu *ę*. Nadto mam wątpliwość w paru miejscach, jaki znak nosowy wyrazić chciano przez także *o* pojedyncze lub podwójne. Widoczném jednak jest, że częściej pisano brzmienie *ę* przez dwa *oo* nosowe a *e* przez jedno (co i Parkosz zaleca). W wyrazach: *między* i *się* (użytym 6 razy w kazaniu) nie napotykamy znaków nosowych, co każe sądzić, że autor lub jaki przepisywacz mówił *sie* i *miedzy* podobnie jak dotąd lud w wielu okolicach mówi (a jak powszechnie używamy starożytnego wyrazu *miedza*). W psalterzu floryańskim jest prawie wszędzie *se* użyte jako dzisiejsze, *się*, a w późniejszej biblii królowej Zofii czytamy już, *się*. W trzech wyrazach kazania brzmienie *c* oznaczone jest przez *czs* a mianowicie: *czsa*, *czsnota* i *nyezs* (co cnota, nic). Taki sposób pisania napotykamy nieraz w pierwszych 100 psalmach floryańskich, w biblii szarospa-

tackiej i w przysięgach wielkopolskich z lat 1398—1434 wydanych przez prof. J. Przyborowskiego.

Niektóre wyrazy użyte w naszym kazaniu jak: *miedzy, wielmi, sie, przez rozumu, najdzie, cierzpienie*, a pisane z pewną jednostajnością w różnych zabytkach, zasługują i z tego względu na uwagę, że przez lud w wielu okolicach są dotąd używane i tak samo wymawiane. W psalterzu floryańskim *przez* użyte jest nieraz w znaczeniu *sine*. W Grodzieńskim wyraz *wielmi* i *nie wielmi* czyli bardzo i nie bardzo słyshałem często w ustach ludu, a spójnika *i* powszechnie on dotąd używa w podobnym razie, jak to czytamy w kazaniu: „tego ja *i* mam za najlepszego człowieka.“ Jakże pożądanem więc byłoby ułożenie słownika brzmień, wyrazów, wyrażeń i form mowy ludowej wszystkich okolic kraju. Bez takich źródeł badacz uważa nieraz wiele rzeczy jako zaginione, gdy tymczasem cieszą się one w jakiejś okolicy najlepszym powodzeniem. I tak np. wyrazy: *barzo, ganba, lutować się, list* (liść), *starzejszy, słodciejszy, ucieką, kajac się, lez* i *uwiąznął* uważane przez p. Małkowskiego za obce mowie ludowej (czemu dziwić się nie można), są powszechne w Tykocińskim i innych jeszcze stronach. Koło Krakowa lud powszechnie mówi *chrobak* nie robak, a nawet *wiernik*, użyty raz we frejzyngieńskich pomnikach, nie zaginął dotąd w mowie ludowej północnego Podlasia. Niektóre także stare dźwięki nosowe np. *an*, znajdują dotąd swoje echo w akcencie ludu. Ubolewać zatem należy, że tak mało mamy ogłoszonych materiałów mowy ludowej, że np. za część złota sypanego hojnie na cele uciechy światowej, nie drukują się takie rzeczy jak praca St. Słowiańskiego, obejmująca na kilku tysiącach kartek słownik mowy ludowej znajdujący się w zbiorach krakowskiej akademii nauk ¹⁾. Ale cóż dziwnego, że brak podobnych wydawnictw, gdy niektóre pomniki języka jeszcze się ogłoszenia nie doczekały, takie np. jak kodeks Kórnicki statutu wiślickiego w przekładzie dokonanym około r. 1460, jak psalterz nabyty z biblioteką porycką przez ks. Czartoryskich, jak słowniki z polskimi wyrazami z w. XV i t. d.

Na tém zakończęm tych pobieżnych słów kilka, które nie będąc rozbiorem podanego pomnika, nie dotyczą téż wszystkich cech jego pisowni i znaczenia wielu wyrazów.

Zygmunt Gloger.

¹⁾ Podobną pracę z okolic nadnarwiańskich Podlasia i Mazowsza przygotowujemy sami do druku. Z. G.

HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.

(Dalszy ciąg).

X.

O przygodzie tego poranku niktby pewnie nic nie wiedział, lecz wieczorem król bardzo zmęczony zebrał w małej jadalni zwykłe kółko zaufanych, aby się z nimi rozerwać... Zapijano pamięć Szweda. Po drugim czy trzecim puharze, bo tam kielichów nie używano... król się śmiać zaczął, patrząc na Fürstemberga.

— Wielka szkoda—rzekł—żeś ty w miejscu starego Bosego z papierami z Polski nie przyszedł... byłbyś się może z Cosel pogodził, zobaczywszy ją w tym stroju, w jakim się przedstawiła staremu...

— Cóż to było?—zapytał książę—wszak hrabina z łóżka nie wstaje...?

— To téż w koszuli z niego się porwała, aby mi z powodu listu téj biednej Henryety zrobić najokropniejszą scenę... Zazdrośną jest jak żadna, i nie dziwiłbym się wcale, gdyby kiedy w przystępie téj pasyi, dotrzymała mi dawno danego słowa i strzeliła... Pistolet jój nigdy nie spuszcza.

Fürstemberg się obejrzał ostrożnie, aby się przekonać znać czy niema zdrąjcy między niemi: byli tylko swoi, o których wiedział dobrze iż Cosel nienawidzą.

— Najjaśniejszy Panie—odezwał się z uśmiechem dwuznacznym — hrabina Cosel... będąc tak zazdrosną o serce W. Kr. Mości, co nikogo nie zadziwi, powinnyby przynajmniej sama powodu do podejrzeń i zazdrości nie dawać...

Król podniósł powoli głowę, zmarszczył brwi, wydał usta i spytał zimno:

— Mój Fürstembergu, kto coś podobnego mówi, powinienby dobrze rozważyć swe słowa i rozrachować następstwa... Na tém coś powiedział zatrzymać się nie można: powinien się wytłumaczyć.

Książę spojrzął po towarzyszach...

— Ponieważ słowo mi się to wyrwało, naturalnie usprawiedliwić go muszę. Przecież nie ja jeden, ale my tu wszyscy patrzaliśmy na postępowanie hrabiny w czasie niebytności N. Pana...

Proszę spytać jak się hrabina bawiła tutaj... boć pałac był pełen zawsze... gości pełno, wielbicieli mnóstwo, a starszy hrabia Lecherenne... w nadzwyczajnych łaskach, prawie z pałacu nie wychodził. Niekiedy widywano go z bratem lub bez brata, wymykającego się około północy... Codzień na obiedzie, codzień na wieczerzy...

Ci dwaj Lecherenne, hrabiowie, z których starszy był bardzo pięknym, postaci pańskiej, wielce wykształconym i pełnym dowcipu mężczyzną, a młodszy mało mu ustępujący, kawaler maltański i do stanu duchownego przeznaczony, od kilkunastu miesięcy przybyli szczęścia szukać na dwór drezdeński... Widząc zkąd płyną łaski, przywiązali się szczególnie do hrabiny Cosel, i za jej protekcją, król ich szambelanami mianował. Spodziewali się znać dalszych łask i zostali w stolicy saskiej. Dwór widział już w nich niebezpiecznych współzawodników, gdyż król chętnie się cudzoziemcami otaczał... Dlatego Fürstemberg rzucił to podejrzenie, aby zarazem i Cosel zaszkodzić i pozbyć się starszego Lecherenne, którego zdolności mogły podnieść wysoko...

Król August wysłuchał Fürstemberga z pozorną obojętnością, lecz i on i wszyscy przytomni co znali jak umiał w sobie tłumić wrażenia i z każdego drgnięcia nauczyli się je odgadywać, postrzegli że strzała uwięzła...

— Co mi ty prawisz, Fürstemberg — odparł August — zazdrość mówi przez ciebie! Cosel cię nie lubi! Chciałżeś aby zamknięta wśród czterech ścian nudziła się? potrzebowała rozrywki, Licherenne jest dosyć zabawny...

— N. Paniel — odparł namiestnik z udaną prostotą — wszakże to com powiedział wymknęło mi się prawie mimowolnie. Nie myślałem wcale donosić o tém N. Panu; mając łaskę W. K. Mości, fawory hrabiny mniej cenię. Lecz przykroby mi było jako przywiązanemu słudze, miłość tak stałą, tak gorącą, tak wielką, widzieć opłaconą niewdzięcznością...

Sposępniał August... Puhary stały nalane... rozmowa się przerwała, król wstał...

Po wrażeniu jakie to uczyniło na królu, Fürstemberg zmiarkował że sprawę przegra. Ile razy August chciał się pozbyć której z ulubienic swych, rad był gdy mu się nastreżczała zręczność; nasyłał nawet dworzan, aby mieć pozór do gniewu i rozstania: gniew jego dowodził, iż Cosel nie była mu wcale obojętną...

Tego dnia hrabina wstała po raz piérwszy... Niechcąc przedłużyć wieczornęj uczyty, August skinieniem pożegnał swych gości i wszedł do gabinetu...

Fürstemberg i dworacy pozostali zafrasowani, książę wszakże dodawał sobie odwagi, udawał że się uśmiecha i choć trwoga ogarnęła go o następstwa... nie chciał się do niéj przyznać.

W chwili gdy się ta rozmowa toczyła u stołu... niewidzialny świadek mimowolnie ją podsłuchał. Zaklika o którego wierności i przywiązaniu do siebie, Anna była najmocniéj przekonaną, używanym był przez nią zwykle do odnoszenia biletów do króla, gdy je do rąk jego własnych doręczać było potrzeba. Znudzona samotnością, właśnie napisawszy do króla, wyprawiła go z listem, gdy zasiadano do puharów. Przerzywać zabawy królowi nie wolno było. Służbie jednak raz na zawsze wydano rozkazy aby Zaklikę wpuszczano. Niewidziany wszedł

właśnie i stał za ogromnym kredensem, wyczekując chwili gdy się do króla będzie mógł zbliżyć, w czasie kiedy Fürstemberg opowiadał o Lecherennie...

Niebezpieczeństwo grożące, jak mu się zdawało, Annie, dało mu odwagę wycofania się... Nie oddając biletu królowi pobiegł Zaklika nazad do pałacu i zapukał do sypialni...

Cosel znała go dobrze, był to jedyny sługa któremu ufała, płacąc mu niekiedy uśmiechem... Gdy wszedł, z bladłej twarzy jego wyczytała że coś złego stać się musiało.

— Mów!—zawołała podbiegając—król! nie stało się co królowi?

— Nic—odparł Zaklika—możem winien że tu powracam; lecz o to czego byłem świadkiem, com słyszał i co donieść, zdaje mi się, powinienem był pani...

To mówiąc pospiesznie drżącym głosem powtórzył oskarżenie Fürstemberga. Cosel wysłuchiwała go zarumieniona, zmieszana, obrażona; odebrała w milczeniu list z jego rąk, skinęła głową... i dała mu znak aby odszedł... Serce jój biło gwałtownie... Sama niewiedząc dlaczego wysunęła się z sypialni... Za gabinetem który go od sali przedzielał, usiadła w pustce ogromnej, którą tego wieczora, jak zawsze oświecono, choć nikt nie miał być przyjętym. Ściany sali okrywały portrety i obrazy z życia Augusta II; jeden z nich przedstawiał obchód królewskiej koronacji.

Łzawemi oczyma machinalnie się wpatrzyła weń Cosel... gdy kroki słyszeć się dały, po których poznała Augusta... Szedł szybko szukając jój wszędzie, blady był, zmieszany, gniewny...

Cosel powstała i jakby niewidząc go zbliżyła się do obrazu...

— A!—odezwał się August, w którego głosie przebijał się gniew źle hamowany—cóżto raczysz pani wpatrywać się w mój wizerunek? to chyba omyłka? Nie mogę przypuścić abym na ten honor zasługiwał jeszcze...

— N. Panie—odparła Cosel dosyć spokojnie—byłoby śmiesznością abyć W. K. Mość znając co go wyższym czyni nad innych ludzi, przypuszczał że ktoś inny moje oczy po nim zwrócić na siebie może!... Najpłochsza z kobiet nie popełni-

łaby nie podobnego. Jak możesz W. Kr. Mość mieć podobne podejrzenia...

— Tak — przerwał król głosem drżącym — dotąd pochlebiałem sobie... sądziłem... myślałem... ale pozory mylą, a dziwactwa kobiet są najczęściej niezrozumiałe...

Mowa króla, tłumiony gniew, uradowały Annę: czuła zazdrość w nim, która dowodzi przywiązanie, udała jednak obrażoną.

— Nie rozumiem was N. Panie—odezwała się—co znaczą te tajemnicze wyrazy? Nie sądzę bym do nich powód dać mogła? Racz mówić jaśniej, niech przynajmniej wiem z czego się mam usprawiedliwiać i uniewinniać...

— Usprawiedliwiać, uniewinniać—przerwał król gwałtownie—tak że Cosel się ulęknęła—ale są sprawy, z których się uniewinnić niepodobna! Myślałaś pani ukryć je przedemną... tymczasem, mam dowody...

— Dowody! przeciwko mnie!—Cosel załamała ręce...—
 Augustcie!—zawołała—to sen, to marzenie, to męczarnia!
 Mów, ja cię nie rozumiem... Jam niewinna...

Rzuciła się na szyję królowi, który z razu odepchnąć ją chciał; pochwyliła go za suknię, z rozpaczą porwała rękę i zaczęła płakać.

— Zlituj się nademną! mów! Niech przynajmniej wiem za co mam cierpieć.. jaki niegodziwy oszczerca śmiał mnie zbójceją potwarzą dotknąć!

Nierychło gniew króla, który po winie bywał wściekłym czasami, Cosel ukołysać potrafiła; łzy go wreszcie zmiękczyły posadziła go przy sobie.

— Królu mój, panie, wytłumacz mi, co twój gniew wzbudziło,—poczęła błagającym głosem—widzisz co się dzieje ze mną... Ja szaleję z bólu! Powiedz mi, odkryj. Więc nie kochasz mnie chyba? Szukasz pozoru byś się mnie pozbył... A! dawniej, dawniej miłość twoja była taką, że nawet błądby mi przebaczyła, dziś... serce twe gdzieindziej...

August już był ochłonał.

— Dobrze—zawołał—chcesz wiedzieć, powiem wszystko: wychodzę z zamku, gdzieśmy z Fürstembergim rozmawiali.

— A! z nim, nic już mnie nie zdziwi! to mój wróg!—
przerwała Cosel.

— Książe mi powiada, że całe miasto było zgorżone postępowaniem twém z Lecherennem...

— Z Lecherennem!—śmiejąc się powtórzyła ruszając ramionami Cosel...

— Lecherenne,—mówił król—nie zadawał sobie nawet pracy ukrywania swych uczuć dla was; przyjmowaliście zakochanego w méj niebytności, codziennie, siadywał wieczory całe, widywano go...

Cosel przybrała minę poważną, chłodną kobiety obrażonej.

— Tak jest—rzekła—wszystko to prawda: Lecherenne zakochany jest we mnie, ale ja śmiałam się z tego i śmieję. Bawił mnie czułościami swemi, słuchałam ich, żartując sobie z niego! Nie sędzę bym zawiniła wielce! Nie kryłam się z tém, bom nic do ukrywania nie miała... Myślisz więc królu, że dosyć jest kochać się we mnie aby być kochanym?..

A to okropne!—dodała ręce łamiąc—Więc lada taki Fürstemberg słowem złośliwém przeważy ufność twą dla mnie! wiarę w serce Cosel...

Padła na sofę płacząc. Król już był złamany, przykląkł przed nią i ręce jej zaczął całować...

— Cosel, przebacz mi—zawołał,—nie byłbym zazdrośnym gdybym cię nie kochał... Znam Fürstemberga... prawda, jest to najjadowitsza zmija... jaką wyhodowałem na dworze... Daruj mi! Nie chcę aby moją Annę podejrzewać nawet śmiano, aby dała powód do potwarzy.

Anna płakała ciągle.

— Królu—mówiła łkając—jeśli potwarców dopuścisz do tronu, pamiętaj, nie skończą oni na nas, na mnie; język ich dotknie twój świętej dla nas osoby. . . bo dla nich nie ma nic świętego...

— Bądź spokojna, bądź spokojna—odparł król—przrzekam, daję słowo, nie dopuszczę aby mi kto śmiał co rzec na ciebie...

Tak się ta scena skończyła czułościami i zapewnieniami najuroczystszymi z obu stron. Cosel musiała dać słowo iż Fürstembergowi nie okaże tego, iż imienia oskarżyciela się dowiedziała.

Dzięki więc przytomności Zakliki, Cosel odniosła zwycięstwo.

Uspokojony zupełnie król wrócił na zamek, a nazajutrz słowa nie przemówił do Fürstemberga, omijając go widocznie. Przez W. Mistrza dworu kazał August Lechereunowi dać znać, by tego samego dnia służbę opuścił i z Drezna wyjechał.

Rozkaz ten spadł tak niespodzianie na młodego hrabiego, iż z razu nie wiedział czy mu ma wierzyć. Komendant miasta kazał mu go powtórzyć, dając dwadzieścia cztery godziny czasu.

Lecherenne strwożony pobiegł nie wiedząc co zaszło do pałacu hrabiny. Zaklika poszedł o nim oznajmić swęj pani. Zarumieniła się z trwogi i niepokoju.

— Powiedz mu wać pan,—rzekła cicho—iż nie mogę przyjmować tych, którym król zakazał się pokazywać przed sobą... powiedz mu...—zniżyła głos—że mi żal szczery iż odjeżdża...

To mówiąc zdjęła pierścień z palca, który król niedawno jęj był darował.

— Daj mu ten pierścień odemnie—rzekła zniżonym głosem—odwracając się od swego powiernika.

Zaklika zbladł.

— Pani hrabino—ośmielił się odezwać stłumionym i cichym także głosem—racz mi przebaczyć, to pierścień od króla.

Cosel, która nie cierpiała by się jęj kto śmiał sprzeciwić, odwróciła się ku niemu z twarzą groźną i brwiami namarszczonymi, tupnęła nogą:

— Nie o radę was proszę, ale wydaję rozkaz: masz go spełnić!

Zaklika zmieszany wyszedł, chwilę się zatrzymał za drzwiami. Przed kilką laty za dowód nadzwyczajnej siły otrzymał był od czeskiego hrabiego, który u dworu przebywał, kosztowny pierścień, z podobnym kamieniem. Jakieś przeczucie kazało mu zamienić je: poszedł ze swoim do Lecherenna, a hrabiny dar ukrył przy sercu.

Czwartego dnia potęm król w czasie gdy Cosel ubierała się wszedł do jęj gabinetu. Anna zwykle pierścień ten nosiła na palcu, oko zazdrosnego kochanka dojrzało jego zniknienie.

— Gdzie jest mój pierścień ze szmaragdem?—zapytał.

Cosel z wielką przytomnością umysłu zaczęła go szukać niespokojnie na gotowalni, na posadzce, w całym pokoju. Twarz króla okrywała się coraz krasniejszym rumieńcem.

— Gdzież się podział?—powtórzył.

Cosel zwróciła się do służącej.

— Ale ja go od dni czterech na ręku u pani nie widzę,—szepnęła sługa.

August policzył iż od wyjazdu Lecherenna, o którego bytności u drzwi Cosel wiedział dobrze, właśnie cztery dni upływało.

— Nie szukajcie go nadaremnie—odezwał się szyderczo, mógłbym może powiedzieć gdzie się podział.

Cosel mimowolnie sięzmięszała. Król wybuchnął gniewem. Nie chciał słuchać tłumaczeń nawet. Służące wybiegły aby nie być świadkami téj sceny, a głos pana rozlegał się po pałacu. Trwoga ogarnęła wszystkich.

Cosel miała zemdleć już i łzy dobywały się jój z oczów, gdy do drzwi zapukano: nim miała czas się zwrócić ku nim Anna, spostrzegła bladą i smutną twarz Zakliki.

— Pani hrabina raczy mi darować że wchodzę,—rzekł—służące mi mówiły, że szukały napróżno pierścienia, ale ja przed godziną go około gotowalni znalazłem i czekałem tylko chwili, aby oddać.

Król rzucił okiem i zamilkł.

Cosel ani spojrzała na Zaklikę, ani odezwała się do Augusta; włożyła powoli pierścień na rękę i rzuciwszy wejrzenie gniewu pełne na kochanka, wyszła do drugiego pokoju.

Nie potrzeba było więcéj nad to, aby uspokoić króla i zmusić go do przeproszenia na klęczkach obrażonej pani, która nie łatwo przebłagać się dała.

Król cały dzień zabawił w pałacu, nie mogła więc nawet kazać przywołać Zakliki, aby się przed nią wytłumaczył. Chciał wynagrodzić swą popędliwość, podejrzenia i niewiarę, czuł się upokorzonym i winnym. Cosel przyjmowała zimno tłumaczenia, płakała trochę i nie odpowiadała na czułości tylko rezygnacją i pokorą, które nieszczęśliwego Augusta do rozpacz przyprowadzały. Nad wieczór dopiero piękna pani jakoś się przebłagać dała i pokój został przywrócony.

Wypadek ten wzmocnił w Augustcie wiarę w nią i zwiększył jój potęgę, nieprzyjaciele zmilknąć musieli.

Po północy już król udał się do swego gabinetu dla narady z oczekującymi nań ministrami, Karol XII ciężał nad niemi brzemieniem nieznośném; lekceważenie jego dla Augusta, wstręt dla tego pięknego bohatera, dolegały wszystkim zarównó. Czuli się w nim dotknięci. Dziki młodziak, bo Karol XII nie miał nad lat dwadzieścia kilka, wydawał im się rodzajem Atylli, świętokradzko burzącym wspaniałość tego żywota blasków i świetności pełnego.

Zaledwie król odszedł, Cosel porwała się z siedzenia, na palcu jój jaśniejący szmaragd przypomniał jój Zaklikę.

Zadzwonila królowa. Karzeł który wszedł, bo i ona jak prawdziwa królowa karłów miała na posługach, wysłany został po Zaklikę.

Obyczajem swym wierny Rajmuś siedział na straży w przedpokoju, czytając w jakiejś odartój księdze. Zobaczywszy kartka domyślił się że przyszła sądu godzina. Ocalił on Cosel, ale samowolnie; wiedział że mu to za grzech będzie poczytane i zadrzał. Czuł się szczęśliwym że ją uratował i czuł winnym. Drżący i onieśmielony stanął w progu; Cosel w sukni rozpuszczonej z rozwitemi na ramionach włosy czarnemi, piękna jak bóstwo, dumna jak wszechwładna pani przechadzała się po sali. Na widok Zakliki zmarszczyła brew i stanęła przed nim groźna.

— Kto ci pozwolił zmieniać moje rozkazy? popełniać tajemnie nieposłuszeństwo? mieć za mnie przebiegłość o którą cię nie proszą? Co to jest za zuchwalstwo?

Zaklika stał długo niemy ze spuszczonei oczyma, zwolna podniósł je na hrabinę.

— Przyznaję się do winy—odezwał się głosem spokojnym— tak, zgrzeszyłem... Przypomnisz sobie pani Laubegast i pobożność z jaką z daleka wpatrywałem się w twe oblicze. Niech mnie to uczucie szalone i niedorzeczne, dochowane do dziś dnia tłumaczy. Chciałem cię ocalić pani!

— Ja nie potrzebuję pomocy niczyjój aby być ocaloną—zawołała surowo Cosel— w słudze żądam posłuszeństwa i nic więcéj, rozumu nie chcę... a uczuciem słuźalców gardzę! To obraza dla mnie.

Zaklika spuścił głowę.

— Gdybym słowo powiedziała królowi, jutro byłbyś zamknięty w Königsteinie, lub powieszony na rynku.

Któż ci powiedział że mnie nie więcej boli to, iż Lecherenne pierścienia nie otrzymał, niż to żeś mnie z chwilowego zakłopotania, jak ci się zdaje, wybawił?

— Lecherenne pierścień otrzymał—rzekł Zaklika, po którym te bezlitosne wyrzuty ośliznęły się jak wody po skale.

— Jaki pierścień?—spytała Cosel.

— Zupełnie do tego podobny; miałem go danym za okaz siły przez czeskiego magnata Sternberga w przeszłym roku: przezuwając iż król o pierścień swój zapytać może, oddałem własny.

Cosel stanęła zdumiona i popatrzyła na Rajmunda, który głowę miał na piersi spuszczoną.

— A! należy ci się więc nagroda!—szepnęła zmieszana.

— Nie, tylko przebaczenie—odparł Zaklika—nagrody żadnej nie przyjmę.

I cofnął się pod same drzwi opierając o nie. Długo i dziwnie spoglądała nań Cosel. Jakaż zmiana zaszła w jej uczuciach, zrodziła się litość, ale duma ją w pierś nazad wtłoczyła.

W milczeniu postąpiła do Zakliki podając mu pierścień przeznaczony dla Lecherenna: Rajmund obudził się jak ze snu zobaczywszy go przed sobą w białej ręce drżącój.

— Pani —rzekł— ja przyjąć go nie mogę... nie! przypomniałby mi tylko żeś dla mnie była nad miarę okrutną.

W téj chwili pierścień znikł ujęty drugą ręką, a biała dłoń zbliżyła się do ust Zakliki, który ją z zapalem przykleknąwszy ucałował; potem jak szalony wypadł z pokoju Cosel, która została sama zadumana ze łzą w oku.

— Tak kochają biędni ludzie—rzekła w duszy—królowie inaczej.

Wśród tych scen przedłużało się zajęcie Saksonii przez Szwedów. Karol XII w wymaganiach swych niczem się złać nie dawał. Dla króla był bezlitośnym i szyderskim, dla szlachty ostrym, dla kraju ciężkim, bo lud żołnierze jego wyławiali i gwałtem zaciągali do szeregów. Cóż było począć

z człowiekiem, który proszony na łowy i biesiady, posyłał swój dwór a sam jechał nowozaciężnych mustrować? Na żadnym balu, koncercie, maskaradzie być nie chciał. Pokój był podpisywany, Patkul wydany, a Karol XII siedział i siedział na saskiej ziemi.

Tyle upokorzeń, tyle ofiar wyczerpały cierpliwość aż do rozpacz. Zuchwalstwo Szweda, który we dwadzieścia lub trzydzieści koni jeździł po zawojowanym kraju żadnymi się nie otaczając ostrożnościami... budziło oburzenie w umysłach śmielszych wojaków.

Jednego ranku hrabia Schulenburg zameldował się do króla, w chwili gdy był na radzie z ministrami. Starego wojaka zaproszono na nią, ale mówić nic nie chciał, prosząc o osobne posłuchanie.

Flemming, Fürstemberg i inni ustąpili po chwili: zostali sam na sam.

— Cóż mi powiesz generale—zapytał August — może szczęśliwą przynosisz nowinę, że Szwedzi wychodzą?

Uśmiechnął się boleśnie.

— Nie, N. Panie—chwilę pomyślwszy odezwał się Schulenburg—byłby może jednak środek pozbycia się ich.

— Przyznam ci się że go nie widzę, chyba by Pan Bóg zesłał wojsko swoje z Michałem Arhaniołem na czele, pod twoją komendę.

— Królu — przerwał Schulenburg -- zdaje mi się że z trochę rozpaczliwej odwagi obeszlibyśmy się bez archaniołów. Szwedów rozsianych po całej Saksonii jest dwadzieścia kilka tysięcy, garść to tylko, którą jeden śmiałek straszną czyni.

Tego śmiałka pochwyć, a reszta nie będzie dla nas straszną.

— Co ty mówisz? pochwyć? wśród pokoju? nie obawiającego się, ufającego nam!

— To właśnie czyni słuszną naszą zemstę możliwą—odezwał się Schulenburg.

Z oficerami naszej jazdy schronionymi przy granicy Turyni rekognoskowałem jego kwaterę. Słabo jest obwarowaną. Mogę nocą napaść nań i porwać go. Zawiozę do Königsteinu... niech go oblegają: nie dam się tam. Zresztą głowa króla rę-

czyć mi będzie za bezpieczeństwo i podpisze mi naówczas taki traktat jak my zechcemy.

August słuchał z uwagą.

— A jeśli ci się nie powiedzie?—zapytał.

— Nie powiedzie się naówczas mnie, a nie wam N. P.—rzekł generał.—Ja kraj chcę ocalić i Europę od młodego dra-
piezcy, który ją gotów ogniem niszczyć i mieczem.

— Generale—mruknął król—zdaje mi się że ci się śni, w żadnym razie ja rycerski obyczaj szanując najwyżej, na nie-
przyjaciela w ten sposób zdradziecki, podstępny napaśćbym nie
dozwoilił: nie mogę—dodał zapalając się. Nienawidzę go, za-
dławiłbym go gdyby mi się dostał w ręce, ale go chwytać
wśród nocy, ale go napadać gdy mi ufa: nie! Generale, to nie
Augusta mocnego rzecz.

Schulenburg ponuro nań spojrział.

— Zawszeż się z tobą królu po rycersku obchodzono?—
zapytał.

— Wolno jest gburom jak ten młodzik czynić co chcą, to
są nieokrzesani barbarzyńcy; ale August którego lud zowie
mocnym, a monarchowie wspaniałym, nie dopuści się tak nizkie-
go czynu.

Stary wojak węża pokręcił kłaniając się.

— A gdyby się go nieposłuszny żołdak dopuścił?—za-
pytał.

— Musiałbym nieprzyjaciela bronić i sam go uwolnić!—
zawołał August—to nie ulega wątpliwości.

— Jest to nadzwyczaj rycersko i pięknie—rzekł Schul-
enburg niemal ironicznie—ale...

Nie dokończył i skłonił się nisko.

Odchodzącego król ujął za rękę.

— Kochany generale, proszę cię rzuć tę myśl i nie mów
o niej nikomu. Nie, nie chcę tym kosztem zwycięstwa.

Schulenburg podniósł zbladłe oczy jak gdyby pytał niemi,
czy wydanie Patkula, czy uwięzienie Imhoffa i Pflingstena, szla-
chetniejszymi były czynami nad krok, którego się August
wzdrygał.

Król zrozumiał może ten wyrzut niemy, domyślił się co
znaczyło milczenie, bo po twarzy krew mu falą purpurową prz e-
biegła.

Schulenburg stał smutny.

— Czémś rozpacziwém ratować się musimy—mruknął pod wąsem — pospolitemi środkami, zapóźno. Kość trzeba rzucić o życie lub śmierć. Nie mamy do stracenia nic... Stracona korona jedna, która kosztowała miliony; złamana druga, a poniej szczątki tylko, cóż dalej będzie?

August z uśmiechem na ustach przeszedł się po gabinecie.

— Wiész co będzie dalej? — spytał—oto uzuchwalony młodzik pójdzie dalej. Kilka zwycięstw dały mu szaloną, zuchwałą, nieopatrzoną odwagę... rozbije się z nią o jakiś zuchwały zamiar, bo sił rachować nie będzie. Dlaczegoż mamy się plamić, by przyspieszyć tylko to co nieochybne? co nieodzowne? Czemu nie znieść cierpliwie przeciwności, aby później korzystać tylko z tego co kto inny dokona?

Karol XII wzbity jest w pychę; kłania mu się Europa przełękła... trzeba ją w nim karmić i dać jej się rozbujać, aż się sama gdzieś o mury roztrzaska.

— A tymczasem Saksonia... N. Panie!

— Al! lud ucierpi! zapewne—zawołał August—ale generale, lud jest jak trawa, którą gdy było stratuje, na przyszły rok zieleńszą jeszcze odrasta.

— Toć ludzie!—rzekł Schulenburg.

— Gmin—odparł król—w jakiz rachunek kto bierze masy i tłumy?

Zmilkli tedy a generał króla pożegnał. Już w progu wstrzymał go jednak.

— Mówiłeś z kim o tém?—zapytał.

— Oficerowie moi pierwsi mi tę myśl podali—szepnął Schulenburg—wiem że ją podziela gorąco Flemming, jak ja utrzymując, że przeciw zdradzieckiemu najezdźcy wszystkie środki są dozwolone.

— Wiedzą więc wszyscy?—niespokojnie powtórzył król.

— Odemnie? nikt—poważnie rzekł generał— od drugich może.

— Kaźcie milczéć!! na bogi! niech mi nikt z tém nie wychodzi.

Generał skłonił się znowu... król siadł w krześle zadumany.

Po wydaniu Patkula, to rycerskie uczucie było przynajmniej rzeczą szczególną...

XI.

Zuchwałe kręcenie się Karola XII po Saksonii, nie w jednym Schulenburgu obudziło myśl pochwycenia go i pomszczenia się klęsk kraju. Oprócz Flemminga, hrabina Cosel nieulekniona, śmiała, mściwa, myśl tę karmiła w cichości i spiskowała potajemnie. Cały jej dwór związany przysięgą, pracował nad tem. Ona to pierwsza przez oficerów, którzy tajemnie oglądali kwaterę Karola XII i przypatrzyli się jego wycieczkom w kilka koni, poddała myśl tę Schulenburgowi... Nie wspominała o tem królowi, wiedząc z góry iż on śmiałego tego planu nie przyjmie. Szła pełna zemsty kobieta dalej niż inni spiskowi, żądając ażeby Karola XII pochwyconego natychmiast zabito. Myśl ta rozgorączkowały ją, roznamiętniała, nie dawała jej spoczynku.

Lecz ilekroć zdala nawet i jakby przypadkiem starała się króla wybadać, August mówić o tem nie dawał. Trzeba więc było poza nim prowadzić sprawę. Nieprzyjawnego Cosel ale śmiałego Flemminga zyskano dla tej myśli; gorąco popierał ją Schulenburg i ofiarował jazdę swą do wykonania.

Cosel utrzymywała że gdy rzecz będzie dokonana, August oburzy się może, ale skorzysta, a nikt w Europie nie ujmie się za awanturnikiem.

Skrycie bardzo umawiano się, snuto, zabiegano, wreszcie Schulenburgowi polecono wybadać króla.

Po wyjściu jego z gabinetu choćby nikomu się nie zwierzał, z twarzy jego poznaćby było łatwo że projekt został odrzucony. Wieść się o tem rozeszła wkrótce.

Cosel jednak wcale się tem nie zraziła; czuła w sobie siły stanąć nawet przeciwko królowi i walczyć z nim o to.

August tajemnic dla niej nie miał; tegoż wieczora wydał jej rozmowę z Schulenburgiem. Hrabina porwała się z siedzenia.

— Jakto? nie przyjąłeś królowi...? nie chcesz spróbować przynajmniej odegrać swe straty na tym zbrojcy?

— Znajdzie się kto mnie pomści—rzekł król—mam to najmocniejsze przekonanie: nie mówny o tém.

Ze zmarszczonego czoła zmiarkowała Cosel iż nie pora była się sprzeczać, zaczęła więc zabawiać inną rozmową. Dworskie plotki wystąpiły na scenę...

Oddawna domagała się od króla aby ją kiedy do pracowni alchemika zaprowadził. Böttigera trzymano naówczas w baszcie narożnej zamku, z której był widok na Elbę i dalekie lasem okryte jej brzegi. Kilkanaście lat już więziony biédak, wśród tej niewoli utrzymywany był ze wszelkimi względami należnemi temu, od kogo się wiele złota spodziewa.

Fürstemberg co chwila łudził króla że cel jest prawie dopięty. Sam on pracował z więźniem, to we własnej pałacowej swjej chemicznej kuchni, to na tarasie. Böttiger miał tam mieszkanie wygodne, prawie wspaniałe, ogród pełen kwiatów i drzew zamorskich, stół na srebrze, u którego mnogich gości przyjmował, a dla rozrywki pozwolenie przechadzki po całych czarnych gankach, długiej galeryi, która zamek i twierdzę otaczała i służyła królowi także do tajnych jego wycieczek. Oswoivszy się ze swym losem, widząc że z pod straży wydobyć się nie potrafi, Böttiger bawił się już raczej i łudził Fürstemberga... niż na seryo myślał o złocie. Wyczerpał wszelkie formuły, przeczytał wszystkie książki, wypróbował wszelkie recepty: na próżno!

Widząc jak Cosel jest wszechmocną, więzień skarbiąc jej łaski zdaleka, co dzień jej z najpiękniejszych swych kwiatów bukiet posyłał.

Hrabina pragnęła go raz widziéć; król zwłóczył i odmawiał. Tego dnia była tak natarczywą, tak czułą zarazem, tak piękną, iż August wstał, podał jej rękę i rzekł:

— Chodźmy do Böttigera!

Nie było nikogo pod ręką coby mu oznajmił te odwiedziny. Król przez okno zobaczył Fröhlicha w śpiczastym kapeluszu opędzającego się dworakom, którzy go napastowali: śmiech się rozlegał dokoła.

August skinął na trefnisia.

— W sam raz poseł do oznajmienia o takich odwiedzinach—zawołał—wyszłę go przodem, ażeby mój alchemista miał

czas przywdziać suknię, lub żebyśmy go w zbyt nie przyzwoitóm nie zastali towarzystwie.

Böttiger o którego dobry humor dbano, przyjmował nawet i płec piękną.

W progu ukazał się Fröhlich.

— Na dziś, ale tylko do wieczora mianuję cię szambelanem—rozśmiał się król—ażebyś nie powiedział że darmo dźwigasz klucz tak ciężki. Idź i oznajmij Böttigerowi że bogini Diana odwiedzi go wraz zemną.

— Z Marsem, Apollinem i Herkulesem...—dodała Cosel uradowana..

— Cały więc Olympus—rzekł Fröhlich z ukłonem— a gdzie się on tam pomieści! Fröhlich z wielką powagą wyszedł laską torując sobie drogę, czarnym gankiem, ku baszcie narożnej.

Dnia tego właśnie wesołe towarzystwo zabawiało się u stołu alchemisty. Kieliszki i dowcipy krążyły. Książę Fürstemberg wielki przyjaciel Böttigera, sławny amator alchemii Tschirnhausen, sekretarz i nadzorca Nebnitz, znajdowali się wśród gości. Grubemi mury otoczony pokój krążył w baszcie, który całe jój piętro zajmował, a służył więźniowi do przyjęcia gości, urządony był ze smakiem i wytwornością prawie pańską. Ściany okrywała jedwabna materya perska w kwiaty, złotemi laseczkami ujęta, ożywiały je zwierciadła, zapełniały sprzęty lakierowane i złoczone. Stoły i szafki zdobiły bronzy w smaku epoki. Maleńkie schodki w grubym murze, do których utajone wiodły drzwiczki, łączyły bawialnię tę z pracownią na dole, a drugie z sypialnią w wyższém piętrze.

Wśród swych gości Böttiger wyróżniał się piękną postawą, wesołą twarzą, z której tryskało szybkie pojęcie i dowcip swobodny i wesoły. Ubrany starannie wydawał się raczej majętnym szlachcicem w odwiedzinach niż owym sławnym więzionym człowiekiem wielkich tajemnic, wychudłym nad tyglami. Nie znać na nim było tego co przebył, ani wyteżenia sił na odsłonięcie wielkiego arkanu. Przy kielichu był najjowialniejszym z biesiadników, w towarzystwie najwymowniejszym żartownisiem. Właśnie gromadka gości wychylała kielich za jego powodzenie, a aptekarczyk miał jój odpowiadać, gdy poseł kró-

lewski w śpiczastym kapeluszu i ponsowym tego dnia fraku, zjawił się w progu.

— A! Fröhlich! Fröhlich!—zawołałi biésiadnicy—cóż ty tu?

— Przepraszam, nie jestem dziś prostym Fröhlichem, jak się panom zdawać może. Podobało się J. Kr. Mości kreować mnie na godzin dwadzieścia cztery szambelanem i w spełnieniu téj funkcji, wysłać z oznajmieniem że bogini Diana wraz z Herkulesem zaszczyli Böttigera zjawieniem się swoim. *Divi!*

Stuknął laską o podłogę; wszyscy zerwali się od stołu. Böttiger z Nehmitzem i zawołanym chłopakiem poczęli co najprędzej stół oczyszczać. Otwarto okna, gospodarz posłał po bukiety. Tschirnhausen, który znał dobrze gospodę, otworzył drzwiczki i spuścił się do laboratorium, aby ukryć się przed królem. Inni rozpierzchli się bocznemi gankami, wiedząc że czarnym gankiem król iść będzie: pozostali tylko Böttiger, Nehmitz i książe.

Z niezmiernym pośpiechem ustawiono sprzęty w porządku... posypano posadzkę kwiatami, bukiet z pomarańczowych kwitnących gałązek wziął Böttiger w ręce i stanął w progu.

Zjawienie się hr. Cosel w całym blasku piękności rozświeciło komnatę, u której wnijscia więzień przykłęknął.

— Bóstwa się na klęczkach przyjmuje, — rzekł — a ofiarą im tylko kadzidła i kwiaty!

Mrok wieczorny natychmiast rozbiło wniesione światło.

Z uśmiechem przyjąwszy z rąk gospodarza bukiet, Cosel podziękowała mu uprzejmie rozglądając się ciekawie i dziwiąc że tu nie było najmniejszego śladu „wielkiego dzieła.“

Król który wszedł za hrabiną wytłumaczył jój to pocichu.

— Ale ja właśniebym tam być chciała, gdzie się w pocie czoła, z modlitwą na ustach, dokonywa wielka tajemnica .

— Pani, — odezwał się Böttiger — jest to jaskinia tak straszna, wyziewy jój tak są nie zdrowe, pozór tak smutny, iż bóstwu zstąpić do tych piekieł się nie godzi.

— Ale ciekawość kobiéca! — westchnęła Cosel i spojrzała na Augusta. Król oddał to wejrzenie Fürstembergowi: książe ruszył ramionami.

— Pani hrabina nie nawykła chodzić po tak ciemnych i ciasnych wschodkach — dodał.

Niezważając na opór i wahanie się, Cosel odezwała się do Böttigera.

— Bóstwa rozkazują, prowadź nas i poprzedzaj.

To mówiąc zwróciła się do drzwi, gdy gospodarz w przeciwną ścianę pocisnąwszy brązowy guz w niejutkwiony, otworzył skryte wnijsie i z kandelabrem w ręku stanął w niém.

Nie sprzeciwiał się August milczący. Szli więc wszyscy po ciasnych i niewygodnych wschodkach, zamkniętych żelaznemi drzwiami od pracowni. Gdy je Böttiger otworzył, ukazała się ciężkimi sklepieniami zczerniałemi od dymu, okryta izba obszerna, jakby z starego zapożyczona obrazu. Przy grubych słupach jój było kilka pieców, na których stały ostygłe retorty i tygle; rozmaity sprzęt dziwacznych kształtów, mnóstwo flasz i słoików okrywały mury; na kilku stołach nagromadzone były stare księgi o mosiężnych klamrach, pargaminowe zwoje, zapisane arkusze i najróżniejszych kształtów narzędzia.

Wszystko to razem wyglądało tajemniczo, posępnie, dziwnie i obudzało jakiś strach w hrabinie, która się na ramieniu króla zwiesiła.

Böttiger podniósłszy do góry światło, stał milczący. August z pewnym poszanowaniem rozglądał się w téj pracowni wielkich nadziei, która wszystkim jego marzeniom dostarczyć miała siły, by się w ciało obróciły.

Gdy tak toczą wzrokiem po izbie i król posunął się kroków kilka ku stołowi, oko jego zatrzymało się z uwagą na przedmiocie, który wśród papierów się znajdował.

Było to kilka jaspisowój barwy filizaneczek, które wielkiemu znawcy i miłośnikowi porcelany, N. Panu, co mieniał ludzi za wazony japońskie, wydały się wschodnim wyrobem.

— Böttiger!—zawołał—co to jest! porcelana japońska, a kształty nie jój: zkądżeś ty to wziął? To przecie osobliwość rzadka!

— N. Panie,—kłaniając się nisko odparł gospodarz—to zabawka moja... Probowalem sobie z przywiezionej mi glinki zrobić coś nakształt porcelany.

Król pochwycił żywo podane mu naczyńko pięknego koloru i w milczeniu oglądał je, ważył, przeciw światłu w nie patrząc począł niedowierzająco.

— Jakto? utrzymujesz żeś ty to zrobił? ty?

Böttiger schylił się i z ziemi podniósł rozbitych kilka skorupek podobnych, potem z za papierów dobył kilka miseczek i podał je Cosel i królowi.

— Ale to najśliczniejsza w świecie porcelana!—zawołał król zachwycony.

Böttiger milczał.

— Tyś wynalazcą, tyś odgadnął ich tajemnicę,—kończył August—nim zrobisz złoto... Na Boga, rób mi porcelanę! Za jeden serwis w Chinach z memi herbami zapłaciłem 50,000 talarów... Prusak mnie zdarł i wziął mi kompanią najpiękniejszych ludzi za wazy olbrzymie... a ty możesz robić porcelanę i milczysz!!

— N. Panie, to była próba!

— Która ci się najszcześliwiej udała... Dla Diany pierwszy serwis robi Böttiger i złoży u jój stóp.

Widząc jak król zachwycał się wyrobem Böttigera, wszyscy się zbliżyli dla oglądania go; lecz oprócz Cosel i Augusta nie unosił się nikt. Fürstemberg myślał w duchu, że robiąc porcelanowe łupinki, Böttiger zaniedba tynkturę.

Król który się bawił gorąco wszystkim, ucieszył się bardzo swą porcelaną. Nie wiadomo czyby go więcej uradowała wieść o wyjściu z Saxonii Szwedów. Zabrał z sobą pierwszy kubek dając go Cosel do schowania i wyraziwszy całe swe zadowolenie Böttigerowi zabierał się do wyjścia. Ażeby uwolnić N. Pana i Cosel od niewygodnych wschodków, gospodarz otworzył drzwi, które wprost wiodły do jego ogródka i król poprzedzony przez służbę, która tu już czekała, udał się znów ku czarnym gankom do zamku wiodącym. Dzień to był pamiętny w historii Saxonii, która w istocie kopalnią złota zyskała w wynalazku przypadkowym Böttigera, długo pod karą śmierci zachowywanym w jak największej tajemnicy.

W kilka dni potem, daleko dramatyczniejsza scena poruszyła Drezno całe. Chociaż Schulenburg wyrzekł się zupełnie myśli pochycenia Karola XII, w skutek pierwszej swój z królem rozmowy, śmielsza daleko Cosel i ze swój strony Flemming, wcale jój nie rzucali. Nieopatrzność Karola XII, codzień prawie

nastęrczała zręczność wykonania śmiałej tej myśli: brakło ludzi i przygotowań.

Tymczasem zuchwały i ufny swemu szczęściu i odwadze Karol XII, jak gdyby wiedział o tych pokuszeniach, jak gdyby z nich się urągał, najswobodniej wędrował po kraju nieprzyjacielskim.

Nikomiu nawet na myśl przyjść nie mogło, ażeby śmiał sam rzucić się w paszczę nieprzyjacielowi i zjawić w samym Dreźnie. Krok taki mógł w zbolałym narodzie wywołać rozpacz, gdyby naród ten nie był zbytkiem i rozwiązłością przegniły i zepsuty.

D. 1 września, w ten sam dzień gdy ratyfikacją traktatu z Cesarzem o swobody dla protestantów szlązkich podpisał, Karol XII wyjechał z Altrandstadt. Szedł on w ślad wojsk swoich, które już od 15 sierpnia poczęły były pod dowództwem Rhenskyold'a, na Szlązk ciągnąć, ku Polsce i dalej ku północy. Znaczniejsza część sił jego już była nareszcie opuściła Saxoniją, kilka pułków tylko pod Lipskiem zostało. Około Meissen w Oberau Karol dnia 6 września stał główną kwaterą. Pięknego dnia jesieni, konno wyruszył na przejażdżkę, jadący z nim ze wzgórza ukazali mu w mgłę wieże kościołów Drezna.

Karol XII stał długo zamyślony, patrzył, milczał, na ostanku odezwał się do szczupłej garstki, która mu towarzyszyła:

— A no, tak blisko już jesteśmy: trzebaby tam dojechać...

Było z południa między trzecią a czwartą, gdy u bram Drezna stanął ten gość niespodziewany. Wrota twierdzy zamknięte były, Karol XII oznajmił się oficerowi jako posłany od króla szwedzkiego trabant. Zaprowadzono go z towarzyszami na główny odwach: przechodzący właśnie Flemming, przerażony go poznał.

Myśl którą oddawna nosił w sobie zdawała się domagać sama spełnienia. Karol XII był bezbronny, kilku ludzi mu tylko towarzyszyło, wpadł sam w ręce nieprzyjaciela. Flemming w pierwszej chwili prawie głowę postradał, umiał się jednak poskromić, i na zapytanie o króla, ofiarował się towarzyszyć do niego.

W tej godzinie August II zwykł się był często zabawiać w zbrojowni dokazując rozmaite sztuki i ćwiczenia siły. Tym

razem był tu także z hr. Cosel, która go na krok nie odstępowała, i trzaskał żelaztwa w silnych rękach, które siły téj tylko na zabawkę użyć umiały.

Śmiech wesoły rozlegał się pod sklepieniami gmachu, gdy zapukano do drzwi.

Król zawołał:

— Wnijście!

Spojrzał ku drzwiom, oczy hrabiny zwróciły się ku nim także, i osłupiał ujrawszy Karola XII. Flemming który szedł za nim, królowi i Cosel rozpaczliwe dawał znaki, do zrozumienia łatwe; żądał tylko skinienia aby zwołać ludzi i nieopatrzniego gościa pochwycić.

August stał jeszcze jak nie przytomny, gdy Karol XII pospieszył go uściskać, z wesołem:

— Dobry dzień, bracie.

Cosel wytrzymać nie mogła, twarz jéj zapłonęła cała: chwyciła króla za suknię.

— Królu, to przeznaczeń godzina! Jeśli ztąd wyjdzie cało... tyś winien.

Karol XII, zdaje się że słów tych dosłyszał, twarz jego przybrała wyraz surowy i pytający. August zwrócił się z zimną krwią do hrabiny:

— Proszę, rozkazuję, zostaw nas samych.

Hrabina z niecierpliwością właściwą swemu charakterowi już miała otworzyć usta, gdy król powtórzył stanowczo, marszcząc brew:

— Odejdź!

Cosel ustąpiła gniewne rzucając wejrzenie na Karola XII, który stał bardzo spokojny rozpatrując się pozbrojowni. W rozpaczy przechodząc chwyciła Flemminga, któremu téż pałały oczy. Flemming wruszył ramionami. Augusta wzrok nakazywał obojgu milczenie. Z wielką spokojnością król przyjął gościa tego.

— Wieleśmy słyszeli o sile waszój,—odezwał się szydersko nieco Karol XII,—radbym widzieć jeden z tych cudów, które tak łatwo czynicie.

Na ziemi leżał pręt żelazny, August go podniósł.

-- Dajcie mi rękę waszą,—rzekł z uśmiechem,—nie lekając się bym ją obraził.

Karol szeroką dłoń namuloną podał w milczeniu: August począł skręcać pręti opasał nim rękę króla. Spojrzeli sobie w oczy. Żelazo jak posłuszny sznurek obwinęło się około ręki. W chwili gdy na węzeł je ujął August, z uśmiechem zerwał to pęto i rzucał je na ziemię. W milczeniu przypatrzywszy się téj sztuce, zręczności i siły Karol poszedł za swym przewodnikiem po zbrojowni. Broni było podostatkiem.

— Macie żelaza dość,—rzekł lakonicznie Szwed,—co za szkoda, że ludzi wam dońniego brakuje.

Ze zbrojowni, która leżała w obrębie twierdzy nie opodal od bastyonu Böttigera, poszli królowie oba do zamku razem. Karol XII chciał powrócić do Dreznu rodzinę swego nieprzyjaciela odwiedzić; okazywał on dla niej i wprzód téj większy szacunek, im wybitniej odmawiał wszelkich względów Augustowi II.

Tymczasem z odwachu po mieście rozeszła się wieść o przybyciu Karola XII do Drezna, w towarzystwie zaledwie kilku jezdnych.

Imię jego obudzało nadzwyczajne zajęcie... protestanci szczególniej słysząc co uczynił dla ich współwyznawców na Szlązku cisnęli się aby go zobaczyć. Ten młodzik dwudziestokilkoletni był naówczas podziwieniem Europy... Dwór, Flemming, co otaczało i przywiązane było do losów Augusta II wzburzone było zuchwalstwem bohatera, który urągał się zwyciężonemu, z urokiem tryumfatora wciskając się bezbronny do jego gniazda... Flemming rozplomieniony, Cosel rozgorączkowana... odgrażali się... Piérwszy z nich potajemnie kazał zwołać ludzi załogi, aby, chociażby mimowoli Augusta nieprzyjaciela pochwycić; Anna porwała pistolet i odgrażała się wybiez w ulicę, aby mu w łeb wypalić...

Poruszenie było ogromne, powszechne... widoczne już po drodze do zamku, którą August z Karolem przebywał. Jeden król zachował swą niewzruszoną twarz jasną i pogodną, którą zdawał się nakazywać wszystkim spokój... Zdała spostrzegął on przygotowania, które i oka Karola XII ujść nie

mogły. Szwed jednak ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu i odwagi...

Nie usiłował wcale skrócić swoich odwiedzin, nie spieszył się z powrotem, a że August rad był zatrzymać go także, może dla wyprobowania jego odwagi i cierpliwości, odwiedziny te przeciągnęły się bardzo długo. Karol poszedł pokłonić się królowej, prosił aby mu pozwolono uściskać młodego Kurfirsta... podwieczorku jednak odmówił chłodno. Pół godziny siedzieli na zamku, w czasie której Flemming miał czas zebrać ludzi, porozstawiać ich i na wypadek gdyby król w Dreźnie zatrzymać nie dozwolił nieprzyjaciela, wysłał na własną odpowiedzialność oddział jazdy, który na drodze do Meissen, miał go opasać i pochwyć.

Gdy Karol XII był jeszcze u królowej, Flemming potrafił króla wywołać.

—N. Panie—rzekł gwałtownie—jestto jedyna chwila w której wszystkich swych krzywd pomścić możesz... Karol XII w twoich rękach...

— Ufny w mój honor—odparł August—i dlatego włosmu z głowy nie spadnie.

— N. Panie—dorzucił Flemming—toby była śmieszność unosić się wspaniałomyślnością względem człowieka który takie zadał ci klęski... Ja mimo twój woli go pochwyć, choćbym miał za to stracić głowę.

— O głowę twoją mi nie idzie—rzekł spokojnie August—ale o coś większego nad nią: o mój honor królewski. Ani mi się waży nic przedsiębrać!

— Na własną rękę?—podchwycił Flemming.

— Nie masz własnej ręki, gdzie jest moja—rzekł August marszcząc się.

— Nie pozostaje mi tylko skruszyć szpadę, którą służyć wam nie mogę. To mówiąc generał chciał dobyć ją z pochew, gdy August go powstrzymał.

— Flemming, nie zapominaj że ja tu jestem, że moja sprawa idzie, i że nikt tu rozkazywać niema prawa... oprócz mnie... Odwrócił się groźny, generał zamilkł, spojrzeli na siebie, Flemming kipiał.

— N. Panie — rzekł — straciśz i drugą koronę tak postępując...

To mówiąc wymknął się, a król powrócił spokojny do żony, przy której zostawił gościa. Karol XII ani spojrzął na wracającego, chociaż mógł się domyślać iż za drzwiami radzono o nim...

W czasie gdy się to działo na zamku, Cosel chciała koniecznie wybiedz w ulicę, i znaleźć miejsce aby strzelić do Karola XII. Zaklika który ją widział poruszoną do nieprzytomności, wszelkimi sposobami starał się ją powstrzymać, szczególniej tą uwagą, że lud widział w Karolu możnego opiekuna protestantów i mógł się zburzyć w jego obronie. Takie było usposobienie większej części pospólstwa, które wylało się na ulicę i pojmując je August II musiał się też powstrzymać od wszelkiego gwałtu lękając wzburzenia ciżby.

August II kazał sobie podać konia, aby towarzyszyć nieprzyjacielowi. Ulice napełnione ludem, okna pełne głów ciekawych... nadawały miastu niezwyčajny pozór. Głuche, dziwne milczenie towarzyszyło przejeżdżającym, zdaje się że tłumy oddech przytrzymały aby usłyszeć choć słowo z rozmowy... ale rozmowy nie było... Wszystkie oczy wlepione były w Karola, który jechał spokojny, nieokazując po sobie najmniejszej oznaki jakiegokolwiek uczucia. Obok niego jechał August posepny i zadumany, ale majestatyczny. Wprost ulicami, przez które ledwie przecisnąć się było można... zwrócili się do bramy ku Meissen wiodącej. Król posłał rozkazując aby na cześć Szweda trzykrotaie z dział na wałach uderzono... Na pierwszy dział odgłos, gdy Karol XII zwrócił się dziękując, August przyłożył obojętnie rękę do kapelusza, z uśmiechem. U wrót i w chwili wyjazdu powtórzyły działa salwę... Karol XII chciał tu pożegnać gospodarza, lecz August znał nadto dobrze Flemminga i swoich by się nie domyślił iż na drodze postawią zasadzkę. Jedynym sposobem ocalenia Szweda od napaści a razem honoru własnego obyło przeprowadzić go tam, gdzie już niebezpieczeństwo żadne grozić mu nie mogło..

Przeprowadził więc król gościa w milczeniu obok niego jadąc pół mili aż do Neudorf... Tu rozstali się podając sobie ręce. Karol XII puścił się szybkim kłusem w dalszą drogę,

August pozostał chwilę zamyślony spoglądając przed siebie i ważąc źle czy dobrze postąpił, idąc za głosem honoru.

Stał jeszcze na gościńcu wśród zarośli, które za wsią po wytrzebionych lasach zostały, gdy Flemming nadbiegł konno gniewny, z zapalonemi oczyma.

— N. Panie—zawołał—jeśli sądzisz że Europa podziwiał będzie wspaniałomyślność twoją. i myślisz że zapłacisz jej wypuszczeniem Karola za uwięzienie Patkula, mylisz się... Rozśmieją się ludzie z tego bohaterstwa... Tego krwi chciwego młodzika trzeba było we własnej skąpać posoce...

— Milczeć Flemming!—zawołał król groźno, i sam jeden pobiegł do miasta...

U wrót pałacu czterech pór roku zsiadł z konia... tu go czekała Cosel gniewniejsza od Flemminga... zalana łzami, zrozpaczona.

— Nie przystępuj do mnie—zawołała...—popełniłeś błąd, odrzuciłeś moją radę: nie chcę cię widzieć.

Dwadzieścia kilka milionów ze skarbu, kilkadziesiąt tysięcy ludzi... śmierć twych oficerów, wstyd swój, wszystko mogłeś pomścić i nie chciałeś, nie umiałeś, lękałeś się... Słaba kobieta byłabym szlachetniej pomsty się chwyciła na twém miejscu...

Król padł na kanapę i dał się hrabinie wygniewać: nie odpowiadał słowa: dopiero gdy znużona padła płacząc na siedzenie, rzekł zimno.

— Plamić rąk zemstą nie chciałem: pomści się za mnie kto inny...

Nazajutrz jednak sam on widząc jak wszyscy mu wyrzucali jego zbytnią powolność, kazał zwołać radę wojenną. Rada z Flemmingiem razem objawiła zdanie, iż człowieka co tylekroć wymaganiami swemi pogwałcił prawa narodów, godziło się mając w rękę uwięzić i wymusić na nim inne pokoju warunki tak, jak on je na znękanym Auguście wymógł bezlitośnie.

Król zmilczał.

Mówią, że o tej radzie później posłyszawszy w Wiedniu poseł szwedzki rzekł z pogardą: Jestem pewny, że uradzili tam nazajutrz, co wczoraj zrobić należało...

XII.

Jeszcze król szwedzki nie opuścił ziemi saskiej, gdy August pocieszając się po wypadkach, które tak smutne na długo ślady zostawiły po sobie, z największą wspaniałością rozpoczął zabawy, na które wprawdzie czasu było dosyć, ale pieniądze wszelkimi sposobami musiano zdobywać.

Cosel była naówczas na szczycie swój wziętości i panowała despotycznie królowi i królestwu. Wszystkie zachcianki uwolnienia się od jej rządów rozbijały się o namiętność Augusta dla niej. Cosel towarzyszyła mu wszędzie; ona poddawała coraz nowe zabaw pomysły, a znając króla spocząć mu nie dawała na chwilę, aby nuda i znużenie nie miały czasu go opanować. Ona królowała wszędzie w blasku odmłodzonej piękności, uwielbiana przez cudzoziemców, uznana przez wszystkich co ją widzieli w tej epoce, niezrównaną i czarującą.

Wkrótce po odejździe Karola XII, po balach i karuzelach, zgromadziwszy na swym dworze mnóstwo cudzoziemców, posłów, błędnych rycerzy z całego świata, August wyprawił wspaniałą uroczystość strzelania do ptaka. Obok Augusta w złotój zbroi wszędzie na białym koniu swym ukazywała się strojna amazonka w najwykwintniejszych strojach, zdumiewająca zręcznością we władaniu rumakiem, w obejściu się z bronią, w bieganii do pierścieni. W tych ćwiczeniach, w których króla zachwycała, nauczyła się celować. Przytomny lord Peterborough nie umiał wyrazów znaleźć dla odmalowania swego zachwytu. Ukazanie się jej na placu witały strzały z moździerzy. Król wydawał się jej pierwszym dworzaniem, najświetniejszy krąg panów, magnatów, dostojników ją otaczał. Ona była królową zabaw, ona kierowała niemi; jakże nie miała upewnić się, że władza jej nigdy ustać nie mogła.

Gdy pocziwy i szczerze jej przyjaźny Haxthausen, gdy rzadko odzywający się Zaklika, któremu mówić nie było wolno, wspomnieli czasem zalecając baczność na przyszłość i przypominając płochość króla, Cosel marszczyła się i zżymała.

— Jestem jego żoną—odpowiadała—mógł porzucić kochankę, ale nie będzie śmiał małżonki. Zresztą wie co go w takim razie czeka: strzelę do niego i sama się zabiję.

Królem kurkowym został na strzeleniu tém poseł angielski M. Robinson, który z rąk pięknej Cosel otrzymał nagrodę. Obchodzono wielką uctwą to zwycięstwo.

Tak skończył się ten rok nieszczęśliwy zabawami bez ustanku następującymi po sobie. Cosel je wymyślała, król wykonywał. Nieprzyjaciele hrabiny nie śmieli już ust otworzyć, choć skarb był wycieńczony i kraj jęczał pod ciężarem wymysłów Hoyma.

Na wielkanocny jarmark do Lipska towarzyszyła królowi Cosel. Jarmarki te nad wszystko lubił August II, zrzucał naówczas królewską pychę z siebie, mięszał się z tłumem, ocierał o lud, szukał rozrywek najgminniejszych i z fajką w ustach po całych dniach widywano go w ulicach miasta, często w towarzystwie, które wcale dostojności królewskiej nie przystało. Dwór naówczas stawał u Apfel'a, czyli jak wówczas mówiono w gospodzie pod jabłkiem, bo dom kupca miał za godło jabłko złote. Szalono tam dnie i noce, zwabiając obcych i aktorki przybyłe z wędrującymi teatrami.

Cosel mogła tylko pilnować swego pana aby zbyt daleko się nie posunął w téj hulance zapamiętałej, ale powstrzymać go od niej nie mogła. Nawet gdy Karol XII był jeszcze w Saksonii, a jarmark opłaciwszy się stu tysiącami talarów zebrał się pod jego opieką, August się musiał zjawić na nim. Z całego świata awanturnicy i awanturnice zbierali się na ten mięso-pust szalony... a król rozrywki nawykł był szukać wszędzie gdzie tylko mógł ją znaleźć.

Dnia 12 maja w Dreźnie obchodzono dzień imienia króla, na który przybyli książę Eberhard Ludwik würtemburski i Hohenzolern; pito więc śmiertelnie i na zabój, strzelano, jeżdżono, polowano, a Cosel niezmordowana towarzyszyła zawsze i wszędzie królowi.

Na starych słowiańskich sadybach łużyckich w Niżycy, leży odwieczna osada u stóp góry którą „stołpami“ niegdyś zwano. Dziwną natury igraszką wyparte z łona ziemi siłą jakąś potężną, sterczą tu bazaltowe słupy czarne, ściśnięte jakby ręką duchów, obrobione w foremne olbrzymie kryształły. Na tych skałach, które żelazo z trudnością pożyć może; przed wieki wzniosł się gród panujący i broniący u stóp jego rozłożoną osa-

dę. Z wierzchołka góry z której wnętrzości wychodzą czarne słupy, wzrok sięga w dalekie kraje dokoła; na południe widać wyniosłości lasami okryte gór saskich i czeskich, ku zachodowi sterczy grzebień miedzianych gór Saksonii; bliżej jak olbrzymie ucięte piramidy widać zamkowe skały, na których siedzą Sonnenstein, Ditterzbach... Ohorn, na wschód lasy i góry Hochwaldu: w linii dalej majaceją osady czeskie.

Stary zamek Stołpeński, który biskupi mejssenscy posiadali i ozdabiali, starając się go ukrzepić, stał jeszcze wspaniałe acz smutno przedstawiając się oku ze swemi śpiczastemi wieżycami często nawiedzanemi od piorunów, ogromnemi mury okolnemi, basztami i bazaltową podstawą, którą go natura opasała. Przy zamku znajdował się zwierzyniec... w poblizkich lasach nie brakło zwierz. August II, gdy go jednostajność nudziła, przejeżdżał się chętnie po kraju.

Jednego lipcowego dnia pięknego, nim skwar dopiekać zaczął... już konie do przejażdżki stały gotowe pod zamkiem. Dniem wprzód jeden z współbiesiadników opowiadał królowi o dziwnej górze z słupów jakby żelaznych zbitęj, na której stał Stołpeński zamek. Król go sobie nie przypominał: chciał go widzieć.

Rosa jeszcze okrywała drzewa i trawy, a słońce zwolna podnosiło się nad opary ziemi, gdy konie rżały już u ganków a służba liczna zwijała się czyniąc przygotowania do drogi. August miał siadać na koń, gdy od Cosel posłany przybiegł Zaklika z pytaniem, gdzie N. Pan udać się miał zamiar.

— Powiedz twój pani, że jadę widzieć Stołpy—rzekł król— a jeśli chce, niech mnie dogoni, bo czekać dla skwaru nie mogę i nie doczekałbym się nimby ze strojem skończyła.

Cosel ledwie z łóżka wstała, niecierpliwie wyglądała oknem, gniewając się już iż jej znać nie dano o wyprawie. Gdy Zaklika przyniósł odpowiedź, a razem ujrzała króla siadającego na koń, ubodło ją to mocno iż czekać nie chciał. Kazała siodłać konie; zaproszono Haxthausena i kilku młodzieży: wszystko w pół godziny miało być gotowem. Cosel postanowiła pokazać królowi, iż długo się stroić nie potrzebuje aby być piękną. Chciała go dopędzić nim u Stołpów stanie. W pół godziny zaproszeni towarzysze wyprawy stali z końmi, biały arab Cosel

z długą grzywą, z siodłem ponsowym aksamitem obitým i kutým złotem, rżał z niecierpliwości. Piękna pani wybiegła i zdumiała swych wielbicieli. Strój jój był dziwnie do twarzy. Na głowie miała kapelusik niebieski z piórami białým i lazurowým, na sobie żiustokor tegoż koloru, cały szamerowany złotem; biała szeroka suknia z tyftyku, bramowana złotem dopełniała stroju. Skoczyła na konia, który przysiadł dla niój i wstał zaraz cały drżący rwąc się do biegu. Wdzięcznym usmiechem piękna królowa powitała swych towarzyszków.

— Panowie—zawołała wznosząc do góry rączkę strojną w biczyk, którego rękojeść połyskiwała drogiemi kamieniami— Król JM. wyzwał mnie do wyścigu. Jest pół godziny jak ruszył; choćby konie popadały, a jam miała szyję skręcić... lećcie konie wyskoczą! Kto mi sprzyja, za mną!

To mówiąc zuchwała amazonka zwróciła konia ku bramie, ściągnęła cugle, zmarszczyła brwi i pomknęła wprost na ulicę. Troskliwi o nią Zaklika z jedną, koniuszy jój z drugiej strony, stanęli, aby w przypadku konia pochwycić i śmiałą rycerkę ratować mogli. Reszta towarzystwa sunęła za nią. Biały arab pomknął od razu chyżo; zatętniał most pod kopytami koni, przelecieli stare miasto, w prawo droga wiodła na lasy do Stołpów. Szczęściem gościniec był szeroki i piaszczysty, chwila poranna i orzeźwiająca... konie wypoczęte i silne. W milczeniu sunął w tumanie pyłu błyszczący orszak hrabiny, jak gdyby wichur go pędził. Arab wyścigał inne konie, Cosel z czarným okiem w którým ogień jakiś pałał, z zarumienioną twarzą, z usty półotwartemi, zdawała się napawać tą jazdą szaloną.

Przelatywali góry i lasy, łąki i ciche puste pola gdzieniegdzie nad drogą wydarte; kraj w tój stronie mało zasiedlony naówczas, wendyjskie tylko wioski z ich chatami o drewnianych podsieniach i wysokich dachach migwały w sadach wiśniowych. Po drodze gdzieniegdzie spotkany wieśniak zdejmował czapkę przed zjawiskiem cudowným... a nim na zapytanie o króla mógł odpowiedzieć, jeźdźcy mu w kurzu obłokach znikali.

Konie okryły się pianą, koniuszy po godzinie takiego biegu zaklinał by się zatrzymać. Cosel słuchać nie chciała, w ostatku zwolniła nieco biegu i u wrót starój chaty sama zatrzymała białego. Stanęli wszyscy... konie dyszały i parskały.

We wrotach od podwórka stała kobieta żółta, wynędzniała, okryta płachtą, podparta na kiju. Popatrzała na jeźdźców z jakąś obojętnością, jakby innego świata istota i odwróciła oczy.

Raz tylko wzrok jej spotkał oczy Cosel, a piękna królowa wewnątrz zadrżała od niego.

Spytano kobiety o orszak królewski: potrząsała głową.

— Alboż wiem co król i co królewskie?—zapytała.— My królów nie mamy... nasi pomarli,

Mówiła to zwolna i obojętnie i mową łamaną i akcentem obcym.

W chwili gdy ją rozpytywać zaczęto, z chaty wyszedł w granatowym przyodziewku z wielkimi guzami, mężczyzna lat średnich... z włosami długimi, w krótkich spodniach i pończochach; zdjął kapelusz pokornie i gości pozdrowił czystą saską niemczyzną.

Zawiadomił on że król przed trzema kwadransami może w istocie przejeżdżał drogą, ale parł tak konia, iż go pewnie dogonić nie było podobna, chyba gdzie spoczywał, a do Stołpów nie potrzebował król wydychać.

Cosel straciła nadzieję wyścignienia go, spytała o krótszą drogę, choćby być miała najgorszą; ale żadnej nie było, gdyż w prawo doliny były przerzniete trzęsawiskami i gęstymi zaroślami, którycbby konie przebyć nie mogły...

Cosel skoczyła z siodła, dając chwilę spoczynku swym towarzyszom. Gorąco dopiekało, rzucili się wszyscy do wody: Niemiec ofiarował się z piwem... Na ten raz i wiejski ów napój przykwaśniały wydał się wysmienitym...

— Cóż to za kobieta?—spytała Cosel gospodarza wskazując żebraczkę stojącą ciągle o kiju w bramie i wcale nawet nieokazującą ciekawości dla pięknej pani.

Niemiec wzruszył ramionami pogardliwie.

— To jest... słowianka... wendka! Nie mogę się jej ztąd pozbyć... Mówi że ten dwór niegdyś do jej ojca należał... Mieszka tu gdzieś nieopodal w ziemiance wykopanęj a raczej rękami wydartęj pod górą; nie wiem czém żyje, a chodzi mi po polach całe dnie i mruży: któż wie, pewnie szatańskie jakie zaklęcia! bo to niezawodnie czarownica... Chciałem jej

zapłacić by sobie poszła gdzie dalej, ale się ruszyć ztąd nie chce, mówiąc że to ojców jęj ziemia i że na nięj umrzeć i kości złożyć musi.

Nieraz nocą gdy burza ryczy, ona śpięwa, a nam dreszcz chodzi po skórze słyszając ten głos... I nie bardzo ją wypędząć można—dodał coraz ciszej—umię ona wiele, zaklęcia ma na szatanów że jęj służą, i czary straszne.

Po chwili z westchnieniem dodał:

— I prorokuje przez szatana... a doprawdy nie myli się nigdy...

Cosel zaciekawiona zwróciła ku nięj oczy i podbiegła... Ona jedna była tak śmiała, bo reszta towarzystwa na wzmiankę o czarach rozsunała się i rozpierzchnęła ustawiając nieco opodal.

— Jak jęj imię?—spytała Niemca.

Zawahał się gospodarz i tak cicho że go ledwie usłyszeć było można szepnął: Mława.

Choć Cosel z trudnością rozeznała głos jego stłumiony, stara ruszyła się jakby posłyszala swe imię; podniosła głowę wychudłą dumnie, strzepnęła długimi włosy które ją wkoło obwieszały, i zdawała się obrażona szukać oczyma czarnymi winowajcy co śmiał wymówić jęj imię.

Cosel niezważając na podziw tych co ją otaczali zwolna zbliżyła się do staręj. Przez chwilę śmiało obie patrzyły sobie w oczy.

— Kto ty jesteś stara?—spytała w końcu Cosel—żał mi twych siwych włosów sponiewieranych w pyłe i nędzy twęj; powiedz dlaczego jesteś tak biędna? jak..?

Mława potręsała głowę.

— Ja nie jestem biędna—odezwała się dumnym głosem—ja w sobie noszę jasnych lat pamiątkę, ja tu jeszcze jestem częm był mój ród dawnięj: królową...

— Ty? królową?—rozśmiała się Cosel...

— Tak! mogłam być nią, bo krew królów tęj ziemi starych płynie we mnie, tak jak ty... choć dziś królową jesteś, możesz być jutro nędznicą mnie podobną... Na świecie wszystko możliwe...

— Jakich królów, jakięj ziemi? — poczęła zadumana Cosel—ty?

Stara podniosła rękę i wskazała kraj dokoła.

— Wszystko to było nasze... wszystko, pókiście wy nie przyśli i ziemi nie skuli, a nas nie wybili jak dzikiego zwierza. Bo myśmy byli dobrzy i szliśmy z chlebem, solą i pieśnią, a wyście szli z żelazem, żagwią i śmiechem... I siedliście i rozmnożyło się plemię Niemców i wyparło nas z ojcowizny... To ziemia moja!—powtórzyła zadumana—i choć tu żyć nie mogę, ja umrzeć tu muszę... Ztąd dusza do swoich znajdzie drogę...

— Umiesz wróżyć?—spytała Cosel po chwili, jakby gorączkową ciekawością zdjeta ..

— Jak komu? jak kiedy?—obojętnie rzekła Mława.

— A mnie?

Stara popatrzała na nią długo i z politowaniem.

— Poco ci wróżba?—spytała—kto doszedł tak wysoko, ten tylko spaść może: nie pytaj...

Cosel pobladła, ale uśmiechem chciała okazać męstwo, choć się jój wargi trzęsły a łzy nabiegały do oczów...

— Cóż mi powiesz? ja się niczego nie boję—rzekła.— Umiem szczęściu patrzeć w oczy jak w słońce, potrafię spojrzeć w ciemności...

— A gdyby noc była długą... długą...?

— Nie będzie wieczną?—odparła Cosel...

— Któż wie? kto wie?—szepiała Mława i wyciągnęła dłoń.

— Pokaż mi rękę...

Hrabina nieco się cofnęła lękając, by jój dotknąć nie chciała, naówczas wierzone w czary.

— Nie bój się, moja piękna—spokojnie odparła Mława—nie zbruczę ci białych paluszków... oczyma tylko jój dotknę...

Posłuszna Cosel zdjęła rękawiczkę, i śliczna biała jak z kości słoniowej utoczona dłoń błysnęła pierścieniami okryta przed oczyma zdumionej kobiety... Chciwie zmierzyła ją wzrokiem...

— Śliczna rączka! warta by królowie ssali z niej słodycze... ale, dziecko moje... straszne na niej znaki... Ta dłoń nie jeden raz dotknęła twarzy, która na nią zuchwale spjrzała? nieprawdą?

Cosel zarumieniła się, Mława głową wahając zamysłona stała.

— Cóż mi powiesz?—szepnęła niespokojna hrabina.

— Jedziesz do przeznaczeń twoich? Któż uniknął kiedy losu? kto kiedy przepaść zobaczył? Po długiém szczęściu czeka cię dłuższa, o! dłuższa pokuta... czeka cię niewola... dni nieprzeżyte, nocy nie przespane, łzy nie policzone... będziesz z dziećmi bezdzietną, będziesz z mężem wdową, będziesz królową a niewolnicą, będziesz wolną i odtrącisz swobodę... będziesz... o! nie pytaj...

Cosel blada była jak marmur, ale się jeszcze uśmiechać chciała: usta się jęj skrzywiły.

— Com ci przewiniła,—rzekła—że chcesz mnie przeziść?

— Ja się lituję nad tobą—odezwała się Mława.—Po co było chcieć wglądać w duszę moją... tam piołuny tylko rosną, ze słów gorycz płynie. Żal mi cię, — spuściła głowę stara.

Ty jedna! co ty jedna! to tysiące na tój ziemi przebolało... przejęcało i pomarło bez mogiły i proch ich wiatry rozwiały... Jak ty jęczały tysiące długą a długą niewolą... ojcowie moi, dziadowie moi, praszczury nasze, królowie, jam już ostatnia: Niemiec wypędził mnie z domu.

Nie mówiąc nic Cosel dobyła złoty pieniądz i chciała go położyć na ręce staréj, ale ta się cofnęła.

— Nie wezmę,—rzekła—ja!mużny nie chcę, a dług wasz zapłacicie kiedyś inaczej: liczą go tam!

Podniosła palce do góry i zerwawszy się otulona płachtą powlokła się poza płoty na łąkę.

W czasie tój rozmowy towarzysze Cosel szli w oddaleniu podziwiając jęj odwagę; niemiec także gospodarz wpatrywał się w tę scenę, od którój tylko ciche dochodziło go mrużenie. Nikt nie śmiał spytać Cosel dlaczego była tak blada, dlaczego zamysłona chwyciła konia za grzywę i siadłszy rzuciła mu prawie cugle na szyję, dając iść jak zechce.

I jechali znowu, lecz nie cwałem, nie pogonią: konie parskwały. Zdala ukazały się spiczaste piętrzące wysokie wieże. Koniuszy cicho wymówił:

— Stolpen.

Po godzinnój prawie drodze zdążyli do stóp zamku. Na przeciw palisady z bazaltów czarnych stała tu cała kalwaka-ta króla, oczekując zdala już dojrzanój hrabiny.

August wyszedł naprzeciw niej śmiejąc się.

— Godzinę najmniej czekałem!—rzekł.

— A jam półgodziny zmarnowała z jakąś żebraczką, której sobie wróżyć kazałam!—odpowiedziała Cosel.

Król zdziwiony spojrzął na nią.

— I wywróżyła?—zapytał.

Anna popatrzała nań i lzy jej z oczów pociekły. Było to tak dziwne zjawisko, że August się zmieształ i nastraszył. Uśmiechem i czułością starał się jej wesołość zwykłą przywrócić.

— Co za wspaniałe stare biskupów dawnych Meisseńskich zamczysko!—rzekł wskazując na mury.

— Szkaradne! okropne! straszne!—odezwała się Cosel wstrząsając—dziwi mnie, że król mógł tu jechać dla zabawy, gdzie groza i wspomnienia katostw i wojny królują.

— Bo, pani moja—przerwał August—oczy twe śliczne i najposepniejszą dla mnie mogą rozjaśnić okolicę: z tobą mi wesoło wszędzie.

I podał jej rękę, na której Cosel zamyślona sparkała się i zwiesiła. Poszli tak razem w okół straszego zamczyska. Hrabina była milcząca, król pogodnego oblicza; któż wie? myślał może, gdy mu na Sonnen i Königsteinie ciasno było z więźniami, tu niektórych umieścić, i dlatego zamek okrążywszy dookoła, zapragnął wniknąć do środka: Cosel go zatrzymała.

Stała w progu oglądając na czarne wieże i mury. Król poszedł dalej. Oglądał wieżę Donatha, zajrzał do izb gdzie niegdyś były katownie, przypatrzył się Janowej wieżycy zbudowanej przez biskupa Jana VI, i klucznik idący przodem pokazał mu znowu katownie drugie, podziemię zwane „Dół Mniszy“ (Mönchsloch), w którym karano zakonników, więzienia „Richtergehorsam“ Janowe i loch „Burquerssiess“, do którego skazanych po drabinie spuszczano. Wszystkie one były w dość dobrym stanie, lecz puste. August oglądał je z ciekawością zaostrzoną, jakby w nich szukał śladów ludzi i męczarni; naostatek rzuciwszy okiem na mury forteczne wyszedł powoli.

Zastał Cosel tam gdzie ją zostawił, w niezwykłym pogrążoną zadumaniu i z przestraczem niekiedy rzucającą okiem na wieże zamkowe.

— Cel dzisiejszej przejażdżki wcale nie wesoły—ozwała się głosem zmienionym—nie można jej nazwać rozrywką. Choć ciał nie widziałam zamku, robi na mnie wrażenie bolesne: zdaje się, że słyszę jęk ludzi co tu cierpieli.

August się uśmiechnął.

— Nie stało się to niewinnie—rzekł obojętnie—trudno mieć czułość dla wszystkich. Ale zkądże ci piękna hrabino, te czarne myśli przychodzą? Odwróćmy się plecami do zamku i idźmy do zwierzyńca. Kazałem tam pod namiotem rozstawić stoły... napędzą nam zwierza, ożywisz się i będziemy przyklaskiwali jak zwykle twój zęczości.

Jak król rozkazał stało się: u wnijsia do zwierzyńca, pod wspaniałym namiotem tureckim, który pamiętał Wiedeńską wyprawę, stoły były w gotowości. Cosel zajęła pierwsze miejsce. Słońce się było podniosło i dopiekało silnie, powietrze ciężkiem się stało do oddychania i skwar czuć było nawet w usposobieniach wesołego zwykle towarzystwa, które się rozbawić nie mogło. Kyan, który przybył z królem, smutny i zwieszony nad kielichem, nie próbował błysnąć dowcipem zawsze gotowym. August nie lubił w swoim otoczeniu takiego pogrzebowego milczenia, prędko więc obniesiono jedzenie, pozdejmowano srebra i łowczowie przynieśli strzelby, z którymi wszyscy weszli w głąb zwierzyńca.

Cosel poszła także z królem, ale z namarszczonemi brwiami; przypisywano to przepowiedni obłąkanej kobiety, na którą nastęczyła się sama niepotrzebnie. W uszach jej w istocie brzmiały wyrazy biednej Mławy prorokujące straszną przyszłość a choć w tej chwili nic w świecie domyślać się jej nie dozwalało, Cosel posępną była i smutną. August za nią okazywał nie zwyczajną wesołość i jakby na przekór unosił się nad pięknością Stołpów i mocą warowni, która u granic saskiego kraju mogła stać na jego straży.

Nad wieczór już po zabiciu kilku sarn i dzików, król siadł na koń. Cosel jechała przy nim, ale gdy wyruszyli od stóp góry i mijali już miasteczko, z zachodu nadciągnęła chmura czarna, przed którą znowu do zamku schronić się musiano. W mieście nie było innego gotowego na przyjęcie królewskich gości schronienia. Więc choć od wieków zamek Kurfirstów nie przyjmo-

wał, musiano zardzewiałe drzwi komnaty okrągłej w Janowej wieży otworzyć. Służba pomieściła się chroniąc od ulewy i deszczu pod bramą Donatową i w murach pustych twierdzy. August i Cosel schronili się do starej komnaty sklepionej.

Kilka stołków drewnianych, ławy i stół dębowy, składały cały sprzęt tego smutnego więziennego mieszkania. Cosel wszedłszy doń obejrzała się, wzdrygnęła i przytuliła do króla.

— Panie mój — rzekła — jakże tu okropnie, jak smutno, jak trupem czuć te pustki!

— Gdybym był przeczuł że się tu schronić będziemy musieli, byłbym choć jedną izbę przybrać kazał. Cóż chcesz, nikt tu prócz mnichów i więźniów a ich dozorców nie mieszkał. Nie jest to miejsce rozkoszy... mury choć nieme czuć przesłomością.

Jakby dla zwiększenia wrażenia téj chwili na umyśle kobiety, która może pierwszy raz w życiu strwożoną się czuła; na deszła ulewa z gradem tłukąc w okna oprawne ołowiem, sypiąc jakby kamieniami po dachach i błyskawice następujące bez przestanku po sobie, zdawały się w ciskać do izb wnętrza. Z ogromnym hukiem i przerażającą jasnością na wieżę Donatową uderzył piorun, objął ją płomieniem i zlał się ku ziemi. Cosel krzyknęła z trwogi, król stał nieporuszony... ognia wszakże nie wzniecił grom z góry, i po nim puścić się tylko deszcz rześsisty.

Pół godziny wrzał tak wicher z ulewą po nad zamkiem, kilka jeszcze piorunów padło w bliskości, aż na zachodzie złotym pasem oświecone pokazało się niebo i ciężar chmur czarnych na wschód się cały przewalił...

Deszcz skończył się jakby rosą cichą i słońce znowu z za poszarpanych chmur końców jasnymi promieniami strzeliło.

Cosel odetchnęła. A! jedźmy, panie mój — zawołała — jedźmy, jedźmy: ja tu nie mogę oddychać!

W chwilę już siedzieli wszyscy na koniach i orzeźwieni powietrzem burzą ochłodzonym, zdążali nazad ku miastu. Gdy przyszło przed chatą, u której stała Mława z rana, przejeżdżać, Cosel szukała jęj oczyma, ale tam jęj już nie było. Opodał nieco czatowała zdało się, aby króla zobaczyć. Milcząc rzuciła okiem

na Cosel i z politowaniem uśmiechnęła się do niej jak dawna znajoma: August konia spał odwracając się ze wstrętem.

Tak co dzień nową jakąś rozrywką starał się czas skrócić sobie odepchnięty od korony, co go tyle kosztowała, król August II. Miał on nienawiść dla Karola XII, narzekał na przeciwnne losy, lecz nic nie dorównywało jego niechęci ku niewdzięcznym Polakom. Im wszystkie przepisywał nieszczęścia swoje i ci co tajemnie mu sprzyjając przybywali się pokłonić jeszcze, jakby przeczuwając przyszłość, doświadczali od niego gniewów jakie miał w sercu dla całego kraju. Król siłacz co o sławę bohatera wojownika był zazdrosny, który się malować kazał we zbroi i rycerskiej postawie, nie mógł zapomnieć że go zwyciężył młodzik niepozorny i we własnym kraju mu się rządził.

Potrzebował podnieść swą sławę nadwierzoną jakimś czynem i wysługując się razem cesarzowi, wybrał się jako ochotnik z małą garstką ludzi przeciw Francuzom do Flandryi. Zachowywał jak najściślej incognito i wmieszał się w dwór księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Tu chciał koniecznie błysnąć odwagą, zyskać oklaski i narażał się osobiście do tego stopnia iż go ks. Eugeniusz i ks. Marlborough musieli odwozić, by próżno nie święcił tak drogiego życia.

— Na wojnie—rzekł król—trzeba być trochę kalwinistą i wierzyć w przeznaczenie.

Złośliwi ludzie szeptali z tego powodu, że król mimo świeżo przyjętego katolicyzmu, podobno w nic nie wierzył. „Powiadają że August wiarę zmienił—pisze Loeu—mógłbym to przypuścić, gdyby ją kiedy miał.“ To pewna, że już po przyjęciu katolicyzmu, ogromnemu psu faworytowi, bodaj temu co stłukł szacowną flaszkę z merkuryuszem Böttigera, różaniec kładł dla zabawy na szyję...

Nie długo wytrzymał na wojnie, która dlań była rozrywką, przewidując że oblężenie Lisle za długo się pociągnąć może, zatęsknił król do Saksonii—i Cosel.

Jednakże w ścisłym incognito pod imieniem hrabiego Torgau wstąpił do Brukselli, gdzie jak najpilniej mu było zaprosić sobie na wieczerzę tancerkę Dupare, do sławnego naówczas restauratora Vernus pod znakiem obfitości. Cztery panny z ope-

ry, król, Vitzthum, Bauditz i hrabia W... zabawiali się do rana, a August pannę Dupare do Drezna zaprosił. Znać mu już hrabina była coraz obojętniejszą, a życie tak ciężkie do dźwignania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Dzieło Amadeusza Thierrego:—Ś-ty Jan Chryzostom i cesarzowa Eudoksya.—Kongres japoński w Paryżu.—Si-Ka-Zen-Yo,—Antologia japońska tłumaczona przez p. de Rosny.—Jan Thommeray, powieść Juliusza Sandeau.—Podróż w około świata p. Hübner'a, dawnego posła austriackiego w Paryżu.—Stanowisko Niemców w Stanach Zjednoczonych.—Studjum nad Lamartinem p. Mazade.—Historja literatury hiszpańskiej przez amerykańskiego pisarza Ticknora, tłumaczenie na francuzki język p. Magnabal.—Zmarły akademik Piotr Lebrun.—Lista członków Akademii francuzkiej.

Zaczynamy dzisiejszą kronikę od krótkiego sprawozdania z najznakomitszego dzieła, jakie się w tych czasach pojawiło w literaturze francuzkiej na polu historycznym. Dzieło: Ś-ty Jan Chryzostom i cesarzowa Eudoksya jest niewątpliwie koroną prac zmarłego świeżo Amadeusza Thierry.

W żywocie św. Hieronima skreślił wielki historyk obraz społeczeństwa na zachodzie w czasach dziejowego przełomu, kiedy starożytny Rzym miał ustąpić z widowni świata; w żywocie św. Jana Chryzostoma kreśli niemniej smutny obraz społeczeństwa na Wschodzie.

Nie pierwszy to raz Amadeusz Thierry wyprowadza na widownię wielką postać arcybiskupa Konstantynopolu. W jednej z dawniejszych prac: *Recits de l'histoire romaine*, ukazał już tego wielkiego szermierza w zaciętych zapasach z ulubieńcem Arkadyusza, Eutropem. Chryzostom wyszedł zwycięzko z pierwszej walki. Druga stokroć zaciętsza przeciwko cesarzowej Eudoksyi stanowi główną treść obecnego dzieła.

Dramat dziejowy rozpoczyna się w roku 399. Eudoksya od lat czterech podziela tron z Arkadyuszem; piękność jej przyszła

do pełnego rozkwitu. Órka Franka Bauto, owa nieznana sierota, którą Eutropiusz odgrzebał w ciemnym zakątku stolicy i posadził na tronie, stała się zuchwałą, dumną, chciwą hołdów, złota i władzy. Pycha jej niema granic. Otrzymałszy tytuł *Augusta*,—żąda aby posąg jej strojny w insygnia cesarskie, przewożony z miasta do miasta, z prowincyi do prowincyi odbierał hołdy ludu. Słaby Arkadyusz ulega we wszystkiem jej woli.

Wpływ Eudoksyi przeciwważony wszakże innym wpływem: Arkadyusz boi się arcybiskupa. Szczerze religijny unika zatargów z kościołem; zresztą niezłomny charakter Chryzostoma silnie oddziaływa na jego umysł.

W témto starciu dwóch przeciwnych prądów leży główny węzeł dramatu.

Historyk wprowadza nas do pałacu Eudoksyi. Widzimy tu w około cesarzowej ugrupowaną piekielną ligę godnych jej towarzyszek. Na czele tej ligi stoją trzy wielkie panie: Marsa, Kastrucya, Eugrafia. Wszystkie trzy wdowy, niesłychanie bogate, przeżyły młode lata w zbytkach, wiek dojrzały w rozpucie; wszystkie trzy usiłują za pomocą sztuki zwodzić świat urokiem młodości, której już śladu nie zostało.

Ze wstrętem i oburzeniem pogląda surowy arcybiskup na te kobiety, ilekroć spostrzega je w kościele w orszaku młodej cesarzowej. Eugrafia szczególniej przystrojona w piętrzącą fryzurę, zamiast kornetu i wdowiej zasłony, pomalowana jak pagoda egipska, budzi w nim najwyższą odrazę. Nieraz biskup przemawiając z ambony zwraca głos do tych kobiet, nieraz chłoszcze je biczem słowa; oswiadcza nawet, że jeśli nie przestaną dawać światu zgorszenia, zamknie im drzwi przybytku.

Surowiej jeszcze gromi biskup słabe duchowienstwo, schlebające ówczesnemu zepsuciu, uległe cesarzowej.

„Czy słyszycie? grzmia trąby!—woła w świętym zapale—nieprzyjacieli kołace do bram grodu, pobudka wzywa zapaśników na wały. Tłumy biegną; rycerz tylko jeden zamyka się w domu własnym, odpasuje miecz i składa go u nóg niewiasty. Któż z was patrzyłby na to bez gniewu? któżby nie wysadził drzwi i nie przebił rycerza ostrym mieczem? Otóż i ja tak samo czynię z wami. Strzeżcie się wpływ kobiet wąpli ducha. Srogi i dziki lew, skoro mu zgołą grzywę, wyrwą kły i obetną pazury, staje się celem posmiewiska; dziecko prowadzi go na sznurku: pozostaje mu tylko ryk bezsilny! Kapłan odziany mocą duchową zmienia się w niewiastę, kiedy przebywa z niewiastami“!

Inaczej Chryzostom pojmował wielkie obowiązki kapłana. Opuściwszy za ledwie szkolne ławy udał się na pustynię; długie lata przebył w ciemnej grocie, blisko Antyochii na modlitwie i rozmyślaniu. Kiedy w pięćdziesięciu latach życia zasiadł na pasterskiej stolicy, widok zbytku i rozprzeczania tak w duchowném jak świeckim

społeczeństwie musiał razić oczy anachorety, niemniej surowego dla siebie jak dla drugich. Wkrótce też rozpoczął ową stałą a zaciętą wojnę przeciwko złemu: postanowił zetrzeć gadzinę w samym gnieździe.

W zapasach z zepsutym dworem i skażoną częścią duchowieństwa, miał Chryzostom wiernego sprzymierzeńca w prostym ludzie. Kochał on lud miłością kapłana i trybuna. Patrzył na bogaczy jako na szafarzy wybranych wolą Opatrzności dla rozsiewania Jój darów. Bogacz obojętny na cierpienia ubogiego, był w jego oczach bezbożnikiem i świętokradzcą; szalony zbytek możnych w obec nędzy, ubliżał boskim i ludzkim prawom.

O ile, jak mówi naczynny świadek *), Chryzostom zatapiał nóż w serca możnych i wykrawał z nich raka pychy; o tyle wystawiał cnoty prostego ludu. Kiedy trzęsienie ziemi dotknęło Konstantynopol i wstrzymało się nagle, Chryzostom zawołał z kazalnicy: „Przestępstwa bogaczy zapaliły gniew Boży i sprowadziły klęskę; cóż ją oddala? oto żyje i modlitwy ubogiego!”

„Na czém polega chwała mojego miasta?—mówi gdzieindziej—Nie na tém, że ma senat i konsulów, ale że ma lud wierny. Wnijdź do kościoła, ujrysz jak ubogi słucha pilnie słowa Bożego, jak stoi na straży przybytku! A wy—dodał wskazując na bogatych—z czego się tak pysznicie? Ztądli, że chadzacie w bławatach? Nie przyjdzie wam na myśl, że ten jedwab' uprzedły robaki, że one bławaty utkane ręką barbarzyńców? Przy całej pysze wyście niewolnikami, sługami skażonych serc waszych!”

W obec rozkiełznanój chciwości, Złotousty piorunem słowa gromi nieużytych samolubów.

„Ten nędznik nie patrzy na ludzi jak na ludzi, nie spojrzy w niebo, nie podniesie oczu do Boga, jako do Pana wszechrzeczy. Wszystkiém dlań złoto i marny pieniądz! Kiedy człowiek prosty rzuci wzrokiem na cierpiącego biedaka, serce mu zadrgnie i żyły popłyną mu z pod powiek, i odczuje boleśń bliźniego; zły bogacz przeciwnie, na widok ubóstwa staje się tém okrutniejszym. Prostý człowiek rad podzieli się z uboższym od siebie; zły bogacz radby wszystko zagrabił, wszystko posiadał. To zwierz, a nie człowiek; co mówię? on stokroć drapieżniejszy od zwierza! Niedźwiedź lub wilk, gdy syty nie biega już za łupem; zły bogacz nigdy nie nasycon!”

Z jakąż za to miłością podnosi biskup zasługi i szczęście ubogiego.

„Chcecie—mówi—a pokażę wam, że ubogi tylko jest wolnym! Sięgnijcie ze mną w przeszłość: Oto nieprześlągany Herod! Iluż-

*) Palladyusz.

to było wówczas potężnych światła! a któż stawiał mu czoło? Któż się okulił w pancerz odwagi, kto piorunem słowa zgromił tego gwałciciela przykazań Bożych? Czy bogacz? O, nie! raczej ubogi nędzarz, który nie miał ani łoża, ani stołu, ani dachu nad głową. Jan, ów przesławny syn puszczy, sam jeden przekroczył próg pałacu i wyrzekł: „Żyjesz w przestępstwie, Bóg potępią cię głosem moim!“

Lud Konstantynopolu z najwyższym zapalem słuchał pasterza: nieraz okrzykiem uwielbienia przerywał jego natchnione słowo; nieraz odprowadzał go tłumnie do drzwi pałacu i w razie niebezpieczeństwa czuwał pod jego progiem. Chryzostom poruszony często-króć do łez, dziękował ludowi za tę miłość stale mu okazywaną.

„Kocham was—mówił—tak jak wy mnie kochacie! Czemże byłbym ja bez was? Wy matką i ojcem, braćmi i dziećmi memi: wasza radość moją radością, wasz ból moim bólem!“

Niepodobna iść nam w ślad za historykiem, gdy wykazuje piekielną sieć intryg, w jaką nienawiść umotała biskupa. Oprócz cesarzowej i dworu: najzawziętym wrogiem jego był Teofil, patriarcha Aleksandryi. Wiedziony nienawiścią powołuje na sobór biskupów, równie jak on rozjątrzonych surowemi zasady Chryzostoma. Wyrok soboru składa go ze stolicy pasterskiej.

Cesarz Arkadyusz nie śmie spełnić wyroku. Wié on, że głos sędziów nie był głosem Bożym, lecz głosem nienawiści. Mściwa Eudoksya łamie opór słabego męża.

W kilka dni po zapadłym dekrete, wysłaniec dworski wchodzi w progi biskupa, wzywa go by natychmiast opuścił miasto.

— Okręt już gotów—rzecze—nie należy tracić ani chwili.

Chryzostom zadrzał, tłumy ludu obozowały przed pałacem.

— Oto jestem—rzekł—prowadź mnie kędy zechcesz.

I poprowadzono biskupa tajemną furtką w stronę portu. Gdy pod osłoną nocy wsiadł na okręt, lud czuwający w przystani otoczył tłumnie pasterza.

— Puście mnie—zawoła Chryzostom—winienem uległość Panu memu; nie dopuść Boże, aby kropla krwi była dla mnie przelaną! Powierzam sprawę moją przyszłemu soborowi!

Biskup wsiadł, okręt odbił od lądu, pomknął do miasta Hieron. Ztamtąd Chryzostom w obawie zdrady schronił się potajemnie do Nikomedyi.

Okropna to była noc w Konstantynopolu, noc łez i żałoby; historia kreśli smutny jej obraz. Lud w mierzającej boleści rozbiega się po kościołach. Niewiasty, dzieci, rzemieślnicy, słowem wszystka uboga ludność wylega z domów swoich; przybytki Boże nie ogarną tych modlących się tłumów. Miasto całe staje się olbrzymim kościołem!

Patriarcha Teofil otoczony orszakami Egipcyan wchodzi zwycięsko do stolicy; wchodzi po krwi i trupach, ale nie długi jego tryumf.

Tejże nocy straszna plaga, trzęsienie ziemi, dotknęła gród Cezarów. Najwspanialsza część miasta poszła w gruzy. W sypialni cesarzowej łoża podrzuczone w górę wali się i druzgocze z łoskotem. Strach ogarnia Eudoksyą; pół-żywa z trwogi biegnie do cesarza.

— Ten człowiek sprawiedliwym jest!—zawoła w uniesieniu— Bóg mści się jego krzywdy! Jeżeli chcesz zachować cesarstwo, przywołaj go natychmiast!

Zalana łzami klęczy u kolan męża. Poruszony Arkadyusz przyrzeka uczynić zadosyć jej woli.

Zaspokojona Eudoksyja pisze do biskupa. Błaga, niech nie sądzi jej zbyt surowo; składa wszystko na ludzi przewrotnych, którzy poprzysięgli mu zgubę.

I wyprawia gońca za gońcem. Słudzy cesarzowej odkrywają w końcu potajemne schronienie Chryzostoma, nakłaniają go do powrotu. Biskup siada na okręt. Dopływając nocą do miasta widzi tysiące łodzi oświeconych pochodniami, przebiegających po Bosforze; słyszy radosny okrzyk tłumów.

Waha się jednak. „Złożony wolą soboru—rzecz—nie mogę wracać do katedry inaczej jak na rozkaz soboru!“ I zatrzymał się opodal miasta. Próżno cesarzowa wyprawia znowu gońców; daremne błagania: biskup trwa niezłomny w oporze. Lud porywa go wrzście na bary, niesie do bazyliki, sadza gwałtem na tronie, klęka... ze łzami pasterz błogosławi swych wiernych.

Pokój zaprzysiężony uroczyście nie mógł jednak być trwałym. Eudoksyja ochłonawszy z przestachu wraca do nienawistnych, uczuła tym silniej, że czuje się upokorzoną w własnych oczach. Powołuje do boku oddalone chwilowo przyjaciółki tak wstrętne biskupowi. Dwór staje się jak dawniej stekiem intryg, gniazdem bezrządu.

Pycha cesarzowej podżegana pochlebstwem ulubieńców rozmaga się potwornie. Nie dość na tym, że ludu cześć jej posąg na najdalszych krańcach państwa; żąda pomnika w obrębie stolicy na wielkiem forum pomiędzy pałacem Cesarzów a bazyliką sofijską. Senat skłania się do jej chęci. I niebawem na wysokości kolumnie porfirowej posąg *Augusty*, ulany z szczerego srebra połyskuje na słońcu. Eudoksyja w koronie, z berłem w dłoni, góruje dumnie nad pałacem, nad miastem, nad kościołem.

Inauguracja pomnika odbywa się z dawną pompą przyjętą za czasów pogańskich. Przez trzy dni tłumy uczują na forum, wyprawiają igrzyska i pląsy. Mimicy i skoczkiwie przedstawiają bezecne widowiska w obec pijanej i rozpasanej tłuszczy.

Chryzostom patrzy na to ze zgrozą; słyszy z oburzeniem jak wrzawa uliczna zgłusza dźwięki kościelnych psalmów. Znosi skargę do prefekta: napróżno! Uniesion gniewem wstępuje na mównicę; piorunuje przeciw tym, którzy biorą udział w świętokradzkich igrzy-

skach; przeciw tój, która jest ich celem, która w niepohamowanej pyrze stawia się wyżej Boga. Słowa przebrzmiały, nikt ich nie zapisał, ale współczesni twierdzą, że ostre poiski miotane w tój mowie, przechodziły siłą i goryczą, wszystko co kiedykolwiek wyrzekł Chryzostom. Pałace słowa przebiegają z ust do ust; słyszy je Eudoksyja, biegnie do komnaty cesarskiej, woła gwałtem o pomstę.

Wojna rozpala się na nowo po dwumiesięcznem armistycyem; wojna to stokroć zawziętsza od pierwszej. Duchowieństwo nienawistne biskupowi podnosi głowę, zwołuje nowy sobór w samymże Konstantynopolu, wzbrania obwinionemu nawet prawa obrony. Miasto przedstawia ohydny obraz, krew zalewa stopnie ołtarzy.

„Złe ogarnia cały Wschód—pisze biskup do papieża Inocentego.—Jak w ludzkim ciele, kiedy głowa zajęta, choroba rozlewa się na wszystkie członki, tak z tego wielkiego grodu, bezrząd wybucha strasznym prądem i pochłania podrzędne miasta. Wszędzie wrą stronnicze spory; kler występuje przeciw biskupom, wszędzie nurtuje piekielna zaraza; tylko patrzeć, a świat cały będzie stekiem rumowisk, obrazem świętokradzkich gwałtów i zbrodni.“

Jeszcze list nie doszedł do Rzymu, kiedy biskup wygnany po raz drugi opuszcza stolicę na rozkaz nowego soboru. Wieść rozbiega się między ludem: tłumy oblegają bazylikę, rozbijają drzwi, wdzierają się do wnętrza. Zgiełk, wrzawa, lament; jedni depczą po karkach drugich: stopy trupów zawalają przybytek.

Lud począł ustępować, kiedy od tronu, zjąd biskup przemawiał zazwyczaj do wiernych połyska nagle światło. Słup rośnie, płomyki, niby węże ogniste przebiegają w około kolumn, pożar zapala podłogę, wybiega po nad dach, pochłania cały przybytek; pędzon wichrem północnym, ogarnia pobliski pałac senatu. Dach ołowiany kuryi topnieje i ścieka niby ognista powódź na marmurowe kolumny i posągi. Złoto, srebro, miedź, wszystkie metale spływają się razem i tężeją tworząc czarne potworne bryły. Płomień pożarł najpyszniejsze arcydzieła starożytnych, między niemi sławną grupę muz wprowadzoną z Helikonu przez Konstantyna. Runęły pałace możnych panów; rezydencya cesarska zaledwie ocalała.

Wśród gruzów bazyliki odkryto małą kapliczkę z dachem okopconym, lecz całym. Była to zakrystya arcybiskupa, raczej skarbiec, gdzie przechowywał kosztowne naczynia i ozdoby kościelne: lud widział w tём cudowny objaw woli Bożej, świadectwo niewinności pasterza.

Zarzut pożaru zwalono na przyjaciół Chryzostoma, tak zwanych Joanitów. Między innymi wtrącono do więzienia trzy sławne matrony: Olimpią, Amprukę i Pentadyą, wielkie panie, później diakonesy poświęcone żarliwie służbie Bożej pod kierunkiem biskupa.

Nie piękniejszego jak listy, któremi oddalony pasterz podtrzymuje ducha owych pobożnych niewiast. Kiedy Olimpia odparła z godnością ohydny zarzut, Chryzostom pisze do niej:

„Podobną jesteś córko onój orlicy, która w polocie ku niebu rozrywa kłępujące ją sieci i spokojna szybuje po wyżynach. Zważ dobrze co się stało; oblicz te prądy, które rzuciły cię w odmęt szalonych burz, a jednak nie pociągnęły do dna łodzi twój. Przepłynęłaś bezpieczna wściekle fale, przystań już niedaleka!“

Zobaczmy, jak w innym liście odpowiada na skargi Olimpij doprowadzonej do rozpacz, widokiem powszechnego skażenia i upadku.

„Płaczesz nad tylą klęskami, nie znasz ich celu, nie przewidujesz końca. Czarne myśli ogarniają cię, chmura smutna otacza twój umysł, wpadasz w zniechęcenie, bo nie rozumiesz stanu rzeczy. Nie myślę ja osłaniać złego, nie chcę przeczyć mu, ani go zmniejszać. Przeciwnie, chcę abyś zmierzyła się z niem oko w oko, abyś poznała całą jego szkaradę. Tak jest, my żeglujem w odmęcie strasznej burzy. Okręt nasz płynie bez kierunku po rozhukanym oceanie. Połowa majtków zatonała, trupy ich toczą się po fali przed okiem naszym. Druga połowa nie ujdzie także zguby. Już nie mamy ani żagli, ani masztu! Wiosła wypadły nam z rąk, rudel strzaskany, majtkowie siedzą na ławach i zaciskają pięści; nie zdolni myśleć, zawodzą rozpaczliwie. Noc czarna pokrywa im skały, huk bałwanów zagłusza im ucho. Morze samo dobywa z łona swego najstraszniejsze potwory i miota je na statek. Napróżno w tych obrazach radbym przedstawił okropne klęski, jakie nas przygnębiają. Zdołał je określić ludzkie słowo? A przecież ja, więcej niż drudzy doświadczony, nie rzekam się nadziei; podnoszę oczy w górę ku Najwyższemu sternikowi wszechświata, który wie jak sterować okrętem podczas burzy!“

W innym miejscu tak się wyraża:

„Wyobraźmy sobie człowieka, któryby nigdy nie widział, jak słońce wschodzi i zachodzi. Azaliż nie patrzy ze zgorzeniem, gdy jak promienista gwiazda dzienna zstępuje z widnokręgu, a noc pochłania ziemię? Pomyśli, że Bóg go opuszcza. A ten, który zaznał tylko wiosnę, nie będzie się gorszył, patrząc na zimę, tę istną śmierć przyrody? Gotów myśleć, że Bóg zapiera się własnego dzieła i porzuca świat, który stworzył! A ten, co widzi, jak sieją ziarno w rolę, jak to ziarno butwieje, pod śniegiem i szronem, azaliż nie pyta zgorzony, czemu ginie to ziarno? Ale ujrzy je później odrodzone i falujące złotym kłosem; a drugi ujrzy słońce wschodzące znów na widnokręgu i wiosnę następującą w ślad po zimie! I wonczas ci ludzie uzalą się nad własną ślepotą i ukorzą z poszanowaniem wobec wyroków Opatrzności. Toż samo powtarza się w porządku moralnym z przygodami życia naszego.“

Te listy i rozprawy pisane do Olimpij w ciągu trzyletniego wygnania, uważane są powszechnie jako nieporównane arcydzieło. „Filozofia starożytna nie wydała nic wspanialszego—mówi Amadeusz Thierry. Jest to najgłębsza analiza ludzkiego serca; dodajmy do tego styl wytworny, żywotny, obrazowy. Ztąd kościół Wschodu liczy

je do najpiękniejszych pereł korony swojej.“ Gdzież bogactwo poezji łączy się lepiej z prawdziwą mądrością, jak w tych słowach Złotoustego:

„Pomnij czcigodna pani, że dusza ludzka ukrzepia się w walce, mężnieje w próbach, jakie nią wstrząsają. Drzewa rosnące w ziemi wąż się; nie wydać im pięknych owoców. Te zaś, które wyrosły pod wpływem zmian powietrza, palone żarem słonecznym, szamotane wichrami, zdobywają siłę, wieńczą się koroną liści, rodzą wyborny owoc. Z rozbitków morskich najdzielniejsi bywają żeglarze! Powtarzaj to sobie i tym, którzy wraz z tobą biorą udział w tych wspaniałych zapasach. Nie trać odwagi, ożywiaj serca drugich; ucz ich jak mają gardzić marnym cieniem, czezym dymem, tęp błotem, które depeczą; jak śmiało iść do celu, jak w sieciach pajęczych nie widzieć trudnej do przebycia zapory!“

Chryzostom pisywał te listy pod wpływem najsroźszych cierpień tak moralnych jak fizycznych. Trawiony chorobą przebywał głuche stopy Frygii i Kapadocyi. Były to niezmierzone okiem przestrzenie: ziemia spalona na popiół nie wydawała tu nic, prócz chudej trawy. Oko wędrowca spotykało tylko gromady owiec i ubogie chaty pasterzy. Jedynym pożywieniem był czarny chleb rozmoczony w cuchnącej wodzie. Nigdzie świeżej murawy, ani źródła, ani rozłożystego drzewa. Chryzostom nie upadł duchem, ale siły jego węgły, gorączka trawiła go bezustannie.

Po siedmdziesięciu dniach najcięższego pochodu przez puste i spalone bezdroża pod napadami dzikich Izaurów, przybył nakoniec biskup do Kukuzy, ubogiej mieściny u podnóża Taurus. Nic okropniejszego jak klimat w tej zapadłej dolinie. Po duszącym skwarze letnim następowała twarda zima. Łańcuch gór porośnięty lasami, zawalonych śniegiem, przysłaniał dokoła widnokrąg.

W pośród tysiąca jaskiń ukazywano jedną, kędy przed laty Aryanie trzymali innego arcybiskupa Konstantynopolu, Pawła, skazawszy go na śmierć głodową. W takimto żywym grobie Eudoksya trzymała Chryzostoma. Z tego grobu Złotousty wysłała w świat słowa ukrzepienia i otuchy!

Bliskość Persyi otwiera mu szerokie pole do działania: postanawia nawrócić Persów. Wiść o tęp dobiega nad Bosfor. Drżą nieprzyjaciele w obec tęp nieustraszonej niczém energii. Nowy rozkaz przeznacza biskupowi miasto Pythiont nad Euxynem u stóp Kaukazu, ostatnią strażnicę rzymską, stykającą się z koczowiskami Hunnów i innych pogatówskich plemion.

Chryzostom wyruszył z Kukuzy. Współczesny Palladius skreślił wymowny obraz tęp wędrowki, której kres bliższym był, niż myślano:

„Trzy miesiące ubiegło, odkąd biskup przebywał góry i doliny, rzeki i bagna; dotarł nakoniec do Kamanu. Chory, strawiony gorączką, ledwie powłóczył stopy. Oblicze jego spalone było jak wę-

giel: głowa łyśa, czerwona, spadała na piersi niby dojrzały owoc, gotów oderwać się z gałązki za lada potrąceniem. O kilka mil od miasta był stary małeńki kościółek. Strażnicy przerażeni nagłą zmianą na obliczu chorego, z obawy, aby nie skonał im w drodze, złożyli go w owym kościółku. Chryzostom kazał poprowadzić się przed ołtarz, zażądał od zakrystyana białej szaty, bo czuł, że godziua jego już się zbliża; oblekł ją, własną odzież rozdał między obecnych; poczem przystąpił do stołu Pańskiego, modlił się gorąco. „Chwała Panu!“ wyrzekł z namaszczeniem i legł na płycie kamiennej, z kąd nie miał żywy powstać. Dusza jego strząsnęła proch ziemski i odeszła do ojców!“

Był w kapliczce nowy próżny grób; złożono w nim zmarłego. Stało się to 14 sierpnia 407 roku. Jan Chryzostom miał lat sześćdziesiąt; od dziewięciu lat był biskupem, od trzech z górą przebywał na wygnaniu.

Cesarzowa Eudoksya poprzedziła ofiarę swoją: słaby Arkadyusz sam jeden zapłakał nad jej grobem. Umarł też i Arsacy, nowy biskup Konstantynopolu, mianowany przez sobór. Śmierć dotknęła innych współników zbrodni. Tysiące plag spadło na gród Cezarów: pioruny, powódzie, trzęsienia ziemi, następowały w ślad po sobie. Przerażony Arkadyusz widzi w tych plagach wyraźną rękę Bożą; pisze list do świętobliwego pustelnika Nilusa, przebywającego na górze Sinai; błaga najusilniej o modły.

Nilus odmówił: „Chceszli—odpowie— abym śmiał zasylać modły za miasto, którego zbrodnie ściągnęły zasłużony miecz kary; za miasto, które wyгнаło Jana, kolumnę kościoła, pochodnię wiary, grzmiącą trąbę sądu Bożego?“

Słowa Nilusa przebrzmiały zgłuszone chórem głosów nienawistnych biskupowi. Arkadyusz złamany nawałem klęsk, chwiejający jak wiotka trzcina, pozbawiony ramienia Eudoksyi umarł w siedm miesięcy po skonie Jana Chryzostoma.

Ubiegło lat trzydzieści. Teodozy II zasiadł tron Cezarów na Wschodzie; wychowanek pobożnej siostry Pulcheryi, nakłonił ucha na głos ludu, domagającego się gwałtem zwłok pasterza.

Na rozkaz Teodozego odgrzebano ciało, sprowadzono je do Chalcedonii. Tam oczekiwał cesarz otoczony senatem i gronem dostojników. Tłumy ludu wyległy ze stolicy. Tysiące okrętów i łodzi okrążyło cesarski statek, na którym spoczywały relikwie. Morze łuną gorzało od pochodni.

Złożono trumnę w kościele Apostołów. Niegdyś Konstantyn Wielki zbudował go na grobowiec dla cesarzów chrześcijańskich i biskupów Konstantynopolu. Arkadyusz i Eudoksya spoczywali tam obok ojca. W chwili gdy postawiono trumnę Chryzostoma na płycie marmurowej, Teodozyusz zrzucił z bark cesarską purpurę i pokrył

nią sarkofag, a potem z czołem pochyloném ku ziemi błagał Świętego w imieniu rodziców, o przebaczenie krzywdy wyrządzonej przez nie-wiadomość.

Ukazano oiało ludowi. „Ojcie, zasiądź na tronie twoim!“—za-grzmiało tysiące głosów, aż się wstrząsły sklepienia bazyliki. Taki był ostatni tryumf Chryzostoma.

Większy tryumf czekał go jeszcze, dodaje Amadeusz Thierry: kościół mienił go męczennikiem bez krwi rozlewu.

Kongres japoński zapowiedziany w Paryżu zwraca uwagę świata naukowego na najdalsze krańce Wschodu.

Jeśli ludy ucywilizowane, tak skrzętnie, z taką miłością odkrywają zasługi jednostek, które przyczyniły się do rozszerzenia wiedzy ludzkiej; jeśli tém goręcej witają owe zasługi, im później je poznały i oceniły: cóż dopiero, gdy w miejscu jednostek staje przed oczyma świata kilkaset milionów ludzi dotąd zapoznanych? Nie mówimy tu o afrykańskich negrach, którzy nie nam dać nie mogą, ohyba pobudkę do politowania i ofiary; mamy raczej na widoku ludy zapadłego Wschodu, mieszkańców Chin i archipelagu japońskiego. Pierwsi z nich liczący do pięciuset milionów, przestraszają tylko Europę swoją ogromną masą, tém groźniejszą, że tak zamkniętą w swęj odrębności. Chińczycy w rzeczy samej biorą tylko z cywilizacji europejskiej te środki, które wzbogacić ich mogą materyalnie, a tém samém stać się przeciwko tejże cywilizacji niebezpieczną bronią w ich ręku. Zupełnie inaczej rzecz się ma z mieszkańcami Japonii.

Dwadzieścia lat dopiero odkąd Japonia weszła w harmonię interesów ze wszystkimi państwami, a współczucie jakie w niej się obudziło dla cywilizacji europejskiej przechodzi wszelkie oczekiwania. Każdy dzień prawie przynosi nam nowe tego dowody. Że ten silny prąd nie zależy wcale od jakiegóś pojedyncozłej wyższej duchem osobistości, że jest wypływem potrzeb całego społeczeństwa, widać to z radykalnej odmiany w formie rządu. Japonia, jak wiadomo, miała dwóch władców: Taikun sprawował rządy, podczas gdy Mikado odbierał część boską. Te dwie osobistości wzięte razem, przedstawiały w ideale jedność państwa; władza ich przeciw i tak już osłabiona podziałem, była jeszcze ograniczoną wpływami potężnych i bogatych książąt feudalnych, toczących bezustannie zapasy to z sobą, to przeciw centralnej zwierzchności. I owoż w jednej prawie chwili następuje radykalny przewrót. Taikunowstwo upada, postać Mikady wychyla się z poza dymu kadziel i ukazuje w ludzkich kształtach, dostępnych oczom śmiertelnika, a co więcej książęta feudalni zrzekają się praw udzielnosci dla wzmocnienia władzy cesarskiej. Wszystko to odbywa się bez nadzwyczajnych wstrząśnień; państwo nie cierpi na tém, prze-

ciwnie rośnie i rozwija się z nową siłą. Europa i Ameryka patrzą z podziwem na ten przewrót; podziw ich zmienia się w gorące współczucie i słuszne poszanowanie.

Duch przedsiębiorczy Japończyków o ile ich odróżnia od sąsiadów azjatyckich, o tyle zbliża ich do mieszkańców północnej Ameryki. I tam i tu przedsiębiorstwa realizują się na olbrzymią skalę. Śnać Japończycy radziby od razu porwać i przyswoić całą wiedzę, jaką ludy europejskie zdobywały w paśmie kilkudziesięciu wieków. Pęd ku temu żarliwy, wszechstronny: to powołują inżynierów z całego świata dla budowy dróg żelaznych, to pchają na morza pancerne statki, to wysyłają tłumy młodzieży do amerykańskich i europejskich wszechnic, to nakoniec zakładają sami kilkanaście uniwersytetów i kilkakaset szkół gimnazjalnych z wykładem nauk w formie europejskiej.

Kraj cały przyjmuje udział w tych reformach. Przewodzący obrali najwłaściwsze drogi do celu; weźmy np. wybór młodzieży wysyłanej za morza dla nauki. Nie sama władza centralna, ale każdy klan zajmuje się tym wyborem; niedawno oto wysłano pięciuset młodych Japończyków z najdalszych zakątków kraju na różne strony świata. A jakaż to musi być moralność tej młodzieży, jaki pochop do pracy, kiedy każdemu oprócz kosztów na podróż powierzają do rąk po 5000 fr. rocznie z jednym warunkiem, aby się doskonalił w gałęzi wiedzy, jaką sam sobie wybierze.

Równie radykalna zmiana daje się widzieć nawet w obyczajach i życiu domowym. Dostę tu przytoczyć fakt jeden. Mikada ów potomek bogów, który niedawno jeszcze w mniemaniu ludu żył tylko w stosunkach z duchami sfer niebiańskich, przed którym wszystko padało na kolana, dziś oto przebiega ulicę Yeddo w otwartym powozie, ubrany w paltot i okrągły kapelusz. Nikt przed nim nie upada obliczem na ziemię, wojsko w mundurach europejskich oddaje mu honory w europejski sposób. Kilka miesięcy temu przydował otwarciu kolei żelaznej między Yokohama a Yeddo, przy nim widziano jednego z braci ostatniego Taiknna. Później nieco przedstawiał cesarzowej małżonce swojej, całą europejską dyplomacją!

Widać ztąd że reformy w Japonii nie tylko zmieniają formy zewnętrzne społeczeństwa, ale co więcej, dotyczą ducha narodu. Historyczna przeszłość Japończyków nadzwyczaj ułatwia przeprowadzenie owych reform. Instrukcyja pomiędzy ludem tak tu upowszechniona, że trudno napotkać Japończyka w najniższej warstwie społecznej, któryby nie umiał czytać. Oto powody wielkiego współczucia, z jakim ludy ucywilizowane ścigają rozwój duchowy tego trzydziesto kilku milionowego ludu!

W końcu bieżącego miesiąca ma się odbyć w Paryżu pierwszy kongres naukowy poświęcony wyłącznie Japonii. Główni założyciele kongresu pp. de Rosny, Hervé de St. Denis, Oppert (których zasługi w wydziale nauk wschodnich dobrze już znane czytelnikom

Biblioteki), są dostateczną rękojmią, że ta próba połączona z wielkimi trudnościami, przyniesie prawdziwy pożytek dla nauki.

Członkowie komitetu postawili tylko sześć pytań, które określają najważniejsze zagadnienia dla Europejczyków.

1) Jakie pomniki literatury japońskiej tłumaczyć najprzód wypada?

2) Jak ujednostajnić ortografią w przepisywaniu tekstów japońskich?

3) Jakie są dokumenta ułatwiające zrozumienia tekstów w specjalnych wydziałach literatury naukowej i przemysłowej?

4) Jak wyjaśnić obecny ruch cywilizacyjny Japończyków i związek jego z cywilizacją europejską?

5) Jaki jest charakter sztuki japońskiej w różnych epokach i sposób jej zbadania?

6) O ile dzisiejsza literatura japońska silnie napojona ideami europejskimi powinna zajmować Europę? O ile postęp zrealizowany przez uczonych Japończyków może się przyczynić do postępu naukowego ludów zachodnich?

Kongres japoński zajmuje nas szczególnie z powodu tych trzech ostatnich pytań. Powiemy o nim w swoim czasie.

Korzystamy dziś z pracy jednego z głównych założycieli kongresu pana de Rosny, profesora literatury japońskiej w szkole specjalnej języków wschodnich w Paryżu. Uczony ten przetłumaczył rok temu dzieło *Si-Ka-Zen-Yo*, to jest Antologią japońską. Z tą ważną publikacją pragniemy obznajmić czytelników naszych. Daje ona poznać tę stronę życia Japończyków, z której lud ten pokazuje się w sposób bardzo a bardzo dodatni, a co najważniejsza w sposób przystępny dla ogółu; mowimy tu o utworach poetów i poetek Niponu.

Japończycy odnoszą do czasów mitycznych początek swojej poezyi. Isanaghi ostatni geniusz niebieski, który zakończył bajeczną dynastję władców, miał być wraz z małżonką swoją, twórcą najpierwszej ich pieśni. Tradycya wspomina innego jeszcze poetę Sosano Ono Mikoto, który nakreślił prawidła poezyi ustanawiając, że *Uta* (oda) ma tworzyć distich złożony nieodmiennie z trzydziestu jedna sylab.

Pewniejsze dzieje świadczą, że za czasów XVI cesarza Ozina, literatura rozwinęła się na wyspach. W roku 285 naszej ery, sławny Onin przybył tu z Korei; onto wprowadził pismo ideograficzne, on dał poznać dwa dzieła sławne u Chińczyków: *Rozprawy filozoficzne Konfucjusza* i *Księgę tysięcy wyrazów*. Uczeń Japończycy uważają w nim ojca literatury narodowej.

Odtąd uprawiano pilnie w Japonii sztukę pisania wierszy. W V wieku ery naszej, 412—453, Soto Oriyme, żona cesarza Inkyo zasłynęła jako poetka; napisała wielką liczbę ód, w których opiewa zale na niewierność małżonka. Mieniono ją bóstwem poezyi.

Najstarożytniejszym pomnikiem literatury japońskiej jest zbiór wierszy p. t. *Man Yo Syu*, (Kollekcyja dziesięciu tysięcy liści czyli kartek). Filologowie dopełnili ten zbiór mnóstwem komentarzy, bez których dawny język nie byłby dziś zrozumiałym.

Pierwsze objawy poetycznej sztuki japońskiej mają charakter samodzielny, później jednak wpływ Chińszczyzny silnie się odbił w literaturze Japończyków. Wówczas powstały liczne szkoły, które wyrabiały poezję na wzór chińskiej, szkoły różniące się w tém między sobą, że brały wzory z różnych okresów literatury państwa niebieskiego. Utwory tych naśladowców przechodząc od wieku do wieku stanowią literaturę klasyczną, chińską, w formie zaprawioną przecież barwą miejscową; obok téj kwitnie inna czysto narodowa poezya. Klasycyzm chiński jest tém samym w Japonii, czém była u nas łacina.

Teraźniejszy zwrot polega tak samo jak u nas na otrząśnięciu się z więzów szkołarstwa a rozwijaniu poezyi narodowej. Nowi poeci wprowadzili do wierszy formy gramatyczne używane w potocznej mowie, wbrew klasycznym tradycjom. Poezja piśmienna zbliżyła się do ludowej, obie odziaływają silnie na siebie; pieśń uczonych poetów przechodzi w usta ludu.

Narodowe pieśni japońskie zwane *Uta*, różnią się zupełnie od poemacików tworzonych na wzór chiński, zwanych *Si*. Pieśń *Uta* przypomina w pewnym względzie naszego krakowiaka, składa się bowiem z dwóch tylko wierszy: pierwszy z nich przedstawia najczęściej jakąś przenośnię poetyczną, lub obraz wzięty z przyrody; drugi wyraża po prostu myśl poety. Różnicę stanowi inna miara; kiedy każdy wiersz krakowiaka niema więcej nad zgłosek dwanaście, pierwszy wiersz *Uty* przecięty dwoma średniówkami, liczy ich siedmnaście, drugi zaś czternaście, razem trzydzieści jeden, według tradycyi z mitycznych czasów.

Antologia japońska *Si-Ka-Zen-Yo*, obejmuje próbki rozmaitych rodzajów poezyi tak narodowej jak chińsko-japońskiej, od czasów bajecznych do XIX wieku. Wydanie to nadzwyczaj staranne z tekstem oryginalnym, wszystkie pieśni opisane historycznie, dopełnione komentarzami; każdy dział poprzedzony ciekawym wstępem.

Na czele zbioru widzimy kilka pieśni ze starożytnej kolekcyi *Man-Yo-Siu*. Jest to osobliwość bibliograficzna dostępna małej liczbie wybranych. Nie wszyscy nawet uczeni mogą zrozumieć te ody pełne archaizmów, nie wszyscy pojmują znaczenie przenośni odnoszących się do zapomnianych zdarzeń historycznych. Przedmowa japońskiego erudyty nadzwyczaj charakterystyczna; oto jej początek:

„W gęstym lesie lingwistycznym z pomiędzy pomników starożytnego języka różnych epok, zebrano wielką moc poemacików i utworzono z nich kolekcyję *Man-Yo-Siu* (Dziesięciu tysięcy kartek). Autor jeden wy tłumaczył je i aby ukatwić zrozumienie ich drugim;

zebrał komentarze, jakie nad niemi napisano w liczbie tak wielkiej, że potrzeba pięć wozów a każdy uprzążony dziewięciu wołami, aby je przewieźć z jednego miejsca na drugie.“

Dalżej uczony opowiada ile miał pracy z poprawą licznych błędów, przy których czytanie szło chropawo „jakkbyś jechał wozem z nienasmarowanemi osiami.“

„Księgarz NN.—ciągnie filolog—wezwał mnie do przejrzenia dzieła. Wezwanie to pochlebiło mi, pokornemu literatowi; pochwycałem więc stary wytarty pendzel i nuż dodawać punktacją w nadziei, że to się przyda uczniom.“

„Pisałem w So-So-Han (chacie w zaroślach) czternastego roku ery cesarskiej (1843) jesienią. Nan Ryo Kyo Sya.

Oto małe próbki tychdrobnych pieśni. Zachowanie miary było niepodobieństwem.

Następca tronu zwiedzając niegdys górę Mifunę, zaimprovizował taki dwuwiersz:

Nie śmiał wierzyć, czy me szczęście będzie wiecznie trwałe,
Jak te z góry nad kaskadą zwieszono mgły białe...

Na to jeden z obecnych książąt odpowiedział:

Więki przetrwa szczęście twoje, książę nie trać wiary!
Jak z Mifuny spadające runa białej pary...

Do tego zbioru należy oda cesarzowej na śmierć małżonka, mikada Fen Bu, odnosząca się do roku 686 naszej ery.

Panie mój, władco świata, pókiś żył na ziemi,
Patrzyłeś na te drzewa z liśćmi czerwonemi,
Co na *duchów dolinie* tam wysoko rosną;
Ku nim rano i wieczór słałeś wzrok radosno
I dziśby je twe oczy ściagały, o panie!
I jutro chętnym wzrokiem poglądałbyś na nie,
Ja także, kiedy wieczór swój pomrok roztoczy,
Ku tym wzgórkom żalosne wciąż obracam oczy;
Samotna od dnia świtu wylewam łez tyle:
Rękaw mój grubój szaty nie oschnie na chwilę!

Cesarzowa ta za życia męża dzieliła z nim rządy. Po jego śmierci panowała sama póki nie dorosł syn mianowany przez ojca dziedzicem tronu. Cesarz pozostawił także starszego syna z pierwszych związków; ten podniósł bunt przeciwko cesarzowej. Skazany na śmierć jój wyrokiem, zalewając się łzami nad brzegiem jeziora wyspiewał ten wiersz smutny:

Po nad brzegiem tam Iwaru krzyczą kaczek stada,
I mnie tuman mętnój chmury na oczy zapada.

Ten sam książę zostawił inny wiersz klasyczny według formuły chińskiej.

Już kruk złoty ¹⁾ wstępuje w swe zachodnie progi,
Huk bębna zapowiada blizki kres méj drogi;
Tam na ścieżce do zdroju ²⁾ ni sługi, ni pana:
Dziś otwarta mi będzie ta ścieżka nieznaną!

Oto wiersz poetki japońskiej na śmierć jednego z cesarzów.

Mnie nie zdążyć za tobą, gdy się stałeś duchem!
Gonię cię tylko łzami i westchnieniem głuchem;
Gdybyś ty był klejnotem, co jaskrawo pała,
W drogiebym cię manele oprawió kazała;
Gdybyś ty się przemienił w złotogłów bogaty,
Jużbym nigdy z bark moich nie zdjęła téj szaty!

Oto jeszcze kilka strofek miłosnych:

Jasne słońce mi pobladło, bo mam smutek w duszy,
Moja szata z łez wilgotna i któż ją osuszy?

Roztrąciły w biegu rzekę tysiącnie przeszkody,
Chociaż piaskiem rozdzielone wnet się spłyną wody.

Po starożytnym zbiorze *Man-Yo-Syu* następuje zbiór drugi Hyaku-Nin-Is-Syu, czyli kolekcya stu poetów. Jest to najpopularniejsza książka w całej Japonii. Wszyscy krajowcy czy to uczeni, czy prostaczkowie umieją na pamięć sto zawartych w niej piosenek; młodzież uczy się na nich składać rymy. Wydawana bez ustanku książka ta znajduje się zarówno w książęcym pałacu, jak w skromnym dworku literata a nawet w ubogiej chacie kmieć. Można ją widzieć w pyszném ilustrowaném wydaniu z uczonemi komentarzami, lub na prostych niezgrabnie malowanych karteczkach dla użytku szkolnej młodzieży.

Na czele tego zbioru p. de Rosny przytacza szumną przedmowę japońskiego erudyty, który wysławiając zalety książki życzy wydawcy, aby dzieło jego rozrosło się jak drzewo bambusowe na tysiąc sążni w górę.

¹⁾ Słońce. ²⁾ Wieczność.

Jedna z tych pieśni jest utworem młodego Tajkuna złożonego z władzy wyrokiem cesarskim:

Z progów domu, gdzie zrodzony,
 Los mnie wyparł w obie strony;
 Choć w obcym będę świecie,
 Brzoskwinowy świeży kwiecie,
 Gdy zimowe miną śloty,
 Uściel dach mój twemi sploty!

Inny poeta żali się na smutne życia koleje: wszystko co żyje cierpieć musi.

Na tej ziemi, gdzie kroki obrócić tułaczę?
 Choć się ukryć w głąb góry... i tam jeleni płacze!

Również smętny obraz i w innym dwuwierszu:

Nad polem jęczy nocą zimny wiatr jesieni,
 Pokrzyk dzikich żorawiów brzmi głucho w przestrzeni.

Dwa powyższe dystychi są utworu sławnego poety Tosinarego z końca XII wieku. Imię jego żyje dotąd w tradycji. Ilekroć poeta pisał wiersze, przywdziewał szatę białą i zasiadał uroczyście przy ognisku (brasero). Doczekał późnych lat, w końcu życia postradał wzrok i słuch, ale zachował krzepki umysł. W dziewięćdziesiątym roku życia mianowany był nadwornym mistrzem poezji i otrzymał z rąk Mikady zaszczytne godło: *laskę gołębią*. Tosinari mawiał, iż aby dobrze pisać wiersze, nie należy ozynić jak malarz, który miesza razem wszystkie kolory, ale potrzeba każdą rzecz wyrazić osobno, po prostu. Zostawił niezliczoną moc dystychów, kazał je pisać uczniom, wybierał z nich najlepsze, poprawiał i puszczał w świat za swoje. Dumas jak widać nie wymyślał takiej metody.

Wcześniej jeszcze, bo w wieku X słynęła poetka Idzumi. W zbiorze stu poetów pomieszczono wiersz nakreślony przez nią na łożu śmiertelnym: *Do ukochanego*:

Niech cię raz jeszcze zobaczę mój drogi!
 Śmierć węzły życia mego już rozplata;
 Niechże twą pamięć za grobowca progi
 Uniosę z sobą, ze świata!

Inny wiersz z wieku VII jest przypomnieniem tradycyjnego zwyczaju. W jesieni podczas żniwa, cesarz udaje się do najuboższej chaty i przez jedną noc pilnuje zwiezionych snopów od napaści zwierząt i ptactwa, Cesarz Ten-dzi tak opiewał swoje nocne czaty:

Jesienią padają na zagonach kłosa,
A dach mój dziurawy, drzę od chłodnej rosy!

Zwyczaj ten świadczy, że monaroha zna dobrze trudy rolników i że go zajmują ich prace.

W innej pieśni poeta VIII wieku Abe-no Naka-marō, wyśpiewał tęsknotę za krajem. Wysłany w poselstwie do Chin, pozostał tam z górą lat dziesięć dla badania nauk i literatury. Kiedy zabierał się w drogę z powrotem, uczeni chińscy wyprawili mu ucztę pożegnalną. Księżyc przyświecał podczas uczy. Patrząc na niego poeta zaimprovizował pieśń na cześć ziemi ojczystej:

Już powrotu chwila bliska,
Kraj powitam niezadługo;
Czy widzicie jak tam błyska
Jasno księżyc nad Kasugą?
Czy słyszycie? szumią lasy,
Co zwieńczyły grzbiet Mikasy!

Japończycy obchodzą doroczne święta Go-se-tsi-je odpowiadające naszym zapustom. Zabawa trwa dni cztery. Zakończa uroczystość tradycyjny taniec młodych dziewcząt. Poeta So-dzio uczcił pieśnią te pląsy, jak Kochanowski sobótki nasze.

Wietrze, twém tchnieniem zamknij wrota nieba,
Skryj błyskawicę ciemnym płaszczem chmury;
Pięknych dziewczeczek na ziemi potrzeba,
Niech rozpląsane nie zbiegną do góry!

Z pieśni miłosnych oto strofka poety Kane-mory z X wieku, najulubieńsza zakochanym Japończykom:

Próżno się trudzę, miłość źle ukryta
Wybiega na jaw przez rysy méj twarzy;
Każdy się dziwi i każdy mię pyta:
O czém myśl moja tak marzy a marzy...

Poetka Hori-kawa z większą jeszcze siłą wyraża gwałtowne uczucie.

Szał zapala mi głowę, pierś pęka z tęsknoty;
Myśl stargana, jak krucze mych włosów uploty.

Wszystkie w ogólności piosenki miłosne nacechowane rzewną tęsknotą:

Poszedłem wiosną dla méj ukóchanéj
 Zerwać na łące listeczków Wanany ¹⁾;
 Powracam smutno, mój plon nie bogaty,
 Biały śnieg tylko przypruszył mi szaty.

Uteśkniony, bez pociechy,
 Łzami zlewam moje łóże;
 Jam podobien do téj wiechy,
 Co ją żeglarz zatknął w morze,
 Gdzie podwodne sterczą skały,
 Aby łodzi nie strzaskały!
 Myślę tylko woiaż od rana
 Gdzież cię spotkam ukochana.

Niemniej rzewne są skargi starców; ubiegające dni żywota porównywają oni do słońc jesiennych, do szarugi zimowój.

Patrzę w księżyc i żalóść moje lica mieni,
 A przecież nie mnie tylko ziębi chłód jesieni...

Wioher jesienny huczy w krawędź góry,
 Żywěj postaci dokoła nie widzę;
 Promyczek słońca nie wyjrzy z za ohmury;
 Listek nie zadrży na suchéj łodydze...

Wiatr zimny dokoła śnieżne płatki miecie,
 Czy burza otrząsa brzoskwińowe kwiecie?
 Nie kwiat to brzoskwini z wietrzykiem ulata:
 Mnie to moje młode odbiegają lata.

Ostatnią zwrotkę wyśpiewał sławny poeta XIII wieku Kindsonne; trawiony tęsknotą, został on Bonzem przy schyłku życia swego.

Wszystkie pieśni ze zbioru *Stu poetów* należą do klasycznej literatury, język w nich konwencyonalny, odrębny od mowy potocznej. W dalszym ciągu antologii widzimy luźne pieśni z późniejszych czasów, pisane pod wpływem nowego zwrotu, który śmiało nazwać można romantycznym. Komentarze dopełniające tu drobne utwory dają nam wierny obraz obyczajów japońskiego ludu. Zobaczmy oto pieśń pod tytułem: *Umrzec razem*.

Jak słodko, gdy się razem wążku dni domota,
 W onym świecie zawodów pełnym i niedoli;
 Gdzie zegar, co śmiertelnym znaoczy kres żywota,
 Dla jednych idzie śpieszno, dla drugich powoli.

¹⁾ Rodzaj sałaty.

Oto komentarz do tej pieśni. Żona wodza Nagaharu straciła męża, który rozerznął sobie brzuch, niemogąc ocalić wojsk swoich i przeżyć własnej hańby. „Choć słabą jestem kobietą—rzecze—miałaż-bym ja się cofnął? Wolę iść z małżonkiem moim do wiekiściego rajul“ Wyrzekłszy to, przywołuje własne dziecię, chce utkwic sztylet w jego piersi; ale ręka jej drży, ona sama wyniańczyła to dziecię, chroniła je od słońca, zasłaniała od zimna, hodowała jak sosenę, co ma sto lat przeżyć wśród lasu. Mąż niebożatko stopnieć jak biały szron poranny? I sztylet wypada jej z rąk. Pochwyca dziecię, przyciska je do piersi, oblewa łzami.

Po chwili porywa za pióro, kreśli powyższą piosenkę. Nie-szczęśliwa ledwie wyrzuciła z duszy bolesny wykrzyk, odtrąca pióro, pochwyca oręż, zabija dziecko i tożsamo ostrze zatapia w własnej piersi.

Przytaczamy inną smutną piosenkę pod tytułem: *Zdała od mego kraju*: Wierszyk ten prostotą i charakterem rzeczywistym cechuje dzisiejszy zwrot poezji Japończyków.

Kiedym ja śpiewał od swoich zdała,
Przyszła choroba, z nóg mnie powala.
Leżę bezsilny ze skrzepłém ciałem,
Parę węgielków moim opałem:
Wśród obcych ludzi przybysz stęskniony,
Radbym w rodzinne powrócił strony!
Po co daremno gonić nadzieje,
Wciąż wiatr od wschodu w oczy mi wieje;
Kiedyż się zwróci skrzydły lotnemi,
I pchnie łódź moją do własnej ziemi?

Oto jeszcze kilka zwrotek świadczących o psychiczném usposobieniu tego ludu skłonnego do smętnej zadumy.

Kwiat rychło traci swe barwy i wonie.
Ozém byt na ziemi? oto złudy chwilką!
Gdy dzień obecny w przeszłości utonie:
Ozémże on będzie? sném prześnionym tyłko!

Śmierć nas budzi nim w przebiegu
Sen dosnuje się do końca.
Ozém to życie? bryłką śniegu
Co topnieje w blasku słońca!
W ślad godzina zbiegła goni,
Złudy życia chwytą w kleszcze,
Na zegarze ósma dzwoni,
W sercu siódma drga nam jeszcze.

Poprzestajemy na tych wyjątkach. Antologia tłumaczenia pana de Rosny lubo w obszernym tomie, obejmuje małąk zaledwie częśćkę tych ogromnych zbiorów, jakie posiadają Japończycy. Tłumacz daje w końcu spis bibliograficzny. Naliczył w nim zbiorów poetycznych sto sześćdziesiąt. Niektóre zajmują po kilka lub kilkanaście tomów. Same ich tytuły zasługują na uwagę, świadczą bowiem o bogatej fantazyi i poetycznym duchu tych wschodnich wyspiarzy, w których każda warstwa społeczna, każdy stan, ma swoich poetów i właściwe sobie pieśni. Przytaczamy niektóre tytuły:

Kolekcya listków złotych.

Morze poezyi japońskiej.

Zbiór pieśni utworzonych na cesarskim dworze.

Biblioteka drogich kamieni dla nauki kobiet.

Spichlerz poezyi japońskiej.

Złotogłów czerwono-listny stu poetów.

Poezye na cześć stu bohaterów.

— — stu rycerzy.

— — stu mężów wiernych.

— — stu sławnych niewiast.

Wiersze stu poetów zwanych kwiatem brzoskwinowym.

Zbiór stu pieśni cesarskich.

Zbiór złota i jaspisu.

Liście prosa.

Poezye o drzewach, kwiatach i roślinach.

Poezye o muszlach.

Poezye o stu krajobrazach góry Fusijama.

Rozmaite drzewa z lasu poezyi.

Poezye do wiosny, lata, jesieni i zimy.

Sławne wiersze nieśmiertelnych w poezyi.

Poezye satyryczne.

Poezye religijne.

Tysiąc róż i dziesięć tysięcy fijołków.

Kolekcya tysiąca pieśni o sławnych miejscach.

Pieśni sielskie (tomów sześć).

Cztery lata burzy.

Pieśni robotników z Jeddo,

Pieśni ludowych liczne zbiory.

I oto naród trzydziestokilko milionowy, zwany skryształizowanym przez wielu Europejczyków ucywilizowanym!

Do innej kroniki przygotowaliśmy sprawozdanie z wielkiego dramatu japońskiego pod tytułem: *Czterdziestu siedmiu Loninów*. Jestto najwierniejszy obraz obyczajów ludu japońskiego i feudalnych jego instytucyj, które najwięcej zbliżają go do ludów cywilizacyi zwanej giermańsko-łacińską.

Na niwie powieściowej literatury francuskiej, gdzie mówiąc nawiasem więcej plew, niż zdrowego zboża, wyrosł w tych czasach prawdziwie piękny kłos, którego pominąć niepodobna. Mówimy tu o ślicznej powiastce Juliusza Sandeau pod tytułem *Jan z Thommeray*. Obrazek to raczej niż powieść; ramy jego bardzo szczupłe, ale każdy rys oddany umiejętnie, w każdym znać rękę biegłego mistrza. Sandeau przedstawia rzecz w opowiadaniu, stawia się sam jako świadek dramatu odegranego przed jego okiem na deskach paryżkiego społeczeństwa.

Dnia jednego na wiosnę, do jego willi pod Paryżem przybywa dwudziesto-letni młodzieniec dziwnie ujmującej powierzchowności. Jest nim młody Breton Jan Thommeray wychowany w oieniu lasów Armoryki, przy ciepłym ognisku domowym, pod okiem poważnego ojca i kochającej matki, wraz z dwoma starszymi od siebie braćmi.

Jan tylko co opuścił rodzinne gniazdo. Ojciec widząc w nim prawdziwy talent poetyczny wyprawił go do Paryża, pewien że wyrobi sobie stanowisko w świecie literackim. Ciekawa to postać tego ojca. Henryk Thommeray kształcił się także w Paryżu. Było to w czasach pamiętnego przełomu, kiedy zorza odrodzenia zabłysła nad Francją, kiedy zbudzony romantyzm wywołał roje pracowników. Oddany nauce prawa Henryk nie stanął w szeregu młodych pisarzy, ale żył z całym zastępem literackim i artystycznym w jak najściślejszych stosunkach.

Ukończywszy nauki Henryk Thommeray wrócił do Bretanii, zamieszkał we wsi otrzymanej spadkiem po ojcu, pracował pilnie koło roli, rad przebywał z ludem wieśniaczym. Ożeniony z ubogą pannką, szczerze przez siebie ukochaną, pędził dni w ciszy i nieznanym pokoju. Szczęście to wystarczało dla jego serca; dla myśli zaś stworzył sobie uroczy światek wykarmiony wspomnieniem młodości. Wszystko około niego nosiło datę lat przeżytych w stolicy życiem tak pełnym i bogatym. Przyjaciele jego tak literaci jak artyści zdobyli rozgłos w świecie: Henryk pysznił się nimi. Ściany gabinetu swego przystroił w ich obrazy i popiersia. Liczną bibliotekę zebrał z ich dzieł, opatrzonych przyjacielskim przypiskiem na okładce. Listy ich wklejone w przepyszną księgę, stanowiły drogocenne archiwum. Każdy z tych listów zapewniał o niewygastłej przyjaźni; pod niejednym świeciło wielkie imię.

Młody Jan, ulubieniec rodziców, wzrosł wykarmiony tradycją owych lat, w których zkrystalizowała się myśl ojcowska. Liczył on wiele na te stosunki, na te zapewnienia stokrotnie odczytywane. Dawni przyjaciele tak gorąco przez ojca ukochani, mogliż być dla syna obojętni? Mogliż nie przytulić pisklęcia garnącego się pod ich skrzydło?

Sandeau nie należał, jak mówi, do tych przyjaciół. Szczególnym wypadkiem nie znał się osobiście z ojcem Jana; żaden list jego nie mieścił się w książeczce pamiętkowej; uczuł jednak serdeczne współ-

uczucie dla młodego poety, przyrzekł mu w każdej chwili doświadczo-
ną radę i pomoc.

Mijają tygodnie i miesiące a Jan nie ukazuje się w jego domu, przyjeżdża nakoniec w późną jesień. Jakaż to w nim odmiana! Dawniej u niego co w sercu to i w mowie, dziś zamknął się w sobie; wazy słowa; sarkastyczny uśmiech krąży na jego ustach: rozgadał się jednak po mału. Odwiedził on po kolei sławnych przyjaciół ojcowskich, iluż się z nich nie odliczyło! Jedni spoczęli w ziemi, inni głębiej jeszcze, bo w grobie samolubstwa i zimnej zmartwiałości. Po każdym odwiedzinach czuł młodzieniec bolesny zawód. Dawni przyjaciele zapomnieli ojca, nazwisko jego było im nawet obce. Jeden z najsławniejszych dogorywał w nędzy i upadku. Przypominał sobie, że niegdyś w wieku złudnych mrzonek pisywał wiersze: mówił o nich z pogardą. Radził Janowi, aby zaniechał poezyi a rzucił się w handlowe przedsiębiorstwa. Żałował, że nie poszedł tą drogą. Inny zamknąwszy się w warownej baszcie, do której mieli przystęp tylko wybrani, dowodził, że w dzisiejszym społeczeństwie nie ma wcale miejsca dla poetów, że każdemu z nich przeznaczony los Gilberta albo Chattertona. Młodzian odrącony chłodem starców rzucił się w towarzystwo młodzieży. Smutne rozczarowanie! I cóż tu spotyka? Dusze nie ozywione iskrą bożą, pełzające nędznie po ziemi; serca nie zdolne do nienawiści, ani też do miłości; literaturę plotkarską, filozofią przedpokojową, której celem zgasić wszystko, co błyszczący, wszystko co góruje strącić z piedestału, zniszczyć, zabluzgać błotem!

Napróżno doświadczony powiernik usiłuje złagodzić sąd młodziana o ludziach. Jan dobywa z kieszeni paszkwil wymierzony złośliwie przeciw sobie. Oszczyca zowie go Huronem z Quimper, wyszydza jego wychowanie, jego domowe gniazdo, jego przestarzałą wiarę w ideały! Wczoraj ukazał się paszkwil w jednym z najpopularniejszych dzienników, dziś dwudziestu mniemanych przyjaciół przysłało mu go na dzień dobry!

Jan wie żkąd padła strzała: rzucił ją młody dziennikarz, któremu on zaufał jak bratu, przed którym otworzył wszystkie tajniki duszy swojej.

— Dość mi już tego życia paryzkiego—rzecze gorzko przy pożegnaniu.—Za kilka dni opuszczam Francją; nie długo wrócę do rodzinnego gniazda: bodajbym go był nigdy nie porzucił!

Autor mówi dalej, jak zaniepokojony rozdrażnieniem młodzieńca nazajutrz z rana pospieszył do niego, jak go nie zastał w domu, jak z porozrzucanych papierów i listów na stole domyślił się jakiejś katastrofy. Przeczucie nie zawiodło. W godzinę potem przyniesiono Jana zalanego krwią z zranioną piersią. Wezwana matka przyjeżdża niezwłocznie. Pod tkliwém jęj okiem syn odzyskuje siły. Doktorzy zalecają mu przepędzić zimę w Pizie; pani Thommeray towarzyszy synowi.

Tu następuje nowy akt dramatu. Struna jedna pękła boleśnie w sercu Jana, lecz inne struny dźwięczą w niem z całą potęgą. Młodzian nie kochał jeszcze. Otóż w Pizie spotyka ozarodziejkę, która miała otworzyć mu progi Edenu. Jestże to Beatrice Danta lub Laura Petrarki? Bynajmniej. To lalka bezmyślna, bezduszna, kwiat rozkwitły w atmosferze salonów paryzkich; puch marny, wietrzna istota, której postaci zazdroszczą anieli, a której myśl ugania tylko... nie złoto, jak mówi nasz wielki poeta, ale ten świat, w którym zamknęła najwyższy swój ideał, a do którego złoto daje przystęp, świat koronek, pereł, aksamitów! Życie hrabiny R. obraca się wyłącznie w tém zaklętém kole, obojętna na wszystko, jedną tylko umiejętność doprowadziła do artystycznej doskonałości: wie jak podnieść własno wdzięki udatnym strojem. Żurnal mój dla niej kodeksem praw, ewangelią; nie dotknie nawet innej książki. Zameżna od lat kilku, nie ma dzieci; wielkie to szczęście! przyznaje z całą prostotą; obowiązki matki zbyt ciężkie byłyby dla niej!

Taką to malowaną lalkę ukochał młody poeta. Serce spragnione uczucia wyrывało się na zewnątrz; myśl spragniona ideału brała błyszczący szych za szczere złoto!

— Młodzian pisywał do mnie—mówi autor—listy jego były najpoetyczniejszą apoteozą hrabiny. Wiedziałem że go czeka nowy, bolesny zawód! Wkrótce pisywać przestał.

Upłynęło trzy lata. Sandeau nie wypuszczając na chwilę wątku powieści wprowadza czytelnika w świat nowy, do zapadłej Armoryki otoczonej cieniem odwiecznych lasów. Znalazłszy się latem w okolicach Finisteru, przypomniał sobie Jana. Zapragnął skąpać serce i umysł w atmosferze cichego szczęścia domowego; umyślił zboczyć z drogi i odwiedzić rodzinę Thommeray. Zajrzyjmy tam z autorem.

Obszerny to dworzec, snąc przebudowany z szczątków dawnego zamku, świadczy o tém odwieczna baszta. Po jednej stronie wielki podwórzec, po drugiej cienisty ogród. Brama przystrojona łbami wilków i odyńców, ma jeszcze zatkniętą w górze tarczę herbową, ale czas pozacierał już godła na tój zczerniałej i omszonej tarczy. Budynki gospodarskie porozrzucane wkoło ożywiają tę ustron.

Gość zastaje rodzinę zgromadzoną w obszernej sali. Pan Thommeray w kurcie myśliwskiej, rosły jak dąb, prosty jak topola, stoi przed kominem w posągowej postawie; ręce założone ma nakrzyż; brew jego czarna, zmarszczona odbija dziwnie od białych włosów i siwiejącej brody.

Pani Thommeray blada, zwiędła, złamana, utonęła w szerokim fotelu; dwaj starsi synowie stoją z poszanowaniem przy krześle matki, spoglądają w milczeniu to na nią to na ojca. Głucha cisza panuje w komnacie; Jana tylko brakuje w pośród rodziny.

Gość zdrzął na obraz tego domowego szczęścia. Chce postąpić, nie może, jakby mu stopy wrosły w ziemię. Bardziej jeszcze drży bi-

dna matka. Reszta kraszy ubiegła z jej lic, blada jak trup, nie ma siły powstać z fotelu, ani wybełkotać słowa. Z pomieszania jej znać że czeka jakiegó okropnej wieści.

Po krótkim wahaniu gość zapytuje o Jana.

— Panie—odrzuca sucho ojciec—mamy tylko dwóch synów, obu widzisz przed sobą: nie mówimy nigdy o straconym.

Oczyżby Jan umarł? zapytuje gość sam siebie. Niepodobna, ojciec nie mówi w ten sposób o zmarłym dziecku. Mimo zbudzonej ciekawości byłby odjechał; błagalne skinienie matki gwałtem go zatrzymało.

Przy obiedzie usta obecnych rozwiązywały się chwilowo, ale rozmowa gasła jak garść spalonej słomy. Powietrze ciężkie było, jakby symun powiał po sali. Oko matki spoczywało na próżnym miejscu. Imię Jana we wszystkich było sercach, lecz nikt nie śmiał go wyrzec.

Gdy wstano od stołu, gospodarz poszedł z synami do gospodarstwa, matka ujęła gościa za rękę, zaprowadziła go do ogrodu.

Nie boleśniejszego jak wyznanie tej nieszczęśliwej matki. Widząc w Pizie wzrastający z każdym dniem obłęd syna, postanowiła bądź co bądź wyrwać go z sideł, w jakie się nie baczenie oplątał. Poruszony jej łzami Jan opuścił z nią Pizę. W Liworno, gdy mieli wsiąść na statek, opanowany szaleńcem stawiał niezłomny opór. Nie pomogły już łzy ni błaganie; został.. biedna matka powróciła sama do Francji.

— Nie wiem jak się skończył ten nieszczęśliwy obłęd, mówiła zalévając się łzami. Wiém tylko, że mój syn zatracił w nim wszystko, nawet uczucie własnej godności. Z wiosną powrócił do Paryża, miał tam zabawić kilka dni... miesiące mijały, czekaliśmy daremnie... Na surowe uwagi ojca odpowiadał z goryczą, na przedstawienia braci z gniewem; skargi moje poruszyć go nie zdołały. Dnia jednego wreszcie odbieramy rozpaczliwy list, niby wykrzyk konającego serca. Jan zapowiedział, że nie wróci do domu, żegnał nas, błagał o przebaczenie. Wracaj! wracaj! odpisujemy wszyscy, otworzymy ci progi, przyjmujemy jak syna marnotrawnego! On przecież nie powróci!.. pisywał czasem.. mówił o jakiegó rozpoczętej pracy: czekaliśmy go jeszcze...

Nagle dowiadujemy się przez plebana, przyjaciela i powiernika rodziny, że dziwne rzeczy powtarzają ludzie o Janie. Błyszczy, jak mówią w kole próżniaczej młodzieży, zwanej złotą, przez urągawisko. Ma własny dom, i konie i pojazdy. Gra dostarcza złota na ten szalony zbytek. Wieść ta przybiła nas do ziemi. Ojciec pojechał do Paryża... powrócił siwy jak gołąb. Widzę go jeszcze, kiedy wchodził w próg tego domu, gdzie kilka pokoleń przeżyło dni w ucziwej pracy. Przystąpił do mnie. Zono—rzekł—zostało nam tylko dwóch synów! Nie powiedział nic więcej. Później dowiedziałam się reszty.

W chwili kiedy mąż mój niedowierzając jeszcze pogłoskom zbliżał się do domu Jana, rozwarło nagle bramy; czterokonny pojazd pomknął z dziedzińca ku polom Elizejskim. Dwóch upudrowanych i wygalonowanych lokai stało w tyle; Jan powoził sam: koło niego siedziała bezczelnie wystrojona kobieta; fałdy jedwabnej sukni tarzały się po kołach. Biędny ojciec stał jak skamieniały na widok hańby własnej. Powrócił do domu. Odtąd nie chce słyszeć o synu: Jan umarły dla niego. Ale ja panie jestem matką, dodała rozdzielającym głosem, mogę wyrwać z piersi pamięć własnego dziecka? Pycha zgubiła wszystko. Gdyby ojciec wyciągnął ku niemu rękę... nie byłby jej odtrącił. Idź pan do niego... błagam cię... powiedz coś tu widział. Staw mu przed oczy obraz naszego domu! Powiedz mu, że go kocham jeszcze... przez litość nie opuszczaj go... wyrwij z przepaści tę duszę obłąkaną! Żdźbło trawki uratuje czasem tonącą mrówkę!

Autor poruszony do łez pośpiesza czemprowadz do Paryża; zasięga wiadomości o Janie. Znają go wszyscy. Pałac jego, to błyszczący śmietnik potrząśnięty z wierzchu złotem, pełen cuchnącej zgnilizny.

Uciekajmy ztąd żywo. Sam autor o tyle tylko zatrzymuje się w tej dusznej atmosferze, o ile to koniecznym do wysnuęcia dalszego wątku.

Smutneż to spotkanie z Janem. Stary przyjaciel widzi z boleścią, że pośrednictwo jego daremne. Tenzeto młodzian pełen wiary w przyszłość? Tenże to poeta zakochany w ideale, który ożywiony jeszcze ciepłem ogniska domowego, pieśczętą tkliwej matki, wspomnieniami ojca, kilka lat temu zakochał w jego progach? Jakaż w nim zmiana! jakże te rysy dziwnie się wyciągnęły, jakież cynizm przyrósł do tych ust skrzywionych tak szydlerczo!

— Wdzięczny jestem panu za dobrą intencją—rzecze Jan— ale cóż powiesz mi nowego? Ojciec mnie nie zna, bracia odtrącają mnie, matka płacze! Jestem hańbą rodziny, moje życie dla nich zgorzeniem. Bądź-że pan sędzią. Mojaż w tém wino, że rodzice odgrodzili od świata wspomnieniami młodości postarzelci, nie widząc że wszystko się wkoło nich przemieniło? Mojaż wina, że wychowany jakby w klasztorze, wykołysany ułudą, wykarmiony ideałami, zbudziłem się pięknego poranku w obec społeczeństwa, które zrozumiało, że całą prawdą życia pieniądz i tylko pieniądz! Mojaż wina, że w tej ziemi obiecanej dokąd przybyłem z bijącym sercem i spragnionymi ustami, znalazłem tylko wyschłe zdroje i wygasłe ogniska? Nie byłem świętym. Znużony pogonią za mamidłem, pokrwawiszszy stopy o cierpie, zmierzyłem się oko w oko z rzeczywistością i po mału przywykłem do niej. Nie mogłem zreformować świata, musiałem nagiąć się do jego miary, przywdziać jego liberyę. Sądziłem że w społeczeństwie, gdzie pieniądz jest bożyszczem, zostać ubogim byłoby bezbożnością. Minęły czasy mozolnej pracy, dziś wszystko pędzi

parą. Niema czasu na zbieranie majątków, potrzeba zdobyć go wstępnym bojem albo zręcznemi obrotami. Grałem, nie przeczę temu. Gdyby za to karano szubienicą, ilużby naliczyć wisielców? Miałem zimną krew, wzrok bystry, śmiałość... szczęście sprzyja zuchwałym. Grze zawdzięczam stanowisko jakie zajmuję. Nie ja pierwszy ani ostatni wzbogaciłem się tym sposobem. I cóż mi kto zarzuci? Co do świata jakim się otaczam, ten nie ustępuje w niczem innemu, który nazwał się pięknym; cała różnica, że mniej od tamtego obłudny. Duch wygasł, materya wszystkiem dzisiaj. Spółeczeństwo dziś całe to obrzymia cygania, z jednej strony cygania zabłocona, nienawistna, co ostrzy zęby i czeka aż przyjdzie na nią kolej; z drugiej cygania złocona, wyperfumowana, która pragnie czempredzėj żyć i użyć, bo wie że dnie jej policzone. Oto mój panie prawda życia: reszta snem, kłamstwem, ułudą.

Po tém cynicznym wstępie Jan przystępuje do rzeczy. Nie pójdzie my w ślad za nim. Zawód jakiego doznał nieuchronny był, któżby wierzył w miłość syreny. Pękła ostatnia struna. Ta nieszczęśliwa miłość nie dosyć że mu szarpała serce, odebrała wiarę w ideały, ale jeszcze wtrąciła go w tę bezdenną otchłań, na której bramach napisano: *Lasciate ogni speranza!* Wzruszony rozpaczą téj kobiety, której majątek nie starczył na zapłacenie szalonych długów, Jan chwycił się jedynéj kotwicy—rulety... Pospieszył do Baden. W ciągu dwóch dni zabił po dwakroć bank; za powrotem sygnął pod nogi bożyszczą garściami złota i stosami biletów bankowych. Zapóźno... inna równie hojna ręka zapłaciła już długi. Kobiéta zgarnęła przecież złoto i znikła, jak błędny ognik z przed oczu zakochanego młodziana.

Jan powrócił do Baden, krwią serca podpisał cyrograf, zaprzedał duszę złemu, w zamian otrzymał złote skarby.

Oddajemy pióro autorowi, niech on dopowie ostatnie słowo swéj powieści.

„Napisałem do matki smutny list—mówi Sandeau—odtąd straciłem z oczu Jana. Lat kilka upłynęło. Nadszedł okropny rok siedmdziesiąty. Wojna zawrzała; nieprzyjaciel szedł na Paryż, świat brzmiał rozgłosem niesłychanych klęsk naszych.

„Kto nie widział Paryża w ostatnich dniach przed oblężeniem, ten nie zdoła pojąć jak dziwny obraz przedstawiało miasto. Po gwałtownéj trwodze budzi się męzka myśl, następuje niezłomne postanowienie: ogół gotów na wielkie ofiary; prąd bohaterów na wskrós przelnika serca. Strażeczują na wałach; skwery i ogrody publiczne zamienione w parki artyleryi: na placach młodzież odbywa ćwiczenia wojskowe. Znikły różnice stanów, wszystkie serca wspólném biją tętnem. Bębny i trąby brzmią, bez ustanku nad rzeką. Pod ciężarem armat i mitrajlezy drżą bulwary i wybrzeża. Kanonierki przesuwają się po Sekwanie. Niedobitki armii ciągną ze wszystkich stron, przynosząc ostatek krwi na obronę Francyi. Bataliony marynarzy maszerują przez miasto

ku fortom, oddziały gardmobilów przybyłe z rozmaitych stron kraju obozują pod namiotami. Obok tych krzepiących szczegółów obrazu inne jakże bolesne! Lud z okolicznych wsi chroni się przed najazdem w obręb miasta, wieśniacy uprzążeni do wózków ciągną chudobę, patrzą dokoła błędnym wzrokiem; inni pędzą gromadki owiec, wiodą krowy i trzody. Cały ten obraz oświecony pysznem słońcem jesienném!

„Przybyłem od tygodnia z mój ustroni. Jak każdy w tych gorączkowych dniach wyczekiwania żyłem na ulicy, mieszałem się do wszystkich grup, słuchałem wieści jakie dokoła powtarzano. Jednego poranku na wybrzeżu niedaleko Flout-royal spotykam się oko w oko z Janem.

— Zostałeś tu—mówię—to dobrze, bardzo dobrze!

— Tak, zostałem — odpowie zimno — musiałem zlikwidować mój majątek. Dziś rzecz skończona. Ubezpieczyłem się dostatecznie, wieczorem opuszczam Paryż i Francją.

— Odjeżdżasz?—zawołałem—odjeżdżasz w takiej chwili?

— Człowiek roztropny powinien myśleć przedewszystkiem o sobie. A pan co tu porabiasz?

— Wróciłem ze wsi i zostaje. Nie na wiele przydam się miastu, ale tu przeżyłem złe i dobre dni, Paryż uczynił mnie tem czém jestem. Chcę podzielić jego niebezpieczeństwa, jeśli nie czém inném, to obecnością moją. Żyć będę jego uczuciem, jego wrazeniami, jego boleścią, a jeżeli on przymrze głodu, niechże i ja przymrę z nim razem. Ależ ty Janie Thommeray! Znałem chorobę twoją, lecz nie sądziłem abyś upadł tak nisko... Kraj zalany, a ty młodzieńcze zamiast rzucić się na karabin, rzucasz się na twój pugilares! Losy Francji zachwiane, a ty likwidujesz twój majątek! Jutro nieprzyjaciel zakłóca do bram naszych, a ty zamykasz tłumok i uciekasz niktzemnie! Nie dość na tem żeś pogrzyzył rodzinę w żałobie i rozpacz, chcesz jeszcze dobić ją taką hańbą?

Rumieniec oblał mu ozoło, błyskawica przemknęła w oku.

— Wielkie to słowa—rzekł po chwili—pan jesteś za młody, ja za stary, ztąd nie rozumiemy się wcale. Ja nie uciekam, lecz odjeżdżam po prostu. Paryż mnie nie obchodzi, zasłużył na karę, to ją ma! Rodzice moi żyją spokojnie w Bretanii, czemużbym ja nie miał także odetchnąć w Belgii lub we Włoszech?

Taki cynizm przejął mnie zgrozą. Chciałem odejść, kiedy nagle Jan zadrżał.

— Słuchaj pan!—wyrzekł cicho.

„Natężyłem słuch i w tejsze chwili oddalone dźwięki dobiegły mi do ucha. Wlepiłem oczy i oto od mostu Solferino spostrzegłem zbitą masę ludzi; pieśń ich brzmiała coraz to wyraźniej, coraz to bliżej. Dziwne to były tony, przeciągłe, poważne, jakby religijne, odrebne zupełnie od nuty naszych piosnek. Jan oparł się o poręcz, niesłychanie był blady. Tymczasem czarna massa przybliżała się do

nas; poznałem pieśń Bretonów. Gardmobile z Finisteru wchodzili do Paryża. Odziani szarém płótnem z torbą na plecach, gronostajem na kepi, szli śmiało podzieleni na plutony; wkrótce zajęli całe wybrzeże. Na czele jechał konno dowódzca batalionu, za nim kapelan i dwaj oficerowie. Czoło kolumny było od nas o kilka kroków. Zadrzałem... spójrzę na Jana.

— Mój ojciec! moi bracia! — wyszepnął chwytając mnie silnie za rękę.

I przed oczyma Jana pojawiły się w formie najżywotniejszej cztery wiekiste prawdy oddawna zapomniane: Bóg, ojczyzna, rodzina, powinność. Zdało się jakby orszakiem przesunęły przed nim uczciwe lata życia i budziły go pieśnią. Wymierzyłem pocisk ostatni. Na pobliskim balkonie spostrzegłem jego matkę.

— Nieszczęśliwy — zawołałem — mówiłeś że niema już kobiet na świecie! Patrz tam! czy ją poznajesz?

Pani Thommeray powiewała chustką; muzyka bretońska brzmiała coraz to mocniej, dowódzca pochylił się na koniu i salutował szpadą! Jan osłupiał... bez tehu, bez głosu, stał jak kamienny posąg. Poleciałem go Bogu i odszedłem.

Nazajutrz w dziedzińcu Luwru dowódzca Thommeray stanął z batalionem swoim. Po apelu objeżdżał oddziały, kiedy mobil jeden wystąpił z szeregu.

— Panie dowódzco! — rzekł — zapominasz wymienić jednego z szeregowców.

— Jak się zowiesz?

— Zowię się Jan — odrzekł mobil spuszczaćc oczy.

— Kto jesteś?

— Człowiek, co wiele zawinił.

— Czego chcesz?

— Dobrze umrzeć!

— Jesteś bogaty, czy ubogi?

— Wczoraj posiadałem źle nabyty majątek; oddałem go cały: został mi tylko ten karabin i torba.

— Dobrze.

Dowódzca dał znak, mobil powrócił do szeregu.

Nastąpiła chwila milczenia. Dowódzca stanął znów na czele batalionu.

— Jan Thommeray! — zawołał.

— Obecny! — odpowiedział głos męzki.

W jeograficznym świecie zwróciło uwagę nowe dzieło, uwagę tém pilniejszą, że dzieło napisane przez Niemca w języku francuzkim. Prawdziwa to dziś osobliwość! Minęły czasy kiedy Fryderyk Wielki

król-filozof nianawistny barbarzyńskiej mowie niemieckiej pisał książki w języku Welchów.

Nowym przeniewiercą względem mowy ojczystej nie jest wszelako prusak. Któryżby prusak od Renu do Bałtyku śmiał się dopuścić podobnej herezy? Dzieło o którym mówimy: *Promenade autour du monde* w dwóch tomach napisał p. Hübner, niegdyś poseł austriacki przy dworze tuileryjskim.

Cóżby na to powiedział Gerwinus? on który nie przebaczył Grillparcerowi że do dramatów swoich brał przedmioty z podań czeskich, polskich i węgierskich, że przekładał greckich Leandrow i Saffony nad germańskich Zygrydów? Coby powiedział świeżo zmarły frankofab Mentzel? Co powiedzą zarliwi uczniowie nowo-niemieckiej szkoły, którzy niedawno protestowali z taką zaciętością przeciw berlińskiej uroczystości Szyllera, zarzucając twórcy Tella i Joanny d'Arc przeniewierstwo idei narodowej?

Co powiedzą, wkrótce posłyszemy. To wiemy tylko, że dzieło uczonego Niemca z nad Dunaju pogłaskało po sercu Francuzów. Winszujemy sobie, mówią, znać język nasz zachował wświecie dawny urok, podziękujemy p. Hübner, że nim tak pięknie włada.

Podróżnik austriacki rozpoczął swoją wędrowkę wkoło świata w roku 1871, zwiedził najprzód Stany Zjednoczone, potem Japonią i Chiny. Nie poprzestaje autor na pobieżnym obrazie miast i okolic, szczególną uwagę zwraca na instytucje polityczne, na ustrój społeczny, na obyczaje różnoplemiennych ludów, między którymi gości. Spostrzeżenia te stanowią główną zaletę dzieła.

W obrazie Stanów Zjednoczonych Hübner odkrywa nowe strony. Kraj ten ogromny przestrzenią, hojnie uposażony w wszelkiego rodzaju bogactwa, otwierający szerokie pole działalności ludzkiej, wielki tak w złém jak w dobrém, fantastycznie przedstawia się oczom Europejczyków. Autor usiłuje sprostować panujące uprzedzenia.

„Ameryka, mówi on, inaczej wygląda, gdy patrzymy na nią przez pryzmat książek, inaczej wygląda na miejscu. Podróżnicy w ogólności ukazują Amerykę i Amerykanów według własnej idei, a raczej własnych przywidzeń. Ktoby chciał odbudowywać społeczeństwa europejskie na modłę przez nich określoną, goniłby czoło uludy.“

Pilnym okiem śledzi autor współbraci swoich osiadłych w nowym świecie. Zwycięstwo Prus nad Francją znalazło potężny odźwięk na drugiej półkuli i silnie poruszyło umysły tantejszych Niemców. Rząd Stanów Zjednoczonych niespokojnym okiem patrzy na te objawy.

Podróżnik zatrzymał się w Chicago. Było to na krótko przed pamiętnym pożarem, zobaczymy jak kreśli obraz tej głównej kolonii niemieckiej.

„Noc zapada, ulice zwolna się wyludniają. Wkoło słyszę niemiecki język. Radbym wdać się w rozmowę z mymi współrodakami. Zrazu patrzą na mnie z niedowierzaniem raczej niż ciekawością; w końcu jednak niemiecka dobroduszość przemaga nad anglo-amerykańskim chłodem. Usta rozwiązują się, odpowiadają na pytania. Z jakimże to uniesieniem mówią o wojnie. Pycha narodowa, upojenie zwycięstwem dziwnie ożywia ich poczciwe mieszczańskie rysy. Tryumfy braci Niemców z za morza stały się dla nich jakoby cudownym objawieniem, podniosły im ducha, obudziły energią, zrodziły w nich nowe dążności, dążności sprzeczne z konstytucją Stanów Zjednoczonych. Dotąd emigranci niemieccy łatwiej niż inni zlewali się z anglo-saksońskim narodem. Dokładali do tego nawet nie małych usiłowań. Uważałem to w roku zeszłym w przejażdżce do Niagary. Wszędzie ziomkowie moi osiedleni od dziesięciu lub piętnastu lat przemawiali po niemiecku do dzieci, te zaś odpowiadały im angielską mową. Wiadomo że trzecie pokolenie oprócz niektórych głównych zwyczajów *Vaterlandu*, oprócz upodobania w muzyce i piwie, amerykanizuje się najzupełniej. Tak przynajmniej dotąd bywało wszędzie oprócz jednej Pensylwanii, gdzie Niemcy tworzą wielkie gminy, a przez to samo przechowują lepiej niż w innych stronach tradycje, obyczaje, a nawet język własnego kraju. Dziś pod wpływem reakcji nagłej, gwałtownej, a jak się zdaje trwałej, żywioł niemiecki wyszedł ze stanu biernej rezygnacji, w jakiej oddawna z upodobaniem spoczywał. Niemiec pyszni się narodowością swoją, pragnie ją zachować i uprawiać. Przyszedszy w jednej chwili do odkrycia i samopoznania wartości swojej, ci ludzie przesadzają nawet jej doniosłość, stają się trudni w poźyciu, kłótlivi, skorzy do sporów z dawnymi przyjaciółmi. Tego to właśnie zaczynają się obawiać urzędowe sfery Waszyngtonu. Słyszałem w Nowym Yorku utyskiwania, że Niemcy mają zamiar wytworzyć żywioł odrębny, ukonstytuować się politycznie w łonie federacji amerykańskiej. Co do mnie bynajmniej nie dzielę tej obawy. Znam do gruntu nasze niemieckie plemię. Jesteśmy entuzyaści, mówią nawet, że więcej mamy wyobraźni i loiki niż zmysłu politycznego... Nikt nas podobno nie nazwie narodem miłym. Zanadto obstawiamy przy naszej prawdzie. Amerykanin jeden rzekł do mnie: „Ja sam pochodzę ze krwi niemieckiej, ale nie lubię Niemców. Niechlujni są, gadatliwi i biją żony.“ Niestety od Atlantyku do Oceanu Spokojnego wszędzie zdobyli taką opinią. A przecież im dalej posuwamy się na zachód amerykańskiego kontynentu, tém dodatniejsze spostrzegamy ślady ich przejścia, tém bardziej uderzają nas w oczy wspaniałe owoce ich niezmordowanej wytrwałości, tém lepiej oceniamy ważne stanowisko, jakie już zajmują w nowym świecie i ważniejsze posłannictwo jakie mają tam kiedyś spełnić.“

Słowa te pełne pangiermańskiego patryotyzmu rozbroiłyby może gniew Mertztów i Gerwinusów przeciw autorowi. Oddawna już

Welski język nie dzwonił na taką nutę apoteozy Niemiec, jaką potrafił w nim pan Hübner.

Ważny ustęp poświęca autor mormonizmowi. Wykazuje powody psychologiczne, z których powstał, ciemnotę i wyegzaltowanie myśli przez biblię; dalej wylicza warunki ekonomiczne, które podtrzymały go w kwitującym stanie nad brzegami jeziora Tłonego. Brigham Jung wywierał niesłyszany urok na adeptów. Bez niego społeczeństwo mormońskie,—mówi autor—nie zdoła wytrwać o własnych siłach, i rozwiąże się samo. Wiadomo zresztą, że Stany Zjednoczone wcale nie sprzyjają rozwojowi tej sekty.

Z pomiędzy pisarzy tego wieku, żaden zapewne nie zostawił po sobie tylu wspomnień, notat, urywków autobiograficznych, żaden nie wlał tyle osobistych wrażeń w swoje prace, słowem żaden tak się nie apoteozował sam w obec świata, jak Lamartine. Te bezustanne przechwałki znudziły w końcu czytelników i przyćmiły nawet sławę poety. sławę, do której geniusz nadawał mu najsluszniejsze prawo.

Tyle sam Lamartine mówił za życia o sobie, że zdawało się niepodobniństwem powiedzieć o nim coś nowego; a przecież pan Mazade skreślił prawdziwie zajmujący życiorys, w którym z całą bezstronnością osądził go jako pootę i męża stanu. Studium to wykonał autor podczas pięciomiesięcznego oblężenia Paryża, chcąc zagłuszyć pracą huk bomb i skrócić chwile dręczącej niepewności.

W obec okropnych zdarzeń, jakich Mazade był świadkiem, postać Lamartina w nowém świetle przedstawiła się jego oczom. Nie był to—mówi krytyk—wytrawny przewodnik polityczny, ale miał intuicyą, rzuty oka na wskrós przenikające polityczny widnokrąg; po dwakroć widział to, czego drudzy dopatrzeć nie umieli.

Na dowód przytacza autor dwie mowy Lamartina z dnia 21 i 28 stycznia 1841 r. wyrzeczone w izbie z okoliczności wniosku ufortyfikowania Paryża. Powtarzamy słowa trybuna poety, słowa dziś zapomniane, a jednak wyższe nad wszystko co wyśpiewał, w nich bowiem widoczny duch jasnowidzenia w daleką przyszłość, duch że powiemy proroczy.

„Przypuścemy, mówi Lamartine, nadzwyczajną wojnę, w której armie liczą się na miliony bagnetów. I któż między wami w głębi myśli, w tajnikach sumienia swego nie wyszepta wraz ze mną, że w wypadku gdyby Francya mając pod bronią 800,000 ludzi ponieść miała jedną lub dwie z onych wielkich klęsk stanowiących o sile moralnej narodów, gdyby jej armie liniowe pokonane, rozbite, zdemoralizowane, nie mogły już stawić niezłomnego oporu inwazyi; że w takim zbezwdnieniu sił żywotnych, w takim sprzysiężeniu losów, gdyby korpusy armii nieprzyjacielskiej w kilkakroć sto tysięcy szły z różnych stron na Paryż: w takim wypadku Paryż nie obroniłby

Francyi, Paryż nie obroniłby sam siebie! Powiecie może, Francya powstałaby wówczas, stworzyła nowe siły; nowa armia wyrosłaby z pod ziemi i przybyła w odsiecz obleżonym. Myslicieź wy na seryo tak jak mówicie? Jakto? czego by nie dokonała uorganizowana siła kraju, armia, generałowie, rząd; miałyby dokonać rozpierzohłe garstki ludu? Jakto? skrepowane i pogruchotane członki spełniłyby to, czego by ciało całe, wolne w ruchach dopełnić nie zdołało?

„Rozważcie tylko, coby w takim razie nastąpić mogło w samym Paryżu. Jakże będziecie bronić siebie i szanców waszych przeciwko obcemu najeźdźcy, a zarazem porządku społecznego, domowych progów, mienia i życia obywateli przeciwko massom burzliwym, które by zalały miasto wasze? Same zapasy żywności dla takich tłumów, a kazałem je obliczyć, przerażają cyframi! Przypuśćmy jednak, że zdołacie nakarmić one tłumy, podobnaż wam będzie powściągnięta stan ich moralny w tak nadzwyczajnych warunkach? Jakże, pytam was, w mieście opasanem armią nieprzyjacielską, oderwanem od reszty kraju, utrzymać wam 300,000 proletaryatu bez roboty? Jaki rząd, jaka siła publiczna powstrzyma umysły wzburzone i rozkiełznane? Ludność ta składać się będzie w połowie z kobiet, dzieci i starców. Statystyka szpitalów jasno wykazuje, że liczba chorych dojdzie wkrótce 90,000! Wyobraźmy sobie tę ludność spłoszoną, rozdrażnioną gorączkowym wyczekiwaniem. Dość skreślić sobie w myśli taki obraz, aby cofnął się z przerażeniem i grozą.

„Powiadam wam, że w podobnym wypadku najburzliwsze stronnictwa, najgwałtowniejsze namiętności opanowałyby kraj i uczyniły go łupem swych szalonych zatargów. Powiadam wam, że podobna ludność byłaby najstraszniejszą plagą, jaką rozum ludzki pojąć zdoła!“

Słowa te wyrzeczone w r. 1841, na lat kilka przed pierwszym wystąpieniem idei socyalnych prawdziwie są zadziwiające. W jakże smutny sposób urzeczywistniła je komuna!

Pan Mazade określa trafnie stanowisko Lamartina jako poety.

Medytacye poetyczne wślawiły imię jego w czasach, kiedy Wiktor Hugo utworzył nową szkołę i pociągnął za sobą całą falangę młodych poetów. Lamartine nie mieszał się do walki. Przebywał on wtedy we Włoszech; głos jego brzmiał osobno nie wpleciony w chór zwycięzkiego zastępu. Trudno przecież pomawiać poetę o klasycyzm. Nie należał on do żadnej szkoły. Poezya jego nie obmyślana; „to czysty potok harmonii, wytryskujący samodzielnie z piersi natchnionéj—mówi Mazade—nie dano mu było walczyć, ale panować.“

Trudno być prorokiem między swoimi. Stare to przysłowie sprawdza się dziś na wielką skalę w świecie literackim. Według powszechnego uznania uczonych najlepsza historia literatury hiszpań-

skiej jaka istnieje, dziełem jest amerykańnina Ticknora zmarłego przed niedawnymi czasy. Sławny ten lingwista urodzony w Bostonie, poświęcił się od młodości badaniom nad literaturą nowożytną różnych ludów europejskich. W tym celu przebywał długi czas, nasamprzód w Getyndze, gdzie odbył uniwersyteckie nauki, następnie w Rzymie, Madrycie, Paryżu, i Edyburgu. Za powrotem do Ameryki zajmował przez lat piętnaście katedrę literatury nowożytnej w Howard. Znakomite studia jego nad Goetem i Dantem, równie jak nad francuzkimi i hiszpańskimi pisarzami, zjednały mu wielki rozgłos i otworzyły Amerykanom nowy widnokrąg literacki.

Uczony professor uderzony bogactwem literatury hiszpańskiej postanowił gruntowniej jeszcze poznać ją na miejscu. Opuścił więc katedrę i udał się znów do Europy w r. 1835. Zamieszkał stale w Madrycie. Tam zajął się gorliwie zbadaniem źródłowych pomników nagromadzonych po bibliotekach i wygrzebanych z pod wiekowego pyłu. Owocem czternastoletnich badań było dzieło w trzech wielkich tomach o literaturze hiszpańskiej napisane w języku angielskim. Pierwszy tom obejmuje najdawniejsze plody piśmiennicze od czasu utworzenia się języka, to jest od XII wieku do panowania Karola V; drugi ogarnia wiek XVII, wiek najwyższego rozkwitu; trzeci sięga czasów wojen francuzko-hiszpańskich, rozpoczętych z końcem wieku XVIII-go.

Hiszpanie przełożyli natychmiast dzieło Ticknora i wydali je wzbogacone komentarzami erudyków swoich: sławnego orientalisty Don Pascal di Gayangos i uczonego Don Honai de Vedia. Wkrótce potem dzieło ukazało się w niemieckim przekładzie. Kilka lat temu tłumaczeniem francuzkiem zajął się pan Magnabal. Pierwszy tom jego pracy wyszedł w roku 1864, drugi w 1870, trzeci pojawił się obecnie w Paryżu u Hacheta.

Czytaliśmy w *Rivista Europea* gorącą odezwę, zachęcającą Włochów do przełożenia dzieła tak wielkiej wagi. „Któż nie wie,—mówi sprawozdawca Rivisty, o ile literatura jednego narodu wpływała na rozwój literatury innych ludów? Grecya czerpała natchnienie w Indjach i Egipcie, Rzym znalazł mistrznię, w Grecyi, świat ucywilizowany wychowańcem jest Rzymu!”

Donosimy o tej nowej, tak ważnej publikacyi łącząc do tego najszczerze życzenie a jeśli wolno i radę, aby przykład tyłu tłumaczy tak różnych narodowości, zachęcił którego ze zdolnych pisarzy naszych znających język angielski i hiszpański do przekładu na nasz język dzieła Ticknora. Literatura nasza odniosłaby ztąd wielki pożytek; ten pożytek widzimy nie tylko w przyswojeniu sobie poglądów anglo-amerykańskiego krytyka, ale co więcej, że bogaty żywioł literatury hiszpańskiej dałby nam nowe pobudki do sądzania i porównywania plodów geniuszu ludzkiego.

Rok ten smutny dla Akademii, rozpoczęty śmiercią nestora jej Segura, coraz to nowe czyni wyłomy w szeregu czterdziestu nieśmiertelnych. Wkrótce po St. Marc-Girardin zamknął oczy ośmdziesięcio-ośmioletni starzec Piotr Lebrun, poeta z czasów dyrektoryatu i cesarstwa, pierwszorzędna gwiazda z czasów restauracji, gwiazda, której promienie musiały zblednąć w obec jaskrawej szkoły Wiktora Hugo.

Nie dano było Lebrunowi iść po przodzie wieku swego i popchnąć literaturę w nowe nieznanne przed nim tory. Sądząc go jednak według czasu, w którym żył, trudno mu odmówić wysokich, bardzo wysokich zalet. Nie należał on do tych klasyków, którzy wypowiedzieli zaciętą wojnę nowatorom; przeciwnie Lebrun skłaniał się chętnie do nowych pojęć, a jeśli brakło mu orlich skrzydeł, przyszłość nie nazwie go przecież chroniącym się od światła nietemperzem; raczej nazwałoby go jaskółką, co przynosi na skrzydełkach ślady dawnego sniegu, lecz niemniej zapowiada rychłą wiosnę.

Gdyby wczesny objaw talentu miał być niechybną skalą przyszedłego rozwoju poetycznego ducha, Piotr Lebrun byłby został pierwszym geniuszem wieku swego. Urodzony w roku 1785 miał za ledwie lat dwanaście, kiedy napisał tragedję Koryolan. Utwór ten uderzył silnie ministra oświecenia z czasów dyrektoryatu Franciszka Neufchâteau; ten uczony wziął pod szczególną opiekę młodziuchnego poetę, pomieścił go w rządowém liceum i niespuszczał go z oka.

W kilka lat potem, po świetnych tryumfach Napoleona, Lebrun napisał odę na cześć wielkiej armii; przedmiotem jej sławna bitwa pod Austerlitz. Zabawne tu nastąpiło *qui pro quo*. Żył podówczas jeszcze inny poeta tegoż nazwiska Ecouhard Lebrun, przewany przez współczesnych, a bardziej przez siebie francuzkim Pindarem. Był to zacięty republikanin ze szkoły encyklopedystów XVIII wieku. Cesarz Napoleon widząc nazwisko Lebrun podpisane pod odą wysławiającą tryumf austerlitski, rad że pociągnął do siebie tak zaciętego przeciwnika, przeznaczył mu sześć tysięcy franków pensyi rocznej. Omyłka pokazała się wkrótce; ośmnastoletni poeta otrzymał pensyą, lecz w ilości tysiąca dwustu franków.

Lebrun nie stanął jednak w rzędzie urzędowych panegirystów cesarstwa. Niepodległy duchem, wówczas tylko potraçał w struny lutni, kiedy pierś jego zadrgnęła prawdziwem uczuciem. W ciągu dziesięciu lat po dwakroć tylko opiewał tryumfy cesarskie, w dwóch poematach: *Wojna pruska* i *Gniew Apolina*. Że opiewał je szczerze, niepodobna o tém wątpić. Zdaje się nawet, iż obawa, aby go nie posądzono o pochlebstwo, wstrzymywała twórczy jego polot; najpiękniejsze bowiem ody na cześć Napoleona utworzył po jego upadku, wówczas gdy w miejsce nagrody mógł ściągnąć na siebie niechęć i prześladowanie. Cztery poemata jego napisane za czasów restauracji: *Joanna d'Arc*, *Super Flumina*, *Określ angielski* i *Oda na śmierć Napoleona*, pełne poetycznego zapału, były apoteozą upadłego

olbrzyma. Poeta pozyskał gorące oklaski, ale stracił urząd w Hawrze i dożywną pensyjkę cesarską.

Odtąd literatura stała się wyłącznym jego polem. Pierwszą nagrodę konkursową otrzymał od Akademii w roku 1817 za poemat na zadany przedmiot: *Szczęście w pracy*; Kazimierz Delavigne i piętnastoletni Wiktor Hugo współzawodniczyli z nim do konkursu.

Sztuka dramatyczna najsilniej pociągała poetę. Jeszcze w roku 1814 przedstawiono w Teatrze Francuzkim jego *Ulissesa*; burze polityczne odwróciły uwagę powszechną w inną stronę, sztuka przeszła prawie niepostrzeżona. Inna tragedia *Pallas syn Ewandra* utworzona w tymże czasie, długo spoczywała w tece poety; odegrano ją dopiero w roku 1822. Obie te tragedye były naśladownictwem Homera i to według klasycznych pojęć czasu. W przedmowie do ostatniego wydania Lebrun wyznaje z całą prostotą, że gdyby je był pisał po podróży swęj do Grecyi, byłby w inny zupełnie sposób zrozumiał i naśladował śpiewaka Iliady.

Z pomiędzy dramatycznych utworów Lebruna największe powodzenie znalazła Marya Stuart. Czuć tu już wyraźny powiew nowych idei, niejaki przedsmak romantyzmu. Lebrun rzecz można, postawił pierwszy stopę na tym gruncie, na którym wydeptał ścieżkę Delavigue; później ta ścieżka zmieniała się w szeroki gościniec pod stopami Wiktora Hugo i Dumasa.

Marya Stuart długo pozostała w repertuarze Teatru Francuzkiego. Później wznowiono ją na żądanie sławnej Racheli. Przełożono tragedya, na język włoski; Ristori zbierała w niej nieprzeliczone wieńce po wszystkich stolicach europejskiego świata, nie wyłączając Warszawy.

W ciekawej przedmowie opowiada autor ile to musiał odbyć walk z dyrekcją teatru, jak obcinać tragedya, aby ją dostroić do fałszywego smaku wytwornęj publiczności z roku 1820. Były wyrazy całkiem wykluczone z traicznego słownika; do tych należał wyraz *mouchoir*. W piątym akcie Maryi Stuart powazył się powiedzieć:

Weż ten dar, zakład uczuć, ręka tobie miła,
Dla ciebie tę *chusteczkę* we wzory wyszyła.

Otóż ta chusteczka wyszyta we wzory przestraszyła sędziów, kiedy autor w obec nich czytał tragedya, jęli go najusilniej błagać, aby rzucił w kąć ową chusteczkę, inaczej w najpoetyczniejszym miejscu sala wybuchnie śmiechem. Lebrun opierał się długo, w końcu musiał ustąpić. Przemienił dwuwiersz w ten sposób:

Weż ten dar, zakład uczuć, ręka tobie miła
Dla ciebie tę *tkaninę* luby wdzięk zdobiła.

Tharina podobała się lepiej, uznano ją za przywoitszą.

„Błogosławione to czasy,—woła Sarcey powtarzając kłopoty autora—ktoby dziś gorszył się *chusteczką*, skoro uszy przywykły do tylu cynicznych wyrażen wprowadzonych przez szkołę realistów!“

Po Maryi Stuart autor przedstawił *Cyda z Andaluzyi*, utwór bardziej jeszcze od poprzedniego nacechowany duchem postępowym; sam przedmiot hiszpański nakłaniał się do romantyzmu. Krytyka zbyt surowo osądziła tę tragedję, pełną jak mówiono zuchwałych pomysłów i nieprzywoitych orzeczeń, w rodzaju wspomnionej *chusteczki*. Sztuka upadła wyszydzona. Nie wszyscy jednak krytycy potępili ów piękny utwór. Byli między niemi i tacy, którzy przecywali niechybny zwrot poezji dramatycznój. Najśmielszy z nich tak pociesza poetę po upadku *Cyda z Andaluzyi*.

„Pan Lebrun nie powinien się zrażać. Wczorajsza klęska będzie jutrzejszym tryumfem. Publiczność nie miała czasu jeszcze odwyknąć od trajedyj lodowatych, od jedności troistój, od szumnych Aleksandrynów i tyrad Arnolda, Jony, Raunouarda. Płuca jej nie mogły znieść gorącego tchnienia prawdziwój poezji. Są jeszcze Pyreneje, czekajmy chwilę, a wcale ich nie będzie. Owa nocna scena wśród ogrodu, tak poetyczna, przyjęta była 1 marca 1825 roku z poszmerem niezadowolenia; 1 marca 1830 roku, publiczność wytrzeźwiona z obłędu powita ją grzmotem oklasków!“

Lebrun mimo pomyslnój wróżby i niemniej pomyslnego zwrotu w literaturze nie chciał próbować szczęścia, nie przedstawił już *Cyda z Andaluzyi*. Wygwizdana sztuka nie ukazała się odtąd na żadnym francuzkim teatrze; sądzimy jednak, że przyjdzie na nią kolej.

Zobaczmy jak dzisiejsza krytyka sądzi ten wyszydzony utwór. Przytaczamy słowa Sarceya ulubionego prelegenta i sprawozdawcy teatrów. Powtarzamy je tém chętniej, że charakteryzują nie tylko znaczenie Lebruna w literaturze, ale co więcéj dzisiejszy zwrot umysłowy we Francyi.

„Przeczytałem—mówi on—sławnego *Cyda z Andaluzyi*, z którego tyle żartowano. Cóż powiem? oto, że bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby młodzi pisarze naszych czasów dawali nam (zastosowanie do potrzeb dzisiejszych), dzieła tój doniosłości. Kto wie czyby dziś nawet sztuka ta właściwie przedstawiona nie uderzyła słuchaczów pierwszorzędnymi zaletami. Charaktery w niej wybitne, styl energiczny i świetny, wiersze oddane po mistrzowsku.“

Lebrun zrażony niepowodzeniem udał się wdaleką podróż, opłynął wyspy greckie. Za powrotem napisał poemat: *Wędrowka po Grecyi*; poemat ten można śmiało postawić obok Messynianek Delavigna. Thiers, podówczas wydawca dziennika, podniósł wysoko utwór, zowiąc go pełnym niezrównanego wdzięku. Oto małeńki ustęp w przekładzie. Wśród obrazów rozmaitych miejscowości, tak poeta maluje wysepkę Hydrę, jedną z Cykladów, która podniosła pierwszą chorągiew w pamiętnój walce o niepodległość.

Hydra żegluje przez mórz głębiny,
 Dworzan otacza ją ohmara;
 Wślad jój Alejony kroczą z Ipsara
 I z Tipomenu Delfiny.

Dalej, co żywol tu! wysp gromady,
 — Wola królowa—naprzód Cyklady!
 Siostry, wyciągam ku wam ramiona!
 Dalejże Andros, Tyna, Mikona!
 Sama się Ohio dopuszcza zdrady...
 Wiosnę, gdy leci w słoneczne ślady
 Wstrzymaż jaskółka spóźniona?

Hydra połyska jasnym promieniem,
 Jak ona gwiazda, zwiastunka świtu;
 Hydra ma tylko spiekle opoki z granitu,
 Ale zasiada wolna, pod swych żagłów cieniem;
 Na falach swe kołysze Hydra niemowlęta,
 Zabawką dla nich piana i lin pęki duże;
 Szkołą ich wód obszary, mistrzami ich burze:
 Hydra nie ma pól żyznych: jój polem okręta!

Jój oracze porą wiosły
 Niezglębione morza tonie,
 Winograd w jój królewskiej nie świeci koronie;
 Ale miecz jój wie kędy winogrady wzrosły.
 Do oręża! nim jesień zaskoczy, sierp w dłonie!
 Kłós już w Mezyi złotem płonie,
 Winną błyska jagodą brzeg Cypru wyniosły!

Poemat o Grecyi otworzył przed autorem podwoje akademickie, w r. 1828 zajął krzesło po Franciszku Neufchateau, pierwszym swym opiekunem z czasów dyrektoryatu.

Odtąd Lebrun nie wiele tworzył; zajmowały go sprawy akademickie, pisywał mowy i odczytywał je na rocznych posiedzeniach, rozpatrywał dzieła konkursowe; niekiedy rzucił na papier kilka strofok, lub zaimprovizował naprędce udatny wierszyk. Z poważniejszych jednak prac nie utworzył nic, odkąd zasiadł w akademickim krześle. Zapomniano też o nim, i dziś dopiero śmierć wydobyla z niepamięci zasłużone to imię.

Od młodu okazywał talent do improwizacji, talent zwykły u Włochów, lecz rzadki u Francuzów, gdzie wierszowanie trudne wymaga rozwagi i namysłu. Opowiadają o nim, jak razu jednego znalazł się w gronie dziennikarzy i poetów na obiedzie u sławnej artystki dramatycznej panny Mars. Mówiono o zuchwałości nieznan-

go kompozytora, który powążył się przerobić na swój sposób Cyrulika Sewilskiego po sławnym kompozytorze Paeziello. Tym zuchwałym był młody Rossini! „Potrzeba być na to szaleńcem,“—mówili jedni; „fiasco niechybnie!“ dorzucali drudzy. Lebrun stanął w obronie nowatora.

— Nie broń pan napróżno złej sprawy—rzeczę gospodyni domu;—masz niezaprzeczoną zdolność poetyczną, a jednak czybyś się ważył przerobić jaką bajkę Lafontaine, na przykład o Dębie i Trzcinie?

Młody poeta nie odrzekł nic, pomyślał chwilkę małą i zaimprovizował tę bajeczkę:

— Liśćmi mojego czoła pokryłeś dolinę,—
Do wichru północnego rzeczę dąb wyniosły—
Pełzającą po ziemi pieścisz wiotką trzcinę,
A kruszysz me konary co wiek długi rosły!

— Jam póp przysiągł—wiatr zawoła—
Kruszyć tylko pyszne czoła
A strzedz trawkę, co ku ziemi
Pod stopami gnę się memi.

Pokora cię przed rychłą ustrzeże zatrąą,
Zegnij kark, bo inaczej na proch cię powalę!

— Mogę runąć—dąb mu na to—
Lecz nie zegnę karku wcale!

Za powtórnego cesarstwa zaszczyty wszelkiego rodzaju sypnęły się na apologistę Napoleona I i wielkiej armii. Lebrun otrzymał krzesło w senacie i wielki order Legii honorowej. Słuszna to była nagroda za szczere słowo, które poeta drogo okupił w swoim czasie.

W chwili gdy zamknął oczy poważny akademik, wyszły z druku utwory jego dramatyczne z zajmującą przedmową; czytamy w niej ciekawe szczegóły z czasów literackiego przewrotu we Francyi, w pierwszej połowie XIX stulecia.

Zajmujemy się często w sprawozdaniach naszych Akademią francuską. Nie obojętną będzie może dla czytelników wiadomość o dzisiejszym składzie uzonego grona. Oto nazwiska nieśmiertelnych z oznaczeniem ich wieku:

1) Guizot, lat 86.— 2) Patin, stały sekretarz Akademii, lat 80.— 3) Mignet, lat 77.— 4) Remusat, lat 76.— 5) Thiers, lat 76.— 6) Duvergier de Haurasine, lat 75.— 7) Dufaure, lat 75.— 8) Viel-Castel, lat 73.— 9) Littré, lat 72.— 10) Sacy, lat 72.— 11) Biskup

Dupanloup, lat 71.— 12) Książę Noailles, lat 71.— 13) Cuvillier Fleury, lat 71.— 14) Victor Hugo, lat 71.— 15) Vilet, lat 71.— 16) Carne, lat 69.— 17) Juliusz Janin, lat 69.— 18) Barbier, lat 68.— 19) Nisart, lat 67.— 20) Champagny, lat 67.— 21) Légouvé, lat 65.— 22) Favre, lat 64.— 23) d'Haussonville, lat 64.— 24) Marmier, lat 64.— 25) Sandeau, lat 62.— 26) Falloux, lat 61.— 27) Laprade, lat 61.— 28) Doucet, lat 61.— 29) Feuillet, lat 61.— 30) Aultrant, lat 60.— 31) Claude Bernard, lat 60.— 32) Tallandier, lat 56.— 33) Lemerclie, lat 55.— 34) Augier, lat 53.— 35) Rousset, lat 52.— 36) Broglie, lat 52.— 37) Książę Aumale, lat 51.— 38) Ollivier Emil, lat 47.

Dwa ostatnie miejsca niedawno zawakowały.

MNIEMANY STATUT

króla Alexandra o legitymacyi dzieci.

Zdarza się niekiedy, że w rozbiorze pewnych zagadnień historycznych, zjawia się jakiś fakt, który tak dalece zyszcze sobie powszechną powagę, że nikt nie pomyśli nawet o sprawdzeniu jego, a przecież fakt ten zupełnie fałszywy i tamujący rozjaśnienie prawdy.

Jednym z takich faktów czyli pewników w dziedzinie nowych naszych badań około legitymacyi dzieci, podług dawnego prawa polskiego, jest ustalone mniemanie, jakoby Aleksander król wydał był *statut* regulujący ten przedmiot.

Poczynając od Bröckera pierwszego pisarza, obrabiającego naukowo ten przedmiot, a następnie przechodząc do czcigodnej pamięci Jana Wincentego Bandtkiego, który stanowczo wyrzeka, iż najdawniejszym prawem mówiącém o uprawnieniu potomstwa przez związek małżeński później zaszły, jest *statut* Aleksandra króla z roku 1505 ¹⁾, wszyscy już następni pisarze, bez najmniejszego

¹⁾ Cytujemy dosłownie miejsce Bandtkiego z jego: *Prawo polskie prywatne*, Warszawa 18 str. 340, porów. także tegoż: *Rzecz o uprawnieniu dzieci przez zaszły związek małżeński czynioném*, w jego: *Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego*. Warsz. 1812 str. 227—229.

wahania powołują się na istnienie statutu podobnego i istnienie jego jako niewątpliwe przyjmują. Sposób podobny widzenia zdaje się nawet dzielić w najnowszym, ze wszech miar gruntownym i wybornie opracowanym piśmie, Walenty Dutkiewicz ¹⁾.

Powazamy się przeciwko mniemaniu temu wystąpić i twierdzić, że nigdy nie było żadnego *statutu* Aleksandra króla stanowiącego coś o legitymacji w zakresie naszego ziemskiego prawa. Zdanie nasze opieramy na następującym wywodzie.

Uczeni którzy się stanowczo powołują na ów mniemany statut, jako miejsce gdzie on ma być zamieszczony, wskazują na str. 339 Voluminów legum ²⁾. Miejsce to odpowiada zamieszczonemu ustępowi dekretu króla Aleksandra, który spotykamy w tak zwanym *Commune incliti polonie regni privilegium*, wydanym i ogłoszonym z polecenia tegoż króla przez kanclerza Jana Łaskiego, na str. 174 tegoż *Privilegium*.

Aby sobie wytłumaczyć co ten ustęp znaczy, potrzeba pokrótce wskazać, jakie miało w ogólności znaczenie całe owe *privilegium* i jaki jest jego układ.

Bliziej wpatrując się w układ *privilegii*, dostrzegamy, że złożony jest z dwóch części: pierwsza obejmuje to co właściwie tworzy prawo ziemskie, to jest statuta w ścisłym znaczeniu tego wyrazu i miejscowe zwyczaje prawne ziem (*Consuetudines*). W szczególności znajdują w niej miejsce w porządku chronologicznym statuta, poczynając od statutów Kazimierza Wielkiego aż do ostatnich podówczas statutów czyli konstytucyj zjazdu radomskiego, z roku 1505, w których zastrzeżoną i na nowo stwierdzoną została zasada, że żadne prawo ogólne nie może być inaczej stanowione jak na sejmie ³⁾. Część ta w drukowanym egzemplarzu obejmuje fol. 124 czyli str. 247.

Druga część ma fol. 139 i dodatkowych 68, czyli razem ma fol. 207, przedstawia, że tak wyrazimy się, wyjątkowe miejscowe i osadnicze przywileje, a mianowicie przywileje Litwy, ziem pruskich i prawo niemieckie z wykładem czyli summa prawa rzymskiego Rajmunda, jako pomocniczym w sądownictwie niemieckim. Część ta druga w układzie swoim przedstawia tę osobliwość, że przywileje i prawa osadnicze wmiszczone są w dekret króla Aleksandra, polecający utworzenie tej drugiej części, wskazujący materiał z którego ma być złożoną i wyjaśniającej niejako powody, dla których

¹⁾ *Uwagi nad dziełem: Prawo polskie prywatne*, Warszawa 1873.

²⁾ Tak miejsce to oznacza Bandtkie w swoim *Prawie prywatnym* str. 340.

³⁾ Fol. CXIV v. *de non faciendis constitutionibus sine consensu committorum et nunciorum terrestrium*.

cały ten materyał w jedno zbiera się i ogłasza. Dekret ten poczyna się na fol. 124 v. a kończy na fol. 175, poczem idą księgi praw niemieckich i summa Rajmunda, jako ostatni materyał składowy téj części, wreszcie zamieszczony drugi jeszcze dekret króla Aleksandra, publikujący i zatwierdzający cały zbiór.

Commune privilegium jest niczém inném jak prostym zbiorem tego wszystkiego, co w czasie w którym było układane, tworzyło cały zasób prawny narodu, w jego całości i częściach składowych.

Zbiór cały nie przedstawia nic nowego, na nowo tylko stwierdza co w praktyce za obowiązujące było uważane i jako takie podług natury przypadku, było stosowane. Każda z części tworzy oddzielną całość, tak jak pierwiastkowo powstała, każda ma swój osobny legalny początek i każda swój właściwy zakres stosowania; jedném słowem—to tylko zbiór pojedynczych części, bynajmniej niezlanych w jedną organiczną, jednolitą całość, tylko zebranych, publikowanych i do wykonania podanych pod powagą monarchy, który zbiór ten polecił ułożyć.

Po tych kilku spostrzeżeniach co do składu zbioru naszego, zobaczymy w jaki sposób ów mniemany statut Aleksandra króla o legitymacyi przedstawia się oczom naszym w tym zbiorze.

Nasamprzód zwracamy uwagę na tę okoliczność, że mniemany ów statut występuje na fol. 174, zamieszczony zatem nie w pierwszej części poświęconej konstataowaniu prawa ziemskiego, ale w téj, gdzie zamieszczone przywileje miejscowe i prawa osadnicze, a mianowicie w rzędzie postanowień odnoszących się do praw niemieckich.

Daléj co do sposobu, w jakim jest w zbiorze oddany, takowy jest następujący: po przywileju Kaźmierza Wielkiego ustanawiającym najwyższy sąd niemiecki na zamku krakowskim, idą dwie bulle papieża Grzegorza XI, jedna do arcybiskupa ryńskiego, druga do niemieckiego cesarza Karola, w których papież potępia niektóre rozporządzenia tak zwanego Zwierciadła saskiego (*Sachsenspiegel*) ¹⁾, po których występuje na dziesięciu wierszach, następująca adnotacya ²⁾:

¹⁾ Jak wiadomo zbioru prywatnego praw zwyczajowych saskich z wieku XIII.

²⁾ *Quatuordecim articuli juris saxonici seu theutonici et magdeburgensis, per sedem apostolicam condemnati, tanquam juri naturali et divino contrarii, quos etiam nos Alexander rex apostolico decreto innitentes, reprobamus, condemnamus nulliusque roboris et momenti decernimus perpetuo, ac quolibet iudices et subditos nostros ubilibet in dominiis nostris committentes districtius sub penis nostris eosdem teneri inhibemus.*

Czternaście artykułów prawa saskiego czyli teutońskiego i magdeburgskiego, przez stolicę apostolską potępione, jako przeciwne prawu naturalnemu i Boskiemu, które my także Aleksander król, opierając się na postanowieniu apostolskiem, potępiamy i jako nie mające na zawsze żadnego znaczenia i siły przyznajemy, zabraniając wszystkim sędziom i naszym poddanym gdziebądź w naszych ziemiach, pod zagrożeniem naszych kar takowe zastosowywać.

Między zaś temi czternastoma artykułami po szczególe wypisanemi, artykuł 10 tak brzmi:

Że jeśliby kto z kobietą jaką spółkował, a potem z nią zawarł małżeństwo, nie może nigdy z nią mieć potomstwa prawnego ¹⁾.

A artykuł 11:

Ktoby spółkował z żoną, czyją za życia męża, jeśli po śmierci męża z nią zawrze małżeństwo, nigdy z nią nie może zrodzić prawnego potomstwa ²⁾.

Prosty wniosek, jaki z przedstawienia tego wyprowadzam, jest ten, że wyrzeczona przez króla Aleksandra aprobacya orzeczeń Grzegorza XI co do Zwierciadła saskiego, miała i mogła mieć jedynie na względzie stosunki stojące w kraju pod opieką prawa niemieckiego. Sięgać stosunków prawem ziemskim uświęconych, nie mogła, bo dla zyskania w zakresie tym mocy obowiązującej, nie wystarczało proste i niejako ubocznie wyrzeczone królewskie słowo, do tego potrzebne było formalne, przez sejm roztrząsnięte i przyjęte oddzielne postanowienie.

Nie przeczymy, że w myśli kanclerza Łaskiego, który podał królowi do zatwierdzenia dekret, w którym aprobata powyższa umieszczona, a zarazem i duchowieństwa które za nim stało, mógł być zamiar przy aprobacyi orzeczeń Grzegorza papieża, nadać im rozciąglejsze w kraju znaczenie; ale zabiegi te musiały się rozbić o gwarancye, jakimi otoczone było prawo ziemskie i w zakresie jego pozostać bez skutku, czego najlepiej dowodzi najbliższa potem konstytucya Stefana Batorego z roku 1578 zupełnie ze względu na prawa ziemskie aprobatę tę ignorująca.

Wszakże w aprobacie tej znajdowały się i inne jeszcze orzeczenia, jak np. że papież może prawa stanowić zmieniające statuta ziemskie ³⁾; czyż i podobna zasada mogła się być ostać obok gwa-

¹⁾ Quod quicumque cognoverit aliquam feminam, si postea ducat eam in matrimonium, nunquam ex ea poterit prolem legitimam procreare.

²⁾ Quicumque cognoverit publice uxorem aliojus vivinte marito, si post mortem mariti illius, talis eam ducat in uxorem, nunquam ex ea prolem legitimam generabit.

³⁾ Quod Papa non potest aliquo modo condere vel statuere, per quod jus nostrum hec est statutum terre vel feudi Saxonium deteriorari potest. Jestto artykuł piąty reprobowanych saskich pryncypiów.

rancij ubezpieczających nienaruszalność i że tak powiemy świętość naszego prawa ziemskiego?

Zresztą same orzeczenia Grzegorza XI miały tylko na względzie wyłącznie ziemie saskie.

Zważmy przytém, że nietylko w tém miejscu Łaski podsunął pod zbiór praw krajowych rozporządzenia kościelne, umacniające władzę duchowną, znalazł on sposób i w pierwszej części obejmującej prawo ziemskie zamieścić całą dysertacyą Kotficza o ekskomunikacyach i dekret cesarza Frydryka o heretykach, których rozporządzenia w praktyce kościelnej znalazły wprawdzie przystęp, ale nigdy solennie i formalnie aprobowanemi nie były.

Pierwszą myśl o istnieniu jakoby statutu Aleksandra o legitymacyi puścili w świat układacze konstytucyi roku 1768 za Stanisława Augusta, którym dla uzasadnienia i wzmocnienia wniosków swoich, zdawało się właściwém przytoczyć, że idzie tu między innymi o nic więcej jak o reasumcyą z dawien dawna już uświęconej zasady, jakoby wyrzeczonej w jakimś statucie Aleksandra ¹⁾.

Za nimi, nie wchodząc bliżej w grunt rzeczy, poszli następcy i statut Aleksandra zyskał powszechne przyznanie.

Romuald Hube.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Historya wieku Peryklesa przez M. E. Filleul (*Histoire du siècle de Périclès*. Paris 1873) dwa tomy.

Doznaliśmy bardzo miłego zdziwienia, kiedyśmy otworzywszy książkę nieznanego w literaturze europejskiej autora, znaleźli w niej niepospolite zalety. Pośpieszamy zdać krótko sprawę z tej pięknej pracy.

„Kto przystępuje po raz pierwszy do studyowania mytologii, zdumiewa się nad niezliczoną mnogością bogów i bogiń, nad ciąglemi

¹⁾ Obszerniej o tém Dutkiewicz: *Uwagi nad dziełem Prawo polskie* str. 37—39.

sprzecznościami legend, nad ich niedorzecznością, ich niemoralnością i nie pojmuje jakaż może być podstawa wiary dla ludzi rozsądnych wśród tego całego zamętu.“ „Będziemy widzieli jak wiary pogańskie nawiązują się z łańcuchem do powszechnej religii rodzaju ludzkiego, oraz jakim sposobem oddzielały się od niej.“

Nie prawdaz? od pierwszej stroniczki autor potrafił obudzić ciekawość w czytelniku, najbardziej nawet niechętnym dla zapleśniałej starożytności. Obaczmy jak się wywiąże z obietnicy.

Jak tylko Grek i Rzymianin —mówi dalej— oddał ostatnie technienie, najbliższy z otaczających go krewnych zamykał usta i po bożnie spuszczał powieki, nie godzi się bowiem aby wzrok zmarłego spotkał się ze wzrokiem żyjącego człowieka. Wołano potem na nieboszczyka trzykrotnie, obmywano zwłoki ciepłą wodą, namaszczano woniami. Okrywszy go następnie białym całunem i kosztownym płaszczem, barwiono policzki różem, napełniano usta aromatycznymi ziołami wkładano wieniec na włosy i wystawiano w sieni wiodącej na ulicę (prothyrium) na łożu usypaném kwiatami. Od téj chwili dom był już zanieczyszczony (funestata). Na progu stawiano „wodę oczyszczenia“ (lustralną), którą skrapiał się każdy z nawiedzających przy wejściu i wyjściu. Po dniach kilku (10—3) wyruszał orszak pogrzebowy przed wschodem słońca, ku cmentarzowi. Przodem postępowali niewolnicy z pochodniami, dalej trębacze i fletniści, płaczki, zawodzące swe pieśni żałobne (naenia), a za nimi niesiono łożo z nieboszczykiem. Obok grobu familijnego był już przygotowany stos, przeplatany gałązkami cyprysu. Ustawwszy ciało na szczycie, otwierano oczy zmarłemu, a najbliżsi krewni podkładali ogień, odwracając głowy na okazanie, że dopełniają tego smutnego obowiązku z żalem. Wtedy zaczynał się obrzęd ofiary, a na ołtarz rzucano obficie najdroższe kadzidła, których zapach tłumił nieznośne wyziewy palącego się ciała. Gdy ogień zacznie opadać, zalewano resztki jego winem i zbierano popioły do urny glinianej, srebrnej lub złotej, zwilżywszy je poprzednio winem i mlékkiem. Głowa rodziny skrapiał po trzykroć obecnym wodą lustralną i wracano do domu na stypę. Jeszcze przez dziewięć dni trwały obrzędy pogrzebowe: obsypywanie grobu kwiatami, polewanie winem, mlékkiem, oliwą, zastawianie jadła, palenie ofiar całkowite. Była to uczta zmarłego. Nareszcie oczyszczano mieszkanie siarką i osoloną wodą lustralną, zabijano wieprza w ofierze Zeusowi i „zanieczyszczenie“ domu ustawało.

Wzięliśmy kilka konturów z artystycznego obrazu, żeby dać wyobrażenie o wykładzie autora. Czytając tekst możnaby posądzić go o naśladowanie Dumas'a, ale króciuchne odsyłacze u doły każdej stroniczki zaraz upewnią czytelnika, że wyobrażenia tu postępuje tylko bogatemu aparatowi naukowemu, a cały obraz jest kunsztowną mozaiką. W przedstawionym obecnie obrzędzie pogrzebowym (s. 4—8) użyte zostały wyjątki z Homera, Eurypidesa, Pliniusza, Izeasza, Lyzysza, Serwiusza (komentatora Eneidy), Xenofonta, Dyogenesa Laer-

teńskiego, Plutarcha, Suidasa, Eschylosa i Teokryta. Poprzestając na tej jedynj próbie, będziemy już śledzili tylko główny bieg myśli i wnioskowania.

Wszystkie te obrzędy i objawy żalu nie pochodziły z samj tylko czułości; właściwe ich źródło kryje się w naglającej potrzebie pozyskania względów u nieboszczyka, bo ten stawał się *bogiem*. „Dla dzieci zmarły lub raczej istota nieśmiertelna, która w ciele jego przebywała była ich stwórcą bezpośrednim, ostatniem ogniwem łańcucha bogów, którym one zawdzięczały istnienie swoje.“ Jeszcze za czasów chrześcijańskich retor Temistius, poganin, woła w mowie pogrzebowej: „O mój ojczel Ty który niedawno byłeś najlepszym z ludzi, a teraz jesteś najlepszym z bogów.“ Z tą wiarą łączył się przesąd, że dusza przodka będzie opiekowała się pozostałą na ziemi rodziną, będzie odwracała choroby i broniła od wrogów, jeżeli będą wykonywane obrzędy, od których jej pomyślność na tamtym świecie zależeć miała.

Z tego pojęcia wynikły wszystkie pierwotne podziały społeczności starożytnj. Jedna rodzina, dom, czci swych zmarłych przodków, lecz od tychże przodków pochodzą inne spokrewnione rodziny. Wszystkie one stanowią jeden ród (grecki „genos“, rzymski „gens“) i czczą swego patryarchę czyli herosa eponyma, z kąd widzimy rody Alkmeonidów, Butadów, Lykomedyów i t. d. Związek kilkunastu lub kilkudziesięciu rodów nazywał się plemieniem (fratria), a ich eponym pochodzi zwykle od założyciela miasta, spokrewnionego już z jakimś wielkim bogiem lub boginią. Nadto, przez zawierane w późniejszym czasie związki małżeńskie jeden ród otrzymywał téż prawo posiadania bóstw drugiego rodu, a tym sposobem Grek z dobrego domu, szlachcic, eupatryda, znajdował w swojej genealogii wszystkich bogów ojczystych.

Ale dusze przodków stanowiły klasę „bogów niższych“ rodowych, prywatnych. Po nad nimi górowało wyższe, powszechne, zdaniem autora dawniejsze nawet pojęcie. Oto w głównej komnacie domu (atrium) stoją posągi lub są zawieszzone portrety przodków, lecz największą i najpotężniejszą świętością jest ołtarz, na którym płonie ogień, hestia. Ten ogień jest dopióro rzeczywistym przedstawicielem bóstwa, jest demonem czyli geniuszem rodu. Cycero powiada, że dusza jest niczém inném jak tylko ogniem; Prometeusz Eschylosa, wykrada ogień, który jest „źródłem wszystkich sztuk i nauk.“ Hestia jest duszą nie jednego jakiegoś przodka, ale duszą wszystkich, jest pierwiastkiem nieśmiertelnym podawanym z pokolenia w pokolenie aż od Zeusa, jak „pochodnia udzielająca ognia drugiej pochodni.“ Nie jestto ogień kuchenny, jest czystszy i subtelniejszy od zwykłego; jestto *eter* (pochodzący od słowa „palić się“ aito). Jestto ciepło, światłość dzienna a zarazem ruch pierwotny i wiekuisty. „Owa prawda wygłaszana obecnie przez nowoczesną naukę, że światło i ciepłosa jedno i to samo, była odgadnięta w starożytności i rzecz

ta była właśnie Bogiem.“ („Deus“ Eolczyków i Rzymian „dyu“ sanskryckie, „Diespiter“ łacińskie, „divas pati“ sanskryckie).

Nie poprzestając na źródłach greckich autor twierdzi, że ogień był pierwotnym bóstwem wszystkich ludów, wszystkich religij. Przytacza ustęp z Rig-Wedy, gdzie Agni nosi wyraźnie nazwę „wszystkich bogów“ z Zend-Awesty, gdzie Ahura-Mazda nazywa się „świecącym“ stawi domysł, że eterem też jest egipski Num; przypomina, że w Lewityku (r. X.) synowie Aarona zostali pochłonięci przez ogień, wychodzący z Pana za sprofanowanie turybularzy węglami, wziętymi z kądeśinąd, nie z ołtarza. Cześć jedynego Jehowy dlatego tylko przechowała się u Izraelitów, że obowiązki kapłańskie były przywiązane do jednego pokolenia Lewi, które nie dopuszczało żadnego obcego ognia, żadnego obcego pomysłu o przymiotach bożych.

Oto jest teoria stosowana przez autora do wyjaśnienia wszystkich stron życia Grecyi. W całości a szczególnie we wniosku naczelnym o pierwotnej czci ognia i światła przez cały rodzaj ludzki, napotka ona zapewne liczne zarzuty. Najtrudniejszym do załatwienia punktem będzie mitologia egipska, w której z wielką wyrazistością występuje cześć Nilu jako dawcy urodzajów. Wielkie też trudności przewidujemy w mitologii Semitów, szczególnie w wyjaśnieniu istoty naczelnego bóstwa Assyryjczyków: Assura. Łatwiejszą sprawę wróży autorowi z mitologią plemion Aryjskich, gdy najdawniejsza wiara Hindusów wyznacza wysokie stanowisko Agni i Indrze, a nawet u Persów pomimo powszechnie znanej ich dwoistości (Ormazda i Arymana) istnieją wskazówki, że bogiem pierwotnym i najwyższym był sam tylko Ormazd ¹⁾. Zresztą dyskusja o pierwotnej religii rodzaju ludzkiego byłaby obecnie jeszcze przedczesną, gdyż p. Filleul zapowiada osobne dzieło w tym przedmiocie.

Tymczasowo poprzestańmy na bliższym wniosku jego, że pierwotnym bóstwem Greków i Rzymian był ogień ołtarza, Hestia czyli Vesta. Przed kilkoma laty p. Fustel de Coulanges w szacowném swém dziele „La cité antique“ wyrzekł, iż ognisko musiało być symbolem czci zmarłych. P. Filleul twierdzi że hestia nietylko *wyobrażała* ale *była* sama duszą przodków. Uchyła się od wszelkich sporów z uczonymi, którzy nad Mitologią Porównawczą pracowali, nie wymienia żadnych nazwisk współczesnych, tylko przytacza w „Dopełnieniach“ wyjątki ze starożytnych pisarzy (19) i 11-cie ustępów z Biblii, lecz te są w wysokim stopniu przekonujące, dosłownie bowiem popierają wniosek autora.

Jeszcze silniej wraża się teoria ta przy wykładzie urządzeń religijnych, społecznych, państwowych i przy wykładzie samych wypadków życia dziejowego Grecyi. Najrozmaitsze zjawiska napozór niezrozumiałe, dziwne, p. Filleul tłumaczy w bardzo prosty sposób, sprowadza do jednej podstawowej zasady, z której się rozwija całe życie

¹⁾ Rawlinson The five great monarchies. 2d. ed. 1871, III, 347.

Hellady. Czytelnik doznaje takiego wrażenia, że pan Filleul tchnął duszę w pstre, różnobarwne, gwarne społeczeństwo Grecyi i stworzył istotnie organiczną całość. Na dowód zaznaczamy najważniejsze tylko wywody:

1) Pochodzenie mytologii greckiej wyjaśnia się tym sposobem: jak tylko przodek stał się bogiem a składający mu ofiarę potomek—kapłanem, wnet religia zaczęła posługiwać interesom i namiętnościom człowieka. Królowie, wodzowie, eupatrydzi obstalowali sobie u wędrownych piewców genealogie, które miały spokrewnić ich z wielkimi bogami. Zeus przybiera postać Amfitryona dla uwiedzenia Alkmeny widocznie tylko w tym celu, żeby dać życie Herkulesowi, protoplaście Spartyatów. Wenus łączy się z Anchizesem dlatego, żeby urodzić Eneasza przodka Rzymian. Ztąd pochodzą skandaliczne obyczaje bogów. Tym sposobem wyjaśnia się znaczenie nazwy dawanej utworom Hezyoda, Ferecydesa, Hellanika: „Katalogi lub Genealogie“ z tego to powodu Cycero nazywa dawnych pisarzy teogonów „genealogistami“ ¹⁾. Zrozumiałem staje się znaczenie rzymskich *dei majorum gentium* i tego dziwnego ubóstwiania (apoteozy) rzymskich cesarów. Ale co dziwniejsza zrozumiałemi stają się szyderstwa Ojców kościoła (np. Ś. Augustyna), że bogowie pogańscy byli ludźmi ubóstwionymi. Takie pojęcie mytologii wywołuje zwykle uśmiech ironiczny na twarzy dzisiejszego historyka, tymczasem p. Filleul wskazuje że pogląd ten, wzięty z systematu Ewhemera, jest zupełnie uzasadniony względem bogów niższych, tylko nie jest wyczerpujący, gdyż nie dosięga istotnego Zeusa, duszy świata. Zdaniem autora Hestia i Hefaistos, Westa i Wulkan, są po prostu ogniem; Dionysos, Apollo, Adonis słońcem; Poseidon i Neptun byli poprzednio téż słońcem, a później dopiero stali się bogami morza. Ceres, Kybele, Wenus, Afrodyta, są ziemią zawdzięczającą swe urodzaje słońcu; kilka bogiń wyobrażeniem księżyca. Wszakże wyjaśnienia wszystkich mytów autor nie podaje, wyznając, że praca taka jest niezmiernie trudną, ponieważ mytologia grecka jest zlepkiem bardzo wielu wier plemiennych miejscowych i cudzoziemskich.

2) Obrzędy religijne i państwowe. Dla pozyskania opieki bogów istnieją zaklinalnia, formuły tajemnicze, hymny znane pewnym osobom, pewnym rodom, np. w tajemnicach eleuzyńskich figurują rody Eumolpidów i Keryksów; kapłani Zeusa musieli pochodzić z prawdziwego rodu Butadów; oni téż pełnili służbę w świątyniach Ateny i Erechteusza; ród Asklepijadów posiadał przywilej leczenia dlatego, że zostawał w szczególnych stosunkach z bożkiem Asklepiosem (Eskulapem). Eneasza nie zna obrzędów niezbędnych przy składaniu

¹⁾ Grote w roz. V tomu I i w roz. I tomu II wykładając ten sam przedmiot nie doszedł do tak prostych i jasnych wniosków.

ofiar Junonie i z tego powodu nie może wylądować w Italii, wszakże skoro dopełnił wszystkich ceremonij, Juno jest już zmuszoną prośb jego wysłuchać. Dlatego uważano za wielką zbrodnię odkrycie tajemnic i zakłócić niewtajemniczonemu, lub co gorsza cudzoziemcowi. Zwało się to kradzieżą rzeczy świętych (hierosulia). Edyp przez zemstę wydał tajemnice tebańskie Tezeuszowi i oto zaraz Ateńscy zwyciężają ich. To też opowiadając znane oskarżenie Alcybiadesa p. Filleul kładzie największy nacisk nie na „hermów“ lecz na odprawianie misteryi eleuzyńskich w domu prywatnym, w szatach hierofanta, w obecności przyjaciół swoich i wielu niewolników. Wrogowie nie mogli wymyślić straszniejszego oskarżenia. Winny był karany nie tylko śmiercią i konfiskatą, ale jeszcze przekleństwem, pozbawieniem pogrzebu, zatraceniem duszy, pozbawieniem dzieci i potomstwa jego praw obywatelskich. A kara ta była nieuchronną, inaczey bowiem gniew boga lub bogini spadał na całe miasto. Przy tój sposobności przypomnę, że miasto Rzym miało inną jeszcze tajemniczą nazwę (podobno Valentia czy Amor); Hegel próbuje wytłumaczyć ten fakt brakiem poznania przedmiotowości, tymczasem stosując zasadę p. Filleul możemy łatwiej i jaśniej wytłumaczyć go obawą, żeby wrogowie nie zaskodzili wiecznemu groduwi przez jakieś zakłęcia i czary, znając właściwe jego imię. W Atenach geniuszem, istotną duszą narodu była nie bogini Atena, lecz „Hestia prythanitis“ czyli ogień wiecznie płonący w kunsztownej złotój lampie, napełnianej oliwą raz na cały rok. Przechowywano go w osobnym okrągłym gmachu z kopułą; tu codziennie 50-ciu prythanów w imieniu państwa składa przed ołtarzem ofiary; tu zasiada Rada pięciuset. Gdy Ateńscy uchodzili przed Xerxesem, ogień ten został przeniesiony na wyspę Salaminę, rękoma szwagra Cymonowego Kalliasa, który był dziedzicznym „daduchem“ czyli nosicielem pochodni. Podobnie ołtarz świątyni i wyroczeni Delfickiej był „hestyą centralną“ (mezomfalos) wszystkich Greków, pochodzących od Apollina. Toż samo zasadnicze pojęcie tłumaczy, dlaczego religia staje się w Atenach tak samo jak w Rzymie instytucją polityczną, urzędową, dlaczego archont składa ofiary na ołtarzu prythanii w imieniu państwa, dlaczego dostarczanie wołów i innych zwierząt na takie publiczne ofiary jest obowiązkiem eupatrydów, dlaczego ci dostarczyciele noszą miano „hestiatorów“ a lud wymaga od nich jak największej częstokroć rujnującej hojności. Jakże zrozumiałym i naturalnym staje się znany wykrzyknik Cycerona, iż rzeczpospolita zawiera się nie w murach, lecz w ołtarzach i ogniskach domowych!

3) Zasady religijne odbiły się na prawie cywilném, szczególnie na pojęciu małżeństwa. Najpiérwszą troską Ateńczyka było pozostawienie potomstwa, któreby czcilo go po śmierci ofiarami i libacjami na grobie; najważniejszym obowiązkiem córki było „ocalenie hestyi ojczystej.“ Ręką jój rozrządzał ojciec z tém tylko ograniczeniem, że musiał zięcia przybierać za syna. Ale gdy córka wyszła za mąż za

obcego, a tymczasem przez śmierć braci spadał na nią tytuł spadkobierstwa, musiała wtedy opuścić męża i poślubić kogoś z najbliższych krewnych. Tym sposobem mąż przywiązany do swjej żony nie zgłaszał się o należny jej spadek i za szczęśliwego się uważał, jeśli mu jej ktoś z krewnych nie odebrał. Gdyby małżeństwo było bezdzietne i zagrożone wygaśnięciem rodziny, prawo Solona dodawało mężowi pomocnika. Bezdzietność bowiem była straszną klęską: dom stawał się bezimiennym (anonymem). Taki los zagrażał Peryklesowi i największą łaskę wyświadczył mu lud pozwalając uprawnić syna jego, zrodzonego z cudzoziemki Aspazyi i nie posiadającego praw obywatelstwa w Atenach. Ztąd też spływa światło na stanowisko kobiety w Atenach, nastęrcza się sposobność wytłumaczenia obrzędów słubnych, uczuć familijnych etc. Taż sama religia orzeka o prawach osobistych obywatela. Nie wolno ubiegać się o żaden urząd inaczej jak po złożeniu dowodów, że kandydat w trzech pokoleniach pochodzi z ojca i matki od obywateli ateńskich, że posiada ołtarze Zeusa Herkeiosa i Apollina Patroosa, że posiada grób familijny i należy do pewnej „fratryi“ czyli że jest tam zapisany na liście stanu cywilnego. Zapis nowonarodzonych niemowląt odbywał się w obecności przyjaciół i świadków, którzy byli przytomni przy przyjęciu dziecka do rodziny. Ten obrzęd zależał na skropieniu niemowlęcia wodą lustralną (chrzest) i trzykrotném obnoszeniu koło „hestyi“ domowej. Wszystkie te rysy znakomicie ułatwiają zrozumienie patryotyzmu starożytnych i tój przepaści, jaka dzieliła obywateli od niewolników a nawet meteków, którzy przybywali z innych miast greckich. Jakże zrozumiałą staje się odezwa Trazybula: „Po co chcecie nas zabijać, kiedyśmy nic złego nie wyrządzili? Czyż nie jesteśmy waszymi spółobywatelami, czyż nie jesteśmy związani z wami jedną religią, jednymi obrzędami?“

Oczywiście p. Filleul nie zaniedbał wskazać, że przy uroczystościach religijnych noszono pochodnię, której płomyk właśnie wyobrażał ducha samego bóstwa. Opisuje starannie szczególnie dwie uroczystości: święto Dyonisa, czyli Bachusa i tajemnice eleuzyńskie. Pierwsze godne są starannych badań, ponieważ dały początek tragedyi i komedyi. Wiadomo, że sztuka dramatyczna wynikała z hymnów i opowieści przygód boga: tragedia—z piérwszjej części obchodu, kiedy lamentowano nad męką boga, nad jego śmiercią i zstąpieniem do piekieł; komedia—z pieśni, poematów, śpiewanych przy wesołej uczcie, kiedy Dyonisos już wrócił z piekieł w tryumfie. Eschylos zamiast jednego śpiewaka wprowadził dwu, a następnie kilku deklamatorów. Pobożni ludzie gorszyli się, powiadając: „Wszystko to jest bardzo ładne, ale cóż po tém Dyonisowi.“ Pomimo ich niechęci jednak dialog utrzymał się i dramat został stworzony. Opis tajemnic eleuzyńskich, ułożony głównie podług Ojców kościoła ¹⁾, jest ciekawy z wielu

¹⁾ Nieuwzględnionych przez Grote'a.

względów. Były one najpotężniejszym czynnikiem umoralnienia dla starożytnych. Izokrates i Cycero zgodnie świadczą, że te „najdoskońszsze tajemnice uczyły człowieka, jak ma żyć cnotliwie, uczyły go umierać z nadzieją szczęścia wiekiustego. Każdy Ateńczyk starał się „wtajemniczyć“ przynajmniej przed śmiercią. Obrzęd wtajemniczenia trwał 9 dni, w ciągu których odbywały się rozmaite ceremonie przygotowawcze: chrzest, post, oczyszczenie przez ofiarowanie wieprza, spowiedź, spędzenie jednej nocy na czuwaniu, wzajemne udzielanie ognia z lamp pomiędzy wtajemniczonymi, symboliczna walka na kamienie i wielka processya ze świątyni Eleuzynion do miasta Eleuzys po „drodze świętej“ wśród tłumów ludu. Sami tylko wtajemniczeni mogli przekroczyć ogrodzenie, otaczające świątynię, gdyż nad bramą był umieszczony napis: „Nie wolno tu wchodzić profanom.“ Wewnątrz bowiem działy się takie rzeczy, których wyjawienie przed niewtajemniczonymi pociągało karę śmierci, a przynajmniej ogromną karę pieniężną. Przedstawiano tu rozmaite wspomnienia z mytu o Cybeli czyli Demetrze, która, szukając porwaną przez Plutona (Aidoneusa) córki swojej, zwiedziła Eleuzys, znalazła tu chwilową rozrywkę w żartach Jamby, służebnicy królewskiej, doznała gościnnego przyjęcia i, odzyskawszy swą Persefonę, nauczyła królów, jak mają urządzać „piękne orgije,“ które mogą oczarować dusze obu bogiń. Myt przetłumaczony na język prozy, zawiera poprostu dzieje życia i śmierci, lata i zimy, nasienia zagrzebanego w ziemi i wyrastającego na wiosnę, duszy ludzkiej, która odżyje po śmierci ciała, ale przedstawienie tego mytu w obrzędach sprawiało nadzwyczajne wrażenie. Wchodzący do ciemnej, ogromnej świątyni „mystos“ (wtajemniczony) czuł w przedśionku trzęsienie ziemi; następnie słyszał wycie rozwścieklonych psów Hekaty i Cerbera; w ciemnościach przesuwały się straszne widziadła: są to fury potrzęsające głowiniami, ciskające na rodzaj ludzki choroby i nieszczęścia. Potem otwierają się podwoje i przy słabym świetle lampy wtajemniczony zwiedza część piekieł, gdzie przebywają pomarłe przed chrztem dzieci, osoby nie wtajemniczone, samobójcy i występni; dalej w oddziale męczarni wiekiustych cierpią winni wielkich zbrodni przeciwko religii i społeczeństwu, a nareszcie ukazuje się miejsce pobytu sprawiedliwych i cnotliwych. Przedstawienie kończy się „autofanią“ czyli ukazaniem się duszy samej bogini. Na czém to zależało, z pewnością dowiedzieć się niepodobna. Temistysz powiada tylko, że ciemności rozpraszały się i w głębi ukazywał się duch (nus) bardzo jasny. W tej chwili cała świątynia illuminowała się tak rześcicie, że całe miasto Eleuzys zdawało się być w ogniu. P. Filleul utrzymuje, że te „tajemnice nie zawierały w sobie nic śrośnego, że od kapłanów i kapłanek wymagano bezzeństwa i najsurowszej czystości, nareszcie, że ostateczne wtajemniczenie w trzeciej klasie możliwóm było tylko dla obywateli ateńskich, którzy władzy swój nad boginią, mogli używać tylko na dobro Państwa, a nigdy w osobistych swych interesach.“

Na takim tle rozwija się dramat politycznej historii Aten w opowieściach treściwych, obrazowych, ale krótszych nie tylko w porównaniu z obszernym dziełem Grote'a, ale i z „Historią Grecką“ p. Duruy. Szybko przebiega historia Aten, a wszystkie jej rewolucje aż do wojen perskich zawiera w jednym poglądzie: „związek naczelników rodowych (basileus'ów) pod władzą jednego najpotężniejszego, zastąpienie jednego (króla) zbiorową władzą samych naczelników, rozkład rodzin i wyzwolenie młodszych członków.“ Największą uwagę zwraca na ciągłą walkę dwóch stronnictw: arystokratycznego i demokratycznego. Na czele pierwszego występują Milcyades, Arysteides, który umarł wprawdzie ubogim, ale urodził się bogatym, przez całe życie walczył w obronie „oligarchii“ i przy całej zachości uczuć robił zdaje się parady ze swego dziurawego i brudnego ubrania; następnie Cymon, Tucydides, Antyfon, Teramenes i t. d. Stronnictwo demokratyczne czyni coraz większe zdobycze, dzięki nadzwyczajnym talentom Temistoklesa i Peryklesa. Nie odmawiając wielkich zasług Temistoklesowi, autor usprawiedliwia jednak wydany nań wyrok wygnania „gdyż, ani talent, ani dzielność, ani geniusz nie uwalniają człowieka od przepisów moralności pospolitej.“ Podobnie nie idealizuje bynajmniej głównego swego bohatera Peryklesa: „Bardzo waleczny jako żołnierz, bardzo rozważny i mądry jako wódz, przewyższał wymową wszystkie znakomitości Aten, owę ojczyznę krasomówną. Mówił krótko a dar przekonywania zawsze przebywał na ustach jego. Cios wymierzony przez niego ranił, a tylko on jeden z mówców pozostawiał ostrze w ranie. Człowiek godny podziwu pod każdym względem, gdyby mu nie zarzucano czasem braku oględności w wyborze środków i zbytelnego przywiązania do władzy, które go popychało w wielu razach do przekładania interesu osobistego nad pożytek kraju.“ Broni go od wielu zarzutów, wierzy w szlachetność jego zamiarów, ale wskazuje, że reformy jego demokratyczne rychło stały się narzędziem demoralizacji i upadku Aten. Długie powodzenia u ludu przypisuje w znacznej części tej zręczności, z jaką Perykles oszczędzał swoją osobę i wymowę, wyręczając się w ponniejszych sprawach swymi stronnikami. Wytyka jego obłudę, kiedy będąc przyjacielem filozofów ówczesnych, a więc zapewne niedowiarciem, udawał pobożność przed ludem. Pozostawia też na nim cień za nadużycie władzy Aten nad sprzymierzeńcami, tudzież za wtrącenie państwa w wojnę Peloponnecką. Sąd p. Filleul staje się coraz surowszym, gdy mówi o demagogach późniejszych, którzy, podając się za gorliwych przyjaciół ludu, psuli go, podszczuwali przeciwko bogactwu, mścili się na przeciwnikach swoich oskarżeniami o świętokradztwo lub zdradę, zrobili z sądu Heliastów (Heliea) straszny trybunał polityczny i stracili Ateny z wyżyn hegemonii. Po nieszczęśliwej wyprawie sycylijskiej i porażkach od Spartańczyków, podniosła głowę oligarchia, a z nią się połączyło też stronnictwo liberalne „ludzi uczciwych“ (kalai k'agatoi). Zmieniono rząd, zrazu na czystą oli-

garchią Czteryestu, potem na rządy Pięciuset, wybieranych (zdaniem autora) z liczby 5,000 zamożniejszych obywateli; ale jedno niepowodzenie Alcybiadesa było dostatecznym do przywrócenia niograniczonego ludowładztwa. Nastąpił potem straszny ostatni akt wojny Peloponneckiej. Wodzowie, którzy otrzymali świetne zwycięstwo pod Arginuzami, zostali skazani na śmierć przez lud ateński za pozostawienie poległych w bitwie obywateli bez pogrzebu, chociaż pogrzebowi temu w istocie przeszkodziła burza. Sześciu walecznych i zdolnych strategów oddano w ręce tak zwanych „Jedenastu“ dla utopienia w ohydny „baratronie.“ Po tej zbrodni popełnione nowe szaleństwo: dowództwo nad ostatnią flotą, uzbrojoną z największym wysileniem, zostało powierzone dziesięciu wodzom, z których jeden tylko (Konon) posiadał niezbędne kwalifikacje; wszyscy inni byli „próżni, nieudolni, okrutni.“ Następstwem tej uchwały ludu była bitwa pod Egos-Polamos i upadek Aten.

Nastąpiły później czasy niemniej okropnej reakcji oligarchicznej pod opieką Sparty. Wszakże w lat kilka wygnani pod wodzą Trazybula wyzwalały miasto od Tyranów i od spartańskiej załogi. Znowu przywrócono prawo głosowania dla całego demosu, zaczęto powoływać zgromadzenie ludowe trzy razy na miesiąc, znów kazano wypłacać ze skarbu trzy obole tysiącom sędziów za każdą sprawę i po dwa obole za bytność w teatrze i znowu „ludzie doświadczeni muszą ustępować miejsca niedoświadczonym, zajmujący wyższe stanowisko w społeczeństwie tym, którzy się o nie dobijają. Dostyc było kilku miesięcy dla ludzi gwałtownych i ambitnych, żeby pograżać Ateny w odmęt demagogii.“

Tą razą demagogowie ateńscy popełnili zbrodnię, której wspomnienie utrzymuje się w niezatartej świeżości i zapewne nigdy się nie zatrze, dopóki cywilizacya na kuli ziemskiej istnieć będzie: pociągnęli przed swój trybunał Sokratesa. P. Filleul ukazywał czytelnikowi mędrca już kilka razy w ciągu swjej opowieści: najprzód jako „professora wymowy, prawa i polityki“ czyli sofistę (bo nazwę tę nosili wszyscy professorowie, utrzymujący szkoły); następnie w znanj bitwie pod Delion jako walecznego wojownika, potem na owym strasznym zgromadzeniu ludowym kiedy sądzono wzmiankowaną już sprawę zwyciężkich wodzów z bitwy Arginuzkiej. Tu Sokrates był przeydującym (epistatem) i w obec wzburzonego tłumu czynił największe wysilenia, żeby nakazać uszanowania dla prawa, żeby ocalić oskarżonych ¹⁾. Autor uwydatnia jego niechęć do demagogii, a na-

¹⁾ Tu p. Filleul zawinił względem Grote'a, który mniema, że Sokrates był tylko członkiem prezydującej prytnii, nie zaś epistatem i motywuje swoje decyzją. P. Filleul nie zbija wniosku, chociaż przytacza tylko text sporny Memorabiliów.

wet do rządów demokratycznych, do rozdawania władzy przez głosowanie; ale przytacza też dowody oporu jego przeciwko zemście i gwałtom oligarchów: nie poszedł aresztować Leona i na placu publicznie przyganiał „pasterzom, których trzoda z dniem każdym zmniejsza się i chudnie.“ To też oligarchowie wzbronili mu nauczania pod zagrożeniem że „trzoda może się zmniejszyć o jedną jeszcze: jego osobę.“ Po takich przygotowaniach kreśli sam proces zwycięże, w rysach energicznych, wybornie uzupełniając wielki charakter mędrca. Najwyższe wzniesienie się jego myśli filozoficznej, p. Filleul upatruje w ostatnich więziennych pogadankach. Przesądny, zabobonny niegdyś, badający sztukę wieszczbiarską Sokrates, dopiero ująwszy w rękę puhar z trucizną (koneion, nie cykutą) wygłosił istnienie jedynego Boga, bezcielesność duszy, nagrodę dla dobrych i karę dla złych.

Znajdujemy jeszcze kilka kart, zawierających zarys upadku ostatecznego Aten, jako państwa, jako potęgi politycznej. Wskrzesiciel rządu demokratycznego, Trazybulos, skazany na karę pieniężną za „pychę, pogardę ludu, chęć czynienia wszystkiego przez siebie samego, a nawet za skłonność do przedajności,“ woła z goryczą: „Kara pieniężna! Tego za mało! Zasłużyłem na śmierć za to, że przywróciłem wolność takim ludziom!“ Autor znajduje w rocie przysięgi sędziów Heliei (heliastów) wskazówki, że się okazały dążenia socjalistowskie i opuszcza Ateny w stanie „demokratyzowania,“ kiedy motłoch (ochlos) wydawał krzyki: „Theorika kai boidia,“ znaczące zupełnie to samo co rzymskie: „Panem et circenses“ (igrzysk i chleba) kiedy Ateńczycy stali się w oczach Grecyi „śmiesznymi i wzgardy godnymi.“

Tak więc p. Filleul przedstawił czytelnikowi, prócz szkiców wstępnych i nowej teorii religijnej, całe V stulecie. Zapewne z obmyślanym głęboko zamiarem zaczął szczegółową opowieść historyi politycznej od obrazu zburzonych przez Xerxesa Aten. Gdy hordy perskie zalały Grecyę północną i środkową, wszystkie miasta otwierały swe bramy i przyjmowały poddaństwo. Jedni tylko Ateńczycy odważyli się poświęcić swe domy, świątynie, posągi bogów i unosząc święty ogień „Hestyi,“ szukać przytułku na wyspie Salaminie. Wracając znaleźli zgłiszcza i żałobę, ale na tych zgłiszzczach szybko urosło nowe miasto, zasiadło zreformowane prawodawstwo Solona, urosła ciżba znakomych umysłów i cnót; dwudziestotysięczna garstka ludzi pokonała „wielkiego króla,“ zdobyła hegemonią w Grecyi, zdobyła wiekopomną sławę w dziejach. Co się stało z Atenami po stu latach, widzieliśmy przed chwilą. P. Filleul mniema jednak, że i „w owym czasie reorganizacya, odrodzenie było jeszcze możliwem; niezdarnemi były—nie ludzie, lecz instytucye.“

Taki wniosek ostateczny nakazuje nam dotknąć politycznych przekonań autora i tych proberzy, według których formułował swój sąd o ludziach, wypadkach i urządzeniach.

Pan Filleul oświadcza się stanowczo przeciwko demagogii, przeciwko zasadzie powszechnego głosowania, naruszeniu solidarności pomiędzy klasą zamożną, płacącą podatki, i tłumem, który je nakładał, przeciwko brakowi bezpieczeństwa dla własności, przeciwko powierzeniu spraw politycznych sądom przysięgłym. Szuka też starannie u Arystofanesa najjaskrawszych rysów do skreślenia krzykaczy Pnyxu w odrażających konturach.

Gdy wszystkie prawie instytucje krańcowo-demokratyczne wprowadzone zostały przez Peryklesa, więc i cały jego zawód polityczny musiał być szkodliwym dla przyszłości Aten. Pan Filleul nie wyrzekł tego wniosku wyraźnie dlatego tylko, że ten mąż utalentowany i uczciwy umiał osobistym potężnym wpływem trzymać na wodzy burzliwe żywioły i przezornością uprzedzać niebezpieczeństwa. Przytacza za uznaniem zdania Arystotelesa i Sokratesa, że „w Rzeczypospolitej wszechwładztwo powinno należeć nie do ludu, lecz do prawa, owego prawa przyrodzonego i pierwotnego, które tak dobrze określił Cycero w swojej Rzeczypospolitej¹⁾. Przystalibyśmy chętnie na taką zasadę, przyjęlibyśmy bez opozycji wszelkie sądy na takiej podstawie oparte. Wszakże wypadnie nam tu zaznaczyć, że chociaż pan Filleul budzi odrazę do nadużytych krańcowych oligarchów, to przecież program tego stronnictwa zwykle prawie jest dla niego sympatyczniejszy, a szala sądu historycznego parę razy przechyla się na stronę arystokracji z pogwałceniem sprawiedliwości. Uderzającą jest szczególnie charakterystyka znakomitego retora Antyfona, głównego sprawcy rewolucji oligarchicznej 411 roku i samo przedstawienie tej rewolucji. Kiedy Grote, kreśląc z oburzeniem intrzygi stronnictwa oligarchicznego, jego stosunki z Persami i Spartanami (w czasie toczącej się wojny peloponnezkiej), przedstawia Antyfona jako terrorystę, jako naczelnika sprzysiężenia, które mordowało mówców i wszystkich znakomitszych obywateli z przeciwnego obozu; kiedy Duruy, zaprzeczając ostatecznym wnioskom Grote'a o zbrodniczym i wstecznym charakterze całej arystokracji ateńskiej, powtarza jednak wszystkie fakta, przez niego przytaczane: pan Filleul kładzie nacisk na talenta i wymowę Antyfona, przemilcza o jego udziale w morderstwach; „heterya“ przedstawia jako stowarzyszenie ludzi młodych, „którzy *zapewne* postradali w czasie zaburzeń swemienie, swych krewnych“, zapewnia, że przy rozpędzeniu senatu oligarchowie postąpili grzecznie i wypłacili należną pensyą, podkreśla starannie wyrazy Tocydydesa, że przeciwników zabijali „w niewielkiej liczbie“, a na usprawiedliwienie tych morderstw politycznych wtrąca uwagę, że takie morderstwa były rzeczą dość zwykłą w Atenach. Grote przeciwnie, dwakroć zapewnia, że przed tą rewolucją nie znajdował śladu żadnych morderstw prócz zamordowania Efiatesa ¹⁾. Przypuszczając

¹⁾ Porówn. „Grote“ tłumacz. niemieckie Gesch. Griechenl. tb. v. Meisner Leipz. 1851, tomy IV, 340, 338, III, 286, 341 „Duruy“ Histoire

nawet, że autor słusznie osłabia w czytelniku zaufanie do Tucydyesa, że domysły jego co do istnienia stronnictwa kaloi *k'agathoi* (ludzi uczciwych) są uzasadnione, mamy prawo żądać dowodów do wielu innych, (zaznaczonych wyżej) przypuszczeń jego, a tych dowodów właśnie nie znajdujemy ani w tekście ani w dodatkach.

Wszakże wytykając ten brak spokoju w sądzie o ludziach i wypadkach politycznych, winniśmy dodać, że naczelną dążność autora, że zasady, które ciągle czytelnikowi przypomina, płyną z szczerego pragnienia przyczynić się radą i przestrogą do pomyślności narodów, przedewszystkiem zapewne Francji spółczesnej. Widzimy to pomiędzy innymi w epigrafie zapisanym na karcie tytułowej. „Ani dziś niema nic więcej, ani będzie w blizkiej przyszłości, nad to, co było dawniej“. Do godła tego trzebaby dodać wiele a wiele omówień, ale skoro je autor przyjmuje, należy mu się wyrozumiałość co do żywości uczuć, jaką wprowadza do wykładu polityki ateński. Zresztą w poglądzie na tę politykę ma po swój stronie kolosalne powagi: Sokratesa, Platona, Arystotelesa, na których niejednokrotnie powołuje się. Ma za sobą i Tocqueville'a ¹⁾. Dodajmy jeszcze że czytelnik, niepodzielający mniemań pana Filleul, znajdzie szacowne karty w ustępie, poświęconym opisowi konstytucji przed-Peryklesowej, skreślonej z wielkim zamiłowaniem. Znajdujemy tu wyszczególnienie wszystkich sprężyn życia państwowego Aten, zestawienie mądrych ograniczeń, które zabezpieczały państwo od nadużyć urzędników i prawodawstwo od nierozważnych uchwał zgromadzenia ludowego. Znajdujemy też nowe pomysły, poparte dowodami, o niektórych kwestyach, nie wyjaśnionych przez Grote'a, np. o składzie dikasteryów (sądów przysięgłych) i atrybucyach Areopagu. Cały wykład sądownictwa i prawodawstwa p. Filleul prowadzi z głęboką znajomością przedmiotu. Mniej szczegółowo, ale ze zwykłą jasnością kreśli stronę ekonomiczną.

Kończąc obecne sprawozdanie powiemy krótko, że największą zaletę dzieła stanowi obraz życia, urządzeń i religii Greków, świetnie narysowany, bogactwem barw wabny, jedyną górującą ideą oświełtłony. Uporządkowanie materiału historycznego jest tak logiczne, tak ściśle spojone, że najzawziętszy krytyk zdoła może zrobić kilka wyłomów, ale całej budowy nie obali. Miłośnicy literatury francuzkiej, zasmuceni śmiercią Amedeusza Thierry, mogą powitać w panu Filleul godnego następcę po starej znakomitej szkole historyków francuzkich.

T. K.

Greoque, Paris 1856, 435—441 i Filleul II, 216, 214, 221. Podobnie charakteryzuje Antyfona i heteryę Curtius, Griech. Gesch. Berl. 1867, II str. 597—599 i 617

¹⁾ Tocqueville—L'Ancien Régime et la Révolut. 4-o ed. 1859, str. 16.

Rosyjska historyczna biblioteka wydawana przez komisyję archeograficzną. Tom I. Petersburg 1872.

Komisyja archeograficzna petersburska, na sesyi z d. 18 października 1869 r., postanowiła wydawać pod powyższym tytułem materiały historyczne, znajdujące się w rękopismach Cesarskiej Biblioteki publicznej, w obcych językach, a dotyczące głównie stosunków Polski z Rosyją, w epoce zaburzeń domowych w Rosyi na początku XVII wieku. Tom pierwszy zamierzonych publikacyj wyszedł obecnie z druku i zawiera pięć nieznanych dotąd pamiętników polskich (z przekładem rosyjskim obok tekstu polskiego), opracowanych i do druku przygotowanych przez członka komisyji Michała Kojałowicza. Podajemy tu więc o nich wiadomość, po kolei je rozpatrując, przytém zwracamy uwagę jak wielkie, owe materiały rzucają światło na udział Polski w sprawie Samozwańców, oraz na szczegóły smoleńskiej wyprawy Władysława IV (1632—1634).

Najprzód znajdujemy tutaj dyaryusz sejmu warszawskiego z 1605 roku, o którym słabe tylko mieliśmy wspomnienia; szkoda tylko że dyaryusz ten jest niekompletny, bo podane tu są tetylko ustępy, które odnoszą się do sprawy Dymitra Samozwańca. Rozpoczynają go wyjątki z kilku instrukcyj sejmikowych, dalej następuje propozycja sejmowa i mowy kilku senatorów, z których najważniejszą jest mowa Jana Zamoyskiego; dalej artykuły podane królowi, lecz nie przyjęte przezeń; list cara do króla i poselstwo tegoż (1—51), wreszcie opis ślubu Maryny Mniszchówny z posłem Dymitra przez prokuracyę (str. 51—71), oraz „spis upominków carowej wojewodziance sandomierskiej od posłów moskiewskich oddane“ (stronnicza 72—80).

Z zebranych tu tedy materiałów, widzimy najprzód, iż szlachta polska, w ogóle niechętnem okiem patrzyła na wspieranie „Dymitra gospodarczyka“ jak go zowią, w instrukcyach téż swoich ganiła „iż się tacy znajdują, którzy *sine autoritate regiae Majestatis et Reipublicae*, wyjeżdżają z Korony z wielkimi pocztą“... „żkąd pacta między pany sąsiedzkiemi i koronnemi łamią się i łamać mogą z wielką szkodą i zawiedzeniem Rzeczypospolitej.“ Zapewne mieli tu na uwadze przedłużenie rozejmu z Moskwą na lat dwadzieścia, zawarte przez Lwa Sapiehę kanclerza litewskiego, który w tym celu jeździł do Moskwy w 1601 roku. W tymże duchu przemawiał Jan Ostroróg kasztelan poznański (29 stycznia), a w parę dni później Dorohostajski marszałek wielki litewski zwracając swą mowę do króla, groźnie go przestrzegał: „Przysięgłeś W. K. M. na pokój, sam z osoby swojej, przysięgałeś za nas senatory, przysięgałeś i za stan rycerski... A nie gwałci-li się przysięga, łącno każdy baczyć może. To złe trzeba wczas leczyć...“ Andrzej Leszczyński wojewoda brzesko-kujański zwracał także uwagę, na niebezpieczeństwo, mogące wyniknąć w skutek wspierania Dymitra; Zamoyski wreszcie mówił: „Z strony

Dymitra tego, radziłem W. K. M., żebyśmy tego przymierza rwania, nie tylko *facto ale etiam et suspicione facti* strzegli się, rozumiejąc to być nie tylko przeciwko dobremu i sławie Rzeczypospolitej, ale i przeciwko duszemu zbawieniu; radziłem tedy żeby ta sprawa za- trzymaną była aż do sejmu, obawiając się żeby za tą skwapliwością niektórych, mimo pozwolenie W. K. M. i wszech stanów, niebezpie- czeństwa za sobą nie przyniosła, gdyż przecie postronne kraje wie- dzą, że go naród nasz prowadzi...“ Co się zaś tyczy samego Dymitra, powątpiewał Zamoyski o jego autentyczności, nie wierząc iżby w miejsce syna Iwana Groźnego, kogo innego zamordowano. „Prze- bóg—wołał on—czy to Plauti czy Terentiuszowa komedia! Jeśli to rzecz podobna, kazać zamordować kogo, a na ostatnią potem nie patrzeć, jeśli ten a nie inszy jest zamordowany! Taką rzeczą mo- żna było i kozła albo barana podłożyć... Ale i okrom tego Dymitra, jeśliśmy te pany wprowadzić chcieli do Moskwy, są insi właśnie *haeredes* księstwa tego moskiewskiego. Włodzimierskich dom był własny haeres tego księstwa, który iż zszedł, po nich *jure successio- nis haereditariae* przychodzi na dom Szujskich...“ W słowach tych wyrażających bezinteresowną a szlachetną politykę, jak również w wyżej przytoczonych ustępach, jasno widzimy iż sprawa Samozwań- ca poparta przez Mniszchów i Wiśniowieckich, z uznaniem nawet króla, bynajmniej w całym kraju popularną nie była. Zygmunt III zamierzał swe wpływy ku północy rozszerzyć, a dumny Mniszech aby widzieć swą córkę carową, wspierał awanturnika, i popierał jego pretensye dla czysto osobistych widoków. Jak zaś Zygmunt III sprzyjał Dymitrowi, dowodzi to, że nie przyjął artykułów uchwalo- nych na sejmie, mocą których zabraniano wszelkich pactów z po- stronnemi, na wzór konstytucyi 1601 roku.

Tymczasem Dymitr, który uroczyście wjechał do Moskwy w czerwcu 1605 roku, wysłał poselstwo do króla polskiego. Posła- nikiem swoim polecił on najprzód aby przedstawiwszy Zygmunutowi niebezpieczeństwo grożące chrześcijaństwu w skutek wzrastającej potęgi tureckiej, przedstawili konieczność wzajemnego porozumienia się i przedsiębrania wspólnie stanowczych środków przeciwko Turcyi. Dalej uwiadamił Dymitr, iż postanowił zaślubić córkę wojewody san- domierskiego, prosi tedy króla aby im pozwolił wyjechać do Moskwy, przyczem zaprasza go „żeby dla braterskiej miłości wy wielki hospo- dar, był u naszego Cesarskiego Majestatu na weselu naszym w hospo- darstwie Moskiewskim.“

Ślub jednakże Maryny z posłem Dymitra przez prokuracyą, od- był się w Krakowie, podług obrządku łacińskiego, w obecności całej rodziny królewskiej i nuncyusza papieżkiego Ringoniego, a opis jego spisany zapewne przez naocznego świadka, gdyż najdrobniejsze szcze- góły podaje, wielce jest zajmujący. Obrzęd rozpoczął rozmaite mowy. Najpierw poseł cara, uroczyście prosił Mniszcha o rękę cór- ki i o błogosławieństwo ojcowskie. W imieniu ojca pauny młodziej,

odpowiedział Sapieha kanclerz litewski, wychwalając cara, wynosząc przytém „i panny zacność domu, wychowania i cnót obfitość.“ Wreszcie przemawiał kardynał Maciejowski, który celebrował. Przy ślubie dość komiczna zaszła okoliczność: gdy kardynał zapytał posła, czy car wielki nie ślubował komu innemu, poseł odrzekł naiwnie: „a szto ja wiedajet; nie zlecił mi nic o tom.“ Dopiero napomniony przez drugich, poprawił się, mówiąc: „koli by on ślubował, tedy by mnie tu nie stał.“ Później znowu nie chciał powtarzać za kardynałem rotę przysięgi, i rzekł obrażony: „z panną Maryną ja mam mówić a nie z WMOściem.“ Po ślubie wszyscy zasiedli do uczyty, a poseł Dymitra wręczył Marynie bogate podarki od cara, które w imieniu jój odbierała chorążyna lwowska Tarłowa, babka jój, gdyż matka chorą była. Półmiski roznoszono, zaczynając jednocześnie od króla i od carowój. Że zaś Maryna jeść nie chciała, poseł moskiewski także niczego nie dotknął, a gdy król posłał do niego, zapytując czemu by nie jadł, odpowiedział iż nie godzi się chłopu jeść z monarchami. Podczas uczyty pito zdrowie panny młodej, król rozpoczął „czapkę zdjawszy i z stołka się ruszwszy“ a za każdą razą gdy pito zdrowie cara lub carowój, poseł wstawał i „upadał jako sługa do nóg“ dodaje sprawozdawca. W tejsz izbie był drugi stół, za którym siedziało kilku senatorów, a przy trzecim syn posła i „Moskwy do dwudziestu“ z kilku starostami i dworzanami króla; w drugiej znów izbie reszta dworu królewskiego. Uczta późno w noc się przeciągnęła, po obiedzie były tańce. Król rozpoczął z carową, poczem dał znak posłowi, aby z kolei szedł w taniec; ten jednak odmówił, tłumacząc się, iż nie jest godzien dotknąć się carowój, król tedy i drugi raz przetańczył. Po skończonych tańcach pan wojewoda sandomierski wraz z córką przyszli upaść do nóg królewskich, dziękując za wszystkie łaski, jakie od niego doświadczali. Król podniósł carowę z ziemi, a zdjawszy czapkę, długą miał przemowę, winszując jój tego małżeństwa i godności zachęcając aby małżonka swego „do miłości sąsiedzkiej i statecznej przyjaźni wiodła.“ O drugiej po północy król odjechał na zamek. Poseł bardzo był zadowolony z całej uroczystości. Nazajutrz odprawiono posła Dymitrowego, a w krótkie także carowa wraz z ojcem i licznym poczem rycerstwa odjechała do Moskwy, aby nigdy do Polski nie wrócić. „A ten ci akt, kończy sprawozdawca, aby był daj Boże ku dobremu Rzeczpospolitej Chrześcijańskiej i korony naszej.“

Drugi pamiętnik pod tytułam: *Historja Dmitra fałszywego*, najobszerniejszy ze wszystkich, obejmuje cały lat dziesiątek od 1603 do 1613 roku. Tytuł jednak tego pamiętnika jest niedokładny, bo znajdujemy w nim historję obu Dymitrów Samozwańców: o pierwszym pobieżne tylko są wiadomości (str. 87—121), o drugim zaś bardzo szczegółowo; dziennik zaś codziennych prawie wypadków rozpoczyna się od 2 września 1607 roku t. j., od przybycia chorążego

mozyrskiego Budziły do obozu Dymitra, a kończy się pismem tegoż Budziły do króla z turmy w Niżnym-Nowgorodzie pod datą 14 stycznia 1613 roku (str. 123—364). Wydawca przypuszcza iż ów Budziły jest autorem owego pamiętnika, gdyż wszystkie wypadki w których brał udział bardzo szczegółowo są opisane; nie dostateczny to jednak dowód, gdyż wiele innych rzeczy nie dotyczących wcale Budziły, również szczegółowo są skreślone. W każdym jednak razie pisać go musiał ktoś, co uczestniczył w tych walkach wywołanych przez samozwańców, a śmierć może, nietrudna wśród ciągłych tych bojów wytrąciła mu pióro z ręki, gdyż pamiętnik ten skończonym nie jest. Ważny to jest niezmiernie materiał do dziejów współczesnych, uzupełniający podania Marchockiego, Maszkiewiczza, Bielskiego Samuela i inne znane dotąd źródła. Najwięcej znajdujemy tu szczegółów o walkach staczanych przez rycerstwo polskie, przybyłe w pomoc Dymitrowi drugiemu, oraz listy do króla, hetmana, wodzów moskiewskich i t. d.

Trzeci pamiętnik: *Wyprawa cara moskiewskiego Dymitra do Moskwy z Gerzim (Jerzym) Mniszkiem wojewodą sandomierskim i z inszym rycerstwem roku 1604*, przedrukowany jest z rękopismu znajdującego się w Bibliotece głównego sztabu w Petersburgu, autorem zaś jego był Stanisław Borsza, rotmistrz i dworzanin cara Dymitra. Opowiadanie swe rozpoczyna autor od wymienienia oddziałów wychodzących z Polski z carewiczem, dalej opisuje bitwy Dymitra i wejście jego do Moskwy (365—402), poczem znajdujemy tu instrukcje poselskie oraz mowy posłów polskich Oleśnickiego i Gąsiewskiego do pierwszego samozwańca, a także odpowiedzi jego, wreszcie opis zamordowania Dymitra, przez tychże posłów złożony (s. 402—426).

Czwarty pamiętnik obejmuje *Dziennik wyprawy króla do Moskwy* (także z rękopismu Biblioteki głównego sztabu w Petersburgu), rozpoczynający się od 5 września 1609 roku, kończy się zaś na dniu 7 stycznia 1611 roku, na układach z obleżonemi w Smoleńsku o wydanie miasta (str. 427—721). Dziennik ten ukończony nie jest. Tutaj oprócz codziennie zapisywanych szczegółów o obleżeniu Smoleńska i ciągłych utarczkach z nieprzyjacielem, są także wiadomości o polskich oddziałach przy Dymitrze Samozwańcu będących, oraz relacje Żółkiewskiego i posłów wysyłanych do obozu polskiego pod Moskwą.

Ostatni wreszcie pamiętnik obejmuje notatki współczesne o Smoleńskiej wyprawie Władysława IV (1632—1634), począwszy od obleżenia Smoleńska przez Sehina aż do zawarcia pokoju w Polanowie (str. 721—774). Oprócz codziennych zapisów, znajduje się tu kilka listów pisanych z obozu, głównie zaś zwracamy tu uwagę na nieznane dotąd szczegóły w opisie wyjścia Sehina z obozu i poddanie się królowi (1 marca 1634) oraz w opisie zdobycia Białej.

W ogóle cała ta publikacja niezmiernie jest ważna, i wielkie rzuca światło na epokę objętą w tych materiałach, wyjaśniając mniej znane szczegóły lub uzupełniając znane dotąd źródła. Co się zaś

tyczy wyprawy smoleńskiej Władysława IV, pomimo kilku opisów, są przeciw faktom i szczegóły zupełnie nieznanne. Posiadając z ówczesnej epoki niewydany dotąd rękopism pod tytułem: *Relatio przymięcia Ałłabiowa pod Czernichów i odejścia*, jesteśmy w możności zaznaczyć fakt, którego opisu nigdzie dotąd nie znaleźliśmy:

Podczas gdy Sehin oblegający Smoleńsk, otoczony został przez wojska królewskie, dla zrobienia dywersyi tym ostatnim, liczne oddziały moskiewskie wpadły w ziemie Czernichowską i Kijowską, dobywając i niszcząc drobne zamki pograniczne. Główny z tych oddziałów, wynoszący 4000 ludzi, pod wodzą Ałłabiowa i Buturluna bezskutecznie razy kilka kusił się o zdobycie Czernichowa. Rzeczony tedy rękopism obejmuje właśnie dyaryusz oblężenia tego miasta, oraz kilka innych szczegółów. W październiku, gdy sprawy Sehina szły coraz gorzej, oddziały te cofnęły się z ziemi polskiej. Podkomorzy czernichowski Adam Kisiel, późniejszy wojewoda kijowski wyznaczony był przez króla dla bronienia granic polskich, a następnie podążył do obozu królewskiego. Fakt ten tu zapisujemy, gdyż oprócz wzmiankowanego rękopismu, nigdzie nic o nim nie czytaliśmy.

K. P.

Kilka słów o słownictwie w naukach ścisłych. Odpowiedź na artykuł p. Witkowskiego p. t. „Pamiętnik Tow. Nauk Ścisłych w Paryżu“ w zeszycie 4-ym t. II (na miesiąc kwiecień) Bibl. Warszawskiej.

W zeszycie kwietniowym r. b. „Biblioteki Warszawskiej“ pan W. Witkowski zamieścił pobieżne sprawozdanie z dwóch pierwszych tomów Pamiętnika Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu (od tego czasu wyszedł tom III, IV zaś znajduje się w druku).

Bardzo wdzięczni jesteśmy panu Witkowskiemu za zwrócenie uwagi czytelników „Biblioteki“ na tę naszą zbiorową publikację, jako też na inne wydawnictwa Biblioteki Kórnickiej w związku z naszym Towarzystwem wychodzące. Niech nam wszakże wolno będzie dodać tu pewne usprawiedliwienie z zarzutów, jakie p. Witkowski czyni nam pod względem językowym, w którym to względzie według pana Witkowskiego Towarzystwo minęło się z zamierzonym przez siebie celem „wpływania o ile mu możność pozwoli na rozwój języka naukowego w duchu wymagań i środków krajowych (Art. 69 Ustawy), jako też brania pod uwagę w ocenianiu dzieł przez siebie wydawanych, nie tylko treści ich, ale także sposobu przedstawiania i poprawności języka“ (Art. 56 Ustawy).

Uwagi jakimi ośmielamy się odpowiedzieć p. W. nie mają bynajmniej na celu rozstrzygnięcie kwestyi językowej, podniesionej przez szan. krytyka na naszą korzyść lub przeciwnie, są one jedynie odpowiedzią dotkniętego zarzutem redaktora głównego „Pamiętnika“ o niedopilnowanie jednostajności i poprawności języka swych współpracowników. Pan Witkowski poruszył tu bardzo ważną kwestyę: kwestyę słownictwa naukowego polskiego. Zgadamy się zupełnie z szanownym krytykiem, że jest rzeczą niezbędnie pożyteczną dojsć do ustalonego słownictwa i stale go się pilnować, tak jasność przedmiotu jak i czystość mowy koniecznie na tém zyskać muszą; obowiązkiem każdego piszącego jest dokładać wszelkich usiłowań dla zachowania w swych dziełach wyrazów technicznych najpowszechniej używanych, najlepiej rzeczy malujących i z naturą języka najzgodniejszych i wiązania ich w sposób najprostszy, najjaśniejszy, zgodny z wyrobionemi zasadami stylu i gramatyki, jak tego mianowicie język nauki ścisłej wymaga.

Wychodząc z téj niezaprzeczalnej zasady zastanowić się wypada przedewszystkiem, czyśmy już w naszym języku doszli do téj zupełnej jednostajności naszego słownictwa naukowego, od której żadnemu autorowi oddalić się nawet w drobnych szczegółach niewolno; następnie jeżeliśmy doszli, gdzie mamy szukać tego wzorowego słownictwa, jeżeli zaś nie, to w jaki sposób najstosowniejszy postępować należy, by téj jednostajności słownictwa przestrzegać jaknajściślej można było. Pozwolimy sobie zrobić tu kilka uwag w téj kwestyi, której już samo poruszenie wydaje nam się być dla nauki naszej, zwłaszcza w dzisiejszych okolicznościach niezmiernie ważnem.

Z narodów, które słownictwo naukowe mają najwięcej udoskonalone, pierwszym bez zaprzeczenia jest naród francuzki. Mając źródłostów prawie wyłącznie łaciński, język francuzki mógł i może przyswajając sobie bez żadnej trudności wyrazy starożytne; będą one zawsze zgodne z jego naturą, a ogromne bogactwo języków starożytnych pozwala mu czerpać w nich do woli i wzbogacać swoją mowę coraz nowemi wpływami w miarę potrzeby wywołanej postępek nauki. Język francuzki jest dziś najwięcej wydoskonalonym, aby jednak się nie psuć, zbyt czerni nowościami nie zaciemniać, uczeni badacze pracowali i pracują bezustannie nad ujęciem wszystkich używanych wyrazów w porządku abecadłowym i dodaniem do każdego z nich najściślej określenia i wszystkich znaczeń w jakich był dotąd używanym przez pierwszorzędných pisarzy.

To jest jedno z głównych zadań Akademii Francuzkiej; zadanie to nie jest do téj pory w zupełności rozwiązane i prawdopodobnie nigdy niemi nie będzie, bo coraz nowe wyrazy przybywają do języka, lub dawne są używanemi w coraz nowych znaczeniach. Akademia francuzka nie tworzy sama żadnych nowych wyrazów ani ich nikomu tém mniej nie narzuca, ale zbiera ciągle w jedną całość te, które najznakomitsi autorowie do mowy już wprowadzili, całość tę nigdy nie-

wykończoną nazwano Słownikiem akademii francuzkiej: do niego to odnoszą się pisarze w razach sprzecznych zdań co do znaczenia lub stosowności użycia wyrazów. A jednak i tu Akademia jest bardzo oględna w wyłączeniu lub narzucaniu nowych wyrazów, gdy chodzi o słownictwo naukowe; są niektóre oddawna używane, których zmieniać nikomu na myśl nie przychodzi, lecz wybór nowych pozostawiony jest do woli autorów i nikt o to nie rości do nich pretensyi. Tak na przykład (zacytujemy niektóre, na jakie uwagę właśnie zwrócił p. Witkowski): gdy Cauchy wprowadził na oznaczenie pewnego rodzaju funkcji nowe wyrażenia: *monodrome*, *monogène synectique*, wyrażenia te, mimo całej powagi jednego z najznakomitszych matematyków XIX wieku, jakim był Cauchy, nie zostały powszechnie przyjęte przez uczonych francuzkich. Najpoprawniejsi dzisiejsi pisarze francuzcy jak pp. Sovret lub Berhaut unikają używania tych wyrazów, zowiąc np. funkcye *synectiques* funkcjami *dobrze oznaczonemi* (*bien déterminées*); pp. Briot i Bouquet w klassycznym swém dziele pod tytułem: *Theorie des fonctions doublement périodiques* wydaném 1859 roku używają wprawdzie tych wyrazów, lecz od tego czasu p. Briot w nowych swych pracach a mianowicie w wykładach Sorbony postanowił je zarzucić jako *złorzeczy* malujące i zastąpić przez wyrażenia: *monotropes*, *kolomorphes*, *mecomorphes*, i t. p. Co do ilości urojonych, o których także wspomina pan Witkowski w swym artykule, te francuzcy uczeni nazywają zwykle *imaginaires*, lecz także *complixes*, *geometriques*, *mixtes* i t. p., stosownie do okoliczności, w jakich je wprowadzają lub do osobistego zdania autora.

Moglibyśmy naliczyć bardzo wiele podobnych przykładów niejednostajności słownictwa w języku francuzkim, lecz zatrzymujemy się, bo nie chodzi nam tu o język francuzki. Nie wspominaliśmy nawet o słownictwie niemieckim, w którym panuje zupełny nieład: są tam dwa słownictwa: jedno germańskiego, drugie romańskiego pochodzenia; każdy autor używa dowoli jednego lub drugiego nazywając na przykład ilość zmienną: *vörenderliche* albo *variablé*, ilość ciągłą *continuirliche* albo *stetige, grösse* i t. p. Wróćmy do naszego polskiego słownictwa.

Nie mieliśmy do dziś dnia w naszym języku ani słownika wyrazów technicznych w naukach ścisłych używanych, ani stowarzyszenia naukowego posiadającego dostateczną powagę, aby w wątpliwych razach rozstrzygnąć, który wyraz najstosowniej dane pojęcie maluje. Mamy jednak mimo to (jak pan Witkowski słusznie twierdzi) język matematyczny wyrobiony tak w dziełach wzorowych dawniejszych uczonych naszych, jak i w publikacyach peryodycznych specjalnych (dość wprawdzie dziś nielicznych); jak również „w wykładach ustnych, w licznych szkołach, czterech akademiach, kursach dodatkowych, dwóch szkołach wyższych i jednej szkole politechnicznej. Piszący więc w przedmiotach dotyczących się nauk ścisłych, może czerpać swe słownictwo z dwojakiego rodzaju źródeł: 1) z dzieł pisanych, drukiem

ogłoszonych, 2) z podania ustnego. Czy jednak znajdzie słownictwo to zupełnie ustalone i w dzisiejszym stanie nauki zupełnie wystarczające, tego nie można twierdzić w całej ogólności. Tak np. jedni piszą i mówią: *piramida*, drudzy *ostrostłup*; jedni *pryzma*, drudzy, *graniasłup*; jedni *stożek*, drudzy *ostrokrag*; jedni *sfera*, drudzy *kula* i t. p. Mamy więc pewną niejednostajność już zaraz w elementarném słownictwie, od miasta do miasta, od szkoły do szkoły często, od klasy do klasy w tejże samej szkole; w wykładach ustnych nauczyciele używają niektórych wyrazów różnych na oznaczenie jednego i tegoż samego pojęcia. Toż samo spotkać można w książkach drukiem ogłaszanych. Któż z nas uczęszczających do szkół polskich w ostatnich latach dwudziestu, nie pamięta zaciętej sprzeczki pomiędzy stronnikami *kwasarodu* i *tlenu* np.? Szczęściem że niejednostajność ta tyczy się tylko wyjątkowych szczegółów a nie zajmuje całości naszego słownictwa (które w tym względzie śmiało powiedzieć można, stoi nierównie wyżej od niemieckiego np.) i które z łatwością może przy dobrych chęciach pisarzy i nauczycieli dojść z czasem do zupełnego, tyle pożądanego udoskonalenia i ujednostajnienia. Dodać tu należy, że w przedmiotach i pojęciach nowo do nauki wprowadzanych, autorowie są zmuszeni do używania niektórych wyrazów po raz pierwszy, przyczém stosować się winni do zasad, we wszystkich wykładach polskiego języka stylu i gramatyki zalecanych a mianowicie: *żeby nie usuwając zupełnie wyrazów cudzoziemskich, które się w naszym języku przyjęły i utarły, unikać tworzenia i wprowadzania nowych, zwłaszcza dziwnie brzmiących, z naturą polskiego języka niezgodnych, które z łatwością swojskimi zastąpić można.*

W razach więc, gdy autor potrzebujący oznaczyć pewne pojęcie znajdzie je, bądźto w dziełach poprzedników swych, bądź też w tradycjach szkolnych oznaczone dwoma lub kilkoma różnemi wyrazami, wybór musi być pozostawiony jego własnemu rozsądzeniu przynajmniej dopóty, dopóki jakie ciała uczone, dość powagi mające nie rozstrzygnie ostatecznie sprzeczki i sądu swego nie ogłosi, albo dopóki w ogólnym zbiorze dzieł naukowych lub u ogółu wykładających ustnie dany przedmiot, jeden z tych wyrazów nie otrzyma stanowczej przewagi na wyrazami równoznacznemi. Dopóki to nie nastąpi, żadne stowarzyszenie naukowe, żadna redakcja pisma niema prawa narzucać współpracownikom tego lub owego arbitralnie ustanowionego słownictwa. Nie odważyły się na nic podobnego, nawet *Akademia Nauk* paryzka, ani *Royal Society* londyńskie, ani redakcyje pism tak poważnych jak *Journal de l'Ecole Polytechnique* paryzki, *Filosofical transaction* londyńskie, dziennik *Crelle'go* (Borchardt'a) berliński, *Annalie di matematica pura et applicata* medyolański; w sprawozdaniach tych wyżej przytoczonych akademij w tych pierwszorzędných europejskich nauce poświęconých pismach, w czasie rozdwojenia słownictwa, autorom pozostawiona jest zupełna swoboda używania tego lub innego wyrazu a tém bardziej tego lub innego symbolu.

Towarzystwo Nauk Ścisłych w Paryżu, gdyby chciało wywierać nad piszącymi tak dyktatorską władzę, narzucania im słownictwa omownego lub symbolicznego, wyszłoby ze swego zadania i porwałoby się na nie swoje rzeczy. Żądaniom więc wyrażonym przez p. Witkowskiego w tym względzie Towarzystwo zadość uczynić nie może; pozostawia ono piszącym do swych Pamiętników (między którymi znajdują się właśnie ci wykładający w polskich uniwersytetach i akademiach, których pan Witkowski za autorytet nam uważać każe a których jednak tak mocno krytykuje) swobodę użycia słownictwa takiego, jakie za najstosowniejsze uznają; autorowie prowadzą nawet sami korektę swych artykułów.

Art. 56 Ustawy, na który powołuje się p. Witkowski, powiada, że Towarzystwo w *ocenianiu* dzieł brać będzie *pod uwagę* poprawność języka; brać pod uwagę nie znaczy bynajmniej *narzucac* arbitralnie komuś ten lub ów wyraz. Jeżeli autor używa wyrazu nowego lub dziwaczego albo pisze w stylu niepoprawnym, Towarzystwo *zwraca mu uwagę* że wyraz ten już był poprzednio inaczej używany, lub że istnieje wyraz poprawniejszy; jeżeli mimo to autor obstaje przy swoim i daje do tego swe powody, Towarzystwo nie biorąc na siebie żadnej zbiorowej odpowiedzialności, może przystać na zachowanie danego wyrazu lub nie, gdyby pewne przyjęte granice w tym względzie przekroczone zostały. Innego rodzaju wyłączności Towarzystwo nie chce i nie może wywierać na piszących: ani miejsce, ani okoliczności, ani bezstronność mu tego nie pozwalają.

Rozpatrzmy szczegółowo, o ile zarzuty czynione przez p. Witkowskiego, współpracownikom naszym, mogłyby ściągnąć wykluczenie ich prac z naszej publikacji.

P. Trzaska jeden z najsumienniejszych i najpoprawniejszych naszych współpracowników, ma zwyczaj godny naśladowania, ile razy używa jakiego mniej znanego wyrazu, przytaczać w przypisku gdzie ten wyraz był już użyty, jakie istnieją wyrazy równoznaczne, dlaczego wybrał ten a nie inny? Funkcyę, która jedną tylko wartość przybierać może dla danéj wartości zmiennej niezależnej, p. Trzaska zgodził się nazwać *jednowartościową* i funkcyę, która może mieć jedną tylko pochodną, *jednopochođną*; funkcyę, która ma wszystkie swe własności doskonale określone, którą Francuzi nazywają powszechnie *bien déterminée*, funkcyą *doskonalą*. Wyrazów tych p. Trzaska nie stworzył ale wziął je z innego dzieła poprzednio już drukowanego. Otóż krytyk utrzymuje że wyrazy te „źle rzecz malują“ i proponuje na to miejsce wyrażenia *monodromiczne*, *monogieniczne*, *synektyczne*, które dziwnie brzmią, są z naturą naszego języka nie zgodne i mają chyba tę tylko zaletę że są poprzekręcane z francuzkiego wyrazami greckiego pochodzenia, wprowadzonymi przez Cauchy'ego, lecz które już (jakośmy wyżej nadmienili) sami Francuzi zarzucili jako niestosowne. Dodać tu wypada, że funkcyę mogące przybierać po dwie, po trzy, po cztery, i t. d. wartości nazwano:

dwuwartościowemi, trzywartościowemi, czterowartościowemi i t. d.; idąc za p. Witkowskim należałoby je nazwać *didromicznemi, tridromicznemi, tetradromicznemi* i t. d.; wprowadzenie tak trywialnych wyrazów do naszego słownictwa wydaje nam się być posuwaniem za daleko zamiłowania greczyzny.

Jeszcze mniej uzasadnionym zdaje się być zarzut czyniony przez p. Witkowskiego p. Trzascce względem wyrazu *wyznacznik* zamiast *determinant*. P. Trzaska wyraźnie powiada, że wyraz *wyznacznik* był używanym w wykładach byłej Szkoły głównej warszawskiej, jest on także używanym w wykładach Uniwersytetu lwowskiego i Akademii technicznej lwowskiej, gdzie są wykładającymi pp. Zmurko i Franke, którzy dzielą z panem Trzaską ostry zarzut p. Witkowskiego; znajdujemy również tenże sam wyraz w „Roczniku Towarzystwa Naukowego Krakowskiego“ (poczet IV, tom XXI rok 1872 str. 300 i następane). W artykule p. Zajączkowskiego wszystko to stanowi według samego krytyka dostateczną powagę aby wyrażenie to było uważane za utarte w naszym języku; dlaczego więc p. Witkowski obstaje jednak przy wyrazie nie swojskim *determinant*? Oto dlatego (powiada p. Witkowski) że nie możemy według niego przetłumaczyć wyrazów następujących: *invariant, hessien, jacobien!* Odpowiadamy na to, że téj niemożliwości wcale nie widzimy, w tychże wykładach byłej S. G. W. wyraz *invariant* nazywano jeżeli się nie mylimy *niezmiennik*, a nic łatwiejszego jak: *hessiem jacobiem*, nazwać *wyznacznikiem* Hessego lub Jakobiego; a choćby i nie można było oznaczyć po polsku wszystkich tych specjalnych wyrazów, nie idzie zatem żeby wyrzucić dziś już przyjęte i zastąpić je przez cudzoziemskie.

Panu *Zmurce* zarzuca jeszcze krytyk użycie wyrazów *względność* zamiast *związek*, kiedy związek znaczy co innego niż *względność*; nam się zdaje że właśnie dla tego p. Zmurko użył wyrazu *względność* na przetłumaczenie francuzkiego *relation*, pozostawiając związek na przetłumaczenie *liaison*. Język naszém zdaniem tém się doskonali, że na każde oddzielne pojęcie daje oddzielny wyraz, i jasność i ścisłość tylko na tém zyskać mogą.

Panu *Gosiewskiemu* zarzuca krytyk użycie wyrazu *prostoscian* zamiast *pryzma* lub *graniastosłup*, kiedy (dodaje p. Witkowski) każda „bryła ograniczona płaszczyznami jest prostoscianem, gdyż ma proste ściany.“ Nieco uważniejsze przeczytanie artykułu p. Gosiewskiego wystarczyłoby do zrozumienia, że autor nie nazwał bynajmniej prostoscianem graniastosłupa lub pryzmy w ogólności, lecz nazwał tak dla skrócenia równoległoscian prosty prostokątny, którego kąty (a nie ściany) są proste, co zaś do *ścian prostych*, o tych po raz pierwszy słyszemy od p. Witkowskiego w jego krytyce, dotychczas nazywano je ścianami płaskimi. Wszak nikomu nie przychodzi na myśl nazwać każdy kąt prosty dlatego, że jest utworzony przez linie proste; nazwano tak tylko kąty utworzone przez prost-

padłe: dla téj saméj przyczyny p. Gosiewski nazwał równoległością o kątach prostych przez skrócenie prostościąnem.

Co się tyczy dzieł p. *Niewęglowskiego*, z których niektóre były publikowane na lat kilka lub kilkanaście (jak piérwsze wydanie *Geometrii*), przed zawiązaniem Towarzystwa Nauk Ścisłych; Towarzystwo odpowiedzialności przyjmować nie może za słownictwo w nich użyte. Zarzut jakoby krytyka p. Sagajły pochwałała słownictwo p. *Niewęglowskiego* a zatém Towarzystwo je przyjmowało, jest całkiem chybiony; niemal na każdej stronie uważny czytelnik artykułu p. Sagajły, znalazłby wyrazy nowo do nauki wprowadzone przez p. *Niewęglowskiego* (a mianowicie właśnie te wyrazy, które p. Witkowski na końcu swéj krytyki przytacza) surowo potępione.

Co do języka symbolicznego p. Witkowski radzi żeby przyjętym u nas nowszym zwyczajem pisać *sin*, *cos*, *tang*, a czytać *wstawa*, *dostawa*, *styczna*. Dawniej u nas Śniadecki i inni klasycczni pisarze pisali: *wst*, *dos*, *sty*, przez skrócenie wyrazów tak jak się czyta; nie wiem dla czegobyśmy nie mieli powrócić do tego chwalebego zwyczaju. Propozycja podana przez p. Witkowskiego, jakoby pisarze *wszystkich* narodów używali tych samych symbolów *sin*, *cos*, *arc sin*, *arc tg*... także nie jest zupełnie z rzeczywistością zgodna; Włosi piszą *sen* a nie *sin* zgodnie z swém wymawianiem, a Anglicy używają po większej części symbolów *s i n*'x, *t a n g*'x zamiast *arc sin*x, *arc tang*x.... jakkolwiek i dawne symbole niektórzy zatrzymują, a żadne pismo nie narzuca jednych lub drugich swym współpracownikom; my to samo czynimy w naszym Pamiętniku.

Co do uwagi p. Witkowskiego że ilości urojone raz nazywane bywają przez p. Trzaskę *zbiorowe*, *jedno*, *dwu* lub *trzymiarowe*, to znów w innym tomie przez p. Żmurkę *pierwszorządne*, *drugorzędne* i t. p. na to w zupełności się zgadzamy, że niejednostajność tych nazwań zupełnie nie przyczynia się do wyjaśnienia przedmiotu; lecz z zarzutem tym p. Witkowski stosowniejby się zwrócił do wszystkich matematyków całego ucywilizowanego świata, którzy w tych różnych nazwaniach dotąd trwają a nie specjalnie do polskich, którzy cytując zagranicznych, cytują również dosłownie przyjęte przez nich nazwiska.

Oto główne zarzuty jakie pan Witkowski słownictwu używanemu przez współpracowników Pamiętnika Nauk ścisłych czyni; na tych zarzutach gruntuje szanowny krytyk złą wróżbę co do przyszłości jaka czeka tak sam Pamiętnik jak i inne wydawnictwa Biblioteki Kornickiej. Wprawdzie pan Witkowski dodaje że jest jeszcze „wiele innych wad“ które pomija; żałujemy tego mocno, bo może te „wiele innych“ były więcéj uzasadnionemi niż te, które przytoczył. W ogóle zwrócimy tu uwagę, że w krytykach zwłaszcza dzieł matematycznych trzeba być bardzo ostrożnym, bo gdy inne dzieła z łatwością przez całą publiczność mogą być czytaniem, rozumianem, a zatém sąd o nich choćby mylny, łatwo przez czy-

techników sprostowany, z dziełami treści matematycznej rzeczy mają się inaczej. Przeczytanie sumienne takiego dzieła już jest pracą, od której niebacznym postąpieniem *a priori* można uczących się i interesujących przedmiotem odstręczyć, i popchnąć do czerpania wiadomości w dziełach pisanych często w znacznie mniej wyrobionym i niżej pod względem tak słownictwa jak jasności wykładu stojącym języku, ze szkodą, tak literatury o czystej jak i łatwości tamy nauki.

Mimo tych wszystkich uwag jakimi ośmielamy się odpowiedzieć szanownemu krytykowi, bardzo mu wdzięczni jesteśmy tak za zwrócenie uwagi publiczności zajmującej się naukami ścisłymi w naszym kraju na te nasze prace, które coraz doskonalszemi przedstawiać, będzie naszym ciąglem i usilnym staraniem; jako też i za łaskawy sąd o ich treści (daleko łaskawszy niż o ich formie). Tak co do jednej jak i drugiej wszelkie usprawiedliwione uwagi przyjmować i z nich korzystać nie omieszkamy nadal, i owszem bardzo o nie kompetentnych prosimy. Niech nam wolno będzie przy końcu domieścić kilka słów względem sposobu w jaki naszym zdaniem, jedynie nasze słownictwo ujednostajnić i wydoskonalić się może w przyszłości.

Za pierwszą, do tego ujednostajnienia i wydoskonalenia podstawę uważamy poznanie dokładne *tego co jest* już na tej drodze uczynionem. Gdyby, bądźto jakie urzędowe stowarzyszenie naukowe bądź po prostu i naturalniej wspólnie prace wszystkich uprawiających dziedzinę nauk ścisłych, były w stanie zebrać w jedno i ułożyć porządkiem abecadłowym lub przedmiotowym wszystkie wyrazy techniczne jakie tak w naukach teoretycznych jak stosowanych do dziś dnia u nas używanemi były, słownik taki stałby się ważną pomocą i wskazówką dla wszystkich piszących w tych przedmiotach, i zwróciłby ich uwagę na te wyrazy, których nieznanomość raczej, nie zła wola, skłania często pisarzy do wprowadzenia niebacznego i niepotrzebnego wyrazów nowych lub cudzoziemskich. Zbiór taki wyrazów technicznych nie powinien być ani ostatecznie rozstrzygającym, ani wyłączającym; powinien być po prostu *uwiedamniającym*.

Niech obok każdego wyrazu lub wyrażenia będą umieszczone wyrazy lub wyrażenia równoznaczne lub blizkoznaczne; niech obok tych ostatnich będzie przytoczonem gdzie i przez kogo wyrazy te i wyrażenia były użytemi, w jakich dziełach, artykułach lub wykładach; niech będzie nawet krótki krytyczny przegląd porównawczy na większą lub mniejszą ich stosowność lub konsekwencyę; niech wreszcie dołączone do nich będą wyrazy łacińskie, francuzkie, angielskie, niemieckie, odpowiednie im. Jeżeli dojdziemy do słownika tego rodzaju, nie będzie potrzeba narzucać piszącym ani ich zmuszać do wyboru tego lub owego wyrażenia: zdrowy rozsądek, logika,

wreszcie ucho, uczynią z czasem ze jedne z nich ostatecznie uznane i jednostajnie przyjęte, drugie niemniej ogólnie odrzucone zostaną.

Lecz jakim sposobem dojść praktycznie do tak pożądanego zbioru? Gdy dotąd nam brak jest takiej centralizacji naukowej jaka istnieje np. dla Francji w Paryżu i w instytucie Francji, najpraktyczniejszym, naszym zdaniem, środkiem jest praca zbiorowa wszystkich uczonych pisarzy, nauczycieli, techników: nic łatwiejszego jak ją skoncentrować, zebrać, zespolić. Potrzeba do tego żeby jakie pismo peryodyczne najwięcej w kraju używające powagi lub jakie stowarzyszenie ogłosiło, że przyjmuje wszelkie tego rodzaju materiały i że je *tyczasowo* peryodycznie publikować się zobowiązuje. Każdy piszący w danym specjalnym przedmiocie, każdy wykładający dany specjalny przedmiot, każdy inżynier lub technik zajmujący się daną specjalną gałęzią wiedzy, mógłby z łatwością zebrać pod ręką mu zostające materiały i zakomunikować redakcyi uczonego pisma lub sekretaryatowi towarzystwa naukowego, któreby się tą ważną kwestyą zająć chciało. W ten sposób wychodziłyby peryodycznie *elementa* do słownika specjalnego o którymś mowa, elementa te byłyby zarazem przez całą publiczność naukową rozpatrywane i komentowane; z tych elementów dopiero mógłby się wyrodzić ostateczny zbiór, słownik, utworzony niejako współpracownictwem wszystkich. Tak z pewnością i z łatwością systematycznie, choć nie odrazu, moglibyśmy dojść do pożądanego celu.

Jeżeliby jedno z towarzystw krajowych lub z pism powagi naukowej używających nie zdecydowało się podnieść téj propozycyi, Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu, jakkolwiek ściśle związane i mające stosunki nieco utrudnione, mogłoby wziąć początek tego na siebie i chętnie otworzyć szpalty swego Pamiętnika dla wszelkich źródeł lub komunikacyi powyższego rodzaju, zkańkolwiek i od kogońkolwiekby one pochodziły. Inne stowarzyszenia a mianowicie niedawno zawiązana Akademia krakowska byłyby do tego bez wątpienia kompetentniejszymi, lecz nic nie przeszkadza działać jednocześnie, by tém prędzej osiągnąć tak pożądaną i z niecierpliwością od naszych uczonych, zwłaszcza w dzisiejszym stanie rzeczy, oczekiwany, ostateczny wypadek.

Władysław Folkierski.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa. Czerwiec, 1873.* Z wydawnictwa zupełnego i poprawnego pism Kazimierza Brodzińskiego, wyszło dwa tomy, 3-ci i 4-ty, obejmujące rozprawy: „O Klassyczności i Romantyczności.“ „Uwagi nad duchem poezyi polskiej.“ „Literatura polska w pięciu okresach, z dodaniem mniejszych pism, mających z nią związek.“ Wydawca zapomniał w obu tomach dodać spisu imiennego autorów, o których Brodziński mówi: co w takim dziele jest rzeczą niezbędną. Spodziewamy się, że to opuszczenie przy następnym tomie wynagrodzi starannym spisem, tak samych podziałów na okresy jak i pisarzy.

— Wydawca Józef Kaufman ogłosił prospekt na publikację p. n. „*Wystawa Ilustrowana Wiedeńska.*“ Zacznie wychodzić od 1 sierpnia r. b. Kierunek i redakcyą tego dzieła przyjęła redakcyą „*Opiekuna Domowego.*“

— *Józef Grajner*, znany z prac poetycznych, założyciel i przez wiele lat, redaktor pisma ludowego: *Zorza*, w r. b. wydał dwa poszyty „*Poezyi.*“ (Warszawa. Nakład autora. W drukarni K. Kowalewskiego: Poszyt 2-gi str. 88. Poszyt 3-ci str. 88 w 12-ce) obejmujące poemat: „*Rok w Pieśni*“ i zbiór „*Liryčno opisowych.*“ mniejszych utworów. Pierwszy zeszyt był wydany przed dziesięcią laty (Warszawa 1863 r. w drukarni J. Jaworskiego) i zawierał: „*Pieśni i Dumki.*“

— Przedruk z *Gazety Warszawskiej*, jednej z piękniejszych powieści J. I. Kraszewskiego „*Macocha*“ z czasów Stanisława Augusta, wyszedł we trzech tomach. Z drukarni K. Kowalewskiego ukazał się „*Ustęp z dziejów Alzacyi 1870—1871.*“ „*Miłość czy Ojczyzna.*“ w starannym przekładzie z francuzkiego *Joanny Belejowskiej*. Utwór żywo zajmujący, w oryginale ma trzy wydania i z ostatniego przetłumaczonym został.

— W Wiedniu, w drukarni OO. Mechitarystów, nakładem autora, wyszedł poemat dramatyczny w pięciu oddziałach przez Mikołaja Bołoz Antoniewicza „*Anna Oświęcimówna.*“ Drugie poprawne wydanie z ilustracyami Artura Grottgera. (1873 r. w 8-ce str. VI, 218). Autor co do części ilustracyi we wstępie mówi:

„Artur Grottger, syn zmarłego przyjaciela mego, zajął mię był już wówczas genialnością swoją, gdy dopióro co z jego młodej, poetycznej duszy tryskać zaczynała. Bez żadnej nauki jeszcze, zwracał on już wtedy uwagę na siebie swymi drobnymi, samoradczymi utworami, a znawcy

przewidywali w nim znakomitego artystę malarza, jeżeli odpowiedniego sztuce nabędzie wykształcenia, ale brakło mu do tego środków, gdyż ojciec odumarł go prawie bez zasobu utrzymania.“

Wkrótce pomoc pozyskał młody artysta i zaczął naukę w Wiedniu. „Kiedy Annę Oświęcimównę ukończyłem (pisze dalej p. Antoniewicz) prosiłem Ar. Grottgera, aby mi wynalazł kogo z młodych, w Wiedniu uczących się polaków, któryby mi ten poemat z makularza na czyścio przepisał. Grottger z chęcią się tego podjął mówiąc: że zna takiego, co sobie coś zarobić potrzebuje i makularz do przepisania zabrał. Niemogąc się długo tego przepisania doczekać, począłem na Grottgera nalegać, aż jednego razu, wszedł on do mnie z dosyć sporą, oprawną książką, i rzekł: „Oto jest Anna Oświęcimówna przepisana.“—Któż ją przepisał?—spytałem. „Ja sam.“—Szkoda było—odrzekłem—twego czasu na to, lepiejbyś go był na twoje rysunki użył.—„Ja przytem i rysowałem, proszę zobaczyć“—odpowiedział. Otworzyłem książkę i co za miła niespodzianka! znalazłem w każdym akcie obok starannego jego pisma, *po dwie sceny ilustrowane, a oprócz tych, jeszcze tytułową i końcową winietę.*—Co to znaczy?—spytałem przyjemnie zdziwiony. „Odplacam tём, na co mię stać, opiekę nademną przyjaciela ojca mego“— odrzekł z zwilżoném okiem. Uścisnąłem go i przyrzekłem, że kiedyś Anna Oświęcimówna, z temi jego ilustracyami światu się okaże. To przyrzeczenie uiszczam, przy niniejszém drugim poprawném wydaniu, czując się w obec cieniów naszego znakomitego artysty i w obec sztuki narodowej, do tego obowiązany. Próbki te młodociane w pierwszych chwilach artystycznego zawodu, w niczém nie przypominają genialnego ołówka Grottgera. Jeżeli mogą być miłą pamiątką dla jego przyjaciół, dla badacza rozwoju sztuki, ciekawym są zabytkiem na dowód jak niespodzianie i nagle spotęźniał jego ołówek, i postawił Grottgera na tak wyniosłém stanowisku. Rysunki te są odbijane na kamieniu w nadwornym C. K. zakładzie litograficznym Reiffensteina i Boscha w Wiedniu. Cena zbyt wysoka, bo wynosi 8 rubli sr.

— Z listu otrzymanego z Poznania od znanego archeologa Zygmunta Glogera, dowiadujemy się, że *Kórnicki kodeks statutu Wiślickiego w tłumaczeniu z roku 1460*, wkrótce wyjdzie cały w podobiznie nakładem hr. Działyńskiego.

List z pod Malborge.

— „W dopełnieniu wiadomości w Bibliotece Warszawskiej, II-go zeszytu z Lutego „Wiadomości Literackie“ o czasopismach polskich w Prusach; liczba podana nie dokładnie, bo jest więcej czasopism, a nie 14 jak powiedziano; pominięto następnne: na Szlązku „Poradnik Gospodarski.“ W Poznańskim „Tygodnik Wielkopolski i Ziemianin;“ w Prusach Zachodnich i Wschodnich „Pruski Przyjaciel Ludu (potworne pi semko, w języku niby polskim i czcionkami gockiem);“ Gazeta Szlązka myli się twierdząc, że liczba prenumeratorów nie przechodzi 1500, bo niejedno czasopismo ma więcej, a Przyjaciel Ludu w Chelmnie wycho-

dzący pod redakcją Danielewskiego „Majstra od przyjaciela ludu,“ mie-
wa do 9,000 abonentów i potężnie działa na lud.“ XX.

— We Lwowie z drukarni: *Biblioteki Imienia Ossolińskich* wyszedł: *Żywoć biskupa Ludwika Łętowskiego*, ułożony wedle pamiętników jakie pozostawił, przez Ludwika hr. Dębickiego. Łętowski, żołnierz w burzliwych czasach początku tego wieku, a następnie sługa ołtarza i pisarz wysoce oryginalny w myślach i stylu, był osobistością niepospolitą. Życie pełne zasług i umysł bystry, umiejący w bardzo oryginalny sposób zapatrywać się na ludzi i na sprawy tego świata, odznaczały tę trudną do określenia indywidualność. Autor żywota ks. Łętowskiego wiedział o tém, kiedy pisze we wstępie: „Drży mi ręka na myśl trudności schwycenia tego typu. Łączy on bowiem namaszczenie pasterza z żołnierskiej przeszłości zabytkami, szlachecką częstokroć rubaszością i werydycznością starca z wysoką ogładą człowieka wielkiego świata, świetność umysłu uczonego z wykwiutnej szkoły XVIII wieku z nowym postępem i ruchem literackim, dowcip wrodzony, częstokroć dotkliwy, a czasem zbyt swobodny światowca, co to znał życie ze wszystkich stron, z głęboką wiarą kapłana, wzorową surowością dla siebie, a wielką miłością i miłosierdziem dla bliźnich. Wszystkie te sprzeczności charakteru pogodzić tylko mogło to, coby można nazwać genialnym dziwactwem, oryginalnością coraz to inne strony przedstawiającą, jakoby coraz to nowe niespodzianki, tworzące całość pełną uroku, i że tak powiemy, duchowego bogactwa.“

— *Stefan Damalewicz historyk, przełożony kanoników laterańskich w Kaliszu. Żywoć skreślony przez Adama Chodyńskiego.* Poznań drukiem księgarni N. Kamińskiego i spółki, 1872 (w 8-ce str. 127). Jest to jak najdokładniejsza wiadomość tak co do życia tego pisarza jak i pism wszystkich jego. Z tej zajmującej monografii dowiadujemy się, że autograf Długosza, obejmujący żywot biskupów wrocławskich, jakiego użył Damalewicz do dzieła swego téjże treści: „*Vitae Vladislaviensium Episcoporum*“ (Kraków 1642 roku) lub co najmniej odpis jego współczesny, odszukali w archiwum kapituły wrocławskiej księża Chodyńscy, a bracia naszego autora. Skarb ten, wydobyty z kilkowiekowego zapomnienia, przyda się wielce wydawnictwu dzieł ojca naszych historyków, którego prace drukowane są obecnie w Krakowie nakładem ś. p. Aleksandra Przeddzieckiego.

— Dawne wydziały b. Towarzystwa naukowego Krakowskiego w przekształceniu dzisiejszem w Akademię Umiejętności, dalej swe czynności gorliwie rozwijają. Komissya archeologiczna zorganizowała się, podzieliwszy się na sekcye mapy archeologicznej, runograficznej, muzealną, numizmatyczną, sfragistyczną, heraldyczną i t. p. Do komissyi téj przybrano wiele osób z poza grona Akademi, chcąc zyskać pomoc skuteczną w poszukiwaniach. Restauracya sklepów grobowych na Wawelu i trumien królewskich, niebawnie się rozpocznie. Jako delegaci z komitetu restauracyjnego zarządzają tém pp. Dr. T. Że-

brawski ze strony kapituły katedralnej i p. Stefan Muczowski, ze strony rady miasta Krakowa. W obu tych wydziałach przewodniczący Dr. Józef Łepkowski i członek czynny Akademii.

— W Wiedniu u Gerolda wyszło 3-tomowe dzieło Adolfa Beera p. t. „Die erste Theilung Polens.“ Autor korzysta z oryginalnych dokumentów archiwum wiedeńskiego, którym zarządza teraz p. Arneth, nikomu nie odmawiający wstępu do strzeżonych przez siebie skarbów. Tom I zawiera w sobie same dokumenta, II i III historię rozbioru od końca wojny siedmioletniej do 1776 r. P. Beer twierdzi, że inicjatywę do rozbioru dała Austria, Fryderyk zaś przyczynił się do nadania projektowi szerszego znaczenia. Toż samo już utrzymywał Ranke, to samo Duncker w świeżej historii Prus zachodnich.

— W Lipsku u T. A. Brockhauza, wyszła nowa powieść Michała Czajkowskiego: *Nemolaka* (w 12-ce, str. 282).

— W Halli, professor języka litewskiego przy Uniwersytecie królewieckim *Fryderyk Kurschat*, zaczął wydawać „Słownik niemiecko-litewski.“ Pierwsza część która z pod prassy wyszła obejmuje litery A—K str. 723, w 8-ce. We wstępie autor dwa wylicza dyalekty litewskie, pierwszy powszechny i prusko-litewski.

— Czytamy w *Gazecie Warszawskiej*: „W dniu 16 sierpnia r. b. upływa 100 lat od ogłoszenia owej sławnej bulli Klemensa XIV-go *Dominus ac Redemptor noster* (Pan i Zbawiciel nasz), podpisanej przez 21 lipca 1773 r., mocą której zakon jezuitów „dla pokoju kościoła“ zniesiony został „na wieczne czasy.“ Na pamiątkę tego rzeczony papież kazał wybić medal, który teraz stał się wielką rzadkością, bo go wykupowano i niszczone. Medal ten na jednej stronie ma popiersie Ganganellego z napisem wokoło: *Clemens XIV Pontif. Max.*; papież prawą ręką wzniesioną do góry błogosławi. Na drugiej stronie Zbawiciel na czele dwóch apostołów, z których Piotra po kluczach poznać można, pędzi przed sobą trzech ojców „Towarzystwa Jezusowego“ a naokoło napis: *Nunquam novi vos, discedite a me omnes* (Nigdy was nie znałem, odstępście odemnie). Na medalu jest także rok zniesienia zakonu, 1773. *Gazeta Słazka*, która o tém donosi, jednocześnie zawiadamia, że medal ten dobrze zachowany znajduje się w posiadaniu pewnego pastora, którego córka kupiła go przed kilkunastu laty w Rzymie za 20 franków, i że za tę cenę może być amatorowi odstąpiony.“

— Akademia umiejętności w Krakowie inaugurowana jak wiadomo d. 7 maja r. b. przez arcyksięcia Karola Ludwika, czynną jest od początku tego roku, o ile na to szczupła dotąd liczba członków, zrazu tylko z Galicyi (wedle statutu) wziętych, pozwalała. W miesiącu lipcu odbędą się wybory członków zagranicznych z ogłoszonych już przez wydziały kandydatów.

Wydawać akademia będzie: *Pamiętniki* mieszczące obszerniejsze prace członków i nieczłonków, oddane lub nadesłane i przyjęte przez wydziały, a to współcześnie jeden dla nauk ścisłych, drugi dla t. z. humanitarnych. *Sprawozdania z posiedzeń wydziałów* mieszczące kró-

tsze rozprawy i streszczenia obszerniejszych, do Pamiętnika niewchodzących. *Dziela* osobne z przeznaczonego na to funduszu. *Rocznik* mieszczący sprawozdania z posiedzeń publicznych, spisy członków i obraz ruchu naukowego akademii. Prócz tego wychodzą będą jej kosztem: *Sprawozdania komisji fizyograficznej*, *Monumenta mediæ ævi*, *Acta publica* i *Scriptores rerum polonicarum*, jako trzy działy wydawnictwa komisji historycznej, a być może że *archeologiczna komisya* i *komisya historii sztuki* przyjdą także do oddzielnego wydawnictwa. Przeszło też pod bezpośredni kierunek akademii wydawnictwo komisji bibliograficznej: Bibliografia K. Estreichera. Akademia posiada około 20,000 zł. rocznego dochodu. Pomimo szczupłości tego funduszu w obec rozległego zadania, rozprawy umieszczane w Pamiętnikach akademii będą wynagradzane, dzieła zaś wedle układu z autorem, albo kupowane, albo też ich nakłady, z wyjątkiem egzemplarzy do rozsyłania innym instytucjom naukowym i członkom przeznaczonych przejdą w całości na własność autora.

— W zeszytcie za grudzień r. z. czasopisma rosyjskiego „*Djelo*“ p. *Postnyj* bada przyczyny wziętości prac Turgieniewa, owęj jednéj z pereł ówczesnej (1840—1858) belletrystyki.

Niektórzy widzieli ową wziętość w *charakterze publicystycznym* jego utworów; inni, jak Dobrolubow, w poruszaniu zawsze jakiegoś *interesu współczesnego*, jakiejś kwestyi będącej na porządku dziennym. Niektórzy nawet robili mu zarzut, że w utworach jego odbijała się „chwiejęność idei społecznej.“

P. *Postnyj* innego jest zdania. Jeżeli współczesnej belletrystyce rosyjskiej zarzucają monotonność przedmiotu i brak zupełny twórczości, recenzent nie widzi w tym względzie wyższości utworów Turgieniewa. Ulubioném motivum jego jest *miłość nie mogąca się wytarćować*, jak się wyrażał Gogol. Na téj tkance snuje się fabuła większych i mniejszych utworów autora „*Ojców i dzieci*.“ Lubi on nadto i *pojedyńki* a przynajmniej wyzywania, w *Braterze* np. dwa pojedyńki, jeden śmiertelny, w *Trzech portretach* jeden śmiertelny, w *Niepotrzebnym człowieku* dwa, oba śmiertelne, w *Zaciszu* wyzwanie, w „*Ojcach i dzieciach*“ nie obeszło się bez wyzywania, w *Wodach wiosennych* pojedynek jest jednym z czynników tego dramaciku.

Ale nie tylko w tym względzie nie jest arcytwórczym, brak ten widzieć się daje i w samej treści jego romansów. Zewnętrzne wypadki mało tu interesują; interes cały skupia się w wewnętrzném psychologiczném rozwijaniu się charakteru. Całe życie, cały dramat tkwi wyłącznie w sferze wewnętrznego życia ludzkiego. Jednakże zewnętrzna strona utworów Turgieniewa nie jest bez fantazyi i artystyczności. Effektów się wyrzekł, a malował czulszą stronę serca cierpiącego i posuwał to do sentymentalizmu. Sądząc z jego obrazów, załedwiebyśmy domyśleć się mogli, że ówczesne poddaństwo i niedola ludu były złém, tak je powabnie i spokojnie malował. W ogólności miękkosć i pewne umiarkowanie poetyczne są wybitnymi cechami talentu Turgieniewa;

dla czego obrazom jego brakło rzeczywistości. Poetyzował mieszczanina i wieśniaka.

W każdej literaturze taką jest krytyka, jaką bywa teoria. Belletryści rosyjscy wypełniają dosłownie przepisy tej ostatniej i chwytając jakiś wyróżniający się rys, lub nastrój charakteru ludzkiego, nogólniają je i przenoszą na pewną indywidualność; a więc na osobistość tę przechodzi tylko treść charakteru, t. j. coś takiego, czegośmy nie widzieli i nie napotykali w życiu rzeczywistém. To się w dzisiejszej krytyce nazywa *tworzeniem typów*, charaktery przecież w ten sposób tworzone są tylko abstrakcją bez rzeczywistości. Autor typ tak stworzony zamyka w pewnej kategorii, a krytyce dostaje się rola rozbierania jedynie owęj kategorii, bez analizowania charakteru żyjącego. Zadanie więc krytyki bardzo proste i prawie bezcelowe, gdyż już sam autor wyreca tu krytyka, wykładając przez usta swych bohaterów sentencje i zdania krytyczne, lub polemiczne.

P. Turgieniew dalekim bywa w swych utworach od prawdy psychicznej, charaktery jego nie mają ogólnej typowości; typy te są nadto abstrakcyjnymi; widnokrąg zaś jego artystyczności ciasny i jeduostajny.

W czémże leży źródło tej ogólnej wady naszych belletrystów, pyta p. Postnyj. Oto w tém, odpowiada, iż zjawiska życia rzeczywistego stają się dla nich obojętnymi, niezdolnemi poruszyć ich flegmy. Nie wyrobiło się tu owo ogólne współczucie dla cierpień i łez cudzych, które stawia człowieka w położeniu tych, co cierpią i płaczą.

Drugą przyczyną takiego stanu krytyki i twórczości jest podług recenzenta skłonność umysłu miejscowego do powierzchownych dedukcyj, która swe źródło ma w dotychczasowém wychowaniu społeczności. Skutkiem rzeczonej skłonności jest przywiązanie się niewolnicze do form już urobionych, ztąd znowu łatwe przyswajanie sobie rezultatów wielkich idei Zachodu; co znowu ma wpływ zębny na twórczość narodową. Talent dzisiejszy belletrystów redukuje się do ogólnych rysów charakterystycznych, t. j. czysto indywidualnych, nietypowych. Najnowsi belletryści: pp. Uspienski i Slepcew celują w tym kierunku; są to prości *opowiadacze* i *sposstrzegacze* nie bez dowcipu. Do rzędu ich liczy recenzent i Turgieniewa: w takim szkicowaniu charakterów indywidualnych wyczerpuje się cały jego talent; opowieść łatwa, płynna, najczęściej beztreściowa, ożywiona niekiedy jakąś anegdotą, oto najulubieńsza forma najnowszych powieściopisarzy. Na tém polu stanął dzisiaj Turgieniew i zyskał na niem wielką popularność. Kiedy utwory jego: *Ojcowie* i *dzieci*, *Dym*, na polu publicystycznym uczyniły dalszą jego działalność niemożliwą, powrócił on do skromnych ram autora *Rudina*, *Gniazda szlacheckiego*, *Przeddnia*, *Tacyjany*, *Borysowny*, *Lekarza*, *Dwóch przyjaciół* i t. d. Wykonywa on i teraz jak dawniej rzemiosło swoje pracowicie, sumiennie, bez twórczości. Talent jednak Turgieniewa nie upadł w ostatnich jego utworach, ale wrócił tylko w *granicę*, jakie mu natura jego zakresliła. Bezzasadny, a nawet w niezupełnie dobrej wierze czynią mu zarzut niektórzy, jakoby powieści jego ostatnich czasów były

słabsze od dawniejszych. W czymże np. są gorsze od dopiero wymienionych powieści jego: „Stepowy król Lear“, „Lejtenant Ergunow“, „Pies“, „Stuk-stuk-stuk?“ I tu i tam te same cechy: szkicowanie charakterów indywidualnych, brak typowości, twórczości, fantazyi i ubóstwo pomysłu.

Dla poparcia swego zdania recenzent przywodzi treść ostatniego studjum Turgieniewa, p. n. „Stuk-stuk-stuk.“ Pewien oficer zrywa ze swą narzeczoną, dla tego, że się okazała mieszczańką, gdy on był szlachcicem. Dowiaduje się, że ta porzucona umarła, a wyobrażając sobie, że on był tego przyczyną (choć umarła rzeczywiście na cholere), melancholiczny oficer odejmuje sobie życie wystrzałem z rewolweru.

Gdzież tu jest owa fatalność, która nieszczęsnemu podała do ręki pistolet samobójczy! Myśl samobójstwa nie wypływa jako naturalny skutek wewnętrznych głębokich przyczyn, ale wywołana jest przez prosty przypadek. Autor bowiem wprowadza tu jakiegoś grzebieniarza, który miał to samo imię co oficer. Ten nowy kochanek wyznacza swęj lubęj za miejsce spotkania się dom oficera, Turgieniew każe dziewczynie głośno wołać po imieniu.

Oficer usłyszawszy to wśród nocy, wyobraża sobie, że go woła owa umarła i porzucona jego oblubienica, a dowiedziawszy się rano o jej śmierci.... życie sobie odbiera.

Za abstrakcyjnością typu, idzie abstrakcyjność uczuć.

Turgieniew ma się przedewszystkiem za poetę miłości i innych uczuć delikatnych. Dla tego najwięcej go czytają sentymentalne panie i niedojrzałe młodziki.

Ale nie są to uczucia ludzkie, to instynkta i ślepe pociągi. Tak np. w dwóch powieściach „Mumu“ i „Smierć Czortopchanowa“ bohaterowie za przedmiot swego przywiązania obierają sobie w pierwszej małego pieska, w drugiej konia wierzchowego.

Harasin chłop ogromny (12 werszków wysokości) pokochał się w jakiejs Taniuszy dziewczynie dworskiej, a kiedy ją wydali zamaż za szewca Kapitona, przeniósł całą swą miłość na pieska, którego z wody wyratował i prawda, że go potem ze łzami w oku sam utopił, ale to z rozkazu pani.

Drugi bohater Czortopchanow postąpił jeszcze okrutniej z przedmiotem swego przywiązania, wierzchowcem Malek-Adelem. Ukradziono mu tego konia; w pogoni za nim ledwie jakiegoś żyda nie zabił. Po długich poszukiwaniach wynalazł stratę u jakiegoś cygana. Szczęśliwy powrócił z wyprawy; ale różne ciemne przeczucia i powątpiewania obległy jego umysł, czy czasem koń odszukany nie jest innym Malekiem. Myśli te zatruwały mu życie; nakoniec gdy domysły obróciły się prawie w przekonanie, zastrzelił nieszczęsną ofiarę swęj słabości, a sam się upił i nie długo umarł. Lecz i sympatye oraz uczucia z ludzkiej sfery nie lepiej się kończą w dziełach Turgieniewa. Miłość, co wnosić winna światło i barwy szczęścia, najczęściej bohaterów jego prowadzi do samobójstwa, klasztoru, lub przedwczesnej śmierci. Zmysłowość w miłości jego pierwsze trzyma miejsce, co w świecie duchowym dziać się nie po-

winno. Bohaterowie ci zanadto rozumują na zimno, skupiając całe zajęcie swoje na zmysłowej stronie uczucia, burzą psychiczne funkcje organizmu, wpadają w chaos zamieszania i zabijają się lub umierają przedwcześnie. Uspodobienia podobne w życiu rzeczywistym natrafiają się rzadko, i to w organizacyach wyjątkowych. Robić z tego regułę jest błędem nie do darowania. Na miłość patrzy Turgieniew okiem chorém, ztąd większa część jego bohaterów sprawia na czytelniku smutne wrażenie.

Aby wybitniej odmalować to idealizowanie miłości zmysłowej, p. Postnyj przytacza treść jednej z ostatnich powieści Turgieniewa, drukowaną w Gońcu Europy za r. 1872, pod tytułem: *Wody Wiosenne*: maluje tu autor miłość jakiegoś panicza Sanin i jakiejś uroczej włoszki Dzemmy sprzedającej z matką cukry w jednej z cukierni we Frankfurcie. On miał lat 22, ona lat zaledwie 18. Sama pora na miłość płomienistą. Miłość to pierwsza—mówi autor—podobna do rewolucyi. Młodość staje tu na barykadzie i rozwija swą ognistą chorągiew... nie zważa na to, czy ją śmierć, czy życie czeka. Tymczasem miłość ta trwa dni 6 z przerwą i gaśnię, a młodzieniec zakochuje się w żonie swego rodaka i przyjaciela. Otóż i po miłości. Gdzież te ognie i zapaly? Ale druga miłość stała się trwalszą i ciernistszą. Przez lat 30 Sanin był niewolnikiem *królowej swojego szalu*; aż nareszcie go porzuciła. On wpadł w melancholję, przypomniał sobie pierwszą miłość i ową włoszkę; jedzie do Frankfurtu i dowiaduje się tu, że poszła za mąż do Ameryki. Píše więc do niej, błagając, aby mu przebaczyła i choć umrzeć spokojnie pozwoliła. Otrzymałszy listowne przebaczenie, zaczął wszystko sprzedawać i wybierać się do Ameryki.

Na tém kończy recenzent charakterystykę powieści Turgieniewa, pytając się, gdzież tu jest granica poezyi od niedorzeczności?

— *Geschichte der polnischen National-Literatur* przez E. Lipnickiego (Mainz. Kirchheim 1873 r. str. 145 w 16-ce). Autor powołuje się na literatury Wiszniewskiego, Łukaszewicza, Bartoszewicza, Nehrynga, wspomina o Bętkowskim, Maciejowskim, Bartoszewiczu; ale widocznie zna przedmiot z własnych studyów, bo w swym króciuchnym wykładzie wybornie uwydatnia właśnie najważniejsze strony każdego pisarza i okresu, a tego nie dokazałby kompilator, spozyskujący tylko cudze zdania. Przebiega całe pole literatury, podzieliwszy je na sześć okresów, i zaczyna aż od run słowiańskich, od kwestyi spornej o kamieniach mikorzyfiskich. Przemawiając do cudzoziemców, oczywiście autor unikał drobiazgowości, o czém zresztą świadczy sama liczba stroniczek, a za to przytoczył treść znakomitszych utworów i zaznaczył stosunek pisarzy naszych do literatur zagranicznych. Tym sposobem ułożył się mały, ale bardzo wyrazisty obrazek, który z łatwością daje się obejrzyć jednym rzutem oka. Na końcu dodana jest „Część biograficzna“, obejmująca życiorysy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego z krótszemi wzmiankami o E. Odyńcu, Chodźce, B. Zaleskim, S. Gószczyńskim, A. Malczeskim, I. Korzeniowskim, Kraszewskim, Le-

nartowiczu, Polu, Cieszkowskim, Szajnosze, Szujskim etc. Wszystko jest pisane w tonie wolnym od przesady, ale z miłością dla przedmiotu. Krytyka niemiecka zapewne uprzejmie zaleci tę pracę swojej publiczności. Książeczka ta, gdyby została spolszczoną, mogłaby się przydać wybornie na dziełko elementarne dla młodzieży naszej.

— *Życiorysy znakomitych uczonych* przez Ludwika *Figuiet* (Vies des savants illustres, Paris Hachette 1873). Tom I Uczeni starożytni str. XII i 412. W przedmowie autor wyraża zdziwienie, że w literaturze nowoczesnej nikt nie pomyślał o napisaniu zbioru biografii uczonych, chociaż mamy Żywoty świętych, życiorysy wielkich wodzów, muzyków, malarzy. Dziś w razie potrzeby musimy szukać szczegółów biograficznych chyba w encyklopediach lub w biografjach specjalnych nielicznych i nie zawsze łatwych do wynalezienia. Z tego powodu autor przeznaczą swą pracę dla naturalistów, chemików, fizyków, inżynierów, ale też liczy i na szersze koło ludzi wykształconych, a nawet na młodzież, dla której „życie wszystkich tych ludzi nieśmiertelnych, stanowiących chlubę rodzaju ludzkiego, oraz uczczenie pracy i wytrwałości w dobrém“ byłoby najlepszym przykładem i wzorem. „Są to święci dla ludzi uczciwych“. Ponieważ dodane będą „obrazy stanu nauk, w każdej epoce, więc dzieło ma w istocie przedstawić historią umiejętności“ tylko w zmienionej nieco postaci. Co prawda, zapowiedź jest nieco za szumna i za śmiała. Tom I, który obecnie mamy na stole, obejmuje życiorysy: Talesa, Pytagorasa, Platona, Arystotelesa, Hippokrata i Teofrasta. Zdaje się że na tém skończą się biografie uczonych starożytnych, a tak mała ich liczba dla uczonych chociażby inżynierów i naturalistów wystarczyć nie może. Dziwném nawet zdawać się będzie naturalistom, że twórca teorii atomistycznej, Demokryt, jest wzmiankowany tylko obok innych i nie posiada osobnej biografii. Dzieło pana Figuiet da się chyba zaliczyć do rzędu pogadanek popularnych, ale nie do prac naukowych. Wykład jest lekki, widocznie podoba się publiczności, bo książka ukazała się już w drugiem wydaniu. Wypada jednak postawić zarzut autorowi, że zbyt cnie ufał Dyogenesowi Laërteńskiemu; chociaż anegdotki jego nadają się do ożywienia wykładu, ale ścisłość naukowa wymaga większej oględności krytycznej.

— *Andersen*, pisarz duński, wydał nowy poczet prześlicznych swoich „bajek i historii“. Wyszły one w tłumaczeniu niemieckiem (Bremen. Kühtmann 1873).

— *W Zeitschrift für Ethnologie* (1873 Heft I) wydaném przez Bastiana i Hartmanna znajduje się ciekawy „opis narodu Monbuttu w Afryce środkowej“ przez D-ra G. Schweinfurth'a, który sam odkrył i zwiedził tę nieznaną dawniej krainę w 1868 roku. Monbuttu leży w samym prawie środku Afryki, pomiędzy 3 i 4° szerokości północnej, 28 i 29° długości wschodniej, licząc od południka Greenwich, na wschód względem opisanego przez ostatnich podróżników królestwa Niam-Niam. Pan Schweinfurth znalazł tu pierwotne społeczeństwo ze znacznym rozwojem rękodzieł i rzemiosł, a rozwój ten dokonał się

bez żadnego wpływu Arabów i wiary muzałmańskiej. Świadczy o tém panujące w Monbuttu ludożerstwo. Ponieważ przewyższają sąsiadów „cywilizacyą“ więc zwykle toczą z nimi zwyciężkie wojny, a po zwycięstwie zabierają trupy poległych i zaganiają jeńców na rzeź. Ciała dzieci są największym przysmakiem, a wszelkie jadlo starają się okraszać tłuszczem ludzkim. Zresztą trudnią się niby rolnictwem czyli raczej uprawą i zbiorem płodów lub owoców, których dostarcza im hojnie bogata natura. Trudy około gospodarstwa pozostawiają kobietom. Obyczaje przypominają czasem opis Germanii przez Tacyta (naturalnie, oprócz ludożerstwa). Skóra ma kolor mielonej kawy, zresztą nie u wszystkich jednostajny. Ludy Afryki środkowej nie są bynajmniej jednakowo czarne, owszem panuje ogromna różnorodność odcieni żółtych, kawowych a nawet miedzianych. Pan Schweinfurt widzi ślady wędrówek ludowych i o samych Monbuttu sądzi, że byli wyparci z dawniejszych siedzib zachodnich ku wschodowi.

Wydawca tegoż czasopisma Wiegandt wydaje *Album Antropologiczno-Etnologiczne* z fotografij, zdjęmowanych na miejscu przez podróżników z możliwą dokładnością naukową. Jestto wydanie piękne i ciekawe, szkoda tylko, że nie tanie. Zeszyt pięcio-arkuszowy kosztuje 12 talarów.

— *Mowa J. Simon'a* b. ministra oświecenia na zgromadzeniu delegowanych od towarzystw naukowych 19 kwietnia 1873 r. (*Discours de Jules Simon à l'assemblée générale des délégués des sociétés savantes. Paris. Hachette str. 80 w 16-ce*). Miała zapewne Francya wielu ministrów oświecenia z wysokim wykształceniem naukowym, ale żaden z nich z pewnością nie dorównał Simon'owi zapałem dla spraw oświaty ludowej oraz ciepłem serdecznem dla ludzi poświęcających się nauce. Świadczy o tém i mowa obecna. Przypomniawszy słuchaczom, że oddawna już zalecał krajowi zasadę przymusowego nauczania w szkołach ludowych, oświadczył że jest inna jeszcze sprawa „niemniej ważna dla przyszłości cywilizacji i kraju,“ mianowicie: sprawa wyższej pracy naukowej. Wykazuje niedostateczność środków i zasobów uniwersyteckich we Francyi. Na wydziałach literackich istnieją pojedyncze katedry do obu literatur starożytnych, jeden téż professor wyklada historią i geografią, lub raczej geografii nie wyklada wcale; jeden professor wyklada dwie literatury: angielską i francuzką, zwykle zaś bywa tak, że w pewnym mieście można słuchać kursów o Szekspirze i Miltonie, a gdzie indziej trzeba jechać na wykłady o Goethe'm i Lessing'u i t. d. Uskarża się następnie na brak bibliotek, na niedogodność gmachów szkolnych. Żarłoki jego z umieszczenia uniwersytetu Grenobli w magazynach mąki i z małej salki w Sorbonnie, gdzie właśnie odbywa się posiedzenie, budzą śmiech w słuchaczach. Wylicza katedry świeżo założone i laboratoria lub zbiory teraz urządzone. Pozwalając profesorom zgromadzać się na narady, chciał ożywić wydziały, pragnął żeby wydziały stały się prawdziwemi rodzinami. „Ale najbardziej marzę o rodzinach dla uczni. Cała ta organizacya jest nieco chłodna; trzeba ją „ogrząć... Pomiędzy

nauzycielem i uczniami powinnyby się znaleźć serdeczność, lub jeżeli chcecie—namiętność.“ Dawniej istniała Dzielnica Łacińska. W jej ciasnych ulicach, w jej okopconych domach roił się rój studentów, po nad którym unosił się jakiś duch spólny. Mianowanie jakiegoś kandydata na katedrę stawało się powodem walki pomiędzy stronnictwami. Była to w gruncie walka o najwyższe interesy naukowe. „Biada tym epokom, kiedy młodzież posiada zapal tylko dla powodzenia, a zamiłowanie tylko do zysku! Takie epoki wydają tylko ludzi ustępstw i rządy upadku. Lecz jeśli za czasów młodości znalazło się miejsce na miłość dla rzeczy wiekuistych, wtedy trzebaby już niemożliwej prawie metamorfozy, żeby pod białym włosem nie przechowało się choć trochę pierwszego entuzjazmu i dawniej energii.“ Żeby jednak podnieść wychowanie naukowe na wyższy szczebel, potrzeba „najbardziej i przedewszystkiem żądać pieniędzy. Nie zaniedbywaliście tego dotychczas i tego wam winszuję; ale trzeba żądać zawsze coraz więcej.“ W roku bieżącym on sam (minister) zażądał od Zgromadzenia Narodowego podwyższenia summy budżetowej o 1,100,000 franków. Na rok przyszły trzeba będzie żądać więcej, bo kapitał ten wraca stokrotnie. Wskazuje pomiędzy obecnymi na p. Balard, który odkrył brom i przez to odkrycie podniósł znakomicie obrót handlowy. Pelletier i Carenton odkryli preparat chininy, który czyni 20 milionów w handlu Francyi. „Z naszych laboratoriów wyszła anilina,“ p. Sainte-Claire Deville odkrył aluminium; p. Pasteur wynalazł lekarstwo na chorobę jedwabników. Choroba ta przyprawiła niegdyś o stratę 1,200,000,000 fr.; dziś Chińczycy i Japończycy zakupują jaja jedwabników we Francyi. Ale czyż mamy mierzyć wartość nauk milionami? „Widzę tu obok siebie pp. Ravaisson, Haureau, Jourdain, którzy czytali tak samo jak ja, u Arystotelesa, na czém zależy wielkość metafizyki, że jest nauką nieużyteczną, czyli, że nie wzbogaca ani tych, którzy się jej poświęcają, ani owych państw, gdzie się wielcy filozofowie ukazują. Tak jest—nieużyteczną, lecz jeżeli nie wzbogaca, toć wyświadcza całkiem inną usługę, mianowicie: uszlachetnia ludzi, podnosi godność rodzaju ludzkiego.“

— *Rzym podziemny* przez Dra Kraus (Roma sotterranea. Die römischen Katakomben. Freiburg B. Herder). Jestto gruntowna i wyczerpująca praca wykonana na podstawie osobistych studyów z uwzględnieniem dzieła Rossi'ego i innych. Pomiedzy innymi znajdują się tu badania nad pierwotnemi portretami Chrystusa, Maryi Panny i Apostołów. Przy tekście znajdują się liczne drzeworyty.

— *Gramatyka porównawcza dzisiejszych języków aryjskich w Indyach*, przez J. Bins. (Comparative grammar of the modern Aryan Languages of India to wit, Hindi, Panjabi, Sindhi, Gujarati, Marathi, Oriya and Bangali. By John Beams. Vol. I, on sounds. London Trübner). W stosunku do ubóstwa przysposobionego przez filologią materiału jestto praca bardzo śmiała i cenna. Autor przestudyował gruntownie Boppa, Grimma i trafnie posługuje się językami romańskimi. Nie uwzględnił tylko języka cygańskiego, chociaż mógł się oprzeć na

pracach Pott'a, Greka Paspati i Miklosich'a. Z wniosków autora zaznaczamy jeden tylko: że w mowie pierwotnie nie było dźwięków zębowych (dentals); najdawniejszemi zaś pierwotnemi były dźwięki „mózgowe“ (cerebrals).

— *Towarzystwo im. ks. Jabłonowskiego* wyznaczyło *tematy konkursowe* na lata 1873—1876, z których notujemy jako szczególnie godne uwagi:

1) „Na źródłach oparta historia handlu zbożowego Polski z zagranicą.“ Jako wstęp ma służyć okres przed upadkiem cesarstwa bizantyńskiego, jako zamknięcie czasu porozbiorowe, główną zaś uwagę zwrócić należy na trzy wieki zawierające się pomiędzy temi epokami. (Nagroda 60 dukatów. Temat służy na r. 1873).

2) „Dokładne badanie, w jakim szczególnym stosunku zostają języki litewsko-słowiańskiej grupy do germańskich w łonie rodziny indogermańskiej.“ Dzieło może się składać z badań monograficznych, lecz te badania muszą być wykonane podług zasobów i ścisłej metody, ustalonych w obecnej filologii. Dźwięki litewsko-słowiańskie należy pisać podług systematu Schleichera, nie zaś znakami dyakrytycznemi lub alfabeta mi łącińskim i greckim (Nagr. 60 duk., r. 1874).

3) „Historia szerzenia się i rozwoju języka niemieckiego w Prusach Wschodnich i Zachodnich, do końca XV wieku ze szczególnym poglądem na udział obu niemieckich głównych narzeczy.“ Nagr. 60 duk., gdyby badanie było zbyt rozległóm, Towarzystwo poprzestanie na jednej części Prus Wschodnich lub Zachodnich, a na podróże i korespondencyą może podwyższyć cyfrę nagrody, jeżeli rezultat badań będzie na to zasługował. Temat służy na rok 1875.

Resztę tematów można znaleźć w *Literarisches Centralblatt* 1873 r. Nr. 21 z d. 24 maja, str. 668—670.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.

XIII.

W czasie niebytności króla, namiestnik Fürstemberg i hr. Flemming zmówili się i podali sobie ręce, aby się starać z pod panowania Cosel wyzwolić. Rozkazywała im jak królowa, obchodziła się z nimi z dumą kobiety, która ufa w siły swoje, szafowała pieniędzmi jak dziecię, które nie zna ich wartości. Przewaga jaką miała nad królem przerażała wszystkich i obóz nieprzyjaciół z każdym się dniem powiększał. Żadna z ulubienic królewskich nie miała takiej potęgi, wiary w siebie, i nie umiała tak długo niestałego Augusta II utrzymać przy sobie. Można było znieść fantazją pańską, ale dać się ugruntować władzy, która wznagała się codzien, stawało się niebezpieczeństwem dla wszystkich. Gorączkowo pragnął dwór cały kimkolwiek zastąpić Cosel, a obalić ją koniecznie. Hrabina raczej domyślała się tego niż wiedziała o knowaniach, ale gardziła nimi. Gdy jój donosił o nich wierny Zaklika, który się przysłuchiwał co po dworze krążyło, Cosel śmiała się pogardliwie.

Powoli gromadziły się, skupiały wszystkie siły nieprzyjaciół, chociaż nie śmieli jeszcze wypowiedzieć jawnie wojny. Czekano w królu pewnych symptomów, któreby oznajmiły znużenie i wskazały że walka da się rozpocząć z nadzieją zwycięstwa. Z jednej strony stały sprzymierzone siły ludzi nadzwyczaj zręcznych i przebiegłych, w intrydze dworskiej od młodości wyćwiczonych, przez zepsute i chytre kobiety posiłkowanych; z drugiej Cosel dumna, zarozumiała, szlachetna, ufna w swe siły i wdzięki, w swe urojone żony nazwisko, w węzeł który stanowiły przyznane jój dzieci... kilku przyjaciół nie mających znaczenia i kilka osób dwubarwnych, co gościły w obu obozach, wyczekując przewagi jednego aby się doń przyłączyć. Zanosilo się na wojnę długą, ale przeciwnicy Cosel mieli przy zawziętości cierpliwość i w charakterze króla pewność skutku pomyślnego.

Cosel musiało się wreszcie sprzykrzyć ze swemi fantazyjami, nienasyconą żądzą przepychu, królewską dumą i charakterem porywczym. Dotąd król znajdował w nim zabawę, lecz przebrana miara lada chwila mogła szaleć na stronę drugą przewałyć.

Można powiedzieć iż wszystko co było na dworze znacniejszego i więcej znaczącego, stało w obozie przeciwnym... Ks. Fürstemberg, hr. Flemming, hr. Reuss, panna Hülchen, Vitzthumowa liczyły się teraz do zajadłych przeciwniczek. Nieznośna Glasenappowa wkręciła się do domu hrabiny tylko aby ją szpiegować i plotki od niej wynosić.

Korzystając z niebytności króla, w czasie jego pobytu we Flandryi, namiestnik ze swój strony, Flemming oddzielnie zmówił się na to, aby króla doniesieniami o zbytkach i przepychu dworu hrabiny, powoli do niej zniechęcać.

Odmalowali wymagania jój w tak przesadnych barwach, że August znudzony, polecił pewną położyć im tamę. Chwycił się tego Fürstemberg oparłszy kilka razy rozkazom wszechwładnej pani, która, gdyby nie stan jój niedozwalający szukać z nim spotkania, odgrażała się opoliczkować go publicznie. Znający charakter p. Cosel, mogli uwierzyć iż spełniłaby to co obiecywała. Nieostrożne słowo Flemminga ściągnęło nań także burzę i groźby.

Pochlebiali sobie jednak oba, wiedząc z listów Bauditza o zaproszeniu panny Duparc do Drezna, że panowanie faworyty mogło przeminąć i że pora przyszła stanowczo przeciwko niej wystąpić.

Tymczasem król od obozu przybywszy do Drezna, nie spojrzawszy na Fürstemberga, poszedł wprost do pałacu czterech pór roku, gdzie zastał Cosel zuowu ledwie wstającą z łóżka po chorobie, piękniejszą niż kiedy, czułą a splakaną.

— A! panie,—zawołała rzucając mu się na szyję—zawsze pragnę i pragnęłam powrotu twój, choćby godzinę tylko trwało oddalenie, ale nigdy może nie tęskniłam tak do twego powrotu! Wybaw mnie od prześladowania. Jestemże jeszcze panią twego serca, czyś mnie już z niego wyrzucił, aby ci ludzie mogli się pastwić nademną!

— Kto?—zapytał król.

— Twoi najlepsi powiernicy i przyjaciele, ten opój przebrzydły Flemming, ten przewrotny świetoszek Fürstemberg, uczynili mnie pośmiewiskiem... spikali się na to by mnie chorą życia zmartwieniem pozbawić. Panie, ratuj mnie, lub powiedz czyś już wyrok wydał na mnie!

Po długim niewidzeniu, Cosel odzyskała wdziękiem niezrównanym jaki posiadała dawną swą władzę nad królem: August począł ją uspokajać.

— Fürstembergowi i Flemmingowi uszu natrę... sądzą że i chora wzięła zbyt do serca to co może bez złej woli!

— Bez złej woli, ale to są śmiertelni wrogowie moi, tak jak tu wszyscy... niemi tylko jestem otoczona. Zazdrośni radzi-
by mnie wyrwać z twojego serca.

Cosel płakała, król łez nie lubił i starał się ją ukoić.

Gdy po kilkogodzinném pobycie wyszedł do zamku, był już pod urokiem i na pierwszy wyraz oskarżenia, z którym Fürstemberg wystąpił, odpowiedział mu sucho, aby jutro szedł hrabinę przeprosić: książę zamilkł.

— I ty i Flemming winniście; ale nie cierpię kłótni i sfarów u mnie; jutro musicie być u niej: pogodzę was.

Flemming który sobie czasem pozwalał królowi sprzeciwiać, odparł:

— N. Panie, toby było dla mnie zbyt upokarzającym!

— A jednak przez to przejść musisz—odpowiedział król— inaczey musiałbyś chyba ze dworu ustąpić, nie obeszłoby się bez kłótni przy piérwszém spotkaniu. Cosel nie przebacza łatwo, a ja awantur nie lubię.

Napróżno generał się oburzał i parskał, spojrzeli po sobie z Fürstemborgiem... chwila nie była nadeszła jeszcze, trzeba się było poddać króla rozkazom.

Nie dalej jak nazajutrz król obu powołać kazał do pałacu czterech pór roku: musieli stawić się oba. Cosel była zarumieniona od gniewu i dumną jak królowa. August sam wprowadził winowajców.

— Sądzę—rzekł—że tylko nieporozumienie mogło być przyczyną, iż hrabina mi się uskarżała na niewzględne z nią obejście. Radbym zatrzeć wspomnienie to... hrabina zapomni, panowie jako grzeczni i szanujący płeć piękną nie weźmiecie jęj za złe, jeśli tam słówko jakie w żalu rzuciła. Proszę to puścić z obu stron w niepamięć.

Gdy król to mówił, z obu stron zmierzono się oczyma. Coseli wzrok był jeszcze gniewu pełen i oburzenia, Fürstemborga nienawiści, Flemminga chytrego szyderstwa. Skłonili się jednak oba grzecznie bardzo, a mruczenie ich można było wzięść za komplement.

Z obu stron nie łudzono się wcale szczerością zgody, wiedziano że to był rozejm do czasu i że walka rozpocznie się przy piérwszej do nięj zręczności. Po tém urzędowém przejednaniu, którego i sam król pewnie czuł pozornosć, książe i generał przemówiwszy kilka słów obojętnych i chłodnych odeszli. Król pozostał u Coseli. Pięć już lat trwała miłosć jego stała przynajmniej powierzchownie dla pięknej hrabini, oczekiwano co chwila przesytu i zmiany: napróżno. Hrabina Reuss i Vitzthum kandydatki do tronu, napróżno śledziły zmarszczki na czole Coseli, próżno upatrywały zaćmienia blasku jęj piękności; była to jedna z tych dziwnych istot, obdarzonych niemal nieśmiertelną młodością, których lice marmurowe żadna boleść wyszczerbić nie może. Pokątne miłosćki króla nietrwałe, gminne, mogły go rozrywać, ale nie potrafiły zastąpić przywiązania do kobiety, która miała za sobą i charakter szlachećny i umysł

wykształcony i wszystko coby ją wśród tysiąca innych odznaczyć mogło. Z hrabiną Cosel August pełen próżności mógł się pochwalić przed światem, mógł ją pokazać i chlubić się zdobyczą: wszystkich innych musiał się wstydzić. Żadna z tych co poprzedziły Annę nie dorównywała jej ani pięknnością, ani umysłem, ani charakterem. Napróżno chciano coś znaleźć przeciwko niej, coby choć do zręcznej potwarzy dostarczyło oręża; złość czuła się bezsilną, bo życie pani Cosel jawne całe, nie miało żadnych tajemnic; niezmierna pycha tylko i powtarzane jej zapomnienia że jest żoną i królową, całą winę stanowić mogły.

Wkrótce po tej scenie zręczni nieprzyjaciele w inny sposób postarali się króla z nią poróżnić. Zaproszenie tanecznicy Duparc do Drezna, dało im w ręce oręż. Wiedzieli jak Cosel była zazdrosną i ile razy August musiał od niej znosić najprzykrzejsze wymówki i groźby z powodu bałamuctw swoich. Użyto Glasenappową. Zamawiając pannę Duparc, król nie przyznał się jej wcale kim był, poznała go pod imieniem hrabiego Torgau, a przybywszy do stolicy biegała napróżno szukając tego nazwiska... Miała ona tu ciotkę w teatrze...

Ta zaprowadziła ją do szambelana Murdachs, dyrektora zabaw królewskich, który był o wszystkiem uwiadomiony. Zdziwiła się ciotka niezmiernie gdy pan szambelan przyjął Duparc ze szczególnymi względami, ofiarował zaraz wszelkie jej żądania spełnić i wyraził życzenie aby wystąpiła w balecie Księżnej Elidy, który właśnie przygotowywano na powrót królewski. Wszystko to miało być dziełem hrabiego Torgau, w którym ciotka i panna zaczęły się już króla domyślać. Domyślano się go więcej jeszcze po bezimiennych darach jakie jej przysłał.

Cały dwór zaraz wiedział, że Duparc ujrawszy króla w teatrze i poznavszy w nim hrabiego Torgau, omdlała z radości; że król aktorowi Beltour kazał ją ratować, i że Cosel uraziła się tą wielką troskliwością Augusta o zdrowie awanturnicy.

— Zdaje mi się, N. Panie — odezwała się hrabina urażona, — że to jest zbytek łaski, opiekować się tak nieznaną jakąś istotą, wcale zapewne nie zasługującą na te względy.

August się obraził i odparł sucho:

— Prawda, że nieraz mi można było wyrzucać zbytek dobroci dla osób, które jęj nadużywały; sędzę wszakże, iż ta Duparc skromniejszą będzie.

Scena w łoży się odbywała. Cosel nie poskramiając ani ruchu ani głosów, rzuciła się w głąb na siedzeniu wołając:

— W. Kr. Mość masz szczególny gust do ulicznic.

Lękając się aby z tych słów scena nie wybuchła publiczna, o którą nie było trudno, król wstał i wyszedł do łoży królowej, z którą był brat jęj margrabia Brandenburg-Bareuth.

Chwilę wystawiona na oczy całego dworu i szyderskie uśmiechy, hrabina przesiedziała ze spuszczoną głową, zawołała że jęj się robi słabo. Kazała podać lektykę i powróciła do domu. Tym razem król, który sobie w fantazyach swych zawadzać nikomu nie dawał, rozgniewany, ani poszedł do nięj, ani się kazał dowiedzieć.

We łzach, w rozpacz, w gniewie Cosel spędziła wieczór cały. Już się gościa żadnego spodziewać nie mogła, gdy późno w noc wdarła się prawie przemocą bar. Glasenappowa.

Nieprzyjaciołom hrabiny zdawało się że już rozjątrzoną, podbudzając jeszcze do wybuchów zazdrości, których król widocznie na ten raz znosić nie chciał, zdołają, przyspieszyć zerwanie.

Duparc wprawdzie nie mogła się mierzyć z Anną, ani się jęj kiedy śniło by dostąpiła tego szczęścia; lecz szło tylko o to, aby obalić panią Cosel lub przynajmniej zachwiać jęj potęgę. Glasenappowej powierzono rolę dla nięj bardzo właściwą. Wbiegła udając nadzwyczajną litość i współczucie, a zastawszy Annę we łzach leżącą na kanapie, przypadła do nięj szczeniocząc.

— Nie możesz uwierzyć—zawołała—jak mi się serce ścisła nad losem twoim. Wiem wszystko, widziałam! oburzam się... boleję... ale to nie koniec. Nie wiesz nic. Król brawuje się... Król zaraz po wyjściu twém zapowiedział panu Murdachs, że kazał do niego zanieść wieszczę i że ma na nią Duparc i trzy inne aktorki zaprosić. Wiem to z najlepszych źródeł, po teatrze król poszedł do szambelana. Duparc przed nim na kolana upadła... przy wieszczery król był w najlepszym humorze i zapewne tam jest dotąd, odprawiwszy trzy inne aktorki, którym dano po sukni i po sto talarów.

Cosel wysłuchiwała plotki, z lekka odtrącając natarczywą Glasenappowę.

— Wcale mnie to nie dziwi—odpowiedziała—nie sądzę bym była zazdrośną, przeżyłam już wiele... odnowioną miłość dla ks. Teschen i Henryetty Duval i innych wiele, ale płaczę nad poniżeniem króla, który sobie większą niż mnie krzywdę czyni.

To mówiąc wstała Cosel z kanapy, ocierając łzy; przybycie improwizowanej tój przyjaciółki, pośpiech jój, dały uczuć hrabinie podstępny intrygę i skutek sprawiły przeciwny, pozor nie ją uspokoiły.

Glasenappowa napróżno usiłowała gniew w niej rozbudzić: wrzał on w sercu, lecz nie występował na usta... Cosel potrafiła się pokonać.

— Kochana baronowo,—rzekła w końcu—zbyt stoję wysoko ażeby mnie kaprys króla miał dotknąć; nie jest on pierwszym, nie będzie pewnie ostatnim... my kobiety powinnyśmy być do nich przywykłe. Wstydzę się za króla, ale nie sądzę ażeby mi to serce jego wydrzeć miało.

Nazajutrz król ochłonął z tych zapałów, zrana nie przyszedł wprawdzie do Cosel, lękał się jój porywczosci, posłał na zwiady Vitzthuma.

Vitzthum nie należał dotąd do żadnych intryg przeciw Annie, żyli z sobą dobrze. Przyszedł jakby od siebie dowiedzieć się o jój zdrowie. Znalazł ją całę niespodzianie, starszą córeczkę trzymającą na kolanach, smutną ale spokojną. O wczorajszym wypadku nie wspomniała mu ani słowa; on także zapytawszy jak się miała, nie śmiał potrącić o drażliwe wspomnienie.

— Jestem zdrowa, jak hrabia widzisz — ze smutnym uśmiechem odezwała się Cosel—czy znać co po mnie? powiedz mi.

— Pani jesteś zawsze piękną.

— Hrabia jesteś zawsze dobry i grzeczny.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Vitzthum widząc, że ona pierwsza nie pocznie pewnie o królu i Duparc, zabawił chwilę i powrócił oznajmić iż Cosel znalazł nadspodziewanie spokojną.

Zdaleka cała partya przeciwna z niezmierną ciekawością oczekiwała czy król zbliży się do Cosel, wczoraj okazawszy jej gniew tak wyraźny. Nad wieczór August poszedł.

Wieść gruchnęła i twarze się przedłużyły. Rachowano nieco na gwałtowność hrabiny jeszcze.

Tym czasem i ona i August okazali przy spotkaniu zbyt wiele rozwagi, aby do zerwania przyjść mogło. Król nie chciał porzucić Anny, nawykł do jej towarzystwa, a choć gwałtowna miłość dla niej, dawno już była wygorzała w sercu nie stałém, nałóg w nim pozostał. Do Duparc przyznać się nie mógł. Cosel sądziła się żoną, była matką i postanowiła naśladować królowę znieść bałamuctwa męża.

— Zrobiłaś mi wczoraj nie miłą scenę w teatrze—odezwał się król—nie znoszę takich publicznych swarów, które mnie i wam nie przystały.

— N. Panie, moja miłość dla was...

— Niechże będzie rozsądną—przerwał król.

— Miłości cechą, że rozsądną być nie może,—dodała Cosel.—Ja również niepodobnej rzeczy wymagam od miłości pana mojego, to jest, żeby była stałą.

— Ja zaś od was byście śmiesznej pozbyliście się za-zdrości.

— Nie dawaj do niej powodu, N. Panie — szepnęła Cosel. Król ramionami ruszył.—Dzieciństwo.

Cosel powstrzymała się od wybuchów, wiedziała że jej nie grozi.

Stosunki z królem nie zmieniły się wcale, stały się tylko mniej serdecznemi: galanterya, ceremonialna nieco, zastąpiła dawną miłość.

Glasesappowa przysłała drugiego dnia oznajmić iż Duparc ciągle ma z królem schadzki, że król obsypuje ją podarunkami. Hrabina przyjęła to zimno.

Towarzystwo hr. Ress i Fürstemberg, którzy się spodziewali innego przebiegu tej sprawy, zrozumieli iż Cosel z ofiarą uczuć swych, przemagając charakter, zadając gwałt uniesieniom postanowiła się utrzymać. Przestraszyło to nieprzyjaciół. Cosel jaką znali nie tyle zdawała się niebezpieczną, ta nowa, pa-miętająca o sobie, trudniejszą się stawała do obalenia.

Scena dramatyczna z panną Duparc, omdlenie jęj za kulisami, upadnienie do nóg króla, wieczerza u Murdachsa, cała ta historia karnawałowa, z której usiłowano wysnuć coś wielkiego, skutek zrobiła zupełnie przeciwny, król który się w pierwszej chwili niecierpliwił zazdrością Cosel, później znalazł w tęg zazdrości dowód namiętnego przywiązania. Pochlebiało mu to... kłócili się niemal codzięń o pannę Duparc, ale spory czułością się kończyły... August nie przyznawał się do winy.

— Moja droga hrabino—mówił uśmiechając się—two-rzysz sobie fantazyje jakieś aby się dręczyć niemi? Dlaczegoż sądzisz że mam kochać inną? Jakież dowody? czy mniej je-stem czuły, chętny, posłuszny i dogadzający wszystkim twym zachceniom? czy na chwilę znalazłaś mnie oziębłym? Czyż mi nie wolno spojrzeć na kobietę, przemówić do nięj, żebym zaraz o zakochanie się posądzonym nie był? Nie kryję się z tęg wcale, mówię otwarcie, gdybym cię nad wyraz wszelki nie kochał, porzuciłbym dla tych nieustannych zazdrości...

Cosel odpowiadała wpół żartem...

— Więm że cię męcę wymówkami, ale muszę mieć cią-głę i baczne oko na miłostki mego pana... Pomimo to, nie-zda się na nic moja podejrzliwość i obawy, będę oszukana i ja i tysiąc równie jak ja zazdrosnych.

Król się uśmiechał, ta rola jakiegoś Jupiter'a pochlebiała mu... tłumaczył się, gniewał niby i stawał coraz czulszym... Duparc tęg nie umiała go długo zająć, bo to była istota, która tylko tak zepsutemu i zdziczałemu panu jak król, i to chwilowo chyba podobać się mogła.

Gminne obejście się jęj i towarzyszek teatralnych, obu-dzało w N. Panu tęg większe pragnienie przywoitszego to-warzystwa... W krótkim przeciągu czasu Cosel nie tylko od-zyskała władzę dawną, ale z przerażeniem tych co na jęj zgubę czychali, zdawała się ona rosnać i ustalać...

Najlepszym dowodem że hrabina nie straciła nic w sercu króla kochanka, były w następnym roku odwiedziny króla duńskiego Fryderyka IV, powracającego z Włoch, i po drodze chcącego widzić królową Eberhardynę swą ciotkę. August, który chwycił każdą taką zręczność nastreczającą się do tra-

cenia pieniędzy na uroczystości i zabawy, któremi zdumiewał Europę, postanowił z przepychem jak największym przyjmować swego dostojnego siostrzeńca.

Sam on obmyślił plan świetnych zabaw jakimi go chciał zachwycić, a dawna poddanka króla duńskiego (rodem z Holstynu) hrabina Cosel, wyznaczoną została do grania w nich pierwszój roli. Prawda że teraz nawet jeszcze hrabina była zawsze najpiękniejszą, że jej nieprzyjaciele nawet nie mogli odmówić wdzięku jakim wszystkich czarowała. Szczególnie w takich razach gdy trzeba było wystąpić w postaci bogini, czarodziejki, królowej, Cosel postawą, majestatem, urokiem przewyższała co ją otaczało. Król zdawał się niejako uniewinniony że składał hołdy tak wyjątkowój istocie.

Jak tylko dowiedziano się w Dreźnie o dniu przybycia Fryderyka IV, ułożony został program na cały czas jego pobytu. Piérwszego wieczora wysłano na spotkanie młodego Kurfirsta, ksiąźęcia Fürstemberg namiestnika, hr. Flemminga, Pfluga z całym orszakiem szambelanów, paziów, dworzan, oddziałem wojska i muzyką.

Część tylko dnia tego hr. Cosel musiała pozostać w domu, aby królowej w oczach siostrzeńca nie wyrządzić bolesnej przykrości. Król w świetnym bardzo orszaku dworu wyjechał o dwie mile na powitanie i wprowadził do Drezna, wśród bicia z dziań, napływu ludu, dźwięku muzyki, oświetlenia ulic i gmachów, czarodziejskiego. Gwardye od złota lśniące ustawione były przy zamku.. U wielkich wschodów królowa z synem czekała nań i wzięwszy między siebie króla prowadzili go na górę: za nimi szedł król sam.

W wielkich apartamentach dworu zgromadzone czekały nań damy, które królowa przedstawiała. Ale całe to przyjęcie urzędowe trwało bardzo krótko; król duński po rozmowie z ciotką i z rodziną, dał się wziąć Augustowi pod rękę i wieść do mieszkania, które dlań było przeznaczone. Tu zabawili chwilę.. i przejściem krytym łączącym zamek z pałacem hrabiny Cosel udali się do niej dla spędzenia wieczoru.. Uroczysta wieczerza z całym ceremoniałem dworu Augusta, który na wzór Ludwika XIV, kochał się w obrzędach połączonych z przepychem, zastawiona była w zamku, w wielkiój sali.

Wszyscy urzędnicy dworu, krajczowie, podczaszowie, podkomorzowie, pазie w galowych ubiorach pełnili swe obowiązki u stołu...

Król duński siedział między królem a królową, a pierwszy toast wzniesiony powitały działa z wałów... Na galeryach grały muzyki, sale zielenią i kwiatami strojne połyskiwały złotem, obrazami, kryształami, bogactwy, jakim żaden może dwór w Europie nie zrównał.

Dokoła stołu którego serwis złoty i wysadzany kamieniami był prawdziwem dziełem sztuki, jak żywe kwiaty snuły się najpiękniejsze damy dworu Augusta, a wśród nich piękniejsza od wszystkich Cosel cała okryta dyamentami. Pas jój, sznury, naszyjnik, przepaski włosów, bransolety świeciły temi kroplami rosy, w których wyglądała jak nadziemskie jakieś zjawisko.

Król duński na którym jój piękność uczyniła wielkie wrażenie, a który był grzecznym i sądził że się tém przypodoba gospodarzowi, nie mógł znieść ażeby stała i prosił by jój usiąść dozwolono... Na skinienie króla podano taboret hrabinie, a że inne panie stać musiały, pomnożyło to ich gniew, oburzenie i zazdrość.

Pobyt króla duńskiego trwał dni czterdzieści, ale wyobraźnia króla starczyła na zapełnienie ich coraz odmiennymi zabawami, ułożonemi z tą sztuką, jaka Augustowi była właściwą. Nikt lepij nie umiał urozmaicić zabawy, urządzać niespodzianek, zachwycać pomysłami dziwacznyimi i był to może jedyny talent niezaprzeczony, który współcześni i potomni w nim uznają.

Zabawy dworu były równie kosztowne i wyszukane, naśladowano je późniój długo, ale nikt w tém Augustowi dorównać nie mógł. Karnawałowe igrzyska drezdeńskie, którym często za plac popisu służyły podwórce zamkowe lub rynek stary miasta; gromadziły dworaków i szlachtę przymuszoną jak najkosztowniój o własnym groszu występować, przywdziewając stroje najrozmaitszych narodów.

Myśliwskie zabawy były też najrozmaitsze: ściganie jeleni po lasach psami konno, szczwanie dzików w zwierzycach pod Dreznem, polowanie na zające, bażanty i kuropatwy w Wiel-

kim ogrodzie, hece z niedźwiedziami w podwórcach zamkowych, szczucie lisów w zagrodach około pańskiej rezydencji. Najulubieńszymi łowy Augusta II były na dziki.

Igrzyska rycerskie, karuzele, uganianie się do pierścieni, piesze turnieje, strzelanie do celu przy pochodniach w umyślnie na to urządzonych strzelnicach na Zwingerze w rynku i t. p. zmieniały i urozmaicały myślistwo. Cel urządzano w ten sposób, iż trafny strzał zapalał fajerwerk i tysiące rakiet ulatywało do góry. Rozdawano nagrody, często bogate, czasem sztyderskie, jak np. lisie ogony dla niezręcznych. Szlichtady w sankach najdziwaczniejszych kształtów należały także do najulubieńszych rozrywek.

Zabawą która dotrwała później na bogatych dworach w Polsce do końca XVIII wieku, były tak zwane gospody i jarmarki. Piękne panie przebierały się za oberżystki, wiwandierki, kupcowe i częstowały gości. Przebierano się za chłopów, za cyganów. Jarmarki te odbywały się najczęściej w nocy, przy świetnych iluminacyach, a w budach niektórych ustawiano teatru marionetek.

Gdy August szlichtadę zapowiedział a śnieg tajać zaczął, tysiące wozów wieśniaczych na gościniec zwoziło śniegi!

Maskarady i reduty w olbrzymiej sali zamkowej, w Zwingerze, na rynku odznaczały się też niezwykłą świetnością. Salę olbrzymią oświetlało siedm olbrzymich także kryształowych żyrandolów, w których do pięciu tysięcy woskowych świeć zapalano; obok niej w sali audyencyonalnej zastawiano ośmnaście ogromnych stołów dla zaproszonych gości, okrytych wykwintnemi potrawy i napojami. Na maskarady wpuszczano ktokolwiek był odziany przyzwoicie i imie swe podał u wnijscia.

Niekiedy przy dobrym humorze, maski ruszały na miasto, wpadały do spokojnych domów i przestraszały mieszkańców... a swoboda karnawałowa nie dopuszczała zamknąć im drzwi przed nosem. Że wszyscy aż do woźnicy i sług maski mieli na twarzy, któż mógł odgadnąć, czy się król między maskami nie znajduje?

Francuzki teatr, włoska opera, baleta, koncerta, które ogromne summy kosztowały, przyczyniały się do uprzyjemnienia czasu. Niektórzy śpiewacy, muzycy brali summy znaczne,

a widowiska te rocznie przeszło 80,000 talarów brały ze skarbu króla.

Wojskowe zabawy, przeglądy, manewra, udawane wojny, służyły też jako środki przyjemnienia czasu. Zakładano obozy w okolicy, i zamiast szaleć w stolicy, szalano pod gołębim. Każdy dzień zwał się inną uroczystością, wymagał nowych przyborów i strojów, ale na to król nie zważał wcale; komu byłaznaczona rola na igrzysku, musiał się do niej stosownie wykwipować na owe Jowiszowe gody, Marsowe igrzyska, święto Dyanny, Merkurego targowice i t. p. Lecz któż to zliczyć i opisać potrafi!

Czas pobytu króla duńskiego, cały ten szereg uroczystości wywołał: król August chciał mu dać pojęcie swęj wspaniałości i bogactwa. Dla hrabiny Cosel była to jedna z najświetniejszych chwil tryumfu. Jój barwy kładli królowie, cyfry jój świeciły w fajerwerkach, wieszały się wśród zielonych wieńców; ona rozdawała nagrody, ona wiodła damy do pierścienia, gdyż w ćwiczeniach tych wprawna, celowała i nie jeden strzał szczęśliwy, zjednał jój naówczas oklaski. Piękna pani jaśniała szczęściem. Król mógł się nią pochlubić, wnikała w jego myśli, poddawała mu plany, pomagała do wykonania najdziwniejszych programów. Ze wszystkich wszakże uroczystości, najwspanialszy był pochód bogów i bogiń, który już raz w 1695 roku był wykonany, a teraz powtórzono go świetniej jeszcze, kosztowniej i z niezrównanym przepychem.

Król duński brał w nim udział także jako Jupiter, król August był Apollinem, hrabina Cosel przedstawiała Dyanę otoczoną najpiękniejszych nimf orszakiem. Za nią postępował złotocisty wóz tryumfalny, w którym jechała muzyka. Nawet królowa nie mogła odmówić przystającego jój miejsca w świątyni Vesty, jako kapłanka téj bogini.

August w istocie mógł jeszcze naówczas przedstawiać Apollina, tak piękną zachował postać, tak jeszcze oblicze promienne... tak ledwie przeżyte losy po posągowém jego obliczu, nie zostawiając śladów spłynęły.

Wszyscy znużeni ledwie mieli dość sił by téj zabawie podołać: Cosel była niezmordowaną, król w swym żywiole. Piękna hrabina nie oddaliła się na chwilę, nie znikła nigdy

szukając ciszy i spoczynku, stała u boku króla uśmiechnięta i poła się kadzidły, od których zawrócić się mogła głowa białej kobiety.

Dla niej jednej sprawiono kobiecey wyścig do pierścieni, który był tryumfem nowym. Obaj królowie dnia tego nosili jej godła, kolory i cyfry; król duński ją prowadził, August szedł po prawej stronie, podkomorzy dworu po lewej.

Z łoży patrzyła królowa...

XIV.

Wyścig ten do pierścieni, w którym Cosel konno, okazała nadzwyczajną zręczność i niezmierną odwagę we władaniu koniem i ćwiczeniach tak płci jej niewłaściwych, zdawał się w królu Augustcie, który z nią razem tryumfował, rozżarzać jeszcze uczucia.

Tłumy wybranych gości wpatrywały się w to widowisko, któremu dzień najpiękniejszy, najjaśniejsza pogoda i łagodne powietrze towarzyszyło.

W łożach i na galeryach otaczających podwórzec w którym się bieg ten odbywał, widać było tysiące twarzy i głów ciekawych i stroje najwykwintniejsze. Piękna amazonka z licem rozplamionem, zręczna, zwinna, gibka, miała nadzwyczajne szczęście.

Królewscy widzowie przyklaskiwali, obaj królowie bogate dla niej przygotowali nagrody... nikt nie zważał na twarze reszty dworu posępne, na żółtkę oblicza dam, na szepty poza wachlarzami, na dziwną ciszę tłumu, który tuił uczucia swoje.

W kącie wśród dworu króla i urzędników którzy czynnego nie brali udziału w zabawie, stał Zaklika, wierny sługa hrabiny, jedyny może z tych co przywiązaniem niezłomnym płacili jej za dobrodziejstwa i kaprysy. Służba u hrabiny Cosel nie była wcale łatwą ani przyjemną, ale pan Rajmund służył raczej własnemu sercu niż hrabinie. Zaklika się kochał i nie mógł nawet smagany widokiem jej fantazyi, dumy, pogardy, wyrwać z serca tej namiętności szalonej: żył się już z nią,

stała się w nim chorobą co podtrzymywała życie. Zaklika nie miał innego celu nad tę miłość bez przyszłości.

I on dumny był swoją Anną Cosel, chociaż te ponawiane tryumfy jęj, niepokoiły go instynktowo. Obawiał się tak szalonego szczęścia wiedząc jak na serce Augusta, na litość jego, na wdzięczność, na nic rachować nie było można, gdy go nowa opanowała namiętność.

Dokoła Zakliki, który stał przy murze, w cieniu skupieni byli starzy dworzanie Augusta. Z tęg kupki ani jeden okrzyk nie dał się słyszeć, ani jeden oklask; nie coby zdradzało uwielbienie dla pięknej, a dnia tego najpiękniejszég królowég turnieju.

Przy Zaklice osłonięty występem kolumny, znalazło się kilku nieznanych mu osobiście ludzi. Jeden z nich, choć świeżo ogolony bardzo starannie, siwym już był i starym; drugi zdawał się być cudzoziemcem, kilku innych stanowiło z niemi gromadkę. Mówili pocichu, lecz słowa ich mimowolnie ucho Zakliki chwytalo.

— Pięknaz bo jest, piękna ta kochanka króla waszego— odezwał się cudzoziemiec— prawdziwy królewski kąsek... i zda się że już dla tęg musi się Najjaśniejszy ustatkować?

Stary figlarnie się uśmiechnął i westchnął cicho.

— Gdy na to patrzę— rzekł— przypominam sobie dawne czasy, i myślę co tęg to ja jeszcze zobacze, bo na tęg się nie skończy, panie szambelanie. Boję się by te tryumfy ostatniemi nie były; przeżyłem wiele, pamiętam na szczycie chwały uroczą Aurorę... pomnę wdzięczną Esterlę... zdaje mi się że widzę jeszcze śliczną Spiegel i miłą księżnę Teschen. Z nich wszystkich ta się wprawdzie jakimś ekwilibrem nadzwyczajnym trzyma najdłużej, lecz żeby króla miała przywiązać na wieki, temu nie wierzę!

— Mówiono mi wszakże iż król jęj przyrzekł ożenienie? — szepnął cudzoziemiec.

— Sądze że się niem i księżna Teschen łudziła, że się go i piękna Aurora spodziewała; lecz naszég zacnej, dobrej królowég Bóg życia przedłuży, a śliczna rycerka pójdzie za innemi.

— Chyba nie prędko! — zaśmiał się cudzoziemiec.

— A któz to odgadnie! — szydersko szeptał stary. Spójrz wacpan na rzęd tych pięknych jeszcze twarzy niewieścich, na

których licach zazdrość się pali. Z małym wyjątkiem te panie wszystkie miały swe dni królowania... a tam w kąciku u dołu, widzisz tę kupkę francuzkich liłoskoków i tancerek; tam stoi Duparc, która dziś dzieli serce pana z tą amazonką, choć nie ma za sobą, chyba że stokroć od niej brzydsza jest a swawolniejsza. Któż zaręczy że jutro z ciżby nie wybierze sobie nasz Najjaśniejszy coś jeszcze... dziwaczniejszego...

Za Zakliką stali także dworacy: tu nie ukrywano niechęci.

— I owszem—mówił jeden z przyjaciół i zauszników Fürstemberga—niech sięga jak najwyżej, tém bliższy upadek... Wzbija się w łaski i wzbija w dumę, królowi staje się obęjściem swém coraz nieznośniejszą... możnaby niemal obliczyć chwilę gdy runie.

— Tak! tak!—dodał drugi—a nie będzie to pewnie ciche rozstanie jak z tamtymi, bo ta nosi pistolet nabity i papier z królewskim podpisem. Zgubi się niechybnie, bo się będzie opierał i bronił.

— My to już jednak prorokujemy od lat trzech i dotąd nie spełniły się proroctwa nasze—rzekł piérwszy wdychając.

Daléj nieco widać było barona Kyan, zamyślonego bardzo. Dowcipny stary dworak, słuchał i słyszeć nie chciał. Zaczepił go ktoś o zdanie.

— Nie jestem astronomem, kochany panie—rzekł—bym mógł rozrachować kiedy gwiazdy wschodzą i zachodzą, a wiem tylko że są i gwiazdy stałe...

W jednéj z łóż hrabina Reuss, Vitzthumowa, panna Hülchen, a z tyłu Głasenappowa, siedziały ponure i milczące... Reuss westchnęła.

— Sameśmy winne—odezwała się do Vitzthumowój. Król nie widzi od kilku lat, tylko stare znane twarze: nie umiałyśmy się o nic postarać.

— Niecierpię téj kobiety—przerwała Vitzthum—ale zmuszoną jestem przyznać, że po niej znaleźć coś trudno.

Stara Reuss rozśmiała się szydersko.

— Nie znasz ani ludzkiej natury, ani charakteru króla—rzekła spokojnie. Po blondynce Teschen, musiała się podobać wasza bratowa; po jój krucznych warkoczach, znowu złocistych

będzie szukać, a że ta udaje boginię, zasmakuje w chłopiance lub w takiej Duparc, która papie mu jak przekupka.

— Al już zresztą naszymu królowi się nie dziwię że pęt swych nie umie rozplątać... ale król duński, patrz pani, jak słodkie oczy ku niej wznosi.

— Jak dumnym z góry, olimpijskim wzrokiem ona mu odpowiada.

— Gdyby mi się nie chciało płakać, śmiałabym się z tój oszalałej awanturnicy—szepnęła Hülchen.

— Miliony kosztuje ta perła Saksonię.

Te i podobne rozmowy słychać było prawie wszędzie, lecz szmer nie mógł dojść do uszu pana, a choć August domyślał się może uczuć obecnych na turnieju osób, nic dlań zabawniejszém być nie mogło, nad widok tój tłumionej zazdrości: był to także rodzaj hecy wielce mu upodobanej.

Po turnieju i strzelaniu do celu, po świetnej wieczerzy, która już była pożegnalną, gdyż król duński nazajutrz wyjeżdżał do Berlina, a August mu towarzyszył, zagasły światła i hr. Cosel w stroju jaki miała na igrzyskach powróciła do pałacu...

Twarz jój pałała jeszcze ogniem tryumfu, zapału, ale zarazem gorączki i zużycia; uczuła się słabą i zrzuciwszy z siebie klejnoty, padła na sofę spoczywać.

W pałacu było cicho, dalekie ledwie stąpanie dawało się słyszeć niekiedy w przedpokojach. Ta cisza po wrzawie, okrzykach i muzyce następująca nagle, dziwnie ją usposobiła. Czowała się równie na duszy jak na ciele zmęczoną... Niczém nie usprawiedliwiony w tój chwili smutek ją owładnął.

Wśród tryumfu spotkała parę razy szyderski wzrok Flemminga i ten ją przejął do głębi; była w nim jakby niema groźba, którą ona tylko jedna zrozumieć mogła. Wyraz jego oczów odbił się na jój sercu; gniew i trwoga w nim gościły. Nie miała powodu do obojga, a pozbyć się ich było dla niej niepodobieństwem.

Napróżno przypomnieniem króla i wszystkich dowodów czci jakie tego dnia doznała, usiłowała poure rozbić myśli, obłok co na nie zaszedł, wisiał na duszy chmurą czarną. Oczy

zachodziły łzami... Tak nieraz w chwili największego szczęścia, zjawia się przyszłości przecucie.

Niema, stężała, z oczyma wlepionemi w ścianę na której wisiał portret królewski, siedziała tak długo... Dnia tego nie spodziewała się już zobaczyć Augusta, nazajutrz rano razem ze swym gościem miał jechać do Berlina. Tam nowe go czekały uroczystości, nowe twarze, nowi ludzie.

W korytarzu którego wschody łączyły się z galeryą do zamku wiodącą dały się słyszeć kroki; nie mógł to być kto inny prócz Augusta... Cosel zerwała się z siedzenia i pobiegła do zwierciadła aby suknie rozrzucone poprawić. Bujne jej włosy czarne nie dały się ująć ręce niewprawnej, i gdy król ukazał się na progu, Cosel trzymała je w białej dłoni, drugą osłaniając i podnosząc spadającą z niej suknię.

Z pierwszego wejrzenia Cosel poznała że August przychodził do niej w tym stanie, w jakim go rzadko widywała, a jak najmniej widzieć lubiła.

Uroczyste żegnanie siostrzeńca, którego dwóch dworzan z wielkiem uszanowaniem na łóżko zaniosło, odbyło się ogromnemi puharami. Król, jakkolwiek nawykły do nich, nie wyszedł z tej walki cało. Szedł wprawdzie bez pomocy szambelana, który go do drzwi tylko doprowadził, starannie pilnując aby równowagi nie stracił, ale w gabinecie Cosel oczyma zaraz szukał siedzenia i rzucił się na nie skwapliwie. Twarz była okryta rubinowym rumieńcem, oczy przyćmione, mowa stała się nie wyraźną.

— Anno—rzekł—chciałem cię pożegnać... Ha! miałeś dziś dzień tryumfu jaki rzadko która kobieta otrzyma. Podziękujże przynajmniej... Rozśmiał się król.

Cosel zwróciła się ku niemu z twarzą smutną.

— A! panie mój—rzekła—czyżem ja ci codziennie tak samo nie powinna dziękować... Lecz gdybyś był widział te zawistnych oczy które na mnie patrzyły, te zazdrośnie ścięte usta... pojąłbyś że wróciłam smutna.

August wciąż się uśmiechał...

— Tragi-komedyja życia—rzekł obojętnie. Ja miałem mego Karola XII, ty masz twego Flemminga! Każdy ma coś co go boli, a życie... to życie... Bądź mi wesofa.

— Nie mogę—odezwała się Cosel...

— Dla mnie!—odparł August.

Cosel wpatrzyła się w niego i powoli, raczej przymus i rozwaga niż uczucie wywołały różowy uśmiezek na małe usta...

— Gdybym na ciebie tylko, panie mój wciąż patrzeć mogła, gdybym cię miała zawsze u mojego boku—odezwała się siadając przy nim powoli—byłabym samym śmiechem i jednym weselem; radabym cię nie puścić na krok od siebie, trzymać skutego uściskiem. Niestety, wyrwiesz mi się sam, polecisz w świat, a któż wie jakim powrócisz..?

— Byle nie tak pijanym, jak dziś jestem...—ze śmiechem zimnym odparł August;—wino lubię, ale panowania jego nad sobą nienawidzę...

— A kiedyż pan mój powróci?—spytała Cosel.

— Spytaj... astrologów: ja nie wiem.

Jedziemy do Berlina. To jedno mnie cieszy że Brandeburgi po drezdeńskich fetach wydadzą się bardzo chudo? Będzie nas Fryderyczek bawił żołnierzami, i wygłodzi przy stole. Berlin po Dreźnie! cha! cha!—zawołał król—to mnie niezmiernie cieszy, jadę umyślnie żeby się napawać zwycięstwem... Z góry jestem go pewny.

— A wróc mi tylko W. K. Mość wiernym i stałym!—dodała jedną zawsze myślą zaprzątnięta Cosel.

— Z Berlina?—śmiał się August—tam mi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, ani tobie... najcnotliwszy z dworów i najnudniejszy w dodatku.

— A Dessau?—szepnęła Cosel.

Król pokiwał głową. To prawda że była bardzo ładną; lecz gdyby była katoliczką, powinna by zostać mniszka... Nie rozumiała wcale galanteryi, obrażała się pół-słowem. Nie, ja takich nie lubię.

August spróbował się podnieść i potarł ręką po czole tak nie ostrożnie iż zsunął trefioną perukę nieco; Cosel mu ją poprawiała: począł całować ją w ręce.

— Moja Cosel—dodał—jadę, a mam jedną prośbę do ciebie; pojednałem cię z Flemmingiem, zawrzyjcie pokój wieczny: przestańcie się jeść wzajemnie.

Anna zmarszczyła się.

— N. Panie, racz to zapowiedziéć Flemmingowi nie mnie. Chyba mi ciągle, jest zajadłym nieprzyjacielem moim. Hr. Cosel żona Augusta...

Król słysząc to dziwnie się uśmiechnął, oczy jego błysnęły dziko.

— Hrabina Cosel—dokończyła dumnie Anna—nie powinna, nie może ulegać jakiemuś Flemmingowi, ani się go lękać, ani mu ustąpić.

— Ale ja tych wojen nie cierpię...

— Każ mu być mi uległym, poleć mu by mnie, matkę twych dzieci, szanował, to będzie sposób najlepszy utrzymania pokoju...

Po tych słowach na które król już nic nie odpowiedział, nastąpiło nieme pożegnanie. Cosel z czułością zwiesiła się na szyi króla, który szukał podpory w kolumnie, aby go to nie zachwiało... Hrabina podała mu rękę, kilka tylko kroków dzieliło odedrzwi, za progiem czekali szambelanowie. Z pochmurném czołem król wysunął się od Cosel.

Któż może odgadnąć co wówczas działo się w tajemniczych głębinach pańskiej duszy, czy istotnie pragnął zgody na śworze, czy chciał by na nim trwała wojna? Tegoż wieczora kazał przywołać Flemminga. Szyderski był i podrażniony.

— Cosel mi się skarży na ciebie, stary—rzekł żartobliwie—powinieneś jój uledez, wiele rzeczy nie słyszcć a przebaczyć drugie tyle. Znasz kobietę... przecież ja umiém znosić od niéj...

— N. Panie—odezwał się Flemming, który z królem do zbytku poufałym bywał—N. Panie, to wcale co innego... miłość pani Cosel płaci N. Panu za te utrapienia.

— Więc mojój nie liczysz?—spytał król: Flemming się skłonił nisko.

— W. Kr. Mość wiesz,—odezwał się—żem ja w rachunkach nie mocny, lepiéj się do liczby nie pociągać.

— Ale bądźże dobrze z Cosel!—powtórzył August.

— N. Panie, to trudno: dworakiem jój być nie potrafię, pochlebiać i kłamać nie umiem, a kłaniać mi się trudno, bo mam grzbiec stary.

Na tę mowę król śmiechem odpowiedział:

— To prawda—dodał—że cię ona nie lubi; powiada żeś do małpy podobny, a ja tego nie znajduję.

Flemming podniósł głowę, z oczu mu się iskry posypały, zabełgotał coś i umilkł.

Gdyby był król przedsięwziął na wieki poróżnić ich z sobą, zręczniejszy nie mógł postąpić.

Tu miejsce może nieco bliżej dać poznać człowieka, który na losy przyszłe bohaterki tego opowiadania wpływ wywarł tak stanowczy.

Hrabia Jakób Henryk Flemming był jednym z ludzi, co się najdłużej umieli utrzymać w łaskach króla Augusta i wedle świadectwa współczesnych, najsilniej w nich stali.

Mówiono powszechnie iż Flemmingowi zawdzięczał polską koronę. Jedna z jego kuzynek blizkich, córka feldmarszałka Flemminga, odr. 1684 wyszła była za mąż do Polski za podskarbiego, kasztelana chełmskiego Przebendowskiego: przez nią generał zawiązał najprzód w Polsce stosunki. Flemming był człowiekiem na swój czas wykształconym i więcej jeszcze dyplomata niż żołnierzem, choć obrał zawód wojskowy. Przebiegłym był i chytrym jak wszyscy znakomici dyplomaci tamtych czasów, a w polityce trzymał się systemu Machiavella: wszystkie środki dobre mu były, byle go wiodły do celu.

Na dworze Augusta Flemming, który już wówczas marzył o wyłącznym wpływie i opanowaniu króla, starał się zręcznie pousuwać wszystkich, którzy z nim mogli współzawodniczyć. Zawadzał mu naówczas Hoym, nad którego ruiną pracował po cichu; lękał się wpływu Cosel i gotów był ją kimkolwiek innym zastąpić: niebezpiecznym zdawał się Schulenburg i na tego już dawno miał oko.

Flemming miał pod ręką ludzi, któremi tamtych postanowił zastąpić, kreatury swoje, mające mu zawdzięczać stanowiska, czyhające na objęcie miejsc opróżnionych. Watzdorf, Manteuffel, Wackerbarth, czekali i służyli mu wiernie. Zarozumiały i pewien siebie Flemming do swych zaufanych zwykł był ma-

wiać: „Moją zasadą jest: okoliczności tworzą ludzi, każdy do wszystkiego jest zdolnym, byle mu się sposobność trafiła spróbować. Ja najlepszym tego jestem przykładem. Zrazu sposobielem się tylko do stanu wojskowego i nie miałem innego pragnienia tylko kiedyś pułk dostać, a jednak doszedłem do tego, że jestem pierwszym ministrem i feldmarszałkiem (został nim dopiero w r. 1711), choć w żadnym nigdy nie zasiadałem Collegium. Rządzę, mogę powiedzieć, Polską i Saksonią, obu krajów ustaw nie znając, a mimo to z obowiązków tych wywiązuję się z honorem.“

Zrozumiałość ta i zuchwalstwo były podobno głównym przymiotem i charakterem Flemminga. Nierychło się jakoś przekonać zdołano, że wojskowym jego talentom brakło doświadczenia, a ministeryalnych nie miał wcale. Z powierzchowności był to człowiek żywego temperamentu, rzeźwy, wesół, hulaka, coś żołnierskiego mający w obejściu; rozkazujący śmiało, krótko i stanowczo. Gniewał się łatwo i dowcipnym żartem rozbrajał, bo lubił wesołość i dowcip. O trzy lata tylko starszy od króla, był jego przyjacielem poufałym, towarzyszem zabaw, powiernikiem. Zdarzało mu się po szumnej zabawie nadużyć czasem względem Augusta dozwolonej poufałości, ale zawsze to umiał naprawić.

Flemming żył po książęcemu, trzymał służbę ogromną i sto koni na stajni. Przedpokoje jego pełne były zawsze ministrów, dygnitarzy, cudzoziemców jak u króla. Łatwo mówiąc po francuzku, po polsku, po łacinie, umiając pracować i nieopuszczając dla tego hulanki, mogąc nie spać, umiając pić i nie upijać się, zdrzemnąc na kwandrans w krzesle i wstać orzeźwionym, musiał pozyskać niezmierny wpływ na dworze, gdzie się wszyscy bawić tylko i intrygować umieli. Człowiek był żelazny, a mimo żywości pozornie flegmatyczny i zawsze pan siebie.

Wygłądał wcale nie pięknie, niskiego będąc wzrostu, przyśadzisty, otyły, z twarzą naperzoną, czerwoną, ale rysów dosyć czystych. Wedle zwyczaju owych czasów nie nosił peruki, ale własne włosy długie, w które wplatał parę loków.

Pieniądze robił, dobrami handlował i o kieszeni nie zapomniał; nie wahał się nawet przy większych interesach wymawiać sobie tak znaczne porękawiczne, iż raz król się o tém do-

wiedziawszy że wziął 50,000 talarów, powiedział mu: „Słuchaj Flemming, wiem coś wziął, to już dla ciebie za wiele: musisz mi połowę oddać.“

I tak się stało. Jak to dobrze pana i służę maluje.

Walka z człowiekiem, który się umiał posiadać i panować nad sobą dla kobiety tak namiętnej a powodzeniem długim wzbitej w pychę, była rzeczywistym niebezpieczeństwem. Wreszcie poza Flemmingiem stał cały zastęp nieprzyjaciół hr. Cosel, a co gorzej zjadliwych jej nieprzyjaciółek: pani Przebendowska, siostra cioteczna generała-ministra, cała klika hr. Reuss, utrapiona Glasenappowa, Vitzthumy, rodzina Hoymów i te nawet jejmoście, które pozornie udawały przyjaźń dla pani Cosel, choć nic tak nie pragnęły jak widzieć ją upokorzoną.

Długie lata szczęścia budziły zazdrość, jątrzyło to że przeciwno niej nic znaleźć nie mogli, coby ją w oczach króla poniżyło. Wśród tego rozpustnego dworu, w którym stosunki łączywały się tak łatwo i rozrywały tak prędko, nikt jej otoczonej zawsze gronem wielbicieli nie zarzucić nie mógł, szpiegi najpilniejsze nic nie potrafiły wysledzić, potwarz nawet nie miała się do czego przyczepić. Cosel mogła być dumną, bo istotnie przewyższała otaczające je towarzystwo kobiece charakterem i szlachetnością postępowania. Tak jak w początkach nie chciała zdradzić męża i domagała się od króla przyrzeczeń zaślubienia na piśmie; tak potem nie dopuściła się przeniewierstwa, będąc nieustannie zdradzana. Ciągłe powtarzania iż się uważała za żonę króla, nie kochankę, do rozpaczy doprowadzało te panie.

A im dłużej pracowały naprzóżno, tém rosły gniewy, niecierpliwość, zawziętość. Jątrono więc Flemminga, a w pomoc mu stawali Fürstemberg, i ten którego Cosel uważała za przyjaciela, którego nie lękała się wcale i ufała mu, Vitzthum nawet, ostatni był przez żonę, której ulegał popchniętym i więcej przez lekkomyślność niż przez niechęć, zaciągnął się do szeregu przeciwników hrabiny Cosel.

Plan był ułożony. Należało tylko znaleźć piękną twardzyczkę, którą niezrażona losem swych poprzedniczek, chciała chwilowo zająć smutne, upokarzające miejsce u boku Augusta II. Znano króla że zalotności ulegnie, ale ociężałemu nieco

trzeba było oszczędzić pół drogi, wyszukać pięknej pani, która-by pierwsza wyzwała go do zalotów. Rozesłano na wszystkie strony na zwiady.

XV.

Gdy król August zabawiał się z obojętnością człowieka który wierzy w przeznaczenie, Karol XII także szedł naprzeciw zgotowanego mu losu. Z garścią ludzi wśród nieznanego mu kraju, rzucił się na nieznaną sobie potęgę i z mężstwem lwim, a nieopatrnością młodzieńczą stanął na polach pod Póltawą.

Bitwa ta o losach wielu krajów i ludzi rozstrzygnęła była stanowczo. Król August powracał z odwiedzin w Berlinie ciesząc się że nie został zwyciężonym przez dwór, który się wcale o przepych nie ubiegał, gdy z Polski od księżnej Teschen wysłany kuryer przywiózł mu pierwszy wieść szczęśliwą o pobiciu na głowę Karola XII. W pierwszej chwili król zdawał się osłupiały, rzekł się uroczyście polskiej korony a słowo swoje wyrzeczone w obliczu Europy chciał poszanować. W tym momencie wahania nadbiegł Flemming.

— N. Panie—zawołał—wymuszone orężem układy nie nie znaczą, potrzeba wrócić do Polski. Leszczyński nie jest królem, tysiące rąk znajdziesz na obronę praw swoich. Trzeba się zjawić tylko by zwyciężyć...

Tyłu ofiarami okupiona korona była ponętną dla Kurfirsta. Wiązały się z odzyskaniem jój plany monarchii dziedzicznej okupionej ofiarą prowincyj, któremiby usta zamknął za zdrosnym sąsiadom. Choćby z Rzeczypospolitej część tylko miała pozostać zlaną z Saksonią, stanowiła jeszcze wielkie państwo; odzyskać więc koronę należało bądź co bądź, aby ją z elekcyjnej na dziedziczną przerobić.

August przyznał z Flemmingiem że pokój i układy i zrzczenie się korony nie nie były warte, należało zebrać tylko ludzi i iść do Polski. Flemming i jego przyjaciele, dawni zwolennicy Sasa mieli mu dopomódz, nie wątpiono bynajmniej o szczęśliwem wyprawy powodzeniu... Z Polski przybyli w zaprosiny Denhoff marszałek konfederacji sandomierskiej i Szaniawski biskup kujawski. Z siostrzeńcem swym Fryderykiem

August miał czas w Dreźnie umówić się już przeciwko Szwedowi; Brandeburski Fryderyk nie był też przeciwko skojarzeniu się z saskim, za czém do niego król umyślnie jeździł i tak stanęła liga, którą później trzema spojonymi rękami trzech Fryderyków upamiętniły medale.

Mało miał czasu August zabawiać się w miłostki, gdy szło o odzyskanie korony. Za ledwie przybywszy do Dreznia otrzymał wiadomość o bitwie pod Póltawą, którą pierwszy drukiem ogłosić kazał, pobiegł do sprzymierzeńca pruskiego aby z nim pomówić o warunki. W czasie krótkiego pobytu w Dreźnie, Cosel za ledwie przywitał i pożegnał. Tu stały rzeczy gorzej niż kiedy. Flemming czuł się silnym wypadkami. Hrabina posyłała doń kilkakroć z żądaniami różnemi w czasie niebytności króla, odpowiedzię kazał ze nie myśli ich spełniać i że ma co ważniejszego do czynienia. List ostry od Cosel zdarł w oczach posłańca i podeptał, rozkazując powiedzieć téj co go pisała że się jej skarg i groźb nie lęka. Były to bolesne wyzywania, których Anna ścierpieć nie mogła. Drugiego czy trzeciego dnia potem, gdy Flemming konno jadąc spotkał ją przy zamkowej ulicy, a konia wstrzymać był zmuszony, Cosel wychyliła się z powozu i rada ze zřeczności, pięścią mu grożąc, zawołała:

— Powinieneś pan pamiętać generale kim ty jesteś, a kim ja! Waćpan jesteś sługą króla, który spełniasz rozkazy; jam tu panią: chcesz waćpan wojny ze mną, przyrzekam że ją mieć będziesz.

Flemming rośmiał się z pozorną grzecznością, rękę do kapelusza przykładając.

— Nie toczę wojen z kobietami—zawołał—a czynię to co mi dobro mojego pana nakazuje; ani się myślę kłaniać, ani kobiécym ulegać kaprysom.

Z okna karety posypały się wyrazy nie pohamowanego gniewu. Flemming nie zważając na nie, konia spiał i ani patrząc na hrabinę pojechał dalej. Przyczém ludzie wojskowi będący przy Flemmingu, znieważyli ludzi hrabinę; Zaklika się już brał do szabli i byłoby przyszło może do krwi, gdyby rozumniejszy ktoś ze dworu króla nie wpadł między nich i Fleminga słuźby nie rozpędził.

Rozpoczęła się tedy wojna na dobre, Cosel płacząc z gniewu czekała na króla.

Nadjechał August rano bardzo, a na drodze znać już wiedział co zaszło, bo gdy Flemming przyrzedł doń z raportami, rzekł mu:

— Że téż wy, stary żołnierz i dyplomata z jedną kobietą w zgodzie żyć nie umiecie.

— Przepraszam N. Panie—zawołał generał—żyję z wiewą w najlepszej, ale z temi co się za boginie i królowe mają, nie umiem w istocie. Ta kobiéta rujnuje kraj! ma fantazyje dziwaczne... i żadnej zasługi uszanować nie umię.

— Ale tę kobietę ja kocham i wymagam dla nięj poszanowania.

— Nikt jęj nieuchybiał, dopóki sama nie rozpoczęła obelżywie ze wszystkiemi się obchodzić.

Król zmilczał, Flemming rzekł w poufalszym tonie:

— Zjé Saksonię i Polskę i jeszcze głodną będzie, dziki umysł, nienasycona pycha i chciwość. Jeżeli W. Kr. Mość słabym dla nięj jesteś, my co tron otaczamy mamy obowiązek wyzwolić ją z tych więzów.

August zagadał o czém inném. Po krótkiej naradzie poszedł do Cosel; ta go oczekiwała, ale z wybuchem gniewu i wyrzutami, czego August nie lubił.

W progę już z płaczem rzuciła się ku niemu.

— Królu mój, panie! ratuj! Flemming się obchodzi zemną jakbym była najostatniejszą z kobiet. Lży mnie publicznie, listy które piszę drze i rzuca pod nogi; oświadcza się że mnie ztąd wygna: wystawia na pośmiewisko. Wybieraj królu: albo ja lub on ustąpić musimy.

August ze śmiechem ją uścisnął.

— Uspokój się hrabino, za żywo rzeczy bierzesz; Flemming mi w téj chwili potrzebny, muszę go oszczędzać.

— A ja?—zapytała Cosel.

— A! wiesz przecie że bez ciebie niéma dla mnie życia, ale jeśli mnie kochasz, coś przecie mi powinnaś poświęcić.

— Wszystko, oprócz czci méj—zawołała Cosel.

— Z Flemmingiem trzeba się zgodzić.

— Nigdy!

— On cię przeprosi.

— Ja nie żądam tego, chcę być wolną od widzenia tego człowieka.

August wziął ją za rękę.

— Moja kochana Cosel — odezwał się zimno — dziś chcesz być wolną od Flemminga, jutro toż samo będzie z Fürstembergiem, a gdy ich wypędzę, z Pflugiem i z Vitzthumem: z nikim żyć nie umiesz.

— Bo nikt prócz ciebie, N. Panie, nie sprzyja mi na dworze: wszyscy są nieprzyjaciołmi mojemu.

Zaczęła płakać, król zadzwonił i mimo protestów gospodyni, rozkazał zawołać generała Flemminga.

Dobra chwila upłynęła w milczeniu i dąsach, Cosel chodziła gniewna po sali nim generał nadszedł. Wchodząc wcale się nie skłonił gospodyni, zwrócił się do króla.

Cosel tyłem do niego stojąc cała w płomieniach, ledwie się pohamować mogła.

— Mój Flemming, jak mnie kochasz — odezwał się August — wiesz jak ja w mojem gospodarstwie nie cierpię waśni, przebłagaj piękną hrabinę i podajcie sobie ręce.

— Nigdy w świecie! — przerwała Cosel — nie podam ręki nikiemnemu dworakowi, który się ważył chybić bezbronnej kobiecie.

— Nie lękaj się pani — zawołał Flemming — ja też żołnierskiej dłoni nie myślę jęj narzucać: kłamać nie umiem, a przepraszać nie będę.

Król wstał gniewny.

— Generale uczynisz to dla mnie.

— Ani nawet dla was, N. Panie. Jeśli ci się podoba, rzućam służbę.

— Waćpan jesteś podły, jesteś nikiemny — zakrzyczała zapominając się Cosel — łaski N. Pana uzuchwaliły cię... lecz z Drezna nie daleko chwała Bogu, do Königsteinu.

— Cosel, na miłość Boga! — przerwał August.

— N. Panie, pozwól mi także być szczerą, i ja kłamać nie umiem... powiem mu w oczy co o nim trzymam. Zapowiedział mi wojnę, ja mu ją wypowiadam.

— Z panią hrabiną wojować nie myślę—rzekł Fleming—mam coś lepszego do czynienia. Miłość dla króla zmusza mnie w istocie do wypowiedzenia jęj wojny, bo pani kraj niszczyz i byłoby z czego wojsko wystawić, koronę odzyskać, gdyby waćpani zbytki ukrócić.

— Flemming, zapominasz się!—zawołał August, który całej těj wyrazów szermierki słuchał bez wstrętu, pomimo że ją niby zahamować usiłował.

— Idź waćpań precz z mego domu!—krzyknęła Cosel tupiąc nogą.

— Dom to nie jest wasz i niéma tu ani jednėj rzeczy któraby do nięj należała; jestto pałac króla pana mego, a ja bez jego rozkazu nie wyjdę—odparł Fleming.

Cosel zaczęła płakać szarpiąc suknię na sobie.

— Widzisz królu, słyszysz, na to ja zesłam, że mnie w oczach twych lada słuzałec, najemnik bezcześci, a ty stoisz niemy, obojętny, nie umięjąc ani mnie obronić, ni mnie pomścić.

Załamala ręce. Król łagodnie i spokojnie podstąpił do Flemminga.

— Panie generale—rzekł—ja cię proszę o zgodę, to nie-żnośne. Oboje mi jesteście drodzy, potrzebni. Mamże ja cierpieć za waszą popędlivość?

— W. Kr. Mość nie potrzebujesz ani słuchać, ani patrzeć na to; zostawić możesz sprawę naszą nam samym: los ją rozstrzygnie wkrótce.

Wyczerpawszy wszystko co tylko mogła powiedzić, Cosel rzuciła się na kanapę z oznakami gniewu. Król nie widząc środka ani uspokojenia rozgniewanego także i trzęsącego się Flemminga, ani złagodzenia rozjątrzenia hrabinęj, podał rękę generałowi i odprowadził go do drzwi.

Nim wyszedł Fleming okiem pełném zemsty i groźb rzucił na hrabinę, któręj wejrzenie odpowiedziało mu takimiż obietnicami. August zaczął się przechadzać po sali zamyślny, znać było jednak że zajęty może sprawami ważniejszemi, całej těj kłótni nie brał tak bardzo do serca.

Cosel i ku niemu wejrzała okiem, w którém wyrzuty gorzały.

— A! królu — rzekła — na tom ja zesła, na to, aby mnie twoja służba w oczach twych obrzucała takimi wyrazami! To mój los. Flemming poszedł szydzić z tój którą wybrałaś, którą mówisz że kochasz... i ja słabszą jestem od niego.

— Kochana hrabino — odpowiedział król spokojnie — wszystko co mówisz dowodzi tylko że mego nie znasz położenia. Flemming w tej chwili jest jak prawa ręka potrzebny w Polsce; zrazić jego dla siebie, jest wyrzec się korony. Tego po mnie wymagać nie możesz i tego ja jako król nie uczynię. Przekonałaś się że nie odmawiam ci ani najwyższej chęci, ani miłości, ani ofiar... ale wszystko ma granice. Wprzódym nim kochankiem zostałem Cosel, byłem królem.

Namarszczona, straszna, wściekła, Cosel rzuciła się do Augusta.

— Kochankiem! Mam przecie na piśmie przyrzeczenie twe: ja nie jestem kochanką, ja drugą żoną twą jestem.

Skrzywił się August.

— Tém więcej interesów moich, korony mój i czci strzedz pani powinnaś.

Gniew się we łzach znowu rozplynął. August kilka razy spójrzył na zegarek.

— Nie jestem panem czasu mego — rzekł — tysiące spraw na mojej głowie. Muszę wkrótce jechać do Polski. Kochana hrabino, uspokój się, Flemming jest porywczy, ale mnie kocha i robi to co mu każe...

Na tę obietnicę Cosel nic nie odpowiedziała, chmurna, w milczeniu podała dłoń królowi: August wyszedł.

Wkrótce po tój scenie, mowa już była o wyjeździe do Polski. Hrabina która zwykle towarzyszyła wszędzie królowi, tym razem dla słabości, udać się z nim w tę podróż nie mogła.

Wiedziała dobrze jakie jój tam groziło niebezpieczeństwo. Król mógł znaleźć w Warszawie księżnę Teschen, chociaż najmniej powrotu do dawnych stosunków lękać się było można, bo w życiu Augusta, taka zgoda była bezprzykładną, i to ją drażniło. Więcej trwożyła się o kobiety inne, które nieprzyjacielem jój mogli królowi stręczyć, aby go od niej odciągnąć.

Król jakby dla oszczędzenia walk i sporów hrabinie, brał z sobą do Warszawy Flemminga. Kto wie czyby nie wolała

mieć go tu w Dreźnie prześladowcą, niż przy boku króla nieustannym podszezuwaczem i wrogiem: nie było jednak środka zapobieżenia temu.

Krół dosyć czułym był do ostatniej chwili rozstania, a zapewniał że najsurowsze wyda rozkazy Fürstembergowi, aby się dla niej jak najwzględniej zachowywał. Dla złagodzenia gniewu przypomniał jej z uśmiechem, że przecież mogła się uważać za zwyciężką, gdy przeciw woli i stręczeniu Flemminga chcącemu narzucić mu Wackerbarth'a, na jej prośbę baronowi Löwendahl, krewnemu Cosel przez żonę, dał wielkie marszałkostwo dworu po Pflugu. To właśnie obudzało postrach i gniew Flemminga.

Cała klika nieprzyjazna hr. Cosel na wieść iż Flemming towarzyszy królowi, że hrabina zostaje, przyklasnęła z radością, czując że się rzeczy zmienić muszą, że wpływ Flemminga i jego intryga, starania Przebendowskięj, muszą kogoś w miejscu Cosel postawić. Upadek jej był już przewidziany.

Baron Löwendahl, który winien był wyniesienie się swe kuzynce, wcale nie obiecywał jej zawdzięczyć za to. Szło mu o utrzymanie się na dworze i w łaskach; czuł że Cosel traciła wpływ, rychło więc chwycił się strony tych, którzy go popierać mogli. Zguba hrabiny była już poprzysiężoną, gdy ona jeszcze ani się jej domyślała, ani chciała przypuścić, aby król po najuroczystszych przyrzeczeniach, po tylu latach pożycia, mógł ją tak zdradzić jak inne.

Gdy przyjazny jej baron Haxthausen, jedyny człowiek który jej dobrze życzył i w przyjaźni został wiernym, stawiał jej przykłady Aurory Königsmarck i księżny Teschen, których dzieci także zostały uznane, co nie przeszkodziło rozstać się z matkami, Cosel kazała mu mileżeć.

— Teschen i Königsmarck były kochankami króla; ja mam od niego przyrzeczenie ożenienia: ja jestem żoną jego.

Jeszcze przed odjazdem Augusta do Warszawy, hrabina dostrzedz mogła jak liczny niegdyś dwór jej, przyjaciele, goście, opuszczali pałac czterech pór roku. Pustki w nim były teraz. Wymawiano się różnie, nikt nie śmiał jawnie zrywać: usuwali się wszyscy.

Jedna zjadliwa Glasenapp, która ztąd wynosiła plotki, powtarzała wyraz każdy, umiała ze słowa wysnuć to, czego w niem nie było, gościła tu najczęściej. Znając jej charakter, ostrzegano hrabinę.

— Znam ją—odpowiadała—wiem jaką jest, ale cóż mi ona szkodzić może? co wyszpiguje u mnie? Moje postępowanie nie lęka się ani szpiegów, ani potwarzy... nie taję się z niczem, nie potrzebuję ukrywać.

Nigdy może słodszy, miłszy, czulszy nie był August jak przy pożegnaniu z hrabiną. Cały dzień spędzili razem. Cosel już wyjeżdżać nie mogła, ani mu towarzyszyć, osłabienie czyniło ją smutną, gniewy i porywczosć ustąpiły; była więcéj kobietą słabą, pragnącą wspomnieniami serce do litości pobudzić.

Z Augustem wszakże najmylniejszy to był rachunek. Urokiem dłań były: żywość, wesołość, śmiałość, śmiech, zazdrość, zuchwalstwo: wszystko co na zmysły działało; uczucie dłań było rzeczą nieznaną; odgrywał je czasami, nie miał go nigdy. Po najczulszych z paniami rozmowach, których Vitzthum nie raz bywał świadkiem, za drzwiami śmiał się z nim zeswych frazesów i galanteryj, w najcyniczniejszy sposób.

Rozczulić go chcieć, było najpewniejszym sposobem odstręczenia i znudzenia. Cosel czuła w sercu nieopisaną trwogę: chwyciła za ręce króla, całowała je, oblewała łzami prosząc aby się nie oddalał, aby o niej nie zapominał: August odpowiadał wyszukanemi wyrazy, ale z tych wonnych oświadczeń wiał chłód trupi.

Był to koniec długiego kilkoletniego szału, z którego ostygli oboje. Lecz w kobiecie zostało przywiązanie, wdzięczność, pamięć, czułość: w królu panowało znużenie. Zamiast się litować jej smutkowi, rad był uciec od niego; lzy go niecierpliwiły, nudziła boleść, wymówki mężczyły.

Cosel nie umiała już być wesołą i trzpiotowatą jak niegdys, gdy z nim razem dosiadała konia, dojeżdżała jelenia, bawiła się dobijając kordelasem dzikiego zwierza, lub strzelała do tarczy o lepszą.

Wdzięk jej nie zmienił się wcale, lecz w oczach króla spowzedniała. Cosel miała ten rodzaj najrzadszej piękności, któ-

ra się nawet czasowi opiera, której ból nie może zetrzeć, wiek nie odejmuje blasku, łzy nie gaszą; lecz dziś ani czarodziej-skie oczów wejrzenie, ani uśmiech co do stóp jej ciągnął, nie miały władzy nad Augustem. Oczy te straciły moc swoją, uśmiech ponętę: kochanka stała się pospolitą kobietą, bo urok nowości i niespodzianki ją opuścił.

Zbyt też zajmowały Augusta układy polityczne, odzyskanie korony, jednanie sobie zwolenników, zapewnienie sprzymierzeńców, ubezpieczenie na tronie, ażeby mógł myśleć w chwilach spoczynku o czém inném jak o rozrywce.

Przyszła godzina rozstania: Cosel płakała, król pocieszał, zapewniał ją o wydanych Fürstembergowi rozkazach; zaprzysięgał wierność niezłomną i zniknął.

Nigdy hrabianina nie uczuła tak mocno samotności jaka ją otoczyła, nigdy się też ona nie objawiła tak zastraszającą, tak znaczenia pełną jak teraz. Po wyjeździe króla, pałac około którego stały tłumy, przedpokoje w których o miejsce było trudno; wieczory na które się cisnęli wszyscy i mieli za szczęście być przyjętymi, wszystko to stało pustką: Cosel nie miała nikogo.

W dzień przylatywała rozstrzepana, złośliwa i gadatliwa Glasenapp, na obiad przychodził poważny Haxthausen. Wśród dnia u progu zjawilo się kilku biedaków z prośbami, którzy zasłyszeli o potęgę hrabiny, a nie wiedzieli o jej zachwianiu.

Nic nie brakło napozór, przecież już tu czuć było ruinę. Pierwszych dni każdy posłaniec przynosił listy królewskie i każdy je wiozł do niego. Ani się domyślała Cosel że nim wyszły, rozpiecętowywano je w kancelaryi księcia Fürstemberga i wysyłano pod kopertą Flemminga, aby w nich wybór mógł uczynić: król nazbyt był zajęty, żeby się o nie dopytywał.

Z cizby przyjaciół został jeden może najwierniejszym, a ten nosił suknię i imię sługi. Był nim Rajmund Zaklika, który ze swą panią przeżył i przebolewał wszystkie jej losy... któremu nieraz ręka drżała chcąc chwycić za gardło zuchwalca, co śmiał hrabinę obrażać; trzeba było tylko skinienia jej, by z rąk tych olbrzyma wyszedł żywym ten, kogoby one ujęły...

Kilka razy spojrzawszy nań w chwilach stanowczych, Cosel znajdowała go tak strasznym, tak wzburzonym, iż go powstrzymywać musiała.

Zaklika nie miał prawa ani się nawet odezwać z tém co czuł, lecz Cosel go rozumiała i wiedziała bardzo dobrze iż nań rachować mogła. Gdyby mu kazała zabić Flemminga, byłby z najzimniejszą krwią dopełnił rozkazu i bez jęknięcia poszedł na szubienicę. W jego oczach była ona zawsze tą samą świetną gwiazdą, którą raz piérwszy zobaczył błyszczącą z między gałęzi starych lip w Laubegaście. Owszem, stawała się dlań piękniejszą coraz, i całém szczęściem jego było, że na nią kilka razy na dzień mógł popatrzeć.

Tak smutno i milcząco było w Dreźnie, gdy król pędził wesół i najlepszych pełen nadziei do Warszawy. Flemming był z nim, a pani podskarbina Przebendowska go poprzedziła.

Nie tajono się z tém wcale, iż w Warszawie miano dla króla wyszukać nowęj pani. Nie wymagano od niéj wiele: ani tak niebezpiecznego wdzięku jaki miała Cosel, bo ten groził zbyt długim i stałym przywiązaniem, ani wielkiego dowcipu, bo królowi dosyć było wesołości i trzpiotowstwa, coby go zabawić mogło; ani serca, bo król tylko przedwstępne sceny odegrywał z tego tonu. Dosyć było trochę młodości, śmiałości wiele, zalotności któraby się narzuciła, imienia i wychowania, aby one przynajmniej z Cosel ważyć się mogły...

Z temi instrukcjami wyjechała pani podskarbina do Polski, a w Warszawie nie brakło jéj w czém wybierać. Serdeczna przyjaźń łączyła kuzynkę Flemminga z marszałkową Bielińską, której dwie córki W. podkomorzyna litewska Marya Denhoffowa i hetmanowa Pocijowa, miały dosyć wdzięku i dosyć lekkości, aby je w liczbie kandydatek śmiało można pomieścić.

Piérwszego zaraz dnia pojechała pani podskarbina do przyjaciółki. Bielińska przyjęła ją z czułością wielką. Znała jéj wpływ na Flemminga, a jego władzę nad królem; podskarbinéj służyło wszystko, co się starało o łaski pana.

Do narady poufnéj nie mogła użyć nikogo, coby ją lepiéj zrozumiał i chciał jéj usłużyć, nad w. marszałkową.

— Serce moje—rzekła—przybyłam z wielą kłopotami na głowie, sądę że mi w nich będziesz pomocą.

— Podzielę je z tobą chętnie—odpowiedziała marszałkowa...

— Z królem mamy biędę.—szepnęła Przebendowska — zakochał się i dał opanować kobiecie, która już od lat kilku nim włada.

— Komuż to mówisz, znam tę Cosel!—przerwała Biełńska.—A czemuż się król Teschen nie trzymał?

— Dlatego że on żadnej długo nie może być wiernym. Cosel musimy się pozbyć, a w jej miejsce dać mu inną. Król jest znudzony.

Marszałkowa zamyśliła się mocno.

— Znaleźć łatwo—odpowiedziała—lecz jakże ostrożnie być należy, aby w nowe nie wpadł więzy.

Pani Przebendowska została u przyjaciółki na obiedzie. Obie córki marszałkowej nań przybyły, obiedwie były młode i ładne. Pociejowa maleńka, zwinna, słabiutka się wydawała, ale z oczów jej ogień tryskał. z ust dobywały się wybuchy śmiechu. Denhoffowa niewielkiego wzrostu, zręczna, udawała melancholiczną, chociaż podszyta była trzpiotem i ta powaga przybrana źle pokrywała charakter płochy, żądzą życia i używania niezmierną.

O obu tych paniach już naówczas szeptano sobie na ucho historye, które tylko za czasów Augusta w Polsce, pod wrażeniem przykładów jakie miano przed oczyma, prawdopodobnie się stawały. Z oczów Denhoffowej patrzył dowcip i złośliwość, ale przysłonięta skromnością tak przesadzoną, iż się podejrzaną stawała.

P. Przebendowska mówiła o rzeczach obojętnych nie spuszczać z oka obu pięknych sąsiadek. Ciekawie dopytywało o króla... P. Pociejowa przypominała sobie jakiegoś hrabię Friesena... Mówiono coś i o Cosel, ale pocichu. Po obiedzie młode panie wyrwały się z młodzieżą na konną przejażdżkę, gdyż obiedwie namiętnie lubiły hasać i dokazywać na koniach: panie starsze zostały same.

Przebendowskiej nie tajnym był zły stan interesów marszałkowej... To téż zaraz nad nim utyskiwać zaczęła... Wzdychały obie.

Marszałkowa zbliżyła się poufnie, biorąc za rękę przyjaciółkę.

— Proszę cię, widziałas córki moje? Marynia wcale jest świeża i ładna, serce ma dobre... potulna, łatwa... Jak ci się z twarzy podoba?

— Bardzo wdzięczny ma buziaczek — rzekła Przebendowska.

— Hetmanowa jój nie ustąpi, ale to żywe srebro... jak ją widzisz drobną, słabiuchną, napozór... to kozak prawdziwy...

Podskarbina myślała coś, gdy marszałkowa zniżając głos dodała:

— Przeciężemy przyjaciółkami od dzieciństwa, moja najdroższa,—rzekła z wynurzeniem.—Jeśli już ktoś ma być tak szczęśliwy że króla mieć będzie kochankiem... czemużby mu choć nie pokazać Marysi?

— Nie sądziłam ażebyś tego sobie życzyła?

— Dlaczego? Denhoff smutny małżonek i nie młody, jest z nim najnieszczęśliwszą... Jeśli króla rywalem mieć nie zechce... Marynia się rozwiedzie...

— Ale czy ona zechce?

— Ja ją skłonię! ja ją zmuszę!—odezwała się troskliwa matka.—Dla nas byłoby to prawdziwém szczęściem. Interesa nasze w najgorszym stanie... Uchowaj Boże co na mojego męża, runie wszystko...

Pani Przebendowska ani obiecywała, ani odmawiała.

— Obaczymy—dodała—obaczymy... Nie trzeba nic mówić Marysi, póki nie zmiarkujemy czy się królowi podoba. Cosel była porywczą i zazdrosną, po niej potrzeba mu istoty łagodnej, wesołej, potulnej.

— Nie znajdzie nic stosowniejszego nad moją Marynię, ręczę ci!

Po długich szepciach i naradach, dwie przyjaciółki rozstały się w jak najlepszej zgodzie, a marszałkowa odprowadziła podskarbinę aż do powozu.

W kilka dni potem król i Flemming nadjechali. Przebendowska mieszkała w jednym domu z nim, mogli więc poufnie mówić tego wieczora i szepnęła mu o Denhoffowej.

Trochę skrzywił się generał, bo zasłyszał był coś o różnych dawniejszych trzpiotowstwach; ale czyż to być mogło zawadą?

— Królowi—rzekł—dosyć pokazać się umiejętnie, dość trochę wyzwać go zalotnie; znudzony jest: weźmie go która zechce. Żeby więc inna nie wzięła,.. trzeba mu tę nastreczyć.

Przebendowska opisała charakter i powierzchowność swęj protegowanej.

— Ale dasz się ona skłonić?—spytał Flemming.

— Gdyby to mogło być wątpliwem, mam matkę jako sprzymierzeńca—cicho odpowiedziała kuzynka.

Nazajutrz generał chciał poznać sam panią Denhoff nimby się coś postanowiło. Wieczorem zawiozła go siostra do marszałkowej. Bawiono do późna, Pocijowa i Denhoffowa śpiewały, ostatnia przybierała minki melancholiczne i smętne, potrzebującej pocieszenia nieszczęśliwej istoty. Flemmingowi się to nie podobało, bo i król w tém się nie kochał. Lecz po kilku dniach poszukiwań, wrócić musiano do Denhoffowej, znajdując ją mniej niebezpieczną niż inne. Nauczony doświadczeniem Flemming lękał się najwięcej ambicyi i chęci panowania. Denhoffowa płochą była, zalotną; lecz ani zazdrosną, ani marzącą o władzy: lubiła żyć.

Postanowiono próbę.

Flemming wszakże musiał się wprzód rozmówić z Vitzthumem. Uchodził on za przyjaciela Cosel, chociaż już staraniem żony znacznie był dla nięj ochłodł. Flemming miał przewagę wielką w sprawach kraju, ale tam gdzie szło o kobiety i rozrywki, Vitzthum przodował, król bez niego nie robił nic. Byli z sobą poufali: bez pomocy jego obejść się nie było można.

Generał przystąpił wprost do rzeczy.

— Cosel nam wszystkim dokuczyla, król nawet jest nią znudzony: trzeba mu dać inną.

— Jak się wam podoba—odezwał się Vitzthum z ukłosem—wiecie że ja się do tego nie mieszam, ani mu narzucam

jego ulubienic, ani go od nich odstręcam. Nie lubię palca kłaść między drzwi: dajcie mi pokój!

— A! to być nie może, wy musicie być z nami!—zawołał Flemming.

Nadchodząca Przebendowska usilnie téż nalegać zaczęła na Vitzthuma.

Nic nie pomogło.

— To nie moja rola,—odparł stanowczo—nie przeszkadzam, ale pomagać nie będę, mówię to stanowczo. Nie mogę wyjść z mojego obyczaju, nie mięszałem się nigdy do intryg, a dziś do nich jestem za stary.

— Jesteś przyjacielem Cosel—dodała Przebendowska.

— Ani przyjacielem jój ani wrogiem—śmiejąc się rzekł Vitzthum—jestem neutralnym i chcę nim pozostać.

Próżno Flemming zabiegał, podchlebiał, ośmielał: Vitzthum pozostał nie wzruszonym i odszedł nie pokonany.

Podskarbina znajdowała że się i bez niego obejść potrafi.

Nazajutrz u dworu zbliżyła się do króla, który ją dosyć lubił.

Miała twarz wesołą i figlarną.

— N. Panie, kolój podobno na Polskę?

— Jakto? kochana podskarbino?

— Po Lubomirskiej Cosel... po Cosel trzeba wybrać kogoś w Warszawie.

— Ale ja hrabinie Annie chcę zostać wiernym.

— W Dreźnie—odpowiedziała podskarbina—ale w Warszawie i gdy jój nie ma!

Król się uśmiechnął.

— Czyś się téż W. Kr. Mość w teatrze choć przypatrzył naszym paniom?—spytała.

— Nie dobrze...

— Więc ja się na jedną ośmielę zwrócić uwagę W. Kr. Mości: ładniejszej, miłszej, lepszej nad nią doprawdy tu nie ma... i śliczny buziaczek i młodziuchne to... i rączki ma bardzo ładne.

— Któż to taki?—zapytał król.

— Denhoffowa z domu Bielińska—szepnęła podskarbina—siostra hetmanowej Pocięjowej.

— Nie przypominam sobie bym ją widział—rzekł August—lecz jako wielbiciel wdzięków niewieścich, przyrzekam pani iż na pierwszych assablach postaram się o poznanie tak zachwycającej jak mi pani malujesz istoty.

— Zasluguje na to... przekonasz się W. Kr. Mość —dodała odchodząc pani podskarbina i wracając prędko.—Gdybyś W. Kr. Mość zaszczycił mnie jutro bytnością swoją na skromnej wieszce, możebym mu ją potrafiła zaprezentować.

Król August spojrział, a zdaje się że podskarbina nie dostrzegła wzroku jakim ją zmierzył; byłaby się może zarumieniła, tak widocznie szyderskie było to wejście, powiadające jej, że wie już wszystko i że daleko otwarciej mówiłby z nim można. Uśmiech przebiegł po ustach i znikł.

Tegoż samego dnia marszałkowa Bielińska posłała po córkę i zamknęła się z nią i z podskarbiną na godzin kilka. Gdy się rozchodziły Denhoffowa zmieszana była niezmiernie, ale szczęśliwa razem i trwożna. Zapominała się ciągle, szła, wracała, szeptała coś matce, nie trafiła zrazu do powozu. Widocznie straciła głowę. Matka musiała ją upominać aby starała się być panią siebie. Małeńka osóbką nawykła do poufalszego towarzystwa, w którym królowała, zawsze pewną będąc iż co uczyni podobać się musi, lękała się tych wielkich przyborów do nowego szczęścia, które się jej zdawało niepewnym. Nie sprzeciwiała się wcale woli matki, lecz tyle z tém było zachodu! a trzpiot ów tak nie lubił wielkich przyborów!!..

Przebendowska i Flemming jako brat i siostra, mieli jedno gospodarstwo. Generał w Polsce niemal wspaniałej jeszcze występował niż w Dreźnie, miał z sobą cały dwór, służbę, a potrzebując nieraz ugościć króla, wiedział że dlań wystąpić świetnie było koniecznym.

Skromna wieszce stała się balem bardzo wytwornym. Król wchodząc znalazł już piękne kobiet grono, wśród którego wystrojona i wylekła, zmieszana, onieśmielona, a nawet mniej pięknie niż zwykle wyglądająca siedziała pani Denhoffowa. Podskarbina tak ułożyła wszystko, że król zbliżywszy się do niej, rozpoczął rozmowę wesołą, która poszła dosyć źle. Uważano, że król wcale nie okazał żeby mu się owa piękność podobać miała.

Po wieczerzy zagrała muzyka, zaczęto tańczyć; król wziął ciągle jeszcze nie mogącą przyjść do siebie Denhoffową, która tańczyła niezręcznie, zmyliła się parę razy i zmieszana tém wydała się niekorzystnie.

Słowem wrażenie jakie zrobiła wcale nie odpowiadało temu co obiecywała Przebendowska.

Wieczorem król powracał do pałacu z Vitzthumem.

— Widziałeś—rzekł do niego—chcę mnie tu zbałamucić; ale dopóki tylko takie jak Denhoffowa będą tego próbować, hrabina Cosel nie ma się czego obawiać.

Vitzthum był w dobrym humorze.

— A! Najjaśniejszy Panie—odezwał się—nie idzie tu pewnie o zastąpienie hrabiny Cosel, która może zostać w Dreźnie, a p. Denhoff w Warszawie. W. Kr. Mość masz dwa domy i dwa państwa, jedno w Dreźnie, drugie tu; należałoby i wypada dla kompletu, mieć i dwie panie. Polacy jak słyszą, skarżą się iż im się krzywda dzieje przez Cosel, chcieliby abyś W. K. Mość, kogoś téż tu sobie upatrzył. Gdyby Polka wyłącznie miała zawładnąć sercem, skarżyliby się Sasi; trzeba więc serce rozdzielić na dwoje i pół roku kochać w Saksonii, pół w Polsce, aby dwa kraje zadowolnić.

Król się śmiał.

— Żartuj sobie—rzekł—dobrze ci będąc spokojnym, a ja przez każdego posłańca odbieram list z wyrzutami, a tu z drugiej strony kuszą mnie... i nie wiem co z sobą zrobić.

— Niech sobie krzyczą—odparł Vitzthum—a król powinien tylko to robić co mu się podoba.

Na to nie trzeba było namawiać Augusta. Ze strony marszałkowej, gdy raz odkryła się możność ściągnięcia króla, nic nie zostało zaniedbaném. Nazajutrz proszono na wieczerzę króla z makém towarzystwem poufałych. Pani Denhoff z siostrą zabawiły go śpiewem przy klawicymbale, i dość szczęśliwie powiodła się scena z Atysa i Sangardy.

Denhoffowa ośmieloną była i szła za radą podskarbinę, która zaleciła jęj, żeby sama króla wyzwalała nieco; śpiewając swą aryę oczów nie spuszczała z niego, tak że czułe wyrazy pieśni zdawały się ku niemu skierowane. Król lubił być wyzywany, rozczulać się począł, przystąpił i nie skąpił słówek

miłych, na które Denhoffowa tylko spojrzzeniami omdlewającemi odpowiadała. Usłużna matka, śmielsza siostra mówiły za nią i tłumaczyły, tak że król otoczony niemi zdawał się ze wszystkimi trzema romans rozpoczynać. Wzięto się doń natarczywie. Nie było ceremonii, pani Bielińska naprowadzała rozmowę na wesołe przedmioty i królowi dom się podobał. Zacząwszy bywać, powoli nawykł do oczów pani Denhoff, które od jego wejrzeń nie stroniły i zakochał się o tyle, o ile August mógł się kochać. Pani Przebendowska, cierpiąca zawsze, mogła już dokonawszy wielkiego tego dzieła, położyć się w łóżko i spoczywać.

Król odbierał ciągłe listy od Cosel, której umyślnie donoszono o wszystkiem; listy pełne goryczy i wymówek, na które odpowiadał zrazu pilnie, później coraz rzadziej, grzecznościami i zapewnieniami.

Z nich już mogła się ona przekonać że na serce króla rachować było złudzeniem, liczyła na jego przyrzeczenia, zobowiązania, na słowo... I ta rachuba zawięść ją miała.

W rozmowach z Vitzthumem król okazywał zniecierpliwienie, przebijała się w nim chęć uwolnienia z więzów hrabiny Cosel, której się obawiał. Flemming przeczuł to.

Jednego wieczora przy winie, gdy król począł wdychać, rozśmiał się:

— Miałbym ochotę—odezwał się—przypomnieć N. Panu stare dzieje; służą one czasem na pożytek nowym.

— Naprzykład?—spytał August.

— Onego czasu—począł Flemming—elektor saski, nim jeszcze poznał piękną Aurorę, pokochał córkę Schöninga, wspomniała Rechenberg. Dokuczyla mu ona wkrótce, trzeba się pozbyć jęj było. Naówczas elektor saski prosił o przyjacielską usługę kanclerza Beichlinga. Beichling rozpoczął romans z Rechenbergową i króla ze szpon puściła...

— Chciałbyś tego samego środka użyć z hr. Cosel?—spytał król—wątpię żeby się powiodł.

— Dlaczegożby choć nie spróbować?..

— Kogóż chcesz nią uszczęśliwić?—dodał August...

— Wybór zostawiłbym przenikliwości W. Kr. Mości,
—rzekł Flemming.

Przechadzając się po pokoju milczał król i uśmiechał się szydersko.

— Wybór to trudny, bo Cosel mało ma znajomych, co by się nawet zbliżyć do niej ośmielili. Trzebaby użyć barona Löwendha'a, który jako krewny i protegowany ma łatwy przystęp. Gdybym mógł jej zdradę zarzucić, miałbym wyborny pozór do zerwania.

— Spróbuję użyć Löwendha'a — szepnął generał. — Wprawdzie zawdzięcza jej wiele, lecz więcej jeszcze winien królowi, a idzie mu o to, żeby upadek Cosel, jego nie pociągnął za sobą.

— Zrobi co mu się poleci...

W skutek tego pięknego planu poszedł list do Drezna, polecający Löwendha'owi, aby usiłował hr. Cosel skompromitować. Dawano mu do zrozumienia, iż w ten sposób przysługę uczyni osobie, która się za to potrafi wywdzięczyć. Takich to środków zacni ludzie owéj epoki nie wahali się używać, gdy im szło o dogodzenie fantazyom, o spełnienie planów, o wyniesienie się i zemstę.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

Ż Y D WIECZNY TUŁACZ.

LEGENDA ŚREDNIOWIECZNA.

Opowiedział i krytycznie rozebrał

Jan Karłowicz.

II. Krytyka i obrobienie legendy.

Quid est veritas?

Zebrawszy skrzętnie wszystkie wzmianki o naszym bohaterze, ile wiadomości nasze sięgały od czasów pierwszego pojawienia się legendy o nim w kronikach średniowiecznych, musimy teraz spojrzeć krytycznie na ten materiał, o ile obfity, o tyle chaotyczny i wiele zawierający sprzeczności. Lecz zanim własne o naturze i istocie legendy wypowiemy zdanie, przejrzyjmy wprzód w porządku chronologicznym opinie tych, którzy o Żydzie wzmiankowali lub rozprawiali.

W wiekach średnich a nawet w XVI i XVII przyjmowano legendę tę z dobrą, powiedźmy raczej łatwą wiarą i nie wątpiono o istnieniu Żyda; owszem starano się wyciągnąć z podań o nim i z wyznań jego samego pewne wnioski dziejowe i moralne; uważano powieść o Ahaswerze za jeden z dowodów a jego samego za świadka początkowych dziejów chrześcijaństwa, nie wątpiąc zaś o rzetelności istnienia jego, usiłowano legendę o nim godzić z tekstami Biblii, niemi ją nawet upowodować i podtrzymać. Z jednej przeto strony popierano słowami Ewangelii realność osobistości Żyda Wiecznego, z drugiej odwrotnie szukano w tój realności podpory dla Pisma Świętego, chrześcijaństwa i ściśle z nią połączonęj etyki chrześcijańskięj.

Tak tedy Mateusz Paris, jak już widzieliśmy korzysta z podobnie brzmiących słów Ewangelii, wcale zresztą nie do Żyda Tułacza powie-

dzianych: „Syn człowieczy idzie, ty zaś czekać będziesz drugiego przyjścia mojego,“ aby niemi wzmocnić prawdziwość wyrzeczenia Pana Jezusa do odźwiernego, który Go znieważył. Gotowy ma werset psalmu o orle na wyjaśnienie feniksego odradzania się wiecznego wędrowca. Odwrotnie zaś wyciąga ze słów Kartafilusa dowód prawdziwości podań o Arce Noego i t. p. Podobnie i autor listu z Rewla, który przywieśliśmy, kładzie na czele pisemka swojego tekst z św. Matensza, przepowiadający niektórym nieśmiertelność aż do powtórnego przyjścia Chrystusa; nie wątpi iż Pan Bóg, z Żyda Tułacza uczynił świadka męki Syna swojego i przeznaczył mu przedłużenie życia aż do dnia sądnego. Poeta francuzki w pieśni o Żydzie, którąśmy wspomnieli, wkłada również w usta jego domysł, iż go Bóg uczynił świadectwem męki Pańskiej aż do końca świata. Droscher w końcu XVII w. uważa także Ahaswera za niewątpliwie żyjącego świadka początków chrześcijaństwa i dodaje mu nadto sobowtóra w osobie Kartafilusa. Uчені angielscy dowiadują się od Żyda Tułacza szczegółów o Mahomecie, Neronie, Tamerlanie i t. d., a pewna broszura niemiecka w r. 1697 drukowana w Wolfenbüttel umieszcza go w rzędzie innych świadectw o kolébce chrześcijaństwa jak ustęp z Suidasa, list Lentulusa do rady rzymskiej, Piłata do Tyberyusza i t. p.

Reformacja a głównie racjonalizm XVIII wieku zrobiły przewrót w zapatrywaniu się na podania i legendy. Pod koniec ostatniego przed naszym stuleciem zapanował ewhemeryzm, czyli metoda wyjaśniania osobistości i rysów mitycznych drogą historyczną; istoty nadludzkie sprowadzano z właściwych im sfer wyobraźni w zakres czysto ludzkich warunków, przypisywano im człowiecze cele i namiętności i kazano być bohaterami dziejów rzeczywistych, a nie mogąc pojąć ani ocenić idealnych obsłonek jakimi ich legendy wieków osnuły, zdzierano Nielitościwie i z pewnym pesymizmem szaty fantastyczne. Później nastąpiło oddziaływanie spirytualizmu, a pod wpływem jego zakwitła szkoła symboliczna, upatrująca w każdym podaniu jakąś ukrytą myśl moralną lub filozoficzną; takie zapatrywanie się na twory wyobraźni ludowej trwa przeważnie aż do dziś dnia.

Zobaczmy niżej, jak pod wpływem ewhemerycznej metody Göthe ułożył sobie poemat o Żydzie Tułacz; lecz że ani temu wieszczowi, ani innym nie chodziło o krytykę, ale o artystyczne ukształtowanie legendy, opuszczamy tymczasem jego poglądy, gdyż zamiarem naszym jest rozpatrzeć: w jaki sposób właściwa analiza mitologiczna nad tą legendą operowała.

Głośny swojego czasu krytyk niemiecki Wolfgang Menzel uważał całe podanie o Żydzie Tułacz za allegoryę, przeprowadził bardzo misterną paralelę tej legendy z podaniem o Fauście: Ahaswerus zdaniem jego jest wcieleniem świata żydowskiego, który za odrzucenie Mesjasza żyje w rozproszeniu bez ojczyzny, ponosząc karę w prorocत्वach przepowiedzianą; Faust zaś odbija w sobie świat pogański, zbudzony magicznym zaklęciem, niby upiór z grobu. Obaj chcieliby się wcisnąć do świa-

ta chrześcijańskiego, lecz nadaremnie wzdychają: jednemu śmierć odmawia swęj nicości i zabrania pogrześ w niepamięci straszliwęj zbrodni; drugi przeciwnie chciałby się odrodzić, żyć i używać, ale z piérwszém świtanie m słońca bożego musi się w proch i zgniliznę rozsypywać (Deutsche Dichtung, T. II str. 203).

Francuz Lacroix, znany z nader cennych prac starożytniczych, literat społeczny, kryjący się zwykle pod przybraném imieniem Jacob Bibliophile, w piśmie na czele artykułu tego przywiedzioném, zastanawiając się nad naszą legendą przechyla się także do allegorycznego jęj tłumaczenia; mniema iż przed XIII wiekiem znaną już była w Europie, a szczególnie w marzyielskich Niemczech; że źródła jęj szukać należy w allegoryi wymyślonęj przez jakiegoś średniowiecznego kaznodzieję, lub raczej poetę, dla nosobienia losów tulaczego ludu żydowskiego; że wyrok nieba dosięgający bogobójczych Izraelitów doskonale w nięj się symbolizuje; że przynieśli ją do Europy krzyżowcy, albo raczej urosła około r. 1000 w chwili strasznych przepowiedni i obaw końca świata, na widok fałszywych antychrystów, których mieszano z Żydem Tulaczem: że wreszcie uczeni teologowie korzystając ze świeżo zrodzonęj legendy, przykrawali ją po swojemu do tekstów Pisma Świętego i tym sposobem nadali jęj formę, w jakiej dziś ją posiadamy (L. 105—107).

Uczony zbieracz podań i mitów średniowiecznych i nowszych, Niemiec Grässe tak się na istotę podania o Ahaswerze zapatruje: „jakkolwiek ani Ewangelie ani pisma Ojców kościoła, powiada, nie wspominają ani słowa o tym pokutaiku, lecz to nie dowodzi niemożebności istnienia Żyda Wiecznego, bo przecież ś. Jan kończy swą Ewangeliją słowami: „Jest tóż jeszcze i innych wiele rzeczy, które czynił Jezus, które gdyby miały być wszystkie z osobna zapisane, tuszę, iż i sam świat nie mógłby ogarnąć ksiąg któreby napisane były“ (XXI. 25). Historycznie wprawdzie niepodobna jest dowieśd prawdziwości tego podania, jak i wielu innych rzeczy, w które mimo to wierzymy całém sercem, znajdując w tęp pociechę i ukojenie. Lecz z drugięj strony moralna treśd tego podania tak jest niezgodną z pojęciem, jakie mamy na zasadzie słów Nowego Testamentu o łagodności i cierpliwości Pana Jezusa, że za prawdziwe nie mogłoby być uważaném. Chrystus o którym ś. Piotr (w liście I. rozdz. II w. 23) powiada: iż „gdy Mu zlorzeczono, nie odzlorzeczył; gdy cierpiał, nie groził, ale poruczył krzywdę Temu, który sprawiedliwie sądzi,“ który umierając na krzyżu wołał: „Ojcze, odpuśd im, bo nie wiedzą co czynią,“ nie mógł tak okrutnie skarać człowieka, który nie wiedział nawet kogo obraża. Chybaby więc chciał tą srogą karą, jak późnięj zburzeniem Jerozolimy i rozproszaniem Żydów po świecie, dać świadectwo potomności o swém boskiem posłannictwie i cudotwórstwie. W każdym razie, kończy Grässe, legenda ma głęboke i wzniosłe znaczenie i służyć może niejednemu niedowiarkowi za przestrożę, aby pomyślał o przyszłości swęj duszy, nim będzie za późno (Gr. 95—99).

Nieznany zkađinąd Herman Dalton ogłosił w 1867 przywiedziony na czele tego artykułu odczyt swój publiczny, zakrawający raczej na

suto retoryką zabarwione protestanckie kazanie, niż na krytyczny rozbiór legendy. Zdaje mu się że podanie o Żydzie Tułaczem nie da się bez zblżenia z „bratnią legendą“ o ś. Janie, uspionym w Efezie (o czym poniżej) wytłumaczyć. Rozwijając dalej Meuzl'a zestawienie podań o Fauscie i Żydzie, upatruje w nich odbicie się pogańskiego świata, w Fauscie nie żydowskiego, a w Żydzie żydowskiego; świat ten zaparłszy się Chrystusa nie może skończyć się tym niewymownie, jest obrazem życia bez nadziei; gdy przeciwnie Jan uspiomy wyraża żywot pełen ufności w Boga i przyszłość. Obadwaj umrzeć nie mogą, lecz dla Żyda to przedłużenie życia jest przekleństwem, dla Jana błogosławieństwem. Ahaswer odzwierciedla niezaspokojoną żądzę śmierci, która stokroć jest silniejszą od obawy zgonu, gdy nadzieja takowego w nieskończoność się oddala; podobnie i bezbożnicy, panteiści i materyaliści nowoczesni, powiada Dalton, nie wierząc w szczęście pośmiertne dręczą się tym życiem nadaremnie, jak Żyd Wieczny bez celu po ziemi błądząc, w grobie dopiero spodziewają się znaleźć wypoczynek i spokój, a właściwie nicłość. Te dwie legendy i to jeszcze mają wspólnego, ciągnie dalej autor, że źródłem jednej i drugiej są słowa Pana Jezusa o nieśmiertelności ś. Jana (któreśmy wyżej przywiedli); powstały obie wszelako „w czasach silnie rozdrażnionej wyobraźni do tego stopnia, iż co się jęj oczom jawiło, brano za rzeczywistość, za widzenie cielesnego wzroku.“

Baring Gould współczesny mitolog angielski, autor wielu cennych prac (o którym ku wielkiemu zdziwieniu naszemu w żadnej z naszych Encyklopedyj nie znajdujemy ani słowa), jak np. obszerniej rozprawy O wilkołakach (Londyn 1865), dwutomowych; Dziejów początku i rozwoju wiary religijnej (New-York 1870) i t. d., w wyżej przywiedzionym, nader zajmującym i cenień napisanym zbiorze średniowiecznych mitów, poświęca obszerny artykuł legendzie o Żydzie Błądnym. Krytyczny pogląd jego najbardziej się zbliża do Grässe'go, z którego pracy oczywiście obficie korzystał. Mniema że początek mitu naszego upatrywać należy prawdopodobnie w ludzkiej żądzy przedłużenia życia, która się w niejednym podaniu wyraziła; że do rozwinięcia legendy najbardziej się przyczyniły ustępy Ewangelii, któreśmy wyżej przytaczali; że nieśłusznie jest szukać w Ahaswerze uosobienia losów plemienia żydowskiego, bo Tułacz ten jest wedle słów podania ochrzczonym i wcale nie chciwym pieniędzy, jak jego rodacy; o możności przedłużenia życia autor nie wątpi, uważa bowiem iż wszystko u Boga jest podobnem; że zaś Ewangelie nic o tym nieśmiertelnym świadku męki Pańskiej nie wspominają, niczego to, powiada, nie dowodzi, bo ś. Jan zapewnia, że wiele rzeczy ewangelici nie zapisali (tekst ten cytowaliśmy niedawno): że wreszcie jakkolwiek każde podanie musi mieć swe pierwotne źródło, Baring-Gould takowego odkryć nie zdołał.

Najnowszą pracą o Żydzie Tułaczem jest odczyt Dra. Bässler'a, którego tytuł wypisaliśmy na początku. Prelekcya ta, podobnie jak odczyt Daltona zakrawa na kazanie, więć ma retoryki i kwiecistości,

niż trzeźwej krytyki i w ogóle robi wrażenie z talentem napisanej popularnej mowy. Autor sądzi że legenda nie w pogańskich czasach, lecz w chrześcijańskich wzięła początek, czego jednak dowodami nie popiera; że jest idealną odpowiedzią skargom człowieczym na krótkość żywota, tak wzniośle wypowiedzianym w psalmie XC, a zarazem sądem potępienia wydanym przez Chrześcian względem Żydów, których przeszłości i przyszłości uosobieniem jest Ahaswerus, dwulicy jak Janus: jednem obliczem patrzący w przeszłość na swą winę niezmierną, drugiem poglądający z otuchą i tęsknotą w przyszłość, w oczekiwaniu powtórnego przyjścia Pana i Sądu ostatecznego; aż do owej chwili sądzono mu być świadkiem mocy Bożej i przestroga dla wątpiących niedowiarków i bluźnierców. Nowy rys podania przynosi Bässler tylko jeden, któryśmy zanotowali, o noclegu i nadpisie Ahaswera w stajence, zresztą powtarza to co Grässe i Lacroix w tym przedmiocie nagromadzili.

Obeznawszy się z materyą podania i różnemi zdaniem rozbierających je krytyków zapytujemy:

Czy mamy wierzyć w rzeczywistość postaci Ahaswera?

Jeżeli nie, to kiedy legenda o nim powstała, czy w epoce chrześcijańskiej, czy dawniej?

Jeżeli w dobie przedchrześcijańskiej, to jakie wątki starożytne posłużyły do ułożenia jej; jaki naród przekazał ją wiekom naszym?

Co wyraża, czego naucza to podanie? Jaka zasadę, czy przestroga moralną chce w obrazie Wiecznego Tułacza przedstawić?

Zanim jednak odpowiemy na te pytania, zastanówmy się wprzód:

Czy mamy dostateczne powody do uważania postaci Tułacza za istotną, dziejącą?

Czy nie jest to raczej jedna z fantastycznych figur, utworzonych przez bujną wyobraźnię pierwszych wieków chrześcijaństwa?

Lecz czy te wieki tworzyły nowe podania i czy zdolne były do tego w ogóle?

A w takim razie, czy znajdujemy pierwowzór naszego Żyda w spuściznie podań pogańskich, ze wszystkimi szczegółami charakteryzującymi postać jego?

Czy wreszcie celem podań w ogóle jest wyrażanie jakiejś myśli moralnej, jakiejś zasady lub przestrogi przyodzianej w symboliczną powłokę mitów lub bajek?

Pytania te, szczególnie ostatnie, są zasadowemi w mitologii porównawczej; są one nadto kwestyami pierwszej wagi w tej nauce. Wyczerpująca odpowiedź na nie wymagałaby całego szeregu traktatów krytycznych i organicznych. Nie mając zamiaru tu ich pisać, ograniczam się krótkim i bezdowodnym wyłożeniem kilku zasad mitologiczno-porównawczych według najnowszego poglądu, prawie jednomyślnie przyjętego w tej nowonarodzonej nauce. Gdy do tych prawideł zastosujemy opo-

wiedzianą legendę, nie wyjaśnimy jęj zapewne do gruntu, bo nam brak tymczasem dostatecznych ku temu zasobów; ale z pewnością wprowadzimy ją na nową drogę krytycznego badania, po której z czasem dojdzie może do zupełnego wyświehlenia swego pochodzenia i kształtu.

Na kategorycznie postawione zapytanie: czy istniał i czy istnieje Żyd Tułacz, panowie kapłani mającego być *par-excellence* krytycznym protestantyzmu odpowiadają: mogli istnieć, bo wszystko jest w mocy Bożęj, bo Ewangelie nie wszystko opowiedziały i wreszcie :bo ludziom przyjemniej jest wierzyć w podanie niż nie wierzyć.

Taka odpowiedź oczywiście jest zgoła niedostateczną. *Możliwość* istnienia kogoś lub czegoś a także *pożyteczność* z wiary w to istnienie, nie dowodzi i dowodzić nie może *istnienia* samego. Stwierdzić egzystencję dziejową, rzeczywistość kogookolwiek albo czegokolwiek, mogą tylko dowody historyczne. A właśnie oprócz wyżęj przytoczonych podań o Ahaswerze, żadne inne pewniejsze źródła dziejowe o nim nie mówią. Nowy Testament i pisma Ojców kościoła milczą; dopiero od XIII wieku spotykamy sporadyczne wzmianki o nim, a jakże są one sprzeczne i bajeczne! Jedna twierdzi że zamknięty jest w tureckięj niewoli, druga że błąka się po świecie, chodzi po morzu; jedna daje mu imię takie, druga owakie, a trzecia znów odmienne; niepodobna nawet orzec które z podań więcj ma pozorów prawdy, tak wszystkie są niekrytyczne, oparte na anonimach, opowiadaniach trzecich osób i t. p. Dość powiedziéć że pochodzą z wieków średnich, aby im odjąć wszelkie prawdopodobieństwo. Wieki te odznaczały się tak niesłychaną niekrytycznością, taką spragnioną baśni łatwowiernością, że nietylko zewsząd (szczególnie ze Wschodu) przyjmowały namiętnie wszelkie podania, choćby najpotworniejsze, lecz same zaraz ubarwiały je po swojemu, popierały, cytacyami żadnego związku nie mającemi z niemi (szczególnie z Pisma Św.) i kazały świadczyć osobom i rzeczom zgoła do sprawy nie należącym. Sprawdzały się wtedy słowa Pliniusza: iż najbezczelniejszemu kłamstwu nie zabraknie świadka (nullum tam impudens mendacium est ut teste careat H. N. VIII. 22.). Wieki owe jako grube i barbarzyńskie, zmateryalizowane do gruntu, szukały w chrześcijaństwie nie treści moralnej, lecz rzeczonych symbolów, mitów; skwapliwie przeto i bez żadnej krytyki zbierały baśni, relikwie, listy, szczątki szat, portrety i t. d., które za niezbite dowody realności podań rzekomo chrześcijańskich uważały; takie więc podanie o żywym świadku męki Pańskiej przyjęte zostało pożądliwie, bez żadnego wahania i zastanowienia nad jego duchową i rzeczową treścią. Że zaś ducha chrześcijaństwa nie pojmowano, niczyjęj uwagi nie zwróciła sprzeczność zawartego w tém podaniu morału z zasadami chrześcijaństwa. Nie raziło to nikogo, że Pan Jezus mści się niemilosiernie nad biednym szwecem jerozolimskim, który „nie wiedział co czynił.“ W tym potwornym odwiecie za mimowolne wykroczenie, legenda jeszcze jedno oczywiste składa świadectwo swęj mitycznej natury i swego nie chrześcijańskiego pochodzenia.

Czyż potrzebujemy dowodzić jeszcze, że gdyby Żyd Wieczny rzeczywiście istniał, żyłby przecież dotychczas z nami i po nas; że wreszcie fakt przedłużenia życia na tysiące lat byłby potwornością, niezgodną z prawami przyrodzenia, bo jak mówi Psalmista „dni wieku naszego jest lat siedmdziesiąt, a jeśli kto dłuższy, lat ośmdziesiąt“ i t. d.

Przychodzimy więc do wniosku, iż podanie o Żydzie Tułaczku nie jest wspomnieniem wypadku dziejowego, bo żadnemi się dowodami nie legitymuje i że treścią swą tak jest sprzecznem z ustalonym pojęciem o osobie i nauce Chrystusa, że nawet za chrześcijańskie uważanem być nie może.

Tu więc powtórzmy i rozwiążmy wyżej wyrażone pytanie: Czy może być wogóle mowa o podaniach chrześcijańskich, czyli, mówiąc jaśniej, czy ludzkość (ma się rozumieć ta część jęj, która ma dzieje) zdolną była tworzyć mity w epoce chrześcijańskiej i czy je tworzyła? a jeśli nie, to od kiedy twórczość jęj ta ustala?

Legendami chrześcijańskimi nazywają zwykle podania, o których mniemają iż się utworzyły na gruncie chrześcijańskim, to jest w ciągu dwu tysięcy lat ostatnich i to wśród Chrześcian.

Jednak mitologia porównawcza niezbitemi dowodami przekonała, iż tworzenie mitów, tak jak tworzenie pierwiastków językowych, jest włączną własnością okresu przeddziejowego w każdym narodzie; że wszranki historyczne każdy naród wchodzi zbrojny już pewnym zasobem podań religijnych, mową dokładnie urobioną, słowem z pewnym koniecznym dobytkiem cywilizacyi; że bez tego, że tak rzekę *wkupu*, dzieje podwojów swych nikomu nie otwierają; że wreszcie raz wszedłszy w dziedzinę historyczną, raz począwszy mieć dzieje, lud każdy trzeźwieje, a skutkiem tego niektóre władze wyobraźni jego jałowiejają, a mianowicie twórczość językowa i mityczna stanowczo raz na zawsze ustaje, tak iż lud nie zdoła ani nowego pierwiastku, ani nowego mitu stworzyć. Pozostaje mu tylko (i to do pewnego czasu) władza przerabiania, obrabiania, tematyzowania, snucia, składania i rozkładania tych wątków językowych i podaniowych; *chemiczny* zaś proces wytwarzania nowych substancyj ustaje, a następuje *mechaniczny*: kombinowania ich, oglądania, systematyzowania, dowolnego symbolizowania, odrzucania, wyboru naturalnego, podciągania jednych pod drugie, umiejscowiania, podstawiania pod inne czasy, miejsca, osoby, wypadki i t. d. Jaśniej mówiąc, człowiek historyczny z jednej strony, z danych pierwiastków językowych wytwarza nowe formy, wyrazy; wyrazom nadaje nowe znaczenie, lub zapożycza je od dalszych i bliższych sąsiadów; z drugiej z mitów przekazanych przez okres przeddziejowy układa nowe podania, nieraz bogato i świetnie ułożone, przenosi je z miejscowości na miejscowość, z osoby na osobę, z wieku na wiek, z wypadku na wypadek, bez żadnego względu na prawa przestrzeni, czasu i krytyki dziejowej; wiąże różne wątki w jedno pasmo, kruszy dawne zlepki podaniowe, a z odłamków buduje nowe, zbija po kilka w jedno, z jednego snuje kilka, wreszcie stara się wyrozumiewać je po swojemu; podkłada pewne znaczenie, pewien sens moralny pod bajki, nie ma-

jące żadnych celów pożytkowych (użytecznych), mozoli się nad wyjaśnieniem zwrotów dla siebie nie rozumiałych i t. d., ale powtarzamy, *ani nowych pierwiastków, ani nowych mitów stworzyć nie jest zdolnym.*

Że zaś oczywiście Chrześcijaństwo zrodziło się i rozkwitło na gruncie historycznym, według tój przeto zasady ludy dziejowe, które nową tę wiarę przyjęły, przeżywszy dawno młodzieńczy wiek twórczości językowej i podaniowej, znalazły się w okresie nie *tworzenia*, lecz *przetwarzania i umiejscowiania* podań; twierdzimy więc że od czasów Chrystusa żaden naród mający dzieje nowych podań nie tworzył, lecz tylko staro-dawne, przedchrześcijańskie tematyzował i lokalizował. Jakoż wszystkie legendy tak zwane chrześcijańskie po bliższém, krytyczném ich rozpatrzeniu, po usunięciu z nich późniejszych naleciałości, po rozłożeniu ich na atomy mityczne, okazują się albo przetworami dawnych, przedchrześcijańskich wątków, albo też zapożyczeniami od ludów niechrześcijańskich, żyjących współcześnie życiem dziejowém lub przed dziejowém.

Stosując te zasady do naszego podania o Żydzie Tułacz, winniśmy przedewszystkiém rozłożyć je na atomy, zanatomizować. Uprosimy je tedy do najpierwszych składników i tak sformułujmy: Pewna istota za obrazę drugiej, potężniejszej od siebie, skazana została na wieczne tułactwo aż do końca świata. Mamy więc w tym szkielecie podania następujące wątki: 1. Karę za przestępstwo; 2. Przekleństwo, czyli, mówiąc językiem bajek, zaklęcie, zaczarowanie, oczynienie, urzeczenie; 3. Przedłużenie życia aż do końca świata; 4. Wieczną wędrówkę.

Wątki te, jako wątki znajdziemy zaraz w obfitości reprezentowane w różnych mitologiach; lecz związanych w pewną całość czyli *samego podania*, jako pewnej zaokrąglonej i charakterystycznej całości, dotąd mitologom gdzieindziej znaleźć się nie udało. Zauważymy więc tu że mitologia porównawcza, jako nauka zupełnie nowa, nie miała czasu wyswietlić i porównać całego swego zasobu; lecz że dotychczas pewną, i to mniejszą tylko część tego zadania spełniła; względem zaś naszej legendy wyznać musimy z Baring-Gouldem iż nie udało się nam wynaleźć źródła czyli pierwotnego zawiązku tego podania w takim składzie jak ono się dziś nam przedstawia. Być może nawet, że jak wiele innych, podanie to jako całość, nie ma odpowiedniego pierwowzoru w mitologii przedchrześcijańskiej, że ze starożytnych wątków ułożone zostało w czasach po Chrystusowych: tém niemniej jednak części jego składowe okazują wyraźne powinowactwo z motywami pogańskimi.

I tak co do 1-go: *Kara* stanowi jeden z najczęstszych wątków podań ludowych całego świata, począwszy od najdawniejszych. Nie potrzebuje się nad tój rozwódzić, bo kto choć trochę oswoił się z podaniami, wie dobrze iż jak miłość w naszych romansach i powieściach, tak kara, pokuta, zaklęcie, jest osiłą legend całej ludzkości; dość wspomnieć tytanów górą przywalonych, bohaterów do skały przykutych, w kamienie, ptaki, zwierzęta zaklętych, zawieszonych w powietrzu, zarzuconych na księżyc: tu należą owe legiony dusz pokutujących, potępieniów, upio-

rów i t. p.; winą ich często bywa obraza bogów świadoma lub nieumyślna, jak właśnie w naszym podaniu; lecz prawie bez wyjątku pokuta ma przepisaną koniec: gdy to lub owo się zdarzy, kara ustaje; w naszym podaniu koniec świata ma być tym terminem.

Co do 2-go: *Zaklęcie* również pierwszorzędnym jest wątkiem podaniowym; pierwotne pojęcia ludzkie przypisują moc nadprzyrodzoną słowu nawet człowieczemu, byle w stosownej chwili było wypowiedziane: tém bardziej bogowie mają władzę urzekania, i to tak potężną, iż po chwili upamiętania lub żalu, nie mogą przekleństwa cofnąć, lecz tylko ograniczyć pewnem złagodzeniem, na przykład pewną ilością lat, pewną nadzieją wyzwolenia i t. p. Lud wierzy iż „słów potęga (powiada p. Wójcicki) jest tak wielka, iż chorobę uleczy, przemieni człowieka w zwierzę, gada lub ptaka, obróci w kamień i drzewo, otworzy warowne podwoje i bramy samego piekła i t. d.“ (Klechdy wyd. 2 t. II. od str. 149). „Starożytni (powiada Fustel de Coulanges w dziele *La cité antique* wyd. 3. str. 179), przekonani byli iż są formuły tak skuteczne i potężne, że gdy je wymawiano dokładnie, co do słowa, bóstwo nie mogło się oprzeć prośbie ludzkiej.“

Przedłużenie życia nad zakres zwyczajny dość częstém jest w podaniach; wszechwładne słowo bóstwa albo człowieka wtajemniczonego w jego sposoby przeciąga żywot albo na czas krótki, określony, albo też aż do końca świata; nie tylko słowa magiczne, ale i różne sposoby służą ku temu celowi: „Jest woda u stóp góry Olimpu w podaniowym kraju Prezbitra Jana (powiada list jego do mocarzy europejskich w XII niby wieku pisany); źródło to wytryska o trzy dni drogi od Raju Adamowego: kto się trzykroć wody jego napił, całe życie będzie czuł się trzydziestoletnim.“ Znanie jest w naszych klechdach przedłużenie życia przez posiekanie i uwarzenie ciała. Jedno nasze podanie opowiada o żołnierzu, co śmierć w worze trzymał i został za to zawieszony w powietrzu aż do dnia sądnego; za to samo i grecki Syzyf wiecznie toczyć musi głaz w ciemnym hadesie; Twardowskiego żywot podobnież do dnia sądnego przedłużony; na wieczną też pokutę na księżycu osądzony jest człowiek, który pracował w niedzielę. Niemieckie podania szeroko opowiadają o Dytrychu z Bernu, skazanym na walczenie ze smokiem aż do dnia sądnego, o Hansie von Hackelberg, który poluje za karę aż do końca świata, jak nasz myśliwy z Czerwonéj Wsi, co to nie szanował niedzieli (Siem. Pod. Nr: 59), jak równie i ów pan w Krakowskim, o którym p. Wójcicki podaje w pieśniach I. 90. Loki, złośliwy bożek germański, odsiada karę okuty w żelaza, nad nim wisi wąż i spuszcza nań ciągle piekący jad, który gdy spadnie na twarz jeńca, wywołuje w nim drgania, od których trzęsie się ziemia; lecz przy końcu świata Loki wyswobodzony będzie z oków i chwilowo przemoże bogów lepszych. Podobne podania mieli Persowie o swym Arymanie, a Grecy o Prometeuszu. Potępięcy, dusze pokutujące i upiory naszych podań aż do dnia sądnego znośić muszą karę, jeżeli jakaś przewidziana okoliczność nie uwolni ich od pokuty. Hołenderskie podanie o zuchwałym żeglarzu, znanie z wielu obrobień,

a szczególnie z opery Wagnera, powiada iż niejaki von der Decken około 1600 r., gdy mu z trudnością przychodziło opłynąć przylądek Dobrej Nadziei, uparł się wbrew niebu i piekłu dokonać tego i gdy się zaklął że „pływać będzie choć do końca świata,” głos z nieba zawołał: „Tak, aż do dnia sądnego,” i odtąd tak zwany „latający Holender,” walczy ciągle z falami, wiecznie na jednem miejscu, a widok jego złowrogim jest dla spokojnych żeglarzy. Dziki strzelec niemiecki ze swą zgrają myśliwców i ogarów przelatujący po chmurném niebie do dziś dnia trwoży wieśniaków Germanii, a podolski Homen, opisany przez Wójcickiego (Klechdy I. od 142), wyżej wspomniane podania o myśliwcach-potępieńcach oraz mnóstwo innych tego rodzaju uwydatniają wątek kary na wieczne czasy, t. j. *do końca świata*, lub co na jedno wychodzi, *do dnia sądnego*. Podania zaś o końcu świata i odrodzenia się nowego idealnego, wszystkie ludy Aryjskie mają prawie jednakie: sanskrycka, perska, germańska i słowiańska mitologia przepowiadają spalenie zepsutego a znikczemnionego wszechświata ogniem straszliwym, w którym zginie wszystko złe, i odrodzenie się nowego, dobrego, rajskiego; nigdzie może opis tej strasznej katastrofy tak groźnie i wspaniale nie występuje jak w skandynawskiej Eddzie. W wiekach zaś średnich, gdy nasza legenda prawdopodobnie się ułożyła, świat zdawał się mniejszym a koniec jego bliższym: mylnie komentowany XX rozdział Objawienia ś. Jana niejednokrotnie dawał powód do straszliwych obaw zbliżania się straszego sądu: zład też i kara, jaką legenda Żydowi przeczynała, nie wydawała się naówczas tak dalece nie zmierzoną.

Wymienione wyżej wątki podaniowe o cudowném przedłużeniu życia ludzkiego przedstawiają się w podaniach w innéj jeszcze, bardzo często napotykanéj postaci: bohater leży lub siedzi uśpiony w skale, górze i t. p., czekając aż go jakieś hasło, np. trąba, magiczne słowo lub inna jaka pobudka ocuci; zdaje się iż rozbudzenie najczęściej do końca świata bywa odłożoném. Tak czekają lepszych czasów Karol W., Fryderyk Rudobrody, Karol V i inni wodzowie niemieccy, skryci w łonie gór; Iwan Czarny książę Czarnogórski śpi w grocie zamku Obod w objęciach Wilii, a gdy się zbudzi stanie na czele narodu i Adryatyk zdobędzie; rycerze polscy w jaskini pod Trzebnickim kościołem „śpią twardo, ale żyją,” a kiedyś wstaną i „będą walczyć o wiarę;” Boruta w lochach łączeykich czeka wyzwolenia, a siedmiu wodzów nad Wisłą po tysiącu lat wstaną i pójdą wycięzać „czarnego wroga.” Inni znowu na czas pewien tylko zasypiają, jak siedmiu braci efezkich, jak śliczna Dornröschen niemiecka, La belle au bois dormant, francuzka i nasze śpiące „snem nieprzespanym królewny i królewicze w Bazarzu Glińskiego, których albo woda cudowna albo inne talizmany cuca.

Wspomniałem tu o téj formie mitu o przedłużeniu życia dlatego, aby wyjaśnić czemu jeden z wyżej przywiedzionych kronikarzy zmieszał Żyda Tulacza z Józefem z Arymatei. Otóż o tym Józefie, znanym zwolenniku Chrystusa, który ciało Jego złożył w grobie dla siebie przygotowanym, w średnich wiekach krążyło podanie (zapisane w Złotej Legen-

dzie wyd. Grässe'go Nr. 67), iż po zburzeniu Jerozolimy przez Tytusa, znaleziono go zamurowanego w jednej ze ścian, gdzie siedział żyw i cały od czasów ukrzyżowania Pana Jezusa, że potem nauczał wiary chrześcijańskiej Brytanów i t. d. Wyobraźnia średniowieczna, widząc cudowne przedłużenie życia tego Józefa, podobnie jak i Żyda Tułacza, obu dwu jak sądziła, przeznaczonych na wiecznych świadków dziejów Chrystusowych, zlewała nieraz w jedno obie postaci. Tu też nadmieniam, dla wyjaśnienia paralleli Daltona, że o ś. Janie średnie wieki miały legendę, iż nie umarł, lecz śpi w grobowcu swym w kościele efezkim, zbudzi się zaś gdy antychryst świat obałamuci i trzeba będzie dać świadectwo prawdzie. Podanie to utworzyło się prawdopodobnie ze słów Pana Jezusa do świętego Piotra powiedzianych, któreśmy wyżej czytali.

Okazaliśmy przeto iż motyw przedłużenia życia aż po koniec świata, dobrze znanym jest w mitologiach. Ostatni wątek, *wieczna wędrówka*, jakkolwiek rzadko się w podaniach spotyka, nie jest wszelako bezprzykładowym: Szyf wiecznie wtacza głaz na górę, latający Holender wiecznie krąży koło przylądka, według arabskiej legendy, (którą zaraz poznamy), Enoch i Eliasz wiecznie obiegają świat, dziki strzelec i nasi myślicy wiecznie polują w górach i obłokach, a niejedna dusza pokutująca naszych podań, podobnież na wieczne błaganie się jest skazana.

Staraliśmy się okazać iż wątki, składające naszą legendę, nie są oryginalnym pomysłem średnich wieków; lecz że się spotykają w mniejszej lub większej obfitości w zasobach mitycznych różnych ludów i płyną z głębokiej starożytności. Powiedzieliśmy już, że redakcja czyli dana forma legendy tej, o ile wiadomo, nie dała się dotąd odnaleźć u ludów przedchrześcijańskich w zupełnie podobnej postaci, tak iżby można powiedzieć: oto jest pierwowzór, źródło legendy o Tułaczcu. Nie brak nam jednak pewnych wskazówek, iż w cokolwiek odmiennej formie istniała znacznie dawniej przed XIII wiekiem. Pewne arabskie podanie twierdzi, iż prorocy Enoch i Eliasz, dostawszy się aż do krajów wiecznej ciemności, (cós naksztalt Hiperboryjskich okolic Herodota) napili się tam ze źródła wiecznej młodości i odtąd z laską pielgrzymią w ręku wędrują bez końca, jeden po ziemi, drugi po morzu, czuwając nad bezpieczeństwem pątników do Mekki. Gdy koniec świata się zbliży, Eliasz wróci na ziemię torować drogę dla Mesyasza. Inne podanie arabskie powiada, że w 16 roku hedżry (638 r. po Chr.), po zdobyciu miasta Helvan, kilkuset jezdnych wracających z tej wyprawy pod wodzą Fadhilacha stanęło w pewnej stolicy Syrii między dwoma górami na nocleg. Wódz rozpoczął modły wieczorne i głośno odmawiał „Allah akbar“ (Bóg jest wielki); w tém głos w pobliżu zaczął te słowa powtarzać i wtórował mu aż do końca modlitwy. Zdziwiony i strwożony Fadhilach zawołał „O ty co mi dopomagasz, jeźliś z rzędu aniołów, niech moc Boża będzie z toba, a jeźliś duchem innego rodzaju, to i tak dobrze, ale jeźli człowiekiem jak ja jesteś, to stań mi tu na oczy, abym się nacieszył twym widokiem i obcowaniem.“ Zaledwie słów tych domówił, aż się ukazał przed nim łysy starzec, z koszturą w ręku, wyglądający na derwisza.

Po grzeczném powitaniu zapytał wódz przybysza, ktoby był? Na co ów odrzekł: „Jestem tu z rozkazu Pana Jezusa, który mię na tym świecie zostawił, abym żył póty, aż po raz wtóry przybędzie. Czekam więc na Pana tego, który jest źródłem wszelakiej szczęśliwości i wedle nakazu Jego przebywam za tą górą.“ Fadhilach wypytywał się jeszcze pustelnika, (którym był nikt inny jak Elias, Zerib Bar Elia) o znakach poprzedzać mających sąd ostateczny i koniec świata, poczem zjawisko znikło.

Znajdą się z czasem na Wschodzie zapewne i inne jeszcze bliższe i podobniejsze zawiązki naszego podania; tymczasem ograniczyć się musimy tém co nam wiadome i zdać sobie sprawę ze spłotu różnych żywiołów które się złożyły na jego wytworzenie, a raczej ułożenie, bo to ostatecznie tylko przyznajemy wiekom średnim.

Znamy już wątki i pewne ślady układania się ich w całość. Rzucmy okiem jeszcze na grunt chrześcijański, na którym się zarysy przedchrześcijańskie wycisnęły, jak geologiczne muszle i liście na miękkim pokładzie. Mówiliśmy już o moralnej stronie tego gruntu, o niezwykłym rozigraniu wyobraźni i bajecznej łatwości średnich wieków. Szukajmy teraz rzeczonyj osnowy, ramek że tak powiemy, w których się mit odwieczny umiejscowił.

Wiadomo iż w licznych stuleciach tych wieków alfą i omegą uczoności a nawet najpospolitszego ukształcenia było Pismo Święte. W niem szukano wyjaśnienia wszystkiego co się niewiadomém, cudowném, niezwykłym zdawało; z niego tłumaczono sobie przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Lecz tłumaczono w sposób najniekrytyczniejszy; brano tekst albo w dosłowném, albo w najdowolniej naciąganém rozumieniu, albo też bez żadnego związku z poprzedzającymi i dalszemi ustępami i w każdym razie wpadano w najdziwniejsze ostateczności. Tak np. z jednego ustępu Objawienia ś-go Jana wysnuto przepowiednię tysiącletniego istnienia chrześcijaństwa, szukano więc skwapliwie znamion końca świata, antychrystów i t. d. i dodać należy znajdowano, bo czego rozgorączkowana wyobraźnia szuka, to zawsze znajduje, nie dlatego aby to co znajduje istniało, lecz że namiętnie szukała, gdyż, jak trafnie wyrzekł w XVI w. nasz Łasicki, „skutek idzie za przekonaniem” (sequitur persuasionem effectus).

Cytowaliśmy już kilka ustępów z Pisma Świętego mających wpływ na nasze podanie; przywiedzmy je raz jeszcze, dodając inne odpowiednie. Słowa ś-go Jana, zamykające jego Ewangelię: „Jest też jeszcze i innych wiele rzeczy, które czynił Jezus; które gdyby miały być wszystkie z osobna spisane, tuszę, iż i sam świat nie mógłby ogarać ksiąg, któreby napisane były“ (XXI 25) otwierały szerokie pole dla legend i apokryfów. To co Pan Jezus rzekł do ś-go Piotra o Janie: „Jeźli bym chciał, żeby on został aż przyjdę, co tobie do tego?“ (Jan XXI 22) zaraz wtedy już dosłownie tłumaczoném było: „wyszła ta powieść między bracią (ciągnie dalej ewangelista) żeby on umrzeć nie miał;“ lecz takie tłumaczenie prostuje sam ś-ty Jan tuż zaraz: „Lecz mu nie rzekł Jezus,

iż nie miał umrzeć; ale: Jezli chce, aby został aż przyjdę, cóż tobie do tego?“ (XXI 23). Ale pomimo oczywiste zaprzeczenie ewangelisty, wyobraźnia średniowieczna uczepiła się przepowiedni przedłużenia życia Jezusowego i zastosowała ją do ś-go Jana i do innych nieumierających świadków czasów Jezusowych, a w tej liczbie i do naszego Ahaswera. Rys legendy o uderzeniu Pana Jezusa przez Kartafilusa miał wzór w następnych słowach ewangelii ś-go Mateusza: gdy wyrzeczono o Chrystusie iż „winien jest śmierci!“ wówczas „plwali na oblicze Jego i pięściami Go bili, a drudzy Go policzkowali“ (XXVI 67).

Jednym z takich świętokradców miał być i nasz szewc jerozolimski. Dusza chrześcijańska nie mogła sobie wystawić straszniejszej zbrodni, jak prześladowanie Zbawiciela; a co okropniejsza podniesienie nań ręki. W Piśmie Świętém oprócz Judasza, którego Dante w ostatniej otchłani piekiel umieszcza, jeden chyba Kain, który pierwszy krew niewinną przelał, mógł być ogromem swęj winy Żydowi Tułaczowi równym. A jakąż karę wymierzył Bóg na bratobójczym synu Adama? „Przeklętym będziesz na ziemi, rzekł mu... tułaczem i biegunem będziesz na świecie“. Tedy rzekł Kain do Pana „Większa jest nieprawość moja, niżby mi ją odpuścić miano. Oto mię dziś wyganiaasz z oblicza tęj ziemi, i będę tułaczem i biegunem na ziemi; i stanie się, że ktokolwiek mię znajdzie, zabije mię“. I rzekł mu Pan: „Zaiste, ktobykolwiek zabił Kaina, siedmioraką odniesie pomstę. I włożył pan na Kaina piętno, aby go nie zabijał, ktobykolwiek znalazł. Tedy odszedł Kain od oblicza Pańskiego“ (I. Mojż. IV 10—15).

„Odszedł“ tedy i był „tułaczem i biegunem na ziemi“; aby zaś nie zabił go pierwszy lepszy, jako wywołańca, banitę, aby karę odbył nie chwilową meką śmierci, ale długim, może nieskończonym tułactwem, wśród mąk sumienia i wzgardy ludzkiej, Pan „włożył nań piętno“, zabezpieczające go od doraźnego sądu człowieczego. Gdy zaś zważymy że w dalszym ciągu opowieści biblijnej niema ani słowa wzmianki o śmierci pierwszego tego na ziemi mordercy, pojmiemy łatwo jak średniowieczny czytelnik Pisma Ś-go, biorący wszystko dosłownie, wysnuł ztąd podanie o *nieśmiertelnem tułactwie* Kaina; jak później, widząc w innej legendzie nie mniejszego odeń przestępcę, który świętokradczem słowem i czynem znieważył śmiał Syna Bożego, przeniósł nań karę Kainową. Widzieliśmy wyżej że hiszpańskie podanie nie zaniedbało nawet i *piętna* Kainowego na czole Żyda Tułacza umieścić. Nikt, ile wiem, nie zwrócił uwagi na to zbliżenie opowieści o Kainie i Ahaswerze; zdaje mi się jednak że motywy wiecznego tułactwa Żyda głównie z Kainowych dziejów odwzorowano.

Tak więc znanemi nam starożytnemi wątkami przetkano w wiekach średnich osnowę biblijną, umiejscawiając tak jakieś może dawne podanie, lub też z wątków i osnowy tęg snując nową kombinację, aż urosła legenda a z nięj liczne odmianki, które znamy.

Do tęg legendy, kto chciał i jak chciał dodawał swoje przyczynki. Jedni upatrywali w Żydzie Tułaczem Malchusa, drudzy Jotra, inni Józefa

z Arymatei. Niektórzy usiłovali zabarwić ją moralném znaczeniem, uczynić tendencyjną; twierdzili więc że Żyd nasz po to tylko wędruje, aby był żywym świadkiem męki Pańskiej, aby niewiernych Żydów przykładem swym od ich błędów odstraszał. Najnowsi komentatorowie widzą w nim to przestroge dla niedowiarków, materyalistów i bezbożników, to symbol narodowości żydowskiej, tułaczj i wiecznej jak on; inni jeszcze upatrują w nim uosobienie pogańskiego świata, a w ś-y m Janie uspionym, godło chrześciańskiego i t. d. i wogóle nadużywają bez miary takich form krasomówczych jak: *odbicie się, wcielenie, odzwiercadelnie, uosobienie* i t. d. mówiąc o postaciach podaniowych i narzucają im mistyczne jakieś znaczenie, oraz umyślną symbolikę której zgoła nie mają.

Są to parallele, porównania, powierzchowne zbliżenia, retoryczne kwiatki; pozytywnego w takiem układaniu i tłumaczeniu mitów niema nic; można bowiem myśl swoją przystosowaniem do niej legendy uwydatnić i ozdobić niby epigrafem; ale wyjaśnienie samej legendy nic na tém nie zyskuje, choć właśnie najczęściej czynią się te zbliżenia w celu tłumaczenia jej rysów.

Owszem tłumaczenie ich na najfałszywszj jest drodze póty, pokąd szuka jakiejs w nich prastarj filozoficzno-moralnej osnowy, utajonej niby ziarno w łupinie bajeczki. Nowsze badania mitologiczne okazały zupełną nicość teoryi apyryorystycznych wmawiających pierwszym wiekom ludzkości jakąś głęboką wiedzę i dowcipne tworzenie moralnych apologów ku zbudowaniu potomnych pokoleń.

Po bliższem a nie uprzedzonym zbadaniu okazuje się, że mity, podania, zabobony i pieśni ludowe neutralnemi, obojętnemi są pod względem dążności moralnych, a tém bardziej filozoficznych; co najwyżej odbijają tylko z konieczności moralny nastrój czasu kiedy się tworzyły, lecz zgoła niemają umyślnego zamiaru uczenia lub umoralniania. Że zaś tworzyły się w czasach nader dawnych, kiedy pojęcia moralne stały na bardzo niskim stopniu, nie dziw przeto iż znaczna część podań ludów odznacza się właśnie nie moralnością lub moralnością nader wątpliwą i powierzchowną. Wspomnijmy np. nasze bajki o trzech braciach: któż w nich wygrywa? kto najczęstszym bohaterem? najmłodszy brat, głupiec i leniuch; a podstęp, chytryść, jakże ważną grają rolę w klechdach naszych i czyż nie zastępują rozumu? Powodzenie, namiętność, siła przemagająca usprawiedliwiają gwałt i przemoc, zrzecnością łagodzi się niegodziwość i t. d. Jednym słowem: legendy i podania, jako płynące z czasów barbarzyńskiego stanu ludzkości, nie zawierają i nie mogą zawierać żadnej podstawy moralno-filozoficznej, którąbyśmy za takową dziś uważać mogli. Ci więc co szukają tych ziarn przedwiecznej jakiejs mądrości ludów, czas na darmo tracą. Wszelka tendencyjność moralna jak równie i forma artystyczna w mitach i bajkach jest dodatkiem późniejszych obrabiaczy: Iliadę i Odysseę poprzedziły liczne, nie powiązane z sobą, obojętne na wszelką treść moralną rapsody, które pomimo jedność i ogładę, nadaną im przez

pojedynczego czy zbiorowego człowieka, któregośmy przywykli zwać Homerem, dziś jeszcze baczniejszemu oku pokazujemy szwy i spojenia, łączące odrębne klechdy i wątki, nie roszczące żadnych praw do moralizowania lub artystyczności formy. Ci co uparcie chcą dociekać jakiejś głębokiej treści w najprostszych i najnieumyślniejszych bajaniach i najczęściej swoje w nich myśli i poglądy tylko znajdują, grzeszą wielkim brakiem przedmiotowości, która szczególnie do badań dziejowych niezbędnie jest potrzebną; wpadają w taki sam błąd jak statysci, szukający pierwocin społeczeństwa w „umowie towarzyskiej“ (contrat: social), jak lingwiści dociekający pierwotnej i proroczej niby treści w wyrazach, które same przez się mają grubo-materyalne znaczenie, pochodzące z równie grubego stanu ducha ludzkiego w początkach jego rozwoju. Jednym słowem bazarze-znachory pierwotni mogliby o sobie powiedzieć słowami Schillera: *ich singe wie de Vogel singt*, (śpiewam jak ptasze śpiewa); pieśni ich i podania były bezcelowe, bezdążnościowe; wylaniały się pod przymusem konieczności, a co najważniejsza pod wpływem zupełnej wiary w te bajania; odbijały wprawdzie *ich* pojęcia moralne, ale te dziś *dla nas* są co najmniej przebrzmiałemi; chcieć wyciągnąć więc *dla nas* z nich nauczki, jest to ładzić siebie lub innych świadomie lub nie świadomie. Tak zwana *symbolika* straciła dziś kredyt, na jej miejsce stała *mitologia porównawcza*, wyjaśniająca mity mitami, lecz nie filozofią, teologią lub dziejami. *Symbol* jest *umyślnym* zawinięciem pewnej prawdy w obłonki pewnego umówionego znaczenia; *mit* zaś jest *nieświadomą* grą wyobraźni i to wyobraźni ludu pierwotnego, przeddziejowego, nie okrzesanego, głęboko w ten mit wierzącego.

W legendzie przeto naszój o Żydzie Tułaczu nie upatrujemy ani dążności moralnej, ani przepowiedni, ani przestrogi, bo się grubo pomylimy; jeżelibyśmy zaś uparli się koniecznie wycisnąć z niej kroplę etyczną, to znajdziemy chyba przykład nie miłosiernój pomsty nad nieświadomym swój zbrodni fanatykiem...

Powiedzieliśmy że mity powstały pod naciskiem *konieczności*; dodajmy tu jeszcze, że według najnowszych odkryć mitologii, *konieczność* ta była *naturalną*, to jest przez przyrodzenie narzuconą. Człowiek pierwotny w podaniach swych obrazował naturę i siebie; walki, zmiany i popędy zewnętrzne i wewnętrzne były jedynym pierwowzorem jego poetycznych bająn, a magiczny wpływ języka pierwotnego, nie skrzepłego w stałe formy, jeszcze bardziej powikłał i uczynił dla nas prawie niezrozumiałemi te senne rojenia nawpół uśpionej wyobraźni. Odnosząc przeto legendę naszą aż do tój rodzimój fazy twórczości, możebyśmy mogli w wiecznej pielgrzymce Tułacza żydowskiego dopatrzeć zamglonego obrazu wiecznie wędrującego słońca, a w idei kary, dosłedzić zimowe jego ponizienie i bezsilność..... lecz nie chcemy zapuszczać się za daleko: wolimy nauce naszej zostawić czas na gruntowniejsze udowodnienie jój śmiałych twierdzeń, a czytelnikowi dać odpoczynek po trudnej dlań może wędrowce po nie znanych manowcach. Bo też o mitologii

w jęj nowszej postaci tak mało u nas pisano dotąd, że potrącając o nią jesteśmy w obawie znużenia czytelnika nieznanemi mu, a napozór zbyt drobiazgowemi zaciekami, chociaż z drugiej strony nie możemy pominąć pytań zasadniczych i jeżeli nie wyczerpująca, to choć powierzchowna, tymczasową dać na nie odpowiedź.

Musieliśmy tedy podając pojedynczą legendę zawadzić o zasady mitologii porównawczej; a co dla wielu zapewne będzie najniemilszém, musieliśmy udać się w anatomję legendy, zkąd inąd piękną i poetyczną całość stanowiącej. Nie jednéj wrażliwéj, sentymentalnéj duszy krytyczny rozbiór bajeczek, któremi od dzieciństwa karmiono jęj wyobraźnię, wydaje się procesem rażącym, świętokradzkim nawet... Większość powiada: nie burzcie tych zamków obłocznych, nam z nimi tak wygodnie, widok ich przynosi nam ukojenie i przyjemność! Wszakże to są twory ducha naszych przodków; a powiedziano jest: ducha nie zagaszajcie!

Wielka to prawda że gaszenie ducha jest wandalizmem! Ale zapytajmy wprzód i odpowiedzmy sobie, czy duch mieszka w złudzeniu i łatwowierności, czy w analizie i krytyce; czy trwałe są te z tęczy i pajęczyny utkane zamki nadpowietrzne; czy nie powiedziano zaraz daléj w téj saméj księdze mądrości: Wszystkiego doświadczajcie, a co jest dobrego, tego się trzymajcie. A wreszcie czy większość ze swemi upodobaniami i złudzeniami ma prawo wyrokować, gdy o *prawdę* chodzi? Leibnitz przecie powiedział: kto szuka prawdy, nie powinien liczyć głosów (wer wahrheit sucht, darf nicht die Stimmen zählen)..

Co innego zupełnie gdy poeta korzysta z przekazanego wiekami zasobu podaniowego. Ożywia on mityczne postacie własną wyobraźnią i wzięwszy baśń za wątek tylko, snuje zeń przędę swojego ducha, zabarwiając ją dążnościami i zaostrzając efektami własnego wynalazku. Jestto dalszy rozwój klechdy, z tą różnicą jednak, że z pod pióra poety *świadomie* płynie, gdy z ust ludu *nie świadomie* wybiega.

Podanie o Żydzie Tułaczu bogatego materiału dostarcza wieszczom: istota od dwu tysięcy lat żyjąca, co się przypatrywała wiekom starożytnym, średnim i nowszym, może, jak Cagliostro, opowiadać dziwy o losach ludzkości i to z naocznego widzenia; daléj znowu cóż za bogactwo sytuacji z niemożności skończenia życia! Zdręczony żywotem Ahaswer szuka śmierci w bojach i przepaściach, toniach morskich i wśród dzikich zwierząt, a znaleźć jęj nie może. Dosyć tych dwu efektów dla utalentowanego poety, aby utworowi jego prawdziwie zajmujących barw dostarczyć.

Nie dziw przeto iż nie jeden brał się za pióro i kreślił poemat o błędnym Jerozolimczyku. Od Goetego do Eduarda Quineta, Eugeniusza Sue i Lenaua kilkudziesięciu poetów, dramaturgów i powieściopisarzy próbowało sił swoich na tym temacie, a Kaulbach i Doré im olówkiem wtórowali.

A tout seigneur tout honneur, zacznijmy od Jowisza germańskiego. Poznawszy z książeczek ludowych legendę o Żydzie Tułaczcu, chciał Goethe ją epicznie obrobić, przedstawiając główne punkta dziejowego rozwoju religii i kościoła.

Treść poematu miała być taka:

W Jeruzalem był szewc Ahaswer z charakteru i dowcipu do niemieckiego poety z XVI w. Hansa Sachsa podobny; siedząc nad kopytem wdawał się w rozmowy z różnemi sekciarzami żydowskiemi i z Jezusem, chciał Go skłonić do czynniejszego działania i występowania a odwieść od zgromadzania gdzieś na pustyni oderwanych od pracy uczniów. Pan Jezus starał się go przekonać o szczytności swoich dążeń i łagodności swojego usposobienia i zamiarów, ale nadaremnie; szewc nie mógł pojąć „królestwa nie z tego świata.“

Nastąpiło uwięzienie Chrystusa. Judasz w rozpaczy wpada do Ahaswera i oplakuje gorzko niepowodzenie swjej sprawy; przygotowane było zbrojne powstanie; Judasz chce je przyspieszyć, ale Chrystus sam oddaje się w ręce prześladowców. Szewc nietylko nie pociesza wzburzonego Judasza, ale sam będąc głęboko zmartwiony, pogorsza jeszcze stan jego duszy: odchodzi on i odbiera sobie życie.

Tu następuje znana z legend scena: Jezus krzyż niosący chce chwilę przed domem Ahaswera odpocząć, ale ten „jak zwykle ludzie twardej głowy, którzy widząc iż ktoś własną winą sprowadził na się nieszczęście, nie znają dlań litości, lecz owszem niewczesną gorliwością przejęci, złe wyrzutami zwiększają.“ powiada Goethe, obspjuje go wymówkami. Chrystus milczy, lecz w tej chwili Weronika obciera pot z czoła Jego, a gdy chustkę z wizerunkiem Jezusa podnosi, Ahaswer i lud widzą w nim nie takie jak teraz oblicze cierpiącego Zbawiciela, lecz apoteozę jego w świetności i chwale. Oślniony Żyd odwraca oczy i słyszy słowa: „Będiesz wędrował po ziemi, aż mię znów w takiej postaci ujrzysz“ odtąd zaczyna się pielgrzymka Ahaswera.

„Brakło mi skupienia i czasu, mówi Goethe w Pamiętnikach, do zrobienia należytych studyów, aby poemat ten wypełnić taką treścią jakbym życzył; skończyło się na napisaniu kilku ułameków, tembardziej żem wstąpił w nowy okres duchowego rozwoju, który po napisaniu Wetherera i po przypatrzeniu się skutkom jego koniecznie nastąpić musiał.“

Te kilka ułameków niedoszłego poematu o Żydzie w rodzaju Heine'go, zawierają ostrą satyrę na stan chrześcijaństwa katolickiego i protestanckiego, które autor sobie wyobraża we 3000 lat po Chrystusie w takim stanie, iż wracający Jezus nie poznaje wcale z owoców tego co zasiał.

Z innego miejsca tychże Pamiętników dowiadujemy się, iż Goethe miał także przygotowany ustęp poematu opisujący odwiedziny Żyda Tułacza u Spinozy, lecz ustęp ten zaginął.

W październiku 1786 z podróży włoskiej pisze Goethe z Terni w Umbryi, że otoczony duchowieństwem i ludem włoskim rozmyślał o pierwotnych czasach chrześcijaństwa i porównywał je w duszy z dzi-

siejszym stanem kościoła: porównanie wypadło na niekorzyść obecnej doby. „Wtedy, powiada, przyszedł mi z nowu na myśl Żyd Tułacz, iż będąc świadkiem całego tego dziwnego rozwoju kościoła, dożył takich czasów, że Chrystus sam wracając dla obejrzenia owoców swęj nauki, naraża się na niebezpieczeństwo powtórnego ukrzyżowania. Znana legenda: „*Venio iterum crucifigi* miała mi służyć za osnowę tego obrazu.“

Pod koniec życia żałował wszelako poeta, iż ułamki poematu o Żydzie dał poznać publiczności.

Z pomiędzy licznych utworów poezyi niemieckiej opiewających losy Żyda Tułacza, najwięcej może ma zalet liryczny rapsod Schubarta, poety zmarłego w końcu zeszłego wieku. Przełożył go na język francuzki znany Gérard de Nerval. A. W. Schlegel w swęj „Przestrodze,“ Schreiber w balladzie „Żyd Tułacz,“ Lenan w „Ahaswerze,“ Rückert w ułamku pod napisem „Chidher,“ Zedlic i wielu innych lirycznie lub epicznie obrabiali ten temat. Klingemann utworzył tragedyę, a T. Haupt napisał dramat „Ahaswerus“; pierwsza odgrywa się na tle wojny trzydziestoletniej; Fr. Horn i Vulpius przedstawili dzieje Tułacza w formie powieści: wreszcie Heller w listach satyrycznych. We Francyi 1812 r. grywano melodramat „Le Juif Errant“ Caignez'a i napisano z dziesiątek poematów tęj treści, między któremi wyróżnia się talentem utwór Edgarda Quinet'a, a powszechnie znana piosnka Béranger'a najpiękniejszą zwrot tęj legendzie nadała w następných słowach Tułacza:

„Vous qui manquez de charité,
Tremblez à mon suplice étrange:
Ce n'est point sa divinité,
C'est l'humanité que Dieu venge!“

Są jeszcze liczne obrobienia angielskie, duńskie i t. d. w formie lirycznej, powieściowej, dramatycznej i t. d., które pomijamy.

Z polskich znam tylko zręczną powiastkę hr. Michała Borchy p. t. „Na piaskach“ w czasopiśmie Ondyna Druskiennickich źródeł na r. 1844 drukowaném w Grodnie. Nie wiem dlaczego autor imię Tułacza naszego przerobił z Ahaswera na Aschwera.

Encyklopedia nasza wielką odprawia czytelników pod wyrazami *Ahaswerus* i *Wieczny Tułacz* do *Żyd Wieczny Tułacz*, ale tego ostatniego wcale nie zamieszcza. Cieszymy się nadzieją że obie mniejsze będą słowniejzsemi...

Dzieje Ahaswera natchnęły nietylko poetów, lecz i rysowników. Wymienimy tu dwu znakomitych współczesnych malarzy-ryowników, którzy legendę pracami swojemi upamiętnili: Kaulbacha i Dorého. Pierwszy w jednym z sześciu olbrzymich wszechdziejowych fresków zdołał w ścianie Nowego Muzeum w Berlinie, przedstawiającym zburzenie Jerozolimy, umieścić na lewéj od widza stronie obrazu postać uciekającego z gruzów stolicy Żyda Tułacza: wyraz twarzy jego okropny; zgroza

i rozpacz miotają nim; włos rozczochrany, pierś obnażona; po nad nim trzy fury uwiecznione węzowemi splotami, biczą go żmijami, które w rękach trzymają, gonią w świat i wołać się zdają: dalej, dalej, nędzniku, nie wolno ci ani na chwilę spocząć! Postać ta świetnie kontrastuje z rodziną chrześcijańską, która na prawej krawędzi fresku wolno i spokojnie nucąc hymn pobożny, idzie na wędrowkę z sercem przepelnioném nową wiarą, niosąc światu całemu ziarna odrodzonej moralności i ożywionej nadziei.

Doré ze zwykłym mu talentem w kilku genialnych rycinkach wystawia ważniejsze chwile nieskończonego żywota Ahaswerowego. Na jednej z nich okrutny szewc odmawia upadającemu pod krzyżem Jezusowi chwili spoczynku przed swoim domem. Na drugiej dręczą już nieszczęsnego pielgrzyma wyrzuty sumienia na widok samotnego wiejskiego krzyża, ozłoczonego promieniami zachodzącego słońca. Na innej chce się rzucić w przepaść aby skrócić życie udęczeń i zgrzyzot, lecz anioł z mieczem ognistym każe mu żyć i tułać się dalej. Na ostatniej, chwilę sądu ostatecznego Tułacz wita z rozkoszą i zachwytem, czując zbliżający się koniec swój pokuty.

I muzyka wreszcie użyczyła swych barw dźwiękowych do uświetnienia legendy: Halévy do słów Scribe'a napisał operę „Żyd Tułacz“ przedstawioną po raz pierwszy w Paryżu r. 1852.

MIMOSA.

PRZEZ

D-ra Edwarda Strasburgera

Prof. Uniwersytetu w Jena.

Nie sądźcie łaskawi czytelnicy, że wam opowiadać będę losy pięknej dziewicy, jak ją powieściopisarze tak chętnie nazwą tą przyozdobiają. O roślinie tej delikatnej nazwy, rzecz wyłącznie toczyć się tu będzie. Chcąc odrazu uniknąć nieporozumienia, powinienem był może *Czulek* nie *Mimosa* pisać. Lecz zdecydować się na to nie mogłem, gdyż polski wyraz *Czulek* nie oddaje w zupełności łacińskiego *Mimosa pudica*, już choćby dlatego, że jest rodzaju męskiego. Nazwa tej rośliny powinna zaś pozostać w połączeniu z obrazem delikatnej kobiety i wyrażać nie drażliwość, a tylko wrażliwość.

Ale przede wszystkim opisać muszę samą roślinę, ażeby każdy mógł się przekonać o słuszności tego porównania. Wszyscy zapewne o niej słyszeli, ale może nie wszyscy mieli sposobność ją widzieć. Musisz udać się ze mną czytelniku do cieplarni; ojczyzną bowiem tej rośliny są kraje podzwrotnikowe, dla tej prostej przyczyny, że wymaga ona znacznego ciepła i wilgoci. Pod zwrotnikami, dosięga Mimosa znacznych rozmiarów, gdy u nas pozostaje zawsze niską i drobną rośliną. Powierzchnownie podobną jest bardzo do małej akacyi, ztąd często zaliczają ją do wspólnej familii. Gdy światło jest dość silnem, wówczas podwójnie pierzaste jej liście rozkładają się; przy najmniejszym jednak poruszeniu liść cały się zwiesza, a pojedyncze listeczki ku sobie zbliżają się. Ale poczekajmy chwilę, listeczki znów się rozchodzą, ogonek liścia się podnosi i cały liść wraca do pierwotnego położenia, pozostając w niem przez cały dzień; dopiero przy zachodzie słońca wszystkie liście całej rośliny się zwieszają, listeczki ku sobie zbliżają; roślina zasypia i nie budzi się jak ze wschodem słońca, gdy pierwsze promienie światła listeczków jej dotkną. Szczególne zjawisko! Ależ ta roślina musi mieć nerwy, w niej mieszkać musi dusza?! Pytania te nasuwały się już najdawniejszym badaczom, gdy w zadumie spoglądali na tę roślinę. Odpowiedź nie była łatwą, długo też na nią czekano i zaledwie ostatnimi czasy udało się nieco tę dziwną zagadkę rozjaśnić.

Spróbuję wyłożyć w obecnej pracy cały mechanizm Mimosy, tak jak nam się obecnie podług najnowszych badań przedstawia, przekonany jestem przytém, że i trudniejsze pytania, są w stanie zainteresować czytelników Biblioteki.

Wiadomą jest rzeczą, że wszystkie rośliny składają się z komórek. Komórki te są po największej części wielkości mikroskopijnej, to jest, widzialne są tylko przy użyciu szkieł powiększających. Jeżeli z jakiegokolwiek części rośliny wytniemy cienki, przezroczysty plasterek i umieścimy go pod mikroskopem, to przekonamy się, że nie jest on utworzony z jednostajnej i jednociągłej masy, lecz przeciwnie z wielu wydrzeń. Wydrżenia te, są owe wyżej już wzmiankowane komórki. Komórki te nie zawsze są okrągłe, przeciwnie, mają najrozmaitsze kształty. Odpowiednio do kształtu, są one ściśle lub mniej ściśle ze sobą połączone, gdyż naturalnie wielokątne mogą się dotykać więcej miejscami swęj powierzchni, niż okrągłe. Przewidy, które się znajdują między komórkami przy nieściślem ich przystawaniu, nazywają się przeworami międzykomórkowymi. W każdej komórce dadzą się odróżnić następujące części: błonka, gęsta nawpół płynna istota, tak zwana zarodzia (*protoplasma*), czyli treść komórkowa, która w młodych komórkach zwykle całe wnętrze wypełnia; w starszych błonkę od wewnątrz wysięcia inna jeszcze subtelniejsza dająca początek zewnętrznej, i narazcie małe soczewkowate ciało, tak zwane jądro, które się znajduje albo w zarodzi, albo też jest zawieszonóm we wnętrzu komórki na nitkach protoplazmowych, które z protoplazmą przy ścianach się łączą. Wnętrze komórki w której protoplasma już tylko ściany powleka, wypełnione jest wodni-

stym płynem: tak zwanym płynem komórkowym. Błonka złożona jest z istoty mającej ten sam chemiczny skład co krochmal, a którą *cellulosę* nazywają; jest grubszą lub cieńszą, często niejednakowej grubości; w tym ostatnim razie, cieńsze miejsca przybierają postać kropek, grubsze taśm śrubowych, siatek lub t. p. Protoplazma jest ciałem białkowym; nowsze poszukiwania doprowadzają jednozgodnie do rezultatu, że w niej szukać należy ogniska życia. Z zarodki tworzą się wszystkie części składowe komórki, a między niemi na pierwszym miejscu i błonka komórkowa. W ostatnich czasach kilku uczonych wykazało, że roślina zarodź niczym się nie różni od zwierzęcej, którą dawniej nazywano sarcodą. Ta sarcoda odgrywa w zwierzęcej komórce zupełnie tę samą rolę, co zarodź w roślinnej. Zdaje się, że budowa drobinkowa zarodki jest jeszcze subtelniejszą niż budowa błonki, jej skład chemiczny jest także daleko więcej skomplikowany.

W wielu komórkach zarodź znajduje się w bezustannym ruchu, a gdzie nie jest otoczona błonką, może nawet zmieniać miejsce swego pobytu. Punkt ten bliżej objaśnić wypada, gdyż będzie nam to potrzebne do zrozumienia dalszych kwestyj. Jeżeli rozedrzemy błonkę *Vaucheryi*, jednokomórkowej rośliny wód naszych, to spostrzemy pod mikroskopem, że występujące z niej krople protoplazmy, powoli w otaczającej wodzie kształt swój zmieniają, a nawet po po wierzchni innych ciał pęłzać mogą. Protoplazma ta sztucznie oswobodzona z wnętrza nie jest zdolną do samodzielnego istnienia, i po krótkim czasie jż obumiera.

Inaczej się rzecz ma z ruchomymi rodnikami wodorostów, jak np. dopiero co wymienionej *Vaucheryi*. Część protoplazmy we wnętrzu komórki od reszty się oddziela, tworzy nowy osobnik, błonka komórkowa rozpuszcza się w tém miejscu i owa odosobniona część protoplazmy, to nowe indywiduum, występuje z komórki do otaczającej wody. W tym okresie spostrzedz się dają na jej powierzchni delikatne rzęsy, za pomocą których ruchy swe odbywa. Przez kilka godzin pływa swobodnie, dopóki nie zacznie wydzielać na swęj powierzchni błonki *Cellulosę* zwanęj. W miarę jak owa błonka powstaje, ruchy zarodnika się zwalniają, wreszcie całkiem ustają, wówczas opada na dno, tam się przytwierdza i daje początek nowej roślinie.

Póki znajdują się w ruchu, zarodniki wodorostów zupełnie są podobne do niektórych niższych gatunków zwierząt, tak, że uczony badacz który przed trzydziestu laty pierwszy je widział, zdumiony myślał, że uczestniczy chwili przemieniania się rośliny w zwierzę. Ruchome zarodniki zresztą nie tylko u wodorostów są znane przy kiełkowaniu w wodzie nieruchomych zarodników pewnego oddziału niższych grzybów tak zwanych *Myxomycetów*, zawartość protoplazmatyczna owych zarodników, powoli z nich występuje i opatrzona jedną długą rzęsą, poczyną żywo pływać wśród wody. Dalej rzęsa ginie, zarodnik na dno spada i gnuśnieje, kształt swój nieustannie zmieniając, jako tak zwana *amoeba*, po dnie się czołga. Przy spotkaniu się dwóch amoeb spływają się one w jedną; to samo się dzieje przy spotkaniu się z trzecią, czwartą, piątą

i następni, tak że nareszcie z wielu mikroskopijnych amoeb, tworzy się jedna tak wielka, że śledzić za nią można gołym okiem! Te złane amoebki, zwane *plasmodium*, składają się zatem ze znacznej masy nagiej protoplazmy, zmieniającej bezustannie zewnętrzny kształt i powoli się poruszającej. Równocześnie dostrzedz można pod mikroskopem wewnątrz *plasmodium* najrozmaitsze prądy, niejako strumienie bieżące w różnych kierunkach: wnosić z tego łatwo jak skomplikowane chemiczne i fizyczne processa, muszą mieć miejsce w takiej protoplazmie. U niektórych wodorostów ruchome zarodniki zaopatrzone są w pulsujące *vacuole*, to jest pęcherzykowate przestwory, które w danym miejscu protoplazmy się zjawiają i równie prędko znikają, by się wkrótce znów ukazać. Naśladują one niejako bicie pulsu, a powodem tego nagłego pojawiania się i znikania zdają się być szybkie zmiany, jakim podlega protoplazma we własnościach swych pochłaniania wody. *Vacuole* te tworzą się z kropli wydzielonej wody, kropla ta zaś wydzieloną zostaje, gdy zdolność protoplazmy do pochłaniania wody się zmniejsza; gdy zdolność ta rośnie, kropla napowrót pochłoniętą zostaje. Wszystkie te przykłady przytaczam tu, by pokazać jak wysoko uorganizowaną istotą jest protoplazma, a przez to wyjaśnić, że przez zsummowania jej czynności w rezultacie wywołane być mogą zjawiska, które nas słusznie w zdumienie wprawiają.

Jużśmy powiedzieli że wnętrze komórki, tak zwane jej *lumen*, w starszych komórkach napełnione jest płynem. Jest to woda, w której rozpuszczone są rozmaite sole nieorganiczne i powstałe w protoplazmie związki organiczne, jak: cukier, inulina i t. p. Często też zauważyć można w płynie komórkowym ciała stałe, najczęściej ziarenka krochmalu; nieraz też nieorganiczne kryształy prawie bezwyjątkowo z szcianianu wapna złożone. Błonka z *cellulosey* otaczająca komórkę rośnie przez to, że coraz nowe w protoplazmie utworzone molekuly cellulosey w nią wnikają wsuwając się niejako pomiędzy już istniejące. Błonka najprzód rośnie w długość i szerokość, a następnie dopiero grubieje. Po dojściu błonki do pewnej grubości, wewnętrzne bliższe protoplazmy warstwy jej odżywiane są lepiej niż zewnętrzne. Te ostatnie zmieniają się wskutek tego i w swym składzie chemicznym, podczas gdy wewnętrzne swoją pierwotną naturę zachowują. Wewnętrzne warstwy są wtedy pečliwsiemi od zewnętrznych, a to powoduje pewne naprężenie pomiędzy jednymi a drugimi. Wewnętrzne warstwy chciałyby się wyciągnąć, zewnętrzne stają temu na przeszkodzie, skutkiem tego zewnętrzne ścieśniają wewnętrzne, wewnętrzne zaś rozszerzają zewnętrzne. O prawdziwie tego można się bardzo łatwo przekonać, biorąc organizm składający się z jednej tylko komórki stosunkowo dość wielkiej, by łaćtwo rozciąć się dała. Jeżeli tę komórkę podłużnie przedzielimy na dwie połowy, to spostrzeżemy, że obie połowy staną się nagle na zewnątrz wklęsłe, względem siebie zatem wypukłe. Zjawisko to postaramy się jeszcze w inny sposób wyjaśnić sztucznie naśladując taką naprężoną błonkę. Weźmy np. dwa wąskie paski gumelastyki, wyciągnijmy jeden z nich i przymocujemy go po obu końcach; przyklepmy do niego

mocno drugi niewyciągnięty. Jeżeli dolny wyciągnięty pasek w dalszym ciągu po obu końcach uwolnimy, to dążyć on będzie do skurczenia się, ale przy silném połączeniu obu pasków, niewyciągnięty stawać będzie temu na przeszkodzie i naturalném następstwem będzie, że kurczenie po stronie nalepionj będzie słabsze jak po stronie swobodnej i cały preparat znacznie się skrzywi, stając się wklęsłym po stronie wyciągniętego paska. Te dwa paski gumowe w dotykalny sposób uwydatniają nam własność w wyżej określony sposób naprężenia błonki.

Podobnie jak warstwy pojedynczej błonki i całe warstwy tkanek mogą we wzajemném naprężeniu pozostawać; jeżeli je od siebie oddzielimy, to jedne się kurczą, drugie się wyciągają, przybierając w każdym razie rozmiary różne od tych, jakie w stanie nienaruszonym posiadały. Ku powierzchni rośliny, leżące tkanki zazwyczaj się kurczą, wewnętrzne zaś, mianowicie rdzeń, przedłużają się. Lecz ażeby to miało miejsce, musi obserwowana część rośliny, podobnie jak i wyżej wzmiankowana błonka prawie bez wyjątku być młoda, znajdować się jeszcze w epoce rozwoju.

Przy dopiero co opisanych zjawiskach spowodowanych przez naprężenie błonek, nie należy wypuścić z uwagi i inny jeszcze moment, mianowicie turgescencyą komórek tworzących tkankę. Przez turgescencyę rozumiemy naprężenie całej komórki spowodowane ciśnieniem płynu wypełniającego komórkę na jej ściany. Wspomnieliśmy już, że płyn wypełniający komórkę zawiera w sobie rozmaite ciała w roztoczeniu; niektóre z nich silnie bardzo przyciągają wodę. Działają tu tak zwane diosmotyczne siły, których naturę spróbujemy wpierw na prostym przykładzie wyjaśnić. Weźmy zwykły pęcherz, napełnijmy go do połowy gęstym roztoczeniem gummy lub cukru, zamknijmy go szczelnie i zanurzymy w czystej wodzie: spostrzeżemy, że pomimo zamknięcia, zawartość pęcherza się zwiększa. Już po krótkim czasie pęcherz cały będzie wypełniony, ściany jego coraz silniej zostaną naprężone, i to aż do chwili, póki ciśnienie, jakie wywierają na zawartość pęcherza nie wyrówna sile, z jaką też zawartość przyciąga z zewnątrz wodę. Wrazie gdy ta siła przyciągania jest większa niż trwałość ścian pęcherza, to pęcherz rozerwanym zostanie, jeżeli raczej wpierw nie nastąpi innego rodzaju zjawisko, to jest mechaniczne przetłoczenie (filtracja) nadmiernych części płynu przez pory (Interstycye) molekularne ścian pęcherza. Strumień dyfuzyjny porusza się również porami (interstycjami) molekularnymi przestworami tak małymi, że ich i przy najsilniejszym powiększeniu nie widać. Przytém znajduje zastosowanie prawo, podług którego ciało przez błonkę innego ciała tego samego co i ono, składu chemicznego przenikać nie może. Tak zwane ciała kolloidalne (niekryształizujące się) jak gumma lub cukier, mogą się przedostać przez błonę kolloidalną jaką jest pęcherz; dlatego to wchodzi do pęcherza woda, którą tamte ciała silnie przyciągają, ani jedna zaś cząstka gummy lub cukru z pęcherza nie powinna się wydostać. Jeżeli to jednakże w małych ilościach ma miejsce, to dlatego tylko jedynie, że w każdym pęcherzu znajdują się stuczne i chociażby bardzo małe dziurki; prawą dyfuzji znajdują, zaś zastosowanie tylko do

przezworów molekularnych, uzasadnionych samą budową błonek. Pojmujemy teraz dlaczego pęcherz napętnia się wodą i nareszcie dochodzi do tak znacznego naprężenia. Zupełnie to samo ma miejsce w komórce roślinnej. Zawiera ona ciała silnie przyciągające wodę, a nie mające własności przenikania przez błonkę. Następstwem tego jest to, że komórka tyle wody z otoczenia swego pochłania, o ile elastyczność jej błonki na to zezwala. I tu ustaje pochłanianie wody z chwilą, gdy ciśnienie wyprężonej błonki na zawartość komórki zrównoważy siły diosmotyczne tej zawartości. Siła diosmotyczna różnych komórek będzie zaś różna stosownie do ich zawartości. Że zaś całe warstwy tkanek nieraz zawartością swych komórek się różnią a ztąd i naprężenie (turgor) ich będzie niejednakowe i w rezultacie przyczyniać się będzie mogło do naprężeń między całymi pokładami tkanek. Te naprężenia ustępują z wiekiem, gdy błonka komórkowa elastyczność swą utraci, a zawartość komórki, ulegnie zmianie. Wyjątkowo tylko tkanki i w starszych częściach rośliny pozostają w naprężeniu i to właśnie jest punkt, w którym do naszej mimosy powrócić będziemy.

Zupełnie wykształcony liść mimosy wstydliwej (*Mimosa pudica*) jest podwójnie pierzasty. Składa się on z głównego korzonka, do którego przytwierdzone są dwie pary bocznych korzonków; każdy z tych bocznych korzonków opatrzony jest 15 do 25 parami owalnych listków. Korzonek główny jest przy osadzie walcowato zgrubiały. Dolna strona tego zgrubienia pokryta jest sztywnymi włoskami. Podobne zgrubienia znajdują się też u osady bocznych korzonków na głównym i listków na bocznych korzonkach. Te zgrubienia są organami ruchu mimozy. Każdy z tych organów ruchu składa się dokoła od zewnątrz z grubiej warstwy okrągławych komórek, w środku zaś pokazuje pasmo wydłużonych, po części bardzo charakterystycznie zgrubiałych komórek, tak zwane większe włókno naczynne. Pasma to jest bardzo giętkie ale mało rozciągalne. Pomiedzy okrągławymi otaczającymi je komórkami spostrzegamy wielkie powietrzem napętnione przestwory między-komórkowe. Te przestwory w miarę tego jak leżą bliżej powierzchni, coraz się zmniejszają, wszystkie zaś one łączą się ze sobą. Komórki okrągławe po stronie górnej organu, zwróconej ku niebu, są daleko silniej zgrubiałe, niż po stronie dolnej, zwróconej ku ziemi. Oprócz zwykłej zawartości spostrzegamy w każdej ze wzmiankowanych komórek, we wnętrzu, kulistą, wielką kroplę, która się składa podług najuowszych poszukiwań, ze skoncentrowanego roztworu garbnika.

Gdy roślinę wstrząśniemy, wnet liście na swych korzonkach się chyła, a widoczna prztem, że siedliskiem ruchu są owe już wyżej opisane zgrubienia, zwane poduszczkami stawowemi. Główne korzonki chyła się ku dołowi, boczne ku przodowi, listki kupią się naprzód i ku górze. Poduszczki stawowe t. j. organa ruchu są najdrażliwsze; ażeby ruch spowodować wystarcza dotknąć włoski na dolnej stronie tychże przy osadzie korzonków, albo nagać ich powierzchnię przy osadzie listków. Wysoka temperatura i wilgoć w powietrzu wzmaga wrażliwość; każde poru-

szenie jednego listka przenosi się wtedy powoli na sąsiednie i to łatwiej w kierunku ku niżej, niż ku wyżej przy lodyżce osadzonym listkom. Jeżeli roślinę pozostawimy w spokoju, to po kilku minutach listki powracają do pierwotnego położenia. Jeżeli roślinę bezustannie drażnić będziemy, to straci ona na koniec wrażliwość. To ostatnie zjawisko zauważył już Desfontaines, gdy kiedyś przewoził powozem mimosę. Powóz toczył się po bruku; z chwilą wyjazdu pochyliły się listki, później jednak bez względu na to, że powóz się nie zatrzymał podniosły się i w tym położeniu nadal pozostawały. Gdy powóz czas jakiś zatrzymano roślina wrażliwość swą odzyskała tak, że liście na nowo się pochyliły, gdy w dalszą puszczano się drogę.

Ażeby zbadać bliżej mechanizm wprawiający w ruch liście mimozy, spróbujemy dokonać na niej parę doświadczeń (vivisekcji). Jeżeli zetniemy górną połowę poduszeczki stawowej głównego korzonka aż do środkowej wiązki włókno-naczynnej, to cały organ skrzywi się podczas operacji silnie ku dołowi, później jednak znów się podniesie i to wyżej niż zwykle, zachowując przytém jeszcze pewną choć małą ilość wrażliwości. Jeżeli przeciwnie zetniemy dolną połowę poduszeczki stawowej, to cały organ skrzywi się silnie ku dołowi, stale w tym położeniu nadal pozostanie, tracąc wszelką wrażliwość. Ztąd wynika, że tylko dolna część poduszeczki stawowej przy lodyżce jest wrażliwą; górna zaś służy tylko jako organ pomocniczy.

Najbardziej nauczającym i zajmującym jest jednak następujące doświadczenie. Oddzielamy za pomocą ostrego noża korzonek liścia poniżej poduszeczki stawowej od lodygi, poduszeczka stawowa skrzywia się wówczas ku dołowi i kropla wody występuje z niej na przecięciu. Cały liść w ten sposób odosobniony znajduje się w stanie rozdrażnienia; jeżeli umocujemy go następnie pod kloszem szklanym w wilgotnej atmosferze, to poduszeczka stawowa jego znów się wyprostuje i odzyska nawet dawną swą wrażliwość, tak że każde poruszenie, zwykły ruch wywoła. Wtedy w dotykalny sposób przekonać się będziemy mogli, że podczas tego ruchu kropla wody znów z przecięcia poprzecznego występuje; występuje ona z tkanki otaczającej wiązkę włókno-naczynną i to prawie wyłącznie albo przynajmniej przeważnie z tkanki składającej część dolną poduszeczki, to jest dotykającej wiązki włókno-naczynnej od spodu. W skutek tego drażnienia i woda z komórek dolnej części poduszeczki stawowej wypartą zatem zostaje, woda ta w naturalnym stanie rzeczy, nie może jak się samo przez się rozumie, wystąpić na zewnątrz, a tylko wchodzi w wielkie przestwory między-komórkowe, które się dokoła wiązki włókno-naczynnej znajdują. Z wystąpieniem wody z komórek zmniejsza się naturalnie ich turgor (naprężenie) a zatem i ich objętość, a za pomocą dokładnych porównawczych zmierzeń, da się równocześnie wykazać zmniejszenie objętości całej poduszeczki stawowej. Cały organ stracił zarazem na sprężystości. Zmniejszenie objętości dotyczy zresztą tylko dolnej części stawu, gdyż górna nawet się nieco przedłuża; w każdym razie jednakże przedłużenie górne jest daleko nieznaczniejsze niż dolne

skurczenie. Przedłużenie górne części stawu następuje zaś w skutek tego, że przyjmuje ono w siebie część wody wydzielonej przez dolną część. Jeżeli liść oddzielony od łodygi, w powyżej opisany sposób a zatem skrzywiony włożymy do wody, to skrzywienie poduszeczki stawowej wkrótce i to bardzo prędko znika. Dolna połowa stawu pochłonęła teraz bowiem wiele wody, objętość jej się powiększyła i wskutek tego powodowała wyprostowanie się całej poduszeczki.

Z tego wszystkiego jasno wynika, że mamy tu do czynienia ze skomplikowanym zjawiskiem naprężenia tkankowego (Gewebes paunung). Poduszka stawowa mimosy składa się z dwóch elastycznych pasków tkankowych i ze środkowej mało rozciągalnej wiązki. Z tą wiązką oba paski są połączone i usiłują ją rozciągnąć, oba paski znajdują się oprócz tego w ciągłym względem siebie antagonizmie. Górny pasek jest dłuższy i pochylałby bezustannie cały organ ku dołowi, gdyby dolny pasek nie był tak silnie wydłużony w skutek olbrzymiej turgoscencyi swych komórek. W tych komórkach znajdują się ciała nadwyzczaj silnie przyciągające wodę, która naciska na błony komórki i rozciąga je o tyle, o ile tylko elastyczność ich na to zezwala. Nie dawno dr. Pfeffer w Marburgu obliczył, że ciśnienie zawartości komórki na błonkę jest tu tak silne, że wyrównywa ciśnieniu 10 atmosfer czyli słupa wody 320 stóp wysokiego. Tylko w skutek tak silnego wydłużenia komórek spowodowanego tem wielkiem ciśnieniem, połowa poduszeczki stawowej jest w stanie utrzymać w równowadze górną, ale równowaga ta bardzo jest sztuczną. Najślabszą przyczyną spowodowuje wyparcie wody z dolnej połowy stawu, ta wskutek tego się skraca, górna połowa zyskuje przewagę i cały organ skrzywia się ku stronie krótszej, tak jak przy powyżej przytoczonym doświadczeniu z paskami gumelastyki.

Woda wyparta z dolnej połowy stawu wstępuje w puste przestwory pomiędzy jej komórkami. Powoli komórki te znów ją pochłaniają, ciśnienie w nich się wzmacnia, objętość ich się powiększa tak dalece, że w rezultacie tkanka znów jest w stanie zrównoważyć górną i cały organ się prostuje.

W ten sposób poznaliśmy mechanizm tego dziwnego zjawiska, do zupełnego pojęcia go jeszcze nam daleko. Wiemy co tu umożliwia ruch, ale powód pierwszy tego ruchu zawsze nam jeszcze zostaje zagadką. Jakim sposobem, możemy bowiem zapytać dalej, mechaniczne wstrząśnienie może spowodować nagle wyparcie wody z dolnej połowy stawu. Wiemy, że się tak dzieje, ale dlaczego mianowicie trudno nam wyjaśnić. Czyżby ta mała siła która wystarcza do spowodowania ruchu, miała zmieniać molekularną budowę błonki komórkowej w dolnej połowie stawu? Czyżby miała zmienić ją tak dalece, by aż woda zawarta w komórkach, mogła nagle przesiąkać między molekulami tej błonki? Jest to nieprawdopodobnem, a co najważniejsza nie znamy żadnego faktu, na którymbyśmy mogli oprzeć takie przypuszczenie. Przeciwnie, wszelkie zkadinańd zebrane doświadczenia na inną wskazują substancją, do której i w tym razie uciechy się trzeba; wskazują na protoplazmę.

Podług naszych obecnych zapytywań uważamy błonkę za tak dobrze jakby martwą istotę, podczas gdy protoplazma jest ogniskiem życia. Sama błonka bowiem jest dopiero utworem tej protoplazmy. W wykształconej błonce zaledwie wyobrazić sobie potrafimy dowolne, samodzielne przemiany; gdy przeciwnie przyzwyczajeni jesteśmy widzieć protoplazmę w bezustannej samoistnej czynności. Wspomnieliśmy już powyżej, że we wnętrzu komórki odbywa ona samodzielne ruchy, mówiliśmy również o tem, że bez wyraźnej przyczyny zmienia swój stosunek co do ilości pochłoniętej wody, gdyż przy tworzeniu się pulsujących vacuoli raz kroplę wody wydziela, po chwili znów ją pochłania. Być zatem może to, że protoplazma jest w stanie zmieniać swoją budowę i w skutek małoważnych przyczyn, ona w zajmującym nas tu wypadku zatrzymuje wodę w komórkach, znajdujących się w stanie naprężenia, że nagle zaś zmieniwszy swój stan molekularny wodę tę przepuszcza; być może również, że w owej chwili jej własne powinowactwo do wody się zmniejsza. Błonka zaś w takim razie o tyle tylko do wystąpienia wody z komórki by się przyczyniała, o ile wskutek swego naprężenia mechanicznie na zawartość komórki ciśnie.

W protoplazmie zatem szukać należy, jak myślę, rozwiązania zawilego problemu, który nas zajmuje. Jeżeli protoplazma spowodowywa rzeczywiście powyżej opisane zjawiska ruchu, to może tem samem się wyjaśni, dlaczego drażliwe organa mimosy zachowują się pod wpływem pewnych odczynników, podobnie jak nerwy wyżej ukształconych (uorganizowanych) zwierząt. Kiedy jeszcze w ruchach mimosy upatrywano zjawisko odpowiednie działaniom nerwów, badano wtedy jaki wpływ wywierają na mimosę środki specyficzne działające na nerwy, a przedewszystkiem pary chloroformu. Te ostatnie tamują jak wiadomo działalność nerwów zwierzęcych, otóż doświadczenie wykazało, że one i ruchy mimosy wstrzymują. Lecz dziwić nas to nie powinno, jeżeli jak wyżej nadmieniliśmy, zechcemy w protoplazmie szukać pierwszych przyczyn ruchów mimosy. Wiadomo nam przecie, że ta główna substancja komórki jest wspólną zwierzętom i roślinom, że ona jest właściwą podstawą życia w obu tych królestwach. Jeżeli zatem wystawimy komórki na wpływ takiego czynnika który oddziaływa na protoplazmę, to wywołane rezultata będą musiały być podobne w państwie roślinnem i zwierzęcóm. Oddziaływanie pary chloroformu na mimosę jest nam więc tylko nowym dowodem, że protoplazma w obu razach jest identyczną; że zaś ruch mimosy nic wspólnego niema z ruchem zwierząt, wywołanym przez działanie nerwów, nie ulega zdaje się wątpliwości po tém wszystkiém cóśmy powiedzieli.

Chociaż mimosa nie jest jedynym przykładem ruchu roślin spowodowanego przez drażnienie, jest jednakże przykładem najwybitniejszym. Ruch ten obserwować także można u liści Szezawników (*Oxalis*) u niektórych roślin motylkowatych, u Pylników *Berberysu*, *Cynerei* i t. p. Szczególną jest tak zwana: Mucholówka (*Dionaea muscipula*) której liście się podłużnie składają, gdy głównego ich nerwu dotkniemy

Drażnienie spowodowane przez owady, siadające na powierzchni liścia, wystarcza do wywołania tego ruchu; obie połowy liścia nagle się ku sobie górną swą powierzchnią zbliżają, liść się, że tak powiem, zamyka, a owad najczęściej znajduje śmierć na jego powierzchni.

Nie wszystkie jednak ruchy w świecie roślinnym są spowodowane przez zewnętrzne drażnienie. Boczne listki *Hedysarum gyrans*, indyjskiej motylkowatej rośliny poruszają się bezustannie powyżej temperatury 22° C. W tym razie zewnętrzne pobudki są zbyteczne, wystarczają wewnętrzne, mające początek w samójże roślinie. Być może, że te wewnętrzne przyczyny wpływają podobnie jak zewnętrzne u *mimosy* na protoplazmę zawartą w poduszczkach stawowych liści zmieniających ich zachowywanie się względem wody. Tkanka w poduszczkach stawowych listków bocznych i u *Hedysarum* w każdym razie pod względem mechanicznej budowy mało od *mimosy* się różni; u *Hedysarum* widzimy bowiem silnie naprężone przeciwdziałające sobie tkanki w równowadze, którą drobna przyczyna zniweczyć może. Takie rośliny jak *Hedysarum gyrans*, nazywamy samoistnie peryodycznie poruszającymi się.

Zbliżonóm do tych, chociaż daleko powszechniejszém zjawiskiem, jest sen roślin. Zbliżonóm jest o tyle, że uwarunkowują też same zupełnie mechaniczne momenty, mianowicie naprężenie przeciwdziałających sobie tkanek w poduszczkach stawowych liści. Urządzenie jest to samo jak u wrażliwych lub też samoistnie się poruszających roślin i dla tego spostrzegamy u tych ostatnich bez wyjątku ruchy senne. Po zachodzie słońca zwieszają się wszystkie ogonki liściowe, i u *mimosy*, listki zbliżają się ku sobie, zupełnie tak jak gdyby drażnienie z zewnątrz było nastąpiło, z tą tylko różnicą, że poduszczki stawowe nie tracą sprężystości jak po podrażnieniu, ale przeciwnie nawet są sztywniejsze niż to ma miejsce we dnie, w stanie niedrażnionym; cały organ przytém jest zupełnie nieczułym. Dla wywołania tego nocnego położenia zupełnie te same mechaniczne środki zostają użyte jak dla pochylenia liścia wskutek podrażnienia, tylko pierwsze przyczyny w obu razach różne. Nowsze doświadczenia przekonywają nas również, że *mimosa* podobnie jak *Hedysarum* odbywa samodzielne peryodyczne ruchy. Dość trzymać *mimosę* przez jakiś czas w ciemném miejscu lub też ją wystawić na ciągłe działanie światła (sztucznego) by się o tém przekonać. Liście odbywają wtenczas w długich odstępach powolne ruchy naprzemian się podnosząc i chyląc. Owoż światło oddziaływa na te peryodycznie poruszające się organy; zwiększenie jego siły (intensywności) powoduje rozpostarcie się liści, zmniejszenie się zaś, ich pochylenie. Dlatego to stan, w którym liście są rozpostarte, jest stanem dziennym, stan zaś, w którym liście są zwieszane, stanem nocnym czyli sennym rośliny. Któż nie zauważył, że *Akacya* (robinia) w ogrodach naszych liście do snu składa? Samodzielne peryodyczne ruchy mogą być dość silne, by jak u *Hedysarum gyrans* usamowolnić się od światła; lecz to rzadki wypadek: zazwyczaj wpływowi temu ulega-

ją tak, że długość samodzielnych peryodów w zupełności od zmian światła staje się zależną, dzień i noc, granice peryodów oznaczają. Tak się dzieje z mimosą, tak ze wszystkimi w nocy śpiąciami roślinami.

Jakiż pożytek jednak ciągną rośliny z tych skomplikowanych ruchów? Pytanie to jest usprawiedliwione, gdyż wiemy że natura niezuosi niepotrzebnych narzędzi. Pożytek nie zawsze jasno nam się przedstawia, jednakże zdaje się że skupienie listków podczas snu rośliny jest obroną przeciw nocnej rosie. Liście składające się w nocy są po największej części budowy bardzo delikatnej, utrzymują się jednak przy życiu wskutek tego urządzenia. Nie jest nieprawdopodobnym, że delikatne, wrażliwe listki mimosy przez to, że podczas niepogody się składają, chronią się od jej zgubnego dla nich wpływu.

Nie łatwiejszém do odpowiedzenia jest pytanie, jakim sposobem tak skomplikowane urządzenia powstać mogły, ale i tu odpowiedź po jakimś namyśle znaleźć można, która ma pewne prawdopodobieństwo za sobą. Znamy wiele gatunków liści przytwierdzonych za pomocą stawów do swój łodygi, będących pomimo to zupełnie nieruchomymi. Dzieje się to wskutek tego, że tkanki ich stawów zawczasu twardnieją, że wszelką elastyczność tracą, a tém samym i niezbędne własności do wywołania ruchu. Wzajemne naprężenie tkanek nie jest bowiem wyłączną właściwością ruchomych poduszek stawowych, lecz wszystkich jeszcze niewykształconych organów. Dość więc przypuścić że dany staw zachowuje i w późniejszych stadyach rozwoju swe naprężenie, ażeby zyskać punkt wyjścia dla powyżej opisanych urządzeń. Chcąc uprzytomnić sobie powstanie tych organów, nie należy też zaczynać od najbardziej skomplikowanych przykładów, jak np. od mimosy, ale przypomnieć sobie, że te skomplikowane wypadki wiążą się przez cały rząd pośrednich stopni z najprostszymi. Na mimosę „pudica“ oddziaływa już najslabsze podrażnienie, gdy niektóre inne rodzaje mimosy potrzebują dopiero dość silnych uderzeń. Akacje naszych ogrodów są wrażliwe, ale tylko na bardzo silne wstrząśnienia; przy mocnym wietrze postać akacji wyraźnie się zmienia: listki jej się chylą i skupiają parami jak do snu. Tak więc możemy jeszcze odnaleźć wszystkie stopnie drażliwości w państwie roślinnym i zjawisko które w krańcowej formie tak nam się niepojętém wydaje, staje się nam przystępniejszém, gdy za jego początkiem śledzimy. Tą drogą postępuje dziś nauka przy badaniu wszystkich trudniejszych kwestyj i nie jedno wtenczas udaje się jej w dość prosty sposób wytłumaczyć, co z początku w zdumienie nas wprawiało. Tę drogę badania wskazała nam zaś teorya descendencyi (Darwina) i jej zawdzięczamy dziś największe zdobycze naukowe. Przyjmujemy za punkt wyjścia, że wszystkie gatunki zwierząt i roślin ze wspólnego źródła się rozwinęły, szukamy więc ich powinowactwa. Mniej wykształtowane organizmy stają się nam podstawą do zrozumienia więcej ukształtowanych, gdyż te pierwsze uważamy za dawniejsze, choć nieraz z czasem silnie zmienione są stadya rozwoju tych ostatnich. W tém zapatrywaniu się popiera nas całe nasze naukowe doświadczenie: paleontologia, która nam przedstawia rzeczywisty rozwój organizmów w następujących po

sobie peryodach naszego planety, historia rozwoju każdego w szczególności organizmu, w której spostrzegamy powtórzenie jego paleontologicznego rozwoju. Teorya descendency umożliwia nam zrozumienie całego dzisiejszego istnienia, przedstawiając go jako chwilę w historycznym rozwoju wszechświata. Teorya descendency jest wprawdzie tylko naukową hipotezą, ale najplodniejszą w następstwa i najprawdopodobniejszą ze wszystkich, które nauki przyrodnicze kiedykolwiek znały. Zastosowanie jej w badaniu przyrody prowadzi nas do rezultatów o których dawniej nie mogliśmy marzyć. A więc mamy słusność, że teorię tę przyjmujemy za przewodnią w naszych badaniach, że na jej podstawie stawiamy sobie dalsze cele i zadania, nie troszcząc się o zarzuty analityków, tak zwanych surowych empiryków, którzy sądzą że badać należy nie pytając o cel, że cel znajdzie się jako rezultat badania. Przeciwno temu kierunkowi moglibyśmy zastosować słowa Goetego: „Wielkiem niebezpieczeństwem w które analityk popada, jest to, że stosuje swoją metodę tam, gdzie za podstawę nie służy synteza. Praca jego jest wtedy właściwie pracą Danaid i widzimy najsmutniejsze ztąd przykłady, gdyż w samą rzeczycy pracuje, ażeby wreszcie znów dojść do syntezy. Jeżeli jednak badanie jego nie jest oparte na syntezie, to próżném będzie jego staranie; tę syntezę odkryć, wszystkie badania będą mu tylko przeskodą i to w miarę jak ilość ich się zwiększa.“

O słowach tych zawsze nam pamiętać należy i trwać nadal w pracy syntetycznej, zbadanie pojedynczego wypadku o tyle zaś ma tylko dla nas wartość, o ile ono do poznania ogółu prowadzi; przez poznanie szczegółu chcemy dojść do poznania nieskończoności, gdyż jak powiada znowu Goethe: *Willst du ins Unendliche schreiten, Geh'im Endlichen nach allen Seiten.*

DAWNA ZIEMIA BIELSKA I JĘJ CZĄSTKOWA SZLACHTA.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Ciekawe byłyby dzieje Podlasia, gdyby kto umiejętnym piórem obraz ich skreślił. Szum głębokich puszczy przerywany łowieckim okrzykiem napół dzikiego ludu, słynącego z grabieży i waleczności, zwanego Jadzwingami lub Jaćwieżą; to pierwsza chwila tych dziejów. Książęta polscy i inni dla własnej spokojności i dobra swych poddanych walczą z tymi poganami i wytępiają większą część łupieżców, którzy

aż pod Zawichost i dalej kraje polskie pustoszyli. Reszta Jaćwieży przyjmuje chrzest lub kryje się w borach i ucieka do Litwy. Odtąd lud ten na zawsze ustępuje z pola dziejów, nie zostawiwszy wieści z kąd przybył, jakiej mowy używał, jak nazywał sam siebie, jaka krew w nim kipiała i jakim bogom cześć dawał? Dziś z czterech naszych badaczy przeszłości, którzy o nim pisali, dwóch uważa Jaćwież za szcep litewski, jeden za Jazygów, a czwarty za Mazurów.

Drugą dobę swych dziejów przebywało Podlasie jako sporne pogranicze książąt Litwy, Mazowsza a nawet Krzyżaków, którzy to ostatni nie różniąc się srogością i łupieństwem od Jadźwingów, a chytrą ich przewyższając, bezczelnie rościli prawo do tej krainy, pomimo że w r. 1253 papież Inocenty IV przyznał Podlasie na wieczną własność Bolesławowi księciu krakowskiemu zwanemu Wstydliwym lub Pudykiem. W tej dobie ciągnącej się od wieku XIII do XVI, liczna szlachta przybywająca z Mazowsza osiada na Podlasiu.

Po czasach krajowych zamieszek, poczyna się trzecia doba dziejów podlaskich, doba pokoju i pomyślności pod opieką praw narodowych i przemożnych królów polskich. Zamożność rośnie, szum puszczy przemienia się w falę kłosów na łanie, szlachta karczuje bory, dziedziczy ziemie na prawie wieczystém, używa takich swobód i wolności jak panowie, a jej szybkie rozradzanie się jest dowodem dobrobytu. Żartują z niej wprawdzie sąsiedzi: że *szlachciec podlaski ma piasek, lasek i karaski*, że choć nieraz ma *fortun sześć, ale niema co jeść*, że gdy pies usiądzie na jego dziedzictwie to już ogon połozył musi na drugim, że *czyja kosa pierwsza, tego łąka szersza* i t. d. Na to odpowiada Podlasiąnin choć w łapciach ale z kordem przy boku: że *szlachciec na zagrodzie jest równy wojewodzie* i choć *nie umie pisać ani czytać ale królem może zostać, że fortuna jego nie szeroka, ale głęboka i wysoka*. Ta trzecia doba dziejów zaczyna się właściwie od utworzenia podlaskiego województwa przez króla Zygmunta Starego, co miało miejsce podług Niesieckiego w r. 1514, wedle zaś Naruszewicza r. 1520. Pierwszym wojewodą został Jan Chodkiewicz, a nowe województwo podzielone na trzy ziemie: Bielską, Drohicką i Mielnicką.

Gdy ziemie Drohicka i Mielnicka ciągnące się po obu brzegach Bugu stanowiły południową, nieco większą połowę województwa, to ziemia Bielska przetrzęta Narwią i Biebrzą obejmowała w sobie północną mniejszą połowę Podlasia. Był to pas ziemi długi do mil 20 a szeroki nad Biebrzą tylko półtory mili, a nad Narwią i Nurcem do mil sześciu i siedmiu, zajmujący przestrzeni około 102 mil kwadratowych. Pas ten ziemi ciągnął się z północy od Augustowa i Rajgrodu na południe do Brańska, Boćk i Kleszczel, a dla swój rozciągłości podzielony został na trzy powiaty: Brański, Surazki i Tykociński. Ziemia wzięła swoje miano od miasta Bielska, które jednak było bez znaczenia, bo wszelkie sądy i sejmiki odbywały się w Brańsku, Tykocinie lub Goniądzu, a archiwa znajdowały się w tych trzech miastach i w Surażu.

Ziemia Bielska graniczyła na północ i wschód z powiatem Grodzieńskim województwa Trockiego, na południo-wschód z wojew. Brzesko-litewskiém, na południe z ziemią Mielnicką i Drohiczką, na zachód z Łomżyńską i Wizką woj. Mazowieckiego, a w okolicy Rajgrodu dotykała Prus książęcych, czyli jak po staroświecku tu nazywano granicy krzyżackiej, właściwie zaś okolicy mazowieckiej zwanéj ziemią *Golegzińską* lub Galindą, zagarniętą w wieku XIII przez Niemców. Granica ziemi Bielskiej od Mazowsza była w znacznej części wodna idąca z rzeką Łęg płynącą z Prus do Biebrzy; dalej szła od ujścia Łęgu Biebrzą aż do ujścia tejsze w Narew, potem w górę Narwi do ujścia Śliny i Śliną na niewielkiej przestrzeni. Dalej granica Podlasia z Mazowszem była suchą i tylko koło miasta Wysokie stanowiła ją rzeczka Brok, środkiem Wysokiego płynąca, od czego téż dostało nazwę mazowieckiego, gdy inne Wysokie w wojew. Brzeskiém, litewskiego. Nurzec od Brańska do Wyszonk stanowił w części granicę ziemi Bielskiej z Drohiczką, a rzeczka Brzozówka do Biebrzy wchodząca, ustanowiona jeszcze w r. 1350 za granicę posiadłości mazowieckich z Litwą, odgraniczała później na przestrzeni mil kilku ziemię Bielską od wojew. Trockiego.

Wedle spisu wsi i miast z 1676, jaki mam pod ręką, ziemia Bielska posiadała wtedy pierwszych 885 i drugich 12, to jest: Bielsk, Brańsk, Boćki, Suraż, Orla, Kleszczek, Narew, Tykocin, Knyszyn, Goniadz, Rajgród i Augustowo. Parafii rzymsko katolickich znajdowało się trzydzieści kilka i kilka unickich. W ciągu ostatnich dwóch wieków przybyło na przestrzeni ziemi Bielskiej zaledwie kilka wsi i kilkanaście nowych rolnych folwarków, a cztery wsie zamieniono w miasta: Białystok, Choroszcz, Trzciannie i Sokoły. Parafii lub filii przybyło ośm: Uchowo, Gietczyn, Krypno, Choroszcz, Bargłowo, Augustowo, Poświętne i Piekuty. Ze spisu wszystkich dymów ziemi Bielskiej dokonanego w r. 1775, który także posiadam, przekonąć się można, iż w ciągu lat stu poprzedzających go, żadna prawie zmiana w nazwiskach i liczbie wiosek nie nastąpiła. Znaczną przestrzeń ziemi zajmują królewszczyzny składające się z ośmiu starostw: Augustowskiego, Rajgrodzkiego, Knyszyńskiego, Surazkiego, Brańskiego, Bielskiego, Narewskiego i Kleszczelskiego. Dobra duchowieństwa w całej ziemi posiadają tylko 352 dymów, prywatne zaś czyli dziedziczne składają się z 73 dóbr większych t. j. jedno lub kilka folwarkowych i 6,300 fortun cząstkowej szlachty stanowiących razem 436 wiosek, których grunta obejmują rozległości około 40 mil kwadratowych. Na jedną zatem wieś wypada przecięciowo 14—15, a na jedną milę □ 157—8 właścicieli ziemskich. Z ogólnej liczby 11,026 dymów dziedzicznych w ziemi Bielskiej wypada 2841 na owe 73 większych majątności, a 8185 na 6,300 części szlacheckich, z których 5811 miało po jednym tylko dymie, a pozostałych 489 właścicieli, posiadało razem 2374 dymów. Niektórzy z téj bogatej cząstkowej szlachty mieli swoich włościan i po kilkanaście włók ziemi zwani panami lub *półpankami*

od uboższej *bract*, która często na kilku morgach poprzestawała. Posiadający swoich włóścian było atoli bardzo mało, bo dziś np. w parafii Kobylino (w Tykocińskim) na 600 domów częściowej szlachty, niema podobno ani jednego kmiecego. Szlachta jako lud rolniczy nie wstydzi się żadnej przykładowej pracy ani służby, uprawiając skibę synu po ojcu, sama własnoręcznie lub pospołu z czeladzią swoją.

Spisów ludności szlacheckiej nie możemy mieć z dawnych czasów, bo wiadomo iż jeszcze na sejmie czteroletnim znalazły się głosy przeciw ułożeniu ksiąg ludności szlacheckiej. Można jednak co do częściowej szlachty postawić cyfry przybliżone na zasadzie pewnych danych. I tak, ponieważ wedle różnych obliczeń przypada u nas na każde małe gospodarstwo przeciętnie około głów siedm, więc na 6,300 gospodarstw (w r. 1775) ziemia Bielska mogła liczyć około 44,100 głów ludności szlacheckiej, czyli w przecięciu 100 na każdą wioskę, nie licząc szlachty zamieszkałej lub zostającej w służbie w miastach, starostwach, kluczach prywatnych i folwarkach, z którą ogólna liczba w ziemi Bielskiej do 60,000 wynosić mogła. Ponieważ ziemia Drohicka razem z Mielnicką posiadały drugie tyle wsi szlacheckich co Bielska, a przestrzeń większą, zatem całe Podlasie niewątpliwie liczyło w wieku zeszłym szlachty około sto kilkanaście tysięcy. Gdy zważyemy że dwa razy większe od Podlasia wojew. Mazowieckie a szczególniej ziemi: Wizka, Łomżyńska, Nurska i Ciechanowska wraz z Łukowską woj. Lubelskiego, posiadały dwa razy tyle wsi częściowej szlachty co Podlasie, to liczba jej w tych ośmiu ziemiach z trzech województw wynosić mogła około trzykroć kilkadziesiąt tysięcy. Dziś gdy ogólna ludność krajowa od lat stu podwoiła się w wielu prowincjach, to liczba tej szlachty na przestrzeni owych dawnych ośmiu ziem, przeszło pół miliona wynosi niezawodnie.

Ze starych nadań i archiwów widzimy że najwięcej szlachty przybyło do ziemi Bielskiej w wieku XV z Mazowsza, a mianowicie z ziemi Łomżyńskiej, Wizkiej i Ciechanowskiej i osiadło tu na przywilejach książąt mazowieckich, litewskich i królów, którzy chętnie rozdawali leśne obszary na wieczne dziedzictwo za obowiązek służby rycerskiej w obronie kraju. Z tej to przyczyny mnóstwo nazw mazowieckich powtarza się na Podlasiu a w samej ziemi Ciechanowskiej naliczyłem 60 starożytnych wsi, których nazwiska istnieją także w ziemi Bielskiej. Do tych należą: Włosty, Wypychy, Cibory, Bolesty, Konarzewo, Święchy, Kałęczyno, Bieńki, Kraszewo, Jabłonowo, Żochy, Szestaki, Trojan, Rzące, Chrzczony, Bogusze, Falki, Jarnuły, Pierzchały, Idzki, Krzyżewo, Kiernozy, Pomiany, Rogowo, Kierzki, Czechy, Pajewo, Kąty i t. d. Truszkowie są tak w ziemi Ciechanowskiej jak Łomżyńskiej, Wizkiej i Bielskiej, wszędzie przez ród Truszków założone, którzy później nazwali się od gniazd swoich Truskowskimi. Prawda że wiele nazw powyższych pochodzi od herbów lub dawnych imion, które wszędzie powtarzać się mogły, wiedzieć jednak trzeba, że imiona te i herby

w owych czasach zastępowały nazwiska, a o przeniesieniu się ich na Podlasie mamy wiadomości z archiwów zacerpnięte.

Ponieważ do wyjaśnienia początku dzisiejszych nazwisk wielu wsi i rodów służyć (obok herbów) starożytne imiona (które w w. XV i XVI niesłusznie zarzucone zostały, a dziś jako słowiańskie i przez nadziadów naszych ulubione, przynajmniej niektóre wznowione być powinny), przytaczam więc tu kilkadziesiąt najczęściej przez szlachtę podlaską i mazowiecką dawniej używanych: Wszebor, Jaręt, Mrocześław (Mroczek), Jarosław, Mściśław, Dobiesław (Dobek), Ninogniew, Trojan, Sasin, Grzymisław, Falisław, Świętosław, Przećław, Dobrosław, Derśław, Zdzisław, Wojsław, Bogusław, Sławosław (Sławek), Pełka (Fulko), Przybysław, Wielisław, Sławuta, Sobiesław (Sobiech, Sobek), Junosza, Boksa, Węcęsław lub Węcław, Wirzchosław, Niemir (Niemiera), Nadbor, Sambor, Wielebor, Mielez, Truchon, Gosław, Sak, Iwoch, Ik, Bogdan, Sobieszand, Ścibor albo Cibor, Herwist lub Arwist, Borzym, Jaszczeld, Racibor, Czeczotkon, Wojdo, Czach, Sądek, Ziemosław (Ziemak), Dobrogost, Daćbóg, Przedom, Pomściborz, Bień (Benedykt), Basz (Bartłomiej), Wojtasz (Wojciech), Jakusz (Jakób), Bronis (Bronisław), Rąbko (?), Chudor, Mierzon, Męcimir, Sędzimir, Sędziwój, Świaskon, Włost, Tymosz (Tymoteusz), Chrzon lub Chrzczon, Chrystyn (Krystyn) i t. d.

Ze szlachtą mazowiecką zlewała się w z. Bielskiej inna muij liczna przybyta od strony Wołynia i Litwy albo wynurzona z ludu miejscowego. „Bo gdy wojsko narodowe składało się z rodów (powiada W. A. Maciejowski, Polska i Ruś, II, 321), a każdy ród pod własną chorągwią rodowym oznaczoną herbem walczył w szyku wojennym, przeto szlachta (panowie) chętnie do spółnictwa swego i do herbowego klejnotu przypuszczała ludzi gminnych wolnego stanu, ażeby tém więcej wyprowadzać mogła klejnotników pod rozwiniętą do boju chorągwią. Nieraz człowiek prosty do herbu przyjęty, nawet nazwiska klejnotu swojego nazwać nie umiał; ale mimo to pysznił się“ i t. d. Szlachta owa z Rusi częściej od imion powyższych używała takich jak: Hryć, Hryń, Hwedor, Waško i t. p. W akcie spisany w roku 1537 czytamy: „Chwietko filius Michaelis, Pasko filius Stanisłai, Iwan filius Daszko.“ Zanim uformowały się nazwiska dziedziczne, co dosyć późno nastąpiło, synów nazywano po ojcu; tak więc syn Hrynia zwał się Hryniewicz, syn Paska Paskiewicz (Paszkiewicz), Waška Waškiewicz (Waszkiewicz), Daszka, Daszkiewicz i t. d. Niekiedy z imion tworzyły się nazwiska dziedziczne bez dodania *ski* lub *wiez*, i tak mamy domy: Borzymów, Jaszczoldów, Niemirów, Sędzimirów, Bohdanów i t. d. Z imion męzkich zwykle tworzone żeńskie a w starych aktach podlaskich napotykamy: Stachnę, Świętkę, Wichnę, Ludmiłę, Bogumiłę, Czechnę, Hedwigę, Fulkę, Machnę, Mścichnę, Oluchnę (Aleksandrę), Hinkę, Kordulę, Drusjanę, Bronisławę i t. d.

Jako pierwsze nazwiska uważać można tak zwane *przydomki*, które były już wtedy dziedziczne, gdy nazwisk na *ski* zakończonych

wcale jeszcze nie używano. Przydomék zowią tu niekiedy *przezwi-
skiem*, bo zwykle narzucają go ludzie pewnej osobie, w skutek jakie-
goś jój wydarzenia lub śmieszności. Po ojcu nosi go syn i wnuk spad-
kowo, czyli cała linja, ród, *dom* szlachecki, a ztąd pochodzi nazwa *przy-
domku*, który się kładzie przy nazwisku nazywaném także niekiedy
przydomkiem, i służy nieraz dla kilku i kilkunastu rodzin. W miarę
rozradzania się licznych rodów wspólnego herbu i nazwiska od wspólnéj
dzielnicy, przydomki pomnożyły się i stały bardzo wygodne dla
odróżnienia domów jednéj nazwy. W pewnych aktach urzędowych
kładzione zwykle między imieniem i nazwiskiem w miejsce herbu naj-
częściéj opuszczanego, dziś w mowie potocznej zastępują nieraz nazwi-
sko, gdy mowa o trzeciéj osobie. Na przestrzeni dawnéj z. Bielskiéj
znajduje się niewątpliwie obecnie kilka tysięcy przydomków, z których
kilkadziesiąt tu przytaczam bo wiele z nich sięga XV i XVI stulecia:
Racibor, Gąsiorek, Górka, Skibka, Łapa, Szczerbik, Jurczyk, Broda,
Pęza, Gajko, Kudzin, Kiernożek, Wołyniec, Motek, Fralich, Ostapek,
Brejczak, Szmurło i Szwed (przydomki Kropiwnickich niegdyś Kropi-
dlińskich). Kokoszka, Pięta lub Piętka i Ława (W norowskich). Kry-
sik, Poszewka, Bućko, Marcyk i Polak (Pogorzelskich). Rej, Śmietana,
Śledź i Tatko (Sikorskich). Szczygieł i Jednoruki (Poroskich).
Łoś, Gontor, Królik, Cipła, Arnold, Wołowiec i Matej (Roszkowskich).
Wał, Piskorz i Kawatek (Grodzkich). Suchopiątek (Perkowskich).
Sobieszczyk i Łopata (Zaleskich). Kurszatak Kuleszów. Bosak i Ma-
łyska (Wyszyńskich). Hetman i Zajac (Gąsowskich). Zejusz i Pęza
(Kamińskich). Chramza (Dworakowskich). Kluch (Jamiołkowskich).
Objędo (Żebrowskich). Kępisty (Srednickich), Głuszyk (Płońskich).
Bronis, Poliz i Guz (Krzewskich). Baran (Babińskich). Pietrzyk
i Pierdun (Kobylińskich). Rączka (Brzozowskich). Bodaj i Piechota
(Łapińskich). Kubel (Leśniewskich). Janiak i Chełchun (Makowskich).
Rolik, Kreska, Pszenica, Żabka, Kopeć, Wojsławik, Wzorek, Joc,
Dzierka, Ładuga, Biskup, Księżyk, Wałach, Razmiak, Kuczka, Pudę-
ko, Tworek i t. d. Gdy i na Mazowszu sposób używania przydomków
jest ten sam co na Podlasiu, przytaczam tu niektóre z ziemi Łomżyń-
skiéj: Wasieczko, Suka, Jądraszek, Marcjańczyk, Gorczyca, Robak
i Pochwaleniec (przydomki Maleszewskich). Grochowski, Figiel, Du-
sza, Jopik, Marcyk, Kasztelan i Wojsławik (Ciborowskich). Kołtek
(Ożarowskich). Dumka lub Zdun, Warda, Klikun, Jorczak, Sierka,
Pszczelny, Madrzak, Bies, Czubiak i Lotka (Wądołowskich). Trel
i Skwara (Zambrzyckich), Malik, Szczesniak, Krolak, Nadolniak i Gry-
ziak (Grabowskich). Tera i Portki (Targońskich).

Pierwotnie obszary ziemi i lasów dzieliły się tu na dzielnice czyli
nadania lub kupna, obejmujące przecięciowo po kilkadziesiąt włók zie-
mi w jednym *okręgu* (w innych stronach kraju zwane *opolami*). Każ-
ga taka dzielnica miała swoją nazwę bądź od strumyka, który ją prze-
rzynał np. Liza, Rokitnica, Kołomyja, Sulkow-stok, Jałbrzyków-stok,
Niewoduica i t. d., bądź od jakiegoś jój osadnika lub rodu dziedzicze-

go. W obyczaju leżało, że każda wieś założona w obrębie dzielnicy od niej brała swoje nazwisko. Gdy w skutek częściowej odprzedaży lub podziału dzielnicy między rodzeństwo, powstawały nowe osady i wioski, to wszystkie miały jedno nazwisko wspólne, a drugie oddzielne zwykle od nazwy założyciela lub nowego posiadacza wzięte. Ztąd powstawały podwójne i potrójne, a niekiedy poczwórne nazwy jakie dziś każda prawie wieś cząstkowej szlachty na Mazowszu i Podlasiu posiada. Na większych dzielnicach powstawało zwykle kilka a niekiedy kilkanaście wsi oddzielnych. I tak na dzielnicy Łapach istnieje dziś 12 siół tego nazwiska, które niżej wyliczymy. Za przykład jednak weźmiemy tu dzielnicę Sikory nazwaną tak od dziedziczącego na niej domu Sikorów, który pierwotnie przybył zapewne z Mazowsza, gdzie w Mławskiem i Lipnowskiem są starożytnie wsie Sikory. Około połowy XV wieku niejaki Maciej Sikora, dziedziczył całą tę dzielnicę na Podlasiu i podzielił między sześciu swoich synów: Pawła, Bartłomieja, Tomasza, Piotra, Wojciecha i Jana. Założyli oni sześć oddzielnych sadyb, które stały się wioskami zaludnionymi w większej części ich potomstwem. Dziś na dzielnicy tej istnieją siola: Sikory Pawłowięta, S. Bartkowięta, S. Tomkowięta i t. d. Gdy w XV i XVI stuleciu zaczęły wchodzić w zwyczaj nazwiska zakończone na *ski*, Sikorowie z Sikor, poczęli zwać się Sikorskimi, Łapowie z Łap, Łapińskimi i t. d. Niektóre tylko z nazwisk, imion lub herbów pozostały jako nazwiska rodów bez zmiany, a szczególniej mające zakończenia żeńskie, i ztąd mamy dziś tu nazwiska: Kapica, Bolesta, Łada, Łuba, Kurzyna, Rzońca, Brzózka i t. d.

Po różnych przemianach granic krajowych ostatecznie 33 mil □ z ziemi Bielskiej weszło w skład Królestwa kongresowego, a 69 w skład gubernii Grodzieńskiej. Na pierwszych 33 milach leży wiosek częściowej szlachty 285, a na 69 pozostałych znajduje się ich 151 (w pow. Białostockim i północnej części Białskiego), południowo-zachodnia bowiem gdzie także mnóstwo drobnej szlachty, należała do ziemi Drohiczyckiej). Na zasadzie dokładnej taryfry dymów w r. 1775 i innych źródeł, wymieniam tu wszystkie wsie cząstkowej szlachty w z. Bielskiej zaczynając od położonych dziś w Królestwie i kładąc przy wielu w nawiasie rok lub wiek nieoznaczający założenia, ale w którym znalazłem już je wspomniane w dawnych aktach lub herbarzu Kapicy. Te przy których roku nie ma znajdują się wszystkie w spisie z r. 1676, o jakim na początku była mowa: Babino (w. XVI); Bagienki (XVI); Brzozki-Stare, B. Gawrony, B. Tatary, B. Bzezińskie, B. Gromki, B. Falki, B. Jakóbowięta, B. Markowięta, B. Stanisławowięta; Brzozowo-Stare (r. 1525), B. Korabie, B. Antonie, B. Chrzczony, B. Chrzczonki, B. Chabdy, B. Panki, B. Murzyły, Bruszewo (1444); Buczyno (1569); Bukowo-Czarnylas; Bujny (1544); B. Budziszewo; Czarnowo-Biki (1418); Czajki-Stare (1424), C. Andrale (1639); Chojane-Stare (1551), Ch. Bąki, Ch. Boruty, Ch. Gorczany, Ch. Gorki, Ch. Pawłowięta, Ch. Piecki lub Piecuchy, Ch. Sierocięta, Ch. Stanisławowięta; Ciszewo

(1547); Dąbrówka kościelna lub Wojny-Dąbrówka (XVI); Dołęgi (XVI), Dworaki (1495); D. Pikaty (1568), D. Śtaśkowięta (1562), D. Orawka; Drągi-Kosuty-Starowieś (XVI); Danowo (XVI); Dzierzki (1545) D. Janowięta, D. Wojciechowięta, D. Maćkowięta; Faszczce (1503); F. Chrościele (1545), F. Piaski (1645); Garbowo-Stare, (1444), G. Nowe; Gąsówka-Skwarki (XVI), G. Osse (XVI), G. Starawieś, G. Oleksino; Gierakty-Stare, G. Nowe; Gołaszce (1471), G. Puszcza (1493), G. Dąb (1493), G. Górki, G. Mościckie; Grodzkie-Stare (1493), G. Nowe, G. Szczepanowięta, (w r. 1569 w grodzie brańskim stawilo się z tych trzech wsi 28 dziedzicznej szlachty, w roku zaś 1775 było dziedziców 52); Gołębie (1545); Grochy-Niemierzęta-Starawieś (1544); Gorskie; Hermany (1569, pierwotnie Komorowo); Jabłonowo (1441): J. Kąty, J. Wypychy, Jabłoń (1479): J. Dobki (1548), J. Markowięta (1581), J. Rykacze (1569), J. Samsony (1569), J. Dąbrowa-Zgniła, J. Kościelna, J. Spały, J. Uszyńskie, J. Zarzeckie, J. Zembrowizna, J. Kikolskie; Jamiołki Piotrowięta (1545) J. Godzięby, J. Świetliki, J. Kłosy, J. Rawki, J. Kowale; Jankowce, Idźki; Wykno, I. Młynowskie, I. Średnie, Kalinowo-Stare (1493), K. Sulki (1545), K. Trojany (1557), K. Czosnowo-Kurowo (1545), K. Nowe; Kamińskie-Pliszki, K. Ocioski, K. Wiktory, Kapice-Stara wieś (XVI), K. Lipniki, K. Jasiewizna; Kossówka, Kołaki-Czarnylas, Karwowo-Czarnylas, Kleszcze-Łazarze, Krosiewo-Rudniki, Kamianka (w parafii Bargłowskićj); Kuligi, Kukowo-Małe-Krzewo, Kierzki (1545), Kłoski (1440), K. Śwignie (XV), K. Młynowięta, Kobylino (1421): K. Borzimy (XV), Podseǳkowięta (XV), K. Pieniążki (XVI), K. Latki (XVI), K. Makowo, K. Cieszmy, Biki, Żuki, K. Kuleszki (XVI), K. Kościelne (XV); Kostry-Litwa, K. Podseǳkowięta-Starawieś, K. Noski, K. Pułazie, K. Śnietne; Koćmiery, Kropiwnica pierwotnie Kropidlnica (1436), K. Gajki, K. Racibory, K. Kiernozki; Kruszewo-Brodowo (XV), Kulesze Rokitnica (1431), K. Litwa-Stara, K. Litwa-Nowa, Bogdanowięta dawniej Czarnowo (1441), K. Podlipne, K. Podawce, K. Niziołki-Dobki, K. Niziołki-Stare, K. Wykno-Stare, K. Wykno-Nowe, Kurzyny (1473); Kasowo-Urbany (1449), K. Wielkie, K. Cząstki, K. Siodmaki, K. Wólka, Koboski, Leśniewo (1526), L. Borki; Łapy (XV), Ł. Korczaki (1544), Ł. Pluśniaki (1548), Ł. Leśniki, Ł. Gozdziaki, Ł. Wity (1545), Ł. Barwiki (1598, obecnie stacya kolei Peter. Warszawskićj), Ł. Szolajdy (1565), Ł. Zięciuki (1557), Ł. Kołpaki, Ł. Lynki (1577), Ł. Bociany, Ł. Dębownia (1544). (W powyższych 12 wsiach było w r. 1775 stu ośmdziesięciu cząstkowych właścicieli, a tych 156 nazwiskiem Łapińskich). Łabętnik, Łopienie Szelągi (XVI), Ł. Jeże, Ł. Ruś, Ł. Zyszki, Ł. Pamięciaki (XVI), Łupianka-Starawieś, (1544.) Ł. Nowawieś (1545); Milewo (1442), M. Zabielne (1516), M. Leśne, M. Żółtki; Markowo Wólka, Moczydły Stanisławowięta, Mystki Rzym, Majki (XV), Nieciece (XV), Noski Śnietna (1525), Olszanka Włosty, Pajewo (1444), Pęze (XV), Perki (1527), P. Wypychy, P. Bujenki, P. Franki, P. Mazowsze, P. Karpie, P. Lachy, Piekuty Stare (1533), P. Nowe, Piszczaty (1444), P. Kończany, P. Piotrowięta, P. Joziki, Piotrowce, Plewki, Płonka

(XV), P. Wielka-Kościelna, P. Kozły (1551), P. Strumianka, P. Matyski, Porośl (1539), P. Wojsławcy (1662), P. Grzywy, P. Głuchy, P. Kije, Pułazie-Gołębie-Świesze, Pieńczykowo (1547), Pomiany, Racibory Stare, R. Nowe, Roszki (XV), R. Bieńki (1545), R. Saczki, R. Włodki (1544), R. Wodzki (1544), R. Ziemaki (1548), R. Chrzczony, Rzońce (1545), Rzepki, Rydzewo, Reszki (XVI), Rumiejki, Sikory (1421), S. Piotrowięta, S. Tomkowięta, S. Bartkowięta lub Bartyczki, S. Janowięta, S. Pawłowięta, S. Wojciechowięta, Skłody-Przyrusy, S. Borowe, Śliwowo, Sokoły (1471), S. Ruś-Stara (1537), S. Ruś-Nowa, S. Jaźwiny, Średnica (1382, „*Srednie wloki*“): S. Maćkowięta, S. Pawłowięta, S. Jakubowięta, Stawiereje Jakubowięta, S. Michałowięta, Stypułki (1524), S. Giemzino, S. Szymany, S. Koziołki (1557), S. Święchy lub Święchowięta, Szepietowo (XVI), S. Żaki, S. Wawrzyńce, S. Janówka, Szymbory (1527), S. Jakubowięta, S. Włodki, Skrodzkie, Szymany-Góra-Łęg (1544), Tłoczewo, Truskolasy (1456), T. Starawieś, T. Wola, T. Olszyna (1545), T. Niwisko (1544), T. Lachy (1545), Toczyłowo (1544), Turczyno-Rydzewo (1676, „*Turczynowo*“), Warele-Starawieś, W. Nowawieś, W. Podpłomycze, Wierzbowizna, Wnory (1456), W. Stare, W. Pażochy (1580), W. Kwiele (1608), W. Wypuchy, W. Wigchy (1580), W. Wandy (1596), Wojny (1435), W. Króle, W. Bakałarze, W. Krupy, W. Piotrowce, W. Izdebnik, Dąbrówka, W. Piecki, W. Pogorzal, W. Wawrzyńce, Wróble (1500), Wyszonki (1444), W. Nagórki, W. Błonie, W. Filipy, W. Włosty, W. Pesele, W. Wypuchy, W. Kościelne, W. Podleśne lub Chorążewizna, Wólka Piotrowska, Zalesie Nowe, Z. Stare, Zalesie Łabędzkie, Zdrody (XV), Z. Stare, Z. Nowe, Żędziany (w w. XV zwane Zdrody i Drogwino), Żochy Stare, Z. Nowe, Żrobki. Z powyższych wsi położonych dziś w gub. Łomżyńskiej, najliczniejszych cząstkowych właścicieli ma Łupianka Stara, bo już w r. 1775 liczyła ich 67 (prawie wszystkich Łupińskich) a dymów czyli chat 70. Obecnie ma szlachty i dymów nieco więcej.

W gubernii Grodzieńskiej leżą następujące wsie cząstkowej szlachty dawniej z. Bielskiej:

Ancuty, Bańki stare, Bagieńskie (XVI): B. stare, B. nowe; Białosuknie (XVI); Białobrzeskie, Bodaki-Łubino-Wielkie, B. Ł. mniejsze, Bogusze, Boguszki, Bolesty, Barszczewo, Borowskie, (XVI); B. Michały, B. Skorki, B. Żaki, B. Cibory, B. Gziki, B. Szepiotki, B. Olki, B. Wypuchy, Borowo Szczepany, Brzeziny Chrzczony, B. Janowięta, B. Wytrykusy, Brzeźnica, Budlewo, Czaczki (1545); C. Wielkie, C. Małe, Chraboły, Chodory (1545), Chojnowo (1546), Czaplino, Czechy, Czokołdy-Boguszewo-Zalesie, Domanowo (XVI), Dziekonie, (1544), Drozdy (1569), Falki Godzięby (1424), F. Filipy (1569), F. Kowale, F. Starawieś, Gorskie, Hawryłki, Hryniewiczze Wielkie, H. Małe, Horodniany, Jaworówka (1569), Ignatki, Kadłubówka, Kalinówka Sasiny, Karpowicze, Kierzuowo (1537), Koćmieny-Starawieś, K. Wypuchy, Kożuszki, Kołodziejce, Tworki i Romejki, Kramkówka Tatary, K. Ziełepuchy (XVI), Kruchłe, Kuczyno Bohdance, Kulesze Chobotki, Kulesze Kossowka, Leśna (1545), Lence Samotyje (1512),

Łazy, Łubicze, Łubino Kościelne, Łuczaje, Łukawica (XVI), Malinowo Zółtki, M. Kalnica, Magnusze (1545), M. Wielkie, Mierzwino Bartoszewięta, M. Stare (1553), Milewo, Moskiewce, Mońki (1546), Moniuszki (1446), Mińce, Markowo Wielkie, Niwino (1545), N. Starawieś, N. Leśne (1613), N. Popławskie, N. Borowe, N. Kamińskie, Nowosady, Olszanica Rybały, Olszewo (1569), O. Stare, Ołędzkie, Ostasze, Pierzchały (XV), Pisanki (1536), Pietrzykowo Gołąbki, P. Wyszki, Pietraszki, Poletyty, Popławy (1416), Prokuratowszczyzna, Proszanka (XV) P. Starawieś, P. Baranki, P. Mała, Puchły (1604), Rachozy, Rogówko, Rutkowskie (1546), Rzepniewo, R. Małe, Szaciły Kalinówka (1568), Sasiny, Saki, Siedlce, Skrzypki (1591), S. Stare, S. Wypychy, Smogorówka, Sobieszczyki (1567). Średzińskie (1544), Swierzbienie (1545), Szeronosy (1610), Szorce Cibarzewo (XV), Sikory, Szyposze, Szumki, Topczewo (1466), T. Gawiny, T. Moskwinio, Trzeszczkowo (1556), Tworki Nowe, Truski Chrząszcze, Trypucie, Warpechy Stare, W. Nowe, Waśkiewiczce, Wiercienie, Wilamówka (1574), Wiszowate (1544), Wojencze, Woronie, Wrocenie (1537), Wyszki kościelne (1557), Zalesiany, Zalesie-Starawieś, Z. St. Bajki, Zakrzewo, Zajki (1482), Zawady, Z. Porajki, Zdrójki, Zimnochy (1544), Z. Reki, Z. Święchy, Z. Susły. Z siół powyżej wymienionych najmniejsze było Rzepniewo-Małe, które zaliczone już do rzędu wsi w roku 1676 liczyło w sto lat później tylko dym jeden. Największe zaś były Popławy liczące w roku 1775 chat 74, a właścicieli 72, powiększej części Popławskich.

Jeżeli każdą wieś lub dzielnicę z której miana powstało nazwisko zamieszkującej ją szlachty, lub która wzięła nazwę od osiadłego w niej i żyjącego przez wieki rodu, będziemy słusznie uważać za gniazdo oddzielnego domu szlacheckiego, to gniazda takich znajduje się w z. bielskiej dwieście kilkadziesiąt. Naprzykład za gniazdo Zdrodowskich uważamy wieś Zdrody, za gniazdo Truszkowskich wieś Truszki, choć obiedwie założone zostały przez Zdrodów i Truszków niegdyś przybyłych z Mazowsza, gdzie inne leżały Zdrody i Truszki. Ponieważ jednak rody te rozmnożyły się na Podlasiu i od podlaskich siedzib nazwały się Zdrodowskimi i Truszkowskimi, a nie od mazowieckich, więc za gniazda rodzin podlaskich, wieś podlaskie uważamy. Z tych dwustu kilkadziesiąciu rodów powstałych w ziemi Bielskiej w ciągu III stuleci (XIV—XVI) wszystkie z małym wyjątkiem istnieją dotąd w swoich gniazdach lub rodzinnych okolicach, i ze szlachtą mazowiecką należą do najstarszej w kraju, mogącej drzewa pokoleń układać od IV a niekiedy V stuleci, i to nie na wzór słynnego Wielądka piszącego za grosze pyszałków, ale z akt urzędowych rozproszonych dziś wprawdzie po dalekich miastach i domach prywatnych. Wielu jednak z tej szlachty, nic dziś nie wie o swoich herbach, niektórzy osiadłszy w miastach uważają się za mieszczan, inni przyjąwszy dawniej dobrowolnie grunta dworskie i obowiązki pańszczyzny stali się włościanami. Na pochwałę zaś oświeceńskich warstw tej

szlachty przyznać należy, iż powodowana zdrowym rozsądkiem nie odkrywa się śmiesznością przez chętnie przez starożytności rodu, napatykane jeszcze u niektórych ludzi chorobliwych wyobrażeń, lub improwizowanych genealogii. Wié ona dobrze, iż całkowita i ostateczna wartość każdego człowieka, nie leżała nigdy a tém bardziej dzisiaj w jego herbie i rodowodzie, ale w jego stronie moralnej, osobistej obywatelskiej zasłudze, opinii, miłości ludzi i t.d. Spaczenie wyobrażeń odwraca sama religia chrześcijańska, której Bóg-Człowiek narodził się pod strzechą ubogiej stajenki i mawiał, że kto się wywyższa, poniżon będzie.

Ze szkodą jednak domowych dziejów kraju nikt dotąd nie zajął się historią cząstkowej szlachty podlaskiej i mazowieckiej, choć materiałów znalazłoby się dosyć i nowe przybywają od czasu do czasu. Do tych ostatnich należy wydany niedawno w Krakowie herbarz Ignacego Kapicy, gdzie zamieszczona jest wiadomość o 641 domach mazowieckich i podlaskich, z których 160 ma swoje gniazdo w ziemi Bielskiej. Ponieważ jest takich jak mówiłem w ziemi powyższej dwieście kilkadziesiąt, zatem wielu brakuje w owym herbarzu, co nie można kłaść bynajmniej na karb niewiadomości autora wzrosłego i zmarłego wśród téj szlachty, ale na karb innych przyczyn. Oto Kapica pisał herbarz dla osoby, której już pierwéj wiele rodowodów przesłał, do innych znowu brak mu było dokumentów i na późniéj odkładał, wreszcie wiele domów jednego herbu, choć różnych nazwisk, uważał za jedne i te same. Opuszczając owe 160 rodów w herbarzu pracowitego archiwisty pomieszczonych, wyliczam innych 69 jakie potrafiłem zebrać, z wyjątkiem kilku lub kilkunastu, które dopełniłyby liczby nazwisk gniazdowej szlachty bielskiej. Wyliczam tu tylko same nazwiska, po których łatwo można dojść właściwych im gniazd w powyżéj podanym spisie wiosek: Ancuta, Babiński, Bańkowski, Borzym, Bolesta, Borowski, Brzeziński, Bukowski, Ciszewski, Chra-
bołowski, Dołęgowski, Gieraltowski, Budlewski, Hornostajski, Spaliński, Zarzecki, Kikołski, Jankowski, Idźkowski, Kadłubowski, Kamiński, Karpowicz, Hleszczewski, Kostro, Koćmierowski, Kuczyński, Koboska, Kramkowski, Kuligowski, Kukowski, Łazewski, Łuba, i Łubiński (jeden dom), Łuczaj, Markowski, Moczydłowski i Moczulski (jeden dom), Mystkowski, Olszański, Ostaszewski, Pietrzykowski, Pietraszka, Piotrowski, Plewka, Poletyło, Popławski, Pułaski, Puchłowski, Raciborski, Rogowski, Rzepnicki (z Rzepniewa), Rzepny (z Rzepk), Sakowski, Sasin i Sasinowski, Skłodowski, Siedlecki, Skrodzki, Stawieraj, Szumkowski, Truszkowski lub Truskowski, Tworkowski, Warpechowski, Waszkiewicz, Wierciński, Woński (z Wojenczów), Zdrojkowski, Żochowski, Ososki, Świąszkowski.

Do tych 229 domów bielskich (licząc razem z podanemi w Kapicy) dorachować trzeba 11, które autor herbarza wymienia na Mazowszu, nie powiadając, że tego samego nazwiska rody istnieją i mają swoje gniazda w ziemi Bielskiej, a mianowicie: Białobrzegi (gniazdo Biało-

brzeskie), Bogusz (Bogusze), Danowski (Danowo), Górski, Karwowski, Kołakowski, Brodowski, Ręza, Zawadzki, Rydzewski i Białosuknia. Nazwa wsi Białosuknie dziś już nawet nie istnieje w ziemi Łomżyńskiej, tylko w Bielskiej pod Goniądzem.

Nie przytoczyłem herbów pierwszych 69 rodów nie mając uzupełnionych wiadomości dla braku dokumentów, a posiłkować się źródłami drukowanymi czyli powtarzać rzeczy znane, nie uważałem za stosowne. Wiele z tych domów używa herbu Lubicz lub Ślepowron najpospolitszych na Mazowszu i Podlasiu. Sam zresztą Kapica nie jest wolny od pomyłek; Jaczyńskim np. (a niegdyś Jakom dziedziczącym od r. 1437 Jaki w ziemi Wizkiój) każe używać klejnot Dąbrowę, gdy oni pieczętują się Ślepowronem. Podobnych omyłek znalazłoby się jeszcze kilka lub kilkanaście, pomimo których dzieło Kapicy dla każdego badacza przeszłości ma swoją wartość, bo był to człowiek sumienny i żelaznej pracy, który przesłęczawszy 40 lat wśród archiwów, uważając zawsze podrabianie dokumentów i rodowodów za największą zbrodnię dla szlachcica, zmarł bardzo ubogim archiwistą. Własna łacina Kapicy w jego *Herbarzu* pozostawia wprawdzie nieco do życzenia, samo częste *scribit se* i *scribunt se* zdradza polskiego palestranta, którego był ostatnim podobno typem na Podlasiu. Między innymi ciekawą podaje on wiadomość o mało znanym domu książąt Rafałowskich, także kilka szczegółów o rodzinie Łukasza Górnickiego (s. 42 i 127), który wiek sędziwy tu spędził i umarł w ziemi Bielskiej r. 1602 w dniu 22-gim, lecz nie wiadomo którego miesiąca, bo nie wyrażono we współczesnym opisie grobów kościoła bernardyńskiego w Tykocinie, z jakiego tę wiadomość przytaczam. W rękopismach po Kapicy, które z życzliwego daru pana Śliwowskiego posiadam, znajduje się obszerny materiały do historii Podlasia i Mazowsza i oddzielnego dyplomatarjusza.

Gdy daleki od tych wszystkich źródeł miejscowych kresliłem przed trzema laty kilka słów wstępnych do *herbarza* drukującego się w Krakowie, trzymając się ściśle nadesłanych mi szczegółów i wzmianek o Kapicy uczynionych przez p. Wiktora Ossolińskiego w jego artykule o Jadźwingach (Bibl. War. 1848, IV, 468 i 9), zamieściłem w tym wstępie kilka szczegółów błędnych, które przy sposobności chciałbym sprostować. Oto co pisze Kapica sam o sobie w rodowodzie swego domu, własną ręką spisanym, udzielonym mi łaskawie przez marszałka biłgorajskiego: „Syn Dominika Ignacy Wawrzyniec Hyacynt trzech imion narodzony w Żędzianach dnia 15 sierpnia roku 1763, jako metryka kościoła farnego Tykocińskiego tegoż roku opiewa, który od Najjaśniejszego Stanisława Augusta króla polskiego urzędem podczaszego trembowelskiego obdarzony został w r. 1789, co przedstawiają akta grodzkie, łomżyńskie tegoż roku 1789, a ten po różnych odmianach krajowych zostaje wiceregentem ziemskim i archiwum szlacheckiego brańskiego przysięgłym archiwaryuszem.“ Widzimy z tego że nie rodził się w Kopicach, jak mi to pierwój doniesiono, ale w pobliskich Kopicom, Żędzianach, gdzie ojciec jego Dominik, choć także za

jakąś szczególną protekcją obdarzony przez króla r. 1789 (nie nie znaczącym ale szumnym) tytułem chorążego pomorskiego, był ubogim jednym z 43 właścicieli Żędzian i posiadał jedną chatę w której mieszkał. Ignacy, nauki mógł kończyć w Łomży ale nie u Jezuitów (jak to także napisałem idąc za błędném źródłem), urodzony na 10 lat przed zniesieniem ich zakonu. Do konfederacyi barskiej także nie należał, jak o tém pisze Ossoliński, którego pamięć widocznie zawiodła, gdyż nie był Ignacy Krzywoustym, który w 9-ym roku życia wybierał się na wyprawę do Morawii, a właśnie miał lat tyle, gdy konfederacya upadała.

Nie pisząc historii ziemi Bielskiej, nie czuję się w obowiązku wyliczać wszystkich znamienitszych ludzi, jakich ona kiedykolwiek wydała. Ani téż samą szlachtę Bóg obdarza zdolnościami, gdy jeden z najgłośniejszych ale i najszałeńszych pisarzy aryańskich XVI w. w Polsce, Piotr Goniądz, był synem ubogich mieszczan z Goniądza w téj ziemi. Gdy niema prawie zakątka w całym kraju któryby nie był kolebką, mieszkaniem lub grobem jakiegoś znamienitszego człowieka, cóż dziwnego że i nasza ziemia Bielska, mogłaby się zdobyć na kilku pisarzy, rycerzy i dostojników kościelnych. Wspomnę tu wszakże o historycznej postaci jednej z najciekawszych u nas w XVIII w., o której szczególnym zbiegiem okoliczności nie wiedziano ani gdzie się urodziła, ani gdzie i kiedy zmarła w tureckim więzieniu. Najbogatszy w podobne szczegóły Julian Bartoszewicz w wybornym życiorysie Józefa Puławskiego (Enc. pow. Orgelb.) pisze tylko że od Pułazia pisał się Pułaskim nie Puławskim, ale nie wie czy urodził się w Pułaziu i kiedy? Zmarły niedawno Kajetan Suffczyński (Bodzantowicz) autor znakomitej historycznej powieści: *Rodzina konfederatów*, w której Pułascy są głównymi bohaterami, z zadziwieniem przed kilku laty słuchał, gdym mu opowiadał, że jeszcze są na Podlasiu Pułascy po stryju Józefa potomkowie, którzy w nadziei dostania spadłej w Ameryce na Pułaskich sukcesyi, w starych papierach swoich różne wiadomości odszukali. Papiery te widziałem w ręku p. Adama Starzeńskiego i ś. p. Juliana Bartoszewicza, który o autentyczności starych akt wątpić nie pozwalał. Wedle tych akt, Józef piszący się później „na Grabowie, Dereźniach, Horbaczy wielkiej i małej, Kurdynowicach, Hołobuczu i *Fulaziu* Pułaski, pisarz nadworny koronny, starosta warecki, strzemiecki, świednicki i t. d. marszałek związkowy konfederacyi barskiej,“ ojciec Franciszka, Kazimierza i Antoniego, ujrzał światło dzienne w dniu 18 lutego 1704 r. we wsi *Kostrzy pułazie* (w par. Wyssonki) pod słomianą strzechą Jakóba (nie Józefa jak pisze Bartoszewicz, co zresztą mogło być omyłką zecera przy nadzwyczajnej nieczytelności pisma ś. p. Juliana) i Małgorzaty Zarębianki. Z ubogiego ale zdolnego pachotka później pan stufolwarczny i urzędnik koronny był jedynym synem ubogich rodziców, którzy posiadali małe części na trzech wsiach: Kostrzy Pułazie, Kostrzy Podsędkowięta i Lubowicz Byzie, położonych w okolicy Wysokiego-Mazowieckiego i Ciechanowca.

W dokładnym spisie cząstkowej szlachty ziemi Bielskiej z r. 1775 znajduje się 19 właścicieli na Kostrach Pułaziu, posiadających tylko po jedną chatę, ale Pułaskich już niema wcale. Natomiast na przyległych Kostrach Podsejdkowiętach z 13 dziedzicznej szlachty jest dwóch *Pułaskich*: Piotr i Wincenty; piérwszy ma dwie chaty, a drugi jedną i ci właśnie byli zapewne potomkami stryja Józefa. Dziś w całym kraju jest tylko jedno Pułazie na Podlasiu, a w rodzinie Pułaskich dotąd w Tykocińskim zamieszkałej, błąkają się jeszcze podania o staroście wareckim, który zostawszy wielkim panem, nie zapierał się siermiężnej *braci*, nawiedzał ją kilka razy i zawsze pisał się na Pułaziu, jakby dla przypomnienia sobie choć ubogiej, ale drogiej we wspomnieniach każdego uczciwego człowieka, strzechy rodzinnej.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Przyjęcie pana Littré do Akademii.—Charakter pozytywizmu francuzkiego. Odpowiedź pana Champagne.—„Robert Brucy“ przez Ksawerego Marmier. Podania szkockie o Brucym.—Pająk, Serce Brucego.—Nowe publikacye Lamartina.—Tom poezyi; dwa tomy korespondencyi.—Listy Sainte-Beuva do księżnej Matyldy.—„Cygania“, dramat odegrany w Odeonie.—„Koniec Cyganii“ rozprawa profesora Caro.—Jubileusz Molierowski.—Książka Juliusza Claretie:—„Moliere, jego życie i dzieła.“—Zapowiedziana publikacya pana Fournier:—„Moliere w teatrze i w domu.“—Komedya Ksawerego Aubrier. Zmarły Akademik Vitet.—Jego „studya nad historiją sztuki.“—Dzieło profesora Ortolana.—Rozprawa nad piekłem Dantego ze stanowiska nauki karnej prawa.—„Impressions et Souvenirs“ przez George Sand.—Wspomnienie Szopena i Mickiewicza.

Po długich zwłokach odbyło się nakoniec uroczyste przyjęcie pana Littré przez Akademię Franouzką. Wiadomo po jakich cierpieniach darł się przed rokiem w progi przybytku uczony pozytywista, którego wstęp okupiła Akademia utratą innego członka biskupa Orleanu. O ile burzliwą była nominacya pana Littré, o tyle sama uroczystość poszła po formie bez zamącenia spokoju nieśmiertelnych.

Słynny leksykograf nie jest bynajmniej krasomówcą; bo i któż nie wie, że można znać doskonale historiją języka, jego budowę, właściwość każdego wyrazu, a nie umieć przecież spleść tych wyrazów w piękny wieniec; wiadomo zresztą o ile harmonijny głos mów-

cy, estetyczne ruchy, sympatyczna postawa oddziaływają na audytorium, o ile podnoszą znaczenie każdego słowa, o ile zastępują niekiedy brak prawdziwej wymowy. Fizyolog pozytywista wiedział jakich potrzeba zalet, aby ujarzmić uwagę słuchaczy; wiedział prztytem, jak dalece mu ich niedostaje. Szpetność jego rysów wychodzi poza obręb zwyczajnej brzydoty, z tego to powodu mówią o nim złośliwi paryżanie, iż na potwierdzenie Darwinowskiego systemu, którego jest zwolennikiem i propagatorem, dość mu zobaczyć się w zwierciadle.

Pan Littré strojny w akademickie palmy, aby odwrócić od siebie oczy skłonnych do żartów paryżan, użył wybornego sposobu: tłumacząc się chrypką, poprosił pana Légouvé, aby odczytał za niego mowę. Nie można było trafić lepiej. Pan Légouvé najsympatyczniejszy z grona akademików posiada czarodziejski dar wypowiedzenia czy to swojej czy cudzej myśli. Odczyty jego ściągają cały Paryż. Słyszeliśmy go przed trzema laty, czytającego własny dramat: *Dwie królowe*, i śmiało powiedzieć możemy, że ta sztuka oddana przez autora nie mniejsze sprawiła wrażenie, jak później na deskach teatralnych, przy współudziale muzyki i dekoracyi. Słowem nikt od pana Légouvé nie uosabia lepiej owego bajecznego Herkulesa Ogmiusza, czczonego niegdyś przez Gallów, z którego ust wychodziły złote łańcuszki przyczepione do ucha słuchaczom.

Mowa pióra pana Littré wypowiedziana przez usta Légouvégo wydała się pięknie; szło o to nowemu akademikowi, czuł bowiem, że jego *fiasko* byłoby tryumfem przeciwników, a było ich nie mało, tak między publicznością, jak w łonie Akademii. Sama treść mowy świadczy jak dalece pan Littré pragnął przekonać i nieobecnego biskupa i obecnych ideologów, że on koryfeusz pozytywizmu, nie tak czarnym jest, jak go odmalowano.

Przytaczamy tu bardzo charakterystyczny ustęp z mowy, w której nowoprzyjęty ocenia prace znakomitego poprzednika swego na krześle akademickim.

„W dziele: O skażeniu literatury rzymskiej, mówi Littré, pan Villemain badając główny powód tego upadku, przypisuje go samowładztwu cesarów. Jakoż w rzeczy samej uderza nas w oczy ta olbrzymia potęga, która zdobywszy świat ześrodkowała w sobie całą władzę. A jednak mimo pozorów trzeba głębiej szukać wytłumaczenia tej zagadki. Pytamy więc, gdyby w państwie cesarów jakiś wielki bodziec intelektualny lub moralny poruszył był serca ludzkie, azażby samowładztwo mogło przeszkodzić oddziaływaniu tego bodźca na rozwój myśli powszechniej, na zbudzenie nowego życia w massach? Czémże się tymczasem zajmował zwycięzki Rzym? Czém się zajmowały zdobyte ludy, subtelną Grecyą i zabobonny Egipt?

Niezaprzeczone dowody wyjaśniają pytanie; sam Villemain dostarcza ich podostatkiem. Kiedy urzędowa literatura państwa

rzymskiego upadała coraz to niżej, inna tymczasem literatura, utworzona nie tylko bez współdziałania władz rzymskich, ale pod groźbą i prześladowaniem, pojawiła się w IV wieku, wydawała dzieła pełne żywotnej siły i byłaby sprowadziła zupełną transformacją, gdyby nieprześlądana historia nie wstrzymała nagle spokojnego jej rozwoju. Każdy zrozumie, iż mówię tu o literaturze chrześcijańskiej. A przecież byli to ciż sami ludzie, było to jedno i tożsamo państwo! Konstanty i Teodozjusz nie mniej absolutni od Tyberjusza i Wespazjana. Ale tchnienie religijne powiało na świat rzymski; nowa nauka opanowała serca i umysły i w proch powaliła bożyszcza, Ambroży, Hieronim, Augustyn i inni przeszli erudycją i wymową pozostałych sofistów pogańskich; geniusz literatury objawił się w nowej formie pięknej i pełnej przyszłości“!

Takto przemawia naczelnik szkoły pozytywistów we Francyi, w tej Francyi pomawianej o gruby materializm! Jakże uczniowie wszystkich krajów daleko odbiegli mistrza swego na drodze nihilistycznej negacyi! Ileżto czytamy niedowarzonych rozpraw, w których młodzież wchodzącą, jak mówi, na drogę postępu, zrywa stanowczo z przeszłością, gardzi zdobyczami wieków, depcze świętokradzko bogaty wątek tradycyi, widząc w niej nie co innego, jedno przywiązaną do nogi kulę, wstrzymującą polot ku przyszłości!

Byłby w błędzie, ktoby mniemał, że pan Littré wyrzekł te słowa jedynie dla przypodobania się słuchaczom, zdobycia oklasków i upokorzenia biskupa Orleanu. Głęboki ten erudyta i filolog zanadto dobrze zna średnie wieki, zanadto żył się z niemi, aby je miał lekceważyć. Zobaczmy co mówi o języku francuzkim w swej akademickiej rozprawie.

„Stary język XII i XIII wieku był prawdziwie pięknym językiem. Jakto? odpowie ktoś może, a chropawa rdza barbarzyństwa? Czcze słowo, zrodzone z niesłusznego przesądu! Dość mi zestawieć poprostu rzeczy, aby poprzec twierdzenie moje. Wszystkie języki romańskie pochodzą wprost od łacińskiego, a wielki początek? Owoż dwa języki, używane we Francyi, staro-francuzki i staro-prowancki, najbardziej zbliżone gramatykalnie do macierzystego języka. I cóż tu mówić o rdzy i barbarzyństwie, kiedy mowa nasza nosi piętno szlachetnego pokrewieństwa, wyciśnięte w najdawniejszych czasach? Nie potwarzajmy jej, bo gdyby ci ludzie, którzy przemawiali nią kiedyś mogli dziś wyrzec słowo, mieliby prawo czynić nam gorzki wyrzut, żeśmy zmacieli czystość ich gramatyki, zburzyli uczoną budowę, i z tej wielkiej puścizny zmarnotrawili więcej, niż tego wymagał konieczny rozwój myśli i wyrażenia.

„Azaliż to nie zasługuje na uwagę, że w tych dalekich wiekach język francuzki przedarł się do obcych ludów? Znano go i uprawiano tak za Alpami, jak za Pireneami, tak za cieśniną Kaletańską, jak za Renem, nawet w dalekiej Skandynawii. Uniwersalność ta znikła w późniejszych wiekach, lecz rozbudziła się znów w XVII

i XVIII. Jak tu wytłumaczyć tenże sam objaw w dwóch epokach tak różnych od siebie? Przyczyna jego zawsze jedna: wpływ literatury, rozchodzący się na obce ludy.

„Wiadomo czém był ten wpływ za ojców i dziadów naszych, to jest za czasów Ludwika XIV i XV; ale mało kto wie, jakim był za Filipa Augusta i Ludwika 6-go. Niema kraju w Europie, dokądby nie dosięgła sława dzieł, jakie się wówczas pojawiły. Tłumaczono je, naśladowano; typy stworzone wówczas w wyobraźni Francuzów rozeszły się po świecie i doznały wszędzie gościnnego przyjęcia.

„Ludy ochłonawszy po barbarzyńskich najazdach zapragnęły poezyi, we Francyi wytrysła bogata jéj krynica. Dwa cykle zrodziły się nagle i przystroiły w formy wiersza i rytmu. Jeden z nich czysto-miejscowy: to cykl Karlomana, wielkiego cesarza i baronów okutych żelazem, i zapasów z Saracenami i zrad Genelona i klęski Roncewalu. Gorąca miłość kraju i duma narodowa ożywia tu każdą pieśń, każde słowo.

Drugi cel *obcy*, wysnuty z legend bretońskich, uwydatnia postać Artura i rycerzy okrągłego stołu i czarodzieja Merlina; opiewa miłość kobiet i dworską ogładę. Pieśni te przełożone na łacinę, wydobyte z niej zostały przez poetów francuzkich i rozpowszechnione w formie odmiennéj niż poemata z cyklu Karlomana. Z Francyi rozeszły się po Europie.

„Cała ta poezya i cała ta pomyslność (gdyż Francya używała wielkiej pomyslności w XII i XIII wieku) utonęła w klęskach wieku XIV. Świadczy o tém Petrarka, który kilkakrotnie zwie-dzał Francją. Oto słowa poety:

„Nic tu już nie poznaję z tego, co niegdyś podziwiałem: bogate królestwo w zgłiszczach dziś i popiele. Te jedynie domy stoją cało, których strzegła obręcz warownych murów. I któżby w owém kwitnącém królestwie przypuszczał takie klęski? Jeżeli podźwignie się kiedyś, czyliż potomni uwierzą w nie, skoro my ich świadkowie nie śmiemy wierzyć oczom własnym? Spotykając co krok smutne ślady ognia i miecza, zalewałem się łzami“.

Słowa te poety włoskiego zręcznie podniósł akademik, aby dodać otuchy tym, którzy w obec dzisiejszych klęsk chcieliby na chwilę wątpić o przyszłości Francyi. Przyjęto je z żywym oklaskiem.

Trudno nam polemizować z tak głębokim erudytą, jak pan Littré, a przecież jak tu nie podnieść niesłychanego błędu, jakiego dopuścił się uczony zowiąc *obcemi* dla Francyi poemata o królu Arturze i o rycerzach okrągłego stołu? Przed laty pięćdziesięciu, to jest przed Augustynem Thierryem, Lelewelem, Henri Martin, Chaslem i całą nową szkołą Gallofilów błąd taki mógł być wytłumaczony. Wszakże i Guizot w sławném dziełku wykazując inne żywioły, z jakich składa się cywilizacya francuzka, pominął żywioł galiski

czyli bretoński. Dziś rzecz się ma inaczej; sam oto Guizot w historii opowiadanej wnukom wyprowadza na widownię starych Gallów.

I czémże wytłumaczyć taki błąd głębokiego lingwisty? Oto właśnie tem, że wpatrzywszy się w słowo i tylko w słowo, spuścił z oka inne objawy życia narodu, że język dla niego jak dla tylu filologów i niemieckich i czeskich jedyném jest kryterium, *alfa* i *omega* w ocenieniu narodowości. Wpatrzywszy się w pokrewieństwo języka francuzkiego z łaciną, dumny tém szlachetném pokrewieństwem, zapomniał uczony filolog, że ludy postawione w obec wyższej cywilizacji, ulegają ciągłym jej wpływom, mogą niekiedy zmienić mowę, lecz nie wyrzekną się własnych podań, które są szpikiem ich kości, nie przeistoczą rdzennéj istoty swojej. Język francuzki jest niewątpliwie dzieckiem łacińskiego, maż dlatego Francuz być synem Rzymianina a nie Galla?

Ciekawi jesteśmy, co powiedzą na tę herezyą nowi badacze już nie języka, ale całego życia dziejowego Francuzów, którzy wywodzą naród swój nie od kilkukroć-stutysięcy żołnierzy i kolonistów rzymskich, ale od sześciu milionów tubyleców galskich ujarzmionych mieczem Cezara.

Gdyby kiedyś merkantylizm angielski miał ustąpić nowym ideom, gdyby żądza zaborów opanowała przemysłowych synów Albionu, jak opanowała dziś plemiona nadbałtyckie, wówczas na wywodach pana Littrego, który zowie tradycyę Bretonów francuzkich *obcemi*, podobny los, jaki niedawno spotkał Alzacyą i część Lotaryngii, musiałby spotkać Armorykę i wszystkie dzielnice francuzkie, które przechowały odwieczną mowę galskich praocjów swoich! Bo wszakże taż sama mowa, jakiej używają francuzcy Bretoni, przetrwała także między zamorskim ludem Wallów!

Pan Littré mówiąc o oddziaływaniu literatury francuzkiej na dalekie kraje w XII i XIII wieku, wskazuje Skandynawię, jakoby najdalejszy kraniec wschodnio-europejski, o który odbiły się promienie tego słońca. Wpływ ich dalej jeszcze dosięgnął. Znane powszechnie stosunki, jakie łączyły Polskę z Francją ówczesną. Michał Wiśniewski wyraźnie mówi, że w X, XI i XII wieku „nie z Niemiec ani z Czech, ale z Włoch i Francyi nauki wraz z biskupami do Polski przychodziły 1);“ że „sorboński uniwersytet przygarniał do siebie młodzież i doktorów ze wszystkich krajów katolickiej Europy 2)“. Czyż ta młodzież i ci doktorowie, czyż wreszcie owi pielgrzymi, którzy z Hermanem wędrowali do grobu ś-go Idziego, nie przynosili z sobą chociażby uformków onych pieśni, które przy dźwięku lutni rozlegały się o sklepienia francuzkich zamczysk

1) Historia literatury tom I str. 306.

2) Tamże, tom I str. 335.

i dworców? Powódź tatarska bardziej zburzyła nasz kraj niż Francją najazdy Anglików, których ślady tak wymownie odmalował Petrarca. I cóż zatem dziwnego, jeśli ta powódź zabrała z sobą obce kwiaty posadzone i rozkwitłe na gruncie naszym? Nie tracimy jednak nadziei, że kiedyś nowi pracownicy równie skrzętnie, jak ci, co rozkopali przedchrześcijańskie kurhany, co wydobyli skarby odwiecznych podań zakłete w piersi ludu, że nowi pracownicy rozgrzebią średniowieczne rumowiska, i z pod tych zgliszcz wydobędą złote nici, które łączyły nas bezpośrednio z ogólną cywilizacją ówczesnej Europy. Wiele z tych złotych strzępków już odszukano, wiele z nich spoczywa dotąd w tajemnicy; ale przyjdzie czas, że w odkrytej a zapomnianej dziś pieśni jakiegoś wędrownego rybaka, zabyśnię nam przed oczy Karloman okuty żelazną zbroicą i dzielny Roland i bohaterki Artur. I pokaże się wówczas, że nie Skandynawia była ostatnim kresem tego dobroczynnego prądu, co w wieku XII spływał na Wschód z ucywilizowanej Francji, jak to utrzymuje pan Littré.

Odpowiadał nowemu akademikowi p. de Champagny dyrektor akademii. Spokojny zwykle starzec wyszedł na ten raz z powagi właściwej nieśmiertelnym i zaniast delikatnych śpileczek, jakimi lubią się kłuć grecczni akademicy prawiąc sobie w oczy komplementa, ugodził szydłem w bok uczonego pozytywistę.

„Nie tajno panu — rzekł — iż akademii uwieńczyła w nim filologa i pisarza, nie zaś filozofa i myśliciela! W uniemożnieniu pańskim nauka, to jest wiedza faktów, wiedza rzeczy materialnych, powinna wystarczyć ludzkości. Zabraniasz pan człowiekowi iść dalej. Z nieprzebręganym stoicyzmem odrzucasz ową naturalną i loiczną pracę ducha, która od rzeczy widomych wznosi się do rzeczy niewidzialnych, a która najwłaściwiej odpowiada wysokiemu powołaniu rozumu naszego; kładziesz interdykt na ludzką inteligencją. Ale bądź pan pewien, że szczęściem dla ludzkości, nie zburzysz jej i nie odbudujesz na swój sposób. Ludzkość pozostanie ze swymi instynktami, którym potrzeba ziemi, lecz niemniej potrzeba czegoś świętej. Nauka ściśle obwarowana żywiołem materialnym, ta sucha nauka badająca wyłącznie fakta, bez odnoszenia się do najwyższej przyczyny nie zdoła wystarczyć ludzkości.

„Człowiek potrzebuje innego zadowolenia dla rozumu, innej poeciechy dla serca, innej otuchy w cierpieniu, innych kwiatów na wieńiec grobowy dla ojców, innych pieśni nad kołyską niemowląt! Zrozumiał to mistrz twój August Comte w ostatnim okresie dni swoich, kiedy jak mówisz pan kreśląc jego żywot, wpadł w dziwną reakcją mistyczną i obok ulubionych poetów, odczytywał O Naśladowaniu Chrystusa. I ty sam panie wyrażasz mimowoli niepokój ducha ludzkiego, któremu nie wystarcza świat widomy, kiedy w pięknym wierszu wzy-

wasz ziemię w braku innego bóstwa. Chciałbyś iść za nią „pełen uniesienia i grozy, chciałbyś czuć pod stopami otchłan i jej straszne tajemnice, i nie spotykasz nic... jedno słońca bez liku, próżne atomy zatracone w dziedzinach nicestwa i chłodu.“

„Nie, panie, wszystko nie jest tak pustem ani tak chłodnym! Istnieje coś jeszcze poza obrębem wiedzy materialnej: nie będę tu cytował żadnego z Ojców kościoła, ani z filozofów; bądź spokojny, nie powtórzę słów teologa ani metafizyka, Świętego Augustyna ani Platona. Przypomnę tylko, co powiedział człowiek z ludu, aktor, wielki myśliciel Szekspir: „*Są rzeczy na niebie i na ziemi, o których się nie śniło waszym filozofom,*“ a tём mniej, dodam, waszym biologom, waszym fizyologom. Wyobraźnia, rozum nawet, dalej sięgają niż nauka. Ta prawda nieujęta, która nie objawia się w laboratorium chemika, ta niewiadoma, co znika w głębi tyglów, niedościgniona żadnym na świecie teleskopem; ta zagadka nie rozwikłana dotąd dla nauki, jasną jest przecież dla nas: my plebejusze wiedzy, my ją znamy i nazywamy Bogiem!

„Plebejusze wiedzy! I czemuż wyrzekłem to słowo? Alboż do tych inteligencji, uważanych dziś za podrzędne, nie liczymy najśłynniejszych mężów przeszłości: Newtona, Bilena, Leibniza, Cartezjusza, Paskala i Linneusza? Alboż nie należą do nich świeczniki wieku naszego: Ouvier, Ampère, Biot, Flourens i tylu innych, których głos brzmi jeszcze pod łukami tych sklepień. Tak zaprawdę, nie ja prosty, nieznany pisarz, ale cała nauka przeszłych i dzisiejszych czasów imieniem najśłynniejszych zapaśników swoich protestuje przeciw nauce Augusta Comte!“

Godziło się w tym szeregu wielkich imion opuścić największego z nich imienia, Kopernika?

Ksawery Marmier, członek Akademii Francuzkiej napisał w tych czasach monografię Roberta Brucego. Ten bohater to najpiękniejsza postać z dziejów szkockich, tak bogatych w poetyczne tradycje. Imię Brucego brzmiące po dziś dzień w pieśniach górali, płynie z falami Klydy i wywołuje echa ze skalistych złomów Highlandu. Walter-Scott rozgłosił to imię w całej Europie. Któż u nas nie pamięta *Pana dwuchset wysp*, tego cudnego poematu, który upowszechniła w literaturze naszej Marya Ilnicka ślicznym przekładem swoim.

Książka p. Marmier obejmuje wszystkie podania o szkockim bohaterze. Widzimy tu pasmo dwudziestoletnich jego zapaśców przeciw dwom równie zawziętym Edwardom angielskim; widzimy ostatni jego tryumf, który na długie lata zapewnił niepodległość Szkocji pod następcami Brucego, Stuartami.

Z podań o Brucym wybieramy dwa: jedno z czasów jego najzaciętszych zapasów; drugie, w którym postać Roberta występuje obok postaci wiernego towarzysza Douglasa, równie jak on żyjącego po dziś dzień w pieśniach i tradycjach szkockiego ludu.

P A J A K.

Szkoeka ty ziemiol Bóg tobie dał
Olbrzymią twierdzę ze stromych skał;
Grzmiące potoki spuścił z twych gór,
Płaszczem cię mętnych osłonił chmur;
Dał tobie bardy, co dźwiękiem harf,
Gdy grudzień odrze twe łąki z barw,
Dzwonią ci brzmiać w takt wieszczych słów,
Aż wiosna kwiaty rozwinie znów.

Szkoeka ty ziemiol i któżby śmiał
Przekroczyć stopą ten opok zwał?
Domu twojego bezpieczny wrzab:
Zkądże ta wrzawa bojowych trąb?
Przecz, niby jeleń obławą guan,
Król Robert Brucy, twój prawy pan
Ubiega w czarne wąwozy? Przecz
Plantageneta groźny ma miecz?
Z gniazdaż go cudzy wypłoszył gość?

Bo Robert Brucy kości twych kość,
Napędzon dzieckiem w bezdenną toń,
Młodą przed obcym raz ugiął skroń,
Raz, ach! ta pamięć w duszy mu tkwi
Pałącym jadem: on Szkot, krew z krwi,

Na głowę braci miecz podniósł raz!
Jeszcze téj plamy nie zatarł czas;
Ni łez gorący nie splukał zdrój,
Stokroć z Bretonem zwodził on bój.
Łzawy ni krwawy nie pomógł chrzest,
Na ostrzu miecza rdza dotąd jest;
W sercu żaloba, na czole srom,
Ze zgliszcz królewski nie powstał dom!
Może, by zmazać do reszty dług,
Jeszcze łyzy jednej wymaga Bóg!

Patrzmy... noc czarny roztacza kir;
Wilk-że to chyłkiem pędzi na zyr?

Sęp-że w powietrzny wzbija się szlak?
 Nie zwierz to głodny, ni głodny ptak:
 To gnan pogonią, bez tchu, bez sił
 Król Robert Brucey... Z rozdętych żył
 Na twarz mu bucha płomieniem krew,
 Zakipi gniewem, ryknie jak lew;
 Do chaty wspartej o krawędź skał,
 Pod tarczą nocy przybieży w cwał,
 Zbiegł się wąwozów to w szerz, to wzdłuż,
 Tutaj go Breton nie stropi już:
 Na straży Douglas, on wierny druh,
 Rozwarł powieki, wytężył słuch,
 Pogoń daleko zmiłkł podźwięk trąbl...

Król na garść słomy runął, jak dąb;
 O ziemię głucho zaszczęknął miecz,
 Schwycił go Brucey, odtrącił precz:
 — Tyżeś mnie wypadł z bezsilnych rąk?
 Gończe mnie sfory obiegły w krąg;
 Już ich krwi chciwych nie ujść mnie paszcz,
 Zszarpią mi w szmaty królewski płaszcz;
 Tron mój zdruzgoczą, skalają cześć:
 Ja Robert Brucey... jam dał się zgnieść!

Umilkł... na oczy padł-że mu sen?
 On miałby zasnąć? nie zdrémnie ten,
 Komu rwie serce piekielny ból!
 Cicho przed Bogiem zapłakał król...
 I skrzydła myśli rozpostrze w lot...
 — Gdzie legło tyłu, mam-że ja Szkot
 Ku czci Twój Chryste poskąpić krwi?
 Z piersi królewskiej zbiegł poryk lwi:
 Godzina moja uderza już!
 Prowadź mnie Panie przez głębie mórz,
 Do grodu Twego przesławnych bram:
 Ledz lub zwyciężyć pozwól mi tam!
 Daj ucałować ślad Twoich stóp,
 Oprzed me serce o święty grób!
 Zdroje łez wylać w okup mych win,
 Gdzieś żył i skonał Ty Boży Syn!..
 Wtedy, ach! wtedy przebaczysz mi...
 Głos coraz ciszej, a smętniej brzmi:
 Zmiłkł... nie dosłyszec jęku ni słów.

A tam w pobliżu królewskich głów,
 Jak on milczący, znojnny jak on,
 Pająk uściela w górze swój tron;

Promień księżycy przez okno wpadł,
 Spostrzega Brucy pajęczy ślad:
 Widzi... od belki spuszcza się w dół.
 Długo tkacz długo swój postaw snuł,
 Wreszcie do wątku zabrać się czas,
 Sprządz ma dwie belki... oh! gdyby raz
 Słabiuchną tylko przerzucił nie...
 — Biedny pająku! co tobie śnić? —
 Zawoła Brucy i wlepi wzrok;
 Z zamachem pająk rzuca się w bok
 Zbrakło mu siły... Daremny trud!
 Znow się na nici waży jak wprzód;
 I znów uderza i znowu zwiśł.
 Czyż go pajęczy odstąpił zmysł?
 Nie zrażon próbą dobywa sił,
 Już tkacz zuchwały u mety był;
 Gdybyż cal jeden, ach, jeden cal...
 I znów oczyma przemierza dal,
 Gdybyż mu drobne skrzydełka mieć?
 Rzuca się jeszcze... wtém pękła sieć:
 Naprawia szkodę, czas kończyć już,
 Na dół po nici spuszcza się wzdłuż,
 Po dwakroć silny ponawia rzut.
 — Biedny pająku! małoż twych złud?
 Według sił mety łatwiejsze znaoził..
 On nie ustaje wytrwały tkacz,
 Z wysiłkiem mierzy do celu wprost:
 Z belki na belkę zarzucił most!

Widzi to Brucy... łzę otarł z lic:
 — Nic mnie już z drogi nie zwróci, nie!
 Wielką przestrogę daje mi Bóg:
 Dzięki ci Paniel! I zagrzmi w róg:
 Douglas z drużyną przybieży w cwał,
 Pomyka hasło od skał do skał;
 Zaszczęły miecze, krwi potok ściekł,
 Rumieni łoża jezior i rzek.
 Brucy już panem warownych miast,
 Drapieżne sępy wypłoszył z gniazd;
 Przez Twidu fale najezdźce brną,
 Iluż porwały prądy na dno!
 A Brucy zasiadł królewski gród,
 Oczy w daleki zasyła wschód;
 Duma na jawie, marzy we śnie
 Rychłoz swój korab na morza pchnie?
 W duszy niezłomny ponawia ślub:
 On wesprze serce o Zbawcy grób!

Serce Brucego.

Dlaczego zadrżał królewski gród?
 Czemu jęk płynie wzdłuż Klydy wód?
 Dlaczego bardów zmilkł śpiewny chór?
 Czemu zmilkł szelest sokolich piór?
 Drzemią na berle sokoły tam,
 Już róg myśliwski nie huknie z bram;
 Wyją ogary, nie iść im w las:
 Wesołych łowów przeminął czas...
 Czarna łowczyni wietrzy tu łup,
 Krąży nad zamkiem jak dymu słup;
 Śpiące pułchaczki wypłasza z gniazd,
 Lecieć im z wieścią od miast do miast,
 Mknąć przez parowy od siół do siół,
 Bo już rozwarty grobowy dół
 Temu, co w bojach przez wieki ówieró,
 Śmiało w zapasy wyzywał śmierć...
 Straszny odwetu przyszedł już dzień
 Czarnój łowczyni krąży tu cień;
 Słychać złowrogie pogwary sów:
 Nim słońce zajdzie skończony łów!

Na ścież rozwarte komnaty drzwi,
 Legł Robert Bruce na skórze lwiej;
 Jak dąb wspaniała, krzepki jak tur,
 Lica ma blade, czoło bez chmur;
 Krucze kędziory, kruczają ma brew,
 Ból jój nie zmarszczył, nie zjeżył gniew;
 Piersi mu broda pokryła w pół,
 Czas już w jój runo nie srebrną wsnuł;
 Lecz nie wyżłobił na czole bruzd,
 Uśmiechu z bladych nie spędził ust,
 Nie zgasił czaru tych źrenic dwóch:
 Z ich głębi świeci pogodny duch!

Opodal stoją barony w krąg,
 Przyzwał ich Bruce skinieniem rąk:
 Idą... zaszczykła pancierzów stal,
 Jeden pozostał... zbyt ciężki żal
 Wślad za drużyną nie da mu iść;
 Oniemiał z bólu drżący jak liść:
 To dzielny Douglas! od rannych lat
 Po krwi, po mieczu, po duchu brat!...

— Wierni wy, moi!—rzekł z oicha król:
 Z serc wam niewczesny wyrzucić ból,
 Acz mi kędziorów nie zbielił śnieg,
 Krótki lecz pełny dni moich bieg!
 Siłaż mi spełnić dozwolił Pan,
 Jam wzmocnił węgły domowych ścian;
 Zdawna stargany przywrócił mir,
 Rozbudził struny milczących lir;
 Niesforeną gawieź jam ujął w karb,
 Złotem ubogi zasilil skarb,
 W oracza rękę jam oddał pług,
 Jam kraj wprowadził w tór nowych dróg:
 Po ciężkiej pracy spocząć mi czas!
 Wam dalej trzebić ten głuchy las,
 Wzrosły na zgliszczach zamczysk i chat;
 Wam goić rany stu krwawych lat,
 Wam stać na czatach domowych miedz,
 I w starém gnieździe pisklęcia strzedz,
 Słonić od spieku, chronić od dżdżu,
 Aż z ramion skrzydła wyrosną mu,
 Aż nianczon pieśnią królewski ptak:
 Orłem w słoneczny wyleci szlak!

Druhy u łoża pokłękli w rząd,
 Wola wstrzymują łez wrzący prąd;
 Tchu brak im w piersi, brak w ustach słów;
 Król spoczął chwilę i rzecze znów:
 — Chodźże Douglasie, ty bracie mój!
 Nie jeden przy mnie przetrwałes bój;
 Tyś nigdy kroku nie cofnął wstecz,
 Nigdy z twój ręki nie wypadł miecz:
 Dziś—ze rycerska pierś twoja drży?
 Chodź tuł przy tobie skonać mi lżej!...

I zebrał Douglas ostatek sił,
 W wezglowie króla oblicze skrył;
 Słodko się Brucy uśmiechnie doń,
 Na głowie druha wsparł zimną dłoń:
 — Miły Douglasie chce tego Bóg!
 Kres moich ziemskich skończony dróg.
 Lichy rozbitek po latach burz
 Idę w przystani odpocząć już!
 Bratnią mi ręką rzuć ziemi garść,
 Lecz nie daj ziemi na oczy spaść
 Póki mój woli nie spełniesz wprzód:
 Gdy serce moje zastygnie w lód,

Ty nieskażoną prawicą twą
 Z mej piersi trupięj wyjm serce to,
 W złocistą puszkę to serce skryj,
 Podejmij w rękę pielgrzymi kij:
 Idź tam, gdzie w skwarne żywota dnie,
 Duch mój w znikomym wędrował śnie;
 Gdzim ślub uczynił wśród twardych prób,
 Oprzecz me serce o Zbawcy grób!
 Do stóp Golgoty... ach, ty je zbliż!...

Umilkł... oburącz uściskał krzyż,
 Krasa do reszty zbiegła mu z lic,
 Westchnął... i więcej nie wyrzekł nic...
 I tajemniczo siadła u głów
 Ozarna łowczyni... skończony łów!...

Stoją barony z oczyma w słup,
 A na lwiej skórze królewski trup
 Spoczywa cicho, jak gdyby spał;
 Straszny Douglasa porywa szal:
 Rozdziera szaty, włos brody rwie:
 — Boże! — zawoła — Tyś dusze dwie
 Świętém miłości ogniwem skuł,
 Wtrąć mnie z nim razem w grobowy dół!

Spojrzy na trupa, odbieży w skok
 Zwrócon ku niemu królewski wzrok,
 Jak gdyby mówił: Douglasie, stój!
 W moc uzbrój ducha, nieskończon bój!
 Świętą powinność wypełnić masz,
 Jam zdał me serce pod twoję straż!

W Douglasie nagle zolbrzymiał duch,
 Przystąpi wierny do króla druh,
 Zwarł mu powieki, u łoża kląkł,
 Krzyż umarłemu podejmie z rąk:
 — Chrystel przed Tobą on spełnił ślub,
 Tyś w poprzecz drogi stawił mu grób;
 W okup zań moję przyjm Panie krew,
 Daj mi pomnożyć ten boży siew,
 Co z kości wiernych wykwita wciąż
 Ku chwale Twojej!

I powstał mąż:
 — Rycerze! — woła — za krzyż, za miecz!
 Bolesć z serc waszych odrzućcie precz;
 Sztandar Brucego podjąć nam czas:
 Do Palestyny niech wiedzie nas.

Trupia go ręka nie dźwignie już!
 My go poniesiem przez fale mórz;
 Memi was usta król wzywa sam:
 To wielkie serce tor wskaże wam!

Szczękiem sto mieczów odpowie w chór,
 Zabrzmiały dzwony... od gór, do gór
 Głucho przebiega żałobny spiż.
 Zbiera się orszak, po przedzie krzyż;
 Barony zwłoki podjęli współ,
 Ze czcią złożyli w grobowy dół;
 Obleli łzami... śpi w ziemi trup:
 Druhy zań spełnią pobożny ślub!

Mewy-z to lecą na morski brzeg?
 To flota szkocka... żartki jej bięg;
 Wiatr przez głębinę spienionych wód,
 Rozdęte zagłę pędzi na Wschód.
 Któżto on rycerz rosły jak tur?
 Ma na szyzaku pęk czarnych piór,
 Czerwonym krzyżemznaczony płaszcz,
 Na piersi łańcuch z lwich kuty paszoz:
 Cóż u łańcucha przyświeca tak?
 Złociста puszka, na puszcze ptak,
 Skrzydlaty orzeł zrywa się w lot:
 Godło Brucego zna wierny Szkot,
 Douglas żrenice zatopił w nie,
 A flota chyżo po falach mknie!

Otóż i Flandrów nadbrzeżny gród,
 Zwołuje Douglas rycerski lud:
 —Niech pękną zwarte wrzeciądze bram!
 Serce Brucego na piersi mam!
 Przyłóżcież usta do złotych czasz,
 Przemennie woła król Robert nasz:
 Na Wschód rycerzel tam rośnie błuszcz,
 Dość wam tych wieńców z litewskich puszczi!
 Czas w samém gnieździe pohańce zgnieść!
 Wnet się po kraju rozbieży wieść,
 Flamandów święty pochwyca szal:
 Waleczny zastęp zbroicę wdział.

Pomyka flota na skrzydłach burz,
 O kraj Hiszpanów potraça już;
 Gwadalkwirywra poniósł ją prąd
 Do bram Sewilli.

— Nie ruszycm ztąd!—

Zawoła Douglas—dmie wichur wstecz,
 O karki Maurów zostrzmy tu miecz!
 Oto król Alfons z dzielności znan,
 Zwołuje wiernych w rycerski tan;
 Nad krajem straszne orkany dmą,
 Ośmin z Grenady z Arabów cma,
 Pędzi po zgliszczach zgorzałych miast,
 Drapieżne kruki wypłasza z gniazd:
 Na krzywdy ludu patrzéże nam?
 Robert mi szepcze... głos jego znam!
 W złocistéj puszcze to serce drży!
 Idźmy!... pod ziemią będzie mu lżej.
 — Za mną krzyżowce! chce tego Bóg!
 Rozwinął sztandar, zadzwoni w róg;
 Ziemia się wstrzęsła, drżą złomy skał,
 Douglas z rycerstwem pomyka w cwał:
 Do wojsk Alfonsa dopędza już...
 — Zkąd ty rycerzu?

— Z za słonych mórz!

Król Robert Bruce pomoc wam śle:
 Widzisz te godła na modrém tle.
 — Kędyż bohater?

— W ziemi bez tchu,

Lecz jego serce ja noszę tu!
 I podniósł puszkę waleczny Szkot,
 Z pokrywy orzeł zrywa się w lot;
 W Alfonsie nagle spotęźniał duch,
 Rozwarł źrenicę, wyteża słuch:
 — Słyszysz rycerzu ten poryk trąb?
 Widzisz na niebie ten czarny kłęb?
 To Osmin! wściekły pustyni lew!

W zylach rycerzy zakipi krew:
 Szkoty i Flandry z Hiszpany wraz
 Stają do szyku: oh, czas im czas!
 Pędzą Arabcy... kurzawy pył
 Czarnym całunem tarcz słońca skrył,
 Noc niby skrzydły, ogarnia świat;
 Już okiem brata nie pozna brat,
 Lecz wroga wraży odgadnie zmysł
 Szczękneły miecze, krwi potok tryśł.
 — Ałłach! tysiące wykrzyknie ust,
 Krew się potoczy tysiącem bruzd,
 Ziemiol od grozy w posadach drżysz,
 Kiedy się spotka z księżycem krzyżł
 Ochłon-że z trwogi... oh! nie drżysz ta kł!
 Patrz!... oto górą zbawienia znak!

Osmin się tarza w kałuży krwi,
Miecz Douglasowy w żebrach mu tkwi;
Na pierś mu nogą nastąpił Szkot;
Jękły Arabcy, dalejże w zwrot!
Pomyka hufiec postrachem gnan,
Trupem powalon Emir ich pan;
Czarna im przepaść rozwarła dno:
W pola Grenady piorunem mkną!

Kruczeń to stada lecą w ich ślad?
O stokroć srozsze od kruczycy stad:
Pogoń Krzyżowców... ich mieczów szczęk!
Spojrzą... poznali piór czarny pęk.
Już dzielny Douglas spadł im na grzbiet:
— Ratuj prorokul!—zwróca się wnet,—
Przekleń swo tobie niewierny psie,
Dość krwi emira tyś napił się!
Żyw nie wybiegniesz ty z naszych rąk!
—Douglas oczyma zatoczy w krąg:
Pada, oh pada za druhem druh...
Z garstki rycerzy zostało dwóch.
Wściekłe Arabcy przyskoczą doń,
Już pod nim rączy ubity koń;
Już mu w prawicy pękł ostry miecz,
Lecz Douglas kroku nie cofnie wstecz!
Lewicę w górę wznosił dzielny mąż,
Sztandar Brucego piastuje wciąż;
Ten znak bez skazy walk przetrwał sto:
Z żelaznej pięści wydrzeż go kto?

Padły dwa trupy... Douglas już sam
Zdarł z piersi puszkę...

— Znam ja cię, znam

Robercie Brucy! idź królu mój!
Zawsześ ty pierwszy na krwawy bój;
Za tobą Douglas podąży w ślad,
Jak to za dawnych bywało lat!...
Z zamachem skarb swój wyrzuca w dal,
Stu szablic w oczy błyska mu stal;
Drze się przez mieczów zjeżony płot,
Z czoła strumieniem ścieka mu pot;
Krew mu strumieniem pocieka z żył,
Rozpiéra tłumy ostatkiem sił...
Oh jeszcze jeden, oh jeden krok...
Dopadł... Arabcy odskoczą w bok...

Legł... z martwą piersią, z oczyma w słup
Na sercu króla Douglasa trup,
Oblan potokiem gorącej krwi:
Sztandar Brucego w pięści mu tkwil

Dziwną, sprzeczność przedstawia naród francuzki. Niéma narodu tak pozytywnego jak Francuzi, wołają jedni i cytują szereg dowodów bardzo przekonujących. A gdzież naród bardziej zamiłowany w ideale piękna? pytają drudzy, i ze swój strony popierają rzecz tysiącami dowodów. Jedni i drudzy mają słuszość. Wiadomo że Francya stworzyła szkołę pozytywizmu i rzucone w świat teorye zrealizowała pierwsza tak w dobrém jak w złém. Alboż nie świadczą o tój realizacyi dodatniej owe miliardy wrzucone do skarbu twardych zwycięzców? O stronie zaś ujemnej zbyt wymownie świadczą gwałty komunyl

Jest więc Francya pozytywną. Nie mylą się przecież i ci, którzy widzą w niej twórczą potęgę objawiającą się tak w poezyi, jak w sztukach pięknych. Geniusz francuzki eklektyczny z natury swojej, łączy w sobie te dwa czynniki: poezya i pozytywizm to niby dwa potężne skrzydła, które pohają naród w coraz to nowe szlaki życia dziejowego.

Co nas przedewszystkiém uderza we Francyi, to owa harmonia dwóch tak napozór przeciwnych sobie prądów. Pozytywiści francuzcy pracują wytrwale w swoim kierunku, ale nie potępiają tych, którzy inne obrali drogi; nie wołają oni: precz z poezyą, precz ze sztuką, precz z ideałem!

Dziś, po tak ciężkich próbach, naród francuzki z równym zapalem, z równą otuchą, woła i na pozytywistów, aby gromadzili zasoby materialne i na poetów, aby przynosili skarby ze świata swego. Posłuchajmy co mówi Georges Sand:

„Umysły oddające się literaturze mają dziś przed sobą jasno określone posłannictwo. Trzeba im wysoko podnieść jedyny sztandar dotąd niezwyknięty, sztandar wyższości intelektualnej. Dopóki Francya będzie miała pierwszorzędných poetów, wielkich muzyków i malarzy, śmiało może protestować przeciwko zarzutom upadku tak często a niebacznie jej czynionym. W siłach żywotnych geniuszu i talentu, w tój nieprzebranej twórczości naszego plemienia znajdujemy dziś odwet. Przyznano nam wytworny *smaak*; ci, którzy nas oceniali z tój strony, uważają w tém rzecz błahą: a przecież *smaak* estetyczny jest w rzeczy samej silnym bodźcem preradzania się, że tak powiemy *selekcyi* duchowej. Bez poezyi w literaturze, malarstwie, muzyce, architekturze, rzeźbie i przemyśle, niéma przyszłości dla ludów. Te któreby chciały obejść się bez poezyi, ujrzałyby wnet spaczoną i wyczerpaną potęgę materialną. Poezya to prąd uczucia, co wy-

bucha gwałtownie i znów zataja się chwilowo, to rzeka, albo wążiuchny strumyk ujęty w łożysko talentu. Smak jest jakoby mądrze obmyślanym upustem, który rozdziela wody zbawcze, daje życie i płodność. Bez smaku mielibyśmy tylko powódź, klęski i spustoszenia. Poszczyómy się tym darem; smak estetyczny to wielki wynalazca: nic go nie ujarzmi i nie zwycięży.

„Jakąż to kampanią wojskową najbiegłej poprowadzoną stawić obok téj kampani artystycznej, jaką wygrali nasi malarze na ostatniej wystawie (1872)? Któżby mniemał, iż zobaczy tak wielką moc mistrzowskich utworów zrodzonych po niesłychanej burzy. Wy panowie Niemcy, tak pyszni z militaryzmu waszego, wy Amerykanie tak pyszni z waszych bogactw: gdzie wasze utwory, gdzie wasi mistrze? Sypiąc garściami złota nabywacie arcydzieła do narodowych skarbczyń waszych, ale kto będzie u was niezamordowanym pracownikiem, niewyczerpanym wynalazcą? Chciecie zburzyć nasz kraj działami, osłabić go haraczem, a oto jakby na zakłęcie siły czarodziej-skiej, pokrywamy targowisko nowym plonem, co wzrosł i dojrzał pod ognistym gradem kartaczów.“

Przytoczyliśmy to zdanie pani Sand nie dlatego że wyszło z pod pióra znakomitej artystki, ale że charakteryzuje stan umysłów wielkiej części myślicieli francuzkich. Nigdy może poezya nie była bardziej niż dziś cenioną we Francyi. Każdy nowy a wyższy utwór przyjęty tu zapałem, obsypany poklaskami. Dzieła dawniejszych nawet poetów odgrzebywane starannie, wychodzą na jaw z ukrycia i nikt się tém nie gorszy ani nudzi.

W ostatnich oto czasach, krewni Lamartina wydali pierwsze jego próby poetyczne z przedmową znanego poety Laprada: Paryż przyklasnął szczerze téj publikacyi. Widzimy tu dwie tragedye: *Medeę* i *Zoraideę* kreślone ręką niedoświadczonego młodzieńca; widzimy rozległy plan epopei pod tytułem *Wizye*. Epopea ta miała ogarnąć cały rozwój myśli ludzkiej, znane dwa poemata *Joselin* i *Upadek anioła* są tylko epizodami téj olbrzymiej całości. Zostawiamy na później szczegółowy rozbiór tego tomu, dziś wspomnimy o korespondencyach Lamartina, których wydawnictwo właśnie rozpoczął Hachette. Dotąd wyszły dwa tomy.

Ukazanie się tych listów wywołało wielki ruch w dziennikarstwie. Gazety i Przeglądy chórem krzyknęły o nich. Albożto nie znamy Lamartina—wołają jedni—małoż-to naprawił o sobie w Pamiętnikach własnych i matki, w Rafaelu, Grazieli, Zwierzeniach i Medytacyach? Azaliż nie słyszeliśmy wszystkich uderzeń jego serca, czy to poruszała je miłość, czy żądza chwały, czy rozkosz tryumfu, czy gorzyc upokorzenia? Cóż nowego powiedzą nam te listy?

—Wiele, bardzo wiele powiedzą—odpowiadają drudzy—a to z prostej przyczyny, że Lamartine nie pisał ich dla druku, że nie pozuje w nich ale rzuca je na papier, tak sobie, bez pretensyi; że się

w nich pokazuje nie półbożkiem, ale człowiekiem z drobnymi słabostkami, właściwymi naturze ludzkiej.

— A cóż zyska na tém poeta—mówią inni—że poznamy jego słabostki? Po co nam wiedzieć, że ten, który z takim uczuciem opiewał domowe ognisko, nieraz ziewał skwaszony wlepiając oczy w święty domowy płomień, że myślał tylko jakby wyłowić jakiś pieniądz z rąk skąpego ojca i uciec od dusznej atmosfery patryarchalnego domu, z pod cieniu widnogradowych pagórków Burgundyi na czarodziejskie brzegi Neapolu. Po co nam rozdzierać tajemnicze zasłony pokrywające niby siecią pajęczą serce wieszce? Alboż to sam Lamartine nie wyrzekł w jednej z pieśni:

Śpiewka, to istne ptasze, co w lotnym przebiegu
Nigdy gniazdka na cichym nie uściele brzegu,
Na gałązce w cienistej nie siedzie dąbrowie;
Tylko wietrzyk na modrej kołysze go fali,
Mija z pieśnią, że istniał świat niechaj się dowie,
Gdy dźwięk doleci z oddali.

— A i czemuż to—mówią nakoniec inni—słowik nie uścielał gniazdka w cienistej dąbrowie, lecz na widowni świata pod gzymsami pałaców paryzkich?

Przy kim tu słuszność? Jedni i drudzy mają za sobą cząstkę a przynajmniej pozór prawdy. Nam się zdaje, że ogłoszona korespondencya Lamartina nie oderwie ani jednego listka z jego wieńca, ani też nie wplecie nowego kwiatu w jego poetyczną koronę. Mamy i my korespondencye naszego Adama; nikt się przecież na to nie skarży; odebrałoż to urok panu Tadeuszowi, gdy czytamy że tego a tego dnia poeta *skropił* czterysta wierszy? Alboż Giaur stracił co na tém, gdy tłumacz wymyśla na niego od ostatnich, wcale nie poetycznych słów, że go nudzi i męczy? Ale tu rzecz zupełnie inna: Mickiewicz był zawsze i pozostał do końca ulubieńcem narodu; Lamartine przeciwnie, w ostatnich zwłaszcza dziesięciu latach czuł boleśnie jak cięży narodowi.

Bądź co bądź Lamartine wielkim jest poetą, świetnym zjawiskiem na widnokręgu literatury. Wady jego mogły zaciężyć jednemu pokoleniu, chwała jego jest chwałą Francyi, bogactwem i ohlubą przyszłych pokoleń. Żadne słowo jakie po nim zostało nie może być obojętnem dla Francuzów. Listy poety z młodzieńczych lat, świadczą w jaki sposób rozwijał się i dojrzewał jego talent, pod jakimi wpływami drobna iskierka zamieniła się w twórczy płomień.

Listy, które mamy przed sobą, pisane po większej części do dwóch przyjaciół i towarzyszków szkolnych pp. Bienassise i Virien. Pierwsze z nich pisał poeta mając lat siedmnaście, wkrótce po opuszczeniu ławy szkolnej.

„Często—mówi on—przebywam myślą w Bellay, chociażbym wrócił tam jeszcze, ujrzed znow naszą salę, naszą sypialnię, gdzie tak niechętnie wstawałem z łóżka o piątą, naszą klasę retoryki, moją ławkę w kościele, moje zwykłe miejsce w refektarzu.“ Opisuje towarzyszy, którzy pozostali w kolegium, swoje zajęcia i zamiary, troski i uciechy; mówi o książkach, jakie czyta, o wierszach, jakie pisze. Skarży się na ubóstwo, potrzebuje wiele, to co ma, nigdy mu nie wystarczy: nie umie związać końca z końcem. W jednym liście utyskuje, że cały majątek jego wynosi cztery franki i kilkanaście centimów, a ma dwanaście franków długu; w innym przyznaje się, że jadąc do wuja nie miał czém zapłacić za obiad; w innym znow po przeczytaniu dziełka de Maistra: Podróż w około mego pokoju, przeprowadza wyborny dyalog pomiędzy *Bestją* a *Tamtą*.

„Dziś rano—pisze—odbyła się u mnie dysputa podobna do de Maistrowskiej; moja bestya rzekła do mnie: Twój przyjaciel czeka cię, jedźże z nim do Aix; będzie to miła i niekosztowna wycieczka. Zabawisz tam kilka dni, a potem puścisz się w góry Sabaudyi. Jakto miło przebiegać góry i pola piechotą z wesołym towarzyszem. Słońce tak pięknie świecił Drugi raz taka sposobność nie powtórzy się pewnie. Masz trochę grosza, trzeba korzystać z czasu. Jedź!

„Uwagi mojej bestyi trafiły mi do przekonania; zrywam się czempredziej—bo rzecz odbywała się w łóżku—chcę zabrać co żywo manatki, upakować tłumoczek. Nagle *Tamta* oburzona moją słabością chwytła mię silnie za ramię: Głupie bydlę! zawoła, bo nie zwykła dobierać wyrazów, godzisz się poświęcać zimowy pobyt w wielkiem mieście, dla tój wycieczki, której całym pożytkiem chwilowa tylko uciecha?

— Tylko uciecha, tylko uciecha—powtórzy bestya szyderczo.— A czegoż to żądasz więcej moja ty przemądra pani? czegoż to szukasz w świecie? za czém się chcesz upędzać?

„Za czém się chce upędzać?—odpowie *Tamta*,—dowiesz się kiedyś o tём moja sestro, ale dziś zanadto masz głowę przewróconą: nie warto rozprawiać z tobą. Milcz więc i nie stawaj mi w drodze. Ja sama poprowadzę tego niesfornego panicza. Zważ dobrze—doda łagodniej, obracając się do mnie,—że jak zmarnotrawisz to co masz, będziesz musiał przesiedzieć całą zimę przy tём nudném ognisku.“

Ojciec niechętny rządowi Napoleońskiemu usiłował koniecznie zatrzymać w domu syna, ten zaś chciwy znaczenia i dostatków wyrwał się gwałtem z domowych progów. Ztąd bezustanna walka, ztąd utyskiwania i skargi. Rad nie rad musiał jednak młodzian ustąpić woli ojca. Znajdując zapory na drodze do publicznego zawodu wziął się gorliwie do literatury, pracował z zapałem i wytrwałością. W listach jego znajdujemy ciekawe uwagi nad przeczytanemi książkami. Zajmuje go żywo sentymentalna Malwina pani Cottin, później czaruje go Ossian: przekłada go na wiersz francuzki. *Męczennicy* Chateaubrianda nie poruszają wcale jego wyobraźni; zapala ją za to *Nowa*

Heloiza i Corynna. „Nieba, cóż to za książka,—mówi o pierwszej— jakież to palące zgłoski: dziwię się, że płomień z nich nie bucha!“
Corynna większy jęszcze budzi w nim zachwyt.

„Puściłem się na samotną wycieczkę smutny i chory—pisze do przyjaciela.—Zabrałem z sobą kilka książek, między niemi *Corynnę* pani Stael, przeczytałem ją w dwóch dniach. W jakim to świat ideału, prawdy, poezji, porwało mnie to dzieło! Jakże ten świat odmienny od zimnego i ciasnego koła, w którym żyję. Ileż tam myśli wzniosłych i szlachetnych, jaka miłość przyrody i sztuki! Czytanie to rozbudziło we mnie całą potęgę nowych nieznanych mi uczuć, zapal do wszystkiego co wielkie, szczerze pragnienie chwały. Gardziłem tą kobietą (autorką), odtąd będę jawnym jej obrońcą i przyjacielem.“

Dotychczas wielu krytyków widziało w Lamartine samouka, genialnego improwizatora, któremu natchnienie przychodziło bez pracy. Ogłoszone korespondencye wyprowadzą z błędu nie jednego. Poznajemy tu z jaką żelazną pracą poeta zasilał bez ustanku bogate źródło twórczych natchnień; jak wytrwale badał ścieżki, któremi chodzili poprzednicy, nim wydeptał dla siebie nową kolej. Od najmłodszych lat zdrowie jego nadzwyczaj było wątłe. W każdym liście skarży się to na głowę, to na piersi, to na serce lub na wątrobę. Doktorzy wyprawiają go bez ustanku to do Aix, to do Vichy. Około trzydziestego roku życia siły jego dopiero stanowczo się ukrzepiły. Ale oiągłe cierpienia fizyczne nie odbierają mu energii do prac literackich: wstaje o szóstej rano, pracuje ośm godzin bez wytchnienia, uczy się po niemiecku, po włosku, przypomina szkolną greczyznę. Matematyka tylko budzi w nim wstręt niezwyčajony; z upodobaniem za to oddaje się muzyce, gra chętnie na bassetli. „Pracujmy, pracujmy! pisze do przyjaciela, to jedyna droga na przyszłość!“

Jak każdy poczynający poeta, Lamartine z razu naśladowuje drugich. Najprzód idzie trop w trop za Voltaiem i Gressetem, przejmując formę i ustrój ich wiersza; później zachwyca go Parny. Rzecz dziwna, że najeteryczniejszy z poetów francuzkich bierze za wzór tak zimnych materyalistów, jak Parny i Voltaire; wkrótce jednak rozwija skrzydła samodzielnie i daleko za sobą zostawia mistrzów swoich. W listach do przyjaciół wylicza pierwsze próby, przedstawia plany rozpoczętych prac. Z gorączkowym pośpiechem rzuca się na wszystkie rodzaje poezji, pisze liryczne zwrotki, wodewille, rozpoczyna obszerny poemat o czterech porach wieku ludzkiego, tworzy trajedję i epepeę; ubiega się o nagrodę na igrzyskach kwiatowych w Tuluzie; posyła na konkurs do Awignońskiego Atheneum poemat o Petrarce; do Akademii Besansońskiej podaje studjum historyczne o sporach książąt Burgundyi i Orleanu. „Moja rozprawa bardzo świetna—pisze do przyjaciela—ileż tam obrazów, ile sprzysiężeń, ile morderstw, ile zdrad, ile paralleli, ile zbrodni i sprzeczek!“

Jakże ten dwudziestoletni Lamartin, którego chwytny na gorącym uczynku w listach, niepodobien do owego Lamartina wymuskanego, wyperfumowanego, z długim, płowym, wijącym się w pierście nie włosem, o którym czytaliśmy cuda w Zwierzeniach, Rafaelu i Grazieli. Próżność drzemie w młodym sercu jeszcze nie rozbudzona, w listach nie dopatrzyć przechwaki. „Towarzystwo nie dla mnie — pisze do Bienassisa — nie widuję nikogo, praca i twoje listy całą moją uciechą. Nie śniaty jestem i niezgrabny, tak jak ty. Nie umiem sformułować miłego słówka, ani odpowiedzieć na grzeczny komplement. Wszystko mi to wstrętne jak tobie. Kocham się jak ty, w każdej kobiecie, jaką spotkam, a nie śmiem przystąpić do żadnej. Czas i nawyknienie wyleczą mnie z tej choroby.“ Serce poety snad przygotowane do wielkich uczuć, brak mu tylko przedmiotu. Niekiedy myśli że go znalazł: „Przyjacielu — woła — mam ją: zabity jestem!“ Ale w trzy miesiące goni znów za inną zdobyczą.

Tak ją kocham! gdzież otucha!
 Tracę z oczu mą wietrznice,
 Bozku, szepnij mi do ucha
 Jój dom, imię i ulicę!

W roku 1810 dostaje się młodzian do Lyonu; ojciec po długim oporze wydobył z kryjówki kilkanaście zapleśniałych sztuk złota i oddał je synowi. Matka z bijącym sercem wyprawiła go w drogę. Zima zbiegła mu tam jak sen. Z początkiem wiosny pisze do młodego Virieu: Jutro niestety, jutro opuszczam Lyon i mój abonament na dwa teatry, i moje lekye angielskie, i mój śliczny pokoik, a nade wszystko moją wolność, moją nieopłaconą, nieporównaną wolność!

„Zgadnij zkąd piszę do ciebie? oto z grotty Jana Jakóba Rousseau nad brzegami Saony! Przyszedłem tu sam, ozemuł sam, czemu nie jesteś ze mną? Tu *nasz przyjaciel*, wyrażam się może zbyt zuchwale, tu nasz przyjaciel spędził dwie nocy z dwoma soldami w kieszoni, tu marzył, rozmyślał, pisał i jak mówi czuł się szczęśliwy! Znasz zapewne to miejsce: nie głupim, żeby je opisywać. Wszystkie grotty podobne do siebie, ale nie wszystkie miały zaszczyt mieścić tak wielkiego człowieka. Przyniosłem z sobą papier i atrament w manie-manu, że napiszę jakieś wiersze. Wolę jednak zabrać się do listu, a jeśli jaka zwrotka wypłynie mi z pod pióra, przyjmij ją proszę, złą czy dobrą. Rousseau przyszedł tu bez pieniędzy, ja co gorsza przyszedłem z długami. Naprózno szukam rotargnienia, ta myśl ściga mnie bez ustanku. Jak tu wyjść z tego odnětu? Ojciec powołuje mnie, jadę... co będzie ze mną, jeśli mi nie spłynie z uieba jakaś nadspodziewana pomoc?

W dziewiętnastym już roku troska mi wygniata
 Bruzdy na gładkiem czole; ómi wzrok mgły zasłona;
 Wnet starego lichwiarza ręka lodowata
 Włoży na nie ohydny kapuzę zieloną.

W miesiąc potem pisze poeta nowy list pełen szlachetnych uczuć i najwznioślejszych pragnień. Zrywa się jak orzeł do lotu. Ciasną mu i duszno, radby leciał gdzieś w przestrzeń, sam nie wie jaką ma obrać drogę.

„Co czynić mamy obaj?—pyta przyjaciela.—Jakż to siła leży w głębi naszych piersi i nie daje odetchnąć spokojnie, dopóki jej nie zadowolimy lub nie zdusimy gwałtem. Jak ją nazwać? jestże to potrzeba miłości? O nie! Kochałem się jak szaleniec, a przecież ten okrzyk sumienia i wtedy nie umilkł w duszy mojej. Jest głos co silniej przemawia do mnie niż namiętny szal, niż cała potęga najczystszych nawet uczuć. Byłaby to duma? nie zupełnie!... Czuję, że ubogi jak Homer, prześladowany jak Tasso, bylebym tylko miał przyjaciela, którego mam, bylebym mógł zbadać to wszystko co przeczuwa mój umysł, wszystko zobaczyć, poznać, odmalować, byłbym zupełnie szczęśliwy. Rok temu powtarzałem z Gilbertem:

Jedyną znam nudotę: żyć nieznaną światu!

„Dziś już tego nie powtarzam i słusznie. Można być godnym uznania, a mimo to żyć długo, może zawsze nie poznanym. Powtarzam dziś i myślę, że jedna jest tylko prawdziwa niedola: nie móż uczynić zadosyć wszystkim potrzebom duszy i rozumowi, wszelkim władzom i zdolnościom naszym, skoro mamy po temu siły.

„Jestżeś gotów? Jam gotów już oddawna. Ułożmy więc nasz kodeks. Będziemy tylko słuchać sumienia, które powtarza do nas: pracuj abyś mógł spożytkować to, co otrzymał; pracuj, aby się stał pożytecznym, o ile nim być możesz; pracuj, aby poznać życie, zbadać jego potrzeby; pracuj, abyś miał prawo wyrzec w ostatniej chwili: żyłem krótko, miałem jednak czas rozpatrzeć na tym małym globie to wszystko, co wzrok mój mógł osiągnąć; poświęciłem temu pragnieniu wiedzy, szkromną chudobę moją i uciechy i przesady światowe. Jeżeli zyskałem jakiś promyczek chwały, tém lepiej! Jeżeli pozostałem nie znany, mniejsza o to. Byłem użyteczny sam sobie, rozszerzyłem koło moich pojęć, zakosztowałem wszystkiego, zwiedziłem cztery części świata, a jeżeli zostawię ciało gdzieś na dalekim gościńcu, jeśli nie pójdzie za nim na ementarz tłum krewnych, spragniony puścizny, wiem przynajmniej, że na mogiłę moją spadnie cicha łza przyjaciela, który dzielił moje trudy, moje nauki i prace, wiem że oddam temu, który stworzył duszę moją, wydoskonalone Jego dzieło!“

Poprzestajmy na tych wyjątkach; dalsze listy kreślone w chwili uniesień miłosnych nie mają dla nas równego zajęcia. Pojmujemy, że nie dano było Lamartinowi, jak Dantemu albo Petrarce karmić w paśmie dni jedyny ideał wysniony w Laurze lub Beatryczy. Zmiennosć rzeczłą zwyczajną tak sercu poety, jak i zwykłego śmiertelnika; rozumiemy ją w życiu, nie rozumiemy w książce. Dnie, miesiące, niekiedy lata spływały w życiu między jednym a drugim uczuciem, tudosyć przewrócić stronicę, aby w równie strzelistych wyznaniach do przyjaciela, zamiast imienia Grazieli znaleźć imię Elwiry.

Czyż serce nie oburzy się na wiadomość, że oda do Elwiry, jedna z najpiękniejszych w Medytacyach, pisaną była w Neapolu na cześć Grazieli, później zaś nowemu poświęcona bożyszczu.

Od chwili kiedy Medytacje poetyczne pokryły mu czoło kwitnącym bluszczem, Lamartine zaczyna pozować; w listach nawet do przyjaciela niedopatrzyć już dawniej prostoty. Każde słowo w nich obmyślane, jakby wyrzezione z delfickiego trójnoga. Nie powtarzamy nic z owych późniejszych listów, któż bowiem nie zna Lamartina z jego zwierzeń i urywków autobiograficznych, któremi przesyca aż do znużenia swoje dzieła pisane czy to wierszem, czy prozą.

Powyższe dwa tomy listów obejmują okres trzynastoletni 1807—1820. Wnosząc z takiego początku, łatwo przypuścić, że półwiekowy przebieg życia między tą ostatnią datą a rokiem śmierci, dostarczy wątku do kilku a może i kilkunastu nowych tomów. Późniejsze korespondencye ważnym będą nabytkiem dla historyi ze względu na polityczne stanowisko, jakie poeta zajmował w kraju własnym.

Jeżeli wydana świeżo korespondencya Lamartina nie ubliża w niczem pamięci poety, przeciwnie nawet, jeśli ukazując go w nowym świetle z drobnymi wadami, zjedna mu współczucie niejednego czytelnika; inaczey zupełnie rzecz się ma z wydanymi niedawno listami Saint-Beuva do księżnej Matyldy. Spadkobiercy sławnego krytyka nie mogli w przykrzejszy sposób znieważyc pamięci zmarłego, jak wydobywając z ukrycia ów pakiet listów w liczbie dwustu sześćdziesięciu trzech, które mogły być drogim nabytkiem dla zbieraczy autografów, lecz nie zasługiwały nigdy na ogłoszenie drukiem. Spekulacya wydawcy powiodła się zapewne, świadczy o tém trzecia edycya, jaką mamy właśnie przed sobą. Imię Saint-Beuva złapało niejednego; wątpimy jednak żeby dalsze tomy korespondencyi zapowiedziane w przedmowie znalazły równy pokup!

My sami skwapliwie rzuciliśmy się do czytania téj książki, nie żeby imię Saint-Beuva miało dla nas jakiś wielki urok; lecz zdawało się niepodobiestwem, aby wielki krytyk poniedziałkowy z Monitora i Konstitucionelu, aby jeden z czterdziestu nieśmiertelnych, nie zamieścił w tym nawale świstków ani jednego sądu o współczesnych, ani jednej myśli, któraby wybiegała nad koło oklepanych popoliłości.

Listy do księżnej Matyldy pisane w ciągu ośmiu lat od roku 1861—1869, to jest prawie do śmierci, nie zawierają nic a nic prócz komplementów układnego dworaka. Wydawca ich, aby tém lepiej wyzyskać imię znane w literaturze dziennikarskiej, przypomina we wstępie słowa, które Saint-Beuve wyrzekł o sobie: „Więcej nakłusem i naranikiem serc ludzkich pochwałami mojemu, niż inni obel-

gamil“ Cyniczne te słowa nie dadzą się tu bynajmniej zastosować. Nigdzie nie dojrzed tu ani szczypty soli attyckiej; każdy wyraz jedwabny, gładki, obmyślany; w żadnym nie kryje się owo delikatne żądzielko, jakim umieją nieraz do żywego zakłuć retorowie akademicy. Ujemna to zaleta, ale przynajmniej rozśmieszy i chwilowo zabawi. Listy Saint-Beuva niczego nie nauczają, nie zabawią nikogo!

Gdybyśmy przynajmniej nie znaleźli w tych wymanierowanych apostrofach nic więcej nad zręczne podziękowania, to za pyszną lampę „co oświeca nawet w dzień biały“, to za śliczny stolik z oponą wyszytą w kwiaty ręką księżnej, to za wspaniałą kobierzec, to za królewski fotel ze sztuczną maszyneryą... to za portret obsadzony w ramki: słowem za te wszystkie przedmioty, które uczyniły gabinet autora przybytkiem poświęconym bożyszczu, jednemu jakie on uznaje; gdyby powtarzamy, listy ograniczały się na takich komunałach, możnaby przebaczyć, że je wydrukowano. Ale na nieszczęście są tam inne rzeczy, trudniejsze do przebaczenia. Widzimy z nich, jak usilnie zabiega Saint-Beuve, by otrzymać krzesło w senacie, jak osiągnąwszy cel gorących pragnień wyznaje, że już do siebie nie należy, *ne s'appartient plus!* Przestać należeć do siebie, smutny to koniec trzydziestoletniego pisarskiego zawodu.

Potrzeba było całego wpływu księżnej, aby wyjednać to upragnione krzesło, a raczej czterdzieści tysięcy franków dochodu, przywiązanego do krzesła. Miał Saint-Beuve zaciętego przeciwnika w Aleksandrze Walewskim, któremu niegdyś skrytykował komedią *Szkolę świata*, za czasów jeszcze lipcowej monarchii. Cesarz Napoleon ze swęj strony obojętnie zbywał sławnego feletonistę. Razu jednego rzekł doń przy posłuchaniu: „Czytuję pilnie w Monitorze pańskie poniedziałki“. Było to w lat trzy po zerwaniu Saint-Beuva z Monitorem! Łatwo pojąć oburzenie krytyka pchającego się wówczas na przebój do senatu.

Wkrótce po otrzymaniu tęg godności, inna dotkliwa zniewaga spotkała senatora. Jedna z pierwszych pań z arystokratycznego świata paryżkiego, przysłała mu trzy wielkie zeszyty pamiętników swoich, prosząc, aby doświadczony krytyk rzucił na nie okiem i udzielił jej uwag. Sainte-Beuve zabrał się do czytania: jakże tu odmówić wielkiej pani! Przerzuca stronnice, nagle spostrzega swoje nazwisko; czyta i nie wierzy oczom własnym. Oto ustęp z owego pamiętnika.

„Pani B. przyjmuje codzień mnóstwo osób. Wię wszystko co się gdzie stało. Opowiadała mi o Sainte-Beuve, że mimo późnego wieku prowadzi życie bezecne, *une vie crapuleuse...* Sainte-Beuve złożył kilka razy u mnie bilet wizytowy, pisuje do mnie czasem; lecz nie przekroczył nigdy progów mego salonu. Cenię go jako pisarza i krytyka; kiedy mówi o książce, sąd jego wiele znaczy, lecz osobistość jego nie zasługuje na szacunek. Pełzał na czworakach, aby się dostać do senatu, z którego sztydził bez litości. Píše źle

o tych, dla których powinienby mieć wdzięczność; mówią że obzartuch i nie moralny. Jedynym mu Bogiem uciecha: nie ma żadnych przekonań religijnych. Określając lud prostaczy, tak porównał go z sobą: „Człowiek bez wychowania jest kwiatem polnym, ja zaś jestem kwiatem z cieplarni“.

Słowa te dobodły do żywego Sainte-Beuva: chwytła pióro, kresła jadowity list i posyła go z rękopismem.

„Mam zaszczyt, pisze, odesłać księżnej powierzony mi pamiętnik. Przypadek bywa niekiedy złośliwy i dowcipny. Był nim i teraz pozwalając mi wyczytać notatkę, dotyczącą mnie osobiście. Gotówbym podziękować za to, okoliczność ta bowiem pozwala mi przedstawić księżnej, że jeśli nie byłem nigdy w jej salonie, to nie dlatego, że osobistość moja nie zasługuje na szacunek. Nie byłem, mimo zaprosin księżnej, bo czułem instynktowy wstręt, którego szczerze sobie winisz.“

„Co do innych zarzutów, jakiemi księżna nie lękałaś się zbrudzić pióra swego, niektóre upadają same przez się. Miałem się człogać na czworakach do senatu, ja który nie pisałem nigdy artykułu o historii Cezara?“

Opuszczamy odpowiedź na zarzut niemoralności.

„Co mnie najwięcej razi w ustępie niegodnym pióra księżnej, to przypisane mi słowa. Jakto, miałebym powiedzieć, że człowiek bez wychowania jest kwiatem polnym, ja zaś kwiatem z cieplarni? Nie, księżno, nie myślałem nigdy, żeby człowiek był kwiatem; zostawiam innój płci te obrazy.“

Przyjmij księżno hołd poszanowania, którego nigdy nie wyrażę już więcej“.

Z goryczą Sainte-Beuve powtarza tę smutną przygodę w liście do księżnej Matyldy. „Rad jestem—mówi—ze mam małą próbkę tych przysmaków jakie sypną się z druku nazajutrz po moim skonie, rad jestem, bo mogę wykazać całą ich niedorzeczność. Będą tam pletli gorsze rzeczy i otóż to świat zowie reputacją!“

Dodajmy tu że cokolwiek ludzie powiedzieli o zmarłym Sainte-Beuve, nic tyle nie znieważa jego pamięci jak owe nieszczęsne listy, które znęciły ohciwość niebacznych i niesumiennych spadkobierców.

Na afiszu Odeonu czytamy tytuł wznowionej sztuki, tytuł smutny, rozdierający duszę: *La vie de Rukème*, Cygania.

Miłe złego początku, lecz koniec załosny! Tak było ze sławną Cyganią, z tym szalem, który jak mówi znakomity professor filozofii Caro, zrodził się w roku 1850 w książce Henryka Murger, a który skonał roku 1871 za barykadą z okrzykiem wściekłości i rozpacz, przekazując imię swoje kłatwie świata.

Wznowiono dziś tę sztukę; wznowiono ją, bo pod względem artystycznym utwor to pełen werwy, pobudzający zarazem do rżewnych łez i wesołego śmiechu. A przecież mimo wielkich zalet utworu, mimo genialnego talentu autora, lepiej było zagrzebać Cyganią w prochu wiekniściej niepamięci.

Nie myślimy rozbiierać treści owej pięcioaktowej sztuki, przerobionej ze sławnego romansu Henryka Murger; nie o treść nam tu idzie, ale raczej o ideę jaką przedstawia. Idea ta określona żywo w przedmowie do powieści.

„Cygania—mówi autor—to próg życia artystycznego, to przedsiónek do akademii, do szpitala, lub do morgi!

„Każda droga dobra cyganom. Ani słota, ani kurzawa, ani skwar słoneczny, nie zgoła nie zbije z tropu tych zuchwałych awanturników; każdy ich dzień przetyty jest dziełem twórczego geniuszu, problematem rozwiązanym za pomocą znanj im tylko formuły matematycznej. W razie potrzeby wstrzemięźliwi jak anachoreci; niech im tylko wpadnie grosz w rękę, nuż galopować na skrzydlatym biegunie fantazyi i pełną garścią rzucać pieniądze w błoto. Po śmierci i pogrzebie ostatniej pięciofrankówki, dalejże tropić tego zwierza na szerokiech obszarach literackiego przemysłu. Cyganie wiedzą wszystko, chodzą wszędzie, stosownie do tego czy mają buty wernikowane, czy palce wyglądają przez dziury. Dziś widzisz ich w wytwornym salonie, jutro za stołem knajpy. Każdy z nich co postąpi na ulicy dziesięć kroków, spotka przyjaciela, co dwadzieścia kroków zetknie się z wierzycielem. Życie takie wymaga niesłychanej cierpliwości, bohaterkiej niemal odwagi; kto się nióm puszcza musi przywdziać żelazny pancerz przeciwko pociskom głupców i podeprzeć się twardym koszturtem pychy. Są tu i tryumfatorowie i ofiary, skoro pójdziesz tą drogą, musisz z całą rezygnacją poddać się pod niezblagane prawo: *Vae victis!*“

Vae victis! Cały Paryż przed laty dwudziestu gorąco przyprzyłklasnął tym słowom pełnym młodzieńczej fantazyi, wkrótce jednak cały Paryż powtórzył z zalem *vae victis* przy szpitalnym łóżu zmarłego w sile męzkich lat autora. Sam Murger ukorzony przed Bogiem w obec śmierci wyrzekł, bijąc się w piersi ze skruchą, że cygania powiodła go do grobu.

Adepci prześięgnęli wkrótce mistrza swego jak się powszechnie zdarza. Henryk Murger najniewinniejszym był z cyganów—mówi professor Caro historyograf cyganii—ale cięży na nim wina, że stworzył fałszywy i smutny ideał, który obłąkał wiele młodych wyobraźni i rzucił je na bezdroża. Uczniowie jego podnieśli bunt przeciwko sztuce, znieważyli ją dziwactwami, stracili z piedestału, potarżali w błocie; po nich przyszli nowi: ci wypowiedzieli wojnę społeczeństwu.

Jak się dopełniła ta przemiana? w sposób bardzo prosty i loiczny, odpowiada professor. Rzucony kamień stoczył się do dna, złe leżało w samym zarodzie. Obok lenistwa, widzimy tu zgubną zaro-

zumiałość, nienawiść ku wszelkiej wyższości zdobytej mozolną pracą, wstręt ku wszelkim prawdom zdrowego rozsądku, słowem szal usystematyzowany. Przenieśmy te instynkta cygani literackiej w gorączkową atmosferę życia politycznego, dodajmy do tego chęć wyniesienia się bądź co bądź, rzućmy te ziarna w umysły szyderyce, burzliwe, w sumienia bez czci i wiary, a zobaczymy zgubne i zatrute plony tego posiewu.

Pan Caro wykazuje wpływ literackiego żywiołu na nieszczęsną komunę roku 1871 w dziełku pod tytułem: *Czasy naszych prób*. Osobny w nim rozdział *Koniec Cyganów* poświęca wyłącznie na poparcie swego założenia. Autor sięga w przeszłość; gorzko wyrzuca koryfeuszom literatury tego wieku, smutne owoce zrodzone z ich książek. Staje jako nieprześlągnięta Nemezis u grobu zmarłego Balzaka, chłoszcze surowo jego pamięć: Balzak! ileżto mozołu przyczynił on sędziom, ile łez wycisnął z oczu matek! ileż sumień podeptał stopą, ileż serc zatopił w błocie! Pełną garścią sypie on miliony ulubieńcom losu, a raczej śmiałym majtkom, którzy umieją prowadzić zręcznie łódkę i poławiać ryby w mętnej wodzie. Ileżto on rozszafował ambasad i tek ministeryalnych! Jak cynicznie oddaje przeszłość kraju dowcipnym wartogłowom, którzy ogniem cygara zapalają wulkany, poduszczą lakierowanego buoika depeczą honor, cnotę, sprawiedliwość!

Ostatnie wypadki—dodaje Caro—pokazują nam u steru władzy niejednego z Balzakowskich bohaterów. Młode pokolenia literackie odczuły wpływ Balzaka w ideach i namiętnościach, nurtujących głęboko w ich sercu. Był to niewątpliwie najpotężniejszy z agitatorów, co rozgorączkowali wyobraźnią, podniecili szaloną chęć współczesnych. I któryż z pisarzy zbudził tyle złotych snów, tyle rozkosznych marzeń w umyśle młodzieńca i kobiety? Przebiegnijmy wszystkie koła tego piekła społecznego, w którym Balzak występuje niby nowy Dantel. Jakież to straszliwy płomień bucha z oblicza potępieńców, szamoczących się w tym wirze paryzkim? Namiętność nowoczesna według Balzaka zawiera się w trzech słowach: bogactwo, władza, rozkosz. Ileżto młodych umysłów zmąciły te tumany? ilużto widziało urzeczywistnienie owej fantasmagoryi, w dniu kiedy komuna zrodziła się w Paryżu?

Od powieści przechodzi Caro do pamfletu i dziennikarstwa, powstałych zarówno z cygani literackiej; gromi z oburzeniem owych licznych retorów, którzy schlebiali nikczemnie ludowi, przekształcając historią według pojęć nieświadomych a namiętnych tłumów. Konkluzya znakomitego profesora zasługuje na szczególną uwagę.

„Zgłiszczą materialne—mówi Caro—snaдно się dadzą odbudować; na podźwignięcie zgłiszcz moralnych więć potrzeba czasu i wysiłku. Umiejmy przynajmniej skorzystać ze straszliwej nauki. Dowiedzieliśmy się, że w tym kraju nie można igrzać z frazesami rewolucyjnymi. Gra taka może powtarzać się bezkarnie u innych naro-

dów, lecz nigdy we Francji. Widzimy ile złego sprawili u nas pisarze, krzewiiele bezecnej propagandy, zrazu przez lekkomyślność, później przez nienawiść; wskazaliśmy zgubny wpływ tej szatańskiej literatury na ludność nieświadomą i rozdrażnioną. Plemię nasze ma z natury niesłychaną skłonność do pochwywania złego, niech się tylko błąd zrodzi w kilku chorobliwych umysłach, natychmiast realizuje się na zewnątrz. U innych ludów dotąd przynajmniej złe może długo istnieć w stanie teorii, u nas jak tylko pokaże się zaraza, pochłaniania natychmiast organizm. Owe jadowite paradoksa, owe potwarze i obelgi w oczach tych, którzy szafowali nimi tak szczerze, przedstawiały kilka sztuk złota złapanych do kieszeni, trochę atramentu rozlanego na biały papier; ale ten atrament stawał się jutro krwią na bruku, pojutrze petroleum pochłaniającemu nasze domy! Przewrotna idea, bluźnierstwo społeczne zmienia się natychmiast w głównię pożarną w ręku tłumów!

„Pierwszym dziś warunkiem odrodzenia Francji, ważniejszym nad instytucje jakie rządzić nią mają, jest konieczna potrzeba odbudowania literatury i prasy, na podstawie myśli poważnej, pracy, godności osobistej piszących, wzajemnego ich szacunku, a szczególniejszej poszanowania zdrowych idei. Aby to nastąpiło należy odłączyć czyste ziarno od kłakolu, należy przede wszystkim aby zdolni autorowie zaprzestali idealizować pod uroczą nazwą życia niepodległego i wolnej sztuki, owych zgubnych bezrządów, owych szarów namiętnych, które zbiły z tropu i pogrążyły w przepaść tylu zdolnych pisarzy i artystów! Bodajby niejednen z nich pisał lepiej wodewil, albo malował krajobrazy, niż burzył podstawy społeczeństwa.“

Po tych przerażających prawdą słowach, w jak przykry sposób razi nam oczy *Cygania* na afiszu Odeońskim! Trudno zerwać od razu z przeszłością, trudno przerodzić się w mgnieniu oka narodowi. Niechże to przynajmniej da niechybną otuchę na przyszłość, że kiedy mała garstka publiczności przyklaskuje hałaśliwie Cyganom, druga część w skupieniu ducha odczytuje poważne słowa filozofa moralisty, który nie idąc w ślady owych schlebających tłuszczołom retorów, ma odwagę przyłożyć nóż anatomiczny do żywej piersi narodu, i wykrawać z niej chorobliwe norośle.

Jubileusz Molierowski, który nie miał tak wielkiego powodzenia jak się spodziewano (przypadł bowiem w chwili ważnego przełomu w rządzie, a stąd ogólnego wzburzenia umysłów); jubileusz ten dał niemniej pobudkę do badania czasów, życia i prac wielkiego poety. Juliusz Charetie wydał właśnie tomik p. t.: *Moliere, jego życie i dzieła*. Zdolny publicysta ze zwykłą sobie werwą umiał ożywić swój obraz i uczynić go zajmującym. Francuzi obznajomieni dokładnie z postacią i utworami Moliera, lepiej od nas mogą ocenić te dowcipne

półśłówka zaprawione solą attycką, które biograf rzuca fantastycznie bez ładu. Co do nas pragnęlibyśmy systematyczniejszego zarysu, niż ten, jaki daje p. Claretie, zaczynając biografią od śmierci, wbrew przyjętej metodzie, a raczej wbrew prawom zdrowego rozsądku. W całym dziełku znać nadzwyczajny pośpiech. Ztąd to poważniejsi krytycy radzą autorowi, aby rozpatrzył raz jeszcze materiały nagromadzone przez siebie i utworzył z nich poważne dzieło.

Zapowiedziano też inną publikacją w tym przedmiocie p. Edwarda Fournier p. t. *Moliere w teatrze i w domu*. Znamy tylko pierwszy rozdział drukowany w jednym z pism zbiorowych. Tu autor zaczyna rzecz *ab ovo*, podejmuje bohatera swego w kolebce, kreśli obraz jego rodziców, krewnych, słowem całego otoczenia. Nie omieszkamy zdać sprawy z tej publikacji, skoro tylko pojawi się w druku.

Dziś powiemy kilka słów o nowej komedyi wierszem p. Ksawerego Aubrier, której Moliere głównym jest bohaterem. Treść jej obmyślona bardzo zręcznie, oparta na prawdziwem zdarzeniu.

Razu jednego za życia Moliera podczas przedstawienia *Precieuses ridicules*, starzec jakiś stojąc na parterze między tłumem zawołał na głos: *Courage Molière, voilà la bonne comédie!* Ten to starzec Ascagne jest bohaterem nowej sztuczki. Wielbi on Moliera, umiść napamięć jego wiersze, wspomina go co chwila. Podziwia szczególnie w wielkim poecie dar poznawania charakterów i cudowną zręczność w podchwycaaniu wszelkich śmieszności.

— I któż to—pyta Ascagne—potrafił jak Moliere odmalować zakochanych starców? kto jak on ośmieszył ich szaleństwa? kto bronią dowcipu wychłostał lepiój skąpstwo? Czy podobna aby dziś po *Szkole kobiet* byli jeszcze starzy głupi Amolfy, zakochani w podlotkach? czyż podobna aby po Skąpcu, były jeszcze okrutne Harpagony?

Tak rozprawia codzień zagorzały miłośnik poety, ale że trudno dopatrzeć plewę w oku własnem, nie domyśla się nawet stary Ascagne że sam sobie wytacza proces. Skąpy i zakochany zarazem dręczy bez litości piękną wychowankę Lucyllę i bratanek Walerego. Młodzi pragną się koniecznie poślubić, wujaszek słysząc o tem nie chce, sam bowiem ma pretensyą do serduszka Lucylli.

Młoda para nie wie jak wyjść z kłopotu. Po wzajemnej naradzie Walery udaje się do Moliera, którego nie zna prawie. Sam tylko Moliere potrafi złamać upór starego Ascagna i przyprowadzić go do rozumu. Słowo prawdy z ust takich musi wydać owoce.

Moliere chciałby dopomóc zakochanym, ale niestety wie on z doświadczenia, że słowo prawdy rozbija się o serce obłąkane namiętnością.

— Jeden tylko znam sposób—rzecze poeta—trzeba wybić klin klinem. Zupelne zdrowie duszy nie daje się widzieć na świecie.

Wujaszek ma chorobę niemiłą dla was, potrzeba zaszczepić mu inną. Zakochany i skąpy! dajmy mu truciznę próżności: będzie to wyborny antydot.

Moliere idzie do Ascagna, wyciąga go na słowo. Starzec otwiera przed nim serce, wyznaje, że się wkrótce żeni z Lucyllą.

— Dziwię się panu—rzeeze poeta—Lucylla już nie najpięrszej młodości. Spójrzij tylko na siebie, jesteś co się zowie dorodny i krzepki; jakiż to blask oka, jakie rysy niby wyrzeźbione dłutem. Należysz do tych ludzi, na których wiek nie działa. Patrz na nią: to kwiat zwiędły przed czasem; lica jęj zbladły, oczy wklęśły... wierz mi, ona wcale nie dla ciebie, poszukaj sobie młodszej i piękniejszej. Otwórz dom, otocz się blaskiem odpowiednim położeniu twemu; zastaw złote sieci, a wkrótce złowisz ptaszka.

Słowa te działają w stanowczy sposób.

— Com ja tóż u licha upatrzył w tój dziewczynie?—zawoła starzec—byłoz mi o co głowę łamać? Dość mi już tego pustelniczego zycia, potrzeba mi użyć majątku i ostatków młodości.

I żeni bratanka z Lucyllą, daje posag, wyprawia ucztę. Z jednęj przechodzi w drugą ostateczność, ze skąpca staje się marnotrawcą. Moliere pogląda nań z uśmiechem: przybył mu jeden szaleniec do dawnęj kolekeji. Odchodząc mówi do Walerego:

— Bądź człowiekiem, szala się równoważy.

Gładki wiersz podnosi wartość tego obrazka.

W dniu kiedy Akademia Francuzka przyjmowała p. Litre, 5-go czerwca, jeden z członków naukowego grona padł ugodzony apopleksyą. Zmarly akademik Vitet należał zarówno do świata naukowego, jak i politycznego; w ostatnich czasach pełnił obowiązki wice-prezydenta izby prawodawczęj.

Imię Viteta nie było nigdy popularném. Znakomity pisarz nie ubiegał się za poklaskami tłumów, poprzestając na uznaniu wyborowego koła; nie stawiał się nigdy na widowni. Tak na polu zapasów politycznych, jak literackich, z równém staraniem unikał rozgłosu, jak inni go szukają. Miłośnik wytwornęj formy pisał z nadwyzczajną poprawnością; pieścił się rzec można z językiem, nie żeby go chwalono lub podziwiano, lecz aby dostroić słowo do najwyższego ideału harmonii. Praca umysłowa była mu sama w sobie największą uciechą i nagrodą. Po długoletnich trudach znalazł wprawdzie powodzenie, przyjął je, lecz nie szukał go nigdy.

Urodzony w początkach wieku, Vitet należał do tój plejady młodych, pełnych zapału nowatorów, którzy wnieśli demokratyczne zasady 1789 roku w sferę literatury i sztuki. Dziennik *Globe* był wyrazem nowych idei; Vitet z Sante-Beuvenem podjęli w nim stronę krytyczną. Goethe wysoko podnosił to pismo: „Redaktorowie Globu—

mówił on — są ludźmi wysokości oglady; język ich jasny, czysty, śmiały do najwyższego stopnia. Umiejąc ganić delikatnie, nie tak jak nasi literaci niemieccy, którzy chłoszczą z nienawiścią każdego, kto nie dzieli ich opinii. Według mnie to pierwszy dziennik naszych czasów, nie mógłbym obejść się bez niego.“

Vitet pisywał do Globu krytyczne artykuły o sztuce. W tymże czasie od roku 1826—1829 dał się poznać na polu historii kilkoma znakomitemi obrazami: *Barykady*, *Stany w Blois*, *Śmierć Henryka III*. Te historyczne szkice przyczyniły się nie mało do tryumfu pojęć romantycznych, autor bowiem umiał ożywić fakta barwą miejsca i czasu, a tém samém pokazał dowodami, że erudycya nie zabija bynajmniej wyobraźni.

Zamiłowany w archeologii i sztukach pięknych, znalazł po rewolucyi lipcowej miejsce zupełnie odpowiednie swym zdolnościom. W roku 1831 mianowany generalnym inspektorem pomników historycznych, miał sposobność zbadać do gruntu dzieła wieków średnich i epoki odrodzenia. Z niezmordowaną wtedy gorliwością roztoczył opiekę nad istniejącymi w kraju pomnikami architektury.

Rozprawy o sztukach pięknych zebrane przez autora w jedną całość i dopełnione nowemi badaniami tworzą obszernie dzieło w czterech tomach pod tytułem: *Etudes sur l'histoire de l'art*. Uczeń wysoko cenią to dzieło; widzą w niem koronę prac zmarłego akademika. Vitet przebiega tu wszystkie działy sztuki; najobszerniejszy ustęp poświęca architekturze. Daje obraz zdjęty na miejscu wszystkich kościołów stylu romańskiego i łukowego, jakie wydał narodowy geniusz francuzki. W roku 1831, wówczas właśnie kiedy Wiktor Hugo rozbudził we Francyi rozmiłowanie średnich wieków, wyswietlając cudne piękności katedry paryzkiej *Notre Dame*, Vitet nakreślił sławny raport o pomnikach sztuki rozrzuconych po kraju całym. Temu sprawozdaniu Francya artystyczna zawdzięcza głównie zachowanie drogocennych zabytków archeologicznych.

Z równą znajomością rzeczy, z równem zamiłowaniem piękna, przebiega Vitet arcydzieła rzeźby starożytnej i nowoczesnej; obszernie studyum poświęca mozaikom chrześciańskim w Rzymie; daje historyczny obraz sztuki malarskiej we Włoszech, Holandyi i Francyi; ocenia prace Lessneura, Delarocha, Ary-Schefera, freski Delacroix i Flandrina; w ostatnim tomie kreśli historią ogrodnictwa i muzyki.

W ciągu długiego zawodu Vitet pozostał wiernym chorągwi swojej. Był od początku do końca żarliwym zapaśnikiem spiritualizmu tak w pracach historycznych, jak w krytyce artystycznej i literackiej.

Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że w tymże dniu, kiedy podwoje Akademii otworzyły się przed naczelnikiem szkoły pozytywistów, podwoje grobu otworzyły się przed jednym z najsłynniejszych spirytualistów francuzkich tego wieku. Szczęściem, że Vitet zostawia po sobie liczną szkołę i zdolnych przewodzców, którzy nie ustąpią na krok z pola, przed falangą sztukobórców dzisiejszych.

Po zmarłym profesorze prawa Ortolanie pozostał rękopis ciekawej nietylko dla prawników, ale i dla ogółu zajmującego się literaturą. Jest to studyum nad piekłem Dantego ze stanowiska nauki karnego prawa. Dzieło to wydane staraniem rodziny opuściło właśnie prasę. Pokazuje się z tych badań, że sławny poeta florencki mieszcząc w różnych kołach piekielnych, wielkich zbrodniarzy różnych czasów, nie słucha bynajmniej fantastycznego kaprysu, ale obmyślał wszystko jak najdokładniej. Wskazówki rzymskiego prawa, *ratio scripta*, jak je częstokroć nazywano, prowadziły Alighierego w oznaczeniu kar, jakie znoszą jego potępieńcy. Uczony professor w miarę jak bada te rozmaite kary, wykazuje historyczne ich pochodzenie. Rozprawa o Bruletto Latinim, mistrzu Dantego, uzupełnia i zakończyła to zajmujące studyum.

W ostatniej publikacji pani George Sand: *Impressions et Souvenirs*, w której autorka porusza mnóstwo pytań najróżnorodniejszych, to o wychowaniu dzieci, to o gramatyce języka francuzkiego, to o poetach i artystach, to o stanie politycznym kraju, to z dziedziny antropologii, geologii, hypnologii, botaniki i t. p.; w tej chaotycznej mieszance znajdujemy ciekawych kilka karteek o Szopenie i Mickiewiczu. Cokolwiek dotyczy tych dwóch geniuszów, których chwała naszą jest chwałą, nie powinno być dla nas obojętnem.

Autorka powtarza rozmowę wieczorną w domu swoim w gronie kilku przyjaciół. Było to w styczniu roku 1841. Towarzystwo składało się z kilku wybranych; każdy z nich był olbrzymem, każdy wprowadził sztukę na nowe tory, każdy wycisnął niezatartą pieczęć na wieku swoim. Gośćmi pani Sand byli trzej nieśmiertelni promotorowie romantyzmu w trzech działach sztuki: muzyce, malarstwie i poezyi: dość tu wspomnieć Szopena, Mickiewicza, Delacroix.

Powtarzamy słowa pani Sand:

„Szopen i Delacroix kochają się wzajem, kochają tkliwie. Charakterem nadzwyczaj do siebie zbliżeni, mają równie wielkie zalety serca i rozumu. Ale pod względem sztuki, o ile Dalacroix rozumie i uwielbia Szopena, o tyle Szopen wcale go nie rozumie. Kocha w nim, ceni i szanuje człowieka, nie znosi go jako malarza. Delacroix zna i czuje muzykę, słucha Szopena z zachwyceniem, umie na pamięć wszystkie jego utwory. Szopen przyjmuje z wdzięcznością to uwielbienie, ale ilekroć patrzy na obraz przyjaciela cierpi i słowo zamiera mu na ustach. Jest on muzykiem, przedewszystkiem muzykiem, myśl jego tłumaczy się tylko dźwiękami. Ma nadzwyczaj wiele rozumu i dowcipu, ale nie może zrozumieć malarstwa ani sztuki plastycznej. Michał Anioł przeraża go, Rubens oburza. Wszelka ekscentryczność niesłychanie mu wstrętą; zamyka się w najciaśniejszych granicach konwencyonalizmu. Szczególna sprzecznosc! ge-

niesz jego najoryginalniejszy w świecie, tak samo istnóm nacechowany piętnem, nie lubi przecież by mu o tém mówiono. Delacroix ze swęj strony w ocenieniu literackich utworów, podnosi tylko i rozumie stronę najściślej klasyczną.

„Niepodobna im przeczyć. Słucham... az oto syn mój Maurycy wprowadza rozmowę na nowy tór i chce aby mu Delacroix wytłumaczył teorię refleksu. Szopen otworzył wielkie oczy z podziwieniem, kiedy mistrz pędzla porównywa tony w malarstwie z dźwiękiem muzyki. Harmonia w muzyce, mówi on, nie zależy tylko na układzie akordów, ale niemniej na ich związku, na loicznym przechodzeniu z jednego w drugi, na połączeniu ich z sobą, na tém, co możnaby nazwać refleksem dla ucha. Połóż tylko tę poduszkę błękitną na czerwonym dywanie: widzisz jak tam, gdzie dwa tony stykają się z sobą, jeden odkrada coś drugiemu. Barwa czerwona przybiera coś z błękitu, błękit czerwienieje; w pośrodku tworzy się ton fiołkowy. Możesz zebrać w obrazie najostrzejsze barwy, połącz je tylko umiejętnie refleksem, a nie będą rażyły. Alboż to brak tonów w przyrodzie? czyz najsprzeczniejsze kolory nie mieszczą się tu obok siebie? A jednak panuje w nich doskonała harmonia, dzięki łączącym je refleksom“.

Długo rozmowa obraca się w tém kole. Szopen nie może dosiedzieć na miejscu.

— Pozwólcie mi odetchnąć—rzecze—nim od refleksu przejdziecie do wypukłości. Poprzestańmy dziś na refleksie. Rzecz wybornie określona, zupełnie nowa, ależ to zakrawa na alchemię.

— To czysta chemia—przerwie Delacroix i ciągnie dalej swe wywody.—Szopen odbiega do fortepianu, improwizuje, nie wie nawet, że go słuchają. Zatrzymuje się nagle.

— No i cóż?—zawoła Delacroix—nie dokończyłeś jeszcze!

— Nie zacząłem nawet—odpowiéd Szopen—nie mi dziś nie przychodzi... nic... tylko same refleksa, cienie... szukam barwy, nie znajduję nawet rysunku.

— Nie może być jednéj bez drugiego, ale znajdziesz je razem—odrzecze Delacroix.

— Cóż, kiedy znalazłem tylko słabiuchny blask księżyca.

— Refleks refleksu—odrzecze Maurycy.

Mysł podobala się wielkiemu artyście. I położył znów palce na klawiszach, potrzącił je lekko, w nieokreślony sposób. Przed oczyma naszymi pojawiają się nagle jakieś nieokreślone barwy odpowiednie modulaoyi tonów. I czujemy się, jakby owiani ciemnym błękitem nocy. Leciuchne obłoczki w fantastycznych kształtach przebiegają po niebie, usrebrzone blaskiem księżyca. Marzymy o letniej nocy, czekamy rychło zaśpiewa sówik.

I oto odzywa się pieśń najcudniejsza w świecie: mistrz wie dobrze, co czyni. Żartuje on z tych, którzy wprowadzają istoty żywe za pomocą naśladowczej harmonii. Wyższy on nad te dzieciństwa.

Wię, że muzyka jest wyrazem duszy ludzkiej. Człowiek objawia nią na swój sposób doznane wrażenie, tłumaczy nią własne uczucia.

Kiedy słowik śpiewa w noc gwiazdzistą, mistrz nie daje odgadnąć ani przeczuć śmiesznym naśladownictwem kwilenia ptaszyny. Śpiewa on ludzkimi tonami z uczuciem, jakiego doznaje słuchając piosenki słowiczej; a jeżeli my zasłuchani w pieśni człowieka nie myślimy wcale o słowiku, czujemy niemniej w duszy toż samo uniesienie, jakim napełnia ją obraz pogodnej nocy letniej, w obec rozśpiewanej harmonijnie przyrody.

Szopen mało mówi o swojej sztuce, lecz kiedy mówi o niej wyraża się z nadzwyczajną jasnością i wytrawnym sądem. Ileżby on zbił herezyi, gdyby chciał wygłaszać swe zasady. Ale w najpoufniejszem nawet kątku powstrzymuje słowa na ustach; jedynym jego powiernikiem fortepian; przyrzeka jednak napisać metodę! Czyż nam dotrzyma słowa? ¹⁾

„Delacroix obiecuje także w chwilach uniesienia napisać rozprawę o rysunku i kolorycie. Nie czyni tego, lubo wybornie włada piórem. Ci natchnieni artyści muszą wiecznie iść naprzód i szukać śladu nowych dróg, brak im czasu aby spojrzeć na siebie.

Ktoś dzwoni: Szopen zadrżał, zatrzymuje się nagle. Wołam na służącego aby odprawił gości.

— Niepodobna—zawołał Szopen—Pani jesteś dla niego!

— I kóżto taki?

— Mickiewicz!

— Ach on! to rzecz inna... ale zkąd pan wiesz o tém?

— Ja nie wiem, lecz jestem pewien, właśnie o nim myślałem.

Tak jest, to w rzeczy samej Mickiewicz. Wchodzi, ściska nam rękę z uczuciem, siada w kącie, prosi Szopena aby nie przerywał muzyki.

Szopen gra, natchnienie porywa go, staje się szczytnym, nierównanym.

Wtém przybiega służący... błądy z przestachu: dom gore!

Biegniemy wszyscy. Ogień zajął się w rzeczy samej w moim sypialnym pokoju, czas jeszcze stłumić pożar. Gasimy go nakoniec, zabrało nam to dobrą godzinę czasu.

— Gdzie Mickiewicz?— pytamy wszyscy: wołamy, nie odpowiada; wracamy do salonu, nie widzimy go wcale.

Ktoś z nas odkrywa go nareszcie w tymże samym kąciuku, w którym zasiadł. Lampka zgasła; nie spostrzegł tego. Nahałowskiśmy nie mało o dwa kroki przy gaszeniu pożaru, on nie wiedział o niczém co zaszło. Nie zapytał, dlaczego pozostał sam w pokoju, nie domyślał się nawet że jest sam, zatopiony w Szopenie słuchał go wciąż i słuchał.

¹⁾ Ustęp ten pisany był w roku 1841.

Szopen oddawna przestał grać, tylko echo cudownych dźwięków odbzmiewało w duszy poety.

„Ze strony kogoś innego—dodaje pani Sand—mogłoby to zakrawać na przesadę; Mickiewicza nikt o to nie posądzi. Wielki poeta pełen słodyczy i prostoty dziecięcej widząc że się śmieje, zapytał zdziwiony, co mi jest?

— Nic mi nie jest—odrzekłem—ale jeżeli kiedykolwiek będę z tobą, poeto w palącym się domu, pomyślę nasamprzód o tobie, bo gotówbyś spłonąć na węgiel nie domyślając się nawet niebezpieczeństwa.

— Doprawdy?—odrzekł—nie wiedziałem o niczym.

I odszedł z pieśnią w duszy, z tym zachwytem, który umiał określić tak cudownie:

I wszystkim się zdało
Że to Wojski gra jeszcze, a to echo grało...

KORRESPONDENECYA.

DO REDAKCYI

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIĘJ.

„Kiedy Towarzystwo Przyjaciół Nauk przystąpiło do wykonania myśli księdza Polkowskiego, by 400-tą rocznicę urodzin Kopernika uczcić wydawnictwem pamiątkowém, zarząd Towarzystwa nie wziął wydawnictwa tego w nakład, na własny zysk lub szkodę, ale ułożył się z autorem życiorysu ks. Polkowskim, z wydawcą Albumu p. Beyerem w Warszawie, oraz z rytownikiem medalu p. Ostermannem w Berlinie, że od każdego z tych panów nabywa za cenę umówioną tyle egzemplarzy pamiątek, ile się okaże przedpłacicieli. Zarząd ograniczył liczbę egzemplarzy na 1,000, bo aż do połowy grudnia r. z., mimo różnorodnego starania i zabiegów, summa wpływającej przedpłaty była tak szczupła, iż wydawało się, że ani tysiąca przedpłacicieli się nie zbierze. Już druk życiorysu, Album Kopernikowe i bicie medalu były prawie na ukończeniu, kiedy w połowie grudnia r. z. i w następnych ośmiu tygodniach aż do 19-go lutego r. b. otworzyły się przedpłaty i wpływały tak obficie, że nietylko dopełniły summy 1,000

egzemplarzy, ale ją następnie przeszło w dwójnasób przeniósł. Uchwalono więc co następuje: 1) Wydana zostanie niebawem druga edycja, tak życiorysu jak Albumu i medalu, w ilości 1,200 egzemplarzy i ma być ukończona w jak najkrótszym czasie. 2) Do Albumu Kopernikowego niedostaje szesnastej karty (z kolei trzynastej) to jest reprodukcji Kopernika Matejki, który dla nieprzewidzianych przeszkód nie stanął w Toruniu na wystawę podczas uroczystości i dopiero później mógł być skopiowany. P. Beyer obowiązał się w jak najkrótszym czasie do pierwszej i drugiej edycji Albumu dostawić tę szesnastą niedostającą kartę. Gdy takowa nadejdzie, natychmiast szanownym prenumeratorom rozesłana zostanie. 3) Pierwsza edycja tyśiąca egzemplarzy ma być rozdzielona na dwie części, każda po 500 egzemplarzy. Pierwsza połowa ma być użyta na pokrycie pierwotnych przedpłacicieli w Prussiech, w Krakowie i w Galicyi, o ile na nich starczy. Drugą połowę zabiera z sobą p. Beyer do Warszawy i albo zaraz rozda stosunkowo między grupy przedpłacicieli z Królestwa Polskiego, albo je zatrzyma aż do wydania drugiej edycji, aby je razem wszystkim tamecznym przedpłacicielom, wedle grup dostawić. P. Beyer przyjął na siebie ten obowiązek i całą odpowiedzialność za rzetelne i pewne dostarczenie egzemplarzy tamecznym przedpłacicielom. Prenumerata o ile na nią podpisany zarząd zajmował się, została z dniem 19-go lutego r. b. zamknięta i na liczbę 2,200 egzemplarzy ograniczona. Dalszej prenumeraty zarząd już nie przyjmuje.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego (podp.)
Dr. Libelt."

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Religia jako przedmiot umiejętności porównawczej. Wykłady prof. Maksu Müllera, przetłumaczył Adolf Dygasiński. 1873. Kraków.

Jeżeli z jednej strony jest to prawdą, że świat nasz ziemski (jak o tém wzmiankują i pierwotne księgi ludzkości na zasadzie nieznanych nauce źródeł i objaśnia społeczna nam nauka przyrodnicza) ukształcił się przez zjawianie się niegdyś kolejne na jego powierzchni coraz do-

skonalszych utworów; tedy z drugiej, faktem to już jest jawnym i historycznym, iż dalsza nowość i postęp wśród świata tego objawia się już prawie wyłącznie przez rozrost i uprawę tej cechy, którą odróżnionym został ostatni z owych utworów (człowiek) od istot niższych, to jest rozumu ludzkiego, czyli *umysłu*. Rozwój ten objawia się w jednej kolei przez *utwory* tego umysłu, w drugiej przez jego *badania*, a o jednym ze zjawisk wśród tej ostatniej kolei wypada nam tu rzecz właśnie. Człowiek (wspominamy tu o jednym z głównych następstw jego umysłu) pierwszy wśród stworzeń zjawionych *uznał się w sobie* i zapragnął rozwijać to uznanie się; by zbadać siebie począł badać to wszystko co go otacza, oceniać swój stosunek do świata, do istot innych; w tej drodze potrafił on swym okiem moralnym ujrzyć harmonię tam gdzie oko zwierząt ogląda jedynie zamęt (w składzie i biegu ciał ziemskich i ciał niebieskich) a wyjątkowe umysły umiały się wznieść i rozeznac byt tej harmonii nawet wśród świata czynów, myśli i losów ludzkich i z kolei dojść do uznania i wniosku: że musi istnieć jedna Najwyższa a wszechrozumna Siła, która i wszystko tworzy i wszystkim rządzi, że świat cały a zład i człowiek zostaje też w pewnym stosunku i zależności od niej, a nauki mające za przedmiot określanie *Istoty* tej Siły, jej Praw i *stosunku* do nich człowieka, otrzymały (od słowa: łączyć, *religere*) nazwisko *Religii*.

Przedmiot tej nauki jest to zakres, w którym pojęcie ludzkie najwyższe się podnosi po nad pojęcia zwierząt i jest to zakres, który obejmuje te wszystkie kwestye, które z natury swojej wszędzie i zawsze najwięcej są związane z troskami ludzkiemi.

Wątpić nie można, iż im więcej podrosta ludzkość, im wyżej wznosić się będzie jej umysłowość ogólna, tém i należne w niej religijne pojęcia więcej rozjaśniać i stałej utwierdzać się będą; ale ta harmonijna droga którą podąża ludzkość, jakkolwiek harmonijna z pewnością, w szczegółach tej swjej harmonii nader jeszcze jest ciemną i to tylko wiedzieć możemy, iż jakkolwiek jest ona zawsze postępowem (gdyż rozwinięciem), ale postępuje przez twierdzenia i przez przeczenia i przez kroki dodatnie i przez ujemne; że przeto jak w każdym wieku i czasie, tak i spólcześnie nam różne są stopnie i rodzaje pojęć ludzkości i każdym z tych dane bywa pewne koło do zakreslenia. Pojęcia materialistów których skala poglądu zdaje się być jakby przybita jakowas tamą, którzy też przez wyraz religia rozumieją tylko zbiór kilku *własnych* fantazyj, sztydzą ze wszelkich teologii, choć w ręku nie mieli żadnej; pojęcia te nie zezwalają nawet na wymawianie wyrazu religii w naukowości, źródła wszelkiej szukają nie w skutkach konieczności moralnych rozwić, lecz w oszukaństwach, nie w podniesieniu rozumu ale w ciemności. Ilekroć materyalne badanie uwieńczy się jakimś nowym dojściem, tylekroć zakres religii musi wchodzić w niepomysłną dla siebie fazę; razem bowiem z tryumfem nauki tryumfują i ostateczne wnioski jej uprawiaczy, a zniżyć jednostkom ludzkim obszar i skalę swych pojęć tak jest i łatwem i miłym.

Jednego z takich zwrotów myślenia dziś właśnie świadkami jesteśmy.

Tryumf nauk realnych i udzielenie im wyłączenie nazwiska pozytywnych, nie tylko wskazał był religię na ostatnie w naukowości miejsce, ale owszem nie dawał jej nieraz żadnego. Wszelki umysł wprawdzie rzetelnie wyższy nie może być nigdy bezreligijnym, (nie człowiek-to idiota lub człowiek głupi rzekł niegdyś pierwszy iż jest Bóg, ale np. umysł tego rozwoju i siły jak umysł Platona), jakoż widzieć to można z wyrażen i przyznań się samych psychologicznie bogatszych pozytywistów (od Comte'a do Spencera), ale tłumy ich zwolenników i naśladowców zabierają w takich razach głos główny, tak iż sami pisarze ci muszą się kryć z swą sympatją; dlatego też spóczesna nam naukowość nie może nie być niewdzięczną autorowi wykładów o których rzec mamy, iż w kraju gdzie dziś na polu naukowości Mill i Spencer musieli pisać po kilka rozdziałów aby się usprawiedliwić iż im coś pozostało z uczuć religijnych, odważył się na polu właśnie czystej naukowości wyrazić w głos i jasno apologię Religii i religij, wśród różności ich uznać jawnie wyższość chrześcijańskiej i zachęcać do utworzenia nawet nauki nowój t. j. *umiejętności Religii*.

Autorem tych wykładów jest Maks Müller uczony doktor niemiecki, dziś (jeżeli się nie mylimy) professor w Uniwersytecie Strasbrńskim, ale przedtém stały mieszkaniec Anglii, i który jest już twórcą nauki nowój, dziś rozwijanej w kilku literaturach, a mianowicie *Gramatyki Porównawczej*.

W odczytach obecnych (mianych już przed kilką laty) autor zwraca właśnie uwagę na te korzyści jakie odniosła nauka języków i w ogóle naukowość ludzka z uprawy gramatyki porównawczej i wnosi, iż daleko wyższą jeszcze odniosłyby korzyść i naukowość i ludzkość, z utworzenia i uprawiania Religii czyli *Teologii Porównawczej*.

Autor wychodzi właśnie z uznania, iż zjawienie się pośród ludzkości różnych religij, było skutkiem nie ciemnoty umysłów ludzkich albo polityki, ale jednej spoczywającej we wszystkich natury myśli, a zarazem i istniejącej niewidzialnie opieki nad ludźmi; zaś dla oznaczenia i zgłębienia bliżej tego uznania, oraz dla dojścia zarazem do tak pożądanego dla ludzkości celu: jedności religijnej, za najskuteczniejszy uważa właśnie ów proponowany przez siebie środek, t. j. badanie i porównywanie różnych religij.

Iż trzeba było pewnej odwagi a to z nader różnych powodów, aby się oświadczyć dziś głośno z podobnym wnioskiem, z podobną propozycją, wyznaje to właśnie i sam autor w zaczęciu swoich odczytów. „Niepodobieństwem jest prawie, mówi, w naszych czasach mówić o religii, nie zadrasnawszy kogo na prawo lub na lewo.“ Jedni nie zezwalają na to dlatego, iż zdaniem ich miejsce dla religii jest na tej samej liście w naukowości, na której są alchemia i astrologia; drudzy dlatego, iż mówić naukowo o religii własnej jestto naruszać świętość, a mówić o dawnych jestto jakoby bratać się z dziełami szatana.

Autor następnie daje odpowiedź jednej i drugiej stronie, a w tém co mówi wiele jest nader trafnego.

Odpowiadając na zdanie pierwsze autor wyraża, iż nie jedna religia pierwotna była istotnie tejsze wartości jak alchemia i astrologia, ale iż dla czystszeo i historycznego pojęcia np. chemii, potrzebną jest i znajomość alchemii. Z tego zaś co wyraża o pojmowaniu istoty religij dawnych, przytoczymy tu kilka słów własnych autora z różnych miejsc książki.

„Żaden sędzia, mówi np. w ciągu swego wykładu, nie mógłby się tak surowym okazać dla winowajcy, jak dotychczasowi historycy i teologowie dla religij ludzkości. Pozbawiając właściwej wartości wszystkie religie, umieściliśmy naszą w takim świetle i położeniu, jakiego sobie nie życzył dla niej jój Założyciel i zamiast uznać w Chrystyanizmie religię spełnioną w czasie, jako uwieńczenie pragnień i nadziei całego świata, doszliśmy do uważania jój za fakt nie będący w związku z innymi, za ogniwo niepotączone żadnym związkiem z tym ciągłym prawnym łańcuchem, który sprawiedliwie możnaby nazwać panowaniem Boga na ziemi“ 105. „Nie przeczę ja, że religie Babilończyków, Greków i Rzymian były niedoskonałe i pełne błędów; ale utrzymuję śmiało iż fakt posiadania religii jakąby ona nie była, podnosi te narody wyżej i zbliża je do nas bardziej, aniżeli wszystkie dzieła ich sztuki, cała ich poezya i cała filozofia“ 106. „Dawna religia podobną jest do kosztownego starożytnego medalu: uwolnijmy ją od warstwy rdzy którą wki złożyły na jój powierzchni, a odkryjemy wizerunek Ojca niebieskiego, napis zaś gdy się już dla nas stanie czytelnym, będzie nie tylko w Judei ale we wszystkich językach słowem Bożem“ 30. Cel religii zawsze jest święty; jakkolwiek niedoskonałą, dziecinną byłaby religia jakaś, ona wszakże stawia duszę ludzką w obec Boga, pojęcie Bóstwa choćby było również niedoskonałe nawet dziecinne (jak np. Jowisza z brodą) przedstawia zawsze ideał doskonałości jaki sobie duch ludzki w takiój a takiój dobie rozwoju utworzyć jest zdolny“ 118. „Gdyby w historii całego rodu ludzkiego nie dało się wyczytać nieustannych nauk Boskiego Mistrza i przewodnika, jeżeliby się tam nie dało odszukać planu, następstwa, stopniowań religii świata, to przyszłoby chyba odrzucić i zatracić dziejowe karty a ludzi uważać jako żdźbła słomy, które dziś rosną na niwie a jutro obrócone zostaną w mierzwę. Ludzie wtedy mieliby mniejszą wartość niż wróble, bo niema ptaszyny którąby Bóg opuścił.“ „Gdyby nam szło o powagi (dodaje tu autor), tobyśmy się odnieśli do papieży, Ojców kościoła, do samych Apostołów, bo oni wszyscy energicznie i jasno popierali tę naukę“ 107.—Rzeczywiście dosyć tu wspomnieć na to zdanie, które wyraził niegdyś np. ś. Justyn, zrazu filozof ateński, a następnie wyznawca chrześciański i męczennik, iż „mądre zdania które się zjawiały u pogan było to objawiające się *Logos*“ (t. j. Mądrość Boża, to najpierwsze, przedwieczne zrodzenie Wszechmocny Bożej, spółistne z nią, a bez którego następnie nic się nie stało, cokolwiek się stało).

Przystępując z kolei jakby do prolegomenów proponowanej nauki, autor w odróżnieniu religij trzyma się tejże drogi jak w swojej Linguistyce t. j. jak języki tak i religie dzieli na *semitckie*, *aryjskie* i *turrańskie* i uważa w ogóle, iż lubo wszystkie one dochodziły do wyobrażenia Boga, ale u Aryów (Indye, Persya, Germanowie i t. p.) był to Bóg *Natury*, u Semitów (Assyrya, Fenicya, Arabia, Hebrajczycy i t. p.) Bóg *ludzi*, u Turanów (Chiny, Mongoły, Tybetanie i t. p.) Bóg jako istota bez łączności z ludźmi i ziemią.

Nie będziemy tu jednak powtarzać dalszych wywodów i szczegółów, bo są to dopiero nader początkujące kroki nowej nauki, a charakterystyką i zaletą główną odczytów jest sam jej pomysł. Dodajmy jednak iż pomysł ten lubo objawiony tak świeżo, wydał już i owoce. Jakoż za bezpośrednie rozwinięcie jego, można np. uważać dwie obszerniejsze publikacje z roku zeszłego, w języku francuzkim *La science des Religions* p. *Emila Burnouf*, w języku niemieckim „*Die Religion und die Religionen D-ru* E. *Seidla*; skutkiem też może tego śmiałego dotknięcia kwestyi religijnej było to: iż najgłówniejszy dziś filozof Anglii *Herbert Spencer* czyniąc w r. 1871 nowe wydanie swych ogłoszonych przed 10-ciu laty *Pierwszych Zasad* (*The first Principles*) dodał do nich rozdział, który postawił na czele, a w którym czyni ten wywód, iż do gałęzi, które być winny przedmiotem pozytywnych badań, należeć winna i gałąź Religii ¹⁾.

Badania Burnoufa i Seidla pełne są właściwej sobie nauki i ciekawych spostrzeżeń, a jakkolwiek są to zawsze zaledwo pierwsze kroki na nowem polu, zbiór dowolnych przypuszczeń, naciągów, sfera teoryi i jakkolwiek różne są w swych wywodach, łączą się jednak jak z sobą tak i z głównem założeniem Maxa Müllera w tym wniosku: iż religia chrześcijańska uważać się musi jako zjawione połączenie się wszelkich kierunków, a ztąd iż przeznaczoną być się jej zdaje, stać się z czasem religią całej ludzkości. Według Burnoufa w nauce Jezusa Chrystusa stało się połączenie Boga Osobowego (Biblia Hebrajska), z Bogiem wszędzie ukrytym (Panteizm Indyjski), według Seidla: *Semicki ideal Boga* i *aryjski ideal człowieka* połączyły się w Chrześcijaństwie w ideale *Boga Człowieka*. (Das arische Menschen ideal ergänzte sich mit dem semitischen Gotte der heiligen Liebe zum vollkommenen Religions ideale, dem des vollendeten *Gottmenschen* im Christenthume).

Wychodziliśmy i wychodzimy zawsze z tego zdania, iż prawda jedną jest w sobie i że wszystkie nauki przez swe stopniowe kształcenie przyprowadzone do stopnia swój prawdy, wydadzą kiedyś treść łą-

¹⁾ To do czego w rozdziale tym doszedł Herb. Spencer, jest to wprowadzie dla nauki rzetelnej właściwie *nic*, leoz u materialistów, u których w tej rzeczy było mniej jeszcze niż nic, samo to dojście uważaném już jest za „fakt olbrzymi.“

czącą się harmonijnie. Poznawanie, ocenianie, porównywanie treści przeróżnych religij, zbliżanie się do ujęcia przyczyn nastania każdej, ujęcia nici czyli to ich stopniowego rozpadaania się czyli téż harmonijnego rozwoju i jednoczenia się, bliższe poznanie i ocenianie każdej nie według jednostkowych w niej zwrotów i sądów, ale według filozoficznych ich zasad (teologicznie), istotnie więc nader żywotną nauką gąłąż utworzyć może.

O każdej zapewne pracy i każdym dziele, które się przedziera o stopień do zgłębienia wnętrza świata,—czyli to do objaśnienia treści stworzonych rzeczy, czyli harmonii śród dziejów, to jest harmonii tam, gdzie napozór tkwi tylko bezład,—można rzec że jest krokiem żywotnym,—przyczyniając się bowiem do poznania bliżej dzieł Bożych oraz dróg Bożych, więc znajomości Boga,—przybliża i gotuje w ten sposób nową, szczęśliwszą zapewne dla ludzkości, erę ludzkości,—lecz prace, które będą miały za zadanie właśnie bezpośrednie poznawanie bliższe Istoty Bożej, tym prędszym i żywotniejszym skutkiem zaświecić mogą.

Przed kilką laty użycie w ogłoszonej książce wyrazu religia i wyrazów używanych w religiach poczytywaném było przez naukowóść czystą za wsteczność, za zabytek i echo wieków średnich; dziś widzimy iż za hasłem odczytów Maxa Müllera, stan ten gdzieindziej zaczyna się zmieniać. Dobrze zrobił p. Dygasiński, że te odczyty przy swoich i naszej literaturze ¹⁾.

X.

Laut und Formenlehre der Polabischen Sprache von August Schleicher. (Fonologia i morfologia języka połabskiego, przez Augusta Schleichera). St. Petersburg, 1871, w 8-ce, str. XIX i 353.

To ostatnie dzieło Schleichera wydane po jego śmierci kosztem petersburskiej akademii nauk i pod redakcją profesora lipskiego uniwersytetu A. Leskiena, jest owocem usilnych zajęć zmarłego lingwisty w ciągu dosyć długiego czasu.

¹⁾ Dodajmy z okoliczności, iż dziękujemy tłumaczowi i za to, że na tytułe książki wyraził że „przetłumaczył“ nie zaś jak wielu teraz wyraża: „spol-szczył.“ Wyrażenie to „spolszczył“ prócz braku harmonii w brzmieniu, ma téż brak loiczności wewnętrznej,—wyrażenie takie oznacza właściwie nie tylko, iż dana książka przełożoną została na inny język, ale iż i zastosowaną została do ducha innego kraju; tymczasem nie powinno to być celem tłumacza. Jakoż nikt téż u nas zkądinąd nie wyraża się że np. Nabelak „z Niemczył“ lub że Ostrowski zfranczył“ Mickiewicza.

W przedmowie (str. V—VIII) sam Schleicher wyjaśnia pobudki, które skłoniły go do ułożenia tej książki. Głównym celem naukowej działalności Schleichera w ostatnich latach jego życia było napisanie dokładnej i szczegółowej gramatyki porównawczej języków słowiańskich, w której chciał przedewszystkiēm odtworzyć (rekonstruować) zasadniczy (piérwotny) język słowiański (slawische grundsprache), t. j. to stadyum rozwoju słowiańskiej familii językowej, kiedy między narzeczami słowiańskimi nie było jeszcze żadnych różnic, czyli innemi słowy, kiedy wszyscy Słowianie mówili jednym i tym samym językiem. Dla wypełnienia tego ogromnego zadania musiał brać pod uwagę przynajmniēj wszystkie dostępne badaniu modyfikacye mowy słowiańskiej. Literatura lingwistyczna przedstawia dla wszystkich główniejszych narzeczy słowiańskich mniēj więcj zadowolniające dzieła pomocnicze, i w ogóle, ze stanowiska gramatyki ogólno-słowiańskiej prace przygotowawcze. Jedynie tylko dla wymarłego narzecza Słowian połabskich zrobiono nazbyt mało i Schleicher mając zamiar przy odtwarzaniu zasadniczego języka słowiańskiego przyjmować pod uwagę i to narzecze, nie mógł na tém poprzestać. Dlatego to zdecydował się przedewszystkiēm wypełnić tę szczerbę w literaturze lingwistycznej, tém więcj że do jego użytku dane były dosyć bogate materyały dla połabskiego narzecza.

Wprawdzie mógł Schleicher, nie układając oddzielnego przygotowawczego dzieła o narzeczu połabskiēm, włączyć to narzecze do gramatyki porównawczej języków słowiańskich niepośrednio ze źródeł. Ale w takim razie uderzałaby w tęj gramatyce porównawczej niejednostajność w przedstawieniu oddzielnych języków, zwłaszcza zaś w skutek ciągłych zбочeń i objaśnień dla jednego tylko połabskiego. „Język połabski powinien być przedewszystkiēm być opracowanym z gruba (aus dem groben), zanim mógł być przyjęty w poczet innych języków słowiańskich“ (str. 6). A zatem obecne dzieło powinno przedstawiać „usprawiedliwienie, dowody i uzasadnienie przyjętych do ogólnie-słowiańskiej gramatyki porównawczej połabskich wyrazów i ich pisowni“ (str. VII).

Ale z tém wszystkiēm ono jest tylko próbą i nie można go uważać za pełną gramatykę narzecza połabskiego.

Nie mówiąc o dwu przedmowach Leskiena i samego Schleichera, nasza książka rozpada się na dwie główne części: wstęp (str. 1—20) i gramatykę (str. 21—299).

Wstęp zaczyna się od opisu dzieł pomocniczych, które mieszcząc téż w sobie wzory języka połabskiego, służyły zarazem za źródła (str. 1—11). To są prace *Hilferdinga* (Pamiętniki narzeczaja Żałabskich Dr'ewlan i Glin'an. St. Peterburg 1856), *Pfula* („Pomniki Połobjan Słowjanščiny. Zhromadził i wujasnjał prof. Dr. Pful“ w czasopiśmie „časopis towar'stwa Mačicy serbskeje“ 1863, XVI, 28—138; 1864, XVII, 141—212) i rękopiśmienny słownik połabsko-niemiecki Juglera, ułożony w r. 1809 (Vollständiges Lüneburgisch-

Wendisches Wörterbuch aus drey ungedruckten Handschriften und den wenigen bisher bekanten Sammlungen zusammengetragen von *Johann Heinrich Jugler* d. Arzneiwiss. Doctor, etc. 1809). W tém ostatniém dziele zostały między innemi spożytkowane materyały, zapisane przez Henniga i przedstawiające najważniejsze źródło dla poznania narzecza połabskiego. Z notat zaś samego Henniga Schleicher nie mógł korzystać, podobnież nie korzystali z nich ani Hilferding, ani téż Pful. Schleicher opisuje szczegółowo rękopism Juglera i udziela ze słów Juglera różne wiadomości o Połabach i o drugih rękopismach i wydrukowanych zbiornikach, przyjętych przez niego (Juglera) za podstawę przy układaniu jego ogromnego słownika (strona 2—11).

Według świadectwa Juglera w r. 1751 nie było już ani jednego człowieka, mówiącego po „wendzku“ (t. j. po połabsku). Ale na kilka lat przedtém można było znaleźć w niektórych wsiach w Drawaniu kilku starców znajdujących cóśkolwiek w tym języku, ale tylko po dłużych prośbach decydujących się udzielać drugim swoich wiadomości. W początku r. 1798 umarł pewien Warratz, właściciel domu w Kremlinie (Cremmelin), będący podobno w stanie mówić po wendzku „Ojcie nasz“ ale jeżeli to nawet i prawda, wątpić należy, czy rozumiał to co wymawiał (str. 4).

Jugler wciągnął do swego słownika cały materyał z trzech następujących rękopismów:

1) Bardzo staranna i dokładna kopia z oryginału znakomitęj pracy Henniga (Christian Henning von Jessen, albo téż poprawnięj Christian Hennig von Jessen), będący wówczas własnością pastora Jana Schulze i zatytułowany: „Kurtzer Bericht von der Wendischen Nation überhaupt, insonderheit von denen Lüneburger Wenden in denen Aemtern Lüchow und deren Abkunft, auch von ihrem pago, dem sogenannten Drawän, dabey ein Teutsch Wendisches Wörter-Buch von selbigen Wenden ihrer Sprache curiosen Liebhabern zu gefallen abgefasset von Chilian *Wendhold*. Anno 1705.“ Słownik Henniga jako najbogatszy i najdokładniejszy pod względem pisowni zbiór połabskich wyrazów i wyrażeń, przyjął Jugler za podstawę swojej pracy.

2) Drugi rękopis zatytułowany „Wendisches Lexicon“ i należący podówczas do p. Plato (Herr Landrath Christian Ludwig von *Plato* auf und zu Grabow bei Lüchow), zawiera w sobie równieź słownik Hennig'a, ale przepisany z nierównie mniejszą pełnością i ścisłością, aniżeli w piérwszym rękopiśmie.

3) Trzeci rękopism zawiera w sobie własnoręczne zapiski (notaty) (r. 1724 albo téż 1725) właściciela domu w Sünten, Jana Parum Schultze. Zajmującym jest obraz stopniowego ostatecznego wymierania narzecza połabskiego, narysowany w krótkich słowach przez autora tego rękopismu. Jego dziad mówił wiele po wendzku i jego ojciec władał w zupełności tym językiem. Niektórzy starcy

urodzeni z Wendów mówili w połowie po wendzku, w połowie po niemiecku. Jego (autora) pięcioma laty młodsza siostra rozumie jeszcze cósokolwiek z wendzkiego języka, ale jego ośm lat młodszy brat nie rozumie ani słowa. On, autor, ma 47 lat. Po jego śmierci i po śmierci jeszcze trzech osób w jego wsi, nikt nie będzie wiedział, jak zwą psa po wendzku (str. 6-7).

Powiedziawszy kilka słów o ważności zapisek Parum Schultze, o losach tego rękopismu i o jego częściowych wydaniach (str. 7--8), Schleicher opisuje pracę Juglera jego własnymi słowami.

Następnie wykazawszy wysokie przymioty pracy Juglera i wliczywszy skrócenia, przyjęte przez niego (Juglera) dla oznaczenia pojedynczych źródeł, Schleicher wypowiada zdanie, że ze wszystkich wymienionych źródeł zasługują na uwagę oprócz danych zapisanych przez Mithofa, głównie tylko Hennig, Pfeffinger i Parum Schultze (str. 9-11).

Schleicher nie rozwodzi się we wstępie o pisowni ze źródeł, ponieważ niejednokrotnie będzie mówił o tem w fonetyce i ponieważ prócz tego przy każdym wyrazie w transkrypcji (pisowni) naukowej wypisuje różne sposoby napisania tegoż wyrazu znajdujące się w źródłach. Ogólne zaś własności źródeł, oprócz rozumie się najgłówniejszej pracy Henniga, zostały opisane w dziełach Hilferdinga i Pfula. W ogóle trzeba powiedzieć, że sposób oznaczenia połabskich wyrazów w źródłach nie jest wcale tak zły, jak zwykle sądzą. Szczególną staranością celują Hennig i Pfeffinger, oznaczający nawet akcent pojedynczych wyrazów; Hennig zaś prócz tego robi niekiedy obszerne uwagi o wymawianiu słowiańskich wyrazów. Zresztą niektóre zjawiska jak na przykład nierozróżnianie spółgłosek dźwięcznych i głuchych (*t* i *d*, *p* i *b*, i t. p.), świadczą o nieszczególniej bystrości i wrażliwości ucha (str. 11).

Żaden z zapisywaczy nie rozumiał po słowiańsku (a Parum Schultze?) może na korzyść zebranych przez nich materyałów, nad którymi przynajmniej nie byli w stanie dokonywać żadnych szkolarskich operacyj. Ale za to w skutek zupełnego nierozumienia zapisywanego języka, byli wystawieni na pewne nieporozumienia konieczne zresztą wtedy, kiedy zapisujący zupełnie nie rozumie języka pytanego indywiduum, które znów ze swój strony niedostatecznie włada językiem pytającego i przytém niema należytego ukształcenia i nie rozumie istoty rzeczy.

Tak np., jeżeli francuzkie „assez“ (Pfeffinger) tłumaczy się mniemanym wyrazem połabskim „tjandüst“, francuzkie zaś „etranger“ wyrazem „tojazéuza“, to tutaj zamiast jednego mamy trzy połabskie wyrazy: „tü já düst“ (*to jest* dosyć) i „tü já ceúdzi“ (*to jest* cudzy). Pfeffinger pytał, np. „jak będzie po połabsku *dosyć* (genug)“, Połaba zaś odpowiedział: „*to jest* dosyć“ i t. p. Niekiedy zapytywany słowianin przyjmował zupełnie seryo zadawane mu pytanie i zamiast przetłumaczyć je po połabsku, odpowiadał na nie w tym

języku. Tak np. Pfeffinger zapytywał po niemiecku: „chcecie jeść“? nie dodając zapewne wyrażenia: „jak będzie po niemiecku,“ ponieważ ono się samo przez się rozumiało; Połaba zaś odpowiadał w swoim narzeczu: „ja chcę jeść,“ i Pfeffinger uważał tę odpowiedź za dokładny przekład zadanego pytania. Na niemieckie pytanie: „chcecie spać ze mną?“ Połaba odpowiedział „ja nie chcę spać“ i znowu także nieporozumienie i t. p. Niektóre nieporozumienia powstały w skutek tego: iż zapytywany Połaba przyjmował wypowiedziany przez zapytującego niemiecki wyraz w znaczeniu innego z nim jedno-brzmiącego lub tylko podobnie brzmiącego niemieckiego wyrazu. Między innymi, podobne pomieszanie miało miejsce z wyrazami „stahl“ (stal) i „stohl“ (ukradziony), z wyrazami „pacze“ (pacze, kłaki) i „werk“ (dzieło) i t. t. p. Zapytywany Połaba tłumaczył niekiedy pojedynczy wyraz niemiecki połabskimi opisaniami (peryfrazami) albo też niemiecki „infinitivus“ jakąkolwiek skończoną formą narzecza połabskiego, niekiedy nawet w połączeniu z zaimkiem. Tak np. z niemieckim „flammen“ znajdujemy zestawione połabskie połączenie wyrazów, odpowiadające polskiemu „ogień się pali,“ z niemieckim „begegnen“ połabskie „eutäcüh jig, (spotkałem go), jak gdyby „utknąłem go“ i t. d. Niektóre nieporozumienia powstały w skutek tego, że zapytywany Połaba umiał po dolnoniemiecku (plattdeutsch), gdy tymczasem zapytującemu Niemcowi obcym było to narzecze. Tęm się objaśnia przekład niemieckiego „bär“ (nie-dźwiedź) połabskim słowem wyrażającym to samo, co polskie „gruszki,“ (po dolnoniemiecku „bere“), jak również przekład niemieckiego „welches“ (jakie, które) połabskim „koküg, równym polskiemu „jakiego“ (w dolnoniemieckim czyli w plattdeutsch nominativu sing. rodz. nijakiego właściwą jest końcówka *t*, gdy tymczasem *s* spotyka się tam tylko w genitivie l. poj. rodz. męz. i nij.). Niekiedy zapisujący Niemiec, nie rozumiejąc składu wyrazów i wyrażen połabskich, rozdzierał je zupełnie błędnie i w skutek tego tworzył jakieś nieistniejące wyrazy połabskie. W ten sposób utworzonym został wyraz „leissa.“ znaczący nibyto „zusammen, untereinander,“ w istocie rzeczy zaś złożony z końcowej zgłoski nominativu l. mn. imiesłów czynnych czasu przeszłego, używanych dla wyrażenia czasu przeszłego, i z zaimka *se, się*; zupełnie tak samo, jak gdyby kto z łacińskiego *amaverunt se* i t. p. wydzielił *-runt se*, i uważając je za jeden wyraz, dał mu takie znaczenie „jeden drugiego, wzajemnie“ (untereinander, zusammen), albo też gdyby kto w polskich *kochali się, spotykali się, ścisłali się* i t. p. uważał *lisie* za osobny wyraz, oznaczający „się, siebie, jeden drugiego,“ i t. p. Pytany w *sobotę* Połaba przetłumaczył niemieckie „heute“ połabskim *sübüta* (sobota), niem. „gestern“ połab. *skōpy* (*skappy*, t. j. piątek, jako dzień skapy, chudy, postny), niem. zaś „morgen“ połab. *jā nē dil'a* (jest niedziela), które zapytujący Niemiec uważał za jeden wyraz „Janidiglia“ i t. d. (str. 11—14).

Z tego się pokazuje, jakie to trudności spotykał Schleicher przy czytaniu źródeł połabskich, jak ciągle musiał przypuszczać wszelkie możliwe nieporozumienia i omyłki i jak nakoniec powinien był zaznaczyć się i spoufalić się ze źródłami, ażeby je całkowicie rozumieć i korzystać z nich zupełnie swobodnie. Pomimo tego wszystkiego, nie udało mu się zrozumieć niektórych, zresztą bardzo nielicznych, miejsc źródeł połabskich.

Oprócz opisanego dzieła pomocniczych i źródeł, znajdujemy we wstępie ogólne uwagi o narzeczu połabskim w stosunku do innych słowiańskich (str. 14—18) i o wpływie języka niemieckiego na połabski (str. 18—20).

Wszystkie doszły do nas szczątki narzecza połabskiego zostały zapisane w jednej tylko miejscowości, w okolicach Lüchowa, na zachód od rzeki Elby, w byłym królestwie Hannowerskiem; miejscowość tę jeszcze dzisiaj nazywają Niemcy „Wendland“ (kraj Wendów).

Sądząc z tych szczątków, Schleicher, za przykładem Hilferdinga, uznaje najbliższe pokrewieństwo połabskiego z kaszubskim, a następnie najbliższe pokrewieństwo obu, jako całości z polskim, tak, że te dwie modyfikacje języka słowiańskiego, połabsko-kaszubską i polską, można podprowadzić pod ogólną kategorię lechickiej grupy narzeczy słowiańskich, pochodzących od jednego wspólnego lechickiego języka zasadniczego. Połabski i kaszubski należą tym sposobem do zachodniej, polskie zaś gwary (dialekty) do wschodniej gałęzi lechickiej grupy językowej.

Najbliższego pokrewieństwa połabskiego i polskiego dowodzą:

1). Wspólna obojgu zamiana pierwotnego *dj* na *dz* (nie zaś *z*, jak w czeskim i łużyckim), np. połab. *midza*, pol. *miedza* i t. p.

2). Właściwa obu językom zmiana *g* przed samogłoską, odpowiednią starosłowiańskiemu *z* (*ja*) i przed *z* na *dz*, np. połab. *nūdzē* pol. *nodze* i t. p.

3). Przechowanie samogłosek nosowych i prócz tego jednakowe luzowanie się ich, jak w połabskim (*ā* i *jō*)¹⁾, tak i w polskim (*e* i *iq*), np. połab. *dēsāt pāt dēsōt* pol. *dziesięć, pięćdziesiąt* i t. p.

To najbliższe pokrewieństwo połabskiego i polskiego potwierdzają też inne zjawiska fonetyczne, jak również leksykalny (wyrzowy, słownikowy) skład obu języków.

Jak już powiedziano, ze wszystkich dialektów, podchodzących dziś pod kategorię polskiego, w najbliższym pokrewieństwie z połabskim znajdują się dialekty (gwary) kaszubskie; z polskich zaś w ścisłym znaczeniu tego wyrazu najwięcej podobieństwa z połabskim pokazują gwary zachodnio-polskie (?) (tak np. mazurskie *s*, *z*, *e*, zam. *sz*, *z* *cz*). Gdybyśmy znali wszystkie gwary słowiańskie, które żyły

¹⁾ *ō* w połabskiej pisowni Schleichera oznacza ten sam dźwięk, co polskie *o*, *ā* zaś nosowe, właściwe także wielu polskim gwarom ludowym.

niegdyś między drawieńsko-połabskim i właściwym polskim, to bez wątplenia moglibyśmy wykazać stopniowe przejście od wschodnio-polskiego do drawińskiego.

Z kaszubskim wiąże połabskienarzecze przedewszystkiē prawdziwy akcent, t. j. akcent swobodny, nie przykuty do przedostatniej zgłoski, jak w polskim; oprócz tego o zam. *a*, (co zresztą nie jest wyjątkową własnością zachodnio-lechickiego, gdyż spotyka się również we wschodnio-lechickim, t. j. w polskim), połączenie samogłoski ze spółgł. *r* i z jakąkolwiek inną spółgłoską zamiast połączenia *r* ze samogłoską i spółgłoską, właściwego większości języków słowiańskich, np. kaszubskie i połabskie *morz*, pols. *mróz*, starosławiańskie *mraza*, ruskie *moroz* i t. p. Zresztą gwary kaszubskie odznaczają się od znanej nam połabskiej zachowaniem spółgłosek *sz*, *ż*, *cz*, które zmieniły się w połabskim, na podobieństwo mazurskiego, w *s*, *z*, *c* i t. p.

Według tego wszystkiego zachodnia gałąź języków słowiańskich rozpada się głównie na dwa wielkie oddziały: 1) lechicki (polski) czyli północny z samogłoskami nosowymi i 2) czeski (czesko-sorbski) czyli południowy bez samogłosek nosowych. Oddział lechicki dzieli się na wschodnio-lechicki (polski) i zachodnio-lechicki (połabski), między którymi kaszubski i pod pewnym względem gwary zachodnio-polskie tworzą, zdaje się, ogniwo przechodnie. Oddział czeski rozpada się podobnie na wschodnio-czeski (czeski w ścisłym znaczeniu i słowacki) i zachodnio-czeski (sorbski), które znów dzielą się na podnarzecza i gwary.

Bardzo zajmującym byłoby oznaczenie dawniej granicy połabskiego czyli zachodnio-lechickiego i sorbo-czeskiego. Badanie słowiańskich nazw miejscowych pozwoliłoby może określić tę granicę jeszcze dzisiaj, ponieważ samogłoski nosowe, dyftongi *eu* (*au*) u ai zam. *u* i *i* lub *y*, jak również *tj*=*k* i *dj*=*g* połab. *k'eurā* wymawiają *teurā*=pol. *kurzę*, *kurezę*, połab. *k'āipi* wym. *tāipi*=pol. *kipi*, połab. *gūst* wym. *dūst*=pol. *gość*, połab. *gēumnū* wym. *dēumnū*=pol. *gumno* i t. p.), stanowią także charakterystyczne znamiona połabskiego, w różnicy od sorbskiego (łużyckiego), że nawet w zniemczonjej formie nazw miejscowych nie mogła się zatrzeć ta różnica dwu języków (str. 14—18).

Język połabski ulegał silnemu wpływowi niemieckiemu, i mianowicie nie tylko pod względem leksykalnym.

Z wielu przyswojonych przez Połabów wyrazów niemieckich szczególniej zajmujące są słówka, jak *wech*, *weg* („fort, weg“ np. *wechnüsse*=er trägt fort), *dār* (durch, *dārbist*=durchstechen), *ehr har* (her) (*hārritz*, *ritz hār*=er sagt her, sag her) i t. p.

Ale także i składnia i tak zwana „wewnętrzna forma języka“ (innere sprachform) pokazują bardzo często wpływ niemiecki. Tak np. „passivum“ oddaje się, na podobieństwo dolno-łużyckiego, niemieckim „werden“ (*mo vārdōt eu vōzōn y*=er soll gebunden wer-

den), „praeteritum activi“ opisuje się dosyć często, jak w kaszubskim, przez słowo „mieć“ albo też „być“ w połączeniu z „participium praeteriti passivi“ (*mos pürdón* = du hast verkauft; *jā eumārty* = er ist gestorben), chociaż spotyka się też i słowiańska formacja tego czasu (*tāi krodāi* = tyś kradł) i t. d.

Również niemieckiemu wpływowi należy przypisać użycie słowa „vedrū“ (pogoda, serenitas) zupełnie w znaczeniu niemieckiego „wetter“ (w skutek podobieństwa brzmienia obu wyrazów); zmieszanie dativu i accusativu) l. poj. zaimka osobistego 1 ej osoby (*mīne* i *manē*), na podobieństwo zmieszania „mir“ i „mich“ w dyalekcie berlińskim; użycie przymiotnika głupý (głupi) w znaczeniu „młody“ (jung), w skutek wpływu niemieckiego *tump*, oznaczającego w średniogórnoniemieckim (?) nie tylko „dumm, unverständlich,“ ale też i „unerfahren“ i mianowicie nawet „jung,“ i t. d.

Nakoniec i stosunki dźwiękowe narzecza połabskiego noszą na sobie silne odbicie wpływu niemieckiego, co zresztą ma zwykle miejsce między sąsiednimi językami. Tak np., tu należy odnieść dyftongi *ai=i* i *eu=u*. Ale prócz tego autorowi zdaje się, że w połabskim, jak i w dzisiejszym niemieckim, z akcentem związane było przedłużenie zgłoski; to przypuszczenie opiera się na pisowni źródła. Dla tego to długość samogłosek jest w połabskim, przynajmniej po części rzeczą drugorzędną, nie mającą znaczenia przy badaniu istoty samogłosek słowiańskich (str. 18—20). Porów. też to, co mówi się o wpływie języka niemieckiego w § 43 str. 75, § 69 str. 110, § 127 str. 170, § 151 str. 195, § 262 str. 293 i t. d.

Po wstępie idzie prawdziwa gramatyka narzecza połabskiego, która, według zwyczaju, dzieli się na *naukę o głoskach* (fonetykę, str. 21—164) i *morfologią* (formenlehre, str. 164—299), która znów rozpada się na krótki zarys *tworzenia tematów* (zur stambildungslehre, str. 164—197) i na *tworzenie wyrazów* (wortbildungslehre, str. 198—299). Składni nie ma, dla braku odpowiednich materiałów. W uporządkowaniu materiału Schleicher nie dążył wcale do ściśle naukowego podziału, ale przedewszystkiem miał na celu ułatwienie użycia tej książki, i dlatego to trzymał się, według możliwości, zwykłego porządku grammatyk słowiańskich (str. VII). I w ogóle w książce Schleichera przeważa czystoempiryczny wykład bez szczególnych pretensyj naukowych. Wszystko tu przedstawione według obiektu, a nie według oderwanych kategorii lingwistycznych. Tak np. autor zestawia nie jednorodne, identyczne modyfikacje różnych dźwięków w tych samych warunkach, ale tylko wszystkie modyfikacje jednego i tego samego dźwięku; nie identyczne zjawiska w różnych imionach lub też słowach (czasownikach), np. identyczne kierunki analogii i t. p., ale tylko różne postacie tematów jedna za drugą ze wszystkimi należącymi do nich formami. Przypom autor porządkuje zjawiska narzecza połabskiego nie według jego własnych kategorii ale według kategorii drugich, sta-

rożytniejszych języków pokrewnych. Tak np. w fonetyce rozpatruje nie oddzielne dźwięki połabskie z wykazaniem tylko odpowiednich im dźwięków w językach pokrewnych, ale przeciwnie za punkt wyjścia przy badaniu dźwięków połabskich przyjmuje oddzielne dźwięki języka starosłowiańskiego i następnie tylko wylicza odpowiednie im połabskie zjawiska językowe. Podział deklinacyj uskutecznionym został nie w faktycznie danych granicach narzecza połabskiego, ale według ogólnego szablonu, przyjętego przez Schleichera dla wszystkich języków indoeuropejskich i t. d.

Fonetyka rozpada się na naukę o samogłoskach (str. 21—122) i na naukę o spółgłoskach (str. 122—162). W nauce o samogłoskach, powiedziawszy kilka słów o akcencie (§ 2), o iloczasiu (quantität der vocale) (§ 3) i nakoniec o pisowni samogłosek (§ 4) (str. 22—27), autor rozbiera przedewszystkiem połabskie odpowiedności starosłowiańskim półsamogłoskom (geschwächte vocale) *ъ* i *ь* (§§ 5—19), następnie odpowiedności starosł. samogłoskom szeregu *a*, *t*, *j*, *sa*, *e*, *o*, *a* (§§ 20—42), *st*, *i* i *ī* (*jať*) (§§ 43—60), *y* i *u* (§§ 61—71) i nakoniec, *st*, samogłoskom nosowym *ę* i *ą* (§§ 72—79), do czego dodane naoczne zestawienie wyników badania samogłosek połabskich w stosunku do starobułgarskich (starosłowiańskich) (§ 80). W skutek zawikłanych stosunków samogłosek połabskich konieczną było rzeczą, po większej części, osobno rozbiierać jedne i te same samogłoski w środku, na początku i w końcu wyrazów, i prócz tego ciągle zwracać uwagę na to, czy dana samogłoska jest akcentowaną, czy też nie akcentowaną, a w tym ostatnim razie, czy stoi przed akcentowaną zgłoską czy też po niej (por. str. 22, § 1). W nauce o spółgłoskach, zrobiwszy kilka uwag o zmiękczeniu spółgłosek (§ 82), rozbiera autor połabskie odpowiedności oddzielnym spółgłoskom starosłowiańskim w następującym porządku: gardłowe *h*, *g*, *ch* (§§ 83—88), podniebienne *ǰ* (§§ 89—93), językowe *cz*, *ż*, *sz* (§§ 94—96), zębowe *t*, *d* z modyfikacyami *szť*, *žd* (zębowemi w połabskim); *s*, *z*, *c* i *n* (§§ 97—104), wargowe *p*, *b*, *v*, *m* (§§ 105—109) i nakoniec, *r*, *l* (§§ 110—117) (str. 124—158). Oczywiście Schleicher nie trzymał się tu ściśle naukowego, fizyologicznego podziału spółgłosek, ale tylko miał na względzie dogodności praktyczne. Naukę o spółgłoskach zakończy rozpatrzenie niektórych zjawisk, spólnych różnym spółgłoskom, jakoto: A. assymilacya i zniknięcie spółgłosek (§ 118), B. przekładnia (§ 119) i C. dodanie spółgłosek (§ 120) (str. 158—162). W końcu fonetyki pomieszczono *dodatek*, dający naoczne zestawienie naukowego (Schleicherowskiego) *alfabetu połabskiego* z najbardziej zwyczajnemi napisaniami źródeł i z wyobrażeniami odpowiednich dźwięków starosłowiańskich (§ 121, str. 162—4.)

W nauce o tworzeniu tematów Schleicher chciał tylko dać ogólną charakterystykę języka połabskiego i pod tym względem, niemając wcale na celu wyczerpania materiału. Rozbiera on tu:

1) imiesłowy, tryby bezokoliczne i t. p., jedném słowem tematy rzeczownikowe i przymiotnikowe, utworzone od tematów słownych (czasownikowych) (§§ 123—32), 2) niektóre inne tematy rzeczownikowe (§§ 133—40), 3) tematy imion zdrobniałych (§§ 141—4), 4) niektóre tematy przymiotnikowe (§§ 145—149), 5) formy stopni porównania przymiotników (§ 150), 6) liczebnik (§§ 151—152), 7) składanie wyrazów (§ 153).

Ostatnia część pracy Schleichera, nauka o tworzeniu wyrazów (wortbildungslehre), znana zwykle pod nazwą odmiany słów (wyrazów) czyli fleksyi, rozpada się na dwa główne oddziały: *deklinacyą* (str. 198—263) i *konjugacyą* (str. 263—299).

W deklinacji rozbięra przedewszystkiém tematy imienne, następnie tematy zaimkowe i zaimki bezrodzajowe (osobiste) os. 1-éj i 2-éj wraz z zaimkiem zwrotnym (reflexivum). Podział tematów imiennych (§§ 155—214, str. 199—248) jest tu zwykły Schleicherowski, znany z „Compendium“ i z drugich dzieł zmarłego lingwisty. Możnaaby tylko zrobić uwagę, że przy téj sposobności Schleicher dopuszcza się pewnej niekonsekwencji chronologicznej; a mianowicie, przyjmując z jednej strony temata na *a*, *ja*, *u* i *i* w ich bezwzględnie pierwotnej, praindoeuropejskiej postaci, z drugiej strony mówi o tematach na *y*, *en*, *es*, *er*, nawet *et*, to jest o tematach nie w ich pierwotnej indoeuropejskiej postaci, ale w postaci drugorzędnej, zawarunkowanej specjalno-słowiańskimi prawami głosowemi. Gdyby Schleicher był tu wiernym samemu sobie, zamiast dopiero co wzmiankowanych tematów, powinien byłby mówić o tematach na *u*, *an*, *as*, *ar* i *ant*. Po każdym większym oddziale znajdujemy paradygmaticzny przegląd właściwych mu końcówek przypadkowych. W oddziale deklinacji zaimkowej (§§ 215—230, str. 249—259) pomieścić téż autor deklinacyą przymiotnika określonego (złożonego z zaimkiem) (§§ 225—230). Najmniej miejsca zajmuje naturalnie deklinacya zaimka osobistego 1 i 2 osoby wraz z zaimkiem zwrotnym (§§ 231—238, str. 259—263).

I w wykładzie konjugacyj autor miał na widoku przejrzystość i wygodę, nie zaś ściśle naukowe uporządkowanie materiału. Dlatego to część ta zaczyna się od zestawienia spotykanych w źródłach końcówek form czasownikowych, czasu teraźniejszego, trybu rozkazującego, czasu niedokonanego (imperfect.), aorystu złożonego i prostego (§§ 240—244). Następnie idzie zestawienie znajdujących się w źródłach form czasownikowych wraz z imiesłowami i trybem bezokolicznym, uporządkowane według końcowych dźwięków odpowiednich starosłowiańskich pierwiastków lub téż tematów czasownikowych (§§ 245—262). W końcu tego oddziału (o konjugacyi) wylicza autor pozytywnie dane formy takich czasowników, które przedstawiają jaką szczególną właściwość i różnią się od czasowników, należących do 10-ciu przedtem rozebranych klas (§§ 263—270). Jak wszędzie, tak téż i w konjugacyi za punkt

wyjścia i za podstawę przyjął Schleicher formy starostwianiańskie, z którymi zestawia odpowiednie im połabskie.

Do pracy samego Schleichera dodanym został indeks szczegółowy wszystkich połabskich wyrazów i form, napotykanych w tej książce (str. 301—353). Indeks ten, ułatwiający w znacznym stopniu użycie samego dzieła, ułożył professor Uniwersytetu Lipskiego A. Leskien.

Sądzę, że ten ogólny zarys będzie dostatecznym dla dania przybliżonego pojęcia o rozbiętej książce. Bez wątpienia byłoby nierównie lepiej, gdyby temu obiektywnemu sprawozdaniu towarzyszyło krytyczne wymienienie z jednej strony bardziej interesujących szczegółów i trafnych kombinacyj, z drugiej zaś błędów i myłek autora. Uczyniłbym to chętnie, gdyby nie przekonanie, że i bez tego moja recenzja jest już może nazbyt długą dla czasopisma, przeznaczonego nie dla specjalistów, ale dla bardzo różnorodnej publiczności. Tyle tylko dodam, że pomimo niektórych, zresztą bardzo nieznacznych błędów, obecna praca Schleichera pozostanie na zawsze w swoim rodzaju wzorowym dziełem.

J. Baudouin de Courtenay.

Karol Hołdziejewski. Imiona ludzi, którzy w skromnym ustroniu cały swój wiek poświęcili nauce, zaledwie znani w prowincyi, w której rzuceni losem, na krok z nią się nie oddalając, pracowali nie dla chwały, nie dla grosza, ale tylko przez czyste i sumienne zamiłowanie nauki, najczęściej nieznanego ogólnie w kraju, zapomniane bywają przez następne pokolenia i wspomnienie o nich niknie ze zgonem współczesnych im ludzi.

A jednak wśród nich byli niepospolici pracownicy. Obdarzeni od natury wielkimi zdolnościami i pamięcią, odznaczali się za młodu w zakładach naukowych wzorową pilnością, uczyli się przez całe życie, lgnęli do bibliotek i ludzi uczonych; oddani do fanatyzmu raz obranemu przedmiotowi, żywot swój poświęcali wśród benedyktyńskiej pracy i wytrwałości nauczania drugich, i przez namiętne zamiłowanie nauki robili z siebie ofiarę, wyrzekając się związków małżeńskich, a zapracowane wynagrodzenie pieniężne, obracali na kupno książek, z których nowe zasiłki umysłowego życia czerpali.

Ogół nazywał ich oryginałami, dziwakami; często zaniedbani w ubiorze i zamyśleni, nie mogli stosować się do wesołych towarzysztw i najszcześniejsi byli, gdy w swoim ustroniu mogli obcować z myślą, książkami i skarbami zgromadzonych zasobów wiedzy, nie mając nigdy zamiaru drukowania prac swoich, ani też chęci zajęcia jakiegoś stanowiska w literaturze krajowej, bo skromność kazała im wierzyć, że nie dosyć jeszcze umieją (jak to zwykle z prawdziwie

uczonymi bywa) ażeby ich imiona mogły zajaśnieć w gronie tych luminarzy, którym swe oświecenie kraj zawdzięcza.

Jednym z takich ludzi w dawnych Inflantach polskich był Karol Hołdziejewski. Urodził się on na Podlasiu z rodziców szlacheckich, zajmujących się rolnictwem na własnej glebie. Nauki pobierał w szkołach XX. Pijarów w Szczuczynie, gdzie za odznaczenie się otrzymał dwa medale od króla Stanisława Augusta, złoty i srebrny z napisem *Diligentiae*. W ostatnich latach przeszłego stulecia poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu, w prywatnych domach. Inflanty zawsze odznaczały się wśród innych prowincyj znacznym zbiorem bibliotek, jak równie też zamiłowaniem w naukach wielu wysoko ukształconych tamecznych obywateli. Domy Zyberków w *Licnie*, Borchów w *Prelach* i *Warklanach*, Platerów w *Krasławiu*, Reuttów w *Kamieńcu*, Szadurskich w *Oświeżu*, Bujnickich w *Dagdzie*, i wiele innych, posiadały bogate zbiory naukowe. Naturalną koleją rzeczy, ludzie ukształceni szukają zwykle nauczycieli dla swoich dzieci nie w przybłędach jakichś z zagranicy, ale w ludziach uczonych, moralnych i statecznych, bez względu na ich narodowość i panującą modę. Z tych powodów Hołdziejewski na początku bieżącego wieku sprowadzony został przez pisarza litewskiego Justyniana Szczytła dla nauki wnuka jego Jana Szczytła późniejszego prałata mohylewskiego i rządcy téjże archidiecezyi. Tam nasz pedagog przebywał aż do roku 1808, korzystając wiele z biblioteki miejscowej, tudzież będących w kolegium Jezuitów *Połockich* i w *Zabiałach* u XX. Dominikanów.

Po ukończeniu domowego wychowania X. Jana Szczytła, przeniósł się Hołdziejewski do Krasławia w 1808 roku jako nauczyciel młodych Platerów, gdzie zaledwie rok przebył. Dziwaczny i oryginalny w swoim postępowaniu, nie mógł zgodzić się z żywym charakterem trzech swoich uczniów; oni téż nawzajem korzystali z każdej okoliczności mogącej ich tak zwanego wówczas guwernera w śmieszność obrócić, i dlatego téż nigdy nie mogło dojść między nimi do harmonii i uszanowania, koniecznie potrzebnego między uczniami a nauczycielem. On téż niejednokrotnie przez swój pedantyzm dawał do tego powody. Tak np. mając raz urazę do swojego ucznia Józefa Platara, napisał do niego *monitorium*, w języku francuzkim, w którym były te słowa: „*Toutes les fois que vous reciter le Pater, Dieu prend la foudre pour la lancer sur vous*“ i dalej: „*Ne vous vanter pas de vous appeller Comte, Dieu a precipité du trône un Bourbon, pour y placer Murat un marmiton*“. Podobnemi frazesami napełnił całe pół arkusza, co więcej rozśmieszyło młodych chłopaków, aniżeli przestraszyło tak okropnym gniewem Pana Boga.

Nie przeszkadzało mu to jednak być gruntownie uczonym i poczciwym człowiekiem. Dlatego téż w 1809 r. a życia jego czterdziestym, pani baronowa *Felkierzamb* sprowadziła go do dóbr swoich *Kamieńca*, dla wychowania wnuka jój p. Michała Reutta, gdzie zo-

stawał aż do roku 1814 i jak wszędzie gdzie był, tak i w *Kamieńcu* dotąd imię swoje zostawił ze czcią i poszanowaniem wspominane.

W 1815 r. przyjechał do klasztoru XX. Dominikanów w *Zabiałach* dla uczenia nowicjuszków języków: hebrajskiego, greckiego, niemieckiego i francuzkiego, gdzie lat kilka zostawał. Ztamąd zaś na prośbę obywatela gubernii Mohylewskiej, marszałka Komara, udał się do jego rezydencyi w powiecie Klimowieckim dla wychowania jego synów i tam już mieszkał do śmierci, która go bardzo w późnej starości nacięła, bo żył jeszcze w 1850 roku.

Zyciu jego spokojnemu żadne nadzwyczajne wypadki nie towarzyszyły, chyba tylko (co najmniej czytelnika może interesować) że się raz był zakochał i chciał się żenić, ale ten projekt mu się nie udał. Potém chciał zostać księdzem i dlatego udał się do seminarjum w *Krasławiu*, lecz wkrótce zniechęcony ztamąd odjechał.

Imię tylko jego znane było piszącemu, jego zaś prace uczone drukiem nie rozpowszechnione, nie mogły zwracać szczególnej na siebie uwagi, a jedyny znany jego artykuł w piśmie peryodycznym Połockiem¹⁾, noszący tytuł: *Wiadomość o mieście Kosarzewie na Białej Rusi*, zbyt krótki i mało znaczący, tém mniej był zajmującym, gdyż nawet nazwisko autora przez omyłkę przekręcono. Lecz kiedy hr. Jan Tyszkiewicz tworząc birżańską ordynację zakupił cały księgozbiór od hr. Michała Borchy, wśród rękopismów znalazła się tam praca Hołdziejewskiego: *Archeologia Słowian*, dwa tomy in folio. str. 454, która dała nam poznać bliżej zasoby erudycyi, badań, głębokiej znajomości literatury starożytnej, mozolnych a znakomitych trudów Karola Hołdziejewskiego.

Pierwsza część téj pracy przekonywa, że znajomość sanskrytu nie była mu obcą, że języki hebrajski, grecki i łaciński znał gruntownie. Druga, w znacznej części oparta na dawnych kronikach rozmaitych narodów, nawet wschodnich i latopiscach staro-słowiańskich, dowodzi jaki ogrom wiadomości historycznych posiadał ten uczony badacz przeszłości i że źródła najmniej dostępne były mu znane. Co się tyczy późniejszej znacznie epoki, to dziś źródła pomocnicze ogłaszane przez towarzystwa naukowe, komissye archeograficzne i prywatnych uczonych, podobne badania znacznie ułatwiły; lecz gdy wspomnim że Hołdziejewski więcej niż przed pół wiekiem pracował i znał te źródła dziś już drukiem upowszechnione, lecz wówczas prawie jeszcze niedostępne: to mimowolnie należy oddać część temu człowiekowi, który nie zmarnował udzielonych mu przez Boga darów i uszanować zakład naukowy zgromadzenia, w którym tacy uczeni zdolności wrodzone kształcić korzystnie mogli, i gdzie czerpali siły moralne do poświęcenia się i mozolnego trudu całego swojego życia.

¹⁾ Miesięcznik Połocki, tom III rok 1818.

W *Archeologii Słowian*, gdzie i o właściwej Litwie niezapomniano jako pogranicznej ziemiom słowiańskim i ciągłymi stosunkami z tém plemieniem związanej, autor stara się rozwiązać kwestyę, a bardziej domyślać się pochodzenia dynasty panującej na Litwie, i wpada na myśl porównania podobieństwa imion litewskich książąt z innemi. Tak naprzykład:

Nazwiska królów wandalich osiadłych w Afryce: *Modygil, Gundebund, Trasimunt*; Litewskie: *Monwił, Narymund, Skirmunt*.

Królowie hiszpańscy z dynasty Wissygotów: *Sisenand—Leowigild—Rekencswind—Swintyla*; Litewskie: *Zawibund—Rygold—Swintorog—etc.*

Rozpatrując tę zajmującą pracę, a nic prawie dotąd nie wiedząc o jój autorze, udałem się do ucznia jego pana Michała Reutta, z prośbą ażeby wskazówka tego światłego obywatela, mogła mnie z życiem i pracami jego nauczyciela poznać. Wyżej wymienione szczegóły życia naszego uczonego pedagoga, łaskawie przez jego ucznia udzielone mi zostały. Co się zaś tyczy prac Hołdziejewskiego, cytuję tu własne słowa czcigodnego pana Reutta przesłane mi w liście pisanym z Kamieńca w kwietniu 1871 roku.

„Prócz języków wyżej wymienionych, łaciński posiadał jak Rzymianin, włoski łatwo rozumiał, ruski umiał; tu zaś w Kamieńcu nauczył się gramatykalnie po łotewsku chcąc koniecznie z każdym rozmawiać jego własnym językiem. Dziwnie lubił ciągle czegoś się uczyć, pamięć miał osobliwszą, nigdy niczego nie zapomniał, łatwość do języków nadzwyczajną. Za granicę kraju naszego ani stopę nie postawił. Nauki ścisłe były mu dobrze znane, ćwiczył się w nich ciągle. Matematykę i fizykę nie zarzucał, chemii po kilka razy w miarę jój postępu uczył się nawet jeszcze w podeszłym wieku. Historyk i geograf był dobry, do czego mu pamięć jego pomagała. Pracował ciągle, latem czerstwy i silny starzec biegał po polach i lasach herboryzując i uszczęśliwiony wracał gdy mu się udało znaleźć egzemplarz nie znany *Linneuszowi*, dla wzbogacenia flory krajowej, której zielnik układał.

O pracach naukowych jego wiem tylko iż zostawił po sobie w rękopismach:

- 1) Historję chińską.
- 2) Historję grecką.
- 3) Historję litewską.
- 4) Wykład allegoryów 12 prac Herkulesa.
- 5) Życie filozofów greckich z Płutarcha.

Te rękopisma były w mojej bibliotece, lecz w wypadkach 1863 r. zostały zatracone lub zniszczone.

6) Obszerny słownik polsko-grecki i grecko-polski, który powierzył do wydrukowania XX. Dominikanom Zabialskim, nie wiadomo jest co się z nim stało, lecz dotąd drukowanym nie był. O pracy swojej nad starożytnościami słowiańskimi mówił mi i; nawet niektóre wyjątki jako to: o *Sokol-horodzie* i *Kamieniu Dźwińskim* z napisem *Boże pomiluj Borysa* etc., czytał mi. Oto jest wszystko com mógł dobyć z przeżytój mojej pamięci.“

Krótką tą wzmianką o ś. p. Karolu Hołdziejewskim ze wszech miar godnym wspomnienia, niech mu służy za hołd oddany jego zasługom i za wieniec złożony na grobie człowieka, którego staraniem i nauką, otrzymało wzorowe ukształcenie wielu obywateli pożytecznie i zaszczytnie później znanych w swojej prowincyi. Prace jego lubo w znacznej części zaginione, nie zmniejszają przeto jego zasługi, i może jeszcze kiedyś dadzą się odszukać. Nie drukowane w swoim czasie należały i należą do oddziału rękopismów w księgozbiorach które zdobią. Nie śpieszyli się dawniej z ogłaszaniem dzieł swoich literaci, z tego powodu my dzisiaj posiadamy drogocenne rękopiśmienne materyały. Być może że wówczas większa była trudność wydawnictwa, i nie łatwo decydowano się na krok tak stanowczy, w części przez słuszną bojaźń ogłoszenia dzieła, które z czasem mogłoby być doskonalsze i lepiej wypracowane, a może i przez wrodzone nam odkładanie do jutra każdej ważniejszej czynności. Po naszej epoce wątpić można czy rękopisma w znacznej znajdują się liczbie. Wyleczyliśmy się z odkładania do jutra, lecz bodaj czy nie wpadliśmy z jednéj ostateczności w drugą. Każdy się śpieszy z drukowaniem zaledwie oschłych prac swoich, chociaż wyznajmy szczerze że czasem lepiej byłoby żeby się one dłużej w tece autorów zatrzymały.

E hr. Tyszkiewicz.

D-ra L. Kelnera, Pedagogika w urywkach, obejmująca sprawy szkoły początkowej i wychowania domowego, opracowana przez Zyg. Sawczyńskiego, Kraków 1872, w 8-ce str. 339.

L. Kelner pedagog niemiecki znany jest z kilku prac w swoim kierunku. Jego książka „*Pädagogik der Volksschule und des Hauses in Aphorismen*“ mimo konkurencyi tylu innych dzieł systematycznych, wyczerpujących, pisanych ze stanowiska psychologicznego i filozoficznego w ogóle na polu pedagogii, doczekała się 8-go wydania, z którego właśnie przekład polski dokonany został, — przekład dobry, potoczysty. Dopełnienia, modyfikacye potrzebne przy przeszczepianiu podobnego dzieła z giermańskiego gruntu, nie są tak liczne jakby z tytułu i z przedmowy sądzić można. Treść

dzieła odpowiadając najzupełniej tytułowi, obejmuje „sprawy szkoły początkowej i wychowania domowego“ zajmuje się najwięcej stosunkiem nauczyciela do dzieci, do ludności, jego obowiązkami, tudzież stosunkiem rodziców do dzieci, przyczém naturalnie napotykaemy wiele punktów z dydaktyki. Urywki te czytają się z zajęciem, a idealne pojęcie obowiązków osób nauczających, podniesione religijnością i miłością, wysoko stawia znaczenie i ważność tego „kapłaństwa cywilnego.“ Książka ta pomimo niektórych urywków, do Niemców się więcej niż do nas odnoszących, zasługuje na rozpowszechnienie tém więcej, że w kraju naszym stan nauczycielski i tak ważne nauczanie początkowe dzieci, są zwykle lekceważone przez rodziców. Taka książka będzie z zajęciem i pożytkiem przeczytaną nawet przez osoby wcale nie zajmujące się kwestyami pedagogicznymi, będzie właśnie przygotowaniem i zachęceniem czytelnika do systematycznych dzieł pedagogicznych, na które przecież i u nas kolój przyjść musi. Oby jak najprędzej!

Wł. N—i.

Przyczynki do krytycznego ocenienia historii polskiej Jana Długosza.

Kiedy o dawniejszych kronikarzach polskich są mniej więcej wyczerpujące monografie: o Wincentym Kadłubku praca profesora Zeissberga, o Godysławie Pasku D-ra Aug. Mosbacha, o Janku archidyakonie artykuł Kubali; kiedy w ogóle o dawniejszych kronikarzach jest wiele krytycznego materiału w Bielowskiego *Monumenta Poloniae historica*; kiedy dalej o późniejszych historykach polskich z XVI i XVII wieku, jest niejedna monografia: to o Długoszu niema dotąd wyczerpującej pracy, i zapewne na dziś jeszcze się jój spodziewać nie można. Tymczasem warto zanotować tu te przygotowawcze prace, które przyszedłemu krytykowi Długosza pracę częściowo bardzo ułatwią: mam na myśli cztery rozprawy, które winny ukazanie się trzem niemieckim uniwersytetom.

Najdawniejsza o Długoszu praca, którą tu wypada zanotować, jest habilitacyjna z r. 1863 dySSERTACJA prof. Caro, znanego autora II i III-go tomu Historii polskiej. Tytuł téj interesującej dySSERTACJI, której osnowę poniżej streszczam w krótkich słowach, jest ten: *Johann Longinus, Ein Beitrag zur Literaturgeschichte des XV Jahrhunderts, Jena 1863*. Autor w zarysach wybitnych przedstawia osobę Długosza jako jednego z reprezentantów humanizmu i autora licznych dzieł, a następnie wydaje i uzasadnia sąd o głównem jego dziele: *Historia polonica*. Wychodzi on z tych samych punktów widzenia co Roepel w I tomie historii pol. i Helcel w Starodawnych pomnikach prawa polskiego (I p. CIV), ale opinią którą ten uczony w ogólnych

więcej słowach napomknął, wypełnia dowodami i cieniowaniem, pokazując jak Długosz nadużywał dyplomatycznie stwierdzonych faktów i nazwisk do dowolnych kombinacji i fikcyj; w dalszém zaś rozwinięciu rzeczy poszedł dalej aniżeli prof. Roepell, bo kwestyonuje wiarogodność Długosza i w relacyach jego z XV wieku, choć nie przeczy, że tę epokę historii polskiej znał Długosz z dostarczonych mu zewsząd materyałów najdokładniej; sądzi jednakże autor, że Długosz w pisaniu dziejów polskich nowszych ulegał swoim politycznym przekonaniom, patryotycznym aspiracyom i klerykalnym zapatrywaniom.

Po tój rozprawie idzie w chronologiczném następstwie rozprawa doktorska R. Herdy: *Quaestiones de fontibus quibus Dlugossus usus sit in componenda historia polonica, in disputationem adhibito libro decimo, Vratislaviae 1865*. Autor dochodzi źródeł Długosza księgi X i na podstawie bardzo szczegółowych poszukiwań przychodzi do takiej o Długoszu opinii (str. 3): Jakkolwiek ujemne i słabe strony ma historia Długosza, w tém że nie spożytkował całkowicie materyału bogatego, który miał pod ręką, i że korzystał z niego bez krytyki, to przyczyna tego jest raczej w niepomysłnych warunkach wieku, w którym żył, nie zaś w złej intencji, jak niektórzy sądzą, i w nieuczciwej chęci interpretacyi. Niema niczego w jego dziele, do czegooby dowodów nie był znalazł w źródłach, a jeżeli nie wszędzie wytknął wady narodu i jego kierowników, i nie wszędzie uznał cnoty w nieprzyjaciółach kraju swego, to mu przebaczyć można przez wzgląd na to, że pisał historią polską „na chwałę narodu swego“. Po takim zagajeniu rzeczy przystępuje autor do przeglądu źródeł Długosza w dziesiątej księdze i wymienia głównie trzy: Aeneasa Sylviusa historią czeską, Wiganda historią zakonu z niemieckich wierszy umyślnie dla Długosza na łączną tłumaczoną roku 1464, i Janka archidyakona gnieźnieńskiego kronikę; ale oprócz tego Długosz także zaglądał i w inne źródła, z których datę lub nazwisko poprawiał, lub wiadomości uzupełniał, korzystał także z ruskich źródeł, nauczywszy się na stare lata języka ruskiego, i wreszcie korzystał z tradycyi i powieści mających obieg. Za źródłami swojemi idzie często dosłownie, jednakże treść w nich często inaczej w lepszy ład pragmatyczny układa, bardzo często też zakrzymując rzecz z swego źródła, słowa tylko, szyk ich i powiązanie zmieniał, o ile tego wymagała elegancya stylu. Rezultat swoich poszukiwań podaje w końcu D-ra Herda na trzech ostatnich stronach, zestawiając strona po stronie ustępami, co i ile Długosz wziął z trzech głównych swoich źródeł.

Dr. Herda wyszedł ze szkoły profesora Roepella, podobnie Dr. Förster, który napisał dySSERTACYĄ doktorską pod tytułem: *Vladislaus Jagiello II, rex Poloniae et Hungariae, ex fontibus ac documentis adhuc ignotis illustratus. Vratisl. 1871*. Choć tu chodzi o wyjaśnienie ważniejszych faktów panowania Władysława Warneńczyka, wedle źródeł drukowanych i wedle kilku drobnych nieznanych rękopiśmiennych, to jednakże znajdujemy tu także przyczynek do

krytyki Długosza. Autor w pierwszej części swojej obszerniej i sumiennej rozprawie mówi o źródłach, z których czerpał i na str. 9—15 poświęca długi ustęp Długoszowi i wykazuje w równoległych zestawieniach, że Długosz czerpał z Aeneasa Sylwiusa listów i historii czeskiej, chociaż w ocenieniu wypadków ma swoje własne zapatrywanie. Na podstawie szczegółowych porównań dochodzi autor do tego przekonania, że Długosz jest wiarogodnym i pożądanym źródłem od pierwszych lat panowania Władysława Warneńczyka aż do koronacji na króla węgierskiego: odtąd traci jego relacya na wartości i w historii wojny tureckiej za źródło służyć nie może, bo pobieżnie tylko powtarza wieści o losach króla i wojska posłyszane od wracających Węgrów: zresztą w tej części swojej historii Długosza widać jego stronność. Ogólny sąd o Długosza historii mianowicie o dziesięcioleciu 1434—1444 wypadł korzystnie, autor bowiem tu domyśla się czerpania z pamiętników Zbigniewa Oleśnickiego.

Nieco późniejsza jest rozprawa D-ra Girgensohna: *Kritische Untersuchung über das VII Buch der Historia polonica des Długosch. Göttingen 1872*. Jestto praca sumienna i dokładna w rodzaju pracy D-ra Herdy, bo autor ustęp po ustępie w opowiadaniu Długosza z roku 1241 do 1294 rozbiera, i niejako chemicznie rozkłada, wykazując co jest ze źródeł wzięte a co tylko samego Długosza amplifikacyą. To jest treścią str. 14—92. W końcu dodano kilka ciekawych wiadomości, udzielonych przez profesora Zeissberga o nieznanych żywotach ś-go Jacka, ś-jej Salomei i ś-jej Kingi; na początku zaś (str. 1—13) jest wstęp ogólny o Długoszu. Sąd o tym historyku wypada, jak tu znowu widać, tém niekorzystniej, im rychlejszą kto epokę w księgach Długosza podda specyjalnej krytyce. Długosz odległe czasy ożywiał po swojemu. Autor zamyka sąd swój o XII księdze Długosza w tych mniej więcej słowach; że Długosz bez wahania opowiada zmyślane powieści, jak dowodzi powieść o napadzie Tatarów z roku 1241, ale mniej takie powieści dziś szkody czynią, więcej zaś skażenie (Entstellung) źródłowych relacyi, którego się Długosz dopuszczał, częścią przez skłonność do rezszerzania i kolorowania krótkich annalistycznych wiadomości (jak Liwiusz), częścią zaś rozmyślnie w interesie narodowym. Tamto (amplifikacya) widoczne jest wszędzie, gdzie za źródło posłużyły lakoniczne rocznikarskie zapiski, na rozmyślnie zaś ubliżenie prawdzie przywodzi autor: przykład o testamencie Gryfny, gdzie Długosz wedle zdania Pałacznego (Gesch. Böhm.), Fiedlera (Böhmens Herrschaft in Polen) i autora samowolnie opowiadanie Putkawy przeinaczył. Słusznie autor na końcu ogólnych uwag swoich o VII księdze Długosza powiada, że wartość jej jako źródła historycznego jest bardzo mała. Można tylko na jej tekście tam polegać, gdzie Długosz podaje całkowity tekst dyplomatów, i gdzie Długosz widocznie miał jakieś źródło historyczne nam dziś nie znane, co jednakże nie zawsze jest łatwą rzeczą, wy-

miarkować. Szkoda, że liczne błędy drukarskie utrudniają czytanie tej bardzo pożytecznej rozprawy. N.

Laurentius Goslicius ejusque opus De optimo Senatore. Napisał Roman Łopiński. Halle 1872.

W dyssertacji tej napisanej z okazji promocji doktorskiej opowiada młody autor w wyczerpujących zarysach o kształceniu, losach i awansach w zawodzie dyplomatycznym i duchowym znanego biskupa i literata z XVI-go wieku, Wawrzyńca Goślickiego, kreśli jego charakter i mówi o jego dziele: *De optimo Senatore: Venetiis 1568*, krótko i zwięźle, przytaczając jego treść i odsłaniając duchową i stylistyczną zależność od Platona, Cyncerona i Seneki. Prof. krakowski Münnich zaciekał był kiedyś filologów twierdzeniem, że Goślicki miał w rękę manuskrypt Cyncerona o rzeczypospolitą, i z niego korzystał tak, że dzieło o senatorze może posłużyć do restytucji tekstu Cyncerona. Była to fałszywa kombinacja jednego miejsca u Müllera *Polnische, Liefländische etc. Geschichten 1586* i kilku niejasnych słów samego Goślickiego. Porównanie Goślickiego z fragmentami Cyncerona *de republica* przekona każdego, że zaciekawiająca konjektura Münnicha była bez podstawy, jak to już r. 1825 i 1826 w Göttinger Gelehr. Auf. Jahn's Jahrbücher i t. d. spostrzegano (str. 47).

Goślicki należy do szeregu politycznych pisarzy w Polsce, mało ocenionych, bo z małemi wyjątkami nie ma skłonności do zajmowania się tą literaturą. Praca p. Łopińskiego jest z tego powodu pożądana i może będzie zachętą do innych prac z tego zakresu: byłaby może rzecz pożyteczna i pouczająca zwracać przytém uwagę na to, w jakim stosunku stoją ci pisarze polityczni przez szkła autorów klasycznych patrzący na stosunki polskie do poprzedników i następców swoich: Goślickiego Senator jest współczesny Orzechowskiego Policyi r. 1566, który rzecz także nawiguje do wzorów starożytnych i od nich zapożycza motywów i argumentów. Podobnie i później nawet i gorący Kasper Siemek, autor dzieła *Civis bonus* r. 1632. N.

Dziesięć lat w Australii, przez Sygurda Wiśniowskiego, w dwóch częściach. Lwów, 1873.

Po powieściach za którymi tak publiczność goni, najbardziej zajmują czytelników podróże. W powieściach charaktery, stosunki towarzyskie, przygody, gra namiętności i tajniki myśli, wszystkie sprężyny woli człowieka sterujące ku moralności, ku praktycznemu

życiu stanowią zwierciadło, w którym ludzie sami się sobie przypatrują. W podróży przesuwają się cuda ziemi, siły człowieka w walce z przyrodą, zdobycze oświaty i cywilizacji, okolice nieznanne, ludy nieznanne, rzeczywistość o jakiej sny najpotężniejszej fantazji najmniejszego nie mogły dać obrazku, a wszystko przekonywujące, że na całej kuli ziemskiej jedynie człowiek w pośród milionów żyjątek, wisi sam w górnej strefie jako ogniwo pomiędzy ziemią i niebem. Podróże, to znakomite bogactwo dla wiedzy ludzkiej. Bardzo mało mamy dobrze pisanych podróży, do takich przybywa ciekawy nauuczający: Opis dziesięciu lat pobytu w Australii p. Wiśniowskiego. Najmłodsze lata życia z szczególną wytrwałością poświęcił autor na zwiedzanie najodleglejszych kończyn świata. Jedna myśl zawsze podzielała go na te wędrówki, a myśl tę tak podaje:

„Wielu ludzi podróżuje dla zarobku, inni dla ciekawości zwiedzenia muzeów, galeryi obrazów, pałaców nowoczesnych lub gruzów przeszłości. Ja włożyłem się przez większą część życia mego po świecie, niepowodowany takimi pobudkami. Choć arcydzieła sztuki teraźniejszej i przeszłej bardzo mnie zajmują, nigdy atoli jeszcze nie zboczyłem z méj drogi w celu obejrzenia ich tylko. Gdy los mnie zawiódł do Włoch lub Francji, gdzie arcydzieła na każdym spotyka się kroku, to chętnie na nie patrzyłem; lecz wolałbym wyłożyć tysiące na poznanie Kordillierów, Sahary lub Chin choćby pieszo, jak za kilkaset złotych spacerowem i pociągami zwiedzać Europę. Cuda przyrody, pokłady geologiczne gór mało znanych, burze morskie i zwyczaje nieokrzesanych narodów, dziwny miały zawsze dla mnie urok. Ileż to razy życzyłem sobie posiadać geniusz Humboldta lub téż taką wytrwałość, jaką ma Lewingston ażeby rozpocząć podobne podróże i prace; gdy atoli zbywało mi na tych przymiotach, nie pozostało mi nic jak zwiedzanie dostępniejszych okolic jak najtańszym kosztem. Obdarzony zdolnością szybkiego uczenia się obcych języków, które później w braku ćwiczenia również szybko zapominam i oswajam się z każdym klimatem, oraz sposobem życia, nie trudno mi było zasiąść w kuczki razem z Turkami i jeść palcami ich pilaf, karmić się w Neapolu polentą, na żagłowcu angielskim pić rum w gronie majtków i pomagać im w manewrach okrętowych; z australiskim murzynem tropić byka lub konia, a z tłustym naczelnikiem jakiegoś malajskiego pokolenia, na wyspach Spokojnego Oceanu, na znak braterstwa trzcć wzajemnie nosy i biesiadować około ogromnego ognia, jedząc wieprzowinę pieczoną na węglach. Bawiło mnie utajenie uczuć i zwyczajów wykształconego świata i spotkanie się z wół dzikim ludem, pomiędzy którymi chytróść lisia i siła fizyczna, uważane są za główne zalety. Najuczeńszego Europejczyka wywiadał oni tam w pole, gdy mu braknie tych darów.“

Podróżnik wypłynął z Anglii, minął wyspy Kanaryjskie, Madere, Teneryffe, przebył równik, opłynął przylądek Dobrój nadziei, przez Ocean Indyjski dostał się do Sydnój portu Jackson i po dziesięciu

latach pobytu w Australii puścił się przez Ocean Spokojny do Nowej Zelandyi, ominął przylądek Horn, przebył Azory i wrócił do Anglii. Tym sposobem opłynął całą kulę ziemską. Na przestrzeniach morskich bez granic, widoki malownicze wrywają mu z duszy opisy tchnące poezją, jak naprzykład:

„Nigdy nie zapomnę pysznych nocy podzwrotnikowych! Morze czyste jak zwierciadło, wydaje się jakby było w płomieniach; ryby latające porywają się z jego łona i wznoszą tak wysoko, że nie jedna i na pokład spadnie. Nautilus (mała koncha mająca kształt czółna) rozpina po jego powierzchni swój żagielek utworzony z przezroczystej błonki. Księżyc tak świeci jasno, że najdrobniejszy przedmiot ujrzysz na oceanie. Firmament dziwnie pięknego błękitu nad głową, okryty jest tysiącami gwiazd. Patrząc w stronę północy ujrzysz znaną ci wstęgę mlecznej drogi i gwiazdę biegunową nisko nad horyzontem północnym, a blisko niej wóz Dawida mierzy dyszlem w zenit: na południe świat gwiazd nieznanymi mieszkańcom Północy. Chmury Magellana i krzyż południowy wskazują kierunek, w którym złota leży Australia, grono świetnych konstellacyj otacza te główne ozdoby południowego nieba. Widząc gwiazdy obu półkuli myślisz, że już cały świat ujrzałeś i korzysz się mimowolnie przed Stwórcą tych cudów; tym czasem chór majtków śpiewających hymn poważny na przodzie okrętu dolatuje twego ucha i napełnia dusze marzeniami.“

W Australii nie odstępuje go nigdy gwiazda jego przewodnia, to jest praca, przytomność umysłu i żelazna woła. Temi łamie wszelkie trudności z rozmaitem szczęściem. Już się dobija dostatku, znowu wszystko traci: po obfitości i wygodach następuje nędza i głód; często niebezpieczeństwo, które śmiercią grozi: zawsze jednak wytrwały podróżnik cierpi spokojnie, używa rozmaitych środków i wydobywa się z przygód szczęśliwie. Z kolei jest wyrobnikiem, majtkiem, buchalterem, sklepowym, górnikiem, kopaczem węgla, kopaczem złota, osadnikiem, pasterzem owiec, dziennikarzem współpracownikiem pisma górniczego w języku angielskim pod tytułem: Górnik Ravenswoodu, mówcą, improwizatorem i t. d. Opowiada szczegółowo wszystkie sceny życia swego. Opisuje Australią i niektóre wyspy Polinezyi, przyrodę i ludy tameczne; lecz opisuje to tylko co sam widział i o czém sam się przekonał. Terazniejszy stan kвітnacicy australskich osad angielskich rozwija się przez napływ Europejczyków i przez samorząd nadany tym krajom a zapewniający swobodę, sprawiedliwość i kredyt. Mieszkańcy jednym interesem związani z Anglią jednoczą się z nią coraz ściślej a rodzinę królewską czczą i kochają jako źródło szczęścia swego. Autor był obecny wówczas w Sydnėj, kiedy O'Farrell fanatyk polityczny spełnił zbrodnię targając się na życie księcia Edyburgu i ten wypadek tak opisuje:

„Dwaćroć stotysięcy obcych przybyło do Sydnėj na przyjęcie syna królowej. Większa część gości koczowała w namiotach wśród parków. Illuminacye, festyny, bale, wycieczki i polowania w okoli-

cy miasta uprzyjemniały księciu pobyt w Sydnej i dowiodły lojalności Australczyków ku matce Anglii. Wizyta księcia Edyburgu była pewnego rodzaju poselstwem od Anglii do odległych kolonij. Znany jest smutny wypadek, który zakończył te uroczystości. Na pikniku, z którego dochód miał pójść na szpital dla marynarzy, w chwili gdy książę składał bardzo hojny datek na korzyść tegoż szpitala, pewien fanatyk irlandzki zbliżył się do niego i strzałem z rewolweru ranił tak niebezpiecznie, że o życiu księcia wątpliwo. Przybywszy w kilka minut po strzale na miejsce wypadku, patrzyłem jak rozścieklony tłum rzucił się na zbrodniarza i omal go nie rozszarpał, jak kobiety mdlały na wieść, że książę kona, jak starzy ludzie załamywali ręce i płakali nad hańbą, która spadła na dobrą sławę Australii, kraju w którym jak u nas prawa gościnności są święte. „Wówczasto prawa drakońskie spadły przeciwko stowarzyszeniu fenianow, chociaż dotąd istniało spokojnie z wiedzą rządu, żaden bowiem nie irlandczyk w Australii nie uważał je za godne uwagi.“

W téj ludności zebranej ze wszystkich części świata, tolerancya religijna i wzajemna sympatya zadziwia. Podróżnik nasz przytacza:

„Sekt w Sydnej co niemiara. Anglikanie tworzą trzecią część ludności i mają metropolitę, któremu inni biskupi australscy winni są posłuszeństwo. Katolików pochodzenia irlandzkiego prawie tylu co anglikanów. W prowincyi New-South-Wales ludność katolicka wynosi 200,000, ma pięciu biskupów, a Wiktorya trzech. Arcybiskup Polding zarządza kilkunastu dyecezyami. Szkoci i metodyści tworzą także silne stowarzyszenie religijne. Prócz tego znajdują się tu kościoły kwakrów, baptystów, unitaryuszów, deistów i t. p. Nowe sekty wyrastają jak grzyby a niedawno pewien pastor anglikański założył sektę wolnych anglikanów.

W Sydnej piękną kościół Panny Maryi z rzeźbami w drzewie, dobrego dłuta służył za katedrę katolicką, lecz niestety spłonął w roku 1867. Na chlubę Australii wspomnę, że wszystkie sekty podpisały z ochotą składki na odbudowanie tego gmachu katolikom. Złożono już blisko 100,000 funtów i będzie to najpiękniejszy kościół w Australii.“

„Wszystkie wyznania żyły w świętej zgodzie, aż wypadki polityczne pokłóciły protestantów z katolikami, a ambicya duchownych obu stron zamieniła dotychczasowy raj w piekło“.

Donosi autor że i na wyspach Polinezyi pomiędzy missyami podobna zjawia się niezgoda, obudza namiętności i niweczy prace nawracania bałwochalców. „Nikt pewno bardziej nademnie, mówi pan Wiśniowski, nie czci owego pastora angielskiego lub jezuitę, który porzuciwszy wygodny dom i zacisze klasztoru daży jako prawdziwy missyonarz na wyspy oceanu Spokojnego i tam naraża swe zdrowie i życie za wiarę Chrystusa. Znam trudy i niebezpieczeństwa tego zawodu, bo własnemi na nie patrzałem oczami; lecz

dlatego właśnie że patrzałem na wiele poświęceń, umiem potępić liczne bezprawia a krzyczące do nieba o pomstę. Któżto nauczył jedną połowę mieszkańców wysp Polinezyi bardziej nienawidzić rodaków swoich innego wyznania chrześcijańskiego nie bałwochwalców? Missyonarze zakonu Jezusowego. Kto opisał drugiej połowie zepsucie Europy, bezprawia pasterzy związanych celibatem, kto szczepiąc pogardę ku katolikom zaszczerpił pogardę wiary chrześcijańskiej, jeżeli nie missyonarz protestancki? Zazdrość o chleb i współubieganie się zrobiło z najświętszego powołania arenę, na której apostołowie dwóch przeciwnych wyznań, nawracają pogan nie do religii Chrystusa, ale do religii uczącej nienawiści ku wyznawcom co w inny sposób chwala Boga. Dlategoto dawniejszy Japończyk wygnał jezuitów i pastorów angielskich i holenderskich mówiąc do nich: „Przekonajcie się wprzód w domu, która z waszych religii jest prawdziwą, a potem wróćcie tu do nas i będziecie nas jęj nauczali. Intrygi wasze i spory, podżeganie neofitów jednej sekty przeciw drugim, zaburzają porządek i ład w spokojnym kraju; zakazujemy więc nauczania wiary, która doprowadza do takich skutków.“

Dziwi się autor nad różnaitością ludów jakie spotykał w Australii, nad nadzwyczajnymi różnicami plemion i przy téj okoliczności mówi: „Co jeden uważa za cnotę, innemu zdaje się występkiem; co jest śmiesznością u nas, w Australii nie razi nawet Europejczyków. Darmo tworzą teorye, wymyślają doskonałe formy rządu, przekonują logicznemi pismami o prawdziwie najświętszych, najwznieślejszych myśli; wszystkie te nauki będą głosem wołającym na puszczy, jeśli sprzeciwiają się przyzwyczajeniom ludów i osób. To co smakuje mojemu podniebieniu, wydać się może goryczą bratu memu. Tak samo zwyczajne doskonałe jednych narodów, zdają się niedorzecznemi dla drugich.“

Z pośród wszystkich ludów Australii, pan Wiśniowski najstaranniej opisał Chińczyków, z którymi razem żył i pracował i Murzynów australskich u których długo przebywał. Chińczyków uważa za wzór niez mordowanych pracowników. Chińczyk pracuje dzień cały i nie zmęczy się nigdy, ale jak woda spadająca kropla po kropli skruszy skałę, tak i on dokazuje cudów swoim powolnym lecz wytrwałym sposobem pracowania. Lecz jakież cel pracy Chińczyka: oto miłość pieniędzy, opium, wygodki, szulerstwo i wyuzdana rozkosz. Pzyjaciela autora Chińczyk Ah-Sung zwierzył mu się „że gdy tysiąc funtów nazbięra z pracy, to poszuka sobie żony Angielki, bo Angielka—mówił—lubi dolary. Ja mam tysiąc funtów, ja już nie Chińczyk, nie stary, nie brzydki. Kupię Angielce jedwabne suknie, złoty zegarek a ona pójdzie za mnie; Chińczyk nie jest podobny do białego człowieka, nie pozwoli więc aby żona jego pracowała cały dzień. Żona siedzieć sobie będzie na kanapie, gdy mąż będzie zamiatął, prał i gotował. Żona pani, więc nic robić nie powinna, wię o tém Angielka i dlatego lubi męża Chińczyka“.

Zupełnie inne mają przekonania Murzyni australscy, pierwotni mieszkańcy tych krajów. Pan Wiśniowski długo przebywał u nich, błąkał się z temi pokoleniami, zaprzyjaźnił się z niemi, nauczył się ich mowy, poznał ich obyczaje, zwyczaje i życie. Murzyni australscy przeciwnego chcińcykom są zdania. Zajmują się polowaniem i rybołówstwem jako zabawą a pracę uważają za nieszczęście. Autor przytacza, iż Murzyni ci utrzymują, że ciężka praca białych jest dowodem ich głupoty. Biały i wół pracują bo nie mądrzy, czarny i dingo (pies) mają rozum i nic nie robią, że czarni mają pełno jada w lesie. Czarny wykopie węza z jamy, utnie mu głowę i zje go; tylko wtenczas nie ma jada gdy deszcz wielki.

W Australii autor nasz spotkał żyda ze Lwowa handlującego zegarkami, częściej napotykał wspomnienia i nazwiska rodzinnego kraju. I tak pragnąc nabyć przestrzeń pewną ziemi na fermę dla siebie, u komissarza rządowego przeglądał mapę i ze zdziwieniem wyczytał: District County and Town Czarnogora (Obwód, hrabstwo i miasto Czarnogora). Z ciekawością pytał z kąd się nazwa taka wzięta; wtenczas komissarz powiedział mu:

„Count Strzelecki (Strzelecki) sławny górnik, geograf, geolog, odkrył tu pierwsze kopalnie złota. Mądry to był człowiek! on i towarzysze jego także Polacy, kopali tu długi czas i dokopali się tysiocy, i tak dobrze się kryli, żyjąc li zwierzyną leśną, że choć mnóstwo górników szukało ich, nikt ich nie znalazł. Na rok przed odkryciem Czarnogóry Strzelecki badał góry Śnieżne czyli południowy łańcuch gór Niebieskich. Wynałazł źródła rzeki Murray i najwyższą górę w Australii mającą stóp 6,300, którą nazwał „Mount Kostiosko“ (góraj Kościuszki).

W zachodniej Australii w górach tworzących szereg szczytów jak piramidy egipskie i ztąd nazwanych Piramidami, wędrowiec nasz odkrył dość obfitą kopalnię złota, która nazwaną została New-Warsaw Nową-Warszawą.

Pan Wiśniowski napotkał także i rodaczki własne, których tam nie wiele. „Niedawno, mówi, przybyły tam trzy panny Zawistowskie, aktorki i baletniczki, za któremi publiczność tamtejsza przepadała. O jednej z nich jakiś kupczyk w Ballart zaczął rozsiewać rozmaite plotki. Skrzywdzona napotkała go na ulicy i własnoręcznie harapem obita. Kupczyk zaskarżył ją do sądu i żądał „Schmerzgeldu“ jako Niemiec. Adwokat występujący w jej obronie, tak czule przedstawił brak opieki mężkiej nad trzema nieszczęśliwymi dziewczycami i ogromną obelgą zrządzoną tym dziewczicom plotkami kupczyka, że sąd skazał pannę Emmę Zawistowską tylko na szylinga kary. Adwokat kazał wnieść ogromny wór miedziaków a pigmna i odważna panna Emma wyliczyła 48 fardingów (farding tyle co cent austriacki) do rąk pokrzywdzonego bohatera. Proces ten bawił publiczność australską przez dni kilka“.

Opis pobytu w Australii składają wypadki ciekawe, wiadomości najświeższe z urzędzeń tamecznych i z życia tak odległych krain brane, spostrzeżenia trafne; dlatego pracę pana Wiśniowskiego zalecamy jako dziełko zajmujące i pożyteczne.

A. J. S.

Wystawa powszechna w Wiedniu.

I.

Wystawa powszechna wiedeńska, niby już otwarta oficjalnie d. 1 maja, trwać będzie do listopada, t. j. całe pół roku. Niby otwarta powiadam, bo otworzono ją 1 maja dlatego tylko, że zgóry tak było zapowiedziane, ale wtedy nic jeszcze zgoła nie było wykończonych i czém ta wystawa być może jeszcze nie było widoczném. Nietylko wtedy, ale w połowie czerwca jeszcze wiele, wiele, pozostawało do zrobienia: nie mało budowli i gmachów było nie wykończonych i zamkniętych dla publiczności, wiele skończonych w połowie, albo chociaż otwartych, to z nieuporządkowaną wewnątrz wystawą przedmiotów. Wszędzie na całym placu wystawy widać było krzątających się robotników, wiele posągów zdobiących place wystawy zaledwie było zaczętych i w każdej stronie widzieliśmy, że temu przypawiają nogi, ręce, tamtemu głowę; tę znakomitość skrobą, szlifują, tamtę malują... Nawet Göthe, ta największa chluba narodu niemieckiego, przed pałacem sztuk pięknych stał jeszcze skromnie na piasku, czekając swojego wyniesienia, bo jeszcze postument nie był zrobiony.

Na wystawie sztuk pięknych nieład wielki, bo chociaż obrazy już uporządkowano w głównych salach i wszystkie były na miejscu, jednakże kilka mniejszych sal było jeszcze zamkniętych, a we drzwiach napiętrzone paki broniły wejścia. Sprzedawano już katalogi oddawna objaśniające znaczenie każdego numeru, ale numerów na obrazach przybitych nie było i katalog w rękę był natenczas rzeczą nie użyteczną; w oddziale zaś Niemiec numeru były przybite wszystkie, ale nie było katalogu. Przybijano numeru tak leniwie że zaledwie wciągną ogromne drabiny i zaczną robotę, aż tu już i kończą spracowani, odkładając resztę na czas późniejszy tak, jak gdyby pośpiech nie był potrzebny i rozpoczęcie wystawy było jeszcze dalekiem.

Widać niemiec austriacki jakoś niepodobny do prawdziwego niemca, stracił zwykle przypisywane temu plemieniu przymioty pilności i wytrwałości w pracy. Słowianie zaś austriaccy przeciwnie, zmienili się widać ku lepszemu, bo czesi przynajmniej, jak to zobaczymy, bardzo świetnie się prezentują prawie we wszystkich działach przemysłu, dowodząc wielkiego postępu w systematycznej pracy.

W głównym pałacu wystawy (Industrie palast) wiele rzeczy jeszcze nie było urządzonych w półtora miesiąca po jego otwarciu. I tak: Portugalia zaledwie zaczęła się szykować; nad wystawą miasta Lyon był tylko napis wywieszony, a w środku tylko stolarze krzątający się około szaf wystawowych. Nawet Anglicy w tym czasie nie byli w porządku i w pierwszej na lewo galerii od wschodniego portalu, dopiero zaczęli się rozpakowywać. Oddział wschodni także nie zupełnie uszykowany, chociaż już nie wiele zostawało do zrobienia, jak również w oddziałach: francuzkim, włoskim, austriackim. To samo i w głównym pałacu maszyn (Maschinen-Halle) część tylko uszykowana i działała codziennie, resztę spodziewano się ustawić przy końcu czerwca, w którym to czasie cesarz rzeczywiście otworzył uroczyste wystawę maszyn. Sądząc z tego jak było dotąd, prawdopodobnym się zdawało, że po uroczystym zwiedzeniu robota i uporządkowanie nadal trwać będzie. Dotąd przynajmniej cesarz nie zwiedził ani jednego działu wystawy skończonego zupełnie, tylko zwiedzał nie czekając końca dla zmuszenia do pośpiechu. Bez tego pośredniego nacisku ze strony cesarza i innych znakomitych gości, wszystko byłoby zupełnie skończonem zaledwie 1 listopada.

Wiele bardzo wystawców zniechęciły te wszystkie niepowodzenia ostatecznie, co łatwo da się zrozumieć, jeżeli dodamy jeszcze że dyrekcya nie pozwalała początkowie wchodzić bez płatnego biletu robotnikom i pomocnikom wystawców, że wielu nie mogło swoich pak z towarami odszukać, że nieraz długo musieli kołatać nim dostali miejsce dla swoich przedmiotów i t. p.

Wiadomości o tych nieporządkach i wygórowanej drożyznie w Wiedniu, zniechęciły cudzoziemców tak dalece, że w bardzo małej liczbie odwiedzali Wiedeń i pełno mieszkań w hotelach i domach prywatnych stało pustkami, czekając jak napięta pajęczyna na zagraniczne muszki.

Kto dla zaspokojenia ciekawości, lub też w wyraźnie określonym celu chce zwiedzić wystawę, ma jeszcze na to czas wielki i czém później się tam uda, tém więcej będzie pewności że znajdzie wszystko ukończonem.

Oprócz wystawy głównej urządzają się jeszcze wystawy dodatkowe i tak: od 1 do 10 maja wystawa kwiatów i owoców z cieplarni; od 31 maja do 9 czerwca miała miejsce wystawa bydła, owiec, świń; od 15 do 25 czerwca, od 20—30 sierpnia, od 18—23 września, wystawa kwiatów i owoców; od 18 do 27 września wystawa koni, drobiu, gołębi, psów, kotów, ryb i t. d., od 21—23 września wyścigi międzynarodowe, od 1 do 15 października wystawa ze szkótek owocowych i uprawy wina, od 4—6 października wystawa dzicyzny; od 27 czerwca do 2 lipca już miała miejsce próba żniwiarek i kosiarek w Leopoldsdorf za Wiedniem, gdzie przeznaczono na to 200 morg pola. Oprócz tego odbywały i będą się jeszcze odbywać próby pługów parowych

i innych narzędzi rolniczych, i próby żniwiarek i kosiarek także mają się jeszcze powtórzyć.

Oprócz tych co z obowiązku muszą być na wystawie od początku do jej zamknięcia, nikt zapewne nie będzie miał ochoty ani możliwości przez całe półrocze być w Wiedniu obecnym na wszystkich dodatkowych wystawach, w różnym czasie po kilka dni tylko trwających.

Wszystkie wystawy dodatkowe dotyczą przede wszystkim rolnika i wchodzą w zakres jego przedmiotu, będą zatem obszerniej traktowane w „Przeglądzie wystawy wiedeńskiej“ wydawaną przez pp. Zygmunta Jaroszewskiego i L. Dąbrowskiego, ze współpracownictwem innych osób, do którego to wydawnictwa bardzo pracowicie zbierają się wiadomości, o czym na miejscu miałem się sposobność przekonać i czuję się w obowiązku powiadomić o tym czytelników „Biblioteki Warszawskiej.“ Przystępna cena tego wydawnictwa (3 rs.) widocznie jest obliczona na większą liczbę prenumeratorów, co jest pożądaną dla stron obu, ponieważ przy ich powiększeniu się, wydawnictwo się rozszerzy i ilość drzeworytów powiększy.

Po więcej szczegółów o wystawie byłem odsyłać czytelników do „Biblioteki Rolniczej,“ gdzie będzie pomieszczonem także, szczegółowe sprawozdanie o próbach maszyn i narzędzi rolniczych, przez bawiącego w Wiedniu, wyłącznie w tym celu wydelegowanego przez redakcją.

Mojem staraniem będzie podać tu ogólne o ile możności dokładne wyobrazenie o wystawie powszechniej, uwzględniając głównie stanowisko ekonomiczno-przemysłowe naszego kraju i podając wiadomość o tych, co w kulturze i przemyśle fabrycznym stanęli najwyżej w każdej gałęzi, i mogą nam służyć za wzór do udoskonalenia własnych krajowych wyrobów. Obok tego postaram się nakreślić ogólną charakterystykę wystawy, przedstawić jej fizyognomię zewnętrzną, zrobić wykaz porównawczy postępu przemysłowego różnych krajów i opisać jej ciekawości, unikając starannie działania na wyobraźnię w ten sposób, ażeby ją pobudzać do fantastycznych zbyt wygórowanych wyobrażeń, w celu większego zainteresowania czytelnika. Nie idzie tu o fałszywe przedstawienie rzeczy, owszem można podawać prawdziwą, a jednak z góry rachować na swobodne puszczanie wodzów wyobraźni i przez to zaszkodzić prawdzie. Tak np. zdarza się czytać o tym zaczarowanym Wschodzie pełnym cudów i dziwów, prezentowanym po raz pierwszy w obszernych rozmiarach na wystawie wiedeńskiej, co jest jej charakterystyką, o tych świątyniach, haremach Wschodu i t. d. Jednakże, chociaż rzeczywiście po raz pierwszy Wschód się prezentuje na obecnej wystawie w rozmiarach szerszych nierównie, jednak w nim zaczarowanych dziwów i fantastycznych cudów nie wiele, jak to przy szczegółowszem jej opisanu zobaczymy.

Wystawa wschodnia jest pouczającą, może i bardzo nawet,— nic więcej, chociaż i tego już dość jest zapewne.

Unikając przesady i jednostronności, ile razy przedstawię ujemną stronę przedmiotu, postaram się zaraz dla sprawiedliwszego zrównoważenia rzeczy przedstawić jego stronę dodatnią. Tak więc, powiedziawszy na początku o nieporządkach na wystawie, opieszałości i dziwném opóźnieniu wszelkich robót, dodaję, że chociaż wiele jeszcze dziś jest do zrobienia, jednak w porównaniu z tém co już było prawie gotowém w połowie czerwca, jest to rzeczą nie wielką i ażeby się czytającemu o nieporządkach nie zdało, iż może z racyi tych nieporządków wystawa zrobiła zupełne fiasco, zrobię tylko uwagę, że jeżeli świat cały usiłuje przedstawić wszystko co uważa za najlepsze i najgodniejsze uwagi; jeżeli skupia w jednym miejscu taką masę rzeczy, musi tam być bardzo wiele przedmiotów nauczających i godnych widzenia. Kto zaś chciałby utrzymywać, że wystawa jest tylko wielką reklamą, miałby tylko w części rację: jest nie jako reklamą do pewnej miary i każda wystawa nią być musi zawsze, ale to nowość naszego wieku. Wystawa powszechna ma wielki cywilizacyjny charakter, charakter pojednania ludów, współnictwa w pracy, wzajemnej zamiany pomysłów, gustu, udoskonalenia techniki, czém nasz wiek realny, wiek wynalazków, za pomocą wystawy powszechnej dzieli się ze wszystkimi ludami świata, ujawniając wszystko, co cywilizacya zdobywa w przyrodzeniu dla pożytku i wygody.

Teraz przystępując do szczegółów i właściwego opisu, zacznę od przedstawienia zewnętrznego pozoru wystawy:

Pomiędzy miastem a nowém korytem regulującego się Dunaju, jest park ogromny, przerznęty trzema pięknymi alejami, ulubioném miejscem spacerów i przejażdżek całego Wiednia. Wszystkie trzy aleje wychodzą z jednego punktu na placu zwanym Prater-Stern, położonego na końcu jednej z główniejszych ulic Wiednia, Prater-Strasse. Dwie z tych alei prowadzą bezpośrednio do placu wystawy, znajdującego się na tak zwanym dolnym Praterze. Plac ten wystawy jest prawdziwie wielki, bo zajmuje przestrzeni 2,339,631 metrów kwadratowych, zatem przeszło o pięć razy więcej niż ostatnia Paryżka na Polu Marsowém, o czém często głoszą tak, jak żeby to już znać miało, że Wystawa Wiedeńska przybrała znacznie większe rozmiary od swoich poprzedniczek, a przecie tak nie jest, bo obszar placu jeszcze nie wiele stanowi, a pod zabudowaniami Wystawa Paryżka miała nawet o kilkadziesiąt tysięcy metrów więcej przestrzeni. Wszakże obszar zajęty na wystawę w środku wcale nie jest pusty, bo oprócz dwóch nie wielkich gaików, w których także są namioty i pomniejsze zabudowania do wystawy należące; stawy, w których ma być wykazane sztuczne zarybianie, sztuczna plantacya rzeciny, trawniki z kłębami kwiatowemi, oranżerye, drzewa i krzewy różnych klimatów i t. d.

Na téj przestrzeni pięknie ogrodzonej wysokim parkanem, pierwsze miejsce zajmuje główny pałac wystawy przemysłowej (Industria-Palast), zbudowany we włoskim stylu odrodzenia, mający

950 metrów, t. j. około jednej wiorsty długości. Środek tego gmachu zajmuje owa tak sławiona jeszcze przed urodzeniem rotunda, pomysłu Scotta-Russela, twórcy Sydenhamskiego, kryształowego pałacu. Rotunda, mająca być największą kopułą na świecie, ma 102 metry w średnicy i pokrywa przestrzeń 8,100 metrów kwadratowych, wysokość 78 metrów. Zatem jest to wysokość, jakąbyśmy osiągnęli postawiwszy dwie wybiegłe sosny, albo największe topole piramidalne, jedną na drugą.

Wchodząc do środka téj ogromnej rotundy, nie można nie podziwiać takiej wielkości, której tylko obwód wsparty jest na 30 arkadach murowanych i 30 po za niemi słupach żelaznych; środek zaś nie tylko że nie ma żadnego innego oparcia, ale jeszcze na szczytowym obwodzie swojego kopułowego przykrycia dźwiga okrągłą kolumnadę z 30 słupów żelaznych, na których przykryciu jeszcze jedna kolumnada z mniejszych słupów, a na szczycie nakoniec odpowiednich rozmiarów złożona korona z imitacją drogich kamieni.

Kontur, kształt pokrycia rotundy nadaje się z nadzwyczaj grubych bali żelaznych, do których przynitowane są również ogromnych rozmiarów płyty żelazne, stanowiące konieczne pokrycie rotundy.

Tak więc oprócz arkad murowanych na dole, cała rotunda, która się na nich opiera, jest z żelaza.

Czém więcej się przyglądać budowie owéj rotundy, tém lepiej się pojmuje jak wielkiéj massy pracy ludzkiej wymagało jéj postawienie. To téż nad zabudowaniami wystawy pracowało około 3-ich lat początkowo po kilkaset, potem po kilka tysięcy ludzi, a żaden pojedynczy gmach nie pochłoniął jéj tyle co rotunda. Ona téż chyba najwięcej musiała dostarczyć rannych do szpitala polowego założonego na placu wystawy dla rannych robotników, bo dźwigania tak wielkich mass żelaza i praca z niemi na takiej wysokości, nie zawsze z równém powodzeniem mogła się odbywać.

Wzdłuż całego gmachu ciągnie się główna galeria (Hauptgalerie) na 25 metrów szeroka, a od téj idą na obie strony pałacu boczne galerye w liczbie 16 z każdéj strony, (po 175 metrów długie i 15 szerokie), bezpośrednio połączone z główną galerią. Na zewnątrz poprzeczne galerye razem z główną stanowią z każdéj strony 16 dziedzińców ogrodzonych od reszty placu wystawy, (zwłaszcza na stronie południowéj), bardzo pięknemi żelaznemi wysokimi balustradami, na każdym z nich jest jakiś pawilonik, altana i ogródek z kwiatami i trawnikami, a w nich wystawa przedmiotów, które z natury swojej, albo z powodu rozmiarów, nie mogły być pomieszczone wewnątrz głównego pałacu wystawy.

Główny pałac i wszystkie zabudowania wystawy pokryte są blachą cynkową; większe prawie wszystkie i wiele mniejszych pawilonów mają dachy szklane, zatem galerye wystawy przemysłowéj, główna sala wystawy sztuk pięknych, maszyn, okazów rolniczych etc., otrzymują oświetlenie z góry.

Główny pałac wystawy wygląda na bardzo fundamentalną, ciężką budowę kamienną; ale jest to sztucznie nadany pozór, bo tylko sam środek gmachu, niczem dziś się nie wyróżniający od reszty pałacu i rotunda, są trwałej budowy i pozostaną na dalsze czasy: prawie wszystkie inne po zamknięciu wystawy będą zniesione.

Ten ogrom pięknych gmachów, pysznie ozdobionych masą figur i rzeźb, szczególnie zadziwia dopiero wtedy, jeżeli się pomyśli, że to wszystko postawione na czas tak krótki, że oprócz rotundy i jej otoczenia, wszystko prawie po ukończeniu wystawy będzie zniesione. To też się liczy, że tak wielkie koszty opłaci świat cały, bo dla jednego kraju, chociażby bogatego i wielkiego, ciężar ten byłby zbyt wielkim.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Lipiec 1873.* Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, ogłosił powtórnie konkurs na wykonanie posązku Kopernika z marmuru kararyjskiego, wysokości łokieć jeden i cali dwanaście. Nagroda rs. 600 (złp. 4,000). Praca uwieczniona zostanie własnością Towarzystwa.

— Nakładem *Gazety Polskiej*, z drukarni Józefa Sikorskiego wyszedł: „*Obraz Państwa Rzymskiego od założenia Rzymu, do końca rządów Cesarzkich na Zachodzie, przez Amadeusza Thierry.*“ (w 8-ce str. 358). Przekład dobry, wydanie staranne zaleca to użyteczne dla ogółu wydawnictwo. Redakcja tejże *Gazety* ogłosiła w dalszém swoim wydawnictwie tłumaczenie: „*Historyi Attyli i jego synów*“ pomienionego autora.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa nabywszy od A. E. Odyńca prawa do drugiego wydania *Tłumaczeń* jego poetów angielskich, niemieckich i rosyjskich, jako też i *Listów z Podróży* poświęconych wspomnieniom Adama Mickiewicza, zabrała się do ich druku i w r. b. zamierza je ukończyć. Tom pierwszy *Tłumaczeń* już wyszedł z pod prasy.

— *Tygodnik Rolniczy* pismo tygodniowe, starające się odpowiedzieć potrzebom ziemian naszych, zapowiedziało wydawnictwo swoje na drugie półrocze. Wydawcą jest L. Sygietyński, odpowiedzialnym redaktorem Jakób Loewenberg.

— W Petersburgu wyszedł w z. m. przekład powieści historycznej Henryka Rzewuskiego „*Listopad*“, na język rosyjski.

— Pism Kazimierza Brodzińskiego w wydaniu zupełnem, otrzymaliśmy tom IV, obejmujący część drugą „Literatury Polskiej,” w niej zaś podług podziału samegoż poety okres III, IV i V. Mamy tu na czele obszernie studia o Reju i Janie Kochanowskim; ostatni był najulubieńszym dla Brodzińskiego, wczytywał się téż w jego utwory ciągle, z nietajonem upodobaniem. Dalej idą *rymowórcy* Kacper Miaskowski, Stanisław Grochowski, Jan Rybiński, Sebastyan Klonowicz. Oddzielnie traktuje poetów sielskich, na czele których postawił słusznie Szymona Szymonowicza. Dział osobny stanowią poeci po łacinie piszący. Epoka IV zaczyna się odpadku Akademii Krakowskiej do końca XVII wieku. Epokę V dzieli Brodziński na trzy okresy: panowania Stanisława Augusta, czasy porozbiorowe i Księstwa Warszawskiego, ostatni od utworzenia Królestwa Polskiego do 1823 r. Dopełniają tego tomu oddzielne rozprawy jak i uwagi o duchu i dążności pisarzy i krytyków od 1795 r. do 1829, „Oderwane myśli o romantycznej poezji,” „Ogólne wstępne uwagi o literaturze polskiej” i „Ogólne myśli do kursu literatury.” Brodziński w wielu ustępach swego wykładu, mówi o takich pisarzach, o których następni badacze nie wspomnieli nawet; studia jego o celniejszych poetach i pisarzach, wytrawnością sądu i znajomością przedmiotu, dziś mogą służyć jeszcze za najwyborniejszą ich ocenę (Rej, Kochanowski i w. i., jak poeci łacińscy): znajdują się jednakże i takie ustępy, które obecnie już inaczej się przedstawiają, jak o satyryku Opalińskim i Wacławie Potockim, ale łatwo te niedostadki wytłumaczymy, gdy dopiéro krytycznie dał nam poznać charakter pierwszego Szajnocha, a Potockiego arcydzieło: „*Wojna Chocimska*,” wyszło w roku 1850 w lat piętnaście po śmierci Brodzińskiego.

— *Komisya konkursowa* dramatyczna we Lwowie już się ukonstytuowała. Fundusz konkursowy o wiele jest znaczuiejszy niż w poprzednich latach, wynosi bowiem razem 1,700 ztr. Summa ta podzielona została przez komisję na następujące premia: 1) nagroda pierwsza w ilości 700 zł. za dramat lub komedję bezwzględnie dobrą; 2) nagroda za utwór bezwzględnie najlepszy, dramat lub komedję o 3-ach aktach w summie 400 ztr.; 3) za utwór drugi z kolei względnie dobry, także dramat lub komedję 300 ztr., bez wykluczenia jednoaktowych; 4) za względnie dobrą sztukę ludową w 3-ach aktach 300 ztr. Ze sztuk ludowych *caeteris paribus*, pierwszeństwo mieć będą utwory osnute na tle narodowém. Mogą się także o te premia ubiegać utwory z muzyką; muzyka atoli musi być także nadesłana.

— Ku uczczeniu pamięci Aleksandra Przędzieckiego, na *Wawelu* ma być wzniesiony nagrobek ze składek, oprócz tego rodzina zmarłego zamierzyła wzniesić dlań pomnik w kaplicy Przędzieckich u Dominikanów w Krakowie, gdzie zwłoki jego złożone.

— *Kraków*. Na odbytém walnem posiedzeniu Akademii umiejętności w Krakowie, przeszła cała lista kandydatów czytana na po-

siedzeniu inauguracyjnym dnia 7 maja r. b. Członek téjże Akademii Dr. Józef Kremer wniósł utworzenie *komissyi dla filozofii* na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego. Już się ukonstytuowała ta komissya, mająca na celu: 1) szczegółowe badanie nad historią filozofii w Polsce, 2) udzielanie sobie drogą referatów o nowościach na polu filozofii, wiadomości o dzisiejszym jéj ruchu. Przewodnictwem komissyi objął Dr. Kremer. Sekretarzem obrano D-ra M. Straszewskiego.

Hr. Alfred Potocki jako vice-protector téj wysokiej instytucyi naukowej, ofiarował na jéj rzecz 5,000 guldenów, mających stanowić część kapitału zapasowego.

Wybory zwierzchności akademickiej we wszechnicy Jagiellońskiej na rok 1873/74 już się ukończyły. Rektorem wybrany został Dr. Gustaw Piotrowski, professor fizjologii i mikroskopii; prorektorem poprzedni rektor Dr. Edw. Fierich, professor procedury cywilnej, oraz prawa handlowego i wekslowego; w wydziale teologicznym nie odbył się jeszcze dotąd wybór dziekana, a prodziekanem jest Dr. Józef Czerlunczakiewicz, professor dogmatyki; w wydziale prawniczym dziekanem Dr. Maksymilian Zatorski, professor prawa cywilnego, prodziekanem Dr. Aleks. Sas Bojarski, prof. prawa karnego i procedury karnéj; w wydziale lekarskim dziekanem Dr. Stanisław Janikowski, professor medycyny sądowej i policyi lekarskiej, prodziekanem Dr. Ludwik Teichmann, professor anatomii; w wydziale filozoficznym dziekanem Dr. Franciszek Mertens, professor matematyki czystej, prodziekanem dr. Karliński, prof. astronomii i matematyki wyższej, dyr. obserwatorium astronomicznego. W myśl nowéj ustawy o uniwersytetach, wybrani zostali reprezentantami wydziałów na lat trzy: z wydziału prawnego Dr. Julian Dunajewski, z wydziału lekarskiego Dr. Józef Majer, z wydziału filozoficznego Dr. Enil Czyrniański, wydział teologiczny nie wybrał jeszcze swego przedstawcy.

Rozwój sztuki malarstwa i rzeźby zyska wiele na pojednaniu jakie nastąpiło pomiędzy Towarzystwem sztuk pięknych a stowarzyszeniem artystów z Janem Matejką na czele. Pierwsze posiedzenie wspólne już się odbyło, uradzono na niém zmianę statutów, włączenie stowarzyszenia pomocy artystów w zakres czynności Towarzystwa Sztuk Pięknych, i na członków czynnych przyjęto: Jana Matejkę, Łuszczkiewicza, Szynalewskiego, Juliusza Kossaka i Jabłońskiego. Nowemi siłami wzmocnione Towarzystwo Sztuk Pięknych, może rokować sobie świetną przyszłość.

W drukarni Uniwersytetu Krakowskiego wyszedł trzeci tom *Zbioru ustaw administracyjnych dla Galicyi*, przez starostę Jana Rudolfa Kasparka. Dzieło to złożone z 147 arkuszy druku, obejmuje wszystkie ustawy wyszłe do maja 1873 roku; opatrzone jest spisem abecadłowym, który ułatwia znalezienie tego, czego się szuka, a sam ten wykaz wymienia około 2,000 przedmiotów w dziele tém zawartych.

Professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Dr. Bratraneek, przygotował do druku nieznanę dotąd listy Goetego: pracy tej podjął się na prośby rodziny wielkiego poety.

Drukarnia Wincentego Kirchmajera, w której oprócz *Czasu*, mnóstwo dzieł wyszło z pod prassy, sprzedaną została za sumę 9,000 zlr.

Wyszła z pod prassy: „Medycyna dla nie lekarzy, popularnie skreślona przez D-ra Henryka Kowalskiego lekarza praktycznego w Bochni“ (w 12-ce str. 131 Kraków, 1873 r.). Dziełko mogące służyć jako podręcznik po dworach, bo lud nie umiejący czytać korzysta z niego nie będzie.

Nakładem przedsiębiorczego księgarza Heinmelblana w Krakowie, wychodzą z pod prassy wyborowe poezye Wincentego Pola Wydawnictwem tém zajmuje się Lucyan Siemieński. Nowa edycja poezyi Edwarda Wasilewskiego równocześnie przygotowana do druku. W *Dzienniku Mód* ukazały się drobne utwory z podpisem *Marya*, które zwróciły uwagę znawców zarówno wdziękiem formy artystycznej jak doniosłością myśli pięknych.

— Na ogólném doroczném zebraniu poznańskiego *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, w dniu 27 czerwca r. b., po dwóch odczytach pp. Wegnera i Zielewicz, treści historycznej, dr. Libelt odczytał sprawozdanie z półrocznej czynności Towarzystwa. W sprawozdaniu tém objaśnił powody opóźnienia się drugiego wydania albumu Kopernikowego, które dopiero za parę miesięcy będzie gotowe. Autentyczność kamieni runicznych mikorzyńskich wkrótce ma się wyjaśnić; w Krakowie wykonany odlew gipsowy z kamienia Lewkowskiego ma być nadesłany do Poznania dla porównania go z runami. Sekretarz Towarzystwa p. Feldmanowski zawiadomił o zakupieniu i sprowadzeniu z Miłostawia rycin i medali będących kiedyś własnością bar. Rastawieckiego, a ostatecznie Sew. hr. Mielżyńskiego, oraz o ofiarowaniu Towarzystwu przez ks. Krasieńskiego biblioteki, którą już otrzymano, nader szacownej pod względem lingwistyki, któryto dział dotąd bardzo był ubogim w bibliotece Towarzystwa. Towarzystwo mianowało dawcę swoim honorowym członkiem. Towarzystwo przeniosło się do własnego lokalu, jakkolwiek jeszcze nieukończonemu.

— Nakładem księgarni J. Żupańskiego w Poznaniu wychodzi dzieło *Bronisława Trentowskiego* zeszytami p. n. *Panteon wiedzy ludzkiej, lub Pantologia, Encyklopedia wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii*. Ogromnych rozmiarów praca ostatnia zgasłego myśliciela, wychodzi zeszytami. Całość obejmie ich trzydzieści. Dotąd wyszło cztery i wydawca w ostatnim zapewnia, że co dni 15 następne ukazą się poszyty.

— W miejscu gdzie w nurtach Elstery zginął niegdyś ks. Józef Poniatowski, leżąc miał zwyczajny kamień polny. Towarzystwo Poznańskie Przyjaciół Nauk dowiedziawszy się, że właściciel gruntu dla budowania zakładów fabrycznych, kamień ten usunął z miejsca pamiętkowego, powzięło myśl nabycia tego niemego świadka katastrofy.

— Stosownie do ogłoszeń do d. 1 lipca wychodzi nowa gazeta w Warszawie pod tytułem: *Wiek*. Dotąd mieliśmy sześć politycznych dzienników: Dziennik Warszawski, Gazetę Polską, Gazetę Warszawską, Kurjer Warszawski, Kurjer Codzienny, Gazetę Handlową. Przybywa teraz siódmy dziennik *Wiek*, znakomitych rozmiarów, bo formatu arkusza większego od innych dzienników, a program obszerny ogarnia śmiało wszystkie przedmioty. W zasadach pomiędzy innymi *Wiek* przytacza jako nowość, że pragnie zerwać z rutyną i że mimo materializmu chłonnącego wszystko i wszystkich, z ideałem nie rozstanie się nigdy. Zjawienie się tego dziennika poruszyło wszystkie inne. Takie współzawodnictwo tylko na dobre wyjść może publiczności. Potrzeba jednak wielkiej wytrwałości, myśli twórczej i siły do wykonania. Oczekujemy na dalszy rozwój tego dziennika, aby się przekonał w jakim sposobie wypełnia obietnice programu.

— Wyszedł Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1872/3. Rok czwarty wydawnictwa. Książka ozdobiona wizerunkiem Michała Kazanowskiego, z którego hojności korzystał Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych, posiadając dar wynoszący sumę 12,303 rs. k. 57. Treść Pamiętnika obejmuje: 1) Przepisy o urządzeniu praktycznych zajęć w Instytucie; 2) Historia Instytutu, przez Jana Papłońskiego; 3) Życiorysy dobroczyńców Instytutu, przez Jana Papłońskiego; 4) Uwagi nad metodycznym wykładem nauki religii i historii świętej, przez M. Brzeskiego; 5) Rozbiory i krytyki; 6) Przyczynki do metody wykładu rysunków, przez Wojciecha Gersona; 7) Roznaitości; 8) Sprawozdanie z obrotu funduszów; 9) Kronika Zakładu; 10) Sprawozdanie z czynności wychowawczo-naukowej.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała w tym czasie dwie książeczki dla młodzieży, pod tytułem:

Młodość sławnych ludzi Eugeniusza Müller, przekład Jana Chęcińskiego z 23 rycinami.

Grzeczne dziewczynki hr. de Segur, wolny przekład z francuzkiego, ozdobiony 19 rycinami.

Wydanie obu książek staranne, ryciny gustowne, oprawa wytworna, tekst zastosowany do pojęcia małych dzieci.

— Czytamy w *Wiek* (Nr. 11). Na posiedzeniu Towarzystwa Szlązkiego, historii i archeologii Szlązka poświęcającego się, czytał dr. Grünhagen prof. i archiwista rozprawę: „Szląsk pod panowaniem Kr. Bolesława III Polskiego (1102 do 1138 r.) i Szlązki Kościół w XII wieku.“ Kreśli w niej wojny Krzywoustego, a głównie walkę z Henrykiem V Cesarzem, który po daremnym obleganiu Głogowa i spustoszeniu okolic Wrocławia w 1109 r. musiał Szląsk opuścić. Następnie przedstawił koleje biskupstwa Wrocławskiego od połowy XI do końca XII wieku, dzieje fundacji klasztorów, wpływ romańskiej cywilizacji, którą wnieśli zakonnicy (Benedyktyni, Augustianie, Premonstranci, Cystersi, tudzież Templariusze i Joannici). Stosunki duchowieństwa i możnych z francuzką szlachtą i duchowieństwem, ze Św. Bernardem

mianowicie. Wpływ ten Romańskiej cywilizacji zniweczony został przez napływ niemieckich kolonistów.

— Pisma galicyjskie donoszą o zamożności włościan tamecznych i jako dowód stawiają kontrakt zawarty we Lwowie pomiędzy hr. Andrzejem Renardem, a stowarzyszonymi włościanami jego wsi Jastrzębica, Wałstwina i Tyszycza w powiecie Sokalskim położonych, o kupno tychże. Włościanie zapłacili mu 127,000 złotych reńskich, czyli złp. 508,000.

— *Dziennik dyplomaty we Włoszech* (*Journal d'un diplomate en Italie*. Paris Hachette 1873) przez H. d'Iderville. Rzym 1862 do 1866. Na karcie tytułowej autor napisał, że dziennik jego może być materiałem do historii drugiego cesarstwa. Zgadząmy się z tém, ale z zastrzeżeniem, że materiałem niezbyt ważnym, szanowny dyplomata bowiem (drugi sekretarz poselstwa francuzkiego w Rzymie pod rozkazami księcia Latour-d'Auvergne i p. de Sartiges) posiadał tyleż sekretów dyplomatycznych, co i każdy z najpospolitszych polityków z pierwszej lepszej cukierni warszawskiej. Za to podróże, zabawy, salony rzymskie są opisane stylem lekkim, w tonie przedmieścia St-Germain. Hrabia wspomina, że wielką mu sprawa przyjemność, że nosi zacne imię swego ojca (nieznanego, o ile mi wiadomo, w historii), wychwala Antonellego i Monsignora Merode, ma niezachwianą wiarę w utrzymanie władzy świeckiej papieża, podziwia Univers i Veuillot'a, jedynym słowem jest legitymistą francuzkim do szpiku kości. W pobieżnych szkicach jego ukazują się z poza mgły typy arystokracji rzymskiej „czarnój“ i „niebieskiej“ i przesuwa się wzmianki o polkach i księżnej Czartoryskiej i księżnej Odescalchi (z domu hr. Branickiej).

— *Człowiek przedhistoryczny*, dzieło zaczęte przez Baer'a, ukończone przez Fr. v. Hellwald (*Der vorgeschichtliche Mensch*, Leipzig, O. Spamer). Zaczyna się od pierwotnej historii ziemi, ma objąć Amerykę i Oceaniją, podać wykład kwestyi o pochodzeniu i wieku rodzaju ludzkiego. Do tekstu ma być dołączonych 500 ilustracji.

— *Pani Lamartine* wydała dwa tomy *Korrespondencji* swego męża (*Correspondance de Lamartine*. Paris. Hachette 1873). Listy poety zaczynają się od r. 1807, kiedy wyszedł ze szkoły i sięgają do r. 1820, kiedy wszedł w związki małżeńskie. Później pani Lamartine ma ogłosić ciąg dalszy.

— *Historja Bochary* podług użytych już i nie znanych jeszcze źródeł rękopiśmiennych wschodnich, po raz pierwszy opracowana przez *Hermana Vambery* (*Geschichte Bochara's od Transoxaniens etc. Deutsche Originalausgabe II tomy*). Pod tak szumnym tytułem ma się zawierać dzieło niezmiernie liche. Specjalny krytyk orientalista A. v. G. w piśmie *Litter. Centralblatt* (1873, Nr. 19) w niezwykle długim trzynasto-szpaltowym artykule wytyka ogromną ilość błędów historycznych, niedbalstwo w urzędzeniu chronologii, przechwałki ze źródeł niby nowych, a w istocie już znanych i t. p. Zamyka recenzją

swoją szyderstwem, że jedyną wartość téj roboty stanowi ogromna cena dwóch niewielkich książek w handlu księgarskim (7 talarów).

— Chwalony jest bardzo romans C. von *Vincenti* p. t. „Burzyciele świątyni arabskiej“ (Die Tempelstürmer Hoch-Arabiens, III tomu. Berlin O. Janke 1873). Przedmiot wzięty jest z dziejów mużmańskiej sekty Wahabitów.

— *Wurzbach'a* Słownik biograficzny (Biographisches Lexikon), poświęcony znakomitościom Austrii doszedł już do litery R (tom 25-ty). Jestto praca oryginalna wysokiej wartości.

— Wiadomo, że w świecie naukowym, wielkiej wziętości używa *Historja Rzymska Szweglera*, lecz dzieło to z powodu śmierci autora stało na zdobyciu Rzymu przez Gallów (390 r.). Obecnie Octavius Clason ogłasza prospekt na *dalszy ciąg* tejże historyi do pierwszej wojny Samnickiej. Wydawnictwo prowadzi firma Calvary w Berlinie.

— *Giesebrecht'a* *Historja Cesarstwa Niemieckiego* ukazała się część I tomu IV. Obejmuje ona panowanie Lotaryusza Supplingenbura i Konrada, tylko do r. 1146.

† W Poznaniu dnia 10 lipca r. b. umarł *Leon Wegner*, znany historyk, członek Towarzystwa Poznańskiego przyjaciół nauk, i deputowany do parlamentu niemieckiego, w siłę męskiego wieku, bo liczył zaledwie czterdziesty rok życia. Prace jego historyczne wychodziły w Roczniku Towarzystwa Przyjaciół nauk i w oddzielnych książkach. Pierwszą z prac, z którą wystąpił, była znakomicie obrobiona rozprawa: „Jan Ostroróg wojewoda poznański i jego Pamiętnik“, (Poznań 1859 r.). Sumienny pracownik zalecał się przymiotami szlachetnego człowieka; zgon jego zawczesny, zostawił próżnię w szczupłym szeregu ludzi pióra nie prędko zapełnioną, i słuszny żal nie tylko rodziny i przyjaciół, ale w całej naszej społeczności.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca *Józef Berger*.

W drukarni J. Bergera, przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Июля 1873 г.

TENNYSON.

(Według H. Teina).

STREŚCIEŁ.

Edward Lubowski.

I.

Kiedy Tennyson wydał pierwsze swe poematy, krytyka wyraziła się o nich nieprzychylnie. Zamilkł tedy, i odtąd przez dziesięć lat nikt nie widział jego nazwiska w żadnym dzienniku, ani nawet w katalogu. Lecz gdy się na nowo pojawił przed publicznością, książki jego zrobiły już swoje, i odrazu uznano go największym poetą swego kraju i swęj epoki.

Potężne pokolenie poetów już wymarłych, mignęło się jak burza. Podobnie jak ich poprzednicy z XVI wieku, i oni ponieśli ze sobą wszystko, nawet ostateczności. Jedni odgrzebali legendy, przewertowali Wschód, Grecyę, Arabię, średnie wieki, obarczywszy wyobraźnię ludzką kolorytem i fantazyą wszelkich klimatów; inni wysilali myśl swoją na metafizykę i moralność, niezmordowanie marząc o istnieniu człowieka, i przechodząc naprzemian z wzniosłości w monotonność; inni nareszcie mieszając razem zbrodnię i heroizm, prowadzili za sobą wśród ciemni i błyskawic, orszak postaci straszliwych i chorobliwych, zrozpaczonych wyrzutami sumienia a spronienionych własną wielkością. Chciano odpocząć po tylu wysiłkach, i po tylu ostatecznościach. Na wyjściu przeto ze szkoły imaginacyjnej, sentymentalnej i demonicznej, Tennyson wydać się musiał wyśmienitym i wyborym. Wszelkie formy i wszelkie idee upodobane, odnaleziono w jego dziełach, ale oczyszczone, umiarkowane, i oprawione w styl złoty. On zakończył stulecie, korzystał z tego co innych poruszało do głębi, bo poezya jego podobną jest do pięknych wieczorów letnich, w których linie krajobrazu pozostały takie same jak na jasnym dniu, z przyćmionym tylko blaskiem kopuły olśniewającej,



w którym odświeżone kwiaty podnoszą się do góry, a słońce łagodne tam gdzieś na rąbku nieba, osłania harmonijnie snopem różowych promieni lasy i łąki, które dopiero co światłem swém przepalało.

II.

Portrety kobiet tego autora, najprzód wszystkich uderzyły. Adeline, Eleonora, Liliana, królowa Majowa, były osobistościami jakby wyciętymi z albumu, ale narysowanemi ręką artysty i z zamiłowaniem. Album to złożone po brzegach, uhaftowane kwiatami i ozdobami, strojne, jedwabne, zapełnione postaciami delikatnemi i zawsze wykończonemi; niby naszkicowanemi z lekka, a jednak stworzonymi z namysłem; wykwiłtne, pociągające białe rączki młodej mężatki albo dziewczycy. Nie podejmuje się—mówi Taine—przekładu jednego choćby z tych portretów. Każde słowo bowiem ma swoją barwę, podniesioną lub ucielowaną barwą drugiego słowa. Najdrobniejszy rys fałszywy, popsułby wszystko. A nie poprzestaje on jeszcze na tej sztuce tak wytrawnej i doskonałej, w malowaniu czarujących psot, nagłej dumy, pół-rumieńców, nieznanicznych i znikających kaprysów piękności kobiecój; lecz owszem przeciwstawia je sobie, łączy harmonijnie, tworząc z nich rodzaj galerii. Oto swawolne dziecię, mała czarodziejka lekkoskrzydlna, która uderza w rączki, a „oczami swemi czarnemi patrzy na ciebie złośliwie, i ucieka w chwili, gdy śmieszek jej wdzięczny wydrąży dołeczki, na różowo dziecięcój jej twarzyczce.“ A tu znowu zamysłona blondynka, która duma, otwarłszy wielkie swe niebieskie oczy; kwiat powietrzny i przymglony podobien „lilii sklonionój nad krzaczkiem róży, którą gasnące słońce przenika swém światłem,“ blado uśmiechnięta: „podobna do najady, upatrującój w głębi źródła schyłku dnia.“ A ta zmienna Magdalena nagle śmiejąca się, potem nagle zadąsana i znów wesoła, i znowu gniewna; a wreszcie wahająca się śród dwóch dziwnych uśmiechów; dwóch: „rozkosznych dąsów przypominających rąbki obłoków, utkane słońcem.“ Poeta powracał z zamiłowaniem, do tych drobiazgów delikatnych a wybranych. Pieścił je tak troskliwie, że wiersze wydawały się czasem wyszukanemi, affektowanemi, przesadzonemi prawie.

Zanadto zdołał je i rzeźbił, przezco wydawał się epikurejczykiem co do stylu a i co do wyboru piękności. Wyszukiwał piękne sceny wiejskie, wzruszające wspomnienia, uczucia czyste lub rozbudzające ciekawość. Z nich układał elegie i sielanki, i to w rozmaitych tonach, lubując się we wzruszeniach wszelkich wieków. Pisał stylem św. Agnieszki, Ulyssesa, Aenony, Fatymy i lady Clare; naśladował naprzemian Homera i Chancera, Teokryta i Spensera, starych poetów angielskich i starych poetów arabskich. Ożywiał naprzemian drobne przygody rzeczywiste życia angielskiego, i wielkie awantury fantastyczne zaginionej rycerskości. Przypominał owych muzyków, którzy ofiarowywali smyczek swój na usługi każdego mistrza. W dziedzinie historii, prze-

chadzał się bez planu, bez ostrój namiętności, chcący tylko wszędzie czuć, smakować i zbierać, czy to w kwiatkach ustawionych w salonie, czy na płocie wieśniaczym, bez względu czy to rzadkie kwiaty czy polne, byle tylko zapach ich lub barwa, zdolne go były oczarować lub zająć. Z nim też razem używano; wdychano woń wdzięcznych bukietów które tak umiał splatać, dawano pierwszeństwo tym które uszczknął w polu, i zgodzano się na to, że nigdzie talent jego nie rozwinął się tak swobodnie. Zapomniano w „Umierającym łabędziu“ że już przedmiot zużyty i mało budzący zajęcia, a rozkoszowano się tylko wierszem takim:

„W oddali wznosiło się kilka cyplów niebieskawych— a na chłodnej białości nieba biało— błyszcząca ich śnieżna korona.— Wierzba schyliła się płacząco nad rzeką, otrząsając krople, gdy wichur huczał westchnieniem.— Wyżej, wśród wichru leciała jaskółka— sama siebie ścigając w dzikich zakrętach.

Atoli te melancholijne obrazy nie odślaniały go całkowicie; towarzyszo mu w krainie słońca, wśród miękkich rozkoszy południowych mórz; w powrocie zatrzymano się przy wierszach malujących towarzyszy Ulyssesa, którzy przycupnąwszy na ziemi Lotosa, marzyciele tak szczęśliwi jak on sam, zapomnieli o ojczyźnie:

„. . . Ujrzeni połyskującą rzekę spływającą w Ocean, wytrysła ze środka ziemi; w znacznej oddali trzy szczyty gór,— trzy wieże milczące starożytnego śniegu— wznosiły się zarumienione zachodzącym słońcem, a cienista sosna, zwilgotniona rosą, pięła się w górę po nad laskiem wyrabianym.

„Brzmi tu muzyka dźwięczna, delikatniejsza od listków róży rozsypanych na murawie, od rosy wieczornej, osiadłej na wodach uciszonych— wśród ścian ponurego granitu świecącego wydrążeniem;— muzyka która łagodniej pada na duszę,— od powiek znużonych na oko zużone;— muzyka, która sprowadza sen słodki z wyżyn niebiosów szczęśliwych.— Są tu świeże i głębokie mchy, a wzdłuż mchów wiją się bluszcze, a w strumieniu płaczą kwiaty długolistne,— a ze skalistych krawędzi zwiesza się mak zdrzemnięty.

„Patrzcie; wgłębi lasu na gałęzi, listek zwinięty wykluwa się z pączka— chłodzony pieszczotliwym wietrzykiem, rozzielenia się i rozszerza bez troski, o południu cały obłany słońcem, a o księżycu blasku, odżywiający rosą wieczorną; potem wędnie— pada i znów unosi się w powietrzu. Patrzcie; złagodzone światłem letniem— jabłko soczyste i nadto dojrzałe— odczepia się podczas cichłej nocy jesienniej.— Odpowiednio do długości dni jakie przeżył ma,— kwiat rozwija się na jego miejscu;— rozwija się, wędnie i pada i nie pracuje,— bo dzielnie zakorzeniony w urodzajnej ziemi.

„Jakże jest słodko, podczas gdy ciepły wietrzyk szepcząc, głaszcze nas swoim oddechem,— opierając się na amarancie i na cudownej Homera roślinie; z powieką napół spuszczoną, a pod światłem sklepieniem ponurego nieba, śledzić okiem długą błyszczącą rzekę, nurtującą z wolna swemi falami, żegnającymi purpurowe pagórki;— nadsłuchiwać szmeru wód

spadającego w kropłach szmaragdowych—poprzecz girlandy uwite z boskiego akantu;—słyszec i widziec tylko w oddali połyskującą falę;—słuchać tylko już jest słodko,—słuchać i napół czuwać pod cieniem sosny.“

III.

Czyżby ten miły marzyciel był dopiero dyletantem? Tak go sobie wyobrazić chciano; uważając go za zbyt szczęśliwego, ażeby dopuścić w nim gwałtowne namiętności. Sława przyszła mu łatwo i szybko; poił się nią już w 30 roku swego życia. Królowa stwierdziła głos publiczny, robiąc go poetą laureatem. Jeden z wielkich romansopisarzy, nazwał go prawdziwszym poetą od lorda Bajrona, i utrzymywał, że nic podobnie doskonałego nie było od czasów Szekspira. Student w swjej izdebce w Oxfordzie, kładł jego książkę pomiędzy Eurypidesa i podręcznik filozofii scholastycznej. Młode panie dostawały ją w ślubnym podarku. Mówiono o nim że bogaty, uwielbiany przez swoich, uprzejmy, nieprzesadny, a nawet naiwny. Żył na wsi, głównie na wyspie Wight, wśród książek i kwiatów, ochroniony od intryg, rywalizacji i podległości światu; chętnie też wyobrażano sobie życie jego jako sen piękny, tak łagodny, jak ten, którego użyczył czytelnikowi.

Lecz przypatrzone się bliżej i dostrzeżono, że pod tą powierzchnią pogodną, huczały namiętności. Nie brak ich nigdy, prawdziwemu temperamentowi poetycznemu. Czuje zanadto żywo ażeby być spokojnym. Kto doznaje drgnienia za najmniejszym dotknięciem, ten drży cały i wstrząsa się w chwili wielkich ciosów. Już tu i owdzie, w jego opisach wsi i miłości, wiersz pełen wybuchu i gorącego kolorytu, przerzynał nagle rysunek spokojny i poprawny. Uczuł on nieraz w sobie to dziwne wzmoczenie potęg nieznanych, które stawia człowieka wrytym, z oczyma wlepionemi wobec piękności, nagle przed nim odsłonięj. Właściwością poety jest, być zawsze młodym i wiecznie dziewiczym. Dla nas ludzi zwyczajnych, przedmioty wydają się zużyte; sześćdziesiąt wieków cywilizacji zatarło pierwotną ich świeżość; spospoliciały; widzimy je tylko przez zaslonę frazesów zawsze ukutych i gotowych; posługujemy się nimi, lecz ich nie pojmujemy; nie widzimy już pysznych kwiatów ale dobre jarzyny, a bujny las pierwotny jest dla nas warzywnym ogrodem, symetrycznie przyrządzonym i doskonale znanym. Przeciwnie, poeta wobec tego świata, jest jak pierwszy człowiek w pierwszym dniu. W jednej chwili, nasze katalogi, rezonowania i cały zasób wspomnień i przesądów znika z jego pamięci; przedmioty wydają mu się nowemi, czuje się zdziwiony i zachwycony; nawał gwałtowny wrażeń napływa i przygniata go. Jestto przepotężny sok żywotny inwencji ludzkiej, który u nas zatrzymawszy się, u niego zaczyna płynąć na nowo. Głupcy nazywają go waryatem, prawdą zaś jest, że widzi on jasno, ponieważ mimo naszej ospałości, natura zawsze pozostaje żywą. Słońce jest również wielkie gdy wschodzi jak i przy pierwszej jutrzence, jako też rzeki płynące, rośliny kiełkujące, namiętności drgające, siły podniecające byt istot, wal-

czą z tym samym zapędem co u samego zaczęcia; a serce nieśmiertelne natury, drży jeszcze podnosząc swą twardą skorupę, i uderzenia jego odbijają w sercu poety wtędy jeszcze, gdy u ludzi zwyczajnych nie znajdują echa. Tennyson czuł je, lecz nie zawsze; dwa lub trzy razy. Odnalazł ton głębokiego wzruszenia, a czytelnik poznał w nim głos człowieka, w tych wierszach o Locksley Hall:

„Twarz jój bladą była i mizerniejszą niżby w wieku jój wypadło, a oczy jój śledziły z dziwną uwagą wszelkie ruchy moje. I rzekłem jój: „Moja kuzynko Amy, powiedz mi prawdę... Zawierz mi!“

„Na jój licu i czole bladym, ukazał się świetlisty rnmieniec, tak jak gdy raz różowy płomień oświecił nagłe wieczór północny.

„I odwróciła się, a łono wznosiło się nagle burzą westchnień. Cała jój dusza zabłysła niby jutrznia, w głębokich czarnych jój oczach.

„Rzekła:— Ukrywałam moje uczucie ze wstydu.—Rzekła:—A kochasz mnie kuzynie?—Zapłakała—Ja dawno cię już kocham.

„Miłość ujęła klepsydrę czasu, obracając ją w swych lśniących rękach. Każda chwilka za lekkim wstrząśnieniem, rozsypywała się piaskiem złotym.

„Nie jeden poranek spędziliśmy wśród krzewin drgnienia listków; a jój oddech napędził w żyły moje pełnię wiosny.

„Nie jeden wieczór, stojąc nad wodą, śledziliśmy okiem wielkie statki, a dusze nasze przepływały do siebie przy zetknięciu ust naszych.

„O moja kuzynko o sercu słabém, o moja Amy, która już nie jesteś moją! O smutna, smutna krzewino! o bezpłodne, skaliste wybrzeże!

„Falszywsza od wszystkiego co sen wymyślić może, fałszywsza od wszystkiego co pieśni wyśpiewać mogły—lalko pod groźbą ojca, niewolnico języka megieri.

„Powinienemże życzyć ci szczęścia? Ty coś mnie znała! zesłał potem do serca zimniejszego niż moje!

„I tak będzie. Zniżyć się będziesz codziennie aż do jego poziomu.

„Co w tobie czułem, zeskorupieje ażeby sprostać jemu.

„Jaki mąż, taka żona. Związałaś się z prostakiem, a ciężkość jego natury, każe ci upaść tak nisko jak jemu.

„Będzie cię uważał, gdy namiętność jego zużyje siłę jego nową, za coś lepszego od psa, za coś lepszego od swego konia. A cóż to jest? Powieki jego zamgliły się i ociężały, zapomnij że to z wina. Idź do niego, to twój obowiązek; uściskaj go, weź jego rękę w swoją.

„Być może że Jegomość jest znużony, że mógł jego ociężał; bawże go twoją lekką fantazją, pieśń najdelikatniejszą twoją myślą.

„Odpowie ci w sam raz, odpowiedzią łatwo zrozumiałą:

„Lepiejby było, iżbyś zabiła moją ręką w oczach moich umarła!“

Spowiedź to szczerą i silną. Ukazał się *Maud*, jeszcze silniejszy. Werwa tryskała tu z całą gwałtownością, poufałością i swobodą. Poeta tak poprawny i umiarkowany, puścił sobie wodze, myślał i płakał głośno. Książka ta jest dziennikiem poufnym młodzieńca smutnego,

strapionego wiekiem i nieszczęściami rodzinnymi, długim samotnym, rozmyślaniem, który nagle uczuwa miłość, śmie do niej się przyznać, i jest kochany. Nie śpiewa ale mówi; są to słowa zaniedbane, luźne, rozmowa zwyczajna, szczegóły życia domowego np. opis toalety, obiadu, politycznego kazania, mszy wiejskiej. Proza Dickensa i Tackera'a nie opisywała ściślej zwyczajów rzeczywistych, ale tuż zaraz wyrasta bujnie i kwitnie poezya najwspanialsza. Uśmiech młodej wystrojonej dziewczyny, promień słońca na wzburzonym morzu lub na krzaczku róży, oświeca tak samo nagle dusze namiętne... Co za uroczystość w jego sercu, kiedy się czuje kochanym! jaki szal w jego krzyku, w jego rzewności, któraby chciała ogarnąć wszystkie istoty i mieć je świadkiem swego szczęścia! Jakże w jego oczach wszystko się zmienia, i jak on sam zmienia się bezustannie! Z wesołości przechodzi w ekstazę, potem w satyrę, a potem w figlarność i znów w wybuch, w wynurzenie, we wszelkie nagłe zmiany; podobien do ognia który pryska i płomienieje, za każdym razem zmieniając kolor swój i formę. O jakże dusza jest bogatą, i jakże umie żyć sto lat w jednym dniu!

Znieważony przez swego brata, zabija go w pojedynku, i utracę którą kochał. Ucieka, widzą go błądzącego po ulicach Londynu. Smutny kontrast wielkiego miasta, obojętnego, i jednego człowieka targanego prawdziwą boleścią! Czytelnik idzie za nim wzdłuż zaułków zgiełkliwych, otoczonym mgłą żółtawą; pod ponurym słońcem wschodzącym niby kula czerwona, i słucha ze ściśnionem sercem gwałtownego łkania, rozpaczego szamotania się duszy, pragnącej nadaremnie odczepić się od swych wspomnień. Rozpacz rośnie, nakoniec marzenie staje się wizją: „Umarły, umarły, umarły oddawna! A serce moje to garstka prochu, a koła przechodzą po mojej głowie, i kości moje pogruchotane boleśnie, ponieważ rzucili je w ciasny grób, trzy łokcie tylko ponad ulicą. Końskie kopyta uderzają, uderzają w czaszkę mą i mózg mój. O Boże mój, czemuż nie pogrzebali mnie dosyć głęboko?! Byłoby to po ludzku sprawić mi grób tak straszliwy, mnie, który miałem zawsze sen lekkim! Być może, że dopiero napół umarły. A wtedy nie jestem niemy zupełnie! Będę krzyczał na tych, którzy kroczą po mojej głowie, i ktoś pewnie, ktoś z dobrą sercem przyjdzie, ażeby mnie pogrzebać, ażeby mnie pogrzebać, trochę głębiej, aby cokolwiek głębiej!..“

Ożywia się jednak z wolna. Nadchodzi wojna, wojna szlachetna, a wielkie serce męzkie leczy się czynem i odwagą głębokiej rany miłosnej.

„I stałem na pomoście olbrzymiego okrętu, i łączyłem oddech mój, z oddechem ludu wydającego okrzyk wojenny. Odtąd myśl szlachetna wolniejszą będzie pod słońcem, a serce narodu uderzy jednim pragnieniem. Albowiem długa, długa gangrena pokoju już zmyta“.

Ten wybuch uczucia był jedynym; Tennyson nie ponowił go więcej. Mimo moralnego zakodźczenia, zarzucano mu że naśladuje Bajrona; gniewano się na jego gorzkie uniesienia; wszystkim zdawało się że znów

słyszają buntowniczy wrzask szatańskiej szkoły; zganiono ten styl luźny, mglisty i jaskrawy; przypominano poecie początkowy styl jego tak poprawny. Zniechęcony porzucił burzę, i stanął znów pod lazurem nieba; zrobił dobrze, bo tu mu lepiej było. Dusza delikatna wznieść się może, dosięgnąć czasami gwałtowność najpotężniejszą; wspomnienia osobiste, powiadają, podały mu treść Maud'a i Locksley Hall; ale przy swjej czułości kobiecej, miał téż i nerwy kobiety. Skoro atak przeszedł, zapadł znów w „omdlenia złocone“ snu swego cichego. Po Locksley Hall, napisał *Księżniczkę*, po Maud, *Sielanki króla*.

IV.

Najważniejszém zadaniem dla artysty, jest natrafienie na przedmioty odpowiednie jego talentowi. Jemu nie zawsze się udawało. Długi jego poemat: *In memoriam* napisany na cześć i ku wspomnieniu zmarłego młodo przyjaciela, chłodny jest, monotony i zanadto wypieszczony. Prowadzi orszak pogrzebowy ale po pańsku, w rękawiczkach świeżuteńkich, łyż ociera batystową chusteczka, a podczas religijnego obrzędu, zachowuje się z całą przyzwoitością laika dobrze wymustrowanego. Gdzieindziej odnajdzie przedmioty. Być szczęśliwym poetycznie, oto przedmiot dla poety dylettanta. Ale na to potrzeba wiele. Najprzód trzeba, iżby nie istniały ani miejsce, ani wypadki, ani osoby. Rzeczy istniejące są zawsze z téj lub z owéj strony brzydkie, a co najwięcej uciążliwe; krępują one naszą swobodę i fantazją; bo w rzeczywistości prawdziwie słodkimi i pięknymi w życiu naszym, są tylko marzenia. Złe nam przykutym do ziemi, włóczącym się na naszych dwóch nogach, po przestrzeni ściśle nam zakreślonej. Potrzebujemy żyć w innym świecie, wzlecieć w wspaniałą widnokrog powietrzny, pobudować pałace w obłokach, i ścigać w oddali mglistej architekturę jego ruchliwą i kapitele złociste. Trzeba nadto, iżby w tym świecie fantastycznym, wszystko było przyjemne i piękne, czémby się serce i zmysły pożyły; iżby przedmioty wesołe były lub malownicze, a uczucia delikatne lub wzniosłe; iżby żadna szorstkość, żadna dzikość ani brutalność, nie skaziła harmonii téj doskonałości idealnej. To prowadzi poetę do legend rycerskich; oto świat fantastyczny, wspaniały, szlachetny i najczystszy, w którym miłość, wojna, awantury, szlachetność i uprzejmość, czyli wszelkie widowiska i wszelkie cnoty, zgodne z instynktem ras europejskich, zebrały się razem dla wytworzenia epepei i wzoru.

V.

Księżniczka jest czarodziejskim sentymentalnym utworem, na wzór Szekspirowskich. Tennyson myślał i czuł tym razem, jak młody rycerz z czasów Odrodzenia. Właściwością tego rodzaju poezyi, jest zbyt obfity przepływ uczucia i fantazyi. Postacie w *Księżniczce* dla

wrażenia swych myśli, grzebią we wszystkich wiekach i we wszystkich krajaoh; każdą ideę obwijają w błyszczący obraz, która świeci blaskiem wokoło, niby suknia naszyta brylantami. Natura ich zbyt bogata; za każdym wstrząśnieniem, wylewają ze siebie strumień radości, gniewu lub żądź; żyją więcej od nas, i cieplej i szybciej. Łatwo płaczą, śmieją się, wielbią, żartują, mieszając jedno z drugim, przeskakując w nerwowej werwie z kontrastów w ostateczności. Dla zadowolenia subtelności i przebujałości swych pomysłów, potrzebują czarodziejstw i maskarad. Istotnie też, *Księżniczka*, jest czarodziejstwem i maskaradą.

Piękna Ida, córka króla Gamy, który jast monarchą Południa (okolic tych nie znajdzie na mapie) zaręczoną była dzieckiem jeszcze, księciu Północy. Gdy dojrzała, dopominają się o nią. Ona, dumna i wykarmiona na uczonych rozmowaniach, oburzyła się na przewodztwo mężczyzny, i ażeby wyzwolić kobiety, ufundowała na granicach uniwersytet, który ma podnieść pleć jej, i stać się kolonią przyszłej równości. Narzeczony wraz z dwoma przyjaciółmi, Cyrylem i Floryanem, dostaje na to pozwolenie od starego króla, i przebrany za dziewczynę, wstępuje do owego dziewiczego uniwersytetu, gdzie żaden z mężczyzn pod karą śmierci wejść nie może. Wiele wdzięku i lekkiej ironii, w opisie tego dziewiczego uniwersytetu. Poeta igrza z pięknością, trudno o żart romantyczniejszy i bardziej delikatny. Trzeba się uśmiechać, słysząc wielkie a mądre słowa, wychodzące z tych ust różowych: „Oto siedzą wzdłuż ławek na podobieństwo gołąbków, które obsiadły dach strzechy, w chwili gdy słońce pada na ich białe piersi;“ słuchają tyrad historii i przyrzeczeń odnowienia społecznego, ubrane w suknie jedwabne lilla ze złotymi paskami: „światne jak motyle dopięroco wykłute.“ Pomiedzy niemi dziecię, Melissa, i „biała róża, podobna do rycerza kwietniowego, z napół otwartemi usty, ze wszystkiemi myślami widocznemi w jej pięknych oczach—niby agatami piaskowemi kołyszącemi się i migotającemi o zaraniu, i kryształowych nurtach przezroczy-stego morza.“ A miejscoe pomaga urokowi. Brzydki wyraz: „uniwersytet“ nie oznacza bynajmniej koszar lub brudnego hotelu. Tutaj, jak w każdym angielskim uniwersytecie, kwiaty wiją się wzdłuż portyków, latorośle oplatają stopy posągów, róże uścielają aleje swemi listkami; krzaczki wawrzynu rosna naokoło przysionków, dworce imponują swą marmurową architekturą, powyginaną w rozliczne fryzy, poprzdzielaną urnami, z których przewieszają się zielone warkocze roślin. W pośrodku fontanna, a „Muzy i Gracye otaczają ją grupami.“ Po lekyi, jedne w wysokiej łąk murawie, pieszczą przyswojonego pawia; inne „wsparte o balustradę, ponad zarumienionemi łanami, oddychając wietrzykiem, który wzdęty zapachem niezliczonych róż, głaszcze ich powiekami swém tchnieniem.“

Poznać po każdym ruchu, po każdój postawie: młode dziewice angielskie; ich to blask, świeżość i niewinność. A tu i owdzie znowu, dostrzedz można głęboki wyraz wielkich zamarzonych oczu; „Łzy—śpiwa jedna z nich—próżne łzy, ja nie wiem co one znaczą.—Łzy wy-

trysłe z głębi jakiegós boskiej rozpaczy, wznoszą się do serca a gromadzą w oczach; kiedy się patrzy na szczęśliwe pola jesieni, a myśli o dniach, które już minęły.“

Oto rozkosz wykwintna, marzenie pełne rozkoszy i smutku, dziecię namiętności lekkie i melancholijne, takie jakie odnaleźć można w jego *Winter's Tale* (gadka zimowa) i w *Nocy królów*.

Pojechali wszyscy na koniu, z księżniczką i jej orszakami, i zatrzymali się przy oberży niedaleko zarośli. Cyryl, rozgrzany winem, zaintonował pieśń hulacką, przezco się zdradza. Oburzona Ida, chce odjechać; ale noga się jej pośliznęła i wpada w rzekę; książę ratuje ją i chce uciec, lecz chwytają go dozorcynie i przyprowadzają przed tron, na którym siedzi dumna księżniczka, gotowa wyrzec słowo sądu. Wtém słyhać zgiełk. To ojciec księcia, przybył ze swém wojskiem uwolnić go i zabrać króla Gama jako zakładnika. A tak księżniczka musi puścić na wolność młodzieńca; więc zbliża się doń z włosom rozpuszczonym, z rozwartemi nozdrzami, z burzą w sercu i dziękuje mu z gorzką ironią: „Dobrześ się sprawił jako szlachcic i jako książę! I dobrześ wyglądał w sukniach kobiecych.“ Drży cała w swój obrażonej dumie, jąka się, usiłuje być spokojną ażeby mówić tém sroższe obelgi, i nagle wybucha: „Śmiałeś wkraść się tutaj, oszukać nas, kłamać i ubliżać nam! i ja miałabym cię zaślubić! być twoją niewolnicą?! Nie, choćby wszystkie złoto jakie leży w głębi ziemi złożyło się na twą koronę, choćby wszelki język ludzki czcił cię panem! Pani! twoja fałszywość i oblicze twoje, wstrętne dla mnie. Odejdź! Niechaj go wypchną za drzwi!“

Jak tu ulagodzić to dzikie serce rozjątrzone gniewem kobiecym, rozdrażnione obelgą, i uniesione długiém marzeniem potęgi? Ale jakże jej z tym gniewem pięknie!... Godzą się na to, że rozterkę ma rozstrzygnąć walka pięćdziesięciu z taką liczbą przeciwników. Książę zostaje zwyciężony, a Ida widzi go skrwawionego na piasku. Zwolna, stopniowo i mimowoli, ustępuje prośbom, przyjmuje rannych w swoim pałacu i staje u łóża umierającego. Wobec jego śmiertelnej choroby, uczuwa litość, a potem czułość, a potem miłość.

Pewnego wieczoru, chory przychodzi do siebie, widzi ją przed sobą jak we śnie, otwiera z trudnością blade swe usta i rzecze jej pocichu: „Jeżeli jesteś tą Idą którą znałem—nic od ciebie nie żądam, lecz jeżeliś marzeniem, snem,—słodki śnie, dotrwaj do końca. Ja umrę tej nocy—schyl się i zrób tak jak gdybyś obdarzyć mnie chciała pocałunkiem.—Ona się odwróciła, zatrzymała, schyliła i z wielkiém drżeniem serca, nasze usta się spotkały. Mimo letargu krzyknąłem—i wzdłuż żył moich drgających przesunęła się dusza, zawieszona w ognistym pocałunku na ustach Idy. Upadłem na wznak, a ona podniosła się z mych ramion, cała zarumieniona w szlachetnym wstydzie. Cała fałszywa pokrywa zleciała od jej nóg niby suknia, i ukazała się kobietą kochania godniejszą od niejednej; nieśmiertelną, gdy się wychyliła z bezpłodnej przepaści, ażeby wszystko zdobyć miłością, i gdy wzdłuż jej ciała płynął kry-

szał strumienisty, i gdy leciała wdal, wzdłuż wysp oblanych purpurą—naga, jak światło podwójne: powietrza i wody!“

Takim jest ton odrodzenia, takim był ton, wydobyty z serca Spensera i Szekspira; oni dwaj umiłowali rozkosznie formę i duszę, i boskie poczucie piękna.

VI.

Jest jeszcze inny rodzaj rycerskości (szewaleryj) rozpoczynający wieki średnie, opiewany przez dzieci, tak jak ten opiewany przez młodzieńców. Odnajdujemy go w *Sielankach króla*, tak jak ten zawarty był w *Księżniczce*. Mowa tu o legendzie Artura, i rycerzu „Stołu okrągłego.“ Tennyson z przedziwną sztuką, odnowił uczucia tej epoki i język, bo dusza jego giętka i skłonna do odtworzenia wszelkiego rodzaju wrażeń. Tym razem stał się epicki, starożytny i naiwny, jak Homer i starzy trubadurowie. Miło to zapomnieć o naszej cywilizacji uczonej, zwrócić się do epoki i obyczajów pierwotnych, wysłuchać słów płynących jak rzeka spokojna obficie i zwolna. Właściwością dawnej epopei jest jasność i spokój. Idee dopiero kielkują, a człowiek jest szczęśliwym i dziecięcim jeszcze. Nie miał czasu jeszcze obmyślać z rozwagą, oświeślać i ozdabiać myśl swoją, więc ją ukazuje w całej nagości. Nie ma też jeszcze żądź rozlicznych, i myśli swobodnie. Każda idea go zajmuje, rozwija ją z ciekawością i objaśnia. Przechodzi z jednego przedmiotu w drugi, a każdy przedmiot wydaje mu się piękny; zatrzymuje się, patrzy i lubuje się w tém patrzeniu. Ta prostota i ten spokój, dziwne są i piękne; zadowoleni nie pragniemy iść prędzej naprzód, i zdaje się nam, iżbyśmy tak na zawsze pozostać chcieli. Myśl bowiem pierwotna jest zdrową myślą, a myślny ją skazili nowoczesną kulturą, więc powracamy do niej chętnie, znajdując w niej zadowolenie i spokój.

Lecz w pośród wszystkich epok, odznacza epokę „Stołu okrągłego“ czystość. Artur „król bez nagany,“ zgromadził sławnych towarzyszy, kwiat ludzi, ażeby służyli za modłę szerokiemu światu, i żeby stanowili piękny początek stulecia. Złożył ich ręce w swoje, kazał przysiądź że będą szanować swego króla jak gdyby on był ich sumieniem, a sumienie jak gdyby ono było ich królem; że niebędą spotwarzać ani słuchać potwarzy, że przepędzą życie swe w czystości a ukochają jedną tylko dziewicę, której poświęcą szereg czynów szlachetnych.

Przyjemność to wyrafinowana poruszać tym światem, bo trudno świat taki znaleźć. Ukazmy tylko jedną „Helenę“ „lilię z Astolatu“ która ujrawszy raz tylko Lancelota, kocha go odtąd przez życie całe. Zachowała puklerz, który on zostawił, i codzień wchodzi na wieżę ażeby mu się przypatrywać, licząc szczyby żelaza i żyjąc swém marzeniem. Gdy Lancelot raniony, pielęgnuje go i leczy, a przecież szeptała żałośnie: „Nadaremnie, on mnie nie pokocha. Trzeba więc iżbym umarła!“ „A potem jak biedny niewinny ptaszek, który śpiewa krótką tylko pio-

senkę—powtarzając ją ciągle i zawsze, przez cały poranek kwietniowy, aż ucho znuży się słuchaniem, tak i ona, dziecię niewinne, ochodziła po nocy powtarzając: „Trzeba więc, ażeby umarła?“ Oświadcza się nareszcie, ale z jakąż wstydlivością i z jakim zapałem! Lecz on posłubić jej nie może, bo związany z inną. Ona ubumiera, chcą ją pocieszyć, ona nie chce pocieszeń; mówią jej, że Lancelot zawinił względem królowej, ona nie wierzy, mówiąc do swych braci: „Drodzy bracia, mielibście zwyczaj gdy jeszcze małą byłam dziewczynką, brać mnie ze sobą w czółno, i wieźć mnie po wielkiej rzece. Nie chcieliście tylko przepływać obok przylądka, na którym rośnie topola. A ja płakałam, żeście nie chcieli płynąć dalej, poza rzekę błyszczącą, dopóki byśmy nie natrafili na pałac króla. Teraz jednak popłynę.“ Umiera, a według ostatniego jej życzenia, uwożą ją „jak cień, przez pola jaśniejące kwieciami letnim“ i kładą na czółno, pokryte całe żałobą. Czółno płynie ku przylądkowi, „a na niém umarła, z lilią w jedném ręku, w drugim z listem który sama podyktowała, a białe jej warkoczki osłaniają ją dokoła. Całun był ze złotogłowia, ona cała w bieli oprócz twarzy, a twarz ta rysów tak czystych—była słodką, gdyż zdawało się że ona żyje, tylko śni głęboko, uśmiechając się w tym spoczynku.“ Tak przyżywa w wielkiem milczeniu, a król Artur czyta list w obec swoich rycerzy i dam płaczących: „Szlachetny Lancelocie z Jeziora—ja, która nazywano czasami dziewicą z Astolatu, przybywam tu, boś mnie opuścił bez pożegnania; przybywam ażeby się z Tobą ostatni raz pożegnać. Kochałam Cię, i dlatego wierna moja miłość stała się moją śmiercią. Dlatego w obec pani naszej Ginewry i wszystkich innych dam, żalę się. Módlcie się za moją duszę, i nieodmawiajcie mi pogrzebu. I ty prosz za moją duszę Lancelocie, boś jest rycerzem, któremu nie ma równego.“ Kończy na tém ostatniém słowie, pełném żalu i uwielbienia. Trudno o słowo prostsze a delikatniejsze.

Oto wieczór ostatniej bitwy; rycerze Artura jeden po drugim padli, i on sam padł, z głową na wskrós hełmu roztrzaskaną, a sire Bedivere, ostatni jego rycerz, zawiózł go „do kaplicy ze złamanym krzyżem, stojącej na czarnej bezpłodnej ziemi. Z jednej strony huczał Ocean, z drugiej wielka woda, a księżyc świecił w pełni.“ Artur czując że umiera, każe mu wziąć miecz swój Excalibur; ponieważ otrzymał go od bogiń morskich, więc nie godzi się iżby po jego śmierci ktokolwiek miecz ten wziął w rękę. Dwa razy sire Bedivere odchodzi, ażeby spełnić wolę króla; dwa razy zatrzymuje się i powraca ażeby donieść fałszywie królowi, że miecz wrzucił w morze; nie może bowiem odwrócić oczu od przepysznej korony brylantowej, błyszczącej na około rękojeści. Nareszcie za trzecim razem, rzuca go; „miecz wielki mignął błyskawicą przy blasku księżyca, i zatoczył w powietrzu łuk jasności, niby promienistość jutrzni północy. Ale zanim miecz dotknął powierzchni, podniosło się ramię, odziane w aksamit biały, mistyczny, cudowny, i pochwytiło go za rękojeść, potrząsłszy nim trzy razy; a potem zanurzyło się wraz z nim

w morzu. „Wówczas Artur podnosząc się z boleścią, i zaledwo oddychając, nakazuje Bediverowi wziąć się na barki i ponieść aż do rzeki: „Spiesz się, spiesz, boję się bowiem czy nie będzie zapóźno, a czuję że już umieram.“ Dochodzą w ten sposób, wzdłuż wyiębłych wydrążań i skalistych brzegów, aż do jeziora.

„Tam zatrzymało się ponure czółno, czarne jak wstęga przepasująca przód i tył okrętu, a cały pokład zapełniały kształty majestatyczne, w szarych szatach i czarnych zasłonach, niby we śnie; obok nich trzy królowe w wieńcach złotych; z ust ich wydobył się okrzyk, który odbił się w drgnieniach o gwiazdy drżące. I jak gdyby to jeden tylko był głos, powstała wielka wrzawa żalonych skarg, jak wycie wichru,—przez całą noc w opustoszałem miejscu, gdzie nikt nie przychodzi i nie przyszedł od początku świata. Wtedy Artur szepnął: „Ułoż mnie w czółno.“ Doszli do czółna; trzy królowe wyciągnęły ręce i płakały. Lecz ta, która była najwyższa między niemi i najpiękniejsza, wzięła głowę króla w swoje dłonie, i odpięła hełm strzaskany, i wołała go po imieniu płacząc w głos.“ Czółno odpływa, a Artur podniesionym i powolnym głosem, pociesza sire Bedivera, narzekającego nad brzegiem, temi słowy pożegnania, bohaterskimi i uroczystymi: „Stary porządek zmienia się ustępując nowemu, i Bóg dopełnia się w wieloraki sposób, z obawy ażeby dobry zwyczaj nie zepsuł świata. Jeżeli nie masz mnie już oglądać, módl się za mnie; więcej rzeczy dokonało się modlitwą, aniżeli świat ten wiedzieć może. Przez nią to ziemia, okrągła cała w swych częściach, leży wiązana jakby złotemi okowy u stóp Pana. Ale teraz żegnaj mi; udaję się w długą podróż z temi tu oto które widzisz, (ponieważ dusza moja zaciemniona wątpliwościami) ku wyspie i dolinie Awilionu, gdzie nie pada deszcz, ani grad, ani śnieg i gdzie nawet wichur nie wieje ostry; ale ona rozciąga się, pokryta bujnemi łąkami, szczęśliwa, uroczą, cała w trawnikach i sadach, a tam ulecę bolesną moją ranę.“

W tych kilku słowach, trudno scharakteryzować talent tak różnorodny. Tennyson urodził się poetą, czyli budującym pałace powietrzne i zamki imaginacyjne. Ale wolen był od namiętności i zajęć pochłaniających zazwyczaj jego kolegów; nie odnalazł w sobie planu nowej budowy, więc budował według planu innych; czyli wybierał poprostu formy najwykwintniejsze, najozdobniejsze i najdoskonalsze. Kwiat z tych piękności przywłaszczał sobie. Co najwięcej, jeżeli przypadkiem, tu i owdzie zajął się jakimś krajobrazem czysto angielskim i nowoczesnym. Szukając go w tym odmęcie architektury odnowionój i odnalezionój, znaleźć można ślad jego w jakiejś fryzie delikatniej wyrzeźbionój, w jakiejś różyczce wdzięczniejszój; lecz wyraźniejszy i trwalszy znaleźć można przedewszystkiem, w czystości i wzniosłości wzruszenia moralnego, które ogarnia każdego wychodzącego z tego muzeum.

VII.

Zdawaćby się mogło, że ten jest ulubionym poetą jakiegoś narodu, którego książkę człowiek światowy, wybierając się w podróż, zabiera

w torbę podróżną. Dziś tym poetą byłby Tennyson w Anglii, tak jak niegdyś a może i teraz jest Musset we Francyi. Lecz publiczność angielska odmienną jest od francuzkiej, a skutkiem tego i jój sposób życia, jój lekтура i jój przyjemności. Opiszmy jedną i drugą, a wtedy znając ogrody łatwiej będzie ocenić kwiaty.

Jesteś czytelniku naprzykład w Duwrze, i biegniesz po szynach rozglądając się naokoło. Z obydwóch stron ciągną się wille wiejskie. Jest ich wszędzie pełno w Anglii, nad brzegiem jezior, na szczycie gór, na wszystkich punktach malowniczych. Są one miejscem ulubionóm; Londyn jest tylko miejscem schadzki w interesach, a dopiero na wsi ludzie światowi żyją, bawią się i przyjmują. Jakże ten domek ładnie urządzony! Zbudowano go też obok jakiegoś starego budynku, opactwa lub zamczyska. Nowy budynek pogodzony ze starym; a chociaż jest nowoczesny, nie brak mu jednak stylu; a szczyty, okna nieruchome, wielkie okna, wieżyczki poumieszczane we wszystkich kątach, mają coś gotyckiego w swój świeżości. Nawet ta willa (Cottage) tak skromna, przydatna dla tych co mają zaledwie 30,000 fr. rocznego dochodu, mile wabi oko swym portykiem, swemi ścianami ciemnymi, pokrytymi bluszczem. Zapewne, że nie ma tu wspaniałości, bo dziś ludźmi stanowiącymi opinję nie są wielcy panowie, lecz gentlemen bogaci, dobrze wychowani i posiadacze, a obchodzi ich przedewszystkiem wygoda. Ale za to jakże się na niej znają! Wokoło domku rozpościera się gazon świeży i miękki jak aksamit, na wprost, ogromne rododendrony tworzą bukiet świetny, girlandy kwiatów exotycznych zwieszają się ku jedwabistej trawie. Wszędzie piękne wiązy, cisy i ogromne dęby, pilnie strzeżone, łączą się wieńcem lub wystawiają szeregami.

Drzewa przywiezione z Australii i Chin, zdołają wejście oryginalnością lub dziwacznością swych form; *copperbeech*, rzuca na murawę łąk cień swych liści czarnych z podkładem miedzianym. Świeżość murawy zachwycająca! Lśni się i wystawia naprzód polne kwiaty, wypolerowane na słońcu! A ile tu staranności, jak wszystko trafnie i czysto rozporządzone, utrzymane, oczyszczone dla przyjemności zmysłów! Spadzistości i odpływy złagodzone ściekającymi rowkami, w kształcie małych wyseppek w głębi doliny, zaludnionej krzakami róży; kaczki wyborowego gatunku pływają w jeziorze. W trawie spoczywają tłuste woły, baranki, tak białe jakby się świeżo wykapały, i wszelkiego rodzaju bydło wzorowe, zdolne ucieszyć oko znawcy lub miłośnika.

Wracając do domu, rozpatrz się zanim wejdiesz: w perspektywie Anglicy mają rzeczywiście poczucie wsi. Jak naprzykład zręcznie umieszczono domek, tak iżby krajobraz zdawał się z daleka otoczony pagórkami, a zblizka drzewami. Wchodzisz; jakaż wszędzie wygoda i staranność! Wszystko przewidziano, uprzedzono najmniejsze potrzeby, wszystko poprawne i wykończone; zdawałoby się, że wszystkie te przedmioty

otrzymały nagrodę, a przynajmniej zaszczytną wzmiankę na wystawie przemysłowej. Usługa zaś godna przedmiotów; takiej czystości drobiazgowej, nie powstydziliby się Holandya. Sług zaś mają trzy razy tyle co my, co bynajmniej nie jest zanadto, przy tylu szczegółach służby. Służba funkcjonuje bez przerwy, bez przeszkód, każde kółko tej maszyny ma swoją odpowiednią chwilę i swoje miejsce.

Rozmawiamy z gospodarzem i wnet spostrzegamy, że zarówno umysł jego jak i dusza, zawsze były w równowadze. Wyszedłszy ze szkół, wiedział już co zrobić ze sobą; nie myślał bynajmniej oburzać się na kościół który jest prawie racjonalny, ani na konstytucyą szlachetnie liberalną; wiara i prawo są dobre, użyteczne, moralne, i dosyć szerokie iżby dać ochronę, a zarazem możność dowolnego kierunku umysłom śmiałym. Przywiązał się do nich, kocha je, według nich urobił sobie całkowity system swych idei praktycznych i spekulatywnych; nie waha się bynajmniej, nie wątpi, wié w co ma wierzyć i co mu czynić przystoi. Nie porywa go bynajmniej prąd teoryj, nie ognuśnia nieczynność, nie wstrzymują kontradykcye. Gdzieindziej, młodość jest jak woda która się zastoi lub rozproszy; tu zaś jest ona pięknym starożytnym kanałem, który przyjmuje i rozdziela ku pożytecznym a pewnym celom, całą falę swéj czynności i swych namiętności. Anglik działa, pracuje i rządzi. Żeni się, ma dzierżawców, jest urzędnikiem municypalnym, i staje się mężem politycznym. Poprawia swoją parafię, swą ziemię i swą rodzinę; tworzy stowarzyszenia, przemawia w meetingach, czuwa nad szkołami, odmierza prawo, wprowadza ulepszenia; korzysta z książek, z podróży, ze swych stosunków, ze swego majątku i ze swego stanowiska na to, żeby skierować swych sąsiadów i niższych od siebie, do jakiegoś dzieła pożytecznego dla nich i dla ogółu. Jest potężnym i jest szanowanym. Doznaje przyjemności miłości własnej i zadowolonego sumienia. Wié że ma władzę, więc korzysta z niéj dla dobra drugich. A ten trzeźwy stan umysłu, podtrzymuje zdrowe życie. Umysł ma bez zaprzeczenia światły; jest ukształconym, umie kilka języków, podróżował, ciekawie dowiadywał się o wszelkich odkryciach i wynalazkach, bezpośrednio i przez dzienniki; ale równocześnie nie zaniedbywał gimnastyki ciała. Jeździ konno, piechotą długie odbywa podróże, pływa jachtem po morzu, pilnuje zbliżka uprawy ziemi, żyje na świeżém powietrzu, unika życia sedentarnego, które wszędzie gdzieindziej doprowadza pracowników do cierpienia mózgowego, do osłabienia mięśniów i podniecenia nerwowego.

Takim jest ten świat elegancki i rozumny, wyrafinowany w rzeczach wygody, uregulowany w postępach, który przez gust swój i zasady moralisty, trzyma się zdała i nie patrzy gdzieindziej.

Jestże poeta, któryby lepiej od Tennysona przystał do tego świata? Nie będąc pedantem, jest on moralnym; można go czytać wieczorami

w kółku rodzinném; nie buntuje się bynajmniej przeciw życiu i społeczeństwu, mówi o Bogu i o duszy szlachetnie, czule, bez uprzedzeń kościelnych; nie potrzebuje złorzeczyć jak lord Bajron; nie używa wcale słów gwałtownych, uczuć ostatecznych i skandalicznych, nie zepsuje nikogo. Nikt zamykając książkę nie uczuje się pomieszany; można odkładając ją na bok, słuchać bez kontrastu, poważnego głosu pana domu, który wobec kłęczących domowników, odmawia modlitwę wieczorną. A przecież, porzucając tę książkę, odchodzi się z uśmiechem zadowolenia na ustach. Turysta, amator, archeolog, wybrał sobie z upodobaniem naśladownictwo stylu i uczuć w starożytności; myśliwy, lubownik natury, sceny wiejskie i bogaty krajobraz. Kobiety zachwycaly się portretami swój pci, tak są wykwiłtne i czyste; tak doskonale odmawował zmienny wyraz ich oczu dumnych a skromnych. Kochają go bo wiedza, że i on je kocha, a co więcej, on je szanuje, i szlachetnością dochodzi do poziomu ich czystości. Młode dziewczęta czytając go, płaczą wzruszone, a to wzruszenie jakże jest delikatne! Nigdy on nie potracił szorstko o prawdę lub namiętność; przesliznął się raczej przez wyżyny uczuć rzewnych i pięknych, i pozbiarał w całej naturze i w całej historii wszystko, co w nich było najwznieślszego i najmilszego. Starannie dobierał idei, rzeźbił słowa, i dorównał sztuką, różnaitością swego stylu, doskonałości i elegancyj światowej, wśród której tak jest czytany. Poezya jego podobna do jednéj z tych złoconych i malowanych skrzyń ogrodowych, w której kwiaty swojskie wraz z egzotycznymi, łączą w umiejętnéj harmonii swoje frezle i warkoczowe splety, swoje grupy i kielichy, swoje barwy i wonie. Zdaje się ona umyślnie stworzoną dla mieszczan dostatnich, ukształconych, wolnych, dziedziców dawnéj szlachty, przywódców nowoczesnych nowéj Anglii. Należy ona w części do ich zbytku, w części do ich moralności, i jest wymowném stwierdzeniem ich zasad, a zarazem szacownym meblem ich salonu.

Powróćmy do Calais, a rząd nie zatrzymując się nigdzie w drodze, do Paryża. Znajduje się co prawda na téj drodze nie mało zamczysk szlacheckich i domów bogatych mieszczan; lecz nie między tymi jak to ma miejsce w Anglii, szukać nam trzeba świata myślącego, eleganckiego, któryby wytwornością swego smaku i wysokością swego umysłu, stał się przewodnikiem narodu i wyrocznią piękna. Dwa są ludy we Francyi: prowincya i Paryż; jeden który obiaduje, drzymie, zięwa i słuca; drugi, który myśli, odważa się, czuwa i mówi; piérwszy pociągany przez drugi jak ślimak przez motyla, raz bawiony, to znowu zaniepokojony kaprysem i odwagą swego przewodnika. Temu to przewodnikowi, przypatrzeć się trzeba. Wchodzimy. Co za dziwny widok! Pora wieczorna, ulice błyszczą, kurz połyskliwy okrywa ten tłum zatrudniony, hałaśliwy, który się spieszy, potraça, kupi i roi u bram teatru, poza wystawami kawiarni. Czy zauważyłeś czytelniku, jak te wszystkie fizyognomie zmarszczone, pożałdowane lub zbladłe, jak ten wzrok ich niespokojny i ruchy nerwowe? Jaskrawy blask pada na te czaszki świecące, z których więksha część przed trzydziestym rokiem życia, lysa. Ażeby znaleźć zabawę, potrze-

bują nie małego podniecenia; kurz bulwarowy zaprusza lody które spożywają; odor gazowy i wyziewy brukowe, pot przyległy do zrysowanych murów, pot gorączki jednego dnia paryzkiego, „oddech ludzki pełen nieczystego chrapania“ oto, czém oddychają wesoło. Siedzą ściśnieni w około małych stoliczków marmurowych, oblani rażącym światłem, odurzeni krzykiem garsonów, wrzaskiem krzyżujących się rozmów, monotonna defiladą ponurych przechodniów, szelestem sukni dziewcząt, kręcących się nie spokojnie wśród cieni. Niezawodnie odpoczynek ten nieprzyjemnym jest, a przecież nie zmieniliby go na rozrywkę komiwojażerów. Wejźmy na czwarte piętro, do pokoju utapetowanego, zdobnego sztukateryą, posągami z gipsu, meblami nowymi ze starego dębu, i wszelkiego rodzaju figurkami na kominkach i etażerkach. Dobrze się przedstawia, można tu przyjąć przyjaciół zazdrosnych i dygnitarzy. Jestto tylko *afisz* (reklama), nic więcej; przepędza się tu z pół godziny przyjemnie i oto wszystko. Ten salon będzie dla ciebie zawsze tylko miejscem chwili, bo jest niski, ciasny, niewygodny, odnajęty na rok, zbrudzony w sześciu miesiącach, zdatny jedynie na popisanie się pożyczanym zbytkiem. Wszelkie przyjemności są tu sztuczne i jakby wydarto, coś wieje ztąd niezdrowego i drażniącego. Podobny do kuchni restauratorów, do blasku kawiarnianego, do wesołości teatrów.

Ludzie ci chcą mieć wszystko szybko, ożywiono i rozmaicie; przyjemności szaszczepili na gruncie sztucznym i rozgrzanym. Będąc wyrafinowanymi, są chciwymi; trzeba im codziennie obfitości słów barwnych, anegdot surowych, szyderstw gryzących, prawd nowych, idei różnorodnych. Nudzą się prędko, a nudów znieść nie mogą. Bawią się wszelkimi siłami, a wiedzą że się nie bawią wcale. Przesadzają w pracy i we wydatkach, w swych potrzebach i usiłowaniach. Nagromadzenie wrażeń i zmęczenie, rozciąga do ostateczności ich maszynę nerwową, a pokost ich wesołości światowej, ściiera się dwadzieścia razy na dzień pozwalając ujrzeć dno cierpień i płomieni.

Lecz ileż w nich dowcipu i swobodnego ducha! jakże go w tém nieustanném ściieraniu się zaostrzyli, jakże szybko i łatwo wszystko pochwyca i zrozumia! i jak ta uprawa szukana i różnorodna, usposobiła ich dzielnie do odczucia i zrozumienia smutku i rzewności, nieznanych ich przodkom, uczuć głębokich, dziwnych a wzniosłych, które zdawały się dotąd obcemi ich rasie! Wielkie to miasto jest kosmopolityczném; wszelkie idee mogą się tu począć, żadna przeszkoda nie powstrzymuje umysłów, niezmiernie pole myśli otwarte przed nimi, bez dróg wskazanych lub wyznaczonych. Praktyka nie prowadzi ich, ani im nie przeszkadza; rząd lub kościół oficjalny zwalnia ich z ciężaru kierowania narodem; dwóch tych potęg słuchają téż tak jak się słucha woźnego lub policyanta, cierpliwie i bez szyderstw: patrzą na nie jak na jakie widowisko. Krótko mówiąc, świat nie ukazuje się tu inaczej, tylko jak sztuka teatralna, czyli przedmiot do krytyki i rozmowy. A wiercie mi, że krytyk i rozmów, nie żałują tu sobie.

Anglik wstępujący w życie, znajduje we wszelkich kwestyach odpowiedź gotową; Francuz wstępujący w życie, nie zastaje we wszelkich kwestyach nic, prócz wątpliwości. Potrzeba więc, iżby sobie w tym starciu opinii wyrobił własne przekonania, a po większej części nie mogąc tego dokazać, nagabywanym jest przez wszystkie niepewności, niepokoje i ciekawości. W tej próżni będącej niby szerokiemi morzem, teorye, mrzonki, fantazyje, chciwości bezładne, poetyczne i chorobliwe, zbierają się razem, i gonią jak obłoki jedne za drugimi. Gdy w tym zgiełku form ruchliwych szuka się czegoś stałego, mogącego przygotować wyrobienie opinii w przyszłości, nie znajduje się nic prócz luźnych budynków naukowych, które tu i owdzie po ciemku jak polipy podmorskie, budują z niedostrzegalnych pierścieni koralowych podstawę, na której oprą się przekonania rodu ludzkiego.

Takim jest świat, dla którego pisał Alfred de Musset, w tymto Paryżu trzeba go czytać. Czytać go? Wszyscy go znamy na pamięć. Już umarł, a nam się ciągle zdaje że słyszymy jak mówi. Pogadanka artystów żartujących w pracowni, piękna młoda dziewczyna schylona w loży teatralnej, ulica wymyta deszczem, na której odbija bruk zczerniały; świeży, uśmiechnięty poranek w lasku Fontainebleau, wszystkie te szczegóły przypominają nam go żywo po raz drugi. Alboż odezwał się kto kiedy tonem bardziej przejmującym i prawdziwym? Ten przynajmniej nigdy nie kłamał. Mówił to tylko co czuł i mówił tak, jak czuł. Myślał na głos, zrobił wyznanie wiary wszystkich. Nie podziwiano go, ale kochano; był on czemś więcej niż poetą, był człowiekiem. Każdy odnajdywał w nim swe własne uczucia najpierzchliwsze, najpoufalsze; on powierzał się z całą szczerotą, bo posiadał ostatnie z cnót jakie Francuzom pozostały: szlachetność i szczerść. A nadto obdarzony był najszacowniejszym z darów, jakie czarować mogą zestarzałą cywilizację: młodość. Jakże umiał mówić: „o tej ciepłej młodości, drzewie ze szorstką skorupą, pokrywającą wszystko swoim cieniem, widnokręgi i drogi.“ Z jakimże ogniem mówił o miłości, zazdrości, pragnieniu zabaw i wszystkich gwałtownych namiętnościach, które z falą krwi dziewczęcej spływają w głębiny młodego serca! któż je lepijéj czuł od niego? Był niemi przepełniony, poddawał się im, upajał się nimi. Puścił się w drogę życia jak ów rumak rasowy stający dęba, którego zapach kwiatów i przepyszna nowość szerokiego nieba popychają naprzód do szalowanego pędu, gruchoczącego wszystko i jego samego. Zanedo pragnął; chciał jednym haustem pożądliwie pochłonąć życie, lecz go nie użył, w nim nie smakował; wyrwał go raczej jak latorośl i zgniół i zmiął i przekreślił; i pozostał sam z powalanemi rękami, tak nienasycony jak i przedtém. I wtedy wybuchnął łkaniem, rozlegającym się w sercach wszystkich. Jakto? tak młody i już tak znużony! Tyle darów nieoszacowanych, duch tak wykwintny, zmysł tak delikatny, fantazyja tak ruchliwa i bogata, sława tak wczesna i taki nagły rozwój piękności i geniuszu, a równocześnie tyle niepokoju, wstrętu, łez i jęku?! Co za zmięszanie! Jednym gestem wielbi i przeklina! Wieczyste złudzenie i nie-

zwyciężone doświadczenie stoją w nim obok siebie, aby się zwalczać i rozdzierać. Stał się starcem, a pozostał młodzieńcem; jest poeta, jest sceptykiem. Muza i jój piękność pogodna, natura i jój świeżość nieśmiertelna, miłość i jój błogosławiony uśmiech, cały rój widzeń boskich, zaledwie przemknął przed jego okiem, gdy już przelatują wśród przekleństw i sarkazmów, wszystkie widma rozpusty i śmierci! Tak jak człowiek pijący podczas uczty z rzeźbionego pucharu, stoi na pierwszym miejscu, oklaskiwany i czczony odgłosem trąb, z uśmiechniętym okiem, z radością w głębi serca, rozgrzany szlachetnym winem; i nagle blednie, bo na dnie pucharu była trucizna—i pada i dogorywa, uderzając nogami konwulsyjnie o jedwabiem przetykane dywany, a spółbiednicy patrzą nań z przerażeniem: takiego i my doświadczyliśmy uczucia w dniu, gdy najmocniej ukochany, najświetniejszy z pośród nas, zadrgnął nagle pod niewidzialnym ciosem i padł z chrapaniem śmiertelnym, w pośród świetnego blasku i kłamiwej wesołości naszej uczty. A jednak kochamy go takim jakim jest, i nie możemy słuchać innego; wszyscy w obec niego wydają się nam zimnymi i kłamcami. Wychodzimy o północy z teatru w którym on przysłuchiwał się pani Malibran i wchodzimy na tę grobową ulicę de Moulins, na której, na łóżku wynajętym położył się jego Rolla i zgasnął na wieki. Latarnie rzucają migotliwy odbłask na bruk ślizki, cienie wysuwają się od drzwi i snują w swych sukniach ze spleźłego jedwabiu, zaczepiając przechodniów. Okna pozamykane: gdzieś tam przebijają się światełko przez firankę źle zasuniętą, ukazując kwiat obumarły w doniczce. Jutro katarynka wędrująca zaterkocze przed temi kratami, a ołowiane obłoki skroplą swym wysiękiem te pobrudzone mury. Byćże może, iżby z tego obrzydłego miejsca powstał najnamiętniejszy z poematów? teżto brzydoty i pospolitości knajpy, poruszyły strumienie boskiej wymowy? z tychżeto brzydot nabierało się w tém skrwawioném sercu tyle wspaniałości, natury i historii, wytryskujących potem w brylantowym snopie, i pod najgorętszym słońcem poezyi, jakie kiedykolwiek istniało? Litość nas zdejmuję, i w téj chwili myśli się o tym drugim poecie, który tam na wyspie Whigt ¹⁾ usiłuje odnowić zatracone epopeje. Jakże musi być szczęśliwy wpośród tych pięknych książek, swych przyjaciół, róż i lilij! Lecz mniejsza o to; dość, że ten, w tém tu miejscu, w tém błocie i w téj nędzy, wznosił się daleko wyżej. Z wysokości swego zwątpienia i swój rozpaczy, widział on nieskończoność, tak jak się widzi morze, z wysokości przyłodka miotanego burzami. I wtedy, religie, sława i jój upadek, ród ludzki, jego boleści i przeznaczenie, wszystko co się zwie wzniosłem na tym świecie, ukazało mu się w błyskawicy. Uczuł on, przynajmniej tym razem w swoim życiu, tę burzę wewnętrzną wrażeń głębokich, marzeń olbrzymich i rozkoszy ponętnych, samo pragnienie których, daje życie a brak zabija. Nie był on zwyczajnym dyletantem, nie zadawał się samém smakowaniem i użyciem; lecz wycisnął swe piętno na myśli ludzkiej, i wypo-

¹⁾ Dziś W. Hugo mieszka w Brukselli.

wiedział światu czém jest człowiek, miłość, prawda, szczęście. Cierpiał ale odkrywał; upadał ale tworzył. Wydarł z rozpaczą ze swych wnętrzności idee poczętą przez siebie, i ukazał ją oczom wszystkich skrwawioną ale żywą! Jestto daleko trudniej i daleko piękniej, aniżeli głaskać i podziwiać idee innych.

Jedno tylko dzieło na tym świecie, godnem jest człowieka: poczęcie jakiejś prawdy, której się on poddaje i w którą wierzy! Świat który czyta Tennysona wart więcej od naszej arystokracji mieszczańskiej, i od naszej *Bohemii*, ale ja wolę Alfreda de Musset aniżeli Tennysona.

HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom II.

I.

Gdy król w Warszawie z nudów i za rozkazem pani Przebendowskiej składał hołdy Denhoffowej, odegrywającej komedya pod dyktowaniem daleko od niej zręczniejszej matki, Cosel jak osłupiała, zaledwie wstawszy ze słabości odbytej, słuchała codzien doniesień, któremi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkiém zawiadomioną... A że król obawiał się zazdrości jój i gwałtowności charakteru, otoczono ją szpiegami, którzy każdy krok, myśl i słowo pilno postrzegać mieli...

August rad się był jęj pozbyć, chciał razem uniknąć rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknej Cosel, ale nadto był słabym, bałamutnym, żeby się osnutęj oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim co chciały, bawiła go nowość i po raz setny rozpoczynane też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i ziewaniem, dla tamtych łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafiły pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Cosel, chociaż widział on sam wielką między tamtymi a nią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, tęg żadnęg; ale Cosel groziła królowi odebraniem życia, potem sobie: pogróżka jęj nie była czczém słowem. Można się jęj było obawiać. Nakazano więc w Dreźnie mieć oko na Cosel i wszelkie jęj kroki; lękano się ażeby nie chciała przybyć do Warszawy: Flemming znał słabość króla, bo sam z nięj korzystał, dysgracyonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukazanie się Cosel, jęj piękność, wyższość, władza nad królem, wszystko zniszczyć mogły i obalić.

Wielkiemu marszałkowi Löwendhalowi szepnięto by szczęścia probował. Cosel miała klejnoty, dobra, domy, i była jeszcze młodą i piękną... Szło zresztą o to, aby jęj zarzucić niewiarę.

Jednego poranku Haxthausen przyjaciel hrabinęj zastał ją we łzach i płomieniach, podbiegła ku niemu łamiąc ręce oburzona:

— Uwierzyłżebyś pan—zawołała—ten niegodziwiec, ten nikczemny, który mi wszystko jest winien, Löwendhal, w tęg chwili śmiał mi swą miłość oświadczyć.

Złajałam go jak podłego człowieka, zagroziłam mu że do króla napiszę. i ma szczęście że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić, drżała z oburzenia i gniewu, a łzy się jęj z oczów toczyły.

— A! przed kilku miesiącami—rzekła—nie śmiałby był uczynić mi tęg obelgi.

Krok ten Löwendhala był jakby znakiem dla hrabinęj, że jęj godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowęg, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś głośnych przygód po świecie.

— Królewskie listy—odezwała się do Haxthausena—znacznie zmienione. Słyszałeś co pan o Denhoffowój?

— Mówią o tém—rzekł Haxthausen.

— W jakież błoto go wciągnięto!—zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming który całą sprawą kierował, powrócił do Drezna; król mu polecił pozbyć się z wolna hrabinęj, ale postępować z jak największą względem nięj delikatnością.

Przybycie jego zrazu przeraziło Cosel, lecz po kilku dniach przekonawszy się iż przyjechał w usposobieniu wcale odmiennem i unikał wszelkiego powodu do zajęć nowych, uspokoiła się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku, król chciał mieć wolnym; szło o to ażeby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można dobrowolnie.

Posłano z tém łagodnego Haxthausena, który smutne swe i ciężkie poselstwo sprawił z jak największém poszanowaniem i względami dla hrabinęj. Z wielkiem podziwieniem jego, Cosel odezwała się:

— Król mi go dał, więc odebrać może. Miejsce to nadto mi lepsze czasy przypomina, ażebym wyżyć w niem mogła: wyniosę się chętnie.

W téj chwili wydano rozkazy, spakowano rzeczy, najęto dom przy Moritzstrasse i w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebracy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabinęj z tego raj u napełniła nieprzyjaciółki jęj radością. Był to znak nieochyby zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swemi poufałami powtarzała że jest żoną, i że król opuścić jęj nie może. Jeszcze w roku 1705, August w chwili gdy był rozkochanym w nięj, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz; Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała...

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dokoła, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród której gęstemi krzewy zarosła wyspa, jak kłąb zielony,

jak kosz pełen kwiatów przeglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz, i pusto było dokoła.

Król coraz bardziej wymagający napisał do Flemminga, iż chce swój Denhoffowej Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel by się z nią spotkała, ani dla niej by na porywczosć hrabinę narażała się; trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Flemming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiście; zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawić.

— Zmiłuj się pan—rzekł grzecznie—pomóż mi; król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić dopóki Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mu ciągle że życia nie będzie pewna, poki nieprzyjaciółkę tu czuje. Samemu królowi tylekroć groziła hrabina pistoletem, że i król radby ją widzieć gdzieindziej: jak wiécie, nie lubi on spotkać się z temi, których dotknął lub obraził.

Wiém że Cosel ma mnie za wroga: nie byłem nim nigdy, dodał Flemming; rozgniewała mnie chwilowo, dziś to zapomniane. W położeniu w jakim się ona znajduje, uchybiłbym jej nie chciał, ani przyprowadzać ją do ostateczności. Idź pan, skłoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym niepotrzebował słać do niej rozkazu, coby jej większą uczyniło przykrość.

Haxthausen wysłuchawszy tych słodkich wynurzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w dość dobrym humorze, Haxthausen zaczął od żarcików:

— Wiész pani—rzekł—iż się nie mogę wydziwićzłemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaku. Nie znam pani Denhoff, ale z tego co o niej wiemy, zdaje się iż ta fantazyja prędko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachciéwa się spleśniałego razowego, ale po kilku kąskach do pierwszego się powraca.

Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylebyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się że przychodził z jakimś poleceniem.

— Czy znowu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwiniając w tę bawełnę pochlebstwa?

Haxthausen popatrzał smutnie i głową dał znak że tak było w istocie.

— A więc mów pan...

— Byłem u Flemminga—rzekł—pokazał mi rozkaz króla, który chce byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyniosła się do Pillnitz. Sądzę że to i dla pani samój będzie przyjemniejszym, niż patrzeć...

Łzy stanęły jej w oczach: spuściła oczy.

— A! tak mi trudno! tak trudno!—zawołała cicho—Wiem żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach niema zdrady, a tu jej się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba; jednak, nie wiesz pan ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali zakrywając chustką oczy. Dawna gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcym okiem osłonić, potem otarła je żywo.

— Widziałeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmyślili go oni...?

— Daję pani słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

— Nie znają mnie—zawołała—drażnią, aż do wściekłości przyprowadzą, aż do okrutnej, szalonej zemsty obudzą. Wiedząż oni do czego ja dojść mogę gdy raz gniew mną owładnie? Myślaż że poszanuję ich, jego nawet, tego człowieka który sądzi że mu korona daje prawo urągać się uczuciom i pomiatać ludźmi?

Haxthausen słuchał milcząco.

— I to wszystko—dodała—spotyka mnie dla jednej Denhoffowej, której ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z niemi..! Prawdziważ godna ulubienica dla króla... Chcieli go więc poniżyć i zbezczęścić dając mu taką kobiętę. O! ci ludzie, ci ludzie...

I znowu płakać zaczęła.

— Mogłażem się tego spodziewać? jakże nie miałam wierzyć mu—mówiła łkając—przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce; poświęcał mi co miał najdroższego: nie wahał się uznawać mnie przed światem, tyle lat

szczęścia... spokoju ukołysały serce, uwierzyłam, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie? Jam go kochała, on mi nic wyrzucić nie może; byłam mu wierną: jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz z trwogi o niego? Życie, obyczaj, wszystkim zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tylu, mamże go stracić, pozostać sama, sierotą, bez opieki, bez słowa pożegnania, bez wyrazu współczucia! A! ten człowiek niema serca.

Serca?—poczęła śmiejąc się—nigdy go nie miał: rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igra z ludźmi, z uczuciami, z tém co dla innych święte, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem.

Ale któż kiedy pochwali się że znał tego człowieka—dodała—jak aniół dobry, umie być jak szatan zimnym i bezlitosnym; w pocałunku kryje nienawiść, w uśmiechu ostatnia zemsta: słowa mu z ust płyną słodczy pełne, aby uspiły ofiarę.

Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzeć nogi i usnąć wygodniej, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych by mu się z pod stóp nie ruszyli.

Oczy jój mówiąc gorzały, Haxthausen słuchał nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową goryczy pełną.

Pół godziny trwały te wybuchy namiętne, coraz zmieniając ton; na ostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trawiła. Umilkła.

— Pani!—odezwał się poseł—ktożby się mógł dziwić twemu gniewowi: jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz pani wątpić iż ja pragnąłbym innego ci losu oznajmienie przynosić; lecz jestże środek zaradzenia temu? W tej chwili nie ma innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby sobie drogi do powrotu nie zamknąć. Znasz pani najlepiej zmienny umysł króla: nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go pani odzyskać, trzeba dziś myśleć o jutrze i dlań się zachować.

— Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu!—odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

— Ale mi pozwól pani być szczerym—rzekł poseł.

— Mów otwarcie.

— Flemming jest dla pani jeśli nie zmienionym, to przynajmniej lepiej, łagodniej, względniej usposobionym niż był kiedykolwiek; trzeba go w tém usposobieniu utrzymać. Któż wie? na dworze zmienia się co chwila wszystko: możesz mu pani być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczny i uczuć się może wzruszonym. Straszono go ciągle odgrózkami pani, pistoletami, zemstą, gniewem... Nieprzyjaciele jęj mieli je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Drezna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażnioną, nie zbliży się do niej nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną.

Masz pani przykład na hr. Königsmark—dodał—potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z ks. Teschen pozwolono jęj zostać w Dreźnie, widywać go; gdy przeciwnie Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

— Ale jakże mi pan śmiesz—zawołała gniewnie—stawić takie przykłady. Esterle! Königsmark! to były metresy króla: ja jestem żoną jego!.. nie równaj mnie pan z niemi...

Haxthausen zamilkł.

— Zresztą masz pan słuszność, nie chcę go gniewać; chcę się okazać łagodną i posłuszną: pojedę jutro.

Już poseł miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle, uderzając nogą.

— Nie będą śmieli zmusić mnie do tego; król sam nie odważy się na to... to nie może być! nie! nie!

Haxthausen począł ją łagodzić, uległa mu... ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powolności, wracała do oporu i burzyła się.

Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie; naostatek znużonemu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

— Nie pojedę; zostanę: niech gwałtu użyją... jeśli się ośmiela.

— Namyśl się pani, na Boga; proszę panią.. cóż powiem Flemmingowi.

— Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do generała z tą smutną nowiną i z opisem całej swój rozmowy.

Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nic nie mógł uczynić: siły widocznie użyć nie chciał. Po długich namysłach, prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niej.

Baron miał siostrę niezamężną Emilię, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru; tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodności, a mogła buntując się szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znowu oburzyła na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już, mając jój słowo, że odjedzie dobrowolnie, i za każdym odwoływała ich ode drzwi.

Widocznie rachowała i waząc wszystko, nie mogła być pewną, co dla niej lepszym być może.

Flemming dowiedziawszy się o tém, że hrabina ostatecznie odmówiła, dał jój jeszcze dwa dni do namysłu.

Trzeciego dnia pojechał do niej.

Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnej sukni z zapłakanemi oczyma, ale z postawą dumną.

Flemming przedstawił się jój z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

— Stawiasz mnie pani w najprzykrzejszym w świecie położeniu—rzekł spokojnie— im pewniejszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tém mocniej usiłowałem jój oszczędzić przykrości; wstrzymałem rozkaz króla kilka dni: przynoszę go pani. Jeśli nie zechcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszonym spełnić go, w jakikolwiekby sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreźnie.

Stojąca przy oknie Cosel, zobaczyła oddział konny trabantów, który przed jój mieszkanie nadciągnął i ustawił się w ulicy; błysnęły jój oczy czarne, ale się pohamowała.

Spojrzała na list.

— Jadę natychmiast!—rzekła z lekkim ukłonem—możesz pan zaufać słowu mojemu.

Flemming schował list, uklonił się i wyszedł, trabanci pojedechali za nim.

W godzinę potem, hrabina Cosel, płacząc ukryta w powozie, jechała do Pillnitz. Wszystko to dokonało się wprzód, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płochy i bez czucia, nie chciał on zerwać z hr. Cosel, nie okazawszy jój pewnych względów, należnych po tylu latach pożycia; niepokoiło go to, iż nie miał powodu do zerwania, że okaże się winnym, nie mogąc z jój strony znaleźć winy.

Gdy Löwendahlowi tak się nieszczęśliwie powiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono do układow jakichś Watzdorfa i usłużnego, ale niezgrabnego von Tinen, którego król używał ale nie cierpiał.

Watzdorf, niemniej wstrętliwy Augustowi, zwany chłopem z Mansfeldu przez niego, był grubianin i niezgrabny.

Watzdorf na dworze nie wiele znaczył, ale Flemming go bronił i nim się opiekował. Jednego dnia, gdy się go najmniej spodziewać mogła hrabina, zjawił się w Pillnitz.

Jedyną jego wymówką, że się znaleźć nie umiał i z hałasem zaraz wpadł do domu kobiety, której się już nie lękał, było to, że przybył pijany. Podróż od Drezna wcale go nie wytrzeźwiła; polecono mu układy z hr. Cosel, wystawiał więc sobie, że mając losy jój w ręku, mógł pozwolić sobie, co się podoba.

Już po wnijsciu do pokoju bez oznajmienia, poznała hrabina chłopca z Mansfeldu.

— Kochana pani—zawołał śmiejąc się od progu—jestem posłany przez króla J. M., powinnaś mi pani być rada. Przywożę jój doskonale nowiny. Król, któryby mógł i nic pani nie dać i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy, życzy sobie rozstać się z zobopólném zadowoleniem i zgodą: słyszy pani?

— Słyszę panie hrabio, ale nie rozumiem—dumnie rzekła Cosel.

— A jaka zawsze śliczna!—dodał Watzdorf, zbliżając się i ująwszy najprzód rękę; namyślił się, nagle podniósł głowę znajdując iż lepijby w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny piękną rączką dała mu policzek.

Watzdorf stał chwilę zdumiony.

— To tak?— zapytał.

— Tak— odpowiedziała Cosel pokazując mu na drzwi; król powinien był wiedzieć, że takiego gbura za posła do mnie nie godziło mu się wybierać.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilkł, położył kapelusz i został.

— Niech to idzie w zapomnienie— rzekł— ja nie jestem mściwy, a zresztą, policzek z tak piękną rączki nie bezcześci... ówszem...

Chłop z Mansfeldu został nawet potem na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie; obiecywał bowiem hrabinie najświetniejsze warunki, wymagając jej serca.

Rozśmiała mu się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmyty.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendahl'a, odradzono jej to: Watzdorf zajmował się wówczas finansami, dostarczał pieniędzy: walka z nim była trudną.

Nasłano później van Tinen'a, o którym na dworze rozpowiadano, że się w niej szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen życzliwszy dla niej, nienawistny był królowi; pozwalał sobie zbyt wiele... dawał mu rady mentorskie i zniecierpliwiał go do tego stopnia, iż król, który po trzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnymi rękami, a raczej nogami nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinena na progu pokoju, w którym August siedział już po wielu kielichach, przestrzegł go, żeby nie wchodził.— Król nie lubi cię: nie włącz mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobrej rady, wszedł: August się skrzywił. Po chwili van Tinen ośmielony, począł rozprawiać; król milcząc odwrócił się od niego: ten zaszedł z drugiej strony, włączył pod samą rękę olbrzyma, który milcząc patrzył nań z gó-

ry. Przytomni, widząc jak oczy Augusta błyszczały, radzi byli ostrzedz nieopatrznego, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał szczebiotania natrętnego, nareszcie zaczął coś mówić; von Tinen przerwał: król zamilkł. Po chwili odezwał się znowu i jeszcze raz wpadł mu ze słowem van Tinen. W téj chwili, jak dzik rozżarty król, zwrócił się ku niemu; ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżej, drugi cofając coraz bojaźliwiej do kąta gabinetu. W chwili, gdy van Tinen oparł się jak trup błądy o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił nim na posadzkę i począł go bić nogami, tak że zbitego na miazgę, słudzy porwawszy bez zmysłów już leżącego, na łóżko ponieśli i o mało życiem głupstwa swojego nie przypłacił.

Na żadnym z tych ludzi, nie mogąc zdobyć król nic, coby Cosel obwiniało, zasłyszał wreszcie plotkę, że tajemną intrygę miała z bratem Lectereine'a, który był uszedł za granicę. Posłano po niego, wdano się w targi, aby niewinną oczernić, ale i to się nie powiodło.

Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Drezna, aby mieć powód do znęcania się nad upadłą.

Postępowanie to mogło ją goryczą napełnić i do rozpacz przyprowadzić; mogła się czuć obrażoną na króla, który dozwalał ją dręczyć i nasyłał takich ludzi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreźnie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciały listy kresami wysłane, aby o tém oznajmić marszałkowej. Natychmiast zwołaną została rada familijna; trwoga była niezmierna. Przybycie Cosel mogło tę całą tak szczęśliwie osnutą komedję, zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczej oplątany przez te panie. Ułożono dlań scenę nową.

W godzinie o której król zazwyczaj przybywał w odwiedziny do pani Denhoffowej, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonemi, siadła piękna zalotnica na łóżku, z chustką do otarcia łez, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznały tę pozę piękną i wielce efektową.

Gdy król wszedł, udała że go w rozpaczy swój zagłębiona, nie postrzega.

— Cóż ci to jest piękna pani! — zapytał król troskliwie!

Denhoffowa udała że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domagając się łez przyczyny.

— N. Panie—odrzekła patetycznie Denhoffowa—zagrożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! umrzeć byłoby niczém, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało... ale... niestety... ludzie chcą mi z życiem wyrzucić razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy... może się już tu znajduje... może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty królu przybywasz tylko aby mi oznajmić że powinna ustąpić szczęśliwej rywalce...

— Ale cóż pani śnisz — przerwał król zdziwiony — żkąd to wszystko, mógłżebyś ja panią zdradzić? Nie, pani, nierozzerwane węzły łączą nas, twój charakter pełen słodyczy, twa dobroć dla mnie, są rękojmią że ci nigdy żadna Cosel szkodzić nie może.

— A! panie mój — ciągnęła dalej Marynia — bogdajby to co mówisz prawda było, bogdajbyś mi odpłacał miłością tak szczerą jaką ja mam dla ciebie. A! umrzeć dla mnie jest niczém, ale cię utracić to nad siły... wyrzec się życia prędkiejbym mogła, niż tego szczęścia które mi się uśmiechało! Królu, jeśli mnie kochać przestaniesz, weź to życie: nie chcę go więcej.

— Ale moja droga hrabino — odparł król — byłoby z méj strony niegodziwością takie wyznanie, tak słodkie wyrazy z ust twych, niewdzięcznością zapłacić.

— Dzięki ci panie, za tak słodką nadzieję — mówiła ciągle Marynia — mimo to ja się uspokoić nie mogę, trwoga mną owłada... Ta nieznośna rywalka zbliża się... będziesz ją widzieć, pochwyci znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą tak długo zachować umiała.

— Czegóż się pani dręczysz — przerwał król troszkę niecierpliwie — jakimże ją sposobem uspokoić mogę... Owszem, pozwól niech Cosel przyjedzie, odniesiesz tryumf nad nią.

— Nie, nie!—zawołała Denhoffowa—jeśli Cosel ma tu przybyć, ja opuszczam Warszawę: ta kobieta targnąć się może na mnie, najniegodziwszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie téj rozmowy stała pode drzwiami, gotowa wniść gdy znak usłyszy; Marynia kaszlnęła... drzwi się otwarły i weszła udając zdziwioną i niewiedzącą zupełnie że król się tu znajdował.

— Bardzom szczęśliwy że panią widzę—zawołał król wstając—chodź pani i pomóż mi uspokoić córkę swą, która mnie obraża posądzeniami nie słusznymi.

— Ale o cóż idzie, N. Panie?

Marszałkowa udawała zdumioną.

— Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywią zania—dodała żywo.—Nie powinno to W. K. Mości obrażać.

— Posłuchajże pani...

Tu król opowiedział wszystko... Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę to na niego; minę miała skłopotaną.

— Przebaczysz mi W. K. Mość—rzekła po chwili— ja się córce mojej nie dziwuję wcale. Wiadome są całemu światu pogroźki hr. Cosel, znany jest gwałtowny jój charakter. Wszak śmiała grozić wam nawet N. Panie!

— A więc—przerwał August—o co idzie? dla waszój spokojności, wydam natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zwrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa składając ręce, wykrzyknęła przejęta wdzięcznością:

— Szczęśliwą, możesz się nazwać Maryniu kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

— Ośmielam się uczynić jeszcze uwagę, że pani Cosel, łaskami W. K. Mości uzuchwalona, nie łatwo kogo posłucha, należałoby kogoś wyprawić... kogoś takiego, coby umiał..

— Wybierzcie panie kogo chcecie!—zawołał król trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed N. Panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości.

Marszałkowa miała już gotowego do téj wyprawy człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z ks. Polignac'iem do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobił sobie tytuł szambelana J. K. Mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w pół godziny, gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zawrócić z drogi hrabinę Cosel.

— A jeśliby rozkazu W. K. Mości usłuchać nie chciała? — spytał Francuz — w takim razie co mam uczynić?

Król stał chwilę zamyślony, wyraźnie kosztowało go to do czego został zmuszony.

— Dam wacpanu w pomoc La Haye podpółkownika moich kawaler-gardów, i sześciu gwardzistów, zdaje mi się że to już wystarczyć powinno.

Nie tracąc czasu posłano po pana La Haye, który z ust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i téjże nocy oddział wysłany przeciwko jednej kobiecie bezbronnej, wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym, gościńcem który wiódł z Warszawy do Drezna.

A jak czułe były podziękowania, i jak wielka potém radość z odniesionego tryumfu!!.

II.

Hrabina raz postanowiwszy widzieć króla i sama w obronie swój stanąć przed nim, z małym dworem wybrała się w drogę chcąc pospieszyć tak, ażeby ją wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nie opuszczający jój nigdy wierny Zaklika towarzyszył w téj podróży. Cierpiał on niewymownie nad losem swój pani, ale w naturze jego było milczćć tém uparciój, im więćć bolał... Błady, wychudły, zczerniały, jechał przy powozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wyjazdem z Drezna, Cosel kazała go zawołać do gabinetu.

— Wszyscy mnie opuścili—odezwała się—nie mam nikogo, na kogobym liczyć z pewnością mogła.

Spojrzała nań: Zaklika stał chmurny.

— Czy i wy mnie porzucicie?

— Ja? nigdy!—rzekł krótko.

— Zdaje mi się że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

— Zawsze—odpowiedział uroczyście Zaklika, dwa palce podnosząc do góry jakby przysięgał.

— Chcę wam to co mam najdroższego powierzyć—odezwała się zniżając głos Cosel—powiedzcie mi, zaręczcie że chyba z życiem straciecie to co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzeć siłą, że mi będziecie strzedz mego skarbu, honoru mego jak.

— Jak relikwii—rzekł Zaklika znowu rękę podnosząc—niech pani będzie spokojną..

— I nie trzeba by żywa dusza wiedziała o tém co złożyłam w waszych rękach.

— Każe mi pani przysiąc?

— Wierzę słowu.

Trzeba jednak byś wiedział co masz strzedz. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Cosel. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyrzeczenie że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawa małżonki. Inaczej nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzeć to przyrzeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą; mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania gdzieś to pismo złożyła. Zamurować je? mogą mnie wygnać, zakopać? mogą mnie oddalić: na sobie nosić nie jestem pewna.

To mówiąc Cosel otwarła szkatułkę hebanową, sadzoną srebrem i kością słoniową, ze szkatułki dobyła pudełko złote, a z niego woreczek skórzany opieczętowany ze sznurem jedwabnym.

— Ty mnie nie zdradzisz?—odezwała się patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i łzy mu spadły na wąsy, pocałował podaną rękę, pochwycił oglądając się woreczek który złożył prędko na piersiach i odezwał się głosem stłumionym:

— Chyba z życiem go utracę.

Cosel prędko zamknęła szkatułkę.

— Jedziemy w drogę—dodała—nie wiem co się w niej przytrafić może, a może zdarzyć się i najmniej spodziewane i najgorsze, trzeba byś miał pieniądze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

— Do rachunku—rzekł Zaklika.

W kilka godzin potem Cosel z nabitemi pistoletami, które ją nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małej mieściny na pograniczu Szlązka, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiano się zatrzymać dla spoczynku, hrabina znużona kazała robić obiad naprędce i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jej końcu stało dziesiątek koni jakiegoś oddziału trabantów, który jak się domyślano, do Saksonii musiał powracać. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargon i la Hage zjawili się przed nim, prosząc aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radziby jej złożyć uszanowanie.

Pierwszy z nich znajomym jej nawet nie był. Zdziwiła się niepomału hrabina, gdy jej Zaklika to oświadczył, nawykła od niejakiego czasu do tego iż wszyscy od niej stronili. Na myśl jej nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Hage był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaleźć.

Hrabina Anna pomimo niepokoju i serca ucisku nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnej a nawet wesołej. Przyjęła oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, aże pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podróżny.

W czasie obiadu rozmowa szła dosyć swobodnie, ku końcowi Montargon który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tém, o owém i zwrócił się do hrabiniej:

— Zdaje mi się—rzekł—że pani się niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęty i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cofnęła się z krzesłem od stołu.

— Jakto? pan! pan mi będziesz dawał rady? pan masz lepiéj znać króla nademnie i moje położenie i to co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

— Pani daruje—wybąknął.

— Nie daruję panu tego—zawołała Cosel—bo to jest i niezręczność i niegrzeczność. Dajże mi waćpan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

— Odemnie pani hrabina w istocie anibyś mogła rad potrzebować, anibyś ich powinna słuchać; ale gdybym miał polecenie od króla J. M.

— Od króla?—zawołała Cosel.

— Tak jest.

— W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa—rzekła hrabina—opanowali go nieprzyjaciele moi, zrobił to czego był niepowinien uczynić i czego w téj chwili żałuje sam. Mógł król chwilowo uleść, a pewna jestem iż sam będzie rad że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon człowiek gładki, ale obrażony tonem jakim go piękna podróżna zrazu poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim a w istocie boleśnie obrażającym:

— Wdzięczybym był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia nader nieprzyjemnego—siły.

— Jakto?—porywając się krzyknęła Cosel—waćpanbyś śmiał się targnąć na mnie?

— Mam stanowczy rozkaz króla zwrócić panią do Drezną—rzekł Montargon— i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie że był synem wioskowego pisarza i krzyknęła nań:

— Precz mi, piszczyku ty jakiś; precz! — porwała za pistolet— bo ci łeb roztrzaskam.

W progu stał już Zaklika.

Montargon, który także dobrze wiedział z kim miał do czynienia i był pewnym że hrabina mu słowa dotrzyma, wysunął się co prędzej, nie otwierając już ust, a la Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób w jaki towarzysz jego dostał odprawę był dla niego nauką, la Haye zaczął z wielką łagodnością:

— Pani hrabino—rzekł—posłów ani ścinają, ani karzą; niech się pani uspokoi: myśmy niewinni że nam tak nie miłe dano polecenie. Byłbym w rozpaczę gdybym się mógł najmniejszą przykrością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! rozkazy z własnych ust N. Pana dla wojskowego, niema ratunku, one się spełnić muszą.

— Widziałeś pan króla?—spytała spokojnie Cosel.

— Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Cosel padła na krzesło drżąca.

— Niech się pani uspokoi; niema, jak mi się zdaje nic dla niej groźnego w tém wszystkim.

— Jakto? a ta Denhoffowa?

— A! to bałamuctwo przemijające—zawołał la Haye—coś nakształt romansu króla z Duval, o której dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem czy sobie jój imię przypomina. Pani Denhoff jest zamężną, mąż jój na wsi, o niczém nie wie, nie ma najmniejszego podobieństwa ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi; zobaczysz go pani i łatwo odzyszczesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniej zaczęła go Cosel o wszystko rozpytywać, la Haye umiał jój historią w takim świetle przedstawić, aby jój znaczenie zmniejszył. Po kwadransie rozmowy, hrabina grzeczniemi prośby dała się wreszcie pokonać, la Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzęgać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jój na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysłał zaraz kuryera do pani marszałkowej. Obawiając się zaś ażeby Cosel nie zmieniła w drodze postanowienia, on i la Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją nieopstrzeżeni; noclegi i popasy odprawując w kilka godzin po niej, aż pod Budziszyn, zkąd już spokojni mogli wrócić po dziękczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blisko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, śnił o nim długo i mówił sobie pocichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażaćby się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszém występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie, poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy w których jęj nie oszczędzano. Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważni gorszyli się i sarkali, a poniewieranie do bręj sławy przez kobietę zamężną, pod niebytność męża, oburzało.

Raziło to tэм więcj, iż współniczką i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczej chlubiono tэм niż tajono z poniżeniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne intryki trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, ażeby żonę do siebie wezwał. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby.

Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono doń matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swém przybyciu, pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

— Nie męczże nas temi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia całej rodziny dla twoich fantazyj poświęcać nie myślimy; mamy króla w ręku, król się w Maryni szalenie pokochał. Chcesz żebym przez śmieszna pruderią, odwozła ci ją tutaj... a nasze interesa przez to zabiła!

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

— Słuchaj waćpan—dorzuciła pani marszałkowa—masz do wyboru: albo milczć i zostawić rzeczy jak są i korzystać z łask monarszych, coby ci do twych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncyusz Grimani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

— Moja pani—odezwał się Denhoff—dzielić się sercem żony z N. Panem, nie mam najmniejszėj ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwieby mi się co z niego okroiło... bo to tam dużo ludzi do córki jęjmościnej konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnijcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięczen będę, byle prędj.

Marszałkowa była nieco zdziwioną, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się z zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy do Grimaniego; nuncyusz napisał do Rzymu: Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długi ogromne, majątki obciążone, interesa zawikłane i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoffowej, która gorliwie się wzięła do kassy J. K. M. Sprawiono najprzód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym wieku patrzyła Warszawa; potem dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czułe serce Augusta II. Posypały się dary dla całej rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacye, gdyby nie rozum, doświadczenie i zapobiegliwość matki, niewypuszczającej ją z opieki i czuwającej nad dobrem całej familii. Pani marszałkowa prosiła o coś ciągle, prosiła nader zręcznie, bardzo słodko i grzecznie; znajdowała zawsze tak słuszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkliwie umiała przemówić do serca N. Pana, iż August dawał chętnie i choć nań Sasi już sarkali, nie bardzo zważał na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żałoby uwalniał; król się musiał bawić, nie śmiano utrudniać mu rozrywek i zaprawiać je tęsknotą oddalając się od nich, tak, że bardzo prędko córki, syn i marszałkowa zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytwórcze przybory zwozić potrzeba było z Drezna; nie miał tu całej téj armii posługaczów, którzy go otaczali w Saxonii, rozumiejąc jego skinienia, odgadując myśli, siłąc się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była ubogą stosunkowo w to co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swej pani, na co go stało, zdumieć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoff obawiająca pistoletów Cosel, upewniła że jęj tam na drodze swęj nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całej rodziny, która szła za wozem tryumfatorki, zbierając co z niego spadało, nie prędzej nastąpił, aż się upewniono, że Cosel w drogę jęj nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, której w istocie więcej się lękała dla króla niż dla siebie; udawała ciągle przerażoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzedz od jakiegóś wymarzonej napaści.

Być bardzo może iż nieprzyjaciele hrabinęj, chcący zapobiedz by wróciwszy do dawnych łask u króla nie mściła się doznanej zniewagi, wpływali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania hrabiny. Dosyć że król, który rad ją był oszczędzać, i który łagodnie dosyć obchodził się po rozstaniu z innemi ulubienicami swemi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego, a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Cosel. Chciano się jęj pozbyć koniecznie, pozbyć w ten sposób aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, wiedział że ona szukać go będzie, był przekonany, iż obudzi żal w Augustcie. Jątrono więc i pobudzano Denhoffowę, która wzdragała się prześladować kobietę, i kobietę nieszczęśliwą.

Ale Flemming i Fürstemberg przestraszali ją ciągle tém, iż Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naówczas pani Denhoff straconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jęj rodzina.

Tak z jednéj strony, nasadzając panią Denhoff na króla, ażeby ją wygnał z sąsiedztwa stolicy, z drugiejj Flemming sam przypomniął mu, iż nieopatrznie, w chwili namiętności, dał na piśmie przyrzeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwalała się hrabina Cosel, że należało bądź co bądź, papier ten, bodaj zań opłaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słuszném: raz rozpoczawszy prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść dalej i odebrać nieszczęśliwej wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jęj w Pilnitz spoczynku.

Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niej wstrętlwym, Cosel nawykła teraz, z pozorną przynajmniej

cierpliwością znosić wszystko: musiała go przyjąć, wiedząc że przybywa z wiedzą i za wolą króla.

Tym razem był on znacznie oględniejszy w postępowaniu z hrabiną.

— Życzę pani dobrze—odezwał się przy powitaniu—najlepszym tego dowodem, że tu przybywam, abym dopomógł do jakiejś zgody i układów. Wpłyniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzystniej wypadło to dla pani... ale...

— Ale co?—zapytała Cosel, spoglądając nań.

— Ale ze strony pani, trzebaby téż trochę powolności—rzekł Watzdorf.

— Posłuchaj mnie pan—odezwała się Cosel—byłam królową, panią, bóstwem; jestem matką trojga przyznaných przez króla dzieci jego; nie dałam mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości: najzłośliwsza potwarz zęby skruszyła, rzucając się na mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbytnią miłość dla króla.

Po tylu latach pożycia, w ósmym roku, nagle po świeżych jeszcze przysięgach i łaskach, najnikczemniejszą intrygą odbiera mi nie jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi zrzec się miłości... milczę... wypędzają mnie z darowanego pałacu, idę; każą mi się oddalić z Drezna, usuwam się do Pillnitz, chcę widzieć króla, zwracają mnie siłą z drogi. Pomimo to wszystko, ogłaszają mnie zuchwałą, mściwą, niebezpieczną, lękają się mojej wściekłości, mówią żeam gotowa z rozpaczy godzić na życie króla.

— Tak jest, wszystko to mówią, prawda,—rozśmiał się Watzdorf—ale pani możesz temu zadać kłam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniła się i porwała.

— Teschen i Aurora były faworytami—zawołała—ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam i jestem żoną.

Watzdorf się rozśmiał w głos.

— A! kochana hrabino— rzekł z poufalością obrażającą... —to są stare dzieje. Pani wiesz co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczną, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wie co czyni.

August II pan nasz najmiłościwszy podpisał przecie zmuszony pokój Altransztadski... a ogłasza go nieważnym; podpisał też pani może przyrzeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje też wagi.

Z trudnością mogła Cosel utrzymać oburzenie swe.

— Al królowi wolno—zawołała—do słów, przysięg i przyrzeczeń najuroczystszych, żadnej nie przywiązywać wagi; ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wie co czyni i nie oszukuje siebie i ludzi... dla mnie słowo jego święte i ważne.

Zaczęła się przechadzać po pokoju... po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego z czém przybył.

— Niech mi pani powie otwarcie—odezwał się—jakie są jój żądania? Król ma dla niej wdzięczność i dobrą wolę... uczyni wiele; tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten papierek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Cosel ku niemu:

— Z tém pan przybyłeś?—zapytała.

— No, muszę wyznać: tak jest.

— Wracajże nazad—odparła Cosel rozpłomieniona,—bo pókim żywa nie oddam nikomu. Jest to obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego łaski, podać mu rękę, gdybym téj obietnicy ślubu nie otrzymała.

— Ależ to była śmieszność—rzekł Watzdorf. Sama pani uznasz! królowa żyła i żyje.

Któż jest w prawie rozporządzać tak przyszłością: takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata nie nie waży.

— A pocóż mi je odbierać chcecie?—zapytała Cosel,—bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadomą, uwiedzioną oszukiwał? Lękacie się, aby go ta lekkomyślność i zdrada nie napiętnowała tak jak godzien.

— Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę,—rzekł Watzdorf.

— To wracaj z kąd przybyłeś—zimno odezwała się Cosel, chcąc wyjść z pokoju. Poseł poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

— Zastanów się pani, do czego to prowadzi! króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnej. Wszak może użyć siły! wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mógł.

— Więc niech próbuje,—odparła hrabina.

— Toby była ostateczność nader smutna—kończył Watzdorf—tój właśnie wszyscy, co jój życzą dobrze, radziby uniknęli; tój ja pani chcę oszczędzić.

Jeśli zmusisz do gwałtu, nie się spodziewać nie możesz; dobrą wolą otrzymasz pani...

Cosel nie dała mu dokończyć i zapytała:

— Chcesz bym sprzedała mój honor i oceniła go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski niema tyle, ażeby kobiety jak ja honor zapłacił. Za skarby świata go nie oddam.

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

— Chcę żeby świat wiedział jak niegodnie byłam oszukana, jaką niepoczciwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Łzy potoczyły się jój z oczów. •

— Nie—zawołała nagle—waćpan kłamiesz, to nie jest wola królewska: nie wierzę. Czernicie króla chcąc go obronić, Wierzę w płochość chwilową jego, ale nie zwątpiłam o sercu szlachetném. Król nie może tego żądać.

Posłany milczał, zwolna rozpiął suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie: w milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwém.

— Jeśli to co mnie podpisał i poprzysiągł niema wagi—odparła ręką papier usuwając—jakąż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf, list złożył i schował nazad: litość odmalowała się na jego twarzy.

— Pani hrabino—odezwał się cicho—jój postępowanie budzi we mnie litość, wierz jój lub nie, ja więc nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani na co się narażasz. Nie śmiałbym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w sobie musi bronić godności królewskiej, za którą przed monarchami i ludami odpo-

wiada. Tam gdzie idzie o sprawy stanu, niema środków jakichby nie wolno było użyć. Niech pani przypomni los ludzi wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwić się królowi, gdy nim owładnie namiętność.

— Znam go lepiej od was—wrzuciła Cosel.

— Król nasz umie być dobrym, ale potrafi być strasznym—rzekł Watzdorf.

— Wiem o tém—powtórzyła hrabina.

— Zaklinam panią!

— Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz próżna—zaczęła Cosel spokojnie—groźbą mniej na mnie możesz podzielać niż namową: wstydzilibym się jój uledez.

Watzdorf naprózno usiłował jeszcze przekonać hrabinę, która spojrzawszy nań długo i pogardliwie wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic nad powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwój znowu próby...

III.

Są istoty które na ból patrzeć lubią a jekom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nieszczęściu urągać. Płochóść czy złość pobudką: zawsze to świadectwo mniej szlachetnych charakterów.

Nieszczęście jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jój nieprzyjaciółkach. Prawda że dumę swą nieraz im czuć dała, że nie wiele osób zaskużyły na jój przyjaźń; lecz w owym dworze intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów co się odpędzić nie dawali należała baronowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszoną dom jój wypowiedzieć, przekonawszy się co z niego wynosiła i udając przyjaźń, za drzwiami sama się z niej wyśmiewała. Długo téż nie pokazywała się potem, a jak najmniej spodziewać się jój było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali jeszcze.

Jakież było zdziwienie hrabinój, gdy nazajutrz oznajmiono jój odwiedziny Glasenappowój. Zrazu wahała się z przyjęciem

nie chcąc wystawiać na urągowisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa niezrażona długim oczekiwaniem, pobiegła na okół domu, którego dół zajmowała Cosel i od okna do okna przechodząc i zaglądając, gwałtem się starała ją znaleźć i do niej docisnąć.

W ten sposób w istocie napadła Cosel, która usunęła się do swojego gabinetu i przewiesiwszy w otwartém oknie, zmusiła by jęj drzwi odemknęto.

— A, moja droga hrabino, nie kryjże się—zawołała—wiem że ty w moją dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczam, bo się nad tobą lituję. Każżę mnie puścić! przynoszę ci plotki z miasta: nic nie chcę, tylko cię uścisnąć.

Cosel znudzona i zmęczona zarazem przyjęła baronowę, która się rzuciła w krzesło, patrząc w zwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

— Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te gałgany drezdeńskie—odezwała się—odmawiają mi wszystkiego. Niema potwarzy którójby na mnie nie wymyślili; wierz mi Cosel, że ja ci zazdroszczę twęj samotności, bo na dworze żyć a jeszcze na takim, to się jak ja wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siadła wygodniej, obejrzała wkoło.

— Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wcaleby ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odetchnąć. Ja nie sędzę żeby ci się to udało. Ta paskudna Denhoffowa gotowa cię i ztąd wygnąć.

Cosel uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Mamy tedy tę panią w Dreźnie—poczęła paplać żywo—a z wielkiego strachu abyś jęj z pistoletu nie postrzeliła, podpółkownik Chatira i sześciu kawaler-gardów na krok jęj nie odstępują. Myślę że za tę gwardyę nie gniewałaby się nawet nie mając obawy.

Oprócz tego postawili ją w Fürstembergu, dopóki jęj pałacowi nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie się jęj skończy.

— Mają przecież pałac po mnie—mruknęła Cosel.

— O! ten już przeznaczony dla Kurfirsta—dodała Glasenapp, która wiedziała o wszystkim. Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przyjacielem, myślę że i garderobianą

u Denhoffowej... Flemming wydaje śliczne wieczorki dla króla i faworyty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają. Mówią że na jednym z nich dobrze podpiwszy pogłaskał Denhoffową pod brodę, zowiąc ją czule takim epitetem na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu też tego za złe... zresztą słyszę tak dobra, że królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak straszną jak ty moja Cosel, która nie cierpiąc podziału, chciała byś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc Glasenappowa pochyliła się naprzód, obejrzała ostrożnie, palec położyła na ustach.

— Król się nam zmienia—szepnęła—znaliśmy go jako bardzo dobrego pana: staje się srogim i okrutnym.

Cosel spojrzała na nią.

— Tak względem mnie nie jest...

— O! to bardzo naturalne: wielka miłość nigdy się inaczej nie kończy—mówiła dalej Glasenapp—ale słyszałaś o Jabłnowskim?

— O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę—odezwała się Cosel.

— Wiész przecie ile król winien był hetmanowi, ile wojewodzie ruskiemu, który hetmana skłonił na stronę króla; a wiesz gdzie dziś ruski wojewoda?

Cosel spojrzała zdumiona.

— Książę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy z tego samego mieszkania, w którym ojca namówił na stronę naszą i w rocznicę dnia gdy wyjeżdżali Kurfirsta witać na granicy.

— Byćże to może!—zawołała Cosel.

— Tak i ja bym spytała może niedawno, czyż to być może—mówiła dalej przybyła— a dziś powiadam że możliwe wszystko.

— Cóż zawinił wojewoda?

— Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie gdy król brał Denhoffową wystąpił jawnie przeciwko niemu za to że im żony zabięra, że mieszka publicznie z cudzemi, że kraj psuje: że to zbrodnia stanu!

Zbrodnia stanu!—śmiejąc się i plaszcząc w ręce wołała Glasenappowa—a! nieoszacowany Jabłonowski. Mówią że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniej żony całe zostawi. Królowi najgorzej to dopiekało, że mu Denhoffowę chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłonowskiego tak, że tam jakieś listy poprzezmowano, jakiegoś pisarza wzięto na konfessaty, jakieś papiery poznajdowano w domu i król bez ceremonii, bez sądu Jabłonowskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

— Miarkujże moja droga — dokończyła Glasenapp — kiedy około książąt wojewodów tak mało ceremonii, cóż już o innych mówić? co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba.

Opowiadanie Glasenappowej, choć nie odezwała się Cosel ani słowem, uczyniło na nią wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany... i za sprawę polską więziony w Saksonii, w istocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu, Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

— Mamy świetne ciągle zabawy—rzekła—król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowej nikt na nich nie widzi; domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą stanąć nie śmiała. Jak Teschen maskuje się i przebiera za niedoperza razem z siostrą; mamy też najwięcej maskarad i redut. Króla także nie widać nigdzie, bo musi siedzieć z nią zamknięty. Przy jednej wieczery Kyan, słyszę, zamiast do kielicha, zapraszał do nabożeństwa po katolicku na intencją N. Pana, ażeby go Bóg z niewoli polskiej wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

— Nazajutrz—dodała opowiadająca—któs pochwycił koncept dowcipnisia i przybito na Georgenthor i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się słyszę śmiał, lecz tego co się to ważył uczynić szukać kazano, a wąpnię by go znaleźli.

Plotła tak nieznużona długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosiła. Po nim zażądała widzieć ogród i aleje lipowe. Tu gdy się sam na sam znalazły, Glasenapp zbliżyła się do ucha hrabiniej:

— Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wypłatanego figla. O! nie przeczę że lubię dokuczyć tym, którzy mi téż dojedli nie mało; alebym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a téj doznałam niegdys od was hrabino. Żal mi was...

Na dworze naradzają się i odgrają przeciwko wam, jeśli byście tego papieru wydać nie chcieli.

— Papiéru? jakiego?—napozór obojętnie spytała Cosel.

— A! przecież wiecie o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany... Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobrej woli, gotowi użyć siły.

— Bardzo dziękuję za przestroge—odezwała się Cosel—ale ja na wszystko byłam i jestem przygotowaną. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nié mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i téj w końcu nikkzemności... złożyłam go w miejscu bezpieczném.

Glaserapp długo patrzyła na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać czy prawdę mówiła, ale Cosel była nieprzeniknioną, gdy chciała... osłoniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu.

Łatwo jój było poznać i domyśléć się, że Glaserappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ją aby się czegoś dowiedziéć; że była szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniej obudzającego zaufania...

Zabiegi całe na nic się nie przydały, Cosel zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestrog, dała jój z niczém powrócić do Drezn.

Zaledwie powóz który ją tu przywiózł oddalił się nieco, gdy hrabina kazała zawołać Zaklikę.

Ten zawsze był w pogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Cosel wyprowadziła go na podwórzec i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącém domu i ogrodu...

Zaklika myśli jój zgadywał.

— Jesteśmy tu szpiegowani—odezwała się—prawda?

— Dokoła, nawet w domu za nikogo ręczyć nie mogę—odpowiedział wierny sluga.

— Możnaż ich oszukać?—spytała.

— Gottlieb tu na czele—począł Zaklika—zdaje mi się że on do miasta jeżdżąc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz nie mądry jest i spoić go łatwo, a zwiéść jeszcze łatwiej...

— Gottlieb?—zawołała hrabina.

— Tak, właśnie ten który się najwięcej z miłością swą dla pani uprzykrza... radby ażeby się go nie obawiano.

— W mieście wszyscy cię znają?—zapytała cicho Cosel.

— E! wielu zapomniało już o mnie—podchwycił Zaklika—a dla innych toć się i trochę zamaskować łatwo.

— A masz-że od kogo zasięgnąć języka?

— Gdy muszę, znajdę...—rzekł wezwany.

Po tych wstępnych pytaniach, Cosel jakby dreszczem przejęta, drgnęła.

— Niéma tu już bezpieczeństwa dla mnie—rzekła—muszę uciekać, ale jak? tobie ufam jednemu; mów, jak?

Zamyślił się Zaklika i milczał.

— Trudno—mruknął—ale gdy musimy.

— To nie dosyć—kończyła Cosel—ja muszę zabrać z sobą co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwieźć klejnoty, pieniądze, bo to co tu zostanie, będzie ich łupem: zabiorą wszystko.

Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zaklika: potarł czoło, targnął wąsa, spuścił w dół oczy.

— Mów pani—rzekł widząc że Cosel czeka.

— Czy mi zaręczysz że dobiegnę przed pogonią za granicę..?

— Co w ludzkiej mocy, zrobimy. Zaklice pot kroplami na czoło wystąpił, widać było że niepokój go dręczył, że się ląkał a nie chciał wydać z bojaźnią.

— Dawno to uczynić trzeba było wprzód—rzekł ucinając mowę, bo nie nawykł długo się wyrażać—ale co się nie zrobiło, o tém mówić już niéma co: trzeba czynić co teraz mamy przed sobą.

Złamał palce gniotąc je biédny człek, aż kości trzeszczące w nich słycać było; chmurne czoło namarszczył, stąpał z nogi na nogę. Cosel patrzała nań z trwogą i ciekawością,

ten człowiek cały w sobie, energiczny, silny, mało mówny, po wypieszczonych ludziach do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czula w nim człowieka.

Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się, nasępwszy brwi..

— Nocą pojedę do miasta—rzekł—ja tu w domu mało się pokazuję i tak; nie każ mnie pani wołać aż sam przyjdę, będą we dworze sądzili żem się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę skrytą w krzakach pod wyspą, spuszcze się Elbą... Napowrót więcej czasu potrzeba pod wodę, ale i na to się znajdzie sposób. Co tam zdołam się wywiedzieć u dworu... zobaczę... Trzeba obmyśleć i resztę; wyjazd, to nie mała rzecz...

Mówiąc tak urywanemi słowy wzdychał. Cosel zobaczyła w téj chwili krążącego zdala Gottlieba, który już się mógł czegoś domyślać z dłuższej rozmowy i zaraz skinęła na niego.

Niemiec skwapliwie się przysunął.

— Ja sędzę—nieprawdaż Gottlieb—że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić... Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się ztąd nie rychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nąstręczcie, bo Polak któremu to chciałem polecić, wymawia się że nikogo nie zna.

Gottlieb spojrział na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć czy to prawda była; skłonił się i zaczął mruczyć szybko, zaklinając że dla swéj najdroższéj pani zrobi wszystko.

Na tém się narada skończyła, Cosel poszła do domu... Gottlieb uczepił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudziło to podejrzenie szpiegów, probowali drzwi: zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na niém widać było ogromnego chłopca wyciągniętego, w ubraniu w jakim chodził i twarzą obróconego do ściany. Uspokoił się więc szpiegi, iż w domu był i dali mu spać do syta. Nie było téż co robić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach

Elby się odbijał, gdy Zaklika łódkę pocichu odwiązawszy od kółka u którego była przymocowana, wsunął się w nią, odpchnął od brzegu i pochyliwszy puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Dreznu unosił. O tej porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie, i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na mielizny i kamienie. W czasach gdy jeszcze błądził niczém nie zajęty po okolicach, Zaklika pływał wiele i żegluga się bawił, tak że po za Pillnitz ku Pirnie i dalej znał wszystkie rzeki załomy i mielizny. Noc go więc czarna wcale nie ustraszala, a w kilka godzin ujrzał już najprzód światełka przedmieść rozrzuconych u brzegów, potem jakby jasną lunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i illuminacya.

W Dreźnie będąc na dworze Cosel, Zaklika miał zrzęcnosć wielu tam poznać ludzi; serce go ciągnęło raczćj ku stojącym w cieniu i na boku, niż do tych co błyszczeli wśród przedpokojów i wmieszani bywali do intryg, lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wielu. Nim dopłynął myślał teraz ciągle do kogoby się udał.

Na dworze który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie klejnoty garściami pięknym paniom sypano; handel pieniędzmi i klejnotami był jedną z potrzeb powszednich.

Miał król kredyt na znaczniejsze summy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmana, w Dreźnie dostarczycielami i pośrednikami, było dwóch izraelitów wielce znanych miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer...

Ostatni przybył tu z Hamburga w r. 1700 w początkach panowania Augusta i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia, przy takim wiekuistym na pieniądze głodzie, osiedlił się w Dreźnie. Pićrwsza to była wexlarnia i bank w tém mieście, na który król pono dał mu dom, zwany Starą Poczta, a naówczas Judenhauzem. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszćm piętrze sal kilka zbytkownie wystroił i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakrawał już wówczas na dzisiejszych bankierów tego rodzaju, nosił się po francuzku, stroił bogato, i mawiano, że wcale niepowabny... miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciano.

Towarzysz jego Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju... pochodził on z Polski i zachował cechy izraelitom tutejszym właściwe.

Skrzętny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, niezapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary, ani pragnął się mieszać do świata, w którym wiedział jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach, hrabina Cosel posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zawołanie do niej przychodził, mieli z sobą interesa znaczne.

Izraelita, który najlepszą miał zręczność poznać ludzi, w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Cosel; wierzył jej i był dla niej z wielkiem uwielbieniem. A że rodzina jego pono siedziała niegdyś w Krakowskiem i on tam młode lata przepędził, a Zaklika téż ten kąć kochał... rozgadywali się z sobą nieraz, Lehmann żartując język dawny przypominał. Czasem podać kazał wina lampkę i z Rajmusem przegawędził jaką godzinę, tak się poznali bliżej i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział że Lehmann już po upadku Cosel, dał jej dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką z kolei wszystkich wpływowych ministrów, który padał na twarz przed wszystkimi i chwalił co tylko zrobili, nie brzydząc się zepsuciem dworu. Berendt wprawdzie pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochosć i rozwiążosć, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go.

Wprawdzie popisywać się z tém ani mógł, ani chciał; lecz z twarzy jego niemal czytać się dawało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych, nieraz był, nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego co z sobą nieraz poszeptali pocichu, Zaklika wnosił iż na Lehmanną śmiało się spuścić może, a przynajmniej rady szukać u niego.

Gdy czólno poniżej mostu w znanym sobie kącie u gospodarza Wenda, bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkało, bezpiecznie umieścić Zaklika, odziewszy się po oczy płaszczem i kapeluszy naciśnawszy posunął się do miasta.

Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznał po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Zdała już gorejącą nad ogrodem Hesperyd w Zwingrze widać było illuminacyą. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowej. W ulicach ludzie się strumieniami w różne strony leli, a między niemi i nie jedną maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał panował wszędzie... znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanemi uliczkami Zaklika szukając mroku, po pod domami, z których nie wiele oświeconych było, dostał się niepostrzeżony do Judenhauzu na Pirnaiską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O téj godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może sług nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

W istocie co żyło poszło patrzeć na bal do Zwingru, pod gołém niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych... kręcący się i szumiący z południowych krajów szaleem i wrzawą. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmann, który wyszedłszy do sieni ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził niepostrzeżonego od służby do swojego gabinetu w tyle domu.

Ścisnęli się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już niemłodego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschodniego typu, bez zmarszczek. spokojna, malowała charakter z życiem przejednany, znający jego warunki i ostygły już wielce.

Czarne oczy patrzyły chłodno i rozumnie, a mimo ich ostygnięcia czuć było, że je coś ogrzałoby póttrafiło.

Zaklika przywitawszy go, obejrzał się niespokojnie; gospodarz domyślił się o co mu chodziło i szepnął, uderzając po rękę:

— U mnie jesteś bezpieczny; nikt was tu i nie zna i nie pozna i, gdy trzeba, nie zobaczy.

— Tegobym sobie życzył—rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak i powrócił prędko. Przyniósł krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

— Co się z wami dzieje? — zapytał.

— Dzieje się tak źle—odparł Zaklika—iż gorzej, gorzej już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu, z Drezna,

a teraz idzie o to, żeby nas pono i z Pillnitz wypędzić... jeżeli nie gorzej. Nieszczęśliwą tę ściga zemsta nikczemnych ludzi... trzeba ją ratować.

— Tak jest, tak jest—odparł Lehmann, poprawiając czarną czapkę, którą starym obyczajem nosił na głowie—ale siebie nie gubić.

— Myślę, że się to da pogodzić!—odezwał się Zaklika.

— Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

— Cosel uciekać musi—dodał Zaklika.

— Dokąd?—spytał żyd z uśmiechem—chyba za morze... tu sobie panowie wzajemnie czyniąc przysługi, oddają zbiegów.

— Sądzę, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann głową pokiwał.

— Hrabina—mówił dalej wierny sługa—musi z sobą zabrać co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac, i co w nim było.

Bankier głową znowu dał znak potakujący.

— A czy bezpiecznie uciekając zabierać z sobą reszty? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburącz Izraelita za głowę.

— Jużto, wierzcie mi—rzekł—radbym hrabinie z duszy dopomódz; znam jej historią, znam charakter: była to jedna perła w tém błocie. Winienem ja jej wiele i pomocę chętnie. Żyd jestem, ale serce mam i uczciwych ludzi szacować umiem; ale posłuchajcie mnie, panie Zakliko: siebie, dzieci i rodziny dla niej gubić nie mam prawa.

— Ja przecie, gdyby mnie na katownię najsroźsze więto nie wydam was, ani hrabina, a więcój nikt, chyba Bóg jeden wiedzieć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał:—Zgoda—rzekł—trzeba żeby was tu u mnie nikt nie widział, ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną jak za wszystkimi szpiegi chodzą.

— Nie bójcie się o to—dodał Zaklika.

— Co mi dacie, to wam prześlę gdzie będzie trzeba—dodał Izraelita—rzecz jest skończona.

Jeszcze raz sobie dłonie podali.

Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki: nalał je i siadł.

— Dziękuję wam—odezwał się Zaklika—nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

— A o czémże dowiedzieć się chcecie?—spytał chmurno Lehmann zniżając głos—u nas tu zawsze gospodarstwo jedno, kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiatamy z drogi do Königstein, lub gdziekolwiekbądź, byle nam nie zawadzało.

Litości tu ani serca nie pytać, bo niéma nieczulszych ludzi nad rozpustnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają; król posługuje się wszystkimi obsypuje łaskami gdy potrzebni, i gardzi niemi...

Wszystko jedno: jest to co było wczora i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

— Król więc zakochany?—spytał Zaklika.

— On? zakochany?—odparł Lehmann—a czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoją religię na waszą zmieniał, iż nie wierzy aby cokolwiek mieniał, bo nic nie miał: tak samo z tą miłością, której nigdy nie było.

— A Denhoffowa!

— A! a!—zawołał Lehmann—co ma być? pieniądze zbiera i klejnoty: król już pono myśli zawczasu za kogo ją wyda gdy mu się uprzykrzy.

Siostrę jej hetmanowę Friesenowi swatają, a ją? no! weźmie Haxthausen, albo Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

— Cóż ty się tu chcesz nowego dowiedziéć? tu się ludzie zmieniają nie rzeczy.

Chwilę potem jeszcze pocichu mówili z sobą, Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowej, wypuścił ją i klucz mu zostawił. Pożegnali się mrużąc. Zaklika obwinięty płaszczem poszedł dalej... Nie sądził aby niebezpieczném było podsunąć się z tłumem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć jak to tam teraz wyglądało: zdawało mu się że się niewidzianym przesunie.

Już był w zamkowej ulicy pełnej przesuwających się masek i *nobles venisiens* i dominów, gdy go ktoś po ramieniu uderzył...

Zwrócił się zdziwiony: za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

— Jakżeście mnie poznali?— zapytał Zaklika.

— Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was niema nikt—szepnął Fröhlich—ale cóż wy tu robicie? Słyszałem żeście byli u dworu tój... tój, która upadła..? a teraz?

Zaklika dla utajenia się, odparł żywo:

— Nie było tam co robić! opuściłem go!

— To rozumnie—rzekł Fröhlich—wszystko dobre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcej szanować... cha! cha! niech każdy ratuje się jak może! Powróciliście więc do służby króla? czy może już Denhoffówj służycie?

— Jeszcze nie—odparł Zaklika—a jakże się ona wam wydaje?

— Mnie?—zapytał Fröhlich—ona mi się wydaje, jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kąsają, które się zdaje łatwo zgnieść a trudno złapać.

Począł się sam śmiać, i zatknął sobie usta.

— Pierwszy niedoperz którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce, stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywać się im i przysłuchiwać zaczął. Zaklika chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę.

Fröhlich natychmiast się wysunął.

Z pod czarnej maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać, „co tu robisz? co robisz?”

Nie miał już Zaklika lepszej odpowiedzi do dania, nad tę którą zbył Fröhlicha.

— Szukam służby—rzekł.

— Ho! to ci się twoja pani sprzykrzyła...

— Nie jest ona panią dziś i sług nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednej z bram zamku wychodzących w ulicę, Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jej sklepienie, którą kilka mdłych oświecało latarni.

— Szukasz służby, a jakiejżebyś żądał?

— Jestem szlachcic, szlacheckiej służby wymagać mam prawo, takiej, która się przy szabli lub szablą odbywa.

Hiszpan coś zamruczał.

— A Cosel? gdzie Cosel?

— Zapewne w Pillnitz? nie wiem?

— Chodź za mną.

— Dokąd?

— Nie pytaj, przecież się nie lękasz?..

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga.

Pomimo maskarady na Zwingrze, Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodziły i wysuwały się, kilku co woleli siedzieć u kielichów, nie ruszali się; Flemming spodziwiał się nawet króla na chwilę.

Wrzawa buchała z pokoju w którym goście się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho i generał żwawo poszedł do progu. Cichym głosem zawołał na Zaklikę aby szedł za nim i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu... Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek pochylony nad nimi, pisał coś szybko... Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za nimi.

— Kiedy rzucicie służbę u Cosel?—zapytał.

— Kilka dni temu.

— Cóż myślała?

— Urządzała się w Pillnitz...

— I siedzieć myśli?—zapytał Flemming.

— Ja sądzę...

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrząśli głowami.

— Jakżeś się z nią rozstał...?

Zaklika zmiarkował że obudzając zaufanie, o czémś potrzebném będzie się mógł dowiedzieć.

— Zostałem wypędzony—rzekł—bo tam teraz mało sług potrzeba.

— A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?

— Doskonale.

— I przyjąłbyś służbę inną?

— Czemuż nie?

— Choćby, choćby—dodał Flemming—wymagała, żebyś przeciw dawniej swój pani wystąpił.

— Ja nie mam pani ani pana, oprócz króla JMości—odparł Zaklika—bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu śmiejąc się do rozpuku.

— Za dwa dni przyjdź tu do mnie! rozumiesz?—rzekł cicho. . .

— Rozumiém—szepnął Zaklika...

Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem.

I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tém pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą; przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Z tąd wyszedłszy lepiej się otulił płaszczem, zajrzał do miejsc kilku, pomówił z kilką poufałymi, na przedmieściu zapukał do jakiejś chaty i tak zmarudziwszy do późnej nocy, siadł na czółno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę z całych sił robiąc niemi, puścił się nazad do Pillnitz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JÓZEF JUNGMAN

i obchód stoletniej rocznicy jego urodzin

W PRADZE CZESKIEJ.

Czesi dowiedli znów, że są narodem silnym jednością. Myśl wzniosła by uczcić pamięć pierwszego ze swych pracowników, który wierzył w przyszłość i założył silne takowej podstawy, odbiła się w sercach milionów. Cała ludność we wsiach, miastach i miasteczkach aż do górskich mało znanych osad, postanowiła uczestniczyć w uroczystościach sławiających stoletnią rocznicę urodzin wieśniaka, który z pod słomianej wiejskiej strzechy poniósł czucie i siłę woli do zamarkłej już Pragi i wytworzył tamże hufiec istotnie narodowy, czeski, kierujący dotąd pracą Słowian zachodnich i południowych na ogromnej przestrzeni.

Chwila znacząca w dziejach pochwycona umiejętnie przez żywioł organiczny czeski, jest więc przeglądem sił narodowych i przekonaniem o mocy związku wytworzonego i uzupełnionego wytrwałą pracą. W tém znaczeniu zapatrywać się należy na uroczystość dnia 13 lipca r. b. odbytą w Pradze, łączącą tysiączne objawy siły i sferności narodowej.

Życie Józefa Jungmana było mozolne i pracowite. Syn rolnika ze wsi czeskiej *Hudlice* należącej do dóbr Krzywokładzkich, musiał przejść szkołę przygotowawczą, niemiecką w sąsiedniem mieście *Berounie*, zanim mógł się dostać do gimnazjum. Wysoce filozoficzny umysł Józefa II uznał bowiem naówczas język czeski za zbyt czyny, a połączenie ludow austriackich jedyną niemiecką mową, jako pracę najpilniejszą. Dzięki temu postępowemu rozrządzeniu, Jungman, który zastąpił następnie z obszerną nauką, ślęczał trzy lata z rzędu w trzeciej klasie przygotowawczej nad niemiecką.

Dziwnym nagłym wysiłkiem przeskoczył Jungman w egzaminie klasę pierwszą gimnazjalną, i w szesnastym roku swego życia przyjęty został tryumfalnie do drugiej klasy gimnazjum Piarów w Pradze. Gdy przebył takowe i wszedł do Uniwersytetu na kurs filozofii, tak

wysoce postąpił w programowych naukach, że zaproszony przez stryja swego na ucztę familijną, nie mógł się pragski filozof rozmówić po czesku z wieśniaczkami. „Ośmielony przyjęciem w gościnnym domu i rozgrzany toastami, przyłączyłem się żywiej do rozmowy, ale choć myśl tryskała silnie, język wiązał w okowach, zawsze dziewięć wyrazów niemieckich cisnęło mi się do myśli nimem znalazł wyraz czeski. Tu jedna z dziewcząt zawołała ze szczerem współczuciem: „zawszem myślała że tylko w *Otroczynie kokałaj* jakają się (była ztamtań), a to także i w Hudlicach.“ Zamilkłem ze złości i wstydu a czując brak mowy rodzinnej, postanowiłem lepiej się takowej nauczyć. Odtąd stałem się Czechem silną tylko wolą“ (Zapiski, str. 38 i 39).

Po ukończeniu studiów filozoficznych wszedł Jungman na wydział prawny, który starannie i cierpliwie przeszedł mimo całej zażyłości praw austriackich. Nie poszedł jednak wyżej w tym zawodzie, odstręczony lekceważeniem z jakim go traktowali pseudo-protektorzy, pochwyił pierwszą sposobność pozyskania niezależnego choć skromnego bytu. Zdarzył się konkurs na miejsce profesora przy gimnazjum w mieście Litomierzyce, Jungman pewny swych klasycznych studiów podał się za kandydata i zdobył miejsce profesora gramatyki, 1 czerwca 1799 r. pomimo dziesięciu współzawodników. Płaca roczna wynosiła tylko 350 reń.; w r. 1802 awansowany został z uznaniem na zastępcę profesora retoryki, a w r. 1810 zamianowany istotnym professorem nauk humanitarnych. W ciągu r. 1805 i 1807 zastępował dodatkowo profesora syntaxy, a następnie poetyki, wykładając po ośm godzin dziennie. Podwójna płaca chwilami, a czasem udział w nagrodach rządowych, które otrzymywał, mianowicie 50 reń., później 80—100 i nawet 243 zkr. 18½ krajcar. na raz w rozmaitych latach, dozwoliły mu utrzymać się skromnie bardzo, lecz niezależnie. Ożenił się, a żona wniosła małe wiano, za które dom kupił i płynęły dni i lata na pracy obowiązkowej uprzyjemnionej miłym stosunkiem z kolegami, których życzliwie wspomina i opisuje w swych Pamiętnikach.

Od roku 1800 do 1815 uczył dodatkowo Jungman czeskiej mowy bez wynagrodzenia co czwartek dobrowolnych słuchaczy, między którymi najliczniejszy był zastęp duchownych, bo całe seminaryum litomierzyckie, któremu dozwolił uczęszczać biskup ówczesny, potomek starego czeskiego rodu Wacław Leopold Chlumczański rycerz na Przewalku i Chlumczanach, życzliwy Jungmanowi.

W Niemczech już zupełnie w Litomierzycach otworzony więc został pierwszy w Czechach kurs mowy rodzinnej, prawie zapominanej. Karol Ignacy Thorn na staromiejskiem gimnazjum w Pradze i ognisty *Rantenkranc* w seminaryum duchownem na Hradcu, poszli za przykładem Jungmana i rozpoczęli w roku 1802 wykłady dobrowolne czeskiej mowy.

W roku 1811 wydał Jungman własnym kosztem przekład *Raju utraconego*, Miliona. Nakład na 500 egzemplarzy kosztował go 1,000 reń. bankocetlami, z których dopyczyli mu bez procentu Wacław Bergner i Karafiat zyczliwi i narodowo myślący prywatni, każdy 200 reń., którą to pomocą cieszył się wielce Jungman i pisał uszczęśliwiony do księdza Marka serdecznego przyjaciela, z którym się dzielił każdą radością, a zwierzał z każdej troski. Jakże małe pomoce w zawiązku pracy cieszą i umożliwiają działania wiekopomny wpływ mające.

W roku 1811 otrzymał Jungman godność doktora filozofii od Uniwersytetu pragskiego i w cztery lata później zamianowany został professorem w gimnazyum akademickim w Pradze, które się „odtąd stało urodzajnym rozsiewem (*semenisziem*) obywateli kraj młukających i pisarzy czeskich“ (wyrazy jednej z broszur pamiątkowych). W roku 1834 został Jungman prefektem tegoż gimnazyum i pozostał u steru do roku 1845, kiedy ciężka niemoc i wiek podeszły zmusiły go do złożenia urzędu, godnie i wytrwale sprawowanego. We dwa lata później zmarł Jungman licząc 74 lata życia, a w nim 45 lat pracy professorskiej. Główną pracą literacką Jungmana stanowią: *Słownik* nad którym pracował lat trzydzieści; *Slowestnost* czyli zasady wierszowania, wymowy i pisma prozą, do zachowania w mowie czeskiej; wreszcie treściwy rys literatury dawniej i dziejów czeskich. Przełożył wiele z obcych języków nie odpychając literatury niemieckiej, i walczył za kraj i mowę czeską w pismach wydawanych leniwie naówczas, gasnących często i podtrzymywanych słabo przez nakładców łatwo się zrażających. Jungman nie tracił odwagi, łagodny zwykle, rozwijał wielką energią i przekonywającą wymowę gdy szło o odparcie zarzutów czynionych mowie czeskiej. Stawał w obronie prac podjętych przeciw odstępcom i kosmopolitom, działał się to nie bez narażenia nawet osobistego. Tak *Nejedli*, który miał zasługi, lecz upór wielki przy przestarzałych formach językowych i antykwaruszowski umysł, nie mogąc sobie poradzić z Jungmanem, który ośmielił się w *Slowestnosti* wskazać nowe drogi i korzyści z przyswojenia zwrotów z mowy polskiej i ruskiej, jako wyrażających dobrze myśl właściwą, zapamiętały Nejedli posunął się do oskarżenia Jungmana przed władzą, jako dążącego do rozerwania Austrii i ciężącego ku sąsiadom. Tak zjadłe bywają boje, gdy *brodgelerte* (wyraz użyty przez Szylera) dygnitarz i professor syt sławy, widzi że dzieło dalej postępuje i może drugiego wzrastającego okryć wyższą chwałą. Najprzykrzejsze są dla dobrze myślących ciosy z ręki, która powinna się opiekować pracą następną i ust, które się cieszyć winny że następcy myśl pracowitą uzupełniają i rozwijają pożytecznie. Nie uniknął Jungman tych przykrości nieodłącznych od wszelkiej śmiałej i rozległej pracy, potomność uznała zasługi.

Dziennik Rygiera *Pokrok* w artykule wstępnym z dnia 13 lipca przebiegł działanie na korzyść mowy rodzinnej w Czechach od

roku 1774, kiedy hr. Franciszek Kiński austriacki generał i dyrektor akademii wojskowej w *Nowém mieście*, wystąpił w gruntownej po niemiecku napisanej broszurze przeciwko systemowi zupełnej germanizacji zaprowadzonemu przez Józefa II. Lecz głos ostatniego Czecha ze szlachty ówczesnej czeskiej, nie miał powodzenia, również bezskuteczne były starania narodowo myślących prałatów czeskich, mianowicie biskupów Kralodworskiego i Litomierzyckiego pragnących zachowania staroczeskich pamiątek. Czcigodne te postacie nie dotykały serca ludu, coraz więcej zapominającego o sobie; w próżni i bez echa ginęły głosy wyszłe z pałaców magnackich i biskupich rezydencji. Zdawało się że nazwa „Czech“ zejdzie w Czechach do rzędu starych próżnych podań, jak we Francyi wyraz *Celt*, wśród blasku i wykształcenia obecnego.

Nie pomógł „*Spólek Szlachecki*“ utworzony celem zespolenia się z ludem wiejskim przeciw przewadze stolicy, i wesele hrabiąt obchodzone roku 1793, w czeskich wiejskich odziewach, pozostało bezsilną manifestacją.

Kongres Wiedeński włączył nawet stanowczo Czechy do związku niemieckiego.

Artykuł wstępny *Pokroku* skreśla gruntowne działanie Jungmana wyszłego z ludu wiejskiego i w ciągłym długoletniem zetknięciu z młodzieżą pracowitą a ubogą, zestawia mistycznie główne daty z życia tego „cichego geniuszu“ z datami rozkazów krajem władających, widzi opatrnościową rękę wiodącą małe chłopię czujące gorąco przez stopnie mozolnie zdobywane do stanowiska, na którym mogło przeprowadzić myśl żywotną. Weszło ono na świat w chwili wydania dekretów Józefińskich skazujących na śmierć mowę czeską, dobiło się wreszcie stopnia profesora gimnazjum Pragskiego w r. 1815, jako dziejowa protestacja przeciw uchwałom kongresu wiedeńskiego, oddającego stanowczo Czechy Niemcom.

„Z pałaców magnackich pojawiały się ciągle zabiegi o przywrócenie mowy czeskiej, zwycięstwo jednak otrzymała małeńka chata wiejska. Tę radość pełną nadziei podaje nam stóletnia uroczystość sławiąca pamięć Józefa Jungmana. Historia się zamysła na tronach, w pałacach i przy stołach dyplomatów; lecz roztrzyga się w chatach ludu.“

Zyciorys Jungmana wydany przez księdza *Wacława Sztulca* infułata wyszogradzkiego, daje nam poznać ukochanego mistrza, człowieka z uczuciem i głęboką wiarą, którą wrażał uczniom swym jako kierownik w całym życiu i światło niemyślne. Tegoż myślenia professor *Wacław Zeleny* wydał pierwszą część obszernego przeglądu dzieł literackich Jungmana i uzupełnić takowy zamierza wprędce. Towarzystwo *Maticy czeskiej*, wzięło na się wydanie wielce pouczającego dzieła Zelenego, które zapozna czytelników z całym szeregiem prac podjętych przez Józefa Jungmana.

Poddaństwo włościan oraz darmochoy czyli pomoc dworom w robociznie trwały w Czechach do roku 1848, kiedy burza europejska wstrząsnęła Austryą i zwałała wiele przestarzałych zwyczajów, wskutek nieruchawości i nieprzeznacności zwykłych zasiedziałym rządów, z powodu téż ciasnego egoizmu klass korzystających z przywilejów; wszelkie rozległe postępy ludzkości dzieją się wskutek gwałtownych wstrząśnień rewolucyjnych i wielkim kosztem całego społeczeństwa. Następstwa onego aż w głąb' Azyi i do chińskich granic, rola wyzwolona z pańszczyzny i Słowianie weszli dzięki ostatnim wstrząśnieniom w grono ludów, których praca wolną jest od pętów średniowiecznych, ludów, które rozwinać się wszechstronnie jeżeli same nie zбочą z drogi zdrowego postępu chrześcijańskiego, opartego na sprawiedliwości. Straszliwe były przedtém wszędzie zapory.

Jungman, sława narodu czeskiego musiał się starać o zwolnienie z osobistego poddaństwa, jako syn wieśniaka z dóbr Krzywokladzkich. Reskrypt imienny pozwalający Józefowi Jungmanowi na zupełnie swobodne rozporządzenie swą osobą, wydany mu został 27 kwietnia 1799 przez Antoniego Kubaska miejscowego zwierzchnika; podnosił go ten reskrypt z klasy *adscripti glebae* (przywiązanych do roli) do rzędu obywateli mieszczan wraz z potomstwem. Klasa rolnicza cała wyzwolona została w Czechach w roku 1848, w połączeniu z ludnością miast rolnych, stanowi siłę narodową, oświeconą i podniesioną materyalnie przez zastęp literatów, księży i prawników wykształconych na studiach narodowych rozpoczętych i przeprowadzonych pracowicie przez Józefa Jungmana.

Ten professor na gimnazyum Litomierzyckim a ostatecznie rektor gimnazjum staromiejskiego w Pradze jest uznanym mistrzem który dźwignął kraj cały, wracając mu mowę ukształconą, porządkując ją ściśle i bogacąc potrzebnymi wyrazami, które czerpał z rdzenia staro-słowiańskiego, lub przybierał umiętnie z pobratymczych języków, jeżeli takowe wytworzyły właściwsze. Korrespondował z Lindem, podniósł umysły dając możność przelania myśli a stając z uczuciem i siłą przekonania w obronie mowy ojczystej, przejął swych uczniów gorącym pragnieniem odbudowy krajowej przez usunięcie wszelkiego napływu germańskiego, a zacerpnienie sił we własnej tradycji wiekowej. Czuje więc kraj dziś słusznie swego pierwszego wybawcę w cichym lecz pracowitym i wytrwałym Józefie Jungmanie, stawia mu pomnik w setną rocznicę, ułożył cały szereg uroczystości gminnych i miejskich po całym kraju.

Posąg przedstawiający łagodną postać Jungmana stać będzie na wielkim placu przy kościele Franciszkanów. Plac ten otwarty w stronę dwóch znacznych ulic, dobrze został wybrany. Podstawa złożona będzie z granitu i marmurów czeskich. Pomnik swą elewacją i rozmiarami odpowiadać będzie właściwie myśli pamiątkowej nie grożąc ogromem jak wiele zwyciężkich postaci; będzie to zawsze

dostępny wizerunek miłego, pociągającego przewodnika uczącej się młodzieży.

Model gipsowy ustawiony na dzień założenia podstawy kamiennój, dał korzystne wyobrażenie o przyszłym pomniku. Liczne zebranie *Sokoła pragskiego*, zwiększone deputacjami bratami z całych Czech i Moraw, ułożyło w połączeniu z towarzystwem literacko-unwersyteckiej młodzieży i spółkami śpiewackimi *Hlahola* oraz rzemieślnickimi i miejską obroną *strzelców i granatników*, olbrzymi pochód z pochodniami d. 12 w sobotę w wieczór. Ciemna chmurna noc sprzyjała i podnosiła efekt kilkunastu tysięcy świateł rozmaicie i powabnie dobranych. Stowarzyszenia zebrane w ulicach *Starego miasta*, posunęły się najpierw do gmachów uniwersyteckich zwanych *Klementynum*, wśród których znajduje się pragskie staromiejskie gimnazjum, którego Jungman był od roku 1815—1834 professorem studyów humanitarnych, a następnie rektorem tegoż gimnazjum aż do roku 1845.

Professorowie z uczniami uszykowani na placu gimnazjalnym oczekiwali przed gmachem. Potrójny łańcuch Sokolów najatletyczniejszej budowy uwydatnionej malowniczym staro-czeskim strojem, otwierał drogę pochodowi swój kolumny, która postępowała po sześciu frontem, niosąc zapalone pochodnie; a tych płomienne blaski napełniały całą ulicę uwidomając starą ozdobę odwiecznych domostw. Liczna i dobrana muzyka sokolskiego związku grała ulubiony od młodzieży marsz serbski, znany z wojen o niepodległość. Uniwersytet, technika i cały następny pochód-niesie świece w wysoko osadzonych latarkach z różnobarwnego przejrzystego papieru, łagodzących blask i mieniących się nie dościgną okiem strugą ruchomego kolorowego światła. Muzyki rozmaitych stowarzyszeń intonowały rodzinne pieśni, wśród których „*gdzie domow mój*“ najwięcej wzbudzał zapału. Kolumna cała przechodząc przed szkołą w której Jungman wytworzył zastęp obywatelski krajowi przodujący, wołała grzmiące „*śława*“ na które młodzież gimnazjalna ochotnie odpowiadała, i po zupełnej defiladzie wszystkich zebrań i spółków, przyłączyła się do pochodu zamykając takowy ze swemi też różnobarwnymi latarkami. Pojąć można radość nie małą należących do takiego pochodu. W zwartych też szeregach sły klasy, a gdy do *infimy* i *secundy* zaczęli się wciskać uliczni samozwańcy twierdzący „*że są z realki*“ wzięto ich rąco na egzamen choć w pochodzie i wykluczono z pośmiechem. Intruzy myśleli że lingwiści nie znają kwalifikacyi w realkach. Lecz system mieszanych studyów których się trzymają Czesi w gimnazyach, wykazał swe korzyści. Malcy z staromiejskiego gimnazjum zagabnęli z matematyki intruzów tak niespodzianie, że się wykazał zaraz podstęp i szturchańce były słuszną takowego zapłatą: z chlubą mi to jeden secundysta opowiadał.

Od Klementynum posunął się pochód nadbrzeżem po nad Mołdawą, w której falach odbiły się tysiące światek. Ulicą główną *Ferdynanda* wkroczył pochód napowrót do miasta. Drogę wśród ogromnego napływu ludność torowała. Sokoły postępując w kształcie trójkąta szykiem wstawionym przez Epaminondasa pod Mantenę i Leuktrami. Erudycja klasyczna posłużyła lepiej Sokołom, jak Fryderykowi pruskiemu w Czechach pod Kolinem. Mówią dzieje, że wielki wódz pruski chcąc podwójnie zwyciężyć starego feldmarszałka austriackiego Dauna, zmienił szyk wśród pomyślniej bitwy w obec nieprzyjaciela na Tebański trójkąt, ale zanim dopełnił manewru, stary Daun ochłonął ze strachu, rzucił jazdę na Prusaków łamiących linię dla dogodzenia fantazy królewskiej i pobit zupełnie niewczesnego erudyta.

Pochód pragski z pochodniami zakończył się szczęśliwie defiladą przed pomnikiem Jungmana, na który światło elektryczne rzucało srebrzyste blaski i gasiło jakoby u stóp czcigodnego starca, migoczące światełka. Huczne oklaski witały każdą pieśń narodową a najgłośniejsze były gdy zbrojna obrona pragska złożona z dostatecznych obywateli miejskich, przechodziła z swą muzyką grającą też dzielny marsz serbski. Wieczór zakończony został odśpiewaniem kantaty przez połączone chóry śpiewaków, które otoczyły postać Jungmana.

Z pomieszczeniem przybyłych rodaków nie było trudności w Pradze. Stowarzyszenia pragskie mają zwykle obszerne własne lub najęte domy na miejsce zebrań i zabaw. Te domy, zostały w zupełności użyte na koszarowe sypialnie, i napełnione odpowiednio setkami łózek dla przybyłych deputacyi od stowarzyszeń bratnich czeskich zaproszonych do Pragi. Gościom pobratymcom dano wygodne oddzielne kwatery.

W dniu następnym 13 lipca od ranniej już bardzo godziny brzmiały ulice muzyką spółków przeciągających z noclegów swych na punkt zborny po drugiej stronie Mołdawy, oznaczony na wielkim zamiejskim spacerze zwanym Belweder.

Poważne reprezentacje władz krajowych i uniwersyteckich oraz goście słowiańscy i tysiące professorów szkół okręgowych i wiejskich zbrali się w Muzeum Narodowem, aby się przyłączyć do pochodu uroczystego. Przystrojone okna wzdłuż głównych ulic napełnione były widzami. Deputacje *Jednot* dam czeskich zajęły dwie wielkie estrady po bokach pomnika. Deszcz obfity w nocy spadły ochłodził mile powietrze, a lekkie chmurki przysłaniające słońce chroniły większą część dnia od upału, który bardzo był dokuczliwy dni poprzednich. Dzienniki zauważyły też wszystkie, że Bóg sprzyja wyraźnie obchodowi sławiącemu pracę moralną, wytrwałą, przez kraj cały zgodnie podjętą. O pół do dziewiątej odewały się strzały z mozdierzcy na *górze Żyzki* i tym odpowiedziały mozdierzce ustawione na wyspie strzeleckiej wśród Mołdawy.

Sześćset wieśniaków na dzielnych dużych koniach otwierało pochód, który przez most wiszący Elizabetyński sunął głównymi ulicami; 376 wspaniałych chorągwi odznaczały tyleż stowarzyszeń i deputacyj. Cech kilkotysięczny rzeźnicki i połączonych z nim fachów, wystąpił cały strojno w czeskim dawném barwistém ubraniu z świecącymi toporami w ręku: niesiono przed tym dzielnym cechem chorągiew zdobytą w wojnie trzydziesto-letniej na Szwedach, których rzeźnicy i młodzież uniwersytecka odparli i zmusili do cofnięcia się za most kamienny na *Malą stronę*, zkąd zdobyć miasta Szwedzi nie potrafili. Nieśli też rzeźnicy klucz dany przez króla Jana Podiebrada w nagrodę podobnejże śmiaćej, dawniej jeszcze w dziejach zaznaczonej obrony. Inne cechy wystąpiły też strojno, niektóre z konnymi heroldami i chorążymi. Schylały chorągwie przed statua Jungmana, czemu odpowiadały huczne oklaski rozentuzyzowanego tłumu. Najgłośniej witano cech powroźniczy, przed którym niesiono ozdobne buńczuki z konopi. Nad temi tabliczka z srebrnymi zgłoskami na niebieskim tle, wymieniała kraj słowiański, który wydał przedziwo. Buńczuki te niesione w kole utworzoném z pięknie wyrobionój liny z połączonego włókna grubój na pięć cali a którą trzydziestu młodych terminatorów ładnie ubranych nieśli w festonach i mieli co dźwigać. Myśl federalizmu ogólne oklaski zyskała.

Stowarzyszenie Sokoła szło kompaniami pod wodzą konnego sztabu swego, odznaczało się postawą prawdziwie mężką i ruchem lepiej jak wojskowym, bo znamionującym jednocześnie wprawę fizyczną, zdrowie krzepkie i myśl swobodną; z Sokołem pragskim połączone były deputacje Sokołów prowincjonalnych i morawskich, wszyscy w jednakim stroju szaro-popielatym. Z pod otwartego zgrabnego zwierchniego ubrania o szerokich rozciętych i pętlczkami zdobnych rękawach, odbija dobrze czerwona koszula, beret z piórem ze skrzydła sokoła zdobi głowę, inteligentne wejrzenie i twarz spokojna i zaufanie w siebie okazująca, wskazuje że zastęp Sokoła jest, rzec można, wyobrażeniem narodu pełnego siły, wiary w przyszłość i energii. Sokołów obecnych było 2,500.

Cały ogromny pochód posuwał się dobrym krokiem, w odstępach naliczono 60 muzyk pułkowych, które witały postać Jungmana. Zachodzono w półkole i ustępowano następnej kolumnie. Przy całym ładzie i prędkości posuwaniu się, pochód trwał jednak trzy godziny—tak licznym był udział. Na czele uczonych zebrań i reprezentacyj krajowych, szli Dr. Ryger i Palacki, prowadząc między sobą dziewięćdziesięcioletniego starca *księdza Marka*, dziekana w Libuni, zasłużonego poetę i towarzysza prac Jungmana. Za nimi postępował marszałek sejmu książę Lobkowicz, hr. Clam Martinic, Kaunic i Harrach popierający przedsięwzięcia i prace narodowe, znakomity rolnik baron Hildprandt, burmistrz Pragi p. Hulesz, Szy-

maczek założyciel kass zasiłkowych, które dźwignęły przemysł i rękodzieła, Zeithammer główny redaktor dziennika rygrowskiego *Pokrok* (postęp) i wiele innych znakomitości czeskich.

Kamień pod pomnik dotknął kielnią Palacki; zaszczyt mu ten słusznie został przyznany, jako kierującemu ogółem prac narodowych. Z mównicy wzniesionej na placu, ozwał się donośny głos Riegra: „Narodzie mój! Mówię narodzie mój, bo widzę to do czego zawsze tęsknił, com zawsze zobaczyć ufał, widzę przedstawicieli wszystkich warstw narodu, którzy jedną myślą ożywieni, zgromadzili się tu w duchu wdzięczności i chluby dla wspomnienia dzieł jednego wielkiego męża naszego narodu. Widzę tych, którzy za ten naród myślą, którzy za niego czują, dla niego duchem i rękoma pracują; którzy go uczą, kierują nim; za niego się poświęcają i umrzeć za niego są gotowi: słowem, widzę tu czoło narodu naszego, głowy jakich nie mieliśmy od bitwy bielohorskiej. Zdawało się wówczas, że naród zabity na wieki, a jednak cud ożywił trupa. Znacie zapewne wszyscy statwę na starym moście: nie ma głowy, piersi; jeden z poetów naszych Jaromir Erben widział w niej wyobrazenie zczudzoziemczącej naszej szlachty i mówił: „Nie uwodźcie się nadzieją, póki nowa głowa, nowe serce na tym trupie nie odrósnie.“ I otóż stał się ten cud nie tylko na szlachcie czeskiej, ale na całym narodzie. I oto naród ten objawia swą wdzięczność tym, którzy go z grobu wskrzesili. Przyjaciele rodacy! grecka historia podaje, iż naród zwał bohaterami swymi tych, którzy pokonywali dziwne potwory, tworzyli nowe drogi, osuszali lub użyzniali moczary. Otóż w niedawnej dobie miał i nasz naród podobnych bohaterów. I nasze drogi zarosły były chwastem i nam trzeba było uczynić urządzając bagno narodowej apatii; im także trzeba było zwalczać *mnoho szelmy* (zwierz drapieżny) divoke a jadovite (Prawda)! Przypomnijmy sobie jaki był stan narodu przed pięćdziesięciu laty. Szlachta zczudzoziemczała, nieznająca swojego języka, pogrążona w gnuśnym serwilizmie. Mieszczactwo przypochlebiające się łamaną niemczyzną, łada obcemu przybyszowi. Wieśniacy gnębieni poddaństwem i płaszczący się przed ładą policyentem. Szkół narodowych żadnych, książek żadnych. I naród sam zaczął się mieć w pogardzie; i byliśmy jak te ptaki kalające własne gniazdo, jako dzieci o których mówi Kolar, że napiwszy się wody ze źródła, rzucają weń kamienie i śmiecie. Jakże bohaterkie musiało być serce, które odwazyło się chcieć taki naród podźwignąć; jak wielka musiała być ta miłość ojczyzny, co nadziei takiej dodała. Bohaterowie nasi uczynili co niepodobienstwem się zdawało. Przyszedł Jungmann i wrócił nam naszą mowę; przyszedł Szafarzyk i wskazał nam nasze tradycje rodowe; przyszedł Palacki i wrócił nam nasze dzieje; przyszedł Pressl i otworzył nam księgi przyrody; przyszedł piewcy nasi: Czelakowski i Kollar, którzy pło-mienistemi słowy wzniecili w narodzie zapał, miłość kraju, Słowiańszczyzny i wszystkie idealne obudzili uczucia. Za niemi to nowi pojawiali się zapaśnicy... Jak wielka, jak cudowna stała się

w narodzie naszym zmiana. Szlachta zwróciła się znów ku narodowi i dziś widzimy jak możni i synowie najznakomitszych czeskich rodów, walczą wytrwale za prawo narodu z ofiarnością, która zyskać musi uznanie. Przedstawiciele mieszczaństwa, natchnieni duchem narodowym, pracują gorliwie nad podniesieniem szkół różnych, instytucyj i t. p. A rolnik nasz z niewolnika, stał się oto świadomym swych praw obywatelem i wszędzie się ukazuje jako wierny syn swój ojczyzny. Zamożność jego zdwoiła się. Tak to nasz naród w dobie jednego wieku stanął na równi z innymi narodami Europy: w którym-że kraju postęp stosunkowo był równie wielki? Czech już dziś nie jest niewolnikiem lub żebrakiem, a komuż winniśmy ten cud? Bohaterom naszym. Pamiętajmy jednak że nam ustawać nie wolno, my wciąż czuwać musimy, by nas nie zgniotła przewaga możnego sąsiada. Czechowie! nie przestaną wam powtarzać: *Vprace a viedeni jest naše spaseni*. I ufam że według tego postępować będziecie. Czech się praw swoich świętych nie zrzecze: ale niecierpliwością swoją nie sprowadzi dłuższego bezprawia, gdy dotąd tyle uzyskał, da Bóg postąpi i dalej. Nasz Jungman nauczył nas trzech środków po temu: czynnej ofiarnej miłości ojczyzny, ciągłej działalności ducha i wytrwałości żelaznej. Ślubujmy więc sobie w tej uroczystej chwili, że wciąż pod narodową chorągwią, dalej tą drogą iść będziemy. Żaden Czech niech nie schodzi z tego świata, aby nie mógł odpowiedzieć na pytanie: „Com czynił dla narodu—jaki ja dług mój spłaciłem.“ Są po temu różne w kraju naszym stowarzyszenia i instytucje. Jest *Svatobor*, w którego imieniu mówię, który wziął sobie za cel wspieranie młodych zdolnych pracowników na niwie literackiej. Jest *Muzeum narodowe* gromadzące nasze pamiątki. Jest *Matica czeska*, jest dużo innych instytucyj, z których każdy niech coś wybiera, stosownie do swych wyobrażeń i gustów. Ale hańba temu Czechowi, o którymby można powiedzieć po śmierci, że nic z mienia swego, nic z pracy swojej nie poświęcił narodowi, któremu Jungman poświęcił całe życie swoje. Niechże nam ta uroczystość nie będzie czczą demonstracją i paradą. Nie dość być aby wróciwszy powiedzieć: I ja w tém byłem—nie byłoby to w duchu tego drogiego naszego męża. Tylko powrócić nam trzeba z mocnym przedsięwzięciem pracowania jak on nieustannie i wytrwale. Gdyby każdy z nas wykonał setną część jego pracy, wkrótce nasz naród stałby się najpierwszym w świecie. Wracajmy do zagród naszych bracia kochani.“

Wspólna uczta w biesiadzie (resursa) miejskiej dopełniła zbliżenia licznych przedstawców ruchu czeskiego. Należeli do niej goście przybyli z słowiańskich krain. Poznańskie znające ucisk niemiecki było reprezentowane, Galicya się nie zorientowała wcześniej. Widok jednak połączonych istotnie stanów i duch zgody na program społeczny, byłyby bardzo pożytecznym wzorem. Palacki w treściwej mowie wspominał Puchmajera, Pelcla, Nejedlego, Dubrowskiego, pracowników, którzy odrzeczali starą literaturę czeską

i wykładali takową na uniwersytecie Pragskim jako zabytki językowe. „Jungman dopióro wlał nowe życie w zamarłą już mowę, uzupełnił odpowiednio do potrzeb czasu; przekonał że myśl wszelką tak naukową jak poetyczną wyrazić można w czeskich słowach, przeniósł w przekładzie wzory wzniosłe jak Raj Miltona i Atalę Chateaubrianda, „dowiódł że można być dobrym Czechem i Europejczykiem.“ Głośne oklaski były uznaniem, a odpowiedzi starego Serba Janka Szafarzyka radcy stanu z Belgradu i młodego obecnego Dalmaty który włoski zapał przypomina, czciły naród czeski, godny swych przewodników, sforny i pracowity, wiodący przeto Słowian zachodnich i południowych, bezpiecznie do dobrze zrozumianego federalizmu, idei zgodnej z prawym postępek i sprawiedliwością. Korrespondent Timesa, William Howard Russel przybyły umyślnie z Wiednia, gdzie przeglądał wystawę, był na uczcie. Dobra muzyka Sokoła z miasta czeskiego Kolina, zagrała pieśń: *Gdzie domów mój*; biesiadnicy obecni powstali wznosząc kielichy winem napełnione i wtórowali pieśni narodowej silnym męzkim głosem. Pałacki i Rieger objeżdżają teraz Czechy i Morawy, biorą udział w uctwach i uroczystościach miejscowych, przemawiają w duchu założenia i myśli Jungmana, by przez wzniosłe studia i wyższe uczucia ukrzepić całość i zdobywać przyszłość, by na niepożytych zasadach gruntować rozwój wszelki. Zdrowa massa narodu świadoma w Czechach praw swoich, objawia wszędzie swe uznanie i ponawia zobowiązania. W ruchu tym ogólnym znikła mała garstka ambicyuszów, która wznosząc w *Narodnych listach* niesforne programy i obce pseudopoztywne naleciałości, psuć zaczynała uczucia narodowe i szczepić odśrodkowe egoistyczne widzenia w nieustalonych umysłach. Głosiciele nowych jakoby zasad, którym cześć i wiara dawna zawadza, dziwnie są zwykle porażeni, gdy ogół istotnie pracowity i czuć głęboko umiejący, porzuci na chwilę swe mówcze zajęcia i okaże co ceni, czego żąda i jaki głos uznaje.

Zaiste, szczyt się mogą Czesi swém dziełem: mowa zaniedbana wróciła do należnego znaczenia, wykłady w słowiańskim zrozumiałym języku obudziły wrodzone zdolności, kraj się dźwignął nauką i pracą, a ogromny rozwój materyalny, dający ogólny dobrobyt wynikł istotnie także z tój możności nabywania wiedzy w mowie rozumiałej wszystkim. Szkoła lingwistyczna, wykazanie że w ojczystych słowach można przedstawić myśl najbardziej złożoną, były więc źródłem wszelkiej wiedzy, siły i dobrobytu, jakimi prądują dziś Czesi wśród Słowian zachodnich. Z pomocą zdobyczy naukowych trwale przyswojonych, oparli się oni nawale Germanów i dowiedli, że Słowianie dorównać i prześcignąć mogą przestawione sąsiedzkie zaborcze plemie, jeśli im wolno rozwijać myśl samodzielnie we własnej ukształconej mowie. Ci z naszych rzekomych obecnych odnowiciele, jacy widząc że nam brak znajomości fachowych, potępiają usiłowania poprzedzające, które nauczyły czuć, myśleć i kochać

swoich i swą przeszłość; niech przewędrują ziemie czeskie a ujrzą, że zgłoska, pieśń, owe spójnie duchowe poprzedziły tamże zdumiewający obecny rozwój materyalny, i że ideały otwały wrota do realnego postępu. Poczucia piękna, łączność uczuć ztąd wynikła, wzbudziły młodzież do badań i pracy wszechstronnej, bo na chrześcijańskim idealnym braterstwie i wzajemnej życzliwości oprzecz jedynie można silny i trwałe wzrost pomyślności ogólnej. Na dowód widzieliśmy przed chwilą jak pozytywny, bezwyznaniowy i bezuczuciowy Wiedeń napiętrzył z pomocą kosmopolitycznej giełdy, zdumiewające pozornie miliony; lecz te wraz z bujnemi nadziejami, lekkomyślnie zmarnował, odzierając tysiące pracowitych rodzin z owocu długoletniej pracy. Idealna Praga stawiająca pomnik dla wieśniaka, który pług odstąpił, ale serca milionów oświecał, uzacnił i miłością kraju napełnił, szła i idzie drogą wskazaną poczuciem piękna i prawdy, łączącym jednostki. To też praca materyalna w Pradze i całych Czechach nie zawiodła. Szwindel wiedeński nie ogarnął Pragi i *krach* wiedeński doszedł tylko echem do kraju, gdzie walka o byt nie rozżarza zwierzęco umysłów, a wszyscy czują że w chrześcijańskiej łączności, wzajemnej względności i bratniej pomocy, znajdują rodziny i całe społeczeństwa podstawę do istotnego trwałego postępu.

W listach mych z Czech dałem szczegóły całego tamiecznego rozwoju i zaznaczyłem drogę przebytą w całej gałęzi wiedzy i postępu; nie będę więc powtarzał dowodów, że początek narodów i społeczeństw nie liczy się od pierwszego uderzenia młotem w fabryce parą poruszanej, ani od pierwszego bankowego bilansu; ale od hasła, kiedy naród poczuł swą godność, zespolił swe siły i uszykował się sformie wedle swych wrodzonych instynktów i tradycy własnych.

Adolf Smorczewski.

J Ó Z E F P A R I N I¹⁾.

Z WŁOSKIEGO,

Franciszka de Sanctis.

Metastasio był ostatnim poetą literatury dawniej; Parini pierwszym poetą literatury nowoczesnej. Bezwiednie malując społeczeństwo arystokratyczne i feudalne w swój powierzchowności i manierach, ale z gruntu zepsute, gnuśne, zniewieściałe i pospolite, przedmiot idylli, elegii lub komedyi, pod szatą heroiczną, Metastasio był nieświadomym widzem literacko-socjalnego przeobrażenia, wiodącego wprost do rewolucyi.

Czynnikami ogniskami tego przeobrażenia były: Neapol, Wenecya, Turyn, a nadewszystko Medyolan. W Neapolu nigdy nie brakowało działalności spekulatywnej, poczynając od Telesia; powstała tam szkoła liberalna, mająca za przedmiot stosunki sporne między kościołem i państwem; w dalszym postępie dotykała ona wszelkich pożytecznych reform ekonomicznych i cywilnych, tak że gdy pisarze francuzcy znaleźli tam przystęp, umysły były już wykształcone i usposobione do przyjęcia nowych pojęć, których gorącymi przedstawicielami stali się Filangieri, Pagano i Galiani. Takim sposobem wyrabiała się nowa treść w formie pełnej życia i ruchu, w języku żywym i inteligentnym. Farsy, tragedye, komedye, mowy, rozprawy, kazania, traktaty, sonety, pieśni, wszelkie rodzaje dawniej literatury przeciągały swój żywot mechanicznie, bez żadnego postępu w wewnętrznym swym ustroju. Był to świat konwencyonalny, przyjmowany konwencyonalnemi oklaskami. Poczucie literackie wahało się, błądząc pomiędzy ułudami rozkoszy, kunsztowności i sentymentalizmu, co tak popularnymi uczy-

¹⁾ „Nuova Antol. di Scienze, Lettere ed Arti,“ październik 1871 r. Parini urodzony w roku 1729, umarł 1799. Ostatnie wydanie jego poezyi wyszło w r. 1868 we Florencyi u Barbery. Poesie di Giuseppe Parini. Firenze. G. Barbera editore 1868. Przep. Red.

niło Tassa i Mariniego, a gdy na polu literackim nastąpił zastój, przeobraziło się w poczucie muzyczne, które w Neapolu wychowało Metastasia i przygotowało nieśmiertelną szkołę mistrzów, prawdziwych ojców muzyki, Cimarosów, Pergolesich, Paisiellów. Podczas gdy na południu Włoch rozwijała się działalność spekulatywna i poczucie muzyczne, ruch w Wenecyi rysował się w formie czysto literackiej. W Akademii Graneleschi'ch, której duszą stali się bracia Gozzi, a która wzięła sobie za zadanie przywrócenie czystości języka i dobrego smaku, posiadała Wenecya ognisko Toskańszczyzny; wyższe były dążności Karola Goldoniego, który w dziedzinie sztuki chciał zmienić jej ozywczego ducha, chciał powrotu do prawdy i natury. Arystokratyczny Piemont dawał już niejaki znaki życia, którego zwiastunami byli najprzód Baretti, a następnie Alfieri, dwa umysły najbardziej excentryczne i radykalne w całym tym ruchu włoskim. Większą działalność objawiał Medyolan, gdzie ruch był razem filozoficzny, polityczny, ekonomiczny i literacki, podniecany przez reformy Józefa II i wpływ pisarzy francuzkich. Tu powstała najprzód szkoła jansenizmu, a potem szkoła praw człowieka. Towarzystwo patriotyczne, później zwane ludowem, pracowało nad rozpowszechnieniem nowych pojęć. Ruch skierowany głównie przeciwko dworowi rzymskiemu, uosobianemu w jezuitach, oraz przeciwko szlachcie, miał za cel wyraźny nie zmiany polityczne, ale reformy cywilne, dążące do uszlachetnienia człowieka; sądzono że do tego dojść będzie można przy pomocy środków prawodawczych. Beccaria projektował reformę kodeksu karnego, Piotr Verri reformy ekonomiczne i administracyjne. Rzym i Florencya, gdzie opór był silniejszy, mniejszy w tym ruchu brały udział; w Rzymie panowała Arkadya, we Florencyi Crusca ¹⁾. Żył jeszcze w pełni swęj sławy Inocenty Frugoni, uważany za najpierwszego z liryków włoskich i najlepszego mistrza wierszy białych, dopóki Mascheroni nie napisał swego *Invito a Lesbia*. Dosadnie przebijał się w nim charakter literatury dawniej, uroczystość i powaga form, osłaniających zupełną czczość i bezbarwność treści. W około niego grupowali się liczni prozaicy i poeci, improwizatorowie i improwizatorki, wszyscy tego samego zakroju Roberti i Fornielli, Algarotti i Bettinelli, Pompei i Paradisi, Bondi i Bertola, Savioli i Rezzonica i Nolli, Perfetti i Corilla Nowy Pindar i Nowa Safo, na cześć których wybijano medale, którym rozdawano wieńce na kapitolu. Poezya stała się poprostu zabawką, towarem pospolitym, akompaniamentem monotonnym najzwyczajniejszych faktów życia, urodzin, śmierci, zaślubin, obłóczyn, żargonem konwencyonalnym, dostępnym nawet dla miernych zdolności. Dziwne było zaprawdę przeciwieństwo między taką służalcością, taką bezbarwnością treści, a napuszonocią słów. Nie brak było abstrakcyj

¹⁾ Nazwa akademii rzymskiej i florenckiej.

i ogólników naukowych, jakie spotykałeś u Cotty, Manfrediego, Franciszka Maryi Zanotti'ego; nie brakowało i tradycyjnej lubieżności, jak w Aureliusz Bertola i księdzu Casti. Na szczycie tego Parnasu, stał Metastasio, jako samotne bożyszcze: jego imię stało się przewiskiem: Bondi, był nazywany drogim Metastasiem, Tornielli Metastasi'em kaznodziei. Nic nie wskazywało, że ta literatura była literaturą XVIII wieku; ocieżała i czcza wlokła się raczej jak ogon wieku XVI. Współcześni przyklaskiwali jój, wynosili pod niebiosa kaznodziejów i wierszokleatów tego czasu, których dziś zaledwie pamiętamy nazwiska. Każde nowe pokolenie próbowało jakiś reformy, co jak moda zmieniała suknię, pozostawiając człowieka nietkniętym. A człowiek będący modelem téj literatury, był wewnątrz czczy i płochy, upudrowany i uperfumowany na zewnątrz.

Potrzeba było odnowić człowieka, dać mu sumienie i charakter: tak tylko mogła powstać nowa literatura. Nowa treść była już w klassach ukształconych, rozumiem przeto, pewną mniej lub więcej jasną i spoiwą całość pojęć religijnych, moralnych i politycznych, pozostającą w zupełnym przeciwieństwie z porządkiem i instytucjami społecznymi, nie mającymi już podstawy w sumieniu powszechnym jak owa literatura, istniejącymi dlatego tylko że kiedyś żyły. Powolna praca rekonstytucyjna rozpoczęta we Włoszech, a którą przerwał Sobór Trydencki, podjęta została na nowo, nie na podstawie krajowych tradycji, ale wskutek wpływów zewnętrznych, z poza Alp przybyłych. Większy wpływ wywierali na umysły Voltaire, Rousseau, Diderot i encyklopedyści, niż Machiavelli, Galileusz, Telesio, Bruno, Sarpi, prawdziwi ojcowie całego tego ruchu. Z powodu że wpływ ten przychodził z zewnątrz, a nie był powolnym wytworem wewnętrznej rekonstytucji, ruch był powierzchowny, retoryczny, niejednostajny; nie wielu było takich co przyjmowali w nim udział, albo téż stawiali mu opór, właśnie dlatego, że mało był badany w swoich podstawach i następstwach. Nie była to poważna i radykalna zmiana, ale raczej nowy ubiór noszony na starym; moda przyjęta przez tych samych, przeciwko którym była skierowana tak, jak peruki, harcapy i mankietki. Była to mieszanina pojęć nowych, nie przetrawionych i niedowarzonych, co ciągle zmieniały kierunek stosownie do prądu, nurtowały umysły, a nie usuwały tego co w nich tkwiło, zachowując dawny rozbrat między myślą i życiem nie prowadziły do żadnych konsekwencji, nie zmieniały charakteru. Pisarze byli tylko filozofami i tylko literatami, ztąd mniej lub więcej zaliczyć ich można do Arkadyi, nawet tych z pomiędzy nich którzy występowali przeciwko Arkadyi. Byli to ludzie w ogóle służalczego charakteru, a przynajmniej bojaźliwi i bez energii, idylliczni, jak Goldoni, Gaspare Gozzi i Passeroni. Pierwszy biorąc za motto swojej reformy nie psuć natury *non guastar la natura*, przedstawiać wszystko według życia i prawdy, jest wyraźną negacją Arkadyi, akademii, retoryki, całej téj literatury manierowanej i konwencyonalnej. Drugi w swoim dostrzegaczu *Osservatore*, a jeszcze

więcej w *Mowach*, maluje z delikatną grzecznością wady i ułomności społeczeństwa i literatury, jak to czyni wprawdzie mniej dobitnie i poczciwy Passeroni. Nawet kaznodzieje ówczesni tworzyli karykatury zręczne i dowcipne, jak np. *Fra Gerundio* albo *sławny grzmilas hrabia Bacucco*. Objawiała się już zatem opozycja przeciwko panującej literaturze, rozumiano dobrze jej związek ze społeczeństwem, atak wymierzony był przeciwko pierwszej i drugiemu. Ogólna dążność umysłów do wykazywania nadużyć i proponowania reform była w powietrzu. Zręcznemu obserwowaniu wad towarzyszyło jasne pojęcie środków zaradczych. Posłuchajcie Kaspra Gozzi:

Dzisiejsi poeci to psalmiści,

Co naśladują Jowisza w huku grzmotów!

Poezya, to błyskawice i mgły. . . .

Śpiewajcie tylko wtedy, kiedy serce się budzi:

Nie wyciskajcie z siebie pomysłów i dowcipu,

Jakby wam głowy w prasę wtłoczono.

Badajcie uczucia naturalne

I starajcie się o styl urozmaicony

I cieniowany w miarę potrzeby.

Mieć będę zawsze w pogardzie

Tę harmonię, która dźwięczy bez przerwy,

Jakby dzwony kościelne.

Utrzymują, że piękny jest styl upstrzony

Najdziwniejszymi postaciami i przenośniami.

Ja powiadam: lepiej mówią wieśniacy,

Co nie studyowali Arystotelesów.

Kto chce się nauczyć mówić, niech idzie do szkoły

Prostych wieśniaków i wieśniaczek,

Którzy mówią to, co mają w sercu.

Każda myśl u nich ma swój wyraz,

Bez owych przenośni i opisów.

Były to również pojęcia Goldoni'ego, Passeroni'ego, a nawet zólcioviego Karola Gozzi. W imię natury prowadzono wojnę ze sztucznym społeczeństwem i ze sztuczną literaturą. Nie brakowało więc nowych pojęć, brak było nowego człowieka. W najśmielszych reformatorach tkwił stary Adam, typ człowieka z czasów upadku włoskiego, w najlepszych, słaby i bez energii, w gorszych fałszywy i manierowany. Brak było człowieka nowego, człowieka przeniknionego i zahartowanego nowymi ideami, któreby były w nim nietylko inteligencją, ale wiarą i uczuciem, sumieniem; słowem: nim całym. Włosi nie mieli już świata wewnętrznego, chyba tradycyjny, nie badany, nie roztrząsany, zaprzeczony w praktyce i po części obserwowany zewnętrznie ze względów światowych a który już wziął rozbrat z sumieniem. Dlatego to ideał poza życiem był napuszony i konwencyonalny i brakowało mu

miary i prawdy, jakie czerpie z rzeczywistości. Wiek XVIII-ty przy swoim kierunku materialistycznym, dążył właśnie do ustalenia w umyśle miary i prawdy ideału, oczyszczając go z każdego elementu nienaturalnego, z każdej naleciałości, uważając go nie w sobie samym i zewnątrz świata, ale żywym i działającym w naturze i człowieku. Nie słuszenie wyprowadzić chciał stosować zasady w całej ich oderwanej ściśłości, wszakże stanowiło już jego zasługę iż chciał je stosować. Były to bowiem nie maksymy czeze i nieużyteczne, ale żywe siły życia. Dążyły do zreformowania sumienia i charakteru, do odtworzenia heroizmu, tego stałego postanowienia człowieka, iż wszystko znieś, nawet śmierć aby tylko nie odstąpić od swoich zasad. To było sławą tego wielkiego wieku, który wielu z szyderstwem nazywa materialistycznym. Należy oceniać każdy wiek nie wedle krańcowej przesady w jego objawach, ale ze względem na jego istotne dążności i zasady. Sofistami są ci, którzy szukają cech XVIII-tego wieku u Helwecyusza i barona D'Holbach; a nie widzą że po zużyciu się platońskich ideałów materializm był potężnym narzędziem odrodzenia ludzkości, był bronią której już używali Machiavelli i Gallileusz, ideałem co wyszedł z abstrakcyi, co się zniżył do natury i człowieka. Dlatego to Goldoni wypowiadając przekonanie iż nie należy psuć natury, miał instynkt wieku chociaż nie miał jego energii, bo był tylko akademicznym człowiekiem. Słyszczę mówiących: sztuka dla sztuki; maksyma to jest prawdziwa lub fałszywa, podług tego jak się ją pojmuje. Prawda że do wykonania dzieła sztuki potrzeba artysty; prawda i to, że celem sztuki jest sztuka. Ptak śpiewa aby śpiewać: tak jest, ale ptak przez śpiew wyraża całego siebie, swoje instynkta, swoje potrzeby, swoją naturę. I człowiek śpiewem wyraża całego siebie. Nie dosyć mu jest być artystą, powinien być człowiekiem. Cóż on wyrazi, jeżeli świat jego duszy jest ubogi, kunsztowny lub mechaniczny, jeżeli niema w nim wiary, niema uczucia, jeżeli niema nic do wylania na zewnątrz. Sztuka jest wytworem podobnie jak natura, jeżeli artysta w tobie daje ci środki tworzenia, człowiek daje siłę. Goldoni'emu brakowało nie ducha, nie siły komicznej, ani zdolności technicznej: urodził się artystą. Brak mu było tego, czego nie miał i Metastasio, brak było w jego świadomości świata czynnego, roztaczającego się na zewnątrz, namiętnego, ożywionego wiarą i uczuciem. Brak mu było tego, czego od wielu wieków brakowało wszystkim Włochom, co upadek ich czyniło nieuleczonym: szczerości i energii przekonania.

Jednym z najuczciwszych ludzi tego czasu był Jan Karol Passeroni, ale była to uczciwość ujemna, bez energii i inicjatywy, charakter idylliczny, jak Metastasio i Goldoni. Po śmierci Metastasia chciał zostać poetą cesarskim, zamiast niego otrzymał to miejsce lubieżny ksiądz Casti typ pieczeniara, pochlebcy z pozorami prawdomowności. Brakmęzkiego ducha w Passeronim widoczny jest w jego życiu Cyncerona, przypominającym życie Mecenasa przez Caporalego. Wypowiedział on otwartą wojnę wszystkiemu co sztuczne i obrachowane na efekt w li-

teraturze i społeczeństwie. Ale pociski jego przypominają pociski Priama, nie zadają rany miotane bezsilną ręką. Jego satyra jest akademicką jakim był człowiek ówczesny, jestto karykatura żartobliwa, często płytka, obmawianie salonowe dla zabicia czasu. Brak żądła jego sarkazmom, brak wdzięku jego dowcipom. Artysta w nim jest zaniedbany, a część tego zaniedbania przypisać należy słabości człowieka. Jednego dnia spotkał się z biédnym księdzem, który żył z kopiowania pism obrończych, podobnie jak Rousseau z przepisywania nut. Poczciwy Passeroni zwierzył w księżzulu człowieka rozumnego i zawiązał z nim przyjaźń. Jako członek akademii dei Trasformati, przedstawił na tém zebraniu literackim swojego nowego przyjaciela księdza Parini.

Taki był piérwszy wstęp Pariniego na scenę życia publicznego. Kopiował akta sądowe, dawał lekcyje w domach Borromeo i Serbelloni, pisał prozą i wierszem, był członkiem akademii i układał rymy dla arkadów. Było to zwykłe życie wszystkich literatów włoskich. Wiele rozgłosu, wiele tytułów akademickich, szczupłe wynagrodzenia, za cenę służby i protekcyi prawie jałmużna, nie ostatnia to przyczyna ich służalczego i upadłego ducha. Uczęszczając do domów pańskich, gdzie nauczyciele byli liczeni do sług a poeci stanowili konieczny zbytek przy stole, zastosowali się do tego i uważali się sami za protegowanych i niższych. Takim się wydawał ten księżyna kulejący na jedną nogę, i układny w swoich manierach. Ale był to syn wieśniaka i wyniósł z gór swoich otwartość i energię. Ojciec przyprowadziwszy go z sobą do Medyolanu, chciał go zrobić księdzem aby uszlachcić rodzinę, jak to czynią jeszcze i dzisiaj. Piérwsze nauki odbył pod ojcem Branda w gimnazjum *Arcimboldi* utrzymywaném przez Barnabitów. Niedługo wszakże zmuszony był biędą domową opuścić szkołę i rozpocząć ciężkie życie kopisty i pedagoga. W chwilach wolnych powracał do ulubionych zajęć, zapominał o swoim stanie, rozmawiając z Wirgiliuszem, Horacyuszem, Plutarchem, Dantem, Bernim i Ariostem. W szkole musiał wybierać z nich frazesy; tak chcieli ojciec Branda, ojciec Bandiera i ojciec Soave, pedanci owego czasu. Chłopak był złym uczniem, przykrzył sobie te ćwiczenia pamięciowe, wszakże tyle z nich skorzystał iż mógł rozumieć pisarzy i być swoim własnym nauczycielem. Przy życiu czystém i prostém, przejęty czcią ojca, matki i rodzinnego kraju, wdrożony do pracy i zdala od tych chorobliwych warunków wielkich miast, które psują młodzież, lektury podobne wywierały wpływ więcj niż literacki, odkrywały przed nim wzniosły świat moralny, rozwijały i uszlachetniały jego umysł. Jakże musieli mu się przedstawiać Borromeo i Serbelloni, jemu, który znał Wirgiliusza i Dantego. Jakże przykrym musiał mu się wydawać fałszywy protekcyjonały uśmiech, będący pchnięciem sztyletu dla tych co mają duszę szlachetną. Hartował się charakter jego w téj niemój pogardzie, w tém oburzeniu powściąganém. Poczucie równości już bardzo się rozwinęło we Włoszech razem z oświatą. Campanella, który się uważał za równego filozofom i poetom wszystkich wieków, patrzył

z góry na wszystkich, na królów i papieży. W tym stanie oświaty wyróżnienie klas było obłądą, podobnie jak chodzenie na msze i żegnanie się. Obłąda była powszechną, bo charakter nie równał się kulturze; poczynając od Soboru Trydenckiego, silne pokolenie Sarpi'ch i Brunów wygasło, a normą życia było co innego myśleć, co innego czynić. Oświata pozbawiona wyższych moralnych uczuć jest gorszym złem niż ciemnota, albowiem obudza nowe instynkta i nowe potrzeby niedając uczciwych środków do ich zaspokojenia; unia się aby się zrównać z temi, któremi się gardzi w sercu, jakto czynił Casti; jest się ich pieczeniarem i służy się im za zabawkę. Mówi się o równości, a nie znajduje się wiary; w oczach widać coś nieczystego, jakieś uczucie zawzięci i chciwości, jakby głos „o żebym ja był jako jeden z nich”. Dlatego człowiek mający wiarę, wolę i siłę, był we Włoszech rzadkością; w literatach, było coś z Piotra Aretina, trochę bezczelności, trochę służalstwa a zawsze fałsz; fałszywe społeczeństwo i fałszywa literatura. Aby więc zreformować literaturę, należało wprzód zreformować człowieka. Na młodym Parinim różnica między światem jego książek a tym światem fałszywym sprawia takie wrażenie, jakie sprawia zwykła na wszystkich młodych ludziach, nie zepsutych jeszcze przez występki i chciwość. Kiedy więc przy tej piéwszój prawdziwości swoich wrażeń i nieskazoności swojej natury, zdrowej i silnej, ujrzał się z potrzeby wciągniętym w ten świat i mógł z blizka poznać jego fałszywość i jego płochość, nie jako literat filozof, ale jako człowiek, który codzień odczuwał jego kolce: wstręt jego nie miał w sobie żadnej goryczy. Czuł się wyższym nie tylko kulturą, ale i charakterem; nie zazdrościł okazałości, honorów i skarbów; małość ludzka nie wzbudzała w nim pogardy; wywoływała tylko uśmiech. Posiadał spokój, poczucie siły, wewnętrzną równowagę będącą zdrowiem duszy. Jak w potrzebach tak i w umyśle jego nie było nic udanego, był zawsze prawdziwy i szczery. Takim wszedł do akademii dei Trasformati i znalazł się jakby w drugim świecie. Kwiatem ówczesnej oświaty medyolańskiej byli: Tanzi, Balestrieri, Verri, Beccaria, Baretti, Passeroni. Tu czuł się jak we własnym domu, bo znalazł swoje idee, swój język; ale były to idee ubrane z francuzka, roznamiętnione i przesadne, panował tam nie Wirgiliusz, nie Dante, ale Voltaire, Rousseau i d'Alembert. Był tam nowy duch żywszy, bitniejszy, ale jakoś sztuczny i cudzoziemski w pomysłach i języku, nie mógł więc podobać się jego naturze otwartej, jego wychowaniu klasycznemu. Jeżeli ganił ojca Branda i ojca Bandiera, kupczących frazesami, nie był mniej surowym względem Piotra Verri, który dla uniknienia pedanteryi głosił swawolę. To naśladownictwo Francuzów stało się modą pospolitą, rozweselającą salony panów i zakłady fryzjerskie; było w tém wiele płochości, ostentacyi i przesady: nie mógł się pogodzić z takim otoczeniem swoich szlachetnych i ulubionych idei. Nie podobało mu się to co stare i to co nowe, płochość jednych, przesada drugich; podobnie jak Dante trzymał się na stronie. Nowe pojęcia nie wydały mu się koniecznie towa-

rem francuzkim, znajdował je w domu własnym, wyławiał je w ojczym włoskiego odrodzenia i starał się nadać im formę Ariosta i Galileusza. Taką była oryginalność naszego Pariniego. Odradza się w nim człowiek, człowiek szczerego włoskiego stempla.

Odradza się człowiek. Parini, to pierwszy poeta nowój literatury, który jest człowiekiem, to jest który ma w sobie treść żywą i namiętną pod względem religijnym, politycznym i moralnym. Wychowany na sposób dawny, ale w otoczeniu nowém, otrzymuje nowe pojęcia przez pośrednictwo Dantego i Wirgiliusza. Pojmuje wolność jak Katon, moralność jak Fabrycyusz i Cyncynnat, a to co pojmuje nie jest jego ideą tylko, ale jest jego wiarą i jego życiem. Pomiędzy współczesnymi jego łatwo poczuć obczyznę: kolory w nich pożyczane, entuzjazm retoryczny, filantropia chorobliwa, ostentacya i przesada uczuć, zapal gorączkowy i nerwowy, jak kiedy się jest w stanie wyteżenia uczuć i widzi się Hannibala przed bramami. To właśnie stanowi przeciwieństwo ze spokojem i pogodą Pariniego. Życ zgodnie z wiarą swoją nie jest dla niego sławą, ani heroizmem, jest tylko obowiązkiem: nie mógłby postępować inaczej. Dlatego to jego cnota wolna jest od wszelkiej ostentacyi i przesady: nic tu nie jest obrażone na efekt. Również niema przesady w oburzeniu, która właściwa jest cnotie teatralnej, niepowściągniętej w pochwałach i naganach. Posiada on wstydlivość szczerzej cnoty, zadowolenie z siebie raczej niż chełpliwość; o innych sądzi sprawiedliwie bez fałszywej żarliwości. Dlatego wydaje się szlachetnym i prostym zarazem. O ile jest naturalnym w swoich uczuciach, o tyle trafnym w swoich pojęciach, przyzwoitym w mowie. Człowiek wywiera tu wpływ na artystę. Pisze, kiedy ma coś ważnego do powiedzenia. Znikają przedmioty zwyczajowe i konwencyonalne, miłości udane, oderwane ogólniki, panegiryki retoryczne. Z dawną treścią ustępuje i dawna forma. Zjawia się nowa treść, idea nowa, rezultat długiej i mozolnej pracy wieków, nie w szatach pożyczanych, ale tak jak została pojęta i sformowana w duchu harmonijnym. Podstawą tej treści jest wolność i równość w życiu społeczném rozwinięta w otoczeniu czystym i moralnym, naturalnie podniosłym. Artysta jest w zgodzie z człowiekiem. Idea jego nie jest już tezą, której należy dowieść, albo aspiracją torującą sobie drogę walką; jestto poczucie rzeczy wszystkim znaniej i spokojnie się roztaczającej. Nie działa rewolucyjnie i niecierpliwie: ma owszem to wewnętrzne przekonanie, że stan człowieka może się polepszyć siłą samego rozumu i sprawiedliwości. Dlatego jego wykład jest ożywiony, chociaż spokojny, ma więcęć powagę ody, niż zapal hymnu. Powiedziałbyś, że to jest Rzymianin odziały togą, który nie naucza o cnotie, ale ogłasza prawo, pewny, że wszyscy uznają je za słuszne i wykonywać je będą. Jego dewizą było: Niech żyje sprawa powszechna i niech nikt nie gi-

nie ¹⁾! Równowaga jego władz umysłowych stała się w życiu umiarkowaniem, w pismach spokojem. Styl jego szlachetny, pełen rozsądku, rzadko rozdrażniony, zawsze trafny; jestto styl człowieka, który ma daleko więcej w myśli, niż na ustach, który umie powściągać i miarkować swoją naturę. To panowanie nad sobą samym, najwyższy przymiot w artyście, zbliża bardzo Pariniego do Goethego. Spokojność jego nie jest idylliczną, nie jest spoczynkiem wewnętrznym, ale jest harmonią i miarą w sile, górującą nad przywidzeniem i uczuciami. Poeci zwykli udawać zachwyt, pewien impet bezładny, łatwość zaniedbaną, któraby okazywała samorzutność natchnienia. Tu czujesz przeciwie prace wewnętrzną, sztukę pogromcy zwierząt, który, acz nie bez trudności, utrzymuje w należytych granicach siłę burzącą. Jest w nim, że tak powiemy, praca zdwojona, trud człowieka, połączony z pracą natury starający się naturę streścić i wycisnąć z niej miazgę. Czujesz węzidło, karność, dobry rząd ducha. To, co jest naturalną wyższością ducha, staje się w nim zadaniem sztuki. Słowo jako słowo nie jest niczem, jest pustym dźwiękiem, nie jest literaturą, jest muzyką. A w muzyce znalazła grób literatura dawna. To, co daje wartość mowie, jest jej treść. Parini nie pojmuje inaczej sztuki, tylko w połączeniu z ojczyzną, wolnością, ludzkością, miłością, rodzinną, przyjaźnią, naturą, całym światem religijnym i moralnym. W tej harmonii uniwersalnej, gdzie człowiek, patriota, przyjaciel, kochanek, artysta, poeta, literat przenikają się i utożsamiają, jest słowo literatury nowój. Włochy oddawna miały artystów, ale nie miały poetów. Tu zjawia się poeta, gdyż po za artystą jest człowiek. Muza jego, to nie Apollo, to cały Olimp. A słucha Muzy:

Ten, komu dało niebo pogodny umysł,
Czyste uczucia i proste obyczaje,
Kto przestaje na swoim

I więcej nie żąda nad zagon ojczysty;

Kto często od nużącego wczasu magnatów
I miejskiej wrzawy ucieka i żyje tam,
Gdzie natura rozléwa wpływy swe łagodne

Na wzgórkach i na wybrzeżach;
I w nielicznem, dobraném przyjaciół gronie
Siada przy stole ani zbyt skąpym ani zbyt wytwornym,
A ze świetnych zebrań i marnego przepychu

Wesoło się śmieje.

Kto, gdziekolwiek jest, dobrym pomaga,
Prawdy szuka, piękno niewinne kocha,
I pędzi wiek swój spokojnie, zdrowy
Na sercu i duszy.

¹⁾ Viva la republica! e morte a nessuno!

To portret poety, w którym łatwo jest dojrzyć samego Pariniego. Ten *pogodny umysł i wiek spokojny, zdrowe serce i dusza*, ta pogarda *wczasu magnatów i miejskiej wrzawy*, to przestanie na swoim, łagodne wpływy natury na wzgórzach i na wybrzeżach: to cały Parini. Młodzieńcze, mawiał stary poeta do Ugona Foscolo, który chwalił jego wiersze, wprzód nim zaczniesz chwalić geniusz poety, staraj się naśladować ducha jego w tém, co obudza w tobie uczucia cnoty i wolności, a unikaj go, kiedy cię prowadzi do występku i słaźalstwa“. W tém odnowieniu treści w sumieniu, w téj restauracji człowieka w sztuce, występuje nowa literatura w przeciwstawności z pustą formą, w której się wyczerpała literatura dawna. Treść odzyskując swoje znaczenie, zostaje przeceniona, jak to bywa przy każdej reakcyi; treść w artystycznej formie i przeobrażeniu nie zlewa się w jedno ze sztuką, lecz odłączona od sztuki, wyprzedza ją i ma się za wyższą od niej. Zjawisko bardzo naturalne, skoro czysta sztuka po arcydziełach XVI wieku ulotniła się w czczości, a nowa treść wzięła początek nie z instynktu ogółu, ale z myśli filozoficznej. Ztąd wynika, że charakterem nowéj literatury jest nietylko restauracya treści ale treść, która sama przez się dobiya się znaczenia i ma poczucie że więcéj znaczy niż sztuka. Widoczném to jest w odpowiedzi Pariniego na pochwały młodego Hugona. Ztąd się téż objaśnia jak w Pariniem wyższy spokój, umysł kierujący, który stoi po nad wszystkimi elementami w skład jego wchodzącami, daje im normę i stawia granice, jest nietylko własną jego naturą, ale wyrobioném pojęciem o sztuce, jest uczuciem i rozumem, a tém samym życiem i prawdą. Doskonała harmonia będąca w człowieku, przechodzi w artystę, jest duchem przenikającym całą jego treść poetyczną i nadającym mu właściwy charakter. W samej rzeczy, podstawą poetyczną wszystkich przedmiotów przez niego obrabianych, jest usunięcie się ducha do spokoju natury, do racjonalności umysłu, i społeczeństwo uważane z tego punktu. Pogodny jego umysł, zdrowy stan jego serca i duszy jest zarazem uczuciem idylliczném i kontemplacją filozoficzną; co wywołuje w nim wewnętrzne zadowolenie, nie bez odcienia pewnéj szlachetnéj dumy. *Życie wiejskie* ¹⁾, zamieszczone na czele jego poezyj i w kształcie przedmowy, jest duchem ożywającym wszystkie jego utwory. Poeta odwraca się od świata i usuwa się na rodzinne wzgórze, zadowolony i dumny:

Jam nie urodzony, aby stukać
 Do twardych pańskich podwoi,
 Niech nagim, ale swobodnym
 Przyjmie mnie państwo śmierci.

¹⁾ *La Vita rustica.*

Nie, bogactwem ani honorem
 Z podstępem i nikczemnością,
 Ten wiek sprzedajny
 Frymarczącego mnie nie ujrzy.
 Wzgórza błogie i ciche,
 Które wdzięczny mój Eupil ¹⁾
 Opasujecie łagodném,
 Nieznaczném wzniesieniem;
 Zachwycam się pięknością,
 Jaką naturą wam dała:
 I wygnaniec swobodny
 Do was zwracam stopę.

Natura daje mu wzór, w którym widzi wyrażenie wszystkiego tego, co mu się przedstawia racjonalném w duszy; ztąd w jego poezjach obrazy sielskie następują z kolei po dumaniach filozoficznych, i stają w przeciwieństwie ze sztuczném i konwencyonalném społeczeństwem, jak w utworze „Salubrità dell' aria“, gdzie natura i społeczeństwo stawione są naprzeciw siebie:

O! szczęśliwi

Ludzie, którzy swobodnie
 Tém powietrzem oddychacie,
 Odświeżaném ciągle
 Przez wiatry przelotne
 I czyste strumienie.
 Szczodrze téż udzieliła przyroda
 I miastu dumnemu
 Niebo i powietrze czyste.
 Ale któż piękne dary dziś ceni
 Wśród zbytku i chciwości
 I gnuśnego lenistwa?

Spółczeństwo wykłęte w imię natury i rozumu, to stary temat wieku, popularny od czasów Russa. Ale gdy dla wielu natura była pretekstem, sposobnością do deklamacyi filozoficzno-politycznych, u niego jest uczuciem nie udaném zdrowego serca. Obok wyrażeń nowoczesnych jak w „Potrzebie“ jest wielka obfitość wspomnień klasycznych, nadewszystko Horacyusza i form mitologicznych. Lecz jestto materyał strawiony i przekształcony przez jego osobistość, która wyciska na nim swoje piętno. Odtwarza on nawet mitologią będącą dla niego materyałem, którym swobodnie rozporządza, tworząc z ba-

¹⁾ Poeta urodził się w Bosisio nie daleko Medyolanu, nad jeziorem Puzyańskim (lago di Pusiano), zwaném u starożytnych Eupilem.

jek i mitów, przezroczystą powłokę swoich idei: taki charakter mają nowella „Lauro“, Parafoco“¹⁾ i „Indifferenza“. Wysoka i spokojna intelligencya przenika wszystkie formy, nadaje każdej znaczenie. Czujesz coś jakby siwiznę, mądrość białych włosów wśród zapału wyobraźni i uczucia. Jego zagłębienie się w niewinności przyrody, w spokoju rozumu, jest tak szczere i zupełne, iż usuwa z piersi złe i pospolite namiętności, chciwość i dumę, miarkuje zapał samęj miłości, tematu niewyczerpanego dla poetów, a który u niego jest miłém bujaniem wyobraźni, oczyszczoném od wszelkiej zmysłowości.

Mnie powiedział mój duch opiekuńczy
 W dniu moich urodzin: Złoto
 Niechaj ci troski nie czyni,
 Ani marna ozdoba
 Tytułów, ani zdradliwa
 Żądza przewodzenia innym.

Ale natury wolne
 Dary i skłonności, i wdzięczny
 Piękności widok
 Uczynią cię szczęśliwym,
 Ciebie, niezdolnego błędzić
 Po długiej i stroméj ścieżce nadziei.

Czuje on sam komiczność platonicznej miłości, i zamiast udawać zapał którego nie czuje, zamiast gorączkę zmysłów zastępować gorączką wyobraźni, jakto czasem przytrafia się Petrarce, z narażeniem na śmieszność, pozostaje zawsze szczerym w swoich wrażeniach, prawdziwym w swoich uczuciach, zachowując formę prostą i pełną wdzięku. Jego ody: *All' Inclita Nice*, zwłaszcza pod koniec, gdzie fantazyja całkiem Petrarkowska zachowuje trzeźwość i miarę rzeczywistości, oraz *Il pericolo*, oda tak wdzięczna, tak pełna zdrowego rozsądku przy całej powodzi obrazów, są najpiękniejszym owocem tego spokoju wyższego. Takiem jest również *Il Brindisi* (toast), gdzie porzuciwszy fałszywy szal upojenia jakim nacechowane są podobne utwory, rozwija z uprzejmością starego wieku rzecz na sposób tezy. Treść spokojna wyraża się w formie spokojnej; jest tam *ucho spokojne, serce czule* i *umysł bystry*, cechy jego muzy.

Postawcie teraz tego człowieka między starém i nowém społeczeństwem, w téj mieszaninie, która stanowiła wiek ówczesny, między starém społeczeństwem bankietującym wśród bezwiednego rozkładu, a nowém burzącém się wśród instynktowego tworzenia się. Parini duchem należy do nowego społeczeństwa, ale nie poznaje się w niem. Nie lubi ani jego form obcych i nadętych, ani jego przesady, ani jego

¹⁾ Ekran, zasłona od ognia.

namiętności; szął rewolucyi francuzkiéj, orgie rzeczypospolitéj podalpejskiéj, nie mogły przycynić się do złagodzenia tego wstrętu. Krótko trwały jego złudzenia; pozostał niezadowolony, jak ten, co nie odnalazł swoich ideałów, i zasłużył sobie na to, że patryoci nazwali go *nieudolnym* człowiekiem, mieszkającym w obłokach i niepojmującym swego czasu. W końcu nieudolny Parini umył od wszystkiego ręce, usunął się do swoich książek, do świata Plutarcha, *najuczciwszego między starożytnemi* ¹⁾). Każdy na swój sposób marzy o wieku złotym. Jego wiek złoty, to wolność dobrze urządzona, prawo obok obowiązku, ustawa zgodna ze sprawiedliwością, równość obok cnoty, społeczeństwo zgodne z rozumem i naturą, we wszystkiém poczucie granicy i miary. A nie wydawało mu się, że żąda zbyt wiele, gdyż wszystkich tych cnót był sam żywym przykładem. Pozostał więc duchem samotnym, jak Dante w sprzeczności ze swoim wiekiem. Dlatego charakter ogólny jego utworu jest negacyjnym lub satyrycznym. Czuje że w tém starém i nowém społeczeństwie negowanym jest on sam, negowana jest jego inteligencya, jego charakter. Nie staje téż w szeregu z jednemi, aby walczyć przeciwko drugim, nie jest żołnierzem niczym; stoi samotny, wyższy od wszystkich, i gdzie uważa że należy ganić, gani, nie pytając, czy to stare, czy nowe. Takim go znajdujesz w *Muzyce, w Szalierstwie* i w pięknej odzie do Sylwii. W jego satyrze gdzie karci i chłoszcze modę zwaną *a la guillotine*, czujesz człowieka wolnego od namiętności prywatnych i politycznych, *niezamieszanego między potoczne drobnotki*, zupełnie bezinteresownego, przy bezstronności i równowadze ducha, skłonnego raczej do uśmiechu, niż do szyderstwa lub zgrozy, do uśmiechu wolnego od wszelkiéj złośliwości, graniczącego z politowaniem. Charakter nierównie doskonalszy od Dantowskiego i dlatego mniej poetyczny, mniej namiętny i przeważny, ale za to miłszy i bardziej przekonywający. Dantemu często nie przyznajesz skusności ale płaczesz i drżysz z nim razem. Czujesz w nim owo *homo sum*, czujesz w nim człowieka zamieszanego wśród ludzi i z téj saméj co oni gliny. Jego społeczeństwo, jego wiek żyje w nim, jest częścią krwi jego. Parini jest to zupełna doskonałość, bo wszystko jest w nim harmonią i miarą. Jego poczucie samego siebie wolne od pychy, godność wolna od ostentacyi, cnota nie ma w sobie nic udanego, surowość nie jest bez uprzejmości, uprzejmość za to pełna energii. Słowem jest to charakter szczery, prosty, prawy, najpiękniejszy typ filozofa. Wydaje ci się tak różnym od ciebie a podziwiasz go; jest ci blizkim, uśmiecha się do ciebie, i kochasz go. Te zalety wyciskają piętno na jego poezyi, nadają jéj charakter, stanowią jéj wewnętrzną treść, jéj prawdę. W odzie do Sylwii odgrywa on rolę zawsze pedantyczną, pedagoga: napomina ją, aby porzuciła modę, jaka wówczas

¹⁾ Il piu galantuomo degli antichi.

w r. 1795 nastąpiła, zwaną alla *ghilotina* (*à la victime*). W tém założeniu jest coś kazania, oderwanego moralu, co czyni je pedantyczném. Ale Parini komunały na bok odsuwa, pedanta przemienia w dobrze wychowanego człowieka; człowiek daje tu natchnienie artyście: wy-ciska na nim swe piętno. Nie masz tu pierwszego wybuchu uczucia, gwałtowności oburzenia i obrażonego wstydu. Dante mówi:

Bezwstydne kobiety florenckie
Chodzą pokazując pierś odkrytą ¹⁾.

Któżby go zdołał powstrzymać w obec gilotyny? Jakież ostre słowa wyzionąłby gniew jego? Ta pierwsza chwila tutaj przeszła. Człowiek jest panem siebie i rządzi swojemi uczuciami, jak wojskiem dobrze wyćwiczoném. Nie szaleje, nie oburza się, długo waży i rozważa myśli i związek swojego tematu. Napróżno aby pokryć rozmysł nadaje zazęgciu ton improwizacyi, ruch dramatyczny i teatralny. Jest to strona pospolita i kunsztowna jego poezyi; stary motyw w nowój muzyce. Rozmyśla, a ma tyle rzeczy do powiedzenia i tak nowych, że forma wychodzi na zewnątrz treściwą i ścięzioną; wiele mówi, ale jeszcze więcej daje do zrozumienia. Masz treść pełną, nową, zerwaną w chwili wytworzenia, z nią uczucia, które nie wiedząc jak się to dzieje, widzisz odbite na jego twarzy; często wyrażone są w jednym prostym epitecie; *głosy mężkie, małżeńskie łoża zamknięte, szkołę przynosząca obfitość*. Uczucie zawarte jest w obrazie, dno prześwieca przez powierzchnię; jest tam goła i jedna tylko treść, ale żywa, ruchliwa, duchowa, energia pierwszego wrażenia. Powiązanie proste i zgodne jak założenia naukowego, uczucie odrzmiewające w rzeczach, podstawa owinięta w obrazach, precyzja i miara towarzyszące energii, wdzięk i gracya w połączeniu z wzniosłością i czystością uczuć, wszystko razem wydaje w utworze harmonią nmystową i moralną, istniejącą w spokojnej piersi poety. Powstaje ztąd zadowolenie więcej niż estetyczne, zupełne ukojenie wszystkich twoich władz, jakie wywołuje w duszy doskonałość. A ta doskonałość człowieka nie jest tu oderwaną i idylliczną, ale działającą i udzielającą się; artysta udziela o sobie wiadomości, daje swoją postać natchnieniu. Parini nazywają niejako swoją cnotą, ale swoim geniuszem. Rozbierzmy jego utwór *Caduta* ²⁾. Stary poeta upadł na ulicach Medyolanu; jakiś litościwy człowiek nadbiega, podnosi go, lituje się nad jego ubóstwem, daje mu rady, które odrzucone zostają z oburzeniem. To przypomina *Fortunę* Guidi'ego. Guidi opiera się także groźbom i przymilaniom się Fortuny. Ale czujesz tam dumę i fałszywość, bo poza artystą nie ma człowieka. Guidi przejęty jest myślą

¹⁾ E lo sfacciate donne florentine
Andar, mostrando con le poppe il petto.

²⁾ Upadek.

przedstawienia w formie epickiej kolei losów ludzkich, wydyma usta i zziąjany jest zmęczeniem; goni za heroizmem, którego nie ma w swój duszy; znajduje tylko nadętość i zolbrzymiałość: więcej słów niż myśli. U Pariniego fakt sprowadza się do najzwyczajniejszych proporcji życia. Nie potrzeba machiny mitologicznej: interes cały polega na motywach wewnętrznych i naturalnych. Nie stara się poeta o zmianę, i zwiększenie proporcji, żeby uczynić wrażenie marnym pozorem wielkości, ale rzecz sprowadza do miary prawdy. Parini przedstawia się mniej wielkim i dlatego jest prawdziwie wielkim, jest bohaterem nie wiedząc o tém, bohaterem skromnie zamieszonym pośród tłumu. Cnota wyszczególniająca się, szukająca rozgłosu obmierznie ci, jak nieznośnym jest człowiek cnotliwy, wynoszący swoją cnotę. Najłżejsza oznaka dumy lub napuszonosci gubi efekt właśnie dlatego, że go szuka. Głębokie wrażenie, jakie sprawia ta oda, pochodzi z doskonałej miary w uczuciach i słowach. Ten, który go podnosi z ziemi, nie jest to jakiś duch bezczelny, jak Fortuna Guidi'ego, nie jest to nikczemnik idealizowany dla utworzenia przeciwieństwa; przeciwnie, jest to człowiek cnotliwy, litościwy dla nieszczęścia, pełen szacunku, szanujący rozum i cnotę, gardzący światowym przepychem. Jesteś tak wielkim, powiada do Pariniego, a nie stać cię nawet na biédny wózek, coby cię zdrowo uniośł przez rozdroża. *Harda duszo!*

I otóż wążle twe ciało,
 Czy z wieku, czy z przyrodzenia,
 Wleczesz idąc piechotą,
 Nie próżen strachu i niebezpieczeństwa.
 Tyle sławione wiersze,
 Nie dały ci biédnego wózka,
 Coby cię uniośł wśród
 Rozdroży od wściekłej nawałnicy.
 Harda duszo! przyjmij,
 Przyjmij inną radę,
 Jeżeli chcesz siwą głowę
 Uchronić od gorszego nieszczęścia!

Ten narzucający się doradzca, nie jest wcale cynikiem ani ironistą; nie ma nic w nim tak nadzwyczajnie złego, owszem jest z rodu ludzi cnotliwych, ale z rodu pospolitego; jest cnotliwym *do pewnego stopnia*, posiada cnotę względną i do kompromisu skora, jaką jest cnota większości ludzi. Podziwia duszę hardą Pariniego, sławi jego wiersz, wszakże upomina go, aby unikając nędzy, postępował tak jak inni, stosował się do ogółu. Godność, zdaje się on mówić, tak zapewne—, lecz gdy upadając możesz sobie rozbić siwą głowę, powóz nie zawadzi, a powóz wart ofiary twojej godności. Taka jest treść jego mowy. I nie mniema wcale znieważać tém Pariniego, mierzy go na swoją stopę. Urażony Parini rzuca mu pytanie: *hto jesteś?* czekamy burzy;

ale wkrótce uspakaja się i przybiera ton właściwy. Została w nim zraniona nie duma, to uczucie Dantowskie wielkości własnej, które cię odróżnia od innych, ale sprawiedliwość, to jest miara, dostrzeganie we wszystkim właściwych proporcji i utrzymywanie w nich każdej rzeczy. Tamten nie jest ani wyniosłym, ani zuchwałym, ale jest człowiekiem niesprawiedliwym: *ludzkim jesteś, lecz nie jesteś sprawiedliwym*. Nie gani w nim Parini uczucia; krzywda wyrządzona mu nie zaślepia go tak dalece, aby go miała czynić niesprawiedliwym w naganie; uznaje jego dobroć i nazywa go *ludzkim*. Równa sprawiedliwość i miara jest w sędzię o sobie samym: jest tam godność ze skromnością. Upomnieć się o siebie nie jest nikczemnością. I on się przypomina, ale rzadko i przy zdarzonej zřeczności, nie zniżając czoła. Nie mówi *ja*, nie stawia się na piedestale, bo to co czyni, jest obowiązkiem każdego *dobrego obywatela*. Odmowa i opuszczenie nie zakłóca spokojnej równowagi jego ducha; pozostaje on ten sam, *stały*:

Nie poniza się w skutek cierpienia,
Ani się nie wynosi przez dumę.

Rozchodzi się ze swoim doradcą chłodno, nie żeby się na niego gniewał, owszem jest mu on dość miły; lecz że ma radę jego w pogardzie, a ostatnie uczucie, jakie mu towarzyszy w powrocie do domu, jest zadowolenie nie z pomsty miłości własnej, ale zadowolenie ze spełnionego obowiązku, *czuje się wolnym od wyrzutów*. Czuje się człowiekiem, który nie chciał pisać pochwały Maryi Teresy, mówiąc że zrobiła to tylko, co było jej obowiązkiem. Równowaga moralna staje się także równowagą artystyczną. W całej jego poezji jest pewne poczucie granicy, pewna naturalna delikatność pomysłów, obrazów, uczuć; nie nie zarywa brzegów, wszystko stoi na swoim miejscu. Ideał starożytny *ne quid nimis* został osiągnięty. Wszystko jest w miarę i dlatego prawdziwe; gdyż miara jest prawdą rzeczy, a tu jest prawdą nie sztuczną i oderwaną, ale prawdą żyjącą, bo wrodzoną i istotną. Jest człowiekiem w artyście, jest jego sposobem pojmowania i czucia.

Takim był człowiek, wybrany na malarza starego społeczeństwa włoskiego. Kopista i pedagog wchodząc do złoconych salonów i obecny na orgiach arystokracji, raczony uśmiechami, które zstępowały na niego jak z Olimpu, przejmował tam obrazy i wrażenia niezatarte. Pogardzony pedagog, oparł na tej pozycji swój piedestał, swoją zemstę; stanął obok szlachty, więcj niedorzecznej niż butnej i szedł za nią krok w krok przez wszystkie godziny dnia, dając lekcje i także nie bez uśmiechu. Takim sposobem powstał *Dzień*¹⁾.

Była to zemsta, godna Pariniego. Temat pod ręką wzrosł i oczyścił się. Czuł on się nie równie wyższym od świata współczesnego. Myślał o sztuce, o potomności. Reszta bardzo małe znaczenie miała dla niego.

¹⁾ Il Giorno.

Nie brakowało satyryków. Była to moda. Był tam Goldoni i Passeroni, byli bracia Gozzi, Pietro Verri, był Martelli i x. Casti. Wszyscy szarpali to dawne społeczeństwo to tym, to owym sposobem. Był tam cały materyał więcj lnb mniěj opracowany. Brakowało artysty. A kiedy wyszedł Poranek ¹⁾, wszyscy uderzyli czołem. Zjawił się artysta.

Pochwały były liczne. Wielbiono ten wiersz biały, a Frugoni powiedział: na Boga! dopiero teraz widzę, że nie umiałem pisać wierszy białych, chociaż uważałem się za wielkiego ich mistrza ²⁾. Inni chwalili nowość pomysłu, dydaktyzność i dramatyczność przeniesioną na pole satyry, co zdawało się być nowym rodzajem poezyi. Nie umieli nic widziéć po za formą.

Cóż więc było w tym *Poranku i Południu*, wyszłym prawie dwa lata późniěj, co rzuciło cień na Goldoniego i Passeroniego, w skutek czego przyćmione zostały *Mowy, Femia i Marfisa!* Był człowiek. To było nowością.

Stare społeczeństwo i Parini, to właśnie zupełne przeciwieństwo. Parini był w formach najprostszycy cały światem wewnętrznym, inteligencją, wiarą i uczuciem. Społeczeństwo owo było formą napuszoną, ale pustą: tacy byli jego ludzie, jego artyści, takie były jego instytucye, jego literatura. Stare społeczeństwo było jakby weruiksem pokryte; dla utrzymania cechy nowości francuziało, przejmując mody a nie ideę. W społeczeństwie w ten sposób uorganizowaném okazało się form obok płochéj treści była bezwiedną ironią. Im więcj formy były pompatyczne, tém widoczniěj płochość wychodziła na wierzch: ironia nie zawiera się w formach, ale w ważności, jaką człowiek przywiązuje do nich, jak gdyby tu była cała istota życia. A tak było w przypadku obecnym. Formy były rzeczą główną. Utworzył się kunszt mówienia bez myśli i poetyzowania bez poezyi. Przeciwieństwo pomiędzy kunsztownością a czczością treści stało się fizyognomią czasów upadku, było ironią.

Głębokość téj ironii może dostrzedz, gorycz jéj odczuć ten tylko, kto ma w sobie żywe uczucie godności ludzkiéj i nadaje treści całą tę wagę, jakiej odmawia formom; dla kogo treść jest nietylko nauką ale religią, przedmiotem jego czci i miłości. Takim człowiekiem był Parini. Inni satyrycy widzieli to przeciwieństwo, ale uważali je jako traf, jako przypadek szczególny, jak tyle innych. Brali powierzchowność w jéj pozorach śmiesznych i niekształtnych, zkad powstawała karykatura zaprawiona sarkazmem, dowcipami, lubieżnością, bufonerją, przesadą retoryczną. Przy tym powierzchownym poglądzie wieku czyczysbeyów, nianiek i harcapów, znajdowali łatwo materyę do spostrzeżeń komicznych i satyrycznych, w których więcj widać było

¹⁾ „Il Mattino“ pierwsza część dnia wysła w r. 1763. *Przyp. Red.*

²⁾ Poffar Dio! Conosco ora di non avere mai saputo fare versi sciolti, benchè me ne reputasi gran maestro.

twór ich dowcipu niż społeczeństwo poruszające się własną siłą, jak całość organiczna. Brak pod tą powierzchnią duszy, idei zasadniczej, która ją wydała. Dostrzegasz różnorodność zjawisk powiązanych dowolnie, jak przychodziły pod pióro. Parini widzi w tym kontraście wagę objaśniającą wszystkie inne, ideę tego społeczeństwa, która je wydała i utworzyła i z której pochodzą wszystkie te zjawiska. Ta idea w swojej formie jest ironią, powagą form, która się okazuje fałszywą w porównaniu z treścią. Aby dowieść jej fałszu, Parini nie potrzebuje dodawać nic swojego, wystarczy mu gołe i proste przedstawienie. Ironii nie szuka w swoim umyśle, znajduje ją w łonie samego społeczeństwa, jako jego duszę i wytłumaczenie jego objawów. Ironia Pariniego tak sławiona a tak mało zbadana, jest ironią przedmiotu i istoty, ideą samą tego społeczeństwa w jego formie, t. j. w sprzeczności między pozorem a rzeczywistością, między napuszoną formą a nicością treści. Należy szukać ironii nie w akcesoryach, zdaniach, uwagach i ucinkach, ale w formie ogólnej utworu; gdyż ironia nie natrafia się tu przypadkiem, ale jest całością, duchem poruszającym wszystko. Zawiera się ona w okazałości epicznej przedstawienia, w zastosowaniu do tego życia i płochego form Wirgiliusza i Homera. Nazwano to rodzajem nowym. Jest on jednak dawny jak świat. To wojna myszy i żab, naśladowanie form homerycznych, to *Moscheida* Teofila Folenga, treść naturalna satyry, kiedy forma nie odpowiada już duchowi a przeciwieństwo doszło do świadomości powszechnej; wówczas dość na nie wskazać, społeczeństwo mówi samo za siebie. Ta pompa epiczna, to nie żaden zbytek ducha, nie forma subiektywna i humorystyczna, tém mniej zabytek XVI w., ale sama rzeczywistość, rzecz sama, gdyż powaga przedstawienia odpowiada powadze jaką przywiązywano do tych form towarzyskich, do sztuki życia. Parini wyrzeźbia te rysy nie szukając ich w głębi ducha swego, ale w samym społeczeństwie; ażeby to osiągnąć dość mu wprawić społeczeństwo w działanie i tak postawić, aby przeciwieństwo stało się wydatniejszym. Utożsamiając się z tematem, wrywszy się w niego, dosięga jedności i prostoty układu, jakie były ideałem Horacego. Jest tam porządek zewnętrzny i mechaniczny, nie chronologiczny, na którą zwija się cały szeregię zajęć błahych. Ale pod tą powłoką jest tam porządek organiczny, idea jedna, podług której rozwija się taka różnorodność przedmiotu i która nadaje wszystkiemu jedną i właściwą postać.

Każdy pomysł ma w naturze swojej zalety i wady. Są wady którym nie winien artysta, ale które z konieczności tkwią w pomysle. A i ten utwór ma wady nieodłączne od swoich przymiotów; przede wszystkim nie jest to akcja, ale opis. Nie jest to bohater, którego wielkie dzieła opowiadają się ironicznie, jak Donkiszot albo *Baldo* Folenga. Jest to społeczeństwo opisane, a nie działające. Opisane jest z taką jednością, tak ściśle, z taką równością tonu, że ta jedność sprawia monotoność i staje się nużącą. Naprózno poeta walczy z całą siłą przeciwko fatalizmowi tematu, naprózno dramatyzuje,

tworzy epizody, kształtuje opowiadania: niepodobna jest oprzeć się naturze rzeczy. Niepodobna jest w poezji opisowej dopiąć potężnego wrażenia właściwego opowiadaniu. Życie takiego hrabiego di Culagna lub coś podobnego, stałoby się pomysłem popularniejszym, bardziej pociągającym, prawdziwym poematem literatury nowej. Próbował tego w *Marsie* Carlo Gozzi, lecz mu się szczęśliwie nie powiodło. Ale próżnobyśmy rozmyślali nad tem, co artysta mógł uczynić. Nadto, poematów opowiadających Włochy miały do syta, a *Il Giorno* pozostał jedynym.

Ironia Pariniego uważana jako fakt intelektualny jest nie tylko głęboka, ale jest nawet uczuciowa. I w tem zawiera się jego oryginalność. W pisarzach włoskich epoki odrodzenia ironia jest faktem czysto intelektualnym. Jestto duch dojrzały, który w imię sztuki i cywilizacji bawi się kosztem ciemnoty i zabobonów ludu. Jestto przeciwieństwo między rozbudzoną inteligencją klas ukształconych, a łatwowiernością klas ciemnych. Jestto świadomość sił natury człowieka w przeciwstawieniu z siłami nadprzyrodzonymi, z cudem, z magią, fantastycznością. Była to ironia wesoła, sceptyczna, pozabawiona charakteru moralnego. Rozum rozwijał się, charakter upadał. Po Soborze Trydenckim obłuda stała się cechą stateczną społeczeństwa włoskiego, a obłuda oznacza fałszywość, sprzeczność między myślą a czynem. Brak było energii wewnętrznej, świadomej siebie godności człowieka, brak było uczucia moralnego. Ironia Pariniego jest właśnie przebudzeniem się tego uczucia: ironia Ariosta jest rewindykacją umysłową; ironia Pariniego jest rewindykacją moralną. U jednego sztuka i ukształcenie są wszystkiemi: brak człowieka; u drugiego człowiek jest podstawą wszystkiego. Ironia jednego jest powierzchowną i wesołą, bo jest sceptyczną; ironia drugiego jest głęboką i smutną, dlatego że wynika z wiary. W pierwszej czujesz odradzającą się inteligencję, w drugiej czujesz odradzające się sumienie. Śmieszność i dziwaczność nie wywołuje śmiechu w Parinim, zasmuca go, gdyż widzi tam pod nikczemnością charakterów fałszywość i przewrotność moralną. Czuje w sobie obrażonym człowieka, a człowiek nadaje charakter artyście. Deklamacje mięsożernego filozofa przeciwno zabijającym zwierzęta, epizod suczki, ciągłe przywoływanie na pamięć dawnych cnót wyrodnym wnukom, wszystko to jest pełne melancholii. Parini jest jak człowiek, którego serce krwawi się, a który udaje wesołego. Dla tego właśnie, że ma siłę powstrzymania swego uczucia, ironia jest możliwą, nie staje się poronieniem ani rozdzwiękiem. Udaje mu się to wskutek wewnętrznej równowagi jego władz umysłowych, która go czyni samowładnym panem własnych ruchów i wrzeń. Dziwić się należy nie temu, że uczucie długo powściągnięte wybuchą nareszcie jak w wierszu: „Podły stadnik rodu ludzkiego“, albo w tym drugim: „Plackiem na ziemi ślepy tłum go uwielbia“, ale temu wewnętrznemu ukojeniu co wyłącza wszelką złość i osobistość, wszelką przesadę i ostentację, dając mu pogląd na rzeczy jasny i sprawiedliwy, utrzymując go na tej wysokości, gdzie go nie dosięga ani płaski dowcip,

ani ostry sarkazm. Wysoka doskonałość człowieka jest tu wysoką doskonałością artysty, harmonią idei i wyrażenia, będącą idealnością formy, idealnością żywą, bo biorącą początek w człowieku. Doskonałość artystyczna daje całemu utworowi powagę, jak gdybyś się znajdował przed wielkim panem w rękawiczkach, nie pozwala ci śmiać się i oburzać i utrzymuje cię w respekcie. Ta ironia w takiej wykończoności wykonania, w takiej trafności pojmowania i poczucia, przejmuje cię dreszczem, nie wydaje ci się żartem jak życie Cycerona albo Mecenasa, utrzymuje nawet ducha twego w skupieniu i medytacji. Ten jest człowiekiem, kto nie pozwala sobie facecyi, nie żartuje nigdy i z którym się nie żartuje: jego śmiech pokrywa czoło twoje zmarszczkami.

Takie było pierwsze słowo literatury nowój, czyli raczej tak zmartwychwstało słowo. Przedtém było lekkie, dźwięczne, fałszywe i puste, obraz starego społeczeństwa, wspaniały grób. Parini daje mu treść i znaczenie, wyraźne i domyślne, obrabia je i kształtuje, i pracuje dopóty, dopóki nie stanie się ciągłym i przezroczywym, jak u niego było w duszy. Wychodzi eliptyczne, przeniknione myślą i uczuciem, utoczone, oświecone wszechpotężną treścią. Czujesz w tych harmoniach pracę artysty nad materją, która stała się bezwładną. Stara się wlać w nią krew, nadać jęj mężność. To słowo tak przedtém łatwe, miękkie, rzucające się, manierowane, wychodzi teraz na zewnątrz z trudem, zahartowane, mściwe, towarzyszy ironią swoją staremu społeczeństwu, z którym wzięło rozbrat. Przyszyczone do pochwał, chwali jeszcze, chwali ciągle, i żadna nagana nie dorówna nieskończonej pogardzie jaka się mieści w tój pochvale, w której brzmi słowo nowe w starém społeczeństwie, słowo potężne w społeczeństwie zniewieściałém. W Goldonim, Passeronim, Castim, Karolu Gozzim, a po części i w Kasprze, słowo pozostaje stare, zaniedbane, obfite, łatwe, bardzo jeszcze podobne do społeczeństwa, które chcieli krytykować. Tu naprawdę rozpoczyna się literatura nowa; bo tu nowy człowiek i nowa treść, tworzą nowe słowo: odradza się sztuka.

Ale ta idealność formy przy doskonałej harmonii ma swój grzech pierwotny. Czujesz samotność człowieka między społeczeństwem starém i nowém, milczenie gabinetowe, zagłębianie się w starożytnych i ich naśladownictwo; nie wiesz, czém się dzieje że harmonia ta dołatuje twego ucha, jak wspomnienia zamierzchłe, i przypominasz sobie Horacego. Tak wielka doskonałość jest ci podejrzana; zbyt czujesz w niej robotę pilnika, a w tój robocie więcej potężną energię indywidualną niż wypadek siły zbiorowój. Czytając Woltera albo Russa, widzisz w nich społeczeństwo francuzkie w swoim ruchu, i postępujący naprzód język Racine'a i Bossuet'a. Tu znajdujesz pracę osobistą człowieka samotnego, który niedosyć odebrał wrażeń w życiu pospolitém, człowieka, który zamknął się w sobie otoczony swemi książkami. Jego przedstawieniu braknie świeżości i naiwności, szczerego i bezpośredniego wrażenia, cechy nowości i chwili bieżącej, któ-

rój się nabywa nie na szczycie Parnasu, ale wśród towarzystwa. Goldoni i Beccaria nowsi są w swoim zaniedbaniu, niż Parini w swojej doskonałości. Jego wytworny zdrowy rozsądek, naturalna miara jego ducha, nie pozwala mu nigdy przejść granicy, utrzymuje go na polu rzeczywistości; a jednak nie czujesz tam prawdziwej rzeczywistości, tego zetknięcia bezpośredniego z naturą i ludźmi, gdyż myśl jego wychodzi przebojem po długiej walce z formą i wspomnieniami, i traci w tym starciu naturalność. Jego opowiadanie o *Miłości i Hymenie* jest cackiem dowcipu, wolę jednak świeżość sceny, w której Goldoni przedstawił czasy czyczysbejów.

Literatura odradza się z dwiema wadami pierworodnymi. Z jednej strony, skutkiem reakcyi przeciwko częściej formie, przywiązuje się za wiele wagi do treści; jeżeli zyskuje na tym powaga, słabe jest uczucie sztuki, brak naiwności i samorzutności pierwszego natchnienia. Widać literaturę wyrobioną na wyniosłych szczytach inteligencji, która nie wyszła z ludu i nie zstąpiła do ludu. Z drugiej strony, skutkiem reakcyi przeciwko francuzczyźnie, literatura zwraca się ku przeszłości, i przez wstręt do tego co nowoczesne, odtwarza to co stare. Odradza się rozważna i klasyczna. Ale literatura ta, jeżeli wiele zostawia do życzenia pod względem sztuki, ma tę sławę, że położyła fundamenta. Odtworzyła człowieka, przywróciła sumienie, odbudowała świat wewnętrzny, zachwiany wśród sceptycyzmu jednych i obłudy drugich. Ojcem tej literatury jest Józef Parini, którego pochwałę można wypowiedzieć w jednym słowie: w nim człowiek więcej wart był od artysty.

We Włoszech restauracya świata moralnego na tak chwiejnych jeszcze stoi podstawach, że ta pochwała wyda się może nieznaczącą. Dotąd jesteśmy jeszcze uczniami XVI wieku, zachowujemy nasze podziwienie dla siły umysłowej, sztuki, cywilizacyi i nauki, w ten sposób, jak poprzednio podziwiano siłę fizyczną. Jestto zawsze cześć siły mniej lub więcej uszlachetnionej. Wartość moralna człowieka wydaje się nam jakby trafem w jego historii, i często przekładamy nad skromną dobroć i godność życia, śmiałość i rozum. Człowiek w swej całości wymyka się nam. Robimy abstrakcye; odzielamy od człowieka artystę i uczzonego. Sam człowiek wydaje nam się niczem, czy dobry czy zły. Cześć częściej siły odpowiada cześci czczego słowa. Właśnie to bałwochwalstwo zgubiło Włochy. I dziś jeszcze jest robakiem toczącym plemię łacińskie obok pełnego rozkwitu cywilizacyi. Siła jest środkiem, a nie celem, a kiedy dusza jest pusta, kiedy w niej niema nic szlachetnego do urzeczywistnienia, siła pozbawiona treści psuje się, słabnie i w dłuższym przeciągu czasu doprowadza do upadku wraz z człowiekiem i sztukę i naukę. Przy takim bałwochwalstwie, rzecz jasna, trudno zrozumieć wielkość Józefa Pariniego; dla wielu i moja pochwała wydać się może ironią. Wszakże kto sądzi, że odtworzyć w sumieniu włoskiem świat wewnętrzny, ojczyznę, wolność, ludzkość, cały ten świat moralny,

który zwykliśmy uosobiać w Bogu, było i jest jeszcze podstawą odrodzenia Włoch: ten rozumie Józefa Pariniego. I ujrzy w nim odrażdżającego się człowieka obok artysty, a człowiek był jeszcze doskonalszy od artysty, i poczuje pod ironią artysty samotność i melancholię człowieka. Im więcej nań się zapatruję, tém piękniejszym wydaje mi się ten harmonijny obraz człowieka, tak prostego i szczerego w swojej wielkości moralnej, i schylam czoło z uszanowaniem przed tym pierwszym człowiekiem nowej Italii, tyle sławionej, a zaledwie dopiero przedstawiającej się w słabym zarysie.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Literatura gallo-rzymska w IV wieku, ostatnia rozprawa Amadeusza Thierry. Dramat japoński: Czterdzieści siedmiu Lowinów.—Biografia Dickensa, przez Forstera, część druga.—Nicobecnny, obrazek dramatyczny Eugeniusza Manuela.—Literatura pozytywna: powieść pana Zola „Le ventre de Paris”; poezye filozoficzne pani Ackermann.—Poezycy lyońskie z czasów wojny: pieśń Laprada.

Książę Józef Michał Poniatowski.—Filaret Chasles.

Po nieodżałowanym Amadeuszu Thierrym wydaną właśnie została rozprawa pod tytułem: *La littérature profane en Gaule au IV siècle*. Ostatnia to praca znakomitego historyka. Thierry dopełniał ją i poprawiał do druku, gdy go śmierć zaskoczyła. W wigilią zgonu marząc gorączkowo wspominał o niej, jakby o ukochaném dziecku. Obraz ten pełen życia i siły nie ustępuje w niczém dawniejszym utworom wielkiego erudyty.

Autor jednym rzutem oka przebiega historią literatury łacińskiej w ciągu jej sześćcio-wiekowego istnienia. W tém długim paśmie lat odróżnia cztery wielkie epoki odpowiedne wpływowi czterech wielkich ludów, które składały państwo zachodnie. Italia podjęła pierwsza berło literatury i przekazała je Hiszpanii; stąd berło przeszło na brzegi afrykańskie, nakoniec dostało się do Gallii. W tymże samym porządku rozrastał się Rzym politycznie. Rzekłby kto, że pod tknięciem rzymskiego miecza ziemia dotąd bezpłodna przeistacza

się nagle, wstaje żyzną i wydaje z łona bujne owoce literatury i sztuk pięknych. Każdy z pokonanych ludów wypłaca się zwycięzcy plonem wzrosłym z jego posiewu. Kiedy Italia wyczerpała własne zasoby, podbite plemiona przynoszą Romie całe zastępy oratorów, prawników i poetów, a nawet wodzów i cesarów.

Pierwsza epoka literatury łacińskiej, w której przemaga duch Italii, świetna była lecz krótka: epoka to Cycerona i Wirgilego, przewana słusznie złotą. Przyświeca ona jasno Rzeczypospolitej i upada z nią razem. Wówczas występuje geniusz iberyjski, i wy-ciska na literaturze własne piętno. Wielcy pisarze przybywszy do Rzymu z Hiszpanii, zakładają szkołę, formułują prawidła stylu. Naczelnikami tej szkoły: Seneka, Pomponiusz Mela, Kwintylian, Lukan, Martialis. W ich rękę proza łacińska streszcza się, ożywia; poezya przybiera malownicze barwy, wybiega w nieznane dotąd wy-żyny, ale zarazem staje się nadętą, napuszoną.

Po deklamatorstwie iberyjskiem przychodzi żar afrykańskich Numidów. Muzy łacińskie przenoszą się na gorące piaski Libii. Odwet to za klęski Jugurty i Annibala. Pyszna Kartagina tworzy w łonie swoim centrum literatury; zakłada na wzór Rzymu wielkie szkoły, biblioteki, teatru. Oratorowie, poeci, filozofowie, zbiegają się do nowego ogniska. Gród punicki aby zatrzymać ich u siebie, hojnie sypie im złoto, godności i zaszczyty, stawia im posągi na placach. „Cześć tobie—woła jeden z poetów—tyś Kartago naszą muzą niebiańską, ty dajesz nam twórcze natchnienie!”

Kartagińczycy z całym zapałem afrykańskim oddają się filozoficznemu badaniu. Korneliusz Fronto, sławny retor, przyjaciel Marka Aureliusza i genialny Apuleusz stają na czele szkoły. Geniusz punicki przenika na wskroś mowę łacińską, technie w nią nadzwyczajną siłę, a obok tego zaprawia ją nieznaną dotąd cierpkością. Zakwita nowa literatura, kwiat to świetny barwą, ale dziki, zrodzony znać pod płomienistym niebem, w pobliżu puszczy Sahary.

Italia tymczasem patrzy z niemą boleścią jak mistrze i uczenie opuszczają tłumnie jej szkoły. Pozostaje tylko garstka kompilatorów: pod nieudolnym ich piórem piękny język Cycerona zmienia się w jakiś gwar barbarzyński. Z końcem III wieku w stolicy wszechświata panuje wszechwładnie język grecki.

Słońce Kartaginy świeci jaskrawo, lecz blask jego niema być trwały. Gaśnie też wkrótce i pozostawia szkoły Zachodu pogrążone w grubych ciemnościach. Z początkiem wieku IV literatura łacińska dąży do ostatecznego upadku. Śmierć niebawem ugodzi, aż oto wpośród ciszy grobowej zabrzmiało nagle hasło zmartwychwstania. Umysły budzą się, poruszają, młodzież przybiega znowu do pustych szkół; wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej puszczejają zielone listki, wydają kwiat i owoc. Oratorowie, poeci, historycy, uczeni we wszystkich działach nauk, przypominają chwałę pierwszych wieków, i któż dzwoni pobudkę? Gallowie! Sprawdzaj się sztydereze słowo

Cycerońskie: potomkowie długo-włosej gawiedzi (*gent chevelue*) przeważają nad Rzymem!

Tu historyk zwraca się w przeszłość i wykazuje, czém była pierwotna literatura owych Gallów, którzy mieli odrodzić stary Rzym i bezsilną pierś jego rozplomić chwilowo nowém życiem. Thierry pokazuje dowodami, że ludy mogą przerodzić się politycznie, przypomnieć nawet mowy własnej, lecz nie zdołają nigdy zatracić tych pierwotnych pobudek, które są główném znamieniem ich cywilizacji. Odkąd Gallia znana w dziejach, ten charakter objawiał się zawsze jednako, tak za czasu Druidów, jak pod powłoką łaciny, jak dziś wreszcie po tylu społecznych i politycznych przewrotach.

„Gallia—mówi autor—za czasów swęj barbarzyńskiej niepodległości miała własnych mówców i poetów. Wodzwonie jęj władali zarówno ostrzem słowa jak i ostrzem hartownej w ogniu stali; największy wpływ jednak wywierali bardowie, prawdziwi mistrze i przewodnicy ludu. Ci kapłani poezyi narodowej wystawiając dzielność mężnych, lub też chłoszcząc bez litości nikczemność i przestępstwo, utrzymywali niejako panowanie opinii. Kiedy na tłumnym zgromadzeniu, bard podnosił pieśnią czyny naddziadów przygrywając na lirze (*cruit*), lud słuchał z religijném namaszczeniem natclunionego wieszczą i przy ostatnich akordach gorącym poklaskiem wyrażał wnieście i radość. Niekiedy nawet podczas bratobójczego zapasu klanów, bardowie stawali na czele, uderzali w struny lir i pod zaklęciem słowa topniały serca na wosk. Oręż wypadł z rąk walczących i harmonijna pieśń sprowadzała zwaśnione umysły do bratniej harmonii“.

Krytycy greccy i łacińscy szydziłi z wymowy Gallów, z cechującego ją samochwalstwa „fanfaronady“ z przesadnej emfazy bardów galskich. Później wpływ wielkich mistrzów Aten i Rzymu zagłuszył tę barbarzyńską szorstkość; nie zmienił przecież głównych cech galskiego geniuszu, nie zatartł tęg bujnej żywotności, przechodzącej dotąd niekiedy w *blageryę*.

Kiedy Rzymianie na dwa wieki przed erą naszą weszli do Gallii Narbońskiej, zastali tam panującą od trzechset lat grecką literaturę. Szkoły focyjskie Massalii wydawały już wielkich mężów, których imiona świeciły na Wschodzie obok uczniów szkoły ateńskiej i aleksandryjskiej. Wówczasto powstało nad Rodanem współzawodnictwo ducha łacińskiego z heleńskim, pomyslnie dla przyszłości; ale nowe szkoły zakładane głównie po wielkich miastach, mały wywierały wpływ na krajowców. Były to, jak mówi Cyceron, rozsiane wysepki na oceanie barbarzyństwa.

Po ostatecznym podbiciu Gallii przez Cezara wprowadzono nowy systemat wychowania. Polityka rzymska wzięła sobie za cel przeistoczyć serca i umysły zwyciężonych, zatrzeć do szczętu wspomnienia starej Gallii, zaszczerpić w dzieci pogardę dla naddziadów, zastąpić druidę i barda, retorem lub dramaturgiem, słowem podbić

człowieka, opanowawszy jego ziemię. August obrał w tym celu miasto w północnej Gallii, starożytną Bibrakteę Edwanów, nazwał je Augustodunum (Autun) i uczynił głównym ogniskiem nauk rzymskich. Nowe szkoły powstają z kolei w Windobonie, Arlezyi, Tuluzie, Lugdunie, Bordeaux, Poitiers, Trewizie i wielu innych grodach. Cezarowie zakładają w nich gimnazya; wkoło tych ognisk uposażonych szczerze przez Rzym, tworzą się liczne szkoły muncypalne. Odtąd podbój do reszty dokonany. Szlachta galska odwyka od wojen, rzuca się z zapałem w nowe szranki, zrazu pchana ciekawością i dumą, później pociągnięta wrodzonym zamiłowaniem sztuki. Od czasu Tyberjusza gardzi obyczajem starych ojców, pomiała odwieczną tradycyą; ojczyznę jój Rzym, pragnie zespolić się z nim bliżej jeszcze. Niekiedy wprawdzie szalony jakiś zamach zakłóci na chwilę spokojność, od czasu do czasu wystąpi z cienia jakiś Sakrowir, pochwyci miecz, wydzwoni hasło, ale dźwięk bojowego rogu nie wnuknie już do serca młodzi galskiej. Czémże dla uczniów z Autun albo Tuluzy fanatyzm starego druida marzącego o wskrzeszeniu dawnych czasów? Wnuki Brenusa mają przed sobą nowe szranki: albowż nie dla nich stworzono poetyczny konkurs w Lyonie? Potomkowie Wercyngotoriksów zgięci pod dyscypliną pedanta rzymskiego, zlizują językiem złe poemata nakreślone na cześć bohaterów narodowych.

Jakaż to iskra miała wytrysnąć ze starcia dwóch tak odrębnych geniuszów jak galski i łaciński? Oto Gallia wzbogaca literaturę rzymską, wprowadzeniem do niej wrodzonych zalet swoich: żywotnej werwy, łatwości, zapału, sztuki obrazowania. Późniejsi krytycy porównywając styl gallo-łaciński z dawniejszym z czasu Cyceronów, przyznają ostatniemu powagę, pierwszemu zaś blask i wielką obfitość. „Umiejmy—mówi s-ty Hieronim—połączyć powagę stylu rzymskiego ze świetnością właściwą Gallom!”

Pokonana duchem raczej niż orężem, Gallia w VI-ym wieku stała się tak zupełnie rzymską, że dostarczała gramatyków, którzy uczyli Rzymian po łacinie.

Amedeusz Thierry przebiega z kolei szereg mistrzów z Autun, Trewizy i innych grodów galskich, którzy rozlitli gasnącą iskrę literatury rzymskiej, i po raz czwarty dali jej zaświecić jasnym, ale ostatnim blaskiem. Na czele tój szkoły gallo-rzymskiej, stają dwaj wielcy poeci: Auzoniusz i Rutiliusz.

Decimiusz Auzoniusz urodził się w Bordeaux roku 309 z rodziny słynącej oddawna w świecie naukowym; od młodu poświęcił się poezyi. Sława retora, jaką pozyskał, wykładając literaturę w Bordeaux, brzmiała po wszystkich szkołach Gallii. Żaden może poeta, nie był tak za życia poczczony: cytowano wszędzie jego epigramata, jego sielanki, jego poemata dydaktyczne, jako najdoskonalsze wzory wdzięku, dowcipu i czystości języka. Jego wiersze znano godnemi Wirgilego, jego prozę zaprawioną miodem Cycerońskim.

Już od trzydziestu lat Auzoniusz zajmował świetnie katedrę retoryki, kiedy cesarz Walentynian powołał go listem do boku swego. Sława akwitaniańskiego wieszczą, pomknęła od Garonny po Mozellę. Cezar, troskliwy o wychowanie syna Gracyana, powierzył je „nieporównanemu“ mistrzowi. Pożegnał więc retor rodzinne miasto i zamieszkał w stołecznej Trewizie.

Wytworny poeta, który opiewał uroczco wdzięki róży, znalazł się w obcym żywiole, na półdzikim dworze Cezara, owego Panończyka, przezwanego *Pijoszem* przez nieprzyjaciół. Walentynian pełen zarazem wielkich cnót i barbarzyńskich instynktów, przechodząc z jednej ostateczności w drugą, ukazywał się naprzemian, to wspaniałomyślnym Trajanem, to nieodrodnym następcą Nerona. Dnia jednego rozkazał pochwyć w cyrku, któregoś z dostojników dworskich, obwinionego o przedajność i spalić go pośród areny w obec tłumów. Dzielny wojownik, doświadczony wódz, postrach Germanii całej; mocarz ten z jasnym włosom, modremi oczyma i słodkimi słowy, rzucił niekiedy miecz, a pochwycał pędzel albo dłuto. Uprawiał niemniej poezją, pisał gładkie epigramata, lub według ówczesnej mody, przetwarzał ustępy Wirgilego. W chwilach artystycznych popędów, Walentynian stawał się jakoby nowym Adryanem, miłośnikiem literatury i sztuk pięknych; chwile te niedługo jednak trwały. Wrodzone barbarzyństwo występowało na jaw; dziki Panończyk odrzucał precz lutnię i dłuto, zdzierał z siebie powłokę cywilizacyjną i wyprawiał ucztę z ciał ludzkich dwom ulubionym niedźwiedziom, które trzymał na łańcuchu w sypialnej swej komnacie.

Równą sprzeczność wytwornej oglądy i dzikiego barbarzyństwa przedstawiał gród cesarski; ona pyszna Trewiza, kędy co krok filozof strojny w płaszcz sofisty ateńskiego, spotykał wodza milicji zromanizowanego barbarzyńcę z rudemi kędziory, zaprawianemi wapnem i łojem. W około rozciągał się szeroki krajobraz, zakończony po jednej stronie łożyskiem Renu, z drugiej pasmem odwiecznych lasów. Tu falowały kłosem uprawne pola, zieleniły się wzgórza pokryte winogradem, błyszczały w słońcu mury przepyszných cytadel; tam znów tuliły się do ziemi ubogie chaty krajowców, napół okryte lasem pełnym druidycznych tajemnic.

Tysięczne sprzeczności, jakie co krok uderzały myśl i oko poety, mogły być, mówi Thierry, zapalić geniusz Wirgilego, lub zbudzić satyryczną werwę Juwenalisa; ale *nieporównany* Auzoniusz nie zdołał być Wirgilem, układny dworak nie śmiał zostać Juwenalitem.

Lubo daleki od tych mistrzów, Auzoniusz umië jednak być satyrycznym i obrazowym. W poemacie *Kupido ukerzyżowany* kreśli obraz męczarni, jakimi pomściły się niewiasty za pociski okrutnego bożka. „Nie mówię tu o niewiastach dzisiejszych, dodaje poeta złośliwie: te wystawiają chętnie pierś na strzały, ubolewam nad losem dawnych ofiar.“

W poemacie *Mozella*, opiewa z życiem malowniczy bieg rzeki, kreśli obraz pięknych nadbrzeżnych grodów; przypomina odwieczne bożyszcza i Najady, któremi tradycja pogańska zaludniła głębie wód; wylicza po imieniu wszystkie ryby, płasające w przezrystych falach. Oto małeńka i nieudolna próbka:

Witaj precudna rzeko, co roztaczasz wody
 Śród wzgórz winogradowych z wonnemi jagody;
 Tyś spławna niby morze, a jak potok skora,
 Twe kryształy przezryste, jak fale jeziora;
 Gwarzysz harmonijnemi niby strumień tony,
 Tyś ożyweżą krynicą dla piersi spragnionój;
 Różne czary zakłęte w pełném łonie twojem:
 Tyś jeziorem i morzem, krynicą i zdrojem.

Wkrąg murawa kobierzec rozpostarła świeży,
 Ohmara leśnych Satyrów pędzi do wybrzeży;
 Pany o kozich stopkach mkną za niemi w ślady
 I budzą na dnie rzeki drzemiące Najady,
 Aż dziewa modrooka rozwieje włos płowy;
 Gdy ludzi żar oddali słońca południowy.
 Płasają nieśmiertelni po smugu szeroko,
 Ale skoków ich ludzkie nie dostrzeże oko.

Inne za to *Mozella* wskazuje nam czary.
 Kiedy pomrok wieczorny padnie na obszary,
 Upiętrzone wybrzeża fale w siebie chłoną,
 Od liści winogradu zielone wód łono,
 Pagórki olbrzymieją, krzaki rosna w drzewa,
 Odbita w drżącej fali jagoda nabrzmiewa,
 A flisak kiedy wiosłem cichą toń roztrąca,
 Na widok téj zieleni i tych drzew tysiąca,
 Kiedy rozkołysaną woda łódkę niesie,
 Przysiągłbym że wędruje po zakłętym lesie.

Walentynian zmarł w roku 375; skonał podczas audyencji, uniesion gniewem na posłów markomańskich. Nastąpił po nim szesnastoletni Gracyan. Snadniej przypadłaby młodzieńcowi katedra profesorska, niżeli tron cesarów. Zamiłowany w dysputach zdał wodze państwa w ręce matki, okrutnej Sewery-Mariny, a pałac cesarów w Trewizie zamienił w szkołę retoryczną i uczynił polem popisów deklamatorskich. Wdzięczny mistrzowi swemu, podniósł go do najwyższego zaszczytu; Auzoniusz z woli wychowanka został mianowany rzymskim konsulem. Dostojność ta zachowała w IV-ym wieku cały blask, jakim otoczyła ją niegdyś Rzeczpospolita. W dniu przyjęcia konsulów, cesarzowie sami składali nibyto wszechwładztwo

w obec następców Brutusowych; nie jeden cesarz poprzedzał pieszko lektykę nowego konsula. Nie się nie zmieniło w tradycyjnej pompe obrzędu; żołnierze bezbronni otwierali pochód, liktorowie rozganiali tłumy różgami; senatorowie w togach szli na kapitol długim rzędem; lud przyklaskiwał; rozdawano chleb ubóstwu, wyprawiano w cyrku gonitwy i zapasy gladiatorów. Na dzień jeden Rzym Konstantyna i Teodozego stawał się Rzymem Scypiona i Maryusza. Ale złudzenie krótko trwało: chwała konsula zachodziła wraz z słońcem.

Auzoniusz według zwyczaju, złożył po roku dostojność. Obasypany złotem, syt zaszczytów i sławy, czuł że świat więcej dać mu nie może; opuścił więc Rzym i udał się do pięknej Akwitanii, tej ziemi rodzinnej, gdzie niebo tak łaskawe, ziemia tak żyzna, wiosna tak długotrwała, zima tak prędko mijał. Wieść o skonie Gracyana zamordowanego przez żołnierzy, tembardziej oderwała poetę od dworskich progów. Resztę dni przeżył z lutnią w ręku w pośród wiejskiej zaciszy. Urządził sobie trzy cudne pałace, trzy jak je nazwał gniazda i przebywał w nich naprzemiennie. Tam panował jak mocarz otoczony gromem przyjaciół, wielbicieli i uczniów. Do boku jego garnęli się młodzi Gallowie i Rzymianie, spragnieni zaczerpnąć miodu z ust nieporównanego mistrza. Szkoła w Lukanium, gdzie najczęściej przebywał, była jakoby słońcem, którego promienie rozbiegały się na całe imperium; stąd wychodzili najslawniejsi oratorowie i poeci. Z pomiędzy tych przytacza Thierry, Askiusza, poetę i muzyka zarazem; Marcellusza Empiryka, sławnego lekarza, co pogardził nauką Hipokratesową, a leczył wszelkie choroby za pomocą zaklętych pieśni. Nie jeden z owych uczni, jak Paulin z Noli, porzucił nagle szkołę, zrywał z Homerem i Wirgilem, zęgnął na zawsze mury i w niedostępnej gdzieś pustelni, pisał dla ludu barbarzyńską łaciną. Auzoniusz opłakiwał ślepotę podobnych szaleńców. On sam chrześcjanin lub bałwochwalca według chwilowego kaprysu, przechylał się wciąż z jednej strony na drugą: to opiewał zmartwychwstanie Chrystusa, to sławił pieśnią mitologiczne bogi. Zachwiany w dawnej pogańskiej wierze, nie nawrócony jeszcze na nową, umarł jak żył, czcicielem artystycznego piękna. Cała szkoła poszła za mistrza śladem.

Byli jednakże w tej szkole zagorzali chwały pogańskiej przeszłości; do tych należał poeta Rutiliusz. W chwili, gdy tarany Alarika druzgotały pomniki wieków, poeta opiewa jeszcze boską Romę, przeklina Judeę, z której powiała zaraza, niosąca śmierć niebacznyemu zdobywcom. „Bodajby jój—woła—nie zdobył nigdy oręż Pompejuszowy, bodajby Tytus nie utwierdził w niej panowania.“

Kiedy Stylikon pokonał Gotów, Rutiliusz nierad ze zwycięstwa, bo Stylikon jest chrześcjaninem, bo spalił księgi Sybilli. Poeta widzi w nim tylko burzyciela Kapitolu, skazuje go na wiekiście męki piekieł.

„Niechajże—woła—wszystkie ognie Tartaru porzucą Nerona, a pochłoną gorszego odeń świętokradcę. Neron ugodził śmiertelnie,

Stylikon zadał cios nieśmiertelny. Neron zamordował tylko własną matkę, Stylikon zabił matkę ludzkiego rodu!“

„Bezsilny gniew! daremne klątwy!—dodaje autor. Dawne dni ubiegły bezpowrotnie, wszystko się skończyło dla tej nieśmiertelnej matki ludzi i bogów! Nie przeto ginęła ona, że Stylikon spalił księgi Sybilli; Alaryk nawet z barbarzyńskim swoim zastępem nie był pierwszym sprawcą jej nieuchronnej śmierci. Roma upadała przed potężniejszym od niej zwycięzcą, tym zwycięzcą był Chrystus!“

Wymownie Amadeusz Thierry zakończy swą rozprawę; przytaczamy tę świetną konkluzję:

„Takim jest wiek IV-ty literatury. Rzym pogański zawdzięcza Gallii ostatnią iskrę, co jasnym wybuchła płomieniem z dogasającego już ogniska. Ludzi nie zabrakło owym czasom, przeciwnie, byli oni liczni, bardzo liczni; wielu z nich otrzymało udziałem najwyższe zdolności. W żadnej też epoce literatura nie odbierała takich hołdów, nie była tak szczerze obsypywana złotem. O dwa wieki wcześniej, ta szkoła mogła była wydać wielkie plony i świetnie stanąć do zapasu z geniuszami szkoły hiszpańskiej. Ale przeznaczenia literatur ściśle związane z życiem moralnym państw. Idee i uczucia ludów są główną podwaliną sztuki, materialem z którego geniusz wykuwa arcydzieła. Wszystko zamarło w IV-ym wieku w starożytnym społeczeństwie rzymskim. Wymowa ograniczała się na urzędowych rozprawach, na panegiryku dla żywych Cezarów, na satyrze dla zmarłego nieprzyjaciela; poezya, czy to z trwogi czy ze wstrętu do świata rzeczywistego, schroniła się w spokojny świat fikcyi. Sam tylko chrześcijaństwo kipiało młodością i życiem, a chrześcijaństwo odpychał jako wyraz bałwochwalstwa, formuły i ducha literatury szkolnej; Ausoniusz, Rutyliusz i inni napróżno usiłowali posiewać w kwiat rolę do szczytu wyjałowioną: rzucili płaszcz purpurowy na trupal!“

Obiecują nam jeszcze obraz szkół chrześcijańskich w V-ym wieku jako dopełnienie tej znakomitej publikacyi. Nie zaniedbamy zdać sprawy z owęj pracy wielkiego historyka, skoro tylko ogłoszoną zostanie.

W zaprzeszłej kronice przytoczyliśmy próbki z lirycznej poezyi Japończyków, dziś pragniemy dać poznać czytelnikom charakter japońskiego dramatu. Wybieramy w tym celu najpopularniejszy utwór dramatyczny osnuty na podaniu o Ozterdziesięciu siedmiu Loniach. Przy tak gwałtownych przeobrażeniach w cywilizacyi Nipponu, dramat ten zasługuje na szczególną uwagę. Rzecz odbywa się między XIII-ym a XIV-ym wiekiem. Pierwszy akt przenosi nas do stolicy Kamakoura pierwotnej rezydencyi Taikunów. Niezwykły ruch panuje w arystokratycznej części miasta. Otwierają się

ciężkie wrzociądze pałaców, oznaczone herbowemi godłami. Z każdego wychodzi orszak i przeciąga ulicą. Dwaj heroldowie idą naprzód z odkrytą głową, wzywają lud do pokłonu. Za nimi żołnierze niosą na pikach wielkie pęki białych i czarnych piór, chorągwie i inne znamiona. Gwardya zbrojna w lance i łuki poprzedza pana w zamkniętym palankinie. Dalej mastalerze prowadzą w pysznych rzędach rumaki; nakoniec słudzy niosą ozdobne skrzynie rozmaitych rozmiarów.

Wszystkie orszaki zbierają się razem i postępują w jednym kierunku. Lud skulony na piętach, z głową pochyloną, przygląda się w milczeniu. Za rycerstwem ciągną orszakiem wielkie panie w palankinach piękniej jeszcze rzeźbionych, otoczone strojną i świetną strażą. Pochód zatrzymuje się przed świątynią Hatchiman, gdzie zachowane są rynsztunki przesławnych bohaterów japońskich.

Wnijdźmy do cienistego parku, otaczającego świątynię. Tu poniżej wshodów zbudowano trybuny obite kosztownymi makatami, wysłane rogozą. W głębi środkowej trybuny wyniesionej o kilka stóp nad poziom, osłoniętej parawanem zasiadł na węgłowie sam Tajkun. Z obu stron otaczają go członkowie rodziny; przed nim pod białą zasłoną siedzą rzędem Daimiosy (panowie) w dworskim stroju, odziani wszyscy w powłóczyste suknie jedwabne z wielkimi rękawami, zdobnemi w herby. Na głowie mają czapeczki lakierowane, przepasane długą wstążką. Każdy z nich zostawił pałasz w ręku naczelnika straży, który czeka za bramą i został mu tylko zatknięty za pas sztylet.

Szlachetne panie zajęły poboczną galeryą. Strojne wszystkie w suknie z różnobarwnej krepy, przerabianej złotem i srebrem. Kruce ich włosy upiętrzone wysoko, przepinane kwiatami. Przez zielone grupy drzew widać ozdobne gmachy miasta, dalej świątynie rozrzucone po okolicznych wzgórzach; dalej jeszcze rozciągają się błękitne wody zatoki Idsow owiane sinym dymem wulkanu Oosima. Pyszna ulica przecinana w odstępach wieżami, wspartemi na kolumnadzie, prowadzi do morskiej przystani.

Służba dworska przynosi wielkie skrzynie, dobywa z nich pancerze i hełmy. Liczne szczyrby dowodzą, że dawni właściciele nie szczęśliwie ich w boju. Poeta nadworny powtarza rymy opiewające czyny rycerskie bohaterów, podczas gdy obecni przyglądają się wystawionym na estradzie rynsztunkom. Bohaterowie ci przyczynili się wszyscy do ustalenia potęgi tajkunatu. Najwyższą cześć odbiera protoplasta ich rycerz Yashitzone. Jego zbroica uderza oczy małym mieczem, ale w drobnym ciele mieściła się wielka dusza. Mały jak Dawid wyzywał on w zapasy olbrzymie Goliaty.

Podczas gdy wystawa postępuje zwykłym trybem, rozpoczyna się właściwy dramat. W pierwszym rzędzie między członkami rady siedzi minister Koono-Moono. Włos siwy, zmarszczki na obliczu świadczą, że stanął już u progu starości; znać jednak, że burzliwa krew wre jeszcze w jego sercu. Przepominając dygnitarskiej powagi

starzec wlepił oczy w galeryę szlachetnych pań i goni wzrokiem najpiękniejszą z grona: jest nią małżonka młodego daimia Egny. Minister Koono zachwycony jej urokiem ściągnął męża na dwór książęcy i wyjednał mu urząd. Odtąd ściga na każdym kroku młodą piękność powtarza co chwila oświadczenia miłosne. Egna nie byłby posądzał starca, gdyby nie wyznanie żony; wczoraj jeszcze znudzona niewczesnymi zalotami napisała do ministra list, oświadczając zrezygnowanym wierszem, iż nie będzie mu nigdy wzajemną. Uwiadomiony mąż wstrzymuje gwałtem oburzenie: przyjaciel uważa nadzwyczajną jego bladłość, ale wierny etykietki japońskiej nie śmie zapytać o przyczynę.

Ceremonia skończyła się. Taikun znikł poza draperyą, wychodzi z parku otoczony strażą, panowie wracają do palankinów. Egna pozostał milezący z wiernym przyjacielem Monomoi. Przypadkiem spotyka się oko z okiem z ministrem Koono. Lica jego płoną od gniewu, dobywa z za pasa sztylet, rzuca się na starca. Dowódzca straży spostrzegłszy to powstrzymuje go z tyłu. Koono uchodzi z czołem zranionym, obecni odciągają Egna na bok. Wszyscy drżą przerażeni, krew popłynęła w miejscu świętym w obecności taikuna; majestat znieważony, kara nie minie przestępnego. Nazajutrz Egna wzywa do pałacowego przyjaciela Monomoi, wyjaśnia mu powód gniewu, rozpacza, że nie dokonał zemsty; wie co go czeka: gotów poddać głowę pod wyrok. Jedyna myśl pociesza go w smutku: krewni i przyjaciele pomszczą krew jego we krwi ministra Koono.

Monomoi rozumie, czego żąda po nim przyjaciel. Odchodzi nie odrzekłszy nic, waha się nim wykona straszną przysięgę.

W kilka dni potem, kiedy przechadza się w mileczeniu pod wenderą przystępuje doń wierny sługa. Stary Kawatzu wyniańczył go na rękę własną, nieraz wspierał go doświadczoną radą. Przebywając często w domu Egny zaprzyjaźnił się z dowódcą jego straży. On to wstrzymał przed świątynią wymierzony cios i niedopuszczył zbrodni. Kawatzu przystępuje z poszanowaniem, zatrzymuje się przy młodej sosnie, dobywa pałasz, ścina koronę drzewa i na rozpostartym wachlarzu podaje ją panu swemu.

— Pani!—rzecze—twój pokorny sługa ciężko zbłądził; przez jego winę książę Egna nie dokonał pomsty: on zginie. Jak ta gałąź sosny ścięta moim pałaszem, tak głowa daimia Koono musi spaść z karku; wymagają tego honorowe prawa państwa. Winowajca powinien naprawić zło; twój sługa Kawatzu pełen żałości, błaga cię, abys mu pozwolił spełnić zamiar.

Monomoi czyni zadość woli starego sługi; pyta, co się stało z ministrem Koono. Ten cheiwy zemsty oskarżył Egnę przed Taikunem, zmyśliwszy powód nieporozumienia. Taikun zaozem podpisze wyrok, chce mieć czas do namysłu. Rozkazuje więc obu przeciwnikom udać się do zamków własnych. Obaj opuszczają stolicę.

Wzdłuż brzegów morza japońskiego na wierzchołkach zielonych wzgórz, ciągną się długim na kilkadziesiąt mil szeregiem starożytne zamczyska obwiedzione murami, najeżone w baszty. Są to zamki feudalnych daimiów, warowne twierdze, w których ci straszni wasale utrzymywali niegdyś liczne wojska. Potęga ich upadła z czasem. Dla powstrzymania możnowładzców, taikunowie kładli za warunek, aby część ich rodziny przebywała zawsze w stolicy, jako zakład. Do takiej to rezydencji usunął się Egna. Zewnątrz zamku widać tylko prostokątny mur wysoki na czterdzieści stóp, ułożony z ogromnych płytów kamiennych nierównej wielkości, zwaną w architekturze murem Cyklopów; na wierzchołku jego ciągnie się drewniana galeria, pokryta czarną dachówką, z licznymi strzelnicami. Podnoża muru oblewają szerokie fosy napełnione wodą. Przecinają ten mur w odstępach trzypiętrowe baszty; z pośrodku zaś wybiega wysoka wieżyca przerastająca wierzchołki olbrzymich sosen, bramy rosną w obrębie warowni. Zwodzone mosty wiodą do głównej bramy honorowej i do dwóch bram pobocznych. Poza tym groźnym wałem nic już nie przypomina surowego stylu zwyczajnych feudalnych zamczysk. Budynki tu drewniane w stylu japońskim; poza szeregiem koszar i domków dla służby wznosi się większy, ozdobniejszy nieco dom pana, otoczony mnóstwem barier i galerii, przy których czuwają strażę. Do ścian domu przyparta werenda wychodzi na ogród poprzecinany wielką liczbą rzeczek i stawów w miniaturowych rozmiarach.

W tym feudalnym gnieździe mieszka książę otoczony rodziną, dziećmi i gromem drugorzędnych małżonek, zajmujących na mocy prawa miejsce przy domowym ognisku. Otaczają go niemniej tłumy sług, domowników i zbrojnych straży; nad wszystkimi czuwa tak zwany Karo czyli marszałek dworu. Służba przechodzi tu spadkiem z ojca na syna w ciągu licznych pokoleń. Tym sposobem dzięki feudalnej organizacji garnie się wkoło daimia drobna szlachta rycerska, zupełnie prawie niezależna od władzy centralnej i gotowa podnieść oręż w sprawie pana na pierwsze jego hasło.

Do takiego to małego królestwa schronił się Egna na rozkaz władzy; żona pozostała na dworze. Krewni przyjęli go z poszanowaniem jako naczelną głowę domu. Nikt nie śmie zapytać, co go sprowadza ze stolicy; książę milczy, wszyscy milczą z nim razem, mimo że z poszeptu sług odgadują nieszczęście. Jedyne wyjątkiem zmógł tę głuchą ciszę: była to ucieczka oficera straży z młodą Wankaitą, jedną z żon pana swego.

Miesiąc upłynął, jesień zbliża się do końca. Dnia jednego dwaj konni oficerowie z orszakiem przedstawiają się u głównej bramy zamku. Ukazują papiery: są to urzędowi posłowie Taikuna. Na rozkaz księcia spada niebawem most zwodzony, bramy rozmykają się na oścież; pełnomocnicy monarchy odbierają część jemu samemu przynależną. Mistrz ceremonii wiedzie ich do pokojów książęcych. Posłowie siadają na taboretach w wielkiej sali; ten który ma zabrać

głos trzyma w ręku papier obwinięty na wałku z kości słoniowej. Egna z orszakami pierwszych dworzaków staje przed nimi, upada na ziemię obliczem i w korniej postawie słuca wyroku potępienia. Wyrok to surowy, nie prześlany. Daimio Egna wiedział, że nie ujdzie śmierci, pocieszał się jednak myślą, że zaszczytny rodzaj śmierci *harakiri* (przez rozerznięcie brzucha) ocali przynajmniej rodzinie stanowisko społeczne i zostawi małego syna przy majątku naddziadów. Dekret władzy brzmi jednak wyraźnie, że daimio zaczem zada sobie cios *harakiri*, musi wprzód oddać zamek i wszystkie posiadłości w ręce delegowanych. Słudzy jego mają być rozpuszczeni, rodzina pozbawiona imienia i majątku, ma niezwłocznie iść na wygnanie.

Minęły czasy, kiedy dumni możnowładcy japońscy stawiali czoło starożytnej władzy mikadów i rosnącej potęgze taikunów. Egna mimo wielec obronnego zamku i zastępu sług gotowych podnieść oręż, schylił w milczeniu głowę. Następnyc dni posłowie przystąpili do spełnienia wyroku. Rozpuszczono dwór, szlachocie pozostawiono tylko szable. Stawszy się *loninami* t. j. sługami bez pana, ci nieszczęśliwi zmuszeni byli najmować się jako płatni żołdacy, lub też rozbijać po gościńcach. Z nimi wygnano tłum płaczących niewiast i dzieci; został w zamku sam tylko Egna i najbliżsi jego słudzy.

Następuje ostatnie pożegnanie, wyrok śmierci wnet będzie spełniony. W jednym z dziedzińców zamkowych zbito naprędce szopę z desek, przybrano w białe draperye. Tu zasiadają dwaj posłowie taikuna. Przed nimi o kilka kroków biały kobierzec z czerwonym brzegiem rozpostarty na ziemi. W kącie za parawanem ukryto różne przedmioty: sztylet na taborecie, wanienka i kubek z wodą. Egna ukazuje się wkrótce odziany tylko w długą szatę z białego jedwabiu; taką szatę ma każdy japończyk w garderobie od dnia pełnoletności swojej; oblecze ją w dniu, kiedy wyrok prawa i kodeks honoru japońskiego nakaze mu popełnić samobójstwo. Siadł Egna na dywanie i pochylon z pokorą słuca po raz ostatni wyroku potępienia. Dwaj oficerowie z jego straży, jak on ubrani białe, siedzą na ziemi za nim jako świadkowie; u boku stoi trzeci uzbrojony pałaszem. Ten sługa wybrany z pomiędzy najwierniejszych, ma obowiązek ściąć głowę panu swemu, aby skrócić męki konania. Po odczytaniu wyroku, postawiono przed Egną taboret z sztyletem; oblicze jego blade ale spokojne; z chłodną napozór obojętnością odwiązuje pas, pochwycił sztylet w prawą rękę, zadaje sobie cios śmiertelny. W chwili gdy pochyla się na przód, ostrze pałasza połysnęło, głowa skazanego spadła z karku i potoczyła się pod nogi sędziów.

Słudzy, świadkowie tej ostatniej egzekucyi, idą za innemi na wygnanie, oddawszy ciało bonzom. Dwudziestu tych domowników, a między niemi Karo Hori z synem wychodzą, po za mury zamku; na basztach powiewa już chorągiew taikuna. Hori staje w progu bramy, spogląda na tarczę herbową ukochanego pana i na sztylet, który ma w rękę, otrzymany niedawno w nagrodę wierniej służby.

Oczy tych ludzi spotykają się wzajem. Wolni, zależni tylko od siebie, poprzysięgli oni pomścić pana. Rozchodzą się w różne strony; za miesiąc będą w miejscu naznaczonym na przedmieściu stolicy.

Nim nastąpią tragiczne sceny, autorowie dramatu z wielką zręcznością i znajomością sztuki wyprowadzają na jaw drugorzędne postacie. Widzimy najprzód zbiegłą niedawno parę z pałacu Egna, Shimidzu i młodą Wakaitę; schronili się do starych rodziców, dzielą z nimi prace rolnicze. Żyją spokojnym życiem wieśniaków japońskich, kiedy nagle rozchodzi się głucha wieść o tém, co zaszło w zamku. Słudzy *loniny* rozpuszczeni po kraju, spotykają dawnego towarzysza, oznajmiają mu katastrofę, wciągają go do pomsty. Shimidzu przynosi smutną wieść do ogniska; oboje z żoną wyrzucają sobie gorzko, że opuścili pana w takiej chwili. Nie waha się Shimidza, pojździe i on z braćmi, okupi winę poświęceniem. Ale nim pojździe z domu na kilkomiesięczną tułaczkę, musi mieć jakiś zasób, a w domu nie znaleźć najdrobniejszego pieniążka.

Wakaïto wyrzuca sobie, że ona pierwsza nakłoniła męża do ucieczki; musi więc spełnić bolesną ofiarę. Niechajże ojciec zaprowadzi ją do stolicy, niech ją sprzeda na kilka lat do domu gry *Yoshiwara*; wszyscy ze smutkiem, ale bez wahania zgadzają się na ten krok rozpaczliwy.

Młoda kobieta żegna męża, wsiada do ubogiej lektyki *kango*. Starzec podjął kij, wdział obuwie podróżne, włożył na głowę ogromny kapelusz bambusowy, zarzucił płaszcz ze słomy, jakiego wieśniak używa zwykle zimą i podobien do ruchomego snopa, puścił się w drogę obok córki. W tydzień wracał do domu tąż samą ścieżką; niosąc w woreczku pięćdziesiąt *riosów*, około dwieście franków. W bliskości chaty zatrzymuje się w parowie, chce przybyć nocą niepostrzeżony przez sąsiadów, aby tém bezpieczniej wyprawić w drogę zięcia. Zdarza się że ten właśnie poluje w okolicy; niewprawny do prac rolniczych szuka w łowach skromnego zarobku: właśnie natrafił na trop dzika, czatuje nań ukryty w parowie.

Inny człowiek czyha o sto kroków w zaroślach, to jeden z bandy zbójców; ma krótki pałasz ukryty pod odzieżą. Nikczemnik ten widział, jak stary wieśniak wydobył z zanadru woreczek w niedalekiej gospodzie, poszedł w trop za nim, wyprzedził go i czeka. Zapada noc, deszcz leje, starzec schodzi w głąb parowu, ślizgając się co krok po grzązkiej ziemi. Nagle ręka silna pochwycą go za gardło; krzyknał i w tejże chwili, zalany krwią, pada na ziemię. Zbójca zabiera worek, odziera szatę z trupa. Shimidzu posłyszał okrzyk, zrywa się; wtém zachrzęściło coś w krzakach, dzik zabiega mu drogę... podnosi łuk, wymierza strzałę; zwierz pomyka naprzód i niknie wśród gęstwiny. Przestraszony zbójca chroni się czempredziej na drzewo.

Tymczasem Shinidzu wychodzi z kryjówki i trzymając łuk w rękę, idzie za tropem ugodzonego zwierza. Na zakręcie spostrzega światelko. Zbrojny człowiek staje w tej chwili przed nim: po ubio-

rze i godłach na latarni poznaje gońca rządowego. Ten widział trupa leżącego na ziemi; ujrawszy człowieka z naciągniętym łukiem w rękę nie wątpi, że spotyka mordercę. Mija go jednak, idzie dalej, w pierwszej wiosce daje znać władzom.

Prawdziwy zbrojca zbiegł z drzewa i uciekł do lasu. Shimidzu rusza za zwierzem, zawadza nogą o trupa; zatrzymuje się, przygląda, poznaje w zabitym starego ojca żony. Znosi do chaty smutną wieść; stara matka napół obłąkana, rzuca mu klątwę w oczy, pewna że widzi przed sobą zabójcę. Nieszczęśliwy Shimidzu stoi jak słup, słowa zamarły mu w ustach. O świcie przybywa do wsi oddział wojska, chwytą obwinionego; klątwy matki stwierdzają podejrzenie. Na zarzut odpowiada Shimidzu, prowadząc dowódcę do trupa, ukazuje mu ranę zadaną ostrzem szabli; łuk nie mógł ugodzić w taki sposób. Straże zabierają go niemniej do miasta, postać jego budzi nieufność; człowiek ten, mówią, nie jest prostym wieśniakiem! Zrozpaczony nie wie co czynić, porywa miecz, zatapia go w własnej piersi. Urzędnicy zostawiają na miejscu oba trupy, odchodzą, zadanie ich spełnione, skoro muiemany przestępca wymierzył sam sobie sprawiedliwość.

W tym steku gwałtów i samobójstw nie ma bynajmniej sztucznego naciągania; fakta wypływają jedne z drugich. Obraz to wnierny feudalnych obyczajów tego ludu: lekceważenie życia, pogarda śmierci oddane z całą prawdą. Niekiedy jednak pasmo tych okropności przerywa spokojna idylla. Scena jedna okazuje nam dwie kobiety, matkę z córką, podróżujące wielkim gościńcem. Słudzy niosą je w wygodnych lektykach; niekiedy wysiadają obiedwie, idą naprzód, zostawiając orszak za sobą. Jesień zbliża się do końca; Japończycy lubią podróżować w tej porze. Północny wiatr ożywia powietrze i łagodzi skwar promieni słonecznych. Wielkie jodły i sosny, gaje z zielonych wawrzynów i kamelii, zastępują inne drzewa, ogołoczone już z liści; na tle widnokrógu panuje wierzchołek Foudsiyama, całkiem już pokryty białym śniegiem. Podróżna panienska jest córką starego Kawadzou, tego domownika daimia Monomoi, który doradzał panu swemu pomścić hańbę i śmierć nieszczęśliwego Egnu. Monomoi przerażony traicznym skonem przyjaciela, wstrzymany poszanowaniem dla władzy, nie opuszcza zamku swego. Kawadzou pozostał tam z nim razem, kiedy wysłaniec Hori przysłał doń z prośbą, aby pozwolił córce widzieć się potajemnie z jego synem, z którym była oddawna zaręczona. Spotkanie miało nastąpić w wiosce niedaleko stolicy. Młoda panienska puściła się w drogę z radosnym sercem; katastrofa w domu Egnu nie zniszczyła wcale jej nadziei. Kawadzou nie ma syna, może przyznać młodziana za własne dziecko i przekazać mu urząd swój w zamku Monomoi. Stary ojciec nie podziela z córką tych ułud; zna on dobrze starego Hori, a sądząc go według własnych uczuć, nie wątpi że przemyśla o zemście. Przebrany za pielgrzymą idzie w ślad za żoną i córką.

We wsi następuje spotkanie. Widzimy starca na czatach w bliskości domu, kędy pod werendą schodzą się podróżne z młodzianem. Syn Hori żegna po raz ostatni narzeczoną; oznajmia, że wszystko zerwane między niemi. W dniu pamiętnej coremonii przed świątynią Kawadzou, zatrzymał ramię Egny i ocalił życie ministra; gdyby nie to, Egna byłby przed śmiercią dopełnił krwawój pomsty.

Kawadzou słyszy te słowa, spokojnie dobywa sztylet, rozwiera szatę, rozpara sobie wnętrzności; zakłada znów pas, wlece się pod próg domu. Nieszczęśliwe kobiety, otworzywszy drzwi, spostrzegają tonącego w krwi starca. Konający zbiera ostatek sił i wyrzeczce do nich słabym głosem: „Jamto na wieczną moją ohydę stanął między dwoma książętą! Radziłem panu memu, aby pomścił przyjaciela, nie chciał posłuchać rady mojej. Któryżby sługa wierny, po tem co zaszło, mógł przeżyć własną hańbę? Stary jestem, nie zdołałbym już okupić winy; ramię bezsilne, już nie udźwignie miecza. Pozostało mi tylko umrzeć! Jak mnie nie będzie, Hori przyjmie cię do domu córko moja!“

Ojciec młodziana ukazuje się, przyrzeka umierającemu, że uczyni zadosyć jego woli. Starzec kona, żona z córką i przyjaciele oddają mu ostatnią posługę; zbolełe kobiety wracają do zamku Monomoi, Hori z synem pospiesza do stolicy.

Nadeszła zima. Louiny Egny na hasło wodza ściągają do Kamakoury. Oddział ich składa się z czterdziestu siedmiu ludzi gotowych na wszystko. Jedni z nich jak Hori z synem żyją swobodnie, ukrywając głęboko zamiar. Towarzysze ich odrzucili przez oręż, przebrani za kmieci, rozbiegli się po różnych stronach miasta. Kupiec jeden przychylny niegdyś Egnie otwiera im dom własny. Wprowadza ich do sali sklepionej, gdzie ma skład najkosztowniejszych towarów. Tu mogą radzić bezpiecznie, żadne oko nie dostrzeże ich, żadne ucho nie podsłucha ich mowy. Tu zbierają się codzien i udzielają sobie nawzajem zebranych po mieście pogłosek. Minister Koono wrócił do stolicy po kilkotygodniowym wygnaniu. Taikun przypuścił gwałt znowu do rady i otacza jak dawniej względami. Powrót ten na rękę przeciwnikom; trudniej przyszłoby osiągnąć go poza murami warownego zameczyska, wśród tłumu przychylnych domowników. Ozuje straże zwietrzyłyby zdaleka zbrojny oddział i odparły od bram warowni.

W arystokratycznej części miasta są ulice bezludne, otoczone wysokiemu parkanami ogrodów. Louiny ukryci w tych zaułkach, śledzą pilnie każdy krok ministra. Koono nie wie o niczem, nie naraża się jednak, odgadując zamiary rozpuszczonego dworu Egny. Nie opuszcza prawie pałacu swego; ilekroć udaje się do Taikuna liczny orszak otacza jego lektykę. Nieraz poza kolumnadą świątyni, lub przez wyłom opuszczonej jakiej palisady, straże jego dostrzegły dwoje płomienistych oczu, ścigających pochód ministra. Hori z towarzy-

szami, nie chcąc narażać się na los niepewnej walki, postanawia uderzyć nocą na pałac; w tym zamachu jedyną ma nadzieję.

Sceny dramatu wykazują drobiazgowo przygotowania do wyprawy. Louiny kryją podstępnie zamiar. Hori z synem rozpatruje pilnie plan pałacu i otaczających go ogrodów. Towarzysze ostrzegają broń, gromadzą długie drabiny, ciężkie maczugi i topory; sposobią się w twarde szyszaki i pancerze. Znaleźli przypadkiem niespodziewaną pomoc. Kilku z nich, przechadzając się po przedmieściu Yoshimura, spotkało nieszczęśliwą Wakaitę. Hori nie dowierza jej zrazu; w końcu jednak przekonany wtajemnicza ją do swych zamiarów. Wakaito przynęca do domu swego oficerów ze straży Koono. Nieraz przy wesolej ucieczce, wyciąga ich na słowo, nieraz pod ich tarczą wkrada się do pałacu, rozpatruje miejscowość, ze wszystkiego co widzi zdaje wiernie sprawę Louinom.

Przyszła wreszcie chwila stanowcza. Noc czarna, zimowa, rozpostarta nad miastem, śnieg tylko rozjaśnia grubym pomrokiem. Czterdziestu siedmiu Louinów, obłóczonych w sklepionej sali, zarzuca na wierzch długi czarny płaszcz z białymi wkoło zębami, aby się rozpoznać w ciemności. Wódz daje im ostatnie polecenia; wychodzą wreszcie dwoma ciasnymi uliczkami, zbierają się razem na placu. Hori postępuje na czele oddziału, ma za pasem zatknietą świstawkę. Za nim idzie *tacho* z bębniem. Na widok tych czarnych postaci, struchlałe strażę zasłaniają oczy z przestachu, słowo zamiera im na ustach.

Hufiec minął kupiecką część miasta, podchodzi już pod pałac ministra Koono. Otaczający go mur kamienny, z trzech stron dotyka ulic, czwartą stroną przyparty do sąsiedniej rezydencji. Stosownie do planu, hufiec dzieli się na trzy oddziały. Jeden z rycerzy kołaczy w drzwi odźwiernego, mieni się sługą domu. Ledwie że odźwierny uchylił drzwi, kilku zbrojnych przypada, wywłóczy go, ścina mu głowę. W kilka minut oblegający zajęli dziedziniec, pomordowali strażę. Hori zbliża do ust świstawkę; na znane hasło Louiny uderzają na pałac.

Następuje gwałtowny atak. Pod ciosami twardych maczug rozwalają się bramy, palisady padają z trzaskiem pod hukiem olbrzymich toporów. Louiny kroczą naprzód, już dotarli do podwojów ministra. Zbudzeni ze snu domownicy zastępują im drogę. Długo toczy się zacięty bój; słudzy pełnią wiernie powinność, trudno im jednak walczyć przeciw rycerzom okutym w pancerze i hełmy. Wałą się trupem u drzwi pana, po ich ciałach Louiny wchodzą zwyciężko do komnaty.

Kobiety z krzykiem uciekają do ogrodów. Koono otwiera okno, jednym poskokiem spuszcza się na dół. Hori dopada łoża... jeszcze ciepłe... zbieg musi być niedaleko. Ślad stóp wyciśnięty na śniegu prowadzi Louinów ku wielkiej szopie. Znajdują tu starego ministra skulonego wśród pęków słomy; wywłóczą go, tarzają z gło-

śnym krzykiem; Hori przybiega... błysk oręż... głowa Koono stoczyła się po śniegu. Dobosz uderza w bęben; rycerze kupią się wkoło wodza, opuszczają pałac. Jeden z nich unosi obwiniętą w krepę jedwabną, głowę ministra Koono.

W godzinę po walce, większa część Louinów złożyła dobrowolnie oręż w ręce straży przed pałacem Taikuna. Niektórzy jednak, a między nimi Hori z synem, mają ostatnią jeszcze powinność do spełnienia. O świcie wyruszają w drogę. Złożyli broje; przywdzieli płaszcz podróżny, wiozą w skrzyni głowę daimia. W kilka dni postawili stopę na ziemi dawnego pana swego. Tam w pobliżu bonzerii, pod cieniem drzew świętych, wśród licznych grobów, wznosi się skromny pomnik; pod nim spoczywają zwłoki księcia Egny. Wierni słudzy składają na płytach u stóp grobowego kamienia odciętą głowę Koono. Upadają na ziemię obliczem, zwiastując panu, że śmierć jego pomszczona.

Spełniwszy święty obowiązek, Hori z towarzyszymi powraca do stolicy; kończy we drzewi więzienia, gdzie wtrącono Louinów. Śmierć ich nie minie: zbrojny zamach na dom wysokiego dostojnika, morderstwo popełnione u bram monarszego pałacu, zasługuje na najsurowszy wyrok. Przez wzgląd jednak na szlachetną pobudkę zbrodni, sąd przeznacza im zaszczytną śmierć *harakiri*. Głos publiczny potwierdza łagodny wyrok. W ciągu kilku dni, które im zostawiono dla urządzenia spraw domowych, skazani na śmierć przyjmują w świątyni odwiedziny i hołdy licznych tłumów. Każdy chociażby widzieli szlachetne ofiary i pochylić przed nimi głowę. Przed spełnieniem wyroku idą razem na grób ministra Koono; błagają zmarłego o przebaczenie, że prości *Samourai* (drobną szlachta) śmieli podnieść rękę na tak potężnego dostojnika. Nazajutrz potem w obec sędziów zgromadzonych w świątyni, otoczeni wyborowym tłumem występują po jednym, rozparają sobie wnętrzości z zimną krwią i zupełnym spokojem, szczęśliwi z zaszczytnej śmierci, jaką im umrzeć pozwolono.

Dramat ten osnuty na prawdziwym zdarzeniu; rzecz stała się przed stu pięćdziesięciu laty. W jednej ze świątyń w Yeddo pokazują dotąd czterdzieści siedm grobów; napisy wyryte na nich świadczą o bohaterskim poświęceniu. Każde japońskie dziecko powtarza imiona szlachetnych Louinów; lud śpiewa o nich nieprzeliczone pieśni.

Mówiliśmy w roku zeszłym o pierwszym tomie biografii Dickensa przez Forstera; mamy właśnie pod ręką dalszy ciąg tej ciekawej publikacji. W pierwszym tomie autor ukazał go dzieckiem w zaciętej walce z nędzą i poniżeniem, do jakiego ubóstwo doprowadza w Anglii; w drugim przebiega literacki zawód wielkiego romansisty.

Dickens pisał od dziecka; zbierał wzorki z towarzyszków szkolnych, z nauczycieli, nie przebaczył nikomu, umiał pochwyć każdą śmieszność. Chował pilnie te pierwsze próby, a gdy opuściwszy szkołę został stenografem, wydobył z ukrycia jedną z tych powiastek, przerobił ją, rozszerzył ramy i poprobował szczęścia na literackim polu. Miał wtedy lat dwadzieścia jeden. Opowiada sam tę chwilę, tak ważną w jego życiu:

„Widzę się jeszcze—mówi—jak wieczorem o szarej godzinie wsuwam mój pierwszy rękopis w czarną skrzynkę, czarnego bióra, w czarnym dziedzińcu Fleet Street. Tytuł powiastki był: *Pan Mium i jego krewni*. Jakże mi serce biło, kiedy w kilka dni potem ujrzałem drukowaną powiastkę; zmieniono tylko tytuł. Poszedłem prosto do Westminsteru, przez pół godziny przechadzałem się wśród ciemnych sklepień. Oczy moje tak były olśnione radością i pychą, że nie mogłem znieść słońca. Nie śmiałem się pokazać na ulicy“. Tryumf ten był wstępem do dalszych tryumfów. *Monthly Magazine* po pierwszym obrazku drukował z kolei ośm innych pod ogólnym tytułem: *Szkice*, ostatni z nich dopiero, w roku 1835 podpisany był pseudonimem *Boz*. Praca ta nie przyniosła jednak autorowi żadnej korzyści materialnej. Kiedy zgłosił się o honorarium, redaktor oświadczył mu wręcz, że pismo upada, nie może zatem płacić za artykuły.

Młody autor wszedł w układy z *Morning Chronicle*; wydawca John Black otworzył kolumny pisma dla nowej seryi szkiców, płacił za nie od pięciu do siedmiu gwinei tygodniowo. „Kochany, stary Black—mówił często Dickens—on mnie pierwszy jawnie ocenił. On położył trochę miodu na brzeg czary mojej, on otworzył mi progę nieśmiertelności!“

Prawdziwy geniusz Dickensa objawił się dopiero w humorystycznych pracach: *Pielwick Papers*. Ferster opowiada szczegóły dotyczące tej publikacji. Nowe te szkice kreślił autor jako tekst do rysunków sławnego artysty Seymoura. Celem pisma było przedstawić w sposób humorystyczny przygody myśliwskie i łowieckie członków sportu. Oryginalny, pełen życia tekst, do takiego stopnia zajął powszechną uwagę, że zapomniano przy nim o mistrzowskich rysunkach. Pismo wychodziło zeszytami. Zapal czytelników wzrastał w miarę wzrastającej werwy autora. Ośmnasty zeszyt rozchwytano w oka mgnieniu w 40,000 egzemplarzy; wydawca zrobił majątek. Dickens nie spodziewawszy się tak wielkiego powodzenia zawarł był układ bardzo niekorzystny; honorarium wystarczało mu ledwie na opędzenie pierwszych potrzeb. W podobnych warunkach omotany w sieci wydawców, zmuszony, jak mówi pracodawca pod żelaznym ich młotem, napisał Dickens dwie sławne powieści: *Oliver Twist* i *Barnaby Rudge*. W końcu jednak skruszył jarzmo w jakie go wprzężono. Dopomógł mu w tym praktyczniejszy For-

ster. Od powieści *Nikolaj Nickleby* płacono mu rocznie, co najmniej pięćdziesiąt tysięcy franków.

Jako prawdziwy artysta Dickens przejmował się głęboko przedmiotem własnej pracy. Postacie stworzone jego piórem, żyły dla niego rzeczywistością; czuł i cierpiał wraz z nimi, cieszył się ich radością, dręczył ich smutkiem. W listach mówił o bohaterach swoich, jakby o żyjących osobach. „Jutro jadę na wieś poszukać domu dla *Simpsona*. Dick pracuje u niego. Miss Brass zaczyna wreszcie kochać! Kiedy w końcu *Old Curiosity shop* mała Nilly musi koniecznie umierać, autor odciąga ile może tę chwilę, wymyśla coraz nowe przeszkody. Znaglony kończyć rzecz, tak utyskuje w liście do przyjaciela: „Jestem najniezwyklejszy z ludzi, ta mała pokrywa mnie czarnym cieniem, nie śmiem spojrzeć jej w oczy. Jak umrze, nie prędko uspokoję się po niej. Nie mogę przyjść do ciebie na obiad, muszę utrzymać myśl w spokoju.“

„Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie wyczerpała wczorajsza praca. Położyłem się chory, całą noc śniło mi to dziecko; wstałem smutny i przygnębiony. Widzę jednak, że koniec powieści uda się, bo mnie doprowadza do szafu; znak to bardzo dobry.“

Zdarzało się, opowiada biograf, że gdy Dickens wpadł w werwę twórczą, to śmiał się na głos, to płakał na przemianę, pisał i pisał, dopóki pióro nie wypadło mu z ręki. Wówczas biegł do ogrodu, grał w piłkę lub palanta; aż w końcu myśl ukołysana fizycznym ruchem przysłała do równowagi. „Wszystko—mówi on—do czego się wziąłem, starałem się robić całym sercem, o ile mogłem najlepiej. Każda praca pochłaniała mnie całkiem, do każdej przykładłem się oburącz!“ Słowa te włożył w usta Coperfielda: niema wątpienia, że mówi sam o sobie.

Taki zapal musiał oddziaływać na czytelników. To też Dickens wywarł niesłychany wpływ na społeczeństwo. Najwyższy tryumf geniuszu jego leży w tém, że przeistoczył niemal obyczaje narodu, że skierował serca do pobożania i miłości bliźniego. Dzięki jego powieściom, znikło w Anglii mnóstwo nadużyte opartych na odwiecznym przesądzie. Powieść historyczna *Barnaby Rudge*, w której autor powstaje surowo na nieprzeblągane prawa, karcące śmiercią łokiec skradzionej wstążki, powieść ta przyczyniła się więcej do obalenia szafotu, niż wszystkie rozprawy w parlamencie. *Daniel Coperfield* przeistoczył cały systemat szkolny. *Oliwier Twist*, dziecię workhousu uchyla zasłonę pokrywającą straszne nadużycia towarzystw dobroczynnych. *Mikolaj Nickleby*, ta smutna historia proletaryatu, porusza najżywotniejszą strunę w sercu społeczeństwa angielskiego. *Pickwick* w humorystycznych rysach, kreśli potworne spaczenia i choroby współczesne.

Więcej jeszcze niż w Anglii Dickens cenionym był w Ameryce. Zobaczmy jak biograf tłumaczy tę niesłychaną popularność jego na nowej świata półkuli: „Amerykanie widzieli w młodym pisarzu

silną protestacją przeciw błędom, jakie zarzucali instytucjom angielskim. „Wam drogie tytuły, mówili do zamorskich braci, wy czicie milionerów, potentatów i bohaterów wojskowych; my zaś mieszkańcy nowego świata pragniemy wam pokazać, składając hołd geniuszowi i pracy, że są rzeczy droższe nam stokroć nad tytuł, majątek albo szpadę.“ Przygotowano Dickensowi pochód tryumfalny przez Stany Zjednoczone, jakiego nie widziano, o jakim nie słyszano od czasów Lafayetta; wiedzą bowiem Amerykanie, że Dickens więcej uczynił dla ubogich w Anglii, niż wszyscy razem mężowie stanu. W namiętnościach, w cierpieniach, w cnotach mas znalazł on najpiękniejsze przedmioty do powieści. Pokazał, że życie w grubiej, nieokrzęsanej formie, może mieć tragiczną wzniosłość swoją; że w pośród szaleństw i rozhukania, wśród pogardy i śmiechu, kryją się jeszcze uczucia moralne; że zetknięcie samo z szlachetnym sercem może podnieść zbrodniarza. Dzieła jego mają na celu rozbudzić miłosierdzie w duszy ludzkiej i zamienić pogardliwą obojętność dla wydziedziczonych tłumów, w gorące oburzenie przeciw niesłuszności i nędzy.“

Zobaczmy jak Dickens odpowiedział na te owacye. Oto list jego pisany zaraz po przybyciu do Ameryki.

„Zamęt taki był w porcie, że przez godzinę nie mogłem wylądować. Stałem u rudla przy kapitanie, kiedy nagle dwunastu ludzi rzuciło się z brzegu na statek z narażeniem życia. Mieli pod pachą wielkie zwoje dzienników; myślałem, że to po prostu roznosiciele gazet; byli to sami wydawcy. Przyskoczyli do mnie wszyscy razem, nuż ścisnąć mnie za rękę, nuż krzyknąć jak szaleni. Jeden z nich w zabłoconych kamaszach szczególnie mi był wstrętnym. Ogromne zęby zachodziły mu na spodnią wargę, wołał wciąż do nowych przybyszów: „Chcecie się poznać z naszym przyjacielem Dickensem?“ Inny poskoczył co żywo do domu, aby mi przygotować mieszkanie i obiad. Jakiś pan, który pisał jeszcze do Anglii z prośbą abym mu pozwolił wymalować mój portret, znalazł się także na okręcie; powóz jego czekał u brzegu.“

„Niepodobna mi wyjść z domu, drzwi moje zawsze obłężone; tłum gapi się na ulicy, gdzie się obróć ścisną mnie wszędzie *hurrah!* Odbieram tomy wierszy, panegiryki prozą, listy, zaproszenia; deputacye nie dają mi chwili wypoczynku. Jak żyję nie widziałem takich waryatów. Jeśli jestem na jakim wieczorném zebraniu tłum ciekawych tak mnie ścisną, że nie mogę odetchnąć. Jeśli zaproszony jestem na obiad, muszę rozprawić o wszystkiém ze wszystkiemi. Jeśli wnijdę do kościoła, aby spocząć, ławka moja natychmiast obłężona, co gorsza predyktor z ambony zwraca się ku mnie, patrzy we mnie, dla mnie prawi kazanie! Wsiadam na kolój, konduktor nie chce zostawić mnie samego! Zsiadam na stacyi, chciałbym się napić.. niechże podniosę do ustszkiankę, mnóstwo oczów zagląda mi w gardło. Nie chcę przesądzać charakteru amerykańskiego, ale nie radbym aby

tu przybyli nasi radykały, bo jeśli nie są winni z przekonania, z zasady, lecz tylko z uczucia, gotowiby pozamieniać się na torysów.“

W ciągu pobytu w Stanach Zjednoczonych napisał Dickens powieść: *Marcin Churslewitz*. Jestto humorystyczny obraz tego społeczeństwa, które przyjmowało go z takim zapałem. Amerykanie czuli się zrazu obrażeni; przebaczyli nakoniec, widząc że Dickens nie był pobłażliwszym dla własnych ziomków.

Niekiedy jednak humorysta angielski przyznaje wielkie zalety Amerykanom; ma dla nich szacunek, brak mu tylko współczucia. „Amerykanie — mówi on — serdeczni są, usłużni, gościnni, dobrzy, otwarci, wolni od przesądów, pełni szlachetnego zapału. W obejściu z kobietami okazują grzeczność godną czasów rycerskich, a co więcej zupełnie bezinteresowni; w przyjaźni gotowi do wszelkich poświęceń. Stany opiekują się szczerze ubogim ludem, nad dzieckiem i kobietą, nad chorym i nad więźniem, czuwają prawdziwie po ojcowsku. Najprostszy robotnik gotów każdemu posłużyć na ulicy i nie przyjmie za to żadnego wynagrodzenia. W każdej przejeździe, czy to wagonem, czy statkiem zawiązałem zawsze miłą znajomość. Niektórzy z tych jednodniowych przyjaciół przybywali z daleka, aby mnie znów zobaczyć, a jednak... a jednak... nie lubię tego kraju. Nie chciałbym tu żyć za nic w świecie — dlaczego? nie wiem, ale musi w tém być jakiś istotny powód.“

Powód był nie wątpliwie ten a nie inny, że Dickens przeczuwał na każdym kroku niechęć Amerykanów ku Anglii. Same owacy, jakie co krok spotykały go musiały mu być wstrętne, gdyż widział w nich raczej chęć uczczenia dowcipnego humorysty, który chłoscze swój naród, niż biegłego lekarza, który z miłością wykrawa chorobliwe narośle na ciele społeczném, aby wrócić mu zdrowie.

Eugeniusz Manuel, autor *Robotników* napisał nowy dramacik jednoaktowy wierszem p. t.: *L'absent* (Nieobecny). Przedstawiono go po raz piérwszy w Odeonie, w początkach czerwca. Nie wiemy czy ten dramacik znajdzie tak wielkie powodzenie, jak *Robotnicy*; akcja dramatyczna acokolwiek tu słabsza, co wypływa z samego przedmiotu. W każdym razie utwór to nie pospolity; strona psychiczna wybornie oddana. Autor zna doskonale tajniki serc ludzkich, wie jakie poruszyć sprężyny, aby wycisnąć łzy słuchaczom. Nie mało też łez płynie na każdym przedstawieniu *Nieobecnego!* Dotknął Manuel najboleśniejszej rany w organizmie teraźniejszego społeczeństwa, określił stosunek rodziców z dziećmi, tak często dziś skrzywiony. Mistrzowski język podnosi wartość dramaciku. Oto jego treść w kilku słowach:

Pan Jumelin człowiek zubożały, podeszły w latach mieszka na wsi niedaleko Paryża z sześćdziesięcioletnią małżonką. Smutek po-

wiewa od ścian starego domu; snad te ściany dawno nie widziały swobodnego uśmiechu, dawno nie odbrzmiały radosną wrzawą. Małżonkowie starzeją się tu smutni i zakwaszeni: powodem ich udręczenia syn jedynek, *nieobecny* od lat dziesięciu.

Boleśniejszy niż zwykle ciężar przygniata dziś pierś rodzicielską: pamiętna to rocznica dla nich dzień dwunasty czerwca. W tymże dniu przed trzydziestu trzema laty przyszło na świat jedyne ich dziecko, nieobecny syn Andrzej.

Wybiła dwunasta. Stara sługa Sydonia przynosi na stół wazkę. Za nią wchodzą małżonkowie, smutni, jakby przybici do ziemi, roztargnieni widocznie.

Sydonia z poufałością starej sługi nalega, aby siadali do stołu: pociąga za rękę swoją panią.

PANI JUMELIN (*łagodnie*)

Przestań, nie o jedzeniu myślć nam w tój dobie,
Ty o naszej rodzinnej nie pomnisz żalobie:
To dzień dwunasty czerwca...

SYDONIA (*zawstydzona*).

Wyszło mi to z głowy:

PANI JUMELIN (*ukazując męża*).

Patrz, ou dobrze pamięta!

SYDONIA.

Lecz obiad gotowy!
(*przystępując do p. Jumelin z naleganiem*).

Panie!

JUMELIN (*ukazując żonę*).

Jak ona smutna, wiecznie o nim marzył!

SYDONIA.

Prawda! (*przechodzi do pani Jumelin*).

PANI JUMELIN (*ukazując męża*).

Boleś mu bruzdy wyryła na twarzy...

JUMELIN (*na stronie*).

Przeklęty dzień to widmo jakaż moc oddali?

SYDONIA (*niecierpliwie*).

Moja pieczeń barania na węgiel się spali.

PANI JUMELIN.

Milcz!

SYDONIA (*smutno*).

Wiem, co się dziś w sercach rodzicielskich dzieje.
Może on jeszcze wróci—tak... miejmy nadzieję!

JUMELIN (*z poruszeniem*).

On wróci?

PANI JUMELIN (*z trwożą*).

Drogi mężu!

JUMELIN (*z mocą*).

Powrócić nie może!

Bodaj się był nie rodził!

PANI JUMELIN.

Coś wyrzekł? mój Boże!

SYDONIA.

Tak, ciężka to zgryzota; snąc w niebie sądzono:
Ale... mamże dać na stół pieczeń przepaloną?

(Oboje siadają do stołu. Żona rozlewa zupę. Chcą jeść... nagle pani Jumelin wypuszcza z rąk łyżkę i wybucha głośnym płaczem. Pan Jumelin rzuca serwetę na stół, rozkazuje odejść precz starąj służce. Małżonkowie zostają sami).

PANI JUMELIN.

Ty kryjesz coś przedemną... to źle..

JUMELIN.

Tobie raczej

Uczynioby ten zarzut!

PANI JUMELIN.

Two serce w rozpaczy:

Nie złudzisz mnie tym gniewu kłamliwym pozorem!
Biedny ty!...

JUMELIN.

I tyś wczoraj płakała wieczorem.

Kazałem ci odegnąć to widmo złowieszcze...

PANI JUMELIN (*placząc*).

Daj mi przykład, mój mężu!

JUMELIN (*powstając z gniewem*).

Jako? płaczesz jeszcze?

Niewdzięcznik, czyż zasłużył na te łzy i żale?
Zamierzaliśmy o nim nie mówić już wcale.

PANI JUMELIN (*smutno*).

Dziś jego urodziny.

JUMELIN (*chodzące z poruszeniem po pokoju*).

Zapomnieć go trzeba!

Pięknym nas upominkiem obdarzyły nieba;
Dziesięć lat upłynęło jak zbiegł gdzieś bez wieści,
Pewno umarł... tém lepiej...

PANI JUMELIN (*żywo*).

Drzę cała z boleści,

Kiedy z ust twoich słyszę te okrutne słowa!
On żyje... biedny Andrzej... Bóg mi go zachował!

JUMELIN (*z gniewem*).

Ja nie chcę o nim słyszeć!

PANI JUMELIN.

Tyś twardy jak skała!

JUMELIN.

A ty czuła do zbytku.

PANI JUMELIN.

Jam nie zapomniała
Coś mówił przed trzydziestu trzema laty...

JUMELIN.

Żono!

My go nazbyt kochali miłością szaloną!
Przez niego Bóg nas ciężko dziś chłoszcze za grzechy.

PANI JUMELIN.

Pomnisz ty przyjacielu dnie słodkiej pociechy,
Kiedy nam zakwiliło pierwsze raz to dziecko?
Jakaż to była radość! tyś o wszystkiem w świecie
Przepomniał, pochylony nad kołyską syna;
W pieśczętach za godziną zbiegała godzina:
Dziwnieź się nam od szczęścia serce rozszerzało!
Pomnę, gdyś na kolana brał dziecińkę małą,
Co śmiechu... pocałunków!... trzymasz go za boki,
On wesoło grzechocze... nuż w płasy i skoki!

Nocą budzisz mnie ze snu: „żono! Jędrus płacze,
Może chory“... i serce z trwogi ci kołacze;
I śpiewasz ze mną razem: lulu złotko, lulu!
Na samo to wspomnienie pierś pęka mi z bólu,
Im bardziej wiek mnie ciśnie, chętniej myśl ulata
W jasną przeszłość i goni jego ranne lata.
Patrz! nie łaj mnie... spójrz na tę główkę złotowłosą,
Twarzyczka istny pączek wykąpany rosą:
Miał za ledwie pięć latek!

(To mówiąc biedna matka wydobywa z pomiędzy listów dziecięcą pisanych ręką, portrecik syna i ukazuje go ojcu).

— Precz mi z tym wizerunkiem—zawoła mąż odwracając oczy—
ty chowasz listy dzieciinne, godne spalenia, a ja chowam inne pismo,
w którym nikczemnik poterał moją cześć, nadużył mojej wiary, pismo
które opłaciłem całą moją chudobą, zebraną w pocie czoła.

(Otwiera biórko, żona zatrzymuje go gwałtem).

PANI JUMELIN.

Tyś go zrażał obejściem do zbytku surowém.

JUMELIN.

Ty psułaś go do zbytku pobłażliwém słowem;
Zawsze pomnę, w winnego stawałaś obronie.

PANI JUMELIN.

Możnaż rękę usuwać, kiedy dziecko tonie?
O! ten dzień wszystkie serca odnowił mi rany!
Pomnę, jak weń wlepiłeś wzrok nieprześlągany;
Drżał... lica mu pobladły od żalu i sromu,
Wieczorem raz ostatni powrócił do domu;
Próżno błaga litości niespokojnym wzrokiem,
Odszedł do swej izdebki w milczeniu głębokiém.
Całą noc przepłakałam, rano idę z trwogą,
Otwieram drzwi... w izdebce nie było nikogo...
Wtém przychodzi list z Hawru, ręka dobrze znana,
On błaga choć o słówko!.. padam na kolana,
Wołam... możnaż od serca odtrącać tak dzieci?
Ty milczysz... przyszedł jeszcze list drugi i trzeci;
Próżno błagam i stopy oblewam twe łzami,
Już nie potem nie pisał... zostaliśmy sami!

Bolesną tę rozmowę małżonków przerywa przybycie doktora. Człowiek to wesoły, krotochwilny, ale pełen głębokich uczuć. Miłośnik cierpiącej ludzkości, szczególnież zamilowany w drobnój dziaćwie.

DOKTOR.

Witajcie przyjaciele! włóczę się od wczora
 Po wioskach okolicznych... smutny los doktora!
 Śród skarg, jęków i cierpień wciąż się życie toczy,
 Ten żali się na gardło, tamten znów na oczy:
 Innemu zaszkodziła wieczerza obfita,
 Ów skosił całe pole i za grzbiet się chwytą;
 Febry, kaszle, katary, stek bólów i nędzy!
 Głód męczy mnie okrutnie: dajcież jeść co prędzej!

Sydonia rada, że obiad nie zginie, krząta się żywo. Przy obiedzie doktor wspomina coś o dzieciach.

— Szczeńśliwy kto ich nie miał—woła z uniesieniem Jumelin.

Dzieci... bo widzisz, dzieci, to skaranie Boże!
 Tració je rzecz okropna, lecz smutniej doktorze
 Gdy widzisz, jak karleje ona płonka świeża.
 Jak się życia zadaniu srodze przენiewierza;
 Czuó taką rozpacz w duszy, taki srom na czole,
 To piekielna męczarnia... ach! to ból nad bole!
 Masz syna, on otuchą ci na przyszłość całą,
 Spełni to, coś chciał spełnić, lecz ci sił niestało.
 Przez niego ty odrodzisz, uzacnisz twe życie,
 On twe winy przed światem nagrodzi sowicie;
 Stargany zawodami, starością schylony:
 W nim ujrzysz twych posiewów kiełkujące plony.
 Nagle, przyszłość pod stopy rozpadnie się twemi:
 To nikczemnik! niegodzien deptać świętej ziemi!
 Wypędzisz go, w sieroctwie przekwiekasz lat wiele,
 I nigdy ci nie wspomną o nim przyjaciele,
 Aby rumieniec wstydu nie spalił ci lica:
 Doktorze! oto cierpień moich tajemnica!...

Próżno doktor usiłuje uspokoić biódnego ojca, ukazując mu życie, jako pasmo trosk i boleści.

— Nikt więcój nie cierpiał odemnie—zawoła Jumelin z gorączką.

. przed laty

Lubiłem moje pola, hodowałem kwiaty;
 Dziś wszystko mi obrzydło: wkoło pusto, głucho...
 Serce moje okrutną dręczzone posuchą! *(wskazuje ogród przez*
[balkon otwarty])

Z nim razem te bzy rosły, dziś je nienawidzę;
 Niech bez rosy te kwiaty zwiędną na łądydze,

Wszak on splatał z nich wianki!... te róże mi zbrzydły,
 I gniewa mnie ten motyl z barwistemi skrzydły;
 On, byłby gonił za nim i ujął go w dłonie.
 Patrz, gną się pod owocem te stare jabłonie,
 Rumiane papierówki na gałązkach gniją;
 On je lubił, dziś ręką nietkniętę nieczyją.
 Miłe mi były książki; gdy otworzę kartę
 W oczach mi wiecznie stoi to widmo uparte:
 Chcę czytać... niepodobna... przysłania mi zgłoskił
 Niech jakiś obcy człowiek przybędzie do wioski,
 Słyszę niby głos jego, niczém go nie zgłuszę!
 Ten syn... on mnie opętał... on zabrał mi duszę!
 Ilem ja cierpieć musiał—wiecież znawcy ludzi,
 Gdy taki wstręt dziś we mnie każde dziecko budzi!

Tu wbiega Sydonia, oznajmia przybycie nieznanym pani w żałobie, z pięcioletnim synkiem, ślicznym jak cherubinek. Jumelein wychodzi co prędzej drzwiami od ogrodu, żona pośpiesza za nim: widok to zbyt dla niej bolesny. Polecają doktorowi aby przyjął nieznaną i zapytał ją czego żąda.

Tą przybyłą jest młoda Amerykanka, wdowa po zmarłym Andrzeju.

Patrząc na wyrzuty nieszczęśliwego męża, skoro on zamknął oczy, szlachetna kobieta zabrała znaczne mienie i puściła się w drogę do Europy. Jedyńm jej pragnieniem osłodzić ostatki życia starym rodzicom, przebłagać ich za winy zmarłego, spełnić to, czego mu śmierć dopełnić nie pozwoliła.

Doktor przyrzeka jej pośrednictwo, powątpiewa jednak czy zdoła przełamać zacięty opór obrażonego ojca. Wyprawia dziecię do ogrodu z Sydonią; młodą matkę ukrywa w przyległym pokoju.

Rodzice powracają. Zakłopotany doktor sam nie wie od czego zacząć. Godziż się w dniu urodzin syna zakrwawić serce rodziców wieścią o jego skonie? Zapytany odpowiada, że podróżna Amerykanka pani Douglas przynosi im wiadomość o Andrzeju, że w imię jego błaga ich przebaczenia.

— Nigdy nie otrzyma go póki żywy—zawoła z gniewem starzec.

— A więc przebac mu teraz ojcze!—odpowiē doktor.

— On umarł?!—krzyknie matka.

Milczenie doktora wymowną dla niej odpowiedzią.

Matka pragnie widziē zwiastunkę smutnej wieści. Pani Douglas przybywa na wezwanie, opowiada ostatnie chwile Andrzeja.

Pamiętam, już śmiertelne zbiegały go dreszcze,
 W marzeniu gorączkowym o was mówił jeszcze.

Chciał pisać... jam czuwała przy nim do ostatka,
 Kładę mu w rękę pióro: Tam ojciec i matka
 Zyją pewno—wyrzecz—choć milczą tak długo!
 Ty mi jedna z ostatnią przyjsz możesz posługą:
 Spiesz do nich, gdy mi ziemia upadnie na oczy,
 Zrzuc z mej piersi ten ciężki wyrzut, co ją tłoczy!...
 Przyrzekłam, radość lica krasą, mu zapłoni,
 Nagle pióro w stygnącej zachwiało się dłoni...
 Zatopił w oczy moje wzrok pełen otuchy...
 Głos jego brzmi tak smętny... tak słaby... tak głuchy...
 Chwytam z tych ust mi drogich każde zbiegłe słowo;
 Westchnął... nie nie rzekł więcej... *(z wybuchem płaczu)*
 I byłam już wdową...!

— Tyś jego wdową?!—zawołała matka—i obie kobiety wylę-
 wają łzy w gorącym połączonym uścisku.

Odechodzą. Jumelin stoi jak słup; łza nie spadła mu z oka:
 zostaje sam z doktorem.

Próżno poczciwy doktor usiłuje skruszyć twardą skorupę, za-
 mykającą serce nieszczęśliwego. Starzec odrzuca jego rady.

DOKTOR.

Bądź szczerym przyjacielem! gdy rankiem na łące
 Widzisz w chyżych podskokach dziatki pływające,
 Nie pomyśliszże patrząc na malców pustoty,
 Że twoja siwa broda złakniona pieścizoty?
 Tych małych swawolników niepojęta władza:
 W starca piersi zakrzepłej krwi strumień odmładza!
 Ściany twoje tak zimne, twój próg tak ponury...
 Starość wlecze za sobą wieczne mgły i chmury;
 Od główki dziecka bije słońca promyk złoty!...
 Tobie dłużej nie wytrwać wśród takiej tęsknoty!

(Jumelin słucha głęboko zadumany)

Wiesz—li z kąd ci na serce te padły ciężary?
 Starczy jednego słowa: tyś samolub stary!
 A czemuś samolubem? starczy jedno słówko;
 Brak tu czegoś: dzieciny z złotowiosą główką...
 Zgryzota szpik żywotny wysysa z twych kości,
 Twojego domu ściany kryje pleśń starości;
 Próżno pytać o jutro! bojaźń serce więzi,
 Jeśli pączek ze stariej nie puści gałęzi;
 Ten ogródek tak pięknie umajony w kwiecie
 Pusty, bo go wesołe nie ożywia dziecię.
 Stary dąb pod konarem tuli gniazdko ptaszek!...
 Wyście biedni, strupieli... skrzepły serca wasze...

Jak dwa omszałe dęby wyschłe od korzenia!
 Droga wasza bez celu, życie bez marzenia.
 Człowiek, panie, w twym wieku musi zwać się dziadkiem!
 To prawo mu otuchą, na przyszłość zadatkiem;
 Trzeba dziadka wnuczкови, tak Bóg i świat każe...
 Słaby starzec z dzieciną niechże idą w parze!

Jumelin opiera się do ostatka. Zniecierpliwiony doktor odchodzi, starzec pozostaje sam.

JUMELIN.

Dobrześ zrobił, żeś poszedł mój panie doktorze!
 Już mnie napół przełamał... byłbym uległ może!

(Idzie do biurka, wyciąga szufladę, przegląda listy, gniecie je, odrzuca na bok).

Na te świstki ja patrzeć nie mogę bez wstrętu...
 Jestem sam, wszystko muszę zniweczyć do szczytu!
 Tajemnic mego serca świat nie pozna wcale,
 Te listy, te papiery... na proch wszystko spałę.

(Otwiera inną szufladę, spostrzega miniaturę).

Ten portret... jak on patrzy, jak błaga... drzę cały!

(Siada, podczas gdy patrzy zadumany w miniaturę, dziecię wbiega żywo do pokoju, i zatrzymuje się nagle. Jumelin spostrzegając dziecko, z gniewem:).

Ha! poznaję go... precz ztąd... *(przestraszone dziecię chce odejść,*
[Jumelin łagodnie]).

Nie, nie!... zostań mały!

Przystąp tu, nie uciekaj... ja ci nie nie zrobię...
 Boisz się?... nie masz czego... niech się przyjrzę tobie...

(Dziecię zbliża się pomału; Jumelin wstaje, potem siada po drugiej stronie, trzymając chłopca przed sobą).

Dziwnież to podobieństwo... Jak ci imię dziecię?

ANDRZÉJ.

Jędrus.

JUMELIN.

Chodź tu Jędrusiu, pogadajmy przeciel!

ANDRZÉJ.

Dobrze...

JUMELIN.

Ile masz latek?

ANDRZÉJ.

Pięć, mówiła mama.

JUMELIN (*ukazując miniaturę*).

Czy go znasz?

ANDRZÉJ (*zdziwiony*).

Mały Jędrus...

JUMELIN (*na stronie*).

Serce mi drży... w tém wszystkim istny palec boski!

(*głośno do chłopca*).

Patrz na mnie!... też oczęta, to czoło, te włoski...

(*przeciąga rękę po głowie dziecka*).

ANDRZÉJ.

Bawisz się z włoskiem moim?

JUMELIN (*na stronie*).

To złuda prawdziwa...

Cała przeszłość przedemną stanęła jak żywa! (*do chłopca*).

Twój ojciec!... czy go znasz?

ANDRZÉJ.

Pytasz czy go znałem?

JUMELIN (*po chwili z wysileniem*).

I kochałeś zapewne?

ANDRZÉJ.

Tak... bardzo kochałem!

JUMELIN.

Oż on mówił twój ojciec? powtórz chłopcze śmiało!

ANDRZÉJ.

Całował mnie i pieścił, ale mówił mało!

JUMELIN (*bardzo poruszony*).

Tuman z oczu mi spada na ten głos dziecięcy!

Biédny!... (*Andrzej chce odejść*). Zastań chłopczyno, powiedz mi
Zdaleka tu przybyłeś? [cós więcej.]

ANDRZÉJ.

Z daleka, przez morze;
Co to tam było wody, co wody, mój Boże!

JUMELIN (*z wahaniem*).

A twój ojciec?

ANDRZÉJ.

On został, śpi w ziemi pod darną,
I dlatego to noszę tę sukienkę czarną...

JUMELIN (*na stronie*).

Serce bije mi młotem, już wytrwać nie mogę...
Mów jeszcze...

ANDRZÉJ.

Takie śliczne bajeczki przez drogę
Opowiadała mama... umiesz bajki, panie?

JUMELIN.

Ja?... (*po chwili z boleścią*) znam jedną...

ANDRZÉJ.

Czy piękna?

JUMELIN (*na stronie*).

Już mi tchu niestanie...

Ten wzrok... jak mnie urzekła ta biedna dziecinka! (*głośno*).
Słuchaj, miał jeden ojciec małego synka,
Z jasnym kręconym włoskiem, z twarzą różową...

ANDRZÉJ.

Jak ja?

JUMELIN (*silnie poruszony*).

Tak, chłopczyń! taki słowo w słowo...
Ojciec swym jedynakiem chlubił się radośnie,
Ach! czasem dziecię ojcu na smutek urośnie...

ANDRZÉJ.

I cóż?

JUMELIN.

Próżno rodzice tulą go i strzegą,
On posłuchał złej rady...

ANDRZÉJ.

I cóż?

JUMELIN. (*mieszając się coraz bardziej*).

Dnia jednego

Rzucił ojca i matkę i znikł gdzieś bez wieści!
Czekali go rodzice we łzach i boleści:
Nie wrócił... Com ja wyrzekł?... on przedemną stoi...
Młody, piękny, niewinny... to on! w duszy mojej
Obłąd, szal... ten syn umarł!... śpi w zimnej mogile,
A jednak... (*patrzy z uczuciem na Andrzeja*).

Biędny ojciec... on przecierpiał tyle!
(*Wybuchą głośnym łkaniem i przyciska dziecię do piersi*).

ANDRZÉJ.

Ty płaczesz?

W tej chwili ukazuje się doktor. Pani Jumelin wprowadza synowę w próg, wszyscy patrzą wzruszeni na łzy starca. Andrzej biegnie do matki.

DOKTOR.

Łzy to święte!... już walka skończona!
To krew krwi, kość twych kości... spadła z ocz zasłona,
Zdrój wytrysnął ze skały...

PANI JUMELIN (*do synowej, która zatrzymała się w progu*).

Chodź!

JUMELIN (*wyciągając obie ręce do pani Douglas*).

Przestąp łaskawie,
Na próg domu mego ja ci błogosławię!

DOKTOR (*biorąc Andrzeja za rączkę z powagą i uczuciem*).

Chodź tu dziecię, rozjaśnij tego domu ściany!
Rozdmuchaj pod popiołem płomień zagrzebany!
Smutnego ich ogniska bądź iskierką bożą,
Ty bądź dla nich nadzieją, uśmiechem i zorzą!...

PANI DOUGLAS (*do dziecka*).

Nie wiesz ile dni oni przeżyli w żałobie,
Przebłagaj ich za tego, co spoczywa w grobie!
Serce ojca tam cierpi pod ziemią cmentarną,
Tobie z jego sumienia zmyć tę plamę czarną!

PANI JUMELIN (*do męża*).

Zdejm klątwę z jego czoła!

DOKTOR.

Czas ponowić próby!

Wiecie dobrze, co ojca przywiodło do zguby,
 Bogaci doświadczeniem idźcie naprzód śmiało,
 On będzie waszych trudów koroną i chwałą:
 W nim plon z waszych posiewów wznijdzie pożądany!

JUMELIN (z uczuciem do Andrzeja).

Chodź!

DOKTOR (do dziecka).

Powiedz mu: dziaduniu!

ANDRZÉJ (biegnąc do starca).

Dziaduniu kochany!

Nie odpowiedzielibyśmy naszemu zadaniu, gdybyśmy mówiąc o bieżącej literaturze francuskiej podnosili tylko same kwiaty i kłosa, a pomijali systematycznie chwasty zalegające ten bujny zagon. Jest tu nie mało pokrzyw i gorzkiego łośnianu, szczęściem że nie brak dzielnych karczowników, co ostrzem krytyki podcinają od korzenia złe ziele. Do takich to chwastów literackich zaliczamy powieści pana Zola. Pierwszy raz wspominamy to imię, bo też autor zajmuje podługne miejsce w powieściopisarstwie francuzkiem. I dziś nie zwróciłby niczyjjej uwagi, gdyby nie przebrał miary w ekscentrycznych pomysłach swoich.

Nigdy jeszcze materializm nie rozparał się tak bezecznie, jak w ostatniej powieści tego autora; tytuł jej *Le ventre de Paris* dosyć już sam z siebie mówiący. Nie myślimy bynajmniej ścigać pasma tych potwornych scen, których głównym bohaterem jest jakiś zbieg z Guyanny. Autor mieni się filozofem materialistą. W mniemaniu jego cnota i występki są to po prostu dwa objawy filozoficzne wpływające ze stanu krwi i nerwów. Nie obrzydliwszego jak ta cyniczna apoteoza materyi, którą spotykamy na każdej karcie. Z jakimże to upodobaniem kreśli Zola swe rodzajowe obrazy! Cóż one przedstawiają? Oto piramidę owoców na stole przekupki, oto „zapach sera śpiewający najcudniejszą symfonią“ oto stosy ryb w oknie restauratora i ćwierci mięsa w jatce rzeźniczej! Czytając te bezceństwa, pytamy sami siebie, czy autor pisze na seryo, czy niema raczej zamiaru mistyfikować czytelników? Bądź co bądź takie dzieła jak *Brzuch Paryża* pana Zola, przyczyniają się najdzielniej do zohydzenia materializmu, którego są apoteozą.

W dziedzinie poezyi pojawił się niemniej potwór podobnego rodzaju. Jest nim zbiór pod tytułem: *Poezye filozoficzne* pani Acker-

mann, wdowy po przyjacielu znanego komunisty Proudhona. W obec klęsk jakie spadły na Francją, autorka wydaje okrzyk bluźnierczy, przeklina społeczeństwo, miota gromy na wszystko co świat czczył dotąd jako wielkie i święte.

Obok tych chorobliwych wybryków fantazyi, jakimże świecą czystym blaskiem nowe utwory prawdziwych poetów, jak Laprade, Nadal, Souлары. Ukazała się właśnie mała książeczka pod tytułem: *La poésie à Lyon pendant la guerre*. Sliczny to zbiór pieśni lirycznych, pełnych zapału i wzniosłego natchnienia. Każda zwrotka, szczególnież Laprada ożywiona najgłębszém uczuciem. Zobaczmy jak poeta przemawia do Francyi.

Gdybyś ty miała kiedy przestać iść po przedzie,
Gdyby na czole twojém zgasła jasna zorza;
Gdybyś miała się wyrzec Boga, co cię wiedzie:
Ród ludzkiby na ciemne zstąpił bezdroża!

Lecz nie wyschną twe prądy, co wieki wzbierały,
By skruszyć głąz grobowy, znajdziesz moc w twém łonie;
Jeszcze świata zabłyśniesz promieniem twój chwały:
W odmęcie barbarzyństwa jej blask nie utonie!

Wytrwasz, Bóg nową erę przed tobą roztoczy,
W wierze moc czerpie płomień, co z mój piersi bucha:
Bóg w serce twego dziecka złożył dar proroczy,
Gdybyś ty miała umrzeć, czułbym w głębi ducha!

Kilka dni temu umarł książę Józef Michał Poniatowski, znany kompozytor muzyczny, rodzony wnuk księcia podkomorzego, brata Stanisława Augusta. Polak z rodu, naturalizowany po dwakroć: raz na Włocha, drugi raz na Francuza, umarł w Londynie, w chwili kiedy miał popłynąć do Ameryki, zamówiony na dyrektora orkiestry. Książę Poniatowski urodził się w Rzymie r. 1816. Od dzieciennych lat oddawał się z upodobaniem muzyce i kształcił w tym kierunku w kolegium florenckim. Obdarzony z natury pięknym głosem, występował w młodości jako tenor, po rozmaitych włoskich teatrach. W roku 1838 przedstawił w teatrze Standish we Florencyi pierwszą swoją operę *Giovanni de Procida*, w której odgrywał sam główną rolę. Odtąd pożegnał deski teatralne, a oddał się wyłącznie kompozycyi.

Wkrótce potem napisał operę komiczną *Don Desiderio*, przedstawioną w Pizie i kilka innych utworów jak *Ruy-Blas*, *Narzeczoną z Abydos*, *Esmeralda*. Otrzymał wtedy od arcyksięcia Leopolda II obywatelstwo toskańskie wraz z tytułem księcia de Monterodonto.

Imię jego nabierało coraz większego rozgłosu. Wyprawiony do Francji, jako pełnomocny minister, obrał Paryż za miejsce stałego zamieszkania: rząd cesarski nadał mu naturalizacyą i mianował go senatorem.

W Paryżu książę Poniatowski zajmował się niemniej gorliwie muzyką, jak dyplomacyą. Wykonał najprzód operę w czterech aktach pod tytułem: *Potr z Medyceuszów*, odegraną w teatrze Opery Francuzkiej w roku 1860. Następnie jednoaktową operetkę *A travers du mur*, graną w teatrze Liryczaym. Później *Awanturnika i Contessine*. Z upadkiem cesarstwa postradał wysokie stanowisko; opuścił Paryż i zamieszkał w Londynie, gdzie utrzymywał się z lekcji muzyki. Ostatniem dziełem jego była pięcioaktowa opera *Gelwina*, przedstawiona roku zeszłego w londyńskim teatrze Covent-Garten. Z religijnych utworów pozostała po nim wielka msza, wykonywana wielokrotnie przez orkiestrę po kościołach paryzkich.

— Wice król Egiptu przysłał w upominku Akademi nauk paryżkiej przepyszne album archeologiczne, złożone z czterdziestu wielkich tablic, obejmujących do sześciuset przedmiotów. Są to odfotografowane pomniki, prze chowane w Muzeum Bulock. Żadne muzeum świata, nie może iść w porównanie ze sławnymi zbiorami egipskimi, których odkrycie i uporządkowanie zawdzięcza nauka wielkiemu archeologowi francuzkiemu Maryette-Beyowi. Uczony ten skreślił tekst, dopełniający pomnikowe dzieło. Według powszechnego uznania, jest to najdokładniejszy kurs archeologii starożytnego Egiptu. Na czele zbioru widzimy sławny posąg króla Chephrem, podziwiany przed kilką laty na paryżkiej wystawie, najdawniejszy zabytek cywilizacyi egipskiej odnoszący się do czterdziestu czterech wieków przed naszą erą.

Muzeum Bulock obejmuje około tysiąca drogocennych pomników sztuki. Każdy rok wzbogaca je nowym plonem. Na pomieszczenie tych zbiorów, wicekról buduje wspaniały pałac w Kairze.

Kolegium francuzkie utraciło jednego ze zdolnych profesorów Filareta Chasles, który od lat trzydziestu dwóch zajmował katedrę literatur zagranicznych. Znał Chasla cały Paryż; umiał on zająć uwagę słuchaczy niewyczerpaną werwą, przechodzącą poniekąd w rodzaj blagi właściwej geniuszowi galskiemu.

Urodzony w r. 1792, należał do najstarszych profesorów, zapominano jednak o tém w obec jego wesołego zawsze humoru i lekkości młodzieńczej. Życie całe poświęcił literackiej pracy, jęto zawdzięcza wysokie stanowisko, jakie zdobył. W młodości był drukarozyktem; prześladowany za czasów restauracyi, opuścił na lat kilka Francyzą i osiadł w Londynie, gdzie dyrygował wydawnictwem klaszyków greckich i łacińskich. Za powrotem do Paryża został sekretarzem sławnego Akademika Jouy. Odtąd pisywał stale do pierwszych przegładów literackich, jak *Revue des deux mondes*, *Re-*

vue Britannique, Revue de Paris i t. p. był niemniej korespondentem w Debatach.

Pozostały po nim liczne dzieła, drukowane między 1847 a 1864 latami; wszystkie świadczą o głębokiej erudycji i dokładnej znajomości literackiego ruchu w świecie. Oto ich tytuły: *Studia nad średniemi wiekami* tom I. *Studia nad wiekiem XVI-tym we Francyi* tom I. *Studia nad Hiszpanią* tom I. *Studia nad rewolucyą angielską z czasów Kromwela* tom I. *Studia nad XVIII-tym wiekiem w Anglii*, II tomy. *Studia nad ludźmi i obyczajami XIX wieku* II tomy. *Studia nad literaturą angielską i obyczajami Anglików w XIX wieku* tom I. *Studia nad literaturą i obyczajami Anglo-Amerykanów w XIX wieku*, II tomy. *Studia nad Shakespearem i Maryą Stuart*, tom I. *Studia nad starożytnemi i nowoczesnemi Niemcami* tom I. *Podróż krytyka przez życie i książki* tom I. *Studia współczesne* tom I. *Pytania czasu i dawne problemata*, tom I.

Syn zmarłego, Emile Chasles, poszedł torem ojca, poświęcając się badaniu literatur zagranicznych. Dzieła jego o Epopejach hiszpańskich i o Cerwantesie odznaczają się głębokim poglądem, a co więcej nowością pomysłów. Jego *narodowa historia literatury francuzkiej*, z której zdawaliśmy obszernie sprawę przed dwoma laty, stawia autora w szeregu pierwszorzędných pisarzy tego wieku.

KORRESPONDENCYA.

Lwów, lipiec 1873 r.

* W prześlicznym obrazku dramatycznym Kornel Ujejski dał ziemi polskiej nazwę „zawodną.“ Taki epitet szczególnie przypada do ziemi galicyjskiej. Przy niezmiernych bogactwach, jakie przyroda złożyła w jej łonie, ze zdziwieniem spostrzega wędrowiec na każdym prawie kroku oznaki ubóstwa, a nader mało objawów zamożności. Szczególnie rok bieżący wypadł niepomyślnie dla Galicyi. Skutkiem zeszłorocznego nieurodzaju, ludność wsi górskich cierpi głód, który sprowadza cholera, a klasy zamożniejsze zostały dotknięte skutkami wiedeńskiego „krachu“ (bankructwa). Do najdotkliwszych ciosów należy bankructwo węgierskiej drogi żelaznej Wschodniej (Ostbahn). Gdy akcyonaryusze tej kolei zebrali się na naradę z powodu zawieszenia wypłaty kuponu lipcowego, pokazało się że Galicya posiada takich akcyj za 10,000,000 złr. i że ta ogromna summa składa się przeważnie z małych kapitalików. Stusznie też wszystkie gazety z goryczą wyrzacały swoim spółobywatelom, że tak skwa-

pliwie popierają obce hazardowne przedsiębiorstwa, unikając najpewniejszych i najkorzystniejszych przedsiębiorstw krajowych. W istocie, nie tylko nie udawały się dotychczas żadne większe stowarzyszenia przemysłowe w Galicyi, ale nikt nie pomyśli nawet o należytym urządzeniu kąpeli mineralnych w Iwoniczu, Rabce, Krynicy, które według mniemania lekarzy rychło przyciągnęłyby pacjentów z Kreutznach, Ems i innych najznakomitszych miejscowości Europy.

Wiele zapewne przyczyn składało się na urobienie téj niezarażoności, téj nieufności i niechęci do wszystkiego co swoje, téj chętki do spekulacyj pieniężnych giełdowych, która odwraca uwagę od istotnych źródeł zamożności. Nie małą atoli rolę odegrywa tu wpływ Wiednia z jego Schwindler'ami i Gründer'ami, umiejacymi wyborynie wyzyskiwać łatwowierność ludzką powabem zysków bajecznych, a łatwo niby zdobywanych. Gorzkie ztąd rosną owoce nietylko dla kieszeni, ale nawet dla moralności i obyczajów. Poziom rzetelności zniżył się o tyle, że ludzie najpoważniejsi, powszechnym szacunkiem otaczani, nie dotrzymują umów, jeżeli te nie były zeznane przed notaryuszem; ratują osobiste swe mienie kosztem ruiny powszechnéj, pociągają powierzone sobie kapitałiki w odmet szachrajstw giełdowych. A nikt się tém nie gorszy, każdy ma słowa usprawiedliwienia na ustach, chociażby sprawa oparła się aż o sądy karne.

Największą atoli stratą, jaką zdaniem naszém poniosła Galicya, jest rozprzężenie życia rodzinnego i utrata towarzyskości. Lwów np. ze swą stutysięczną ludnością nie może iść w parze nietylko z Wiedniem, Berlinem, ale i z Warszawą, a jednak Lwowianie pędzą życie w cukierniach, piwiarniach, lub w najlepszym razie na zabawach publicznych. Przyjęcie gościa w domu jest rzeczą nader wyjątkową. Jeżeli w domu są panny, już tam młodzieniec wejść nie śmie, bo przy drugiej wizycie zapytają go, w jakim przychodzi zamiarze? Jeżeli ktoś chce widzieć głowę rodziny, niech się nie kusi pukać do drzwi pomieszkania, boby mógł zastać gospodarza chyba przy obiedzie; ale niech się dowie, o której godzinie bywa taki a taki u Kosteckiego, lub Grosa (cukiernie) na kawie. Fenomenowi tego nie umiemy wytłumaczyć sobie ani pracowitością, bo na każdym kroku dają się słyszeć utyskiwania na niedbalstwo; ani ubóstwem, bo przysmaki cukiernicze lub knajpowe nie są bynajmniej tanie: godzilibyśmy się raczej na takie tłumaczenie, że dawna gościnność i towarzyskość słowiańska zaginęła pod wszechogarniającym niegdyś wpływem niemczyzny. Jakiegokolwiek zresztą działały tutaj przyczyny, niemniej zawsze smutnym i groźnym pozostanie sam fakt społeczny. Ani posunięta znacznie emancypacya kobiet, ani ofiarność i poświęcenie szlachečných jednostek (dawniej Stanisława hr. Skarbka i hr. Ossolińskiego, dziś pp. hr. Dzieduszyckiego, Młockiego, Żółtowskiego i innych) nie wynagrodzą szkody wyrządzonej społeczeństwu przez zagaszenie tego ogniska domowego, które tyle dobroczynnego ciepła roztaacza naokół, którego pozazdrościłby nam mogli Niemcy i Francuzi.

W tém smutném zjawisku leży zdaje się główna przyczyna rozproszenia powszechnego, sytkości całego społeczeństwa, jeżeli wolno użyć takiego wyrażenia; chłodu, zawiści i nienawiści zawziętych, które ukazują się na powierzchni życia publicznego. Posiedzenia władz zbiorowych rzadko się udają, ponieważ nie łatwo jest zebrać komplet statutami wymagany; stowarzyszenia rozpadają się i marnieją, najpoważniejsze interesa bywają zaniedbywane, najpilniejsze sprawy idą w odwłokę. Obecnie prawdziwą żywotność objawiają tylko dwie instytucje: Stowarzyszenie ofycjalistów prywatnych i Towarzystwo pedagogiczne. Szczególnie to ostatnie krząta się z wielką gorliwością około najważniejszej sprawy wychowania, zdobyło sobie już znaczny wpływ moralny i potrafi zapewne ukształcić nowe pokolenie na lepszych obywateli, niż ci, jakich obecnie Galicya posiada. O tém Towarzystwie pomówimy obszerniej.

Towarzystwo Pedagogiczne założoném zostało w 1866 r. i liczy dziś przeszło 2000 członków według rachunku opartego na teoryi prawdopodobieństw (rachunku dokładnego nie był w stanie ułożyć nawet energiczny zarząd główny w sprawozdaniu roczném, ponieważ nie otrzymał wykazów statystycznych od kilkunastu zarządów oddziałowych). Pewna liczba członków jest wymagana do utworzenia oddziału w jakimkolwiek mieście obwodowém lub powiatowém, posiadającym szkoły; statuta oddziału muszą być przez Namiestnictwo zatwierdzone. Taki oddział jest teraz 38, prócz 14 pomniejszych „kółek pedagogicznych.“ Członkowie uiszczają na rzecz funduszw obrotowego i żelaznego rocznie po 2 zł. w austr.; nauczyciele zaś ludowi płacą tylko po 50 centów (pół złr., czyli 30 kop.). Powstaje z tych źródeł skromny kapitalik (w roku ubiegłym) 4346 złr. 89 krajcarów, którym jeduak zarząd główny i niektóre oddziałowe umieją obracać wybornie, oprócz bowiem udzielenia pożyczki prowadzonemu przez Dra. Samolewicza czasopismu pedagogicznemu „Szkola“ w kwocie 300 złr. i wydawnictwu „Biblioteki pedagogiczno-dydaktycznej“ w kwocie 500 złr., utrzymywały cztery szkoły żeńskie, mianowicie: 1) pięcioklasowe gimnazyum żeńskie w Tarnowie; 2) trzech klasowe progimnazyum w Rzeszowie; 3) trzechklasową szkołę wyższą w Stanisławowie i 4) trzechklasową szkołę średnią w Jarosławiu, która w roku bieżącym miała jeszcze dwie klasy, nie posiadała funduszw żadnych i utrzymywała się jedynie ofiarnością nauczycieli szkół publicznych w Jarosławiu. Innym szkołom przychodzą w pomoc funduszami sejm krajowy (w łącznej kwocie 1,800 złr.) i rady miejskie. Zarząd główny wydał swoim nakładem w roku bieżącym sześć rozpraw i atlas geograficzny, zastosowany do ćwiczeń kartograficznych, przez Dra. Bennoniego, część pierwszą (Galicya). P. Bennoni układa swoje mapy według metody indukcyjnej, postępując od miasta rodzinnego do obwodu, prowincyi, postępując stopniowo do państw, części świata, mieszcząc na końcu dopięro obrazy kuli ziemskiej. Udzielono téż 80

złr. jako stypendyum dla jednego z nauczycieli ludowych (p. Wojciechowskiego) celem zwiedzenia wystawy powszechnej w Wiedniu.

Ożywiany gorącą chęcią przysporzenia światła Galicyi, zarząd główny występował chlubnie z inicjatywą w kilku sprawach wielkiej wagi, np. wniósł do sejmu petycją o dozwole nie nauczycielkom ukwalifikowanym udzielania nauki we wszystkich szkołach ludowych mieszanych (żądanie to załatwionem zostało przez nową ustawę szkolną, oraz petycją w sprawie szkół ludowych, która znalazła poparcie w dziennikarstwie, u władz autonomicznych i wszystkich niemal towarzystw). Przyjął też ją sejm krajowy i wydał pamiętną uchwałę o szkołach ludowych, która wyzwoliła nauczycieli elementarnych od ciężkiej zależności od proboszczów i zakreśliła obszerne granice. Uchwała ta otrzymała już obecnie sankcyą monarszą i stała się prawem.

Niemniej ważną stronę działalności Towarzystwa stanowią zgromadzenia oddziałowe miesięczne, z rozprawami treści pedagogicznej, a we Lwowie ze stałemi wykładami dla kobiet. Raz do roku, wnet po zamknięciu kursów szkolnych zbiera się walne zgromadzenie całego Towarzystwa po kolei w rozmaitych miastach, stosownie do zaproszeń nadsyłanych przez rady miejskie. Zwykle zarząd główny wyjednywa u dyrekcji dróg żelaznych obniżenie płacy za bilety jazdy, przygotowuje mieszkania dla przybywających pedagogów, urządza skromne obiady za bardzo niską opłatą karty uczestnictwa. W Galicyi, tak bardzo rozproszonej, tą skromną ucztą i to trzydniowe obradowanie koleżeńskie wywiera wpływ dobroczynny, szczególnie na zbiedzonych nauczycieli ludowych. Powoli wytwarza się niby rodzina nauczycielska, którą przed kilkoma miesiącami zalecał gorącemi słowy b. minister francuzki Jules Simon, gdy przemawiał na zgromadzeniu delegowanych od rozmaitych towarzystw naukowych; nawet stosunek z Rusinami oparty na zasadach zupełnego równouprawnienia, nie pozostawia nic do życzenia pod względem wspólnej życzliwości. W tym roku zresztą walne zgromadzenie (VII) udało się mniej szczęśliwie z powodu figla, spletanego przez radę miejską Krakowa. Ponieważ w październiku przypadała stuletnia rocznica założenia Komisji Edukacyjnej, a w tym miesiącu nauczyciele nie mogliby swych służbowych zatrudnień zawiesić, więc zarząd główny postanowił połączyć ten obchód z walnem zgromadzeniem Towarzystwa pedagogicznego i zaprosił do Krakowa na dzień 17 lipca. Rada miejska przystała, zabrano się do przygotowań, rozesłano druki po wszystkich miastach. Atoli na kilka dni przed datą zjazdu, jakiś gorliwy wielbiciel zakonu Lojoli, wygrzebał z zapomnienia bulę Klemensa XIV, znoszącą zakon Jezuitów, niby w tym samym dniu 17 lipca (właściwa data jest podobno d. 21 czerwca 1773 r. nie możemy w tej chwili sprawdzić dokładnie). Powstał więc popłoch niezmierny, że Towarzystwo pedagogiczne a szczególnie Lwów heretycki, myśli nie o uczeniu Komisji edukacyjnej, ale o manifestacyi przeciwko Jezuitom. Nie pytając o nic, rada miejska wypowiedziała gościnność Zarządowi głównemu pod pozorem, że

w Krakowie wybuchła cholera. Tłumaczenie to nie trafiło nikomu do przekonania, bo prócz kilku luźnych wypadków na Kazimierzu, gród Kraka dotychczas cieszy się pomyślnym stanem sanitarnym, ale pomimo to Towarzystwo znalazło się w wielkim kłopotcie. Z największym pośpiechem wypadło rezesłać nowe zaproszenia na zjazd do Lwowa. Zjazd ten był już mniej liczny niżeli poprzednio, ale do skutku doprowadzonym został.

W sali ratuszowej zgromadziło się około 250 osób z kartami uczestnictwa, publiczność zapełniła galerye. Po zagajeniu odczytano telegramy D-ra Libelta, J. I. Kraszewskiego i innych z przeprosinami, że osobiście przybyć nie mogą. Pan Kraszewski przysłał jednak swoją rozprawę p. t. „Komissya edukacyjna, jój prace i zasługi na polu wychowania publicznego“. Odczytał ją Dr. Bennoni ku wielkiemu zadowoleniu słuchaczy. W jasnych, przejrzystych szkicach autor skreślił cały rozwój wychowania publicznego w Polsce i na tle takim umieścił obraz działalności komissyi edukacyjnej, trudności, jakie pokonywać musiała, i zasług, które zjednały dla prac jój uznanie ludów obcych, a nawet wybrednych pod tym względem Prusaków. Sąd o wszystkich stronnictwach i kierunkach społecznych był nacechowany umiarkowaniem i spokojem, ale w Krakowie może niektóre zdania mogły obrażać ultramontanów, gdyż wpływ Jezuitów na wychowanie w XVII i XVIII wieku, uwydatnił się w wykładzie pana Kraszewskiego w niezbyt pochlebném dla nich świetle. Następnie członek rady szkolnej pan Zygmunt Sawczyński mówił „o zadaniu wychowania publicznego w ogóle, a w szczególności w zastosowaniu do potrzeb naszego narodu“. Nie była to rozprawa systematyczna, ale raczej zbiór licznych uwag o naczelnych kierunkach wychowania. Zdziwiło nas trochę, że szan. prelegent poświęcił bardzo długi ustęp na wygrodenie swój osoby ze wszelkich stosunków z Towarzystwem Pedagogiczném. Jako członek rady szkolnej, która dotychczas nabyła głośniejszą sławę tylko z niestęchaną opieszałością w kierownictwie sprawami wychowania, pan Sawczyński powinienby chyba szukać chluby z udziału w pracach tak gorliwego o oświatę zgromadzenia, jakim jest Towarzystwo Pedagogiczne. Motywował swą excecpcją tém, że nie znając biegu rozpraw, musi za swoje mniemania osobistą przyjmować odpowiedzialność, ale mniemania te, jak nam się zdawało, nie stały w sprzeczności z zasadami Towarzystwa. Po tym wstępie prelegent wszedł już do przedmiotu rozprawy swojej, przemawiał bardzo wymownie, umiał niejednokrotnie chwytać słuchaczy za serce, zdobywać jednomyślne oklaski. Dowodził, że wychowanie nie powinno poprzestać na kształceniu samego umysłu, na zaopatrywaniu ucznia tylko w materiały naukowe, lecz winno téż kształcić serce i wdrażać młodzieńca do cnót. Taka myśl tkwiła w samej nazwie „Komissyi edukacji publicznej“, nazwie tak różnej od nazwy *Unterichts-Ministerium*, *Ministère de l'instruction publique*, która obejmuje samo tylko nauczanie. Jestto zapewne myśl bardzo piękna, ale czy

możliwa do zrealizowania w praktyce? Czy nauczyciel publiczny, lub dyrektor szkoły zdoła, czy znajdzie czas i sposoby do wpajania cnót uczniom, kiedy w godzinach szkolnych zaledwo można się załatwić z wymaganiami naukowości? Trudność tę czuł zapewne sam szan. prelegent, skierował bowiem całą uwagę słuchaczy na znaczenie rodziny w wychowaniu młodzieńca. Z najwyższą sympatyą słuchaliśmy tego ustępu, gdyż pan Sawczyński położył tę rękę na najdotkliwszej ranie społeczeństwa galicyjskiego, które, jakeśmy wyżej zaznaczyli, rozprzęgło do groźnego stopnia węzły rodzinnego życia. Oby gorące słowa mówcy wpłynęły na poprawę złego! Koniec odczytu zawierał protestacyą przeciwko rozpanoszonemu obecnie kierunkowi materialistycznemu, a szczególnie przeciwko zastosowaniom teorii Darwina. I tu wiązała nas z prelegentem sympatya, wynikająca ze wspólności zasadniczych przekonań, a przecież żałowaliśmy mocno, że zbytek naukowy uniósł go poza granice argumentacyi logicznej i godności naukowej. Pomiedzy innymi zarzucał pozytywistom, że zamiast Ukrzyżowanego Chrystusa stawiają przed oczy ludziom teoryę Darwina. Zestawienie to, pomijając już niewłaściwość wyrażenia, obraża logikę, gdyż użyte tutaj pojęcia nie są współrzędne. Dla Darwinistów mała jest protoplastą człowieka, a dla chrześcian protoplastą takim jest Adam, nie Chrystus. Ostatnie nareszcie słowa prelegenta, że dla poprawy wychowania publicznego niezbędną jest poprzednia poprawa społeczeństwa, grzeszą niepraktycznością uogólnienia. Zapewne, lepijby było, żeby społeczeństwo stało się jak najlepszym, jak najszlachetniejszym; ale praktyczny pedagog powinien szukać bliższych i łatwiejszych sposobów do kierowania szkołą, powinien ratować młodzież nawet wśród zepsutego społeczeństwa, nie wkraczając w sferę kaznodziejstwa duchownego, którą zawsze głosi najwyższe zasady moralności dla wielkich tłumów, a nigdy przecie tych tłumów do żądanej przez siebie idealnej doskonałości nie doprowadza. Mówca praktyczny winien rachować się ze wszystkimi wpływami ścierającemi się w życiu, winien przyjmować życie tak, jakim jest ono rzeczywiście, nie zaś jakim być musi; winien zakresłać sobie skromniejsze, ale łatwiejsze do osiągnięcia plany.

Po tém posiedzeniu miał miejsce bankiet, uświetniony licznemi mowami, a szczególnie mową niezrównanej siły, wygłoszoną przez znakomitego poetę Kornela Ujejskiego. Wieczorem urządzono stosowne przedstawienie w teatrze. Zarząd główny ma wydać jeszcze „Księgę pamiątkową“ tój rocznicy.

W piątek i sobotę (dnia 18 i 19 lipca) odbyły się trzy posiedzenia Towarzystwa już czysto pedagogiczne. I tu zaszła nie miła niespodzianka: wszyscy żalowali, że pan Trzaskowski nie przybył i nie odczytał zapowiedzianej rozprawy: „o społeczném stanowisku kobiet.“ Notujemy tu, że na wszystkich posiedzeniach brało udział dosyć liczne grono dam, które należą do członków Towarzystwa i zabierają czasem głos publicznie. Wykładali następnie: Dr. Józef Żuliński „O prak-

tyczném i dydaktyczném znaczeniu nowych miar dziesiętnych“, gdzie prelegent opierając się na ogłoszonej w r. z. rozprawie („O początkowym nauczaniu rachunków“) udzielał rad spółkolegom, jak w najłatwiejszy sposób mają wykladać uczniom wprowadzany obecnie w Austrii system francuzki miar i wag decymalnych; Dr. Bennoni okazał i objaśnił swoje mapy, o których wzmiankowaliśmy wyżej; w końcu przystąpiono do obioru członków zarządu. Wice-prezesem obrany został zasłużony już Towarzystwu Dr. Teofil Gerstmann, na godność prezesa powołano jednomyślnie (oprócz jednego głosu) D-ra Zygmunta Sawczyńskiego, który podziękował wyborcom piękną mową. Żałujemy, żeśmy jęj nie słyszeli; wspomniemy tylko, że wszyscy słuchacze, których mieliśmy sposobność pytać, oddawali jęj największe pochwały. Mamy więc nadzieję, że nowy prezes, ujęty serdeczną życzliwością Towarzystwa, gorliwie będzie używał zdolności swoich na korzyść tegoż Towarzystwa.

T. K.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W czasie ostatniego mojego pobytu za granicą od listopada r. z. do połowy maja r. b. zapisywałem notaty, dotyczące przedmiotów bądź przezemnie już w Bibliotece rozbieranych, bądź z innego względu wzbudzających zajęcie. Za powrotem do domu, przejrawszy te zapiski, część ich przesyłam Redakcyi, dla zamieszczenia, jeśli uzna właściwém, w swém piśmie.

1^o W roku 1870, umieściłem w Bibliotece artykuł o kassach pozyczkowych na wzajemności opartych. Zwróciłem szczególnie uwagę na instytucye powstałe w Niemczech pod natchnieniem Schulze'go z Delitsch. Oddając sprawiedliwość temu, co w nich istotnie za pożyteczne uważać można, w rozbiorze moim starałem się oznaczyć zakres i warunki ich działania i wskazać właściwe ich stanowisko w rozwoju ekonomicznym, wynurzając zdanie, że ważność tych kass, zdaje mi się być przecenioną. To zdanie ściagnęło na mnie grad pocisków. Nie mogąc przy najlepszej chęci odnieść wiele korzyści z uwag moich antagonistów ¹⁾ ciekawy byłem zbadać, jaki też jest po upływie lat kilku, stan opinii w samych Niemczech, co do kass Schulze'go z Delitsch? Przeświadczyłem się, że w ogóle mniej o nich piszą niż dawniej. Najzapaleńsi dawniej wielbiciele jakoś ochłodli i nie przyznają już kassom Delitzewskim tęg doniosłości co wprzódy. Oto np. co pisze Held, jeden z koryfeuszów tak zwanych socyalistów z katedry, w dziele wydaném

¹⁾ Natomiast wiele skorzystałem z Adama Smitha księgi V, rozdziału 1go, gdzie mówi o spółkach i 14go odczytu P. Schaeffe w znakomitým dziele Kapitalismus und Socialismus, gdzie porównywa z sobą różne formy spółek.

w r. b.: „Die deutsche Arbeiter presse der Gegenwart (Lipsk u Dunckera i Humblota) str. 180.

„Pod względem kwestyi robotników fakta usunęły na drugi plan całkowity kierunek Deliczowski. Pisząc w roku 1869, nie pojąłem że w chwili, obecnej daleko donioślejsze stosunkowo znaczenie, mają zjednoczenia rzemiosłowe“¹⁾.

Przywodząc te słowa p. Held, jako skazówkę zwrotu opinii, lękam się czy p. Held nie dozna takiego samego zawodu na zjednoczeniach rzemiosłowych, jaki go spotkał na kassach Deliczowskich. I jedne i drugie przecież, postawione w właściwych sobie warunkach mogą być bardzo pożyteczne.

2^o Kwestya podatku dochodowego jest niezaprzeczenie jedną z najważniejszych kwestyj, rozbieżnych obecnie na polu finansowem. W naszym piśmiennictwie wyszło, jak wiadomo, w tym przedmiocie dwutomowe dzieło p. Bilińskiego, owoc pracy usilnej, ale nienacelowanej samoistnym poglądem i nie dość uwzględniającej stan nauki po za obrębem Niemiec. Zamieściłem w Bibliotece rozbiór tego dzieła w roku 1871. W moim rozbiórze zapatrywałem się na podatek dochodowy, jako na anomalię w dzisiejszym systemacie podatkovania, jako na środek nadzwyczajny, bo dotykający tylko pewnych klas społeczeństwa i dla tych klas nader uciążliwy; uważałem ten podatek za dobrowolną niemal składkę klas wyższych, na pokrycie deficytów budżetowych. Jakoż dochód roczny pojedynczego człowieka, jest faktem niedającym się ściśle skontrolować. Zarząd Skarbowy musi pod tym względem, po większej części, polegać albo na zeznaniach samych interesantów, nie zawsze z rzeczywistością zgodnych, a bardzo pobieżnie tylko rozpatrywanych, albo na ogólnych normach, nieroszczących nawet pretensyi, do jakiejś takiej dokładności. Natomiast źródła dochodu, mogące być skontrolowanemi, są przeciążone podatkiem dochodowym.

Przeciwnie P. Biliński (T I. s. 140) uważa podatek dochodowy angielski za przedmiot podziwu u stałego lądu i sam, jak dodaje, podziela w znacznej części to uczucie. Twierdzi on, że kraj (Anglia) tak już wciągnął się w te nowe tory, że podatek do niedawna tyle znieawidzony dziś posiada już niemal prawo obywatelstwa, otrząślszy się ze znaczenia nadzwyczajnego środka.

Obaczmy jak się ten przedmiot przedstawia w obec faktów bieżących i opinij celniejszych finansistów.

W samej Anglii widzimy w d. 13 grudnia 1872 mityng w Guildhall pod prezydencją Lorda Majora Londynu, zwołany w celu urzędze-

¹⁾ Die Thatsachen haben was die eigentliche Arbeiterfrage betrifft die genossenschaftliche Richtung mehr in den Hintergrund gedrängt. . . Im Jahre 1869, die fuer die Gegenwart verhältniss massig viel grossere Bedeutung der Gewerkvereine hatte ich nicht erkannt.

nia agitacyi przeciwko podatkowi dochodowemu. W Mityngu tym biorą udział ludzie poważni jak p. Massey b. minister skarbu Indyj Angielskich, dziś deputowany z Tiverton. Lord John Russell listownie łączy się z celem mityngu. Pisma publiczne zaczynają się zajmować agitacją przeciwko podatkowi dochodowemu. Jeżeli niektóre z nich (*Spectator*, *Saturday Review*) oświadczają się przeciw agitacyi, to wiemy że prasa angielska niełatwo łączy się z żądaniem jakichbądź zmian finansowych i stara się najprzód zbadać opinię, jak najmniej narzucając téjże swe zdanie. Lecz agitacya pomimo to nie ustaje; jeżeli odrazu celu swego nie osiąga, nie pozostaje téż bez skutku. Na rok 1873, stopa podatku dochodowego, zmieniająca się corocznie ¹⁾, zniżoną zostaje do trzech pensów od 1 £ dochodu, czyli wynosi prawie tylko 1¼ od sta dochodu. Przypomniawszy sobie że podatek dochodowy przy wprowadzeniu go nanowo w roku 1842, pobierany był na stopę 7 pensów od 1 £, porównywając tę stopę z dzisiejszą, więcej niż o połowę niższą, zgodzimy się może na wniosek, że środek ten finansowy w samej Anglii raczej traci niż zyskuje na swojej ważności. W obec nieprzychylnéj mu opinii klas nim dotkniętych i powszechnie uznanéj jego uciążliwości, utrzymać się może tylko w małym rozmiarze i to raczej ze względów postronnych, niż ze względów finansowych.

Obebną pomyślność swoich finansów, pomimo znacznego wynagrodzenia przyznanego Ameryce od Anglii przez sąd polubowny w Genewie zasiadający, Anglia zawdzięcza głównie zwiększeniu się wydajności podatków konsumcyjnych. Pijąc, wybrnęliśmy z Amerykańskich zawiązków, pisze *Times* (artykuł, *Revenue from Drink*, w *Galignani's Messenger* 23 marca 1873. *We have drunk ourselves out of the American difficulty*) i wskazuje na wzrost akcyzy wciąga lat 4 z 20 na 26½ milionów funtów, na cyfry przywozu w latach 1862 i 1872, wina 92378 i 159,188 wielkich oxeftów (*pipes*); wódki zagranicznéj 15000 i 34302 mniejszych oxeftów (*puncheons*).

Tak więc w Anglii do wzrostu dochodów skarbowych, przykładą się głównie elastyczność spożycia; nie zdołauoby nigdy tego źródła zastąpić przez podatek dochodowy. Już przed kilkunastu laty zwrócił na to

¹⁾ P. Biliński l. c. pisząc w r. 1870, przywiódł że stopa podatku dochodowego od r. 1866 wynosi 4 pensy od 1 £. Wszakże zmiany téj stopy były następné.

rok 1867	—	4 pensy
„ 68	—	5 „
„ 69	—	6 „
„ 70	—	5 „
„ 71	—	6 „
„ 72	—	4 „
„ 73	—	3 „

uwagę znany finansista belgijski, dawny minister skarbu p. Frère Orban (mowa z d. 7 czerwca 1860 r.).

„Łatwo, mówi on, zestawiać cyfry; łatwo mówić o zastąpieniu podatków niestałych podatkiem stałym. Odezwno się nawet o podatku dochodowym angielskim, jako o ideale podatkowym, o najsprawiedliwszym, najprzyjemniejszym, najwięcej ojcowskim z podatków. Są to dziwaczne złudzenia. Podatek dochodowy zawsze był uważany za najnieznośniejszy z podatków. Uciekano się do niego tylko w ograniczonej mierze, w razie konieczności, w czasie wojny lub deficytn. Wyobrażają sobie, że podatek dochodowy, dałby wielki dochód skarbowi. Dwie cyfry rozproszą to złudzenie. Budżet dochodów Wielkiej Brytanii na rok 1859, wynosił 1,651,761,000 frcs. Wicież w jakiej summie podatek dochodowy do tej cyfry się przyczyniał? Tylko w 151 milionach“¹⁾.

Nie ma dwóch zdań, co do uciążliwości podatku dochodowego. P. Gladstone w mowie swojej z d. 15 kwietnia 1861 r. powiada:

„Muszę wyznać że to jest uciążliwy podatek. Chciałbym być tym człowiekiem, który będzie w stanie znieść podatek dochodowy... Gdyby—mówi dalej—kraj zgodził się na to, żeby być rządzonej kosztem 60—62 nawet 64 milionów £., nie widzę żadnego powodu dla którego nie mógłby być rządzone bez podatku dochodowego“. Budżety wynoszące 70—75 mil. £. czynią przecież podatek dochodowy niedozownym.

Widzimy ze zdaniem samego pana Gladstone podatek dochodowy jest tak uciążliwy, iż tylko niedostateczność wszelkich innych opłat dla pokrycia nadmiernych wydatków usprawiedliwić może użycie tego środka finansowego.

Dość znany w Londynie pan Cortazzi przeciwnik szkoły Manchesterskiej w pisemku wydaném w roku 1870 p. t. *The political Economy and the politics of the Manchester School*, przypisuje szkole Manchesterskiej propagandę zasady stałego podatkovania, dodając: „Podatek niestały zaledwie daje się uczuć. Nie waham się twierdzić że podatek dochodowy więcej psuje krwi i dotkliwiej uciąża konybuentów, niż różne inne podatki razem wzięte, i że niepopularność jego wzrasta, im mniejszym jest dochód, od którego się pobiera podatek, im liczniejsi są podatkujący“.

Pomimo nadzwyczajnych potrzeb skarbu, Francya dotąd uniknęła podatku dochodowego, zalecanego tam głównie przez krańcowe stronictwo. W *Revue des deux mondes* Nrze. z 15 stycznia r. b. pan Victor Bonnet zamieścił artykuł pod napisem: *L'impôt progressif et l'impôt proportionnel. Les taxes indirectes*, z którego przytaczam następujące zdania:

¹⁾ Podatek dochodowy przyniósł w tym roku 165 mil. fr.

„Jeżeli zasady podatkowania bywają tak często poddawane dyskussyi, to dlatego że idee nie są dość jasne w tym przedmiocie. Niema dotąd zgody co do punktów kardynalnych, ani co do wyboru między podatkami stałemi i niestałemi, ani co do dochodów lub przedmiotów przed innemi uleż winnych opodatkowaniu, ani co do ważnej kwestyi podatku stosunkowego lub rosnącego“ (str. 378). Pan Bonnet przeciwny jest systematowi jedynego podatku, dla niemożności kontroli i z tego jeszcze powodu, że taki podatek z konieczności byłby wysokim, odstępowałby od oszczędności i tamował produkcją (str. 387).

„Powiedziano—mówi on—że wielorakie podatki dla tego wymyślone zostały (zamiast jednego) aby ciężar ich nieznacznym uczynić i łatwiej móż je zwiększyć. Być to może. Lecz to dowodzi jedynie że udało się w ten sposób uczynić podatki mniej dotkliwemi. Uczynić je zaś mniej dotkliwemi jestto zaoszczędzić siły produkcyjne kraju“ (str. 388).

Pan Bonnet zgadza się z Thiersem w twierdzeniu, że podatek spada ostatecznie zawsze na konsumentów. Jest zdania, że podatki niestałe wpływają na podniesienie zarobków; że zniesienie tych podatków nie zawsze idzie na korzyść klas najliczniejszych. Mięso rzeźne, mówi on, płaciło w Paryżu 10 cts. od kilograma. W roku 1848 zniesiono tę opłatę. Przywrócono ją przecież gdy okazało się, że na zniesieniu podatku skorzystali tylko rzeźnicy (str. 390).

W końcu pan Bonnet oświadcza się za umiarkowanym podatkiem dochodowym (str. 391); czemu w pewnych razach i my nie jesteśmy przeciwni.

Uchroniła się równie od podatku dochodowego Belgia.

W Prusach gdzie istniał dla mniejszych dochodów podatek klasyczny, dla wyższych dochodowy, zlane te podatki w jeden dochodowy uwalniając od podatku najuboższe klasy ludności i znosząc istniejące w niektórych miastach opłaty skarbowe od rzezi i mléwa. Nie tyle wpłynęły na tę zmianę teoretyczne względy, co prosta niemożność. Doszło bowiem do tego, że w roku 1871 aby ściągnąć podatek od najuboższej klasy (poddział I lit. a) potrzeba było wystosować 501,952 egzekucyi, z których 361,901 spełzło bezowocnie. Jestto nowym dowodem, że podatek dochodowy nie może być ogólnym; z tego już względu tylko jako pomocniczy środek finansowy, w bardzo umiarkowanym rozmiarze, zastosowanym być może.

Gdzie ostatni ten wzgląd pominięto, jak w Austrii i we Włoszech, dochód osiągnięty obok niesłychanej uciążliwości podatku nie zostawałby w odpowiednim stosunku do zamożności kraju i potrzeb skarbu, gdyby nie opodatkowano najłatwiej ulegającego kontroli przychodu od długu publicznego, t. j. gdyby nie ogłoszono częściowego bankructwa. O ile na tém kredyt państwa wygrywa, nad tém, zdaje się, rozwodzić się nie potrzeba: rzut oka na cenniki giełdowe wystarczy.

W numerach za październik i grudzień 1872 r., czasopisma genewskiego, „*Bibliothèque universelle*“, pan Hudry Menos zamieścił pracę

swoją o finansach włoskich za lata od 1860—1872 (*Douze ans des Finances Italiennes*). Według tego artykułu, podatek dochodowy nałożony zastał we Włoszech prawem z roku 1861 na dochód od majątku ruchomego (*ricchezza mobile*) według stopy najprzód 8%, obecnie 12% a w niektórych kategoriach 13,20 za %. Wydajność tego podatku z początku (w r. 1862) była nieznaczna: skarb osiągnął tylko 14 mill. franków. Skutkiem wzrostu zamożności, ściślejszej kontroli, zwiększenia się rozległości kraju i podniesienia stopy podatkowej, wydajność wzrastała. Wszakże dopiero, gdy jednocześnie z zaprowadzeniem podatku od młówa, dotyczącego głównie klasy uboższe, opodatkowano i przychód od długu rządowego, od roku 1869 podatek przeszedł cyfrę 100 millionów franków; w roku 1871 wyniósł 156 millionów, i w tej wysokości wszedł na rok 1872 do zamierzenia budżetowego.

3^o W numerze listopadowym Biblioteki Warszawskiej na rok 1872 zamieściłem recenzję *Ekonomisty*, w której rozbieierałem między innymi twierdzenie kilkokrotnie w tém czasopiśmie występujące: że banki warszawskie odstąpiły od powszechnie, jakoby przez wielkie banki zagraniczne przyjętej zasady pobierania równocześnie jednakowej dla wszystkich stopy dyskontu. Przywołem przeciwną twierdzeniom *Ekonomisty* praktykę banku angielskiego, który ogłaszając stopę dyskontu, uważa ją tylko za minimum a nie za stałą i dla wszystkich jednakową stopę. W udowodnieniu powołałem się na artykuł *Quarterly Review* w styczniowym Nrze. 1872 r. zamieszczony. Nie mając przecież wówczas tego artykułu pod ręką, nie przywołem własnych słów poważnego organu. Ograniczyłem się na podaniu wniosku do którego doszedł Kwartalnik i faktu który był tego wniosku podstawą. Dało to powód *Ekonomiście* do twierdzenia (Nr. listopadowy z roku 1872 str. 872), że przytoczony (przezemnie) artykuł *Quarterly Review* dowodzi tylko że bank angielski wskutek wyjątkowych okoliczności spowodowanych następstwem wojny francuzko-niemieckiej, chwilowo odstąpił od reguły (równoczesnej jednostajności stopy skupu wekslowego) za co go téż gromi kwartalnik angielski“. Całe to objaśnienie *Ekonomisty* jest jak mówią z palca wysrane. Pisząc na domysł można się łatwo z prawdą rozminąć.

Artykuł kwartalnika angielskiego p. t. Bank angielski i targ pieniężny (*the Bank of England und the money market*), nr. styczniowy 1872 r. str. 114—125, co do naszej kwestyi, w wierném i ile można dosłowném tłumaczeniu opiewa, str. 124.

„Przypuszczać, że jakabądź stopa minimalna (*any minimum rate*) ogłoszona w pewnych dniach i często niezmienniana przez całe miesiące może dokładnie wskazywać cenę najwrażliwszego z towarów, kapitału ruchomego szukającego w Londynie umieszczenia w dyskoncie, jest tak niedorzeczném że nie ulega dyskusyi. Stopa dyskontu zmienia się z dnia na dzień i z godziny w godzinę. Cała ta kwestya byłaby wielce

uproszczoną, gdyby Bank angielski zastosował się do praktyki innych spółzawodniczących z nim banków, wielkich i małych, i zaniechał zwyczaj (ogłaszania stopy dyskontu), który powstał przypadkowo i utrzymuje się dlatego tylko że się zamienił w tradycję. Porzucmy formułę ogłaszania stopy dyskontu. Targ publiczny londyński stał się dziś o tyle potężniejszym od Bnaku angielskiego, z wyjątkiem chwil przesilenia, że tylko w błąd się wprowadza, gdy Bank angielski daje sobie pozór, że stanowi o tém (o stopie dyskontu) co nawet kontroli jego nie ulega. Gdyby formuła ogłaszania stopy minimalnej została porzuconą, bankierowie i dyskonterzy stanowiliby od czasu do czasu stopę jaka ma być dawana (od depozytów), aż do dalszego zawiadomienia, i ta tabelka byłaby stanowczą co do wszystkich kwestyi dziś rozstrzyganych na podstawie stopy urzędowej dyskontu.“

Niéma tu jak widzimy mowy o wojnie francuzko-niemieckiej i jej następstwach, nie gromi Kwartalnik Banku za to że odstąpił od mniejszej reguły; lecz przeciwnie Kwartalnik uważa że ogłaszanie stopy dyskontu przez Bank angielski jest wyjątkiem w Anglii temu tylko bankowi właściwym, i że ogłaszanie to zaniechane być winno z powodu chwiania się co chwila stopy dyskontu, którą unieruchomić nikt niéma w swój mocy.

Stopa dyskontu ogłaszana przez Bank angielski, w piśmiennictwie ekonomiczném angielskiém zwie się powszechnie stopą minimalną (minimum rate) i nikt jeszcze dotąd téj stopy nie uważał za stałą i jednakową równocześnie dla wszystkich.

Szczerze żałuję, że redakcyja Ekonomisty, której gorliwości i zalet nie odmawiam, chcąc się w potknięciu poprawić, wyrzuciła na wznak koziołka.

4^o W powrociez Włochskierowałem drogę na Zagrzeb i Peszt, miasta których dotąd nie znałem. Peszt i Agram (Zagrzeb), dwa te słowa przywykliśmy jakoś jednym tchem wymawiać. W rzeczywistości wygląda to jak gdybyśmy obok wolu wymienili żabę. Zagrzeb jestto sobie małe prowincjonalne miasto. Peszt wspaniała stolica wielkiego kraju. W części swojej nad Dunajem idzie o lepsze z nową częścią Wiednia, tak zwanym Ryngiem. Naddunajska część Pesztu dorównywa Ryngowi okazałością, ustępuje mu co do obszaru, przewyższa go położeniem. Wszystko w tém mieście nosi na sobie cechę siły, od szerokich jak wygon ulic, tak charakterystycznych dla stolicy stepowych równin, do potężnej rzeki i wspaniałych gmachów publicznych i prywatnych. Jeśli niektóre dykasterye jak np. poczta, mieszczą się jeszcze w starych i niepokąźnych budowlach, poczekajcie trochę, Węgrzy i temu poradzą.

W jednym tylko względzie Peszt ustępuje Zagrzebiowi. Peszt niéma katedry; kościoły w nim małe i nieszczególnie, budowane w czasach kiedy Peszt nie był tém, czém jest dzisiaj. Przeciwnie w Zagrzebiu wspaniała katedra jest cennym zabytkiem gotycyzmu. Umieszczona w obwiedzionym murem i wieżycami obronnym czworogranie, przywodzi

na pamięć czasy najazdów, przeciw którym doraźną przynajmniej obronę obmyśleć potrzeba było.

PP. kanonik Racki, prezes akademii południowo-słowiańskiej, Lubicz, Bruzyna, Pilar, urzędnicy muzeum przyjęli mnie uprzejmie i życzliwie. Są to ludzie ukształceni, zdolni i pracowici, ale... takich jak oni mało jest w Zagrzebiu. Ogólna fizyognomia życia miejskiego każe stolicę Kroacyi uważać za kolonię Wiednia. Znając jak mały wpływ to ostatnie miasto na nas (i na północne Niemcy) wywiéra, zbyt nisko może oceniałem wpływ jego na inne strony i zdziwiłem się zastawszy taki stan rzeczy jaki znalazłem. Wpływ Wiednia wyraźny jest i w Peszcie, jednakże większa tu samoistość i nawet mówiący po niemiecku czują się w tém mieście madziarami. Nie wiem czy coś podobnego dałoby się powiedzieć o stolicy Kroacyi.

W muzeum zagrzebskiem dwa szczególnie działy zwracają uwagę, zbiór numizmatyczny do 80,000 sztuk liczący po większej części monet starożytnych, znalezionych w kraju, niegdyś rzymskiemu władztwu ulegającym i zbiór malakologiczny t. j. muszli, szczególnie dalmackich. Zagrzeb stara się zjednoczyć w swém muzeum dalmackie osobliwości, uważając Dalmacyę za nierozdzielną od Kroacyi i Sławonii. Są i inne ciekawości dalmackie. P. Lubicz okazywał mi architraw znaleziony w Dalmacyi w r. 1872, z nazwiskiem Branimira (księcia) z datą 888 r. po Chrystusie, indukcyi 5-tój. Pamiątek sztuki starożytnej nie wiele. Z posągów tylko Apollo gdzieś w gruncie odgrzebany.

Za rzymskich czasów głównymi w tych okolicach punktami były, jak mnie objaśniono, Sissek (Siscia) i Mitrowic. Z łazien (termów) w Syssek jest w muzeum gruba rura ołowiana.

F. Z.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Życie, zdrowie, choroba, leczenie przez Dra Schultz-Szultzenstein prof. zwyczajnego na uniwersytecie Berlińskim (Leben, Gesundheit, Krankheit, Heilung etc. Basel, Richter str. 496 in 8-vo maj. Wyd. 2-gie).

Niedawno słyszałem od pewnego lekarza młodszej generacyi skargi na teraźniejszy kierunek medycyny, że wśród mnóstwa badań mikroskopijnych, wśród licznych teoryj, nauka społeczna (np. znako-

mity Dr. Szkoda) szerzy wciąż zwątpienie, traktuje pacyenta jako przedmiot doświadczeń i prób, czyni praktykującego lekarza prawie bezbronnym w walce z chorobą. Też same zdania znajdujemy w dziele berlińskiego profesora ¹⁾, który wzięwszy pod rozbiór kwestyą „dobrobytu człowieka“ w obszernym zakresie stosunków nietylko materialnych ale i moralnych, protestuje szczególnie przeciwko zbyt szeroko rozpostartemu obecnie panowaniu nauk przyrodniczych i przeciwko zwichnieniu fizyologii. „W dzisiejszej fizyologii znajdujemy zamiast nauki o życiu mechanikę, fizykę i chemią, a w chemii wykładaną bywa fizyologia. W botanice znajdujemy arytmetykę i geometryę z zapomnieniem o funkcjach życiowych rośliny, w fizyologii nerwów spotykamy się z mechaniką analityczną, w fizyologii mięśni z fizyczną atomistyką, w dyagnostyce chorób z fizyczną akustyką i mechaniką; wykłada się tu historia naturalna i zamiast doświadczeń fizyologicznych, podają się sztuki kuglarskie z fizyki. Fizyczna teoria komórek opanowała wszystkie gałęzie medycyny od anatomii aż do terapii; wszystko jest nauką o komórkach, bez najmniejszego odróżniania w zasadzie klatek pszczelnych, cel klasztornych i więziennych, komórek kolloidum i łupiny jajka od żyjących komórek w roślinie, zwierzęciu, człowieku.“ Autor, krytykując systematy tak materialistów, jak idealistów, usiłuje oprócz medycynę na idei życia jednostki, podaje teorię „odmładzania“ czyli anabiotyczną i rozciąga ją nietylko do fizyologii, lecz i do moralności. W tym celu przywraca pojęcie życia, stłumił one a nawet całkiem zatracone przez teorie kosmologiczno-fizyczne Humboldta, Herszla, Oerstedt'a, Liebiga, odmawia im powabu nowości nietylko w porównaniu z filozofami w starożytności, ale nawet z pisarzami wieku reformacyi i nadaje dzisiejszej fizyologii miano jatrofizyki, jatrochemii, jatromechaniki, jatomatematyki, chemiatryki, powtarzając wyrazy i pojęcia Belliniego, Bernoulli, Kartezyjusza, Harwey'a, Hallera etc, które ostatecznie skupiły się w wyrazie francuzkim: l'homme-machine. „Że człowiek żyć nie może bez jedzenia i picia, więc fizyologowie kosmologiczni biorą to za podstawę do wniosku, że samo życie zawiera się w jedzeniu i picciu, że człowiek nie jest niczém inném, jak tylko produktem przetworzeń jadła i napojów, czyli, jak powiada Liebig, stosunków zewnętrznych; dziecię jest przerobioném mlekiem, cielę i owca przerobioną trawą, człowiek przetworzoném cielęcim“ (str. 10). „Nazywają téż człowieka biegającym młynem wietrznym, skaczącą żabę zegarkiem repetyerem, rybę diabełkiem kartezyjańskim; konia lokomotywą, kurę dwunożnym biegającym piecem; mózg telegrafem elektrycznym; serce pompą, nerki rzeszotem; to samo powiadano za czasów Belliniego,

¹⁾ Wykłada całkowitą fizyologią człowieka łącznie z doświadczeniami i mikroskopijnymi obserwacyami w obserwatoryum organiczném.

Hales'a, Boerhave" (str. 12). Odrzuca też teorią niustannego kołowania materyi, z którego to kołowania mają występować zarówno istoty żyjące i przedmioty martwe. Przy takich pojęciach medycyna nie ma nic do czynienia, bo czyż warto wysilać się na ratowanie chorego, jeżeli cała jego istota zmieni tylko formę, ale nie opuści ziemi; żąda więc utrzymania najściślejszej granicy pomiędzy państwem życia i państwem śmierci, a walkę ze śmiercią uważa za naczelną obowiązek i najwyższą zasadę tak dla medycyny, jak dla moralności. Choroba jest zatamowaniem procesu odmładzania się, w jakimkolwiek organie ciała; występki i wada moralna, jest chorobą lub kalectwem ducha. Moralność zależy na dwóch zasadach: prawdy i wolności; występki też dzielą się na dwie klasy: spaczenie poznania i spaczenie woli. Powstrzymujemy się od sądu, o ile krytyka systematów idealnych i materyalistycznych powiodła się autorowi, o ile proponowane przez niego środki zaradcze mogą być skutecznymi, zaznaczymy tylko dwa ustępy. Jeden z nich zasługuje na pilną uwagę prawników, gdyż autor, na podstawie dostarczonych mu przez Rudorffa, Barona i Homeyera informacyj, zbija określenie obłąkania podług prawa rzymskiego i podług Landrecht'u pruskiego. Dowodzi, że mylną jest nazwa chorób „duchowych“, gdyż duch pozostaje zdrowym, cierpią zaś tylko pewne zmysły. Podaje więc takie określenie: „Obłąkane są takie osoby, które nie mają zdrowych zmysłów t. j. które w stanie czuwania, z powodu chorobliwej percepcyi swych organów zmysłowych, pojmują swe otoczenie nienormalnie, lecz ułudnie; skutkiem czego nie są w stanie sądzić trafnie o rzeczach i nie są panami siebie samych“ (143—162). Żeby jednak wyrozumieć należyście takie określenie, potrzeba rozważyć poprzedni ustęp (str. 101—143), obejmujący teorią percepcyi zmysłowej, i zasługujący na uwagę filozofów i psychologów. Zjawiska fizyologiczne (czucia przedwrażenne, jak np. szum w uszach, smak na języku etc., czucia po dawniejszych wrażeniach, majaki, sny, obrazy potworne, idiosynkrazye) uważa autor za czucia samorodne (Selbstempfindung), w żywych organach istniejące, odnawiające się, rosnące bez wrażeń; same zaś wrażenia zmysłowe odtwarzają się przez czucie samorodne, lecz nie są istotną, wewnętrzną ich przyczyną. Wszystkie percepcye świata zewnętrznego (die Weltempfindung) są nagromadzeniem poczuć, doznanych pod wpływem wrażeń i przechowanych w układzie nerwowym. Nerwy zaś są to niby żołądki dla wrażeń: doznają głodu, przesyty, żywią się wrażeniami, przerabiają te wrażenia na obrazy żywe fizyologiczne, jak przyrząd trawienia przerabia jadło na krew, oczyszczają się i zużywają. O tyle też tylko działać mogą nerwy, o ile zdołają, przyjąc i przetrwać wrażenie zewnętrzno-fizyczne: zbyt silny łoskot uczyni ucho na zawsze głuchem, zbyt silny blask zabije całkiem zmysł wzroku. A więc świat zewnętrzny ukazuje się człowiekowi, jako przerodzony w nim samym“. Pomiędzy obrazami fizycznymi z jednej strony, a żywymi czuciami samorodnymi, przedwrażennymi lub powrażennymi,

zachodzi ta pozytywna, faktyczna różnica, że pierwsze pozostają zawsze jednakowe, niezienne, posągowe, martwe, gdy ostatnie żyją, rosną, przeobrażają się w sposób rozmaity wewnątrz organu zmysłowego poruszać się mogą. Od świata zewnętrznego dążą uczucia do organu środkowego czyli mózgu i napowrót od mózgu idą ku światu zewnętrznemu. Ale po nad mechanizmem zmysłowego uczucia, jest jeszcze osobna potęga: duch czyli dusza, wchodząca w stosunki ze światem za pomocą zmysłów, które częstokroć dostarczają jej fałszywych informacji, ale niepodległa w sobie i chorująca tylko na występki, na wady moralne. Nie jest to więc bynajmniej biała karta, na której świat zewnętrzny odbija bezpośrednio wrażenia fizyczne, niby prasa drukarska. Uczucia zmysłowe przechodzą w uczucie, a następnie przez uczucia stopniowo przeradza się duch (str. 130). Uczucia zwierząt są ograniczone, niezdatne do doskonalenia się. Człowiek zaczyna od stanu zwierzęcego, ale może kształcić zmysły, udoskonalić czucie (wtedy nabędzie wykształcenia estetycznego), a następnie świadomość będzie już „odmładzała“ i uszlachetniała czucie; zmysłowo tylko świadome czucie zwierząt przeistacza się w dokładnie świadome ludzkie czucie. Odbywa się znowu trawienie duchowe. „Odżywianie ducha jest to przeradzanie zmysłowości na świadomość; na temto przeradzaniu zależy podnoszenie zmysłowości do ducha czyli uduchownienie zmysłowości. Oto jest most, który łączy w życiu dwa światy: materialny i duchowy. Samo tylko życie może je zjednoczyć, zapanowawszy nad śmiercią“ (str. 134).

Jakkolwiek wyjaśnienie największej zagadki, ów most, owo życie jest niemniej trudną zagadką, jakkolwiek autor ma skłonność do czynienia odkryć takich, które właściwie były już i dawniej wiadome, to jednak nie jeden pomysł jego załuguje na wdzięczne uznanie. Wykład jest popularny, styl jasny i nader żywy, wiedza rozległa.

T. K.

Stefan Damalewicz historyk, przełożony kanoników laterańskich w Kaliszu. Żywot skreślony przez Adama Chodyńskiego. 1872. Poznań.

O życiu ks. Stefana Damalewicza dawnego biografą naszego arcybiskupów gnieźnieńskich i biskupów kujawskich, podobnie jak o życiu tylu innych naszych pisarzy dawnych nie mieliśmy dotąd prawie żadnej wiadomości; powtarzane tylko były te krótkie szczegóły, które był podał o nim Janocki w swych Janocianach a mianowicie, iż będąc teologiem arcybiskupa M. Żubieńskiego, mianowanym był kanonikiem katedry włocławskiej, następnie zaś przyjąwszy regułę kanoników laterańskich był ich przełożonym i zarazem proboszczem św. Mikołaja w Kaliszu, gdzie też około roku 1654 życia do-

konał. W obecnym żywocie który nam skreślił p. Chodyński szczegóły te znacznie zastały rozszerzone a w części zupełnie zmienione, a to na zasadzie dwóch źródeł rękopiśmiennych: odkrytej niedawno w Kaliszu biografii przełożonych kanoników lateraneńskich kaliskich, skreślonej przez ostatniego ich przełożonego ks. Marszałkowskiego i kroniki klasztornej opactwa w Trzemesznie, gdzie właściwie Damalewicz dokończył życia.

Ze szczegółów nowych o życiu tegoż pisarza dowiedzieliśmy się tu więc między innymi: iż w r. 1638 po obronie rozprawy w akademii krakowskiej otrzymał był stopień doktora teologii w tejże akademii, iż kanonikiem katedry wrocławskiej był od roku 1642—1645, iż w tym ostatnim roku przyjąwszy regułę zakonną był najprzód pomocnikiem zgrzybiałego przełożonego kanoników lateraneńskich kaliskich ks. Żubera, a po śmierci jego obrany był przełożonym i zarazem proboszczem św. Mikołaja w r. 1649, iż oprócz tych urzędów był też oficyałem foralnego konsystorza, iż w r. 1645 uczestniczył w *Coloquium charitativum* Toruńskim, a w r. 1646 w generalnej kapitule kanoników regularnych w Rawennie; iż w ciągu swego życia kilkakrotnie był w Rzymie i wreszcie co najmniej było spodziewane, iż w r. 1660 przez arcyb. guiez. Leszczyńskiego złożony został z urzędów, a przytułek gościnny dało mu opactwo w Trzemesznie, gdzie jednak kilkanaście lat jeszcze przeżył, umarł bowiem dopiero w r. 1673.

Do tej wiadomości o złożeniu z urzędu należy nadto parę ciekawych szczegółów. Kaliskie probostwo św. Mikołaja zostawało jak wiadomo pod zwierzchnictwem opata wrocławskiego, po niemieczeniu Szlązka proboszczowie ci zaczęli się wyłamywać od tego zwierzchnictwa, ale długo daremnie, stanowczego bowiem wyzolenia dokonał dopiero proboszcz Wojciech *Wielewicz* (zm. 1674). Otóż ciekawym jest, iż złożenie z urzędu Damalewicza było właśnie skutkiem intryg tegoż *Wielewicza*, który natenczas był jednym z kanoników lateraneńskich kaliskich i że pierwsze zarzuty które mu czynił opierały się na tém, iż nie miał potwierdzenia opata wrocławskiego, które też w końcu Damalewicz musiał wyjednać. Zaś drugim ciekawym szczegółem jest, iż duchowny który zjechał był z Gniezna dla zawiadomienia Damal. o złożeniu z urzędu, był to kanonik *Bużeński*, który następnie był autorem rozszerzonych i poprawnych biografii arcybiskupów gnieźnieńskich, które w r. 1649 wydrukował był Damalewicz.

Co do czynności literackiej Damalewicza, w żywocie obecnym znajdujemy także szczegóły nowe. Prócz dzieł bowiem tego autora przytaczanych u Janockiego, Bentkowskiego i Jochera, jako to: *Vitæ Vladislaviensium episcoporum, Stephanoma, Series archiepiscoporum gniezniensium, Constitutiones canonicorum regularium* i *Vita s-ti Bogumili*, p. Chodyński zaznajał nas jeszcze z najpierwszemi publikacyami tego autora, jakimi były z r. 1637 *Conclu-*

siones ex Theologia morali... ad disputandum publice praepositae i z r. 1638: *Questio Theologica de merito honorum justii operum* (traktat broniony przy doktoryzacyi), a także z jedynym dziełem Damalewicza napisaném po polsku, którego dotąd nie znał żaden historyk naszej literatury, a którém jest kazanie miane przez Damalewicza przy wyświęceniu ks. Kęsowskiego na opata w Oliwie, noszące stosownie do mody ówczesnej allegoryczny czyli poetyczny napis: *Róża z Opatrzności Boskiej nową szatą odziana*.

Napisy wszystkich tych dzieł Damalewicza przytaczane są przez p. Chodyńskiego z całą dokładnością bibliograficzną, a z dołączeniem zdań o ich treści. Zdania te lubo krótkie są trafne. Autor słusznie broni prace Damalewicza od przesadnych w części napasły na nie Brauna w jego *Judicium* o pisarzach polskich, nie podając jednak bynajmniej bohatera swego za geniusz ani za talent, wyraża o nim owszem to skromne i słuszne zdanie: „Damalewicz nie należał do znakomitości dziejopisarskich wyższej zdolności, był jednak człowiekiem niepospolitęj nauki, pracy wytrwałęj i żelaznéj, badaczem archiwów, zbieraczem materyałów na polu historii kościoła ojczyzstego.“

Dla zaznajomienia czytelnika ze stylem polskim Damalewicza autor przytoczył wyjątek z jego kazania *Róża*, z wyjątku tego w tymże celu przytoczymy wyjątek z dodaniem uwagi: iż z treści tego wnieść można że do szczegółów charakteru ks. Damalewicza należć musiały pewna surowość i szorstkość, która go narazała na nieprzyjaźń duchownych a któręj skutki po śmierci protektora swego arcybiskupa Łubieńskiego, dotykalnie wnet uczuły.

Mówca zwracając swą mowę do nowego nominata na opactwo i przestrzegając go iżby nie naśladował na tym urzędzie innych wielu, tak między innymi mówi: „Przypatrzcie się pilnie jak wiele dusz opackich jako perzyn siennych w kominie się ognistym przewija, których Bóg jako siano niepotrzebne w piec ognisty na wieki wtrącił, dlatego że jako *fenum agris*, jako siano polne, nie ludziom na pożytek zbawienny kwiecie godności rozpościerali, ale na szkapy, psy i bestye pieczołowowanie powinne o ubogie Chrystusowe obracali“ etc.

Jest jeszcze w żywocie przytoczony z rękopismu ks. Marszałkowskiego całkowity testament ks. Damalewicza i autor zwraca uwagę iż Damalewicz w pisaniu go niepodzielił makaronicznęj wady wieku, zdaje się nam jednak iż jest to przekład ks. Marszałkowskiego nie oryginał; język od początku do końca jest tu i czysty i zbyt dzisiejszy; testament ten nadto obejmuje nie dyspozycyę co do ruchomości, ale jakby wyznanie wiary i usprawiedliwienie się ze swych czynności, był więc mową raczćj zwróconą do Boga i do duchowych nie zaś do świata, Damalewicz użyć tu więc musiał języka którým wyłącznie pisywał i który zapewne uważał za bardzićj religijny.

Takie jest w głównych rysach dziełko p. Chodyńskiego. Dziełko krótkie co do ram ale i porządnie napisane i zajmujące. Opowiada-

nie prowadzone tu jest wszędzie jasno, dokładnie i zaokrąglone nadto w ustępy historyczne z przedmiotem związek mające.

W ciągu wykładu spotykamy się tu wprawdzie nieraz z twierdzeniem, które lub było jawną omyłką lub wymaga dowodów, iż nie było omyłką, w rodzaju np. następujących:

Na str. 17 autor mówi: „*Dykcyonarz polski powszechny* podał był mylną wiadomość, że był on (Damalewicz) kanonikiem wileńskim. Błąd ten sprostował już Janocki.“ Co to był za Dykcyonarz polski powszechny, który poprzedził Janockiego, a o którym żaden nasz bibliograf nic dotąd nie słyszał? Janocki wprawdzie w Janocyanach pod artykułem Damalewicz, rzeczywiście czyni to sprostowanie i wzmiankuje o *słowniku powszechnym*, a to w tych słowach: „Damalewicz... Canonicus vladislaviensis, vilmensis, canonicus perperum dictus a nostri temporis praesule et literatore illustri in *Lexico universali* lingua polonica composita sub vocalulo Damalewicz“ t. j.: „Damalewicz kanonik włocławski mylnie nazwany kanonikiem wileńskim przez naszego znakomitego dygnitarza i autora w jego słowniku powszechnym ułożonym w języku polskim pod artykułem Damalewicz,“ lecz jestto oczywiście wzmianką nie o czém inném jak o *Zebraniu wiadomości potrzebnych*, które w tym czasie wydawał Krasiecki porządkiem alfabetycznym, a w którym pod artykułem Damalewicz rzeczywiście czytamy: „Damalewicz *kanclerz wileński* napisał“ etc. Zebranie wiadomości wyszło w r. 1781, zaś tom III Janocyanów, w którym mowa o Damalakończonym był w r. 1782, jak to widać z objaśnienia wydawcy tego tomu (Lindego) w r. 1819.

Na str. 57 przy wzmiance, iż Damalewicz brał udział w *Colloquium Charitativum* t. j. owym zjeździe toruńskim, na którym miano nadzieję, iż nastąpi takie zjednoczenie z protestantami, jak na brzeskim nastąpiło z kościołem wschodnim, dodaje między innymi autor: „Bracia polscy, aryanie, pomimo że ich także zaproszono nie zjechali“. Szkoda że autor nie objaśnił, z kąd zaczerpnął tę wiadomość, we wszystkich bowiem kronikach i wzmiankach o tym zjeździe znajdujemy owszem to objaśnienie, że aryanie nie mieli wezwania, tak jak i na zjazd Sandomierski w r. 1570. W XVII wieku nie przypuszczano, aby nawet możliwém było myśleć, o jakiejś zgodzie chrześcian z aryanami, z tego zaś co mówi biskup Piasecki na ostatnich kartach swęj kroniki o tym zjeździe spóczesnym sobie, okazuje się, iż aryanie na zjazd toruński nie tylko nie byli zaproszeni, ale byli zeń wyproszeni, tak bowiem mówi: „Zjechało się liczne grono lutrów, kalwinów a nawet z Niemiec wiele mistrzów nauki kacerskiej, ale ci wszyscy nowochrześcianów aryańskich od społeczeństwa swojego wyłączyli“. Wezwanie to oczywiście znajdzie się chyba w téjże samej szafce, gdzie i ów *Dykcyonarz polski powszechny*.

Na str. 39 wytykając Damalewiczowi, że w swym żywocie biskupów włocławskich, idąc za Długoszem, wsmiankował o istnieniu biskupstwa kruszwickiego, z którego miało powstać włocławskie

dodaje: „Jak Długosz podaniem swoim wprowadził w błąd Dama-
 lewicza, tak ten znowu utwierdziwszy go, *spowodował* ze Paprocki
 w Herbach rycerstwa, Starowolski w Monumentach, Niesiecki i wielu
 innych, tę samą powieść o biskupstwie i biskupach kruszwickich
 powtarzało“. Pomijamy iż nieistnienie biskupstwa kruszwickiego,
 dowodzone w ostatnich czasach, nie jest jeszcze faktem stanowczo
 stwierdzonym, ale jakim sposobem dzieło Damalewicza, wydane w ro-
 ku 1642, mogło spowodować błąd Paprockiego w Herbach rycerstwa,
 które wyszły w roku 1584, to wytłumaczyć chyba może *lapsus calami*;
 ale takie i tym podobne usterki, chociaż usterki, nie należąc do
 przedmiotu głównego nie znoszą, wcale zasługi dziełka, które, raz to
 jeszcze powtórzmy, jest i zajmującym, i pożądanym do dziejów lite-
 ratury naszej przyczynkiem.

X.

*Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin. Wydanie drugie,
 przejrzone i pomnożone. Kraków, w drukarni Uniwersytetu
 Jagiellońskiego, 1872, w 8-ce.*

Tatry, sięgające niebios Tatry, i od nich, jako od pnia głównego,
 rozchodzące się Karpaty, cóż to za kraj porywu, zdumień, malowni-
 czości, w który się zapuszczając co krok doznajemy to uczuć na-
 głych, jak przestrach lub zadziwienie, to znowu rzewnych jak wspo-
 mnienia! Przedsiębiorac malowanie tych gór naszych, potrzeba
 się lękać albo przesady, jednej z nieprzyjaciołek prawdy, albo nie-
 udolności wynikającej z niedość wydelikatnionego uczucia, z niedość
 słodkiego wyrazu. Szczęście to nasze, iż takowe przedsięwzięcie
 zawiązało się w duszy z przyrodzenia czułej, bo kobiecej, a której
 śmiałość nie może przestąpić granic skromności; duszy, która i w unie-
 sieniach pozostaje łagodną. Jój nie odstąpi prostomyślność i pra-
 wość, bo uczucie jój nie utrzymuje zapał, ale rozbudzenie. Słowem
 szczęście to nasze, iż owo przedsięwzięcie wypadło na młodą damę,
 której skromność nie pozwoliła położyć nazwiska na książce, ale
 niepospolita téj książki wartość nakazuje nam nietać nazwiska
 panny Maryanny Steczkowskiéj.

Tylko co powróciwszy z Pireneów (czemuż nie z Tatr nieste-
 ty!) wzięłam do rąk tę książkę. Pomimo na samym wstępie wstyd
 doznany i obudzony żal, że nie z Karpat powracam, jakże ujęty zo-
 stałem tym wdziękiem, z którym się wszędzie pisząca tłumaczy. Te
 wierne, te żywe obrazy przeniosły mnie na nowo w góry, za którymi
 tęskniłem, a ta pełna powabu serdeczność jaka tam każdy wyraz
 cechuje, ileż wdzięczności obudza w duszy dla własnego piśmiennict-
 wa zyczliwéj! W istocie, książka o której mówimy, będzie zawsze
 należała do rzadkich zjawisk w piśmiennictwie naszym. Dziewica
 poświęca młodość swoją utrudzającym wyprawom: ona nie zrażając

się ani niebezpieczeństwem przechodów, ani nieżyczliwemi żywiołów zmianami, ani dzikością nieprzebytych puszczy, przedziera się aż po krainy śniegowe; idzie odważnie po przestrzeniach złomami granitów i lodu bryłami zaścienionych: idzie śmiało i wraca bezpieczna, ażeby opowiedzeniem dziwów jakie widziała, pokazać swym ziomkom drogę do wypełnienia obowiązku, to jest: „do poznania cudów przyrody, któremi Bóg tak hojnie ich ziemię uposażył.“

Prawda że wykonaniu tego czemu się dziwimy, powołanie przewodniczyło. Autorka we wstępie wyznaje, że góry od dzieciństwa miały dla niej jakiś niepojęty urok. Jednakże zwiedzić najcelniejsze, najnieдоступniejsze punkta Karpat i z opisania tych wędrówek utworzyć książkę o 300-stu przeszło stronicach, wyznajmy że to zasługa niemała, że to poświęcenie się dla dobra ogółu, dla wzrostu nauki, heroizmowi równe.

Mieliśmy, prawda, i opisy pojedynczych wycieczek w Karpaty, i opisy tych gór orograficzne, a zwiedzający je turyści lub geolodzy nieco już obeznali nas z obyczajami ich mieszkańców, Górali; poznaliśmy już nawet pióro naszej autorki w pierwiastkowym wydaniu (w roku 1858) jej książki, które wszakże tylko jako szkic wydania terażniejszego uważać należy. Atoli teraz otrzymujemy całość, otrzymujemy dzieło ułożone systematycznie, odkąd autorka „corocznie, jak sama mówi, odbywając wycieczki w Tatry, zwiedziła kolejno całe to pasmo od Koperszadów Białskich i dzikich dolin u stóp Kolbacha i Żomnicy na wschodnim jego krańcu, aż do szczytu Orawskich stanowiących ostatnie ogniwa Tatrów na zachodzie.“ Mamy tedy dzieło nietylko użyteczne, ale i miłe, jak miłym jest towarzystwo, które obecność damy światłej ożywia. Jak dla uzupełnienia dzieła starała się autorka jego nie pominąć w paśmie gór wybranych przez siebie, żadnego z miejsc sławnych, choćby ono do najnieдоступniejszych należało; tak i w całym ciągu dzieła, zawsze jest ta sama: szczerza, uprzejma, z ujmującą tłumaczącą się prostotą i prawdą, a nade wszystko ojczytym piórem mistrzowsko władająca; już zaś nie mówię, o ile czuje opisywany przedmiot, podnoszący niekiedy to czucie w jej duszy prawie do poetycznego natchnienia. Oto co mówi w drodze do Morskiego Oka (str. 87): „Tu dopiero wstąpiliśmy do wnętrza Tatrów. Po obu stronach tej obszerniej doliny, piętrzą się skaliste olbrzymy; boki ich okrywają bujne lasy, rosnące w amfiteatr na spadzistych ścianach, jakby najstaranniej przystrzygane szpalery; wyżej rozściela się płaczący kosodrzew, dalej już tylko mchy szarzeją, a nareszcie nagie, skaliste, iglice z płatami śniegu w szczelinach, który oświecony blaskiem słońca, olśniewa oczy świecą białością, pną się pod obłoki tak dumnie i groźnie, że słowa podziwu konają na ustach, a dusza przejęta do głębi uwielbieniem dla Stwórcy, wzbija się wyżej jeszcze, przenika to lazurowe sklepienie i u stóp tronu Przedwiecznego składa w pokorze uczucia wdzięczności i szczęścia jakie ją przepełniają.....“

Zaiste, małej tylko liczbie dzisiejszych pisarzy naszych podobną wymowę zawdzięczać możemy. Te usiłowania, nazywane zwykle *talentem pisarskim*, zaręczają wiekami niepożytą trwałość dziełu natchnionemu ową, wzniosłą namiętnością, która Malczeskiego niegdyś na szczyty najwyższej z gór Szwajcarskich poprowadziła.

Antoni Waga.

Aleksandra Weryhi Darowskiego, Dyaryusz podróży do Warszawy, poprzedzony kilkoma słowy Stanisława Kunasiewicza.

Lwów 1873 r. Czcionkami K. Pillera (w 18-ce, str. 41).

Opowiadania JP. Wita Narwoja rotmistrza konnej gwardyi koronnej. A. D. 1760—1767. Spisał Władysław Łoziński.
Lwów, 1873 r. Z drukarni Zakładu Ossolińskich (w 8-ce, s. 313).

Było to w lipcu 1862 roku (we Lwowie, pisze p. Kunasiewicz we wstępie obszernym) w redakcyi jednego z dzienników podówczas wydawanych, zesłaliśmy się wieczorem około godziny ósmej na pogadankę. Pomiędzy zgromadzonymi (było ich około dwudziestu) znajdował się również Józef Dzierzkowski, na stoliku leżało świeżo wydane *Album lwowskie*, od uwag więc nad tą wiązaną wydaną staraniem Henryka Nowakowskiego, rozpoczęła się pogadanka. Mówiło kilku, w końcu odezwał się Dzierzkowski: „Cierniową koronę obiera sobie u nas każdy, poświęcający się literaturze, jeżeli się tylko w dostatkach nie urodził, a nowym dowodem tego wydawca *Albumu*. Święty musi być ten ogień duszy, który ją rwie do téj kolei ciernistej i który jęj wystarcza za wszelkie ofiary życia. To téż tém większe należą się cześć i współczucie tym, którzy się literaturze poświęcają. Lecz gdyby nie starania, nie to poświęcenie się Nowakowskiego, czy mielibyśmy takie obrazki wyborne jakie spotykamy w *Albumie*, spisane przez Komorowskiego, Jakubowicza, Horoszkiewiczza? A są to właśnie te rysy pamiątkowe, które codzień przepadają, a które by wydobyć, trzeba by chodzić z kwestą po naszych dworach i dworkach szlacheckich *pro bono publico*. Dalibóg! zdałaby się nie na mało taka podróż od komina do komina! ale trzeba by wyprawić zdolnego kwestarza, jakiego starego bazarza do szlacheckich kominkowych pogadanek, a zebrałby połów nie mały, społeczno-historycznych rysów prawdziwie polskich. Wybrałbym się sam na podobną kwestę z przyjemnością; zróbcie mnie podobnym kwestarzem, nie pomnę żadnego dworu, żadnej plebanii, czasami zajrzę i do chat wiejskich, a zaręczam że wrócę z pełnemi torbami, zaręczam i dotrzymam słowa. Tu bowiem, po kominkowej pogadance spiszę jakiś rys pamiątkowy, tam wydobędę z zapyłonej pułki jakiś pamiętnik, który potrafi nam

unaocznąć wcale dokładnie obraz przeszłości, w inném miejscu za bajki Jachowicza postaram się wyłudzić od dzieci numizmaty, które im dano nieznając ich wartości do zabawy, a jeszcze w inném miejscu dobioreę się do dawnych pergaminów, inkunabułów, pokrywających się pleśnią i kurzem. Będzie więc w ten sposób czém przez długie czasy zapełniać odcinki naszych dzienników, w gablotkach bibliotek zakryje się nie jedno miejsce, które dotychczas świeci pustką, a może potrafię nie jeden zbiorzek numizmatyczny bodaj w części skompletować.“

Zgodzili się wszyscy na myśl tak pożyteczną: ale niedługo zachmurzyło się niebo, Dzierzkowski umarł. Nauka w las przecie nie poszła, bo p. Kunasiewicz wziął na siebie kwestę w tym kierunku i nie mało, jak sam zeznaje zdobyć potrafił, poznawszy się bliżej z Dr. Stanisławem Krzyżanowskim, redaktorem „Rocznika dla archeologów, numizmatyków i bibliografów.“ Pomiedzy nabytkami tegoż znalazł i „*Dyaryusz podróży posła na Sejm do Warszawy.*“

P. Kunasiewicz wydrukował go więc w piśmie czasowém lwowskiem *Strzecha*, a teraz opatrzywszy przedmową, w oddzielnej książeczce wydał.

Przyznać musimy z sumienném przekonaniem, że żadnej usługi tém nie uczynił dla nas. Dał jęj tytuł niewłaściwy *Stara satyra polska*, albowiem jest to najohydniejszy paszkwil jadowitego, a co tém boleśniejsza, zdolnego pióra.

Pan poseł wyjeżdża do Warszawy w towarzystwie słynnego *księdza Baki*, którego pamięć uwiecznił Rajmund Korsak, z *instrukcją* tak pozbawioną zdrowego rozsądku, że powtarzać jęj nie chcemy. Sam początek i dalsza treść już powinna i wydawcę samego i redaktora *Rocznika dla archeologów* ostrzedz, że to jest utwór nowoczesnej ręki, wiedzionęj szczególną nienawiścią do XVIII stulecia. Zręczny to pisarz, bo troskliwą starannością zebrał szczegóły, ażeby mógł jak najczarniejszy obraz szlachcica tego okresu przedstawić, i idei społecznych i tak je ułożyć, że czytelnik ze wstrętem najwyższym przerzuci kartki i w osłupieniu zapada.

Nie możemy zaprzeczyć wielu szczegółom że istniały, ale żeby razem skupione i dobrane tak, że wszystko tylko daje ujemne strony, a nic dodatnięj, zaprotestować musimy.

Podany tu za autora Aleksander Weryha Darowski: załujemy go wielce, że przedmiot taki wybrał za osnowę do swego *Dyaryusza*. Mieliliśmy pisarzy którzy do swych utworów obrali za treść postacie i wypadki przeszłości, ale nie tając błędów i cnoty wykazywali: autor *staręj satyry* od początku do końca namalował taki obrazek, że gdy dostanie się w młode ręce, wierzy w prawdę stanowczą, mało oznajmiony z zabytkami prawdziwemi, zatruje jego myśl i serce i odtąd może mieć tylko odrazę i klątwę dla przeszłości narodowęj. Utwór ten może być na rękę tym nowym autorom i pisemkom, które zale-

cają z tą przeszłością zerwać i w tej rzeczy p. Aleksander Weryha Darowski, przyjazną im podaje rękę.

Towarzystwo księdza Baki wprowadzone do Dyaryusza i nadsładowanie niezgrabne jego nędznych wierszy, daje wymowne świadectwo, fałszerstwa i podsuwania za stary zabytek, utworu świeżo z pod pióra wyszłego, co i styl sam wskazuje.

Smutno i bardzo smutno że znalazł się pisarz kalający własne gniazdo i wydawca co nakład łożył na druk podobnego śmiecia.

Inaczej przedstawiają się wierne obrazy i wspomnienia podane przez współczesnego świadka. Do tych należą: *Opowiadania Narwoja* wydane także we Lwowie. Sięgają one właśnie tegoż okresu, w którym poprzedni poseł swój *Dyaryusz* miał kreślić. Opowiadania te są pełne zajęcia a dodają im uroku, prawda z całą prostotą oddana.

Wit Narwój syn ubogiego szlachcica, gdy dorósł, ojciec dawszemu mu wyprawę skromną, wysłał go do krewnej swojej podcieszyny Żołyńskiej; ale wyrostek gdy się odbił od domu, a był w pobliżu granicy Szlązka, chciwy zobaczyć jak to wygląda na obczyźnie, dostał się szczęśliwie za granicę, a trafiwszy na werbowników, uczęstowany winem aż do utraty zmysłów, znalazł się nagle na kwaterze żołnierskiej i rad nierad musiał przywdziać mundur pruski. Sceny takiego chwytania młodzieży czerstwój i roślej nieraz się powtarzały za Augusta III, i lud w Białostockiem śpiewał piosnkę:

„Prystań jurku do werbunku,
Budesz jesty z masłom kurku.“

Zwolna, w ścisłej subordynacji, pilny i oddany swemu zawodowi, wyczył się tak języka niemieckiego jak i robienia szabłą wybornie, ale prawie zapomniał ojczystej mowy, kiedy dostąpił stopnia oficerskiego. Dziwnym zbiegiem losu, pomimo woli dezertował, odnalazł ojca, ukochaną matkę i rodzeństwo, a przeszedłszy w służbę krajową, do autorymentu cudzoziemskiego, jako rotmistrz chorągwi dragonów przybył do Lwowa na załogę.

W marszu spotyka dziwną postać cudzoziemca *Zapatana*, należąca do figur fantastycznych, która i w samym Lwowie nie mało mu bruzdzi i kończy swe opowiadania na zajściu z panem Kasztelanicem, szczęśliwie zagodzonym przez generała Korytowskiego.

Jestto jakky wstęp, albowiem autor zapowiada dalszy ciąg wspomnień p. rotmistrza Narwoja.

Z tego co czytamy w wydanej części nabieramy przekonania, że p. Władysław Łoziński szczęśliwym i wiernym jest tłumaczem przygód naszego rotmistrza, którego charakter nieugięty prawdziwego żołnierza, wydatnie się rysuje. Do najpiękniejszych ustępów należy rozdział pierwszy, p. n. *Dwunasty gość*, gdy w mundurze pruskim staje w samą *Wigilię Bożego Narodzenia*, pod oknami dworu w pobliżu granicy pruskiej i rozpoznaje oblicze ojca, drogięj matki, uko-

chanéj siostry i brata, którzy z dawnéj siedziby przenieśli się tu niespodzianie, odziedziczywszy po podczaszynie zapisany im majątek. Widok tyle ukochanych istot po długich latach rozłąki, sprawia, że porzucił służbę obcą i pod ojczystą stanął chorągwią.

Wiele szczegółów obyczajowych z tamtego okresu mamy tu zachowanych, jak spalenie *kartelu* z wyzwaniem na pojedynek swego starszego dowódcy, oraz przewagi jeszcze młodzieniaszków wysokiego rodu, którzy bez znajomości sztuki wojennéj zajmowali stopnie zasłużonym wojakom. Z toku opowieści dowiadujemy się, że p. rotmistrz ma w żywéj pamięci wyprawy swe na hajdamaków, nie powatpiemy o ich dramatyczném życiu, oczekując na ich ogłoszenie.

Opowiadania te czytają się jak najciekawsza powieść i należą do szeregu tych pięknych utworów pióra, jakie nam dali poprzednio autorowie *Soplicy*, *Obrazów Litewskich*, *Rodziny konfederatów* i wielu innych, nie wspominając już utworów poetycznych tejsze treści jak „Mohort“ Wincentego Pola, lub *Dworzec mojego dziadka*, Franciszka Morawskiego, należące do ostatnich lat panowania Stanisława Augusta.

W.

Elekcya w Babinie. Historyczna bajka. Poznań, nakładem i czcionkami Merzbacha, 1872. (w 18-ce str. 36).

Jestto wierszem powiastka, osnuta na podaniu, że w bardzo dawnych wiekach, szlachta zebrana na *elekcya*, wybrała sobie żyda za króla kilkodniowego.

Przed dziewiętnastu laty, Roman Zmorski w dziełku pod tytułem „*Domowe wspomnienia i powiastki*“ (Warszawa 1854 r.) dał nam stare podanie żydów polskich o takiej-że *elekcyi*, która wyniosła na tron *Abrahama Prochownika*.

Abraham ten handlował prochem za czasów *Popiela*, którego gdy myszy zjadły, zebrano się na *wiece* do wybrania jego następcy. Kiedy jednakże nie zdołano przyjść do zgody, na wniosek jednego z wyborców postanowiono, zamknąć z pomroką wieczorną bramy Kruszwicy, a kto ukaże się pierwszy na drodze ze wschodem słońca, tego posadzić na tronie. Zgodzono się na to jednomyślnie.

Abraham Prochownik co przemycał proch dla różnych strzelców, a brał w zamian od nich zajęcze i lisie skórki, raniuchno wybrał się do Kruszwicy. Aż tu brama się otwiera, wyskakuje czterech drabów, łapią go za ręce i krzyczą: „Wiwat!... mamy jego!“

„On się tak okrutnie wyląkł—pisze Zmorski powtarzając słowa opowiadacza swego żydka—że o mało nie zemglał, bo myślał że jego chcą wziąć na kumorę i obrewidować, i trząsał się strasznie i nie mógł nic gadać. Nu! a tu zaczęła strzelać harmaty i w dzwony dzwo-

nią, i w trąby grają, i idzie panów bardzo ślicznych dziesięć, jak anioły biało ubrane, a za niemi pełno postrojonych polaków z chorągwiami. Nasz pradziadek myśli sobie: „to idzie procesyów, będzie czas mi, jeśli Bóg da uciec! i chciał się wyszarpnąć od żołnierzy, ale oni go bardzo mocno trzymali. On patrzy, aż tu processyów idzie prosto do niego, wszyscy przed nim poklekali i krzyczą *vivat*“. Widząc że nie masz sposobu wykręcić się z tłumem otaczającego go, zażądał aby mu zbudowano na rynku *kuczkę*, tam mu dostarczyli szczupaka, kugiel i gąsiorek miodu, on się w niej zamknie, będzie się modlił, a potem zostanie królem.

Zrobiono jak pragnął: Abraham zamknął się w tej kuczce i zakazał bardzo strasznie, żeby mu nikt nie przeszkadzał póki on sam nie wylezie.

Siedzi dzień i noc, i drugi dzień i noc, aż trzeciego rano gdy się nic nie ruszał, odważny jeden sztelmach, co się przezywał *Piast*, silny i bystry chłop, znudzony długim wyczekiwaniem, porwał topór, wyrąbał drzwi od kuczki i złapawszy Abrahama za rękę, wyprowadził go na rynek; wszyscy myśleli, że Abraham każe go stracić, ale on kazawszy żeby było cicho, *Piasta* poleca na króla. Wszyscy ochotnie go przyjęli: „A naszemu pradziadkowi, to on zato dał przywilój taki: żeby w całej Polsce tylko on jeden mógł prochem handlować.“

Autor *Elekcyi w Babinie*, wziął za osnowę inne podanie, które Lelewel w tomie drugim *Polska wieków średnich* opowiada: ale tejsze treści, lubo bliższych już czasów dosięga. Podaje on, że uczony *Jolowicz* wyczytał w rękopismach biblioteki *Oxford*, iż wykształconego żyda we Włoszech *Saula Wahl*, po śmierci Zygmunta Augusta (1572—1574) magnaci nie mogąc się zgodzić na obiór, na wniosek *Radziwiłła* wynieśli go na *interreza* jednonocnego tymczasowego króla, i powierzyli mu akta koronne, w które on wpisał dogodnie dla Izraela postanowienia, a między innemi i to: że zabójstwo żyda ma być śmiercią karane. *Saul Wahl* w dziejach hebrajskich jest tytułowany magnatem, ksiąźciem, królem, prawodawcą narodowym. „Był on, dodaje Lelewel, rzeczywiście zamożnym, wybudował w Brześciu dwie wielkie synagogi, dwie łaźnie, kilka domów na studya, szlachtuz i dom sierot. Niedawno przy zapadnięciu się synagogi odkrył się jego herb królewski na marmurze wykuty, wyobrażający lwa, co sobie na głowę koronę kładzie, a przy nim siedzący orzeł“. W końcu przywodzi zdanie *Carmoly'ego*, który znając genealogią *Wahlów* dokładnie, mówi że właśnie z powodu tego ich nazwiska, oznaczającego *obiór, obranie*, całą tę powieść wydowcipowano, i za fakt prawdziwy podano.

W prologu tej historycznej bajki czytamy:

„Lubię szperać po kronik zbutwiałej bibule
 I na skrzydłach fantazyi biedz w zamierzcłe lata;
 Myśl, czas krótki więziona w przeszłości szkatule,
 Rażniej się potem zrywa do życia i świata...
 Czasem z takiej podróży serce coś zachwyci,
 Nowa boleść, lub rozkosz, dla duszy przybywa;
 A czasami do kłębka dojść można po nici:
 W jeden łańcuch połączyć wypadków ogniwa.
 Bo w przeszłości jak w życiu: łaza splota się z śmiechem,
 Może wybrać kto chętny. Skarb stoi otworem...
 Nieznać swojej przeszłości, zaprawdę jest grzechem!

Antor przenosi scenę *elekcji* do głośnego *Babina*, w którym istniała sławna *Rzeczpospolita Babinska* założona przez *Pszonkę* i *Kaszowskiego*, i za ostatnich Jagiellonów w największym była rozwoju. Księga jej dziejów i posiedzeń przechowana dotąd w zbiorach *Sieniawy*, daje nam dokładny obraz tej humorystycznej Rzeczypospolitej, w której najznakomitsi mężowie ówczesni, tak wojownicy, jak myśliciele i literaci mieli udział.

Tytuł tej bajki zapowiadał że o tej Rzeczypospolitej coś usłyszymy, ale głucho w całej powiastce o niej, a treść stanowi: że żyd pochwycony równo ze świtem, ogłoszony królem, na widok swjej żony, rzuca tron i ucieka do domu.

Wiersz gładki, język czysty, są zaletami tej fraszki rymowanej, w której śladu poezyi daremnieby poszukiwać.

W.

Groby rodziny Tyszkiewiczów opisał Eustachy Tyszkiewicz b. prezes Komisji Archeologicznej i kurator Muzeum Starożytności w Wilnie, członek honorowy cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu, królewskiej Akademii Historji i Starożytności w Sztokholmie, Instytutu Archeologicznego w Londynie, Cesarskiej publicznej Biblioteki w Petersburgu, Serbskiej *Maticy* w Budyszynie, Towarzystw Naukowych: w Moskwie, Kopenhadze, Odessie, Rydze, Moguncyi, Krakowie, Poznaniu, Mitawie, i t. d. Warszawa. Drukiem Jana Jaworskiego, 1873 roku (w 4-ce, str. 111).

Wydanie z całym przepychem typograficznym, składa się tylko z dwustu egzemplarzy, i niemasz go w obiegu handlu księgarskiego. Zdobi je na czele staloryt, przedstawiający gruzy sławnej Romy, z tym podpisem z *Dziadów* Mickiewicza:

„Prócz duszy i Boga wszystko minie na ziemi.“ Szesnaście rycin wykonanych artystycznie w zakładzie litograficznym W. Walkiewicza w Warszawie, trzy drzeworyty w tekście i dwie tablice w końcu poświęcone rodowodowi domu hrabiów Tyszkiewiczów.

We wstępie czytamy:

„W połowie XVII wieku, Szymon Starowolski kanonik Krakowski, jeden z najczestszych i najbardziej zasłużonych pisarzy polskich, ogłosił drukiem zbiór napisów grobowych, znajdujących się w owój epoce w kościołach dawniej Rzeczypospolitej pod tytułem: *Monumenta Sarmatorum*, Kraków 1655 roku.

Było to jedyne w swoim rodzaju dzieło, jakie nam w spuściźnie po praojcach naszych, pracujących we wszystkich gałęziach nauk, pozostało. Dziś po upływie dwóch przeszło wieków, ze smutkiem przekonać się można, jak znaczną ich część czas, pożary, przebudowania świątyń i inne nie znane nam nawet okoliczności zniszczyły. Od tej epoki tysiące innych nagrobków się wzniosły, ale napisów na nich umieszczonych dotąd nie zebrano w jedną całość, i zaledwie za dni naszych *Cmentarz Powązkowski* pod Warszawą opisany został przez zacnego badacza dziejów krajowych K. Wł. Wójcickiego w 1855 roku. Wzór ten był godzien naśladowania: jakoż Eustachy Marylski w roku 1860 ogłosił drukiem: „*Pomniki i mogiły Polaków na cmentarzach zagranicznych*“ a w roku 1870 ks. Ignacy Polkowski zebrał: „*Wiadomości o grobach i pamiątkach polskich w Rzymie*“. Prace te tak pomocne dla badań dziejowych, podały mi myśl zebrania i opisanie grobów mojej własnej rodziny, która w początku XVI wieku osiadłszy na Litwie, przez III następane wieki piastowała rozmaite urzędy miejscowe, i wielu z jej członków zajęło chlubne miejsce na kartach historii naszego kraju.

Czytając napisy grobowe, wiele sprostować można omyłek heraldycznych, dat zgonu i wyświecić działalność życia publicznego tych osób, których pamięć nagrobki uwieczniają. Sprostowało to nawet genealogiczną tablicę Tyszkiewiczów, umieszczonych przy monografii *Birż*, do której, mianowicie w pierwszych pokoleniach kilka wkradło się omyłek. Najdawniejsze napisy w języku słowiańskim, późniejsze w łacińskim, mało dziś zrozumiałe, uważałem za pożyteczne umieścić w tłumaczeniu, ażeby je dostępniejszemi dla ogółu uczynić; nie myślę jedynie tylko o ich ocaleniu, ale pragnąc, ażeby następane pokolenia znalazły w nich wiadomość dokładną o swojej rodzinie i lepiej swą przeszłość poznały.

Myliłby się, gdyby podobną pracę posądzał o 'lekkomyślną próżność i niedorzeczną zarozumiałość. Rodzina Tyszkiewiczów nie wzniosła się nigdy wyżej nad inne, ale służyła wiernie kościołowi, tronowi, naukom, jednem słowem, spełniała obowiązki dobrych obywateli zaszczytnie i pocziwie.

Wiadomość o znakomitych czynach naddziadów, przeglądanie ich publicznego żywota, zasługi uznane przez ogół, wspomnienia

tradycyjnych podań swojej rodziny, bez zaprzeczenia najzbawienniej wpływają na umysły młodego pokolenia, które z postępowania i poświęcania się publicznemu zawodowi, tudzież z bogobojnego żywota praocjów swoich, jak z księgi, czerpać może dla siebie, wzór i naukę.

Tą myślą kierowany, przy schyłku mojego życia, postanowiłem w rodzinie mojej zostawić pamiątkę wspomnienia i zasług tych, co przed nami żyli, mając w Bogu nadzieję, iż ziarno rzucone przezemnie, nie będzie rzucone na opokę“.

Wstęp ten jasno tłumaczy powody tój publikacji, która nieo-
bojętnym jest przyczynkiem dla dziejów. Wiadomo każdemu z ba-
daczów, jak nieraz ważne są monografie rodzin biorących często
poważny udział w sprawach krajowych. Sędziwy autor, jeden
z pierwszych, który po Ambrozym Grabowskim w gałęzi archeologii
tyle zasług położył, twórca Muzeum Wileńskiego, teraz do tyłu da-
wniejszych, nową zarówno dla ogółu jak dla swój rodziny zajmującą
i pożyteczną pracę ogłosił, a wartość jój ocenią ci, dla których wspo-
mnienia przeszłości są zawsze drogą spuścizną.

R.

Bibliografia Polska XIX stulecia. Wydanie Komisji bibliogra-
ficznej przy C. K. Akademii Umiejętności. Zeszyt dodatkowy.
3000 druków od 1871 r. ujęte w katalog alfabetyczny i syste-
matyczny, ze spisami osób, miejscowości przedmiotów, tudzież
ze sprawozdaniami księgarzy galicyjskich. Zebrał na życzenie
komisji wystawowej wiedeńskiej K. Estreicher, w Krakowie
w Drukarni Uniwersyteckiej 1873 (w 8-ce, str. XII, 164).

„Powołany na członka Komisji Wystawowej Wiedeńskiej, pod-
jąłem się skutecznie katalog księgarski druków Galicyi za lat dwa
ostatnie. W instrukcyi bowiem wypowiedziano życzenie, aby każdy
kraj koronny, będący częścią składową austriackiego państwa, podał
obraz ruchu umysłowego i księgarskiego w swoim obrębie. Rzecz
wymagała pracy gotowej do końca 1872 roku. Miał to być obraz
literatury galicyjskiej, literatury polskiej w obrębie granic Cesarstwa
Austriackiego; że jednakowoż pracownicy galicyjscy drukują dzieła
swe zarówno we Lwowie, jak w Warszawie i Poznaniu, a ludność
galicyjska czerpie także pokarm umysłowy z Warszawy, Wilna lub
Kijowa, niepodobna zatem było wytknąć literaturze galicyjskiej gra-
nicę, stosującą się do obrębu egzystencyi politycznej. Aby obraz
był wizerunkiem rzeczywistości, wypadło wszelkie druki, czy tu, czy
tam wydawane, skupić w jedno ognisko.“

Z tego widzimy, że badacz nasz nie ograniczył się więc jedynie na samą Galicyę i Szlązku Austryackim, ale rozszerzył ramy swej pracy i dał nam obraz bibliograficzny produkcji umysłowej, tak z Królestwa Polskiego jak Cesarstwa, z W-go Księstwa Poznańskiego, z Prus Wschodnich, nie pomijając wydanych druków polskich za granicą.

Na czele, co do ilości stoi Warszawa, w której wyszło z pod prasy 897, po niej idą Kraków 672, Lwów 559, Poznań 233. Z miast cudzoziemskich w Paryżu wydano 43, w Wiedniu 38, w Lipsku 24, w Berlinie i Dreźnie po 19. Dodajmy że w Nowym Yorku wyszła także jedna polska książka.

Z cyfr podanych przez K. Estreichera, widzimy iż druki polskie w Austrii (Wiedeń i Pragę doliczając) dochodzą liczby 1400, druki w Cesarstwie Rosyjskiem i w Królestwie Polskiem 960, w Wielkopolsce 342 za granicą 172. Dodana tablica, zestawiająca ilość druków według przedmiotów, nie wliczając w nie ponawianych edycji jednego dzieła, wykazuje, że lubo we wszystkich gałęziach literatury i nauk, poważne grona pracowników mamy, najwydatniej co do liczby występują: prawo i polityka, teologia, historia, powieść, poezya (raczej wierszopisarstwo, gdyż z ostatnich czasów tylko jeden Asnyk za poetę może być uważany, nie wspominając dawniejszych żyjących jeszcze szczątków ze świetnej plejady); medycyna, nauki przyrodnicze, pedagogika, geografia, matematyka i filozofia.

Zeszyt ten *dotatkowy* bibliografii polskiej z wielką pracą i pospiechem ułożony i wydrukowany przez komisją krakowską na wystawę wiedeńską przesłany został.

Oprócz przemowy polskiej, na czele znajduje się i w języku niemieckim w skróceniu odpowiedni.

W.

Opis powiatu Radzyńskiego pod względem topograficzno-historycznym, statystycznym, higienicznym i lekarskim, przez D-ra Leona Bokiewicza, lekarza praktykującego w Jadowie, Członka korespondenta Towarz. Lekarskiego Warszawskiego. Praca uwieńczona nagrodą Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego z daru D-ra Milhota. Warszawa, Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. (W 8-ce str. 206).

Jeżeli nie braknie nam opisów, grodów i miejscowości historycznych, poświęconych wyłącznie wspomnieniom ich świetnej przeszłości, to wielce jesteśmy ubodzy, co do wiadomości o ich stanie obecnym, tak pod względem statystyki, jak płodów natury, oraz przemysłu, handlu i t. p.

Towarzystwo Lekarskie Warszawskie dobry i godny naśladowania dało przykład, uwieńczając nagrodą z daru szlacheckiego D-ra Milhota, pracę pomienioną D-ra Leona Bokiewicza, która na to odznaczenie rzeczywiście zasługuje. Z niej mamy przekonanie, że lekarz praktykujący, zmuszony z obowiązku swego do ciągłych podróży, niosąc pomoc cierpiącym, ma najlepszą sposobność do poznania gruntownego swęj okolicy i łatwość w zebraniu niezbędnych zasobów do jęj opisu, pod każdym względem. Byłoby nie zabrakło mu ochoty do pracy, po trudach mozolnych i miał poczucie obowiązków obywatelskich, czego piękny dowód mamy w *opisie powiatu Radzyńskiego*, który za wzór dla innych prac w tym rodzaju służyć może.

Autor podzielił go na cztery części. W *pierwszej* daje opis topograficzno-historyczny, włączając spostrzeżenia meteorologiczne od 1854 do 1870 r. Rozważa gatunek i urodzajność ziemi, płody roślinne, zwierzęce i kopalne; wody, lasy i drogi w powiecie, zarazem wylicza wszystkie miasta, wsie, osady i wraz z ludnością. Część druga *statystyczna* daje nam obraz dokładny ludności całej i jęj przemian, tak w nowo-narodzonych jak zmarłych; przytęm skrzętnie maluje ilość karczm i szynków, oraz ilość bydła, koni, owiec i trzody chlewnęj.

W części trzeciej *higienicznej* mamy zajmujące szczegóły pod względem etnograficznym o mieszkaniach, pokarmach, napojach, sprzętach i naczyniach do pokarmów, odzieży obojga płci, oddzielny ustępow miejscowych żydach. Nie pomija zajęć zwyczajnych mieszkańców przymiotów i wad, zabaw i rozrywek i zamyka tę część wykazaniem długości średniej życia, obliczonęj z lat czterestatu. Część IV i ostatnia pod względem lekarskim, traktuje o chorobach panujących od roku 1850, podaje przesady lekarskie u ludu, mówi o pokątnych lekarzach i zamyka ten dział najobszerniejszy (od str. 142—206) swemi *wnioskami i radami*. Rady te są nietylko pożyteczne ale zbawienne, ale żeby przeszły w życie, przedewszystkięm potrzeba oświaty i zawsze oświaty!

W.

Dwie rzadkości bibliograficzne Marcina Bielskiego: Sen majowy jednego Pustelnika i Rozmowa dwu Baranów o jednęj głowie. (Z dwiema podobiznami). We Lwowie. Nakładem Karola Wilda 1873 r. (w 8-ce, str. 32.)

Marcin Bielski, którego *Kronika polska* z kilkokrotnych przedruków jest znaną, pisał wiele wierszem w formie peematów, ale wierszem chropawym i pozbawionym wszelkiego wdzięku poezyi.

Jeżeli Mikołaj Rej w myślach jest większym poetą, niż w rymach swoich, Bielski i tęj zalety jest pozbawiony. Upodobanie

w ogóle społeczności naszej do wierszy, skłoniły i tego poważnego kronikarza używania tej miary, nie pytając o wartość artystyczną.

Jeżeli z tej strony nie wiele cenimy najstarszego naszego pisarza (urodził się w roku 1495, umarł w 1575), to te utwory upośledzone, co do swój formy, mają niesłychanie z treści swój wysoką cenę dla nas, co do szczegółów molowidła, oddających wiernie wiele rysów charakterystycznych społeczności polskiej z XV i z początków XVI stulecia.

„*Sprawa Rycerska*.“ „*Sejm Niewieści*“ i oprócz *Kroniki polskiej*, pomienione na czele dwie broszury wierszem: to bogata skarbnica dla badacza studyjującego te stulecia pod względem życia domowego, zwyczajów i obyczaju narodowego.

Należy się wdzięczne podziękowanie Dr Władysławowi Wiśłockiemu, że nam w treściwym przeglądzie z małemi ustępami, dał bliżej poznać te utwory pióra sędziwego kronikarza; żałujemy tylko, że dotąd nie mamy wiernego ich wcałości przedruku, naco tém więcej nalegać musimy, gdy „*Rozmowa nowych proroków*“ w jednym się tylko egzemplarzu dochowała.

Dr. Wiśłocki zarzuca Bielskiemu, że w tej *Rozmowie* „nie satyrę, ale *paszkwil* zostawił, jako życiem przesycony zgrzybiały historyk poeta.“ Na taki sąd pod żadnym względem zgodzić się nie możemy. Nie był *przesycony* życiem, chociaż liczył lat 80 przy zgonie. Zahartowany z lat młodych w obozie, wychowany na wsi, mógł znosić brzemień wieku, które na owe czasy nie było ciężarem, gdy sobie przypomnimy, że Bartosz Paprocki po skończeniu lat 70, uważał dopiero męża, jako godnego zasiąść w radzie panów przy królu, gdyż wówczas ma rozum *dojrzały*.

Ani też za *paszkwil* nie śmiemy tego utworu podawać. Że wychowanek XV stulecia, w prostocie i skromności, nie mógł się pogodzić z rozwijającym się a tak zgubnym zbytkiem i cudzoziemskimi nowościami, wprowadzonymi skwapliwie z Boną i Włochami, dziwić się temu nie powinniśmy; że narzeka, rzecz słuszna, że sarka i gromi, a przytém zaprawia słowa nieraz goryczą wybaczymy, bo w sędziwym wieku, zrządność bywa najczęściej nieodstępny towarzyszem. Satyra więc to *nie paszkwil*, a tém więcej wartująca, że umiejętny badacz, znajdzie tu niemało farby do odmalowania w tak odległych wiekach naszej społeczności.

W.

Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4 z mapą miasta, mappami kolei żelaznych i drzeworytami. Ułożony i wydany przez Felixa Fryze i Ignacego Chodorowicza. Warszawa, w drukarni Gazety Lekarskiej (w 18-ce).

Przed szesnastu laty F. M. Sobieszczański dał nam pierwszy *Przewodnik po Warszawie* (1857 r.), który wprędce wyczerpany m

został z handlu księgarskiego. Teraz mamy nowy *przewodnik*, daleko w rozmiarach obszerniejszy.

Wydawcy słusznie uczynili, że wezwali pomocy kronikarza naszego miasta, który oddawna ma przygotowany opis historyczny Warszawy, którego szkic ogłosił drukiem w Bibliotece Warszawskiej i w oddzielnej odbitce. Częścią najwięcej też ogół obchodzącą, jest opis naszego grodu i jego okolic przez F. M. Sobieszczańskiego, a jako uzupełnienie takowego „Życie w Warszawie“ skreślone przez Wacława Szymanowskiego.

Działy inne informacyjne, są właściwą treścią *Przewodnika*, na użytek tak samych mieszkańców miasta, jak i przybyłych obywateli. Dołączoną jest taryfa domów z numerami hipotecznymi i policyjnymi, ułatwiająca wiele w poszukiwaniach interesantów.

Zdobią go cztery drzeworyty starannie wykonane: 1). Widok Warszawy z wieży kościoła Ewangelicko-Augsburgskiego przy ulicy Królewskiej. 2). Widok Warszawy z wieży kościoła św. Anny (dawniej Bernardynów) na Krakowskiem-Przedmieściu. 3). Gmach Teatru Wielkiego. 4). Pałac Kazienkowski. Oraz dwie tablice litografowane, mappa kolejowa środkowej Europy i plan Warszawy.

W wydawnictwie tém znajdujemy niemało usterek, ale te są nieodstępne, w pracy tak obszernej mającej rozmiary, potrzebującej tyle różnorodnych materiałów, których brak nieraz uczuć się daje. Usterki te w następnych *Przewodnikach* łatwo będzie sprostować i niedostatki uzupełnić, ażeby wydawcy w zupełności odpowiedzieli swemu zadaniu. W.

Wystawa powszechna w Wiedniu.

II.

Nie jednemu z czytelników zdawać się będzie, że w głównym pałacu wystawy zebrane jest to, co najgodniejsze widzenia, a w innych rzeczy mniej na uwagę zasługujące. Tymczasem pomijając nawet wystawę sztuk pięknych, maszyn, wystawę przedmiotów rolnictwa, wiele innych działów poza obrębem głównego pałacu urządzonych, są pierwszej wagi, a nawet jeszcze więcej zaciekawieć mogą. Jednakże pod względem masy i różnorodności przedmiotów, główny pałac trzyma pierwsze miejsce, od niego więc zaczynamy.

Cały gmach główny wystawy przemysłowej, zajęty jest na wyroby z włókna i wełny, na wszelkie wyroby galanteryjne, drobniejsze wyroby z drzewa, metalu i kamienia, szkła, porcelany, fajansu, narzędzia optyczne

zegarki, odlewy, drobniejsze ślusarskie wyroby, instrumenta muzyczne, skóry, papier, broń i t. d.

Zresztą zupełnego podziału przedmiotów nie ma, i wiele tych samych w większej lub mniejszej ilości można znaleźć gdzieindziej, poza obrębem głównego pałacu.

Najwięcej przedmiotów umieszczono w wielkich szafach szklanych, bardzo ozdobnych, stojących w środku każdej galeryi i przy ścianach, na których oprócz tego wywieszono dywany, lustra, w innych działach okazy sztuki drzeworytniczej, litografii, fotografii i t. d., zresztą w innych miejscach ozdobnie napiętrzone massami najrozmaitszych przedmiotów.

Dla okazania jakim sposobem ozdobiono te wszystkie, często najpowszedniejsze dla naszego oka przedmioty, opiszę kilka w rotundzie.

W jej środku fontanna tak wielka jak nasza w ogrodzie Saskim, której jednak z wielu miejsc w obwodzie samej rotundy nie widać wcale, poza masą rozmaitych przedmiotów, wystawionych w rozmiarach niezwykłych. Meyer np. z Hamburga, fabrykant wyrobów kauczukowych, wystawił sobie z kauczuku ogromny pomnik sławy, tak wielki, że mógłby stanąć na placu jakiego miasta. Na wielkiej i wysokiej czworogranniej podstawie z gumy, ozdobionej wieloma bardzo pięknymi figurami i portretowemi popiersiami naturalnej wielkości Humboldta, Liebiga i innych, postawiona kolumna (jak się zdaje na oko), na 5¹/₂ sążni wysoka, odpowiedniej grubości, także z jednolitej masy gumowej, a na niej anioł ulany z gumy 2¹/₂ łokci wysoki, bardzo pięknych kształtów, trzyma wieniec laurowy, którym chce uwieńczyć zapewne p. Meyera, właściciela tak wielkiej i sławnej fabryki, nie czekając na zdanie wysokiego „Juri“ wystawy powszechniej.

Jedna tylko ta kolumna, chociaż piękna i wspaniała, jeszcze nie daje miary o wartości wyrobów tej fabryki, to też są tam i okazy wszelkich przedmiotów, jak kalosze, płaszcze, poduszki, kije, rury i t. d., ale dla estetyki ulokowane tak, ażeby nie wpadały wcale w oko. Umieszczono je w 4 głębokich niszach, wyrobionych we wspomnianej czworogranniej podstawie.

Fabryka ta ma 33 agentury we wszystkich stronach Europy, w Afryce i w Ameryce nawet. Agentami na naszą Warszawę, Berlin, Bruksellę, Moskwę i Petersburg są pp. Meyery.

Nieopodal od tego niejako arcydzieła z gumy, stoi dzieło tegoż rodzaju, ale jeszcze większych rozmiarów, ze stearyny. Na ogromnym stearynowym kwadratowym postumencie, wysoka też stearynowa kolumna, a na jej szczycie bardzo piękne popiersie Mylly'ego założyciela fabryki. Poniżej kolumny na podstawie, sześć bardzo pięknych figur stearynowych w siedzącej i stojącej postawie, od 2 do 2¹/₂ łokci wysokich.

Możnaby powiedzieć że figury stearynowe są też artystycznej piękności, tylko ten połysk atlasowy właściwy stearynie, zdradza ich pochodzenie z nieartystycznego materiału.

Nasz wiek zmateryalizowany nie chce uznać w sztukach pięknych odrębnej, po nad materyalizmem stojącej dziedziny, ale przedmiotom najbardziej materyalnej natury, nadaje te same pozory piękna. Tak niedawno wyznawanej wierze, że sztuki piękne same sobie są celem, stanowczo zaprzecza, robi z niej coraz szersze zastosowania, niejako materyalizując sztukę. Cały ten postument jest otoczony ballustradą i festonami ze sznurów aksamitnych i ma obwodu 48 kroków. Stóg siana, mający tyleż obwodu, już się nazywa wielkim stogiem.

Jak w kolumnie gumowej wyroby fabryki ulokowane są tak, ażeby odrazu nie wpadały w oko, więc i tu dołem wokoło mydła, świece, glicerynę, a i to ozdobione jeszcze medalami, widokami i planami fabryki, urnami z mydła i stearyny.

Wielka ta i piękna fabryka znajduje się w Leising pod Wiedniem.

Albo oto jak efektownem wystawieniem wyrobów lnianych, austriacka fabryka Oberleithner et Comp. zwróciła na siebie szczególną uwagę. Przystawiła do głównego gmachu wielką altanę okrągłą ze szklanym dachem o szafrowym na białem tle rysunku, a na jej środku urządzono wysoką fontannę, u której wierchołka postawiono śliczną z białego marmuru figurę tój, której mytyczne dzieje z przedzą się łączą. Trzyma w ręku wrzeciono i ciągnie nić długą, zapewne nierównanej piękności. Aż pod jej stopy bije strumień fontanny, tylko nie z wody, a z subtelnie roztrzępanego lnu. Strumień ten spada na obszerny rezerwoar, z którego dokoła przez lwie paszcze, spływa ten len do jeszcze większego rezerwoaru, gdzie ta niby woda szumuje i pieni się, spadając i ginąc ostatecznie. Środkowa kolumna, będąca podstawą rezerwoarów, ubrana bukietami z zielonego i żółtego lnu, kwitnącego i dojrzałego, które niewyraźnie się przedstawiając poza spadającą niby wodą, bardzo dobrze się wydaje. Górny i dolny rezerwoary ubrane w festony z liści dębowych i winogronowych, przeplatanych żółędziami i winogronami, a wszystko to bardzo misternie z lnu wyrobione. Kłębki nici zrecznie tu i owdzie porozrzuca, naśladowują melony, jabłka i inne owoce.

Okien w tój altanie niema, ale na ich miejsce porozpinane serwetki z bardzo pięknym deseniem białym na tle popielatym i ubrane jak okna w franki z szafrowego atlasu: takież portiere, a na około fontanny fotele, obite tym samym atlasem szafrowym, zapraszające przechodnia, ażeby racył spocząć i dłużej się lubować tym fantastycznym utworem z materyału tak pospolitego, tak zda się niedzięcznego do podobnych rzeczy.

Teraz już czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jak téż może być ozdobnie przedstawioną każda rzecz najpospolitsza, najmniej sama z siebie zdolna do zrobienia efektu.

Najwięcej takich wielkich efektownych wystaw jest w rotundzie. Wystawa tam jest kollektywna wszystkich narodowości, a massa wystawionych przedmiotów jest taka, że nieraz opuściwszy jakiś przedmiot, trzeba długo szukać, nim się go znajdzie powtórnie.

Ze wszystkich przedmiotów wystawionych w rotundzie, może najbardziej powinny zwrócić uwagę naszych przemysłowców skóry Mayera z Freyburga. Wyrób prześliczny, miękkość nadzwyczajna, ale najbardziej zadziwiający koloryt safianów: czystość i różnaitość kolorów dotąd nieznaną.

Zdala nie zdaje się wcale ażeby to mogła być wystawa skór, tylko wygląda na wystawę pięknych wyrobów materji jedwabnej. Ozdobna altana kwadratowa obita z jednej strony najpiękniejszym pikowanym safianem mat-zielonym, w ramach srebrnych, wygląda zdala jak najpiękniejszy ryps jedwabny. Druga strona obita różem wszystkich odcieni, najczystsze, najdelikatniejszego mat-koloru, ubrana w ramy ozdoby i gerlandy złożone. Trzecia ułożona w gwiazdę różnokolorowych promieni, przyciśnięta złożoną tarczą z cyframi. Czwarta w gerlandę ze skór czarnych z połyskiem atlasowym (satiné) albo zupełnie mat, a także skóry czarne lakierowane. U dołu z jednej strony skóry ułożone w kolory tęczowe, z innych stron kolory metalowe, złote, brązowe, białe i inne. Przedstawiono przytém okazy werniksu i farb.

Fabryka ta z bardzo wielu wystaw otrzymała pierwsze medale, i teraz, rzecz niewątpliwa, na wystawie wiedeńskiej otrzyma pierwszeństwo. Nietylko równych tój, ale nawet podobnych wyrobów wystawa nie posiada. Szczególniej kolorowanie safianów doprowadzone w tój fabryce do doskonałości chyba, bo trudno sobie wyobrazić jakie mogłyby być piękniejsze. Skóry czarne i lakierowane, prawie równie dobrze przedstawiły i inne fabryki, obce i nasze. Ale że wyroby safianów dalekiemi są do tego ażeby się zrównały z wyrobem Mayera, więc byłoby bardzo pożądanem ażeby powyższa fabryka posłużyła za wzór do udoskonalenia krajowych safianów.

Przed dwoma laty jeszcze, pod wpływem przekonania, że młodzi nasza powinna się garnąć do fabryk i przemysłu, rzucono się do garbarstwa więcej jak do wszelkiego innego fachu: ludzie dostatni nawet posyłałi synów za granicę dla kształcenia w tym kierunku. Dziś ta gorączka do garbarstwa nieco ustała, może dlatego że się wzięto i do innych gałęzi także. Ale jeżeli kto pragnie kształcić się w garbarstwie i wyjechać w tym celu za granicę, niech nie zapomni o Freyburgu.

Naszym fabrykantom tóż byłoby nietrudno udoskonalić swój wyrób, bo i dziś wiele jest dobrych, i niepoślednio na wystawie wyglądają: pomijając wyrób freyburgski Meyera z wielu innymi konkurować mogą. Safiany i skóry Fröhlicha z Warszawy są dobre, Pfeifera także, skóra groszkowa Domańskiej z Lublina wcale dobra. Bauerfeinda wystawa obfita, groszkowych i safianów wiele dobrych. Karola Lampe ułożone w gwiazdę safiany wyglądają nie arcy szczególnie i koloryt brudny jak to zwykle bywa, ale kilka okazów wcale pięknych, zbliżonych nawet do wyrobu Meyera z Freyburga.

Z powodu tój prawdziwie zachwycającej wystawy skór w rotundzie, wspominałem o naszych wyrobach tego rodzaju i nie będą potrzebował powracać do nich przy opisie innych działów naszej wystawy.

Rozmaitość w rotundzie największa: tu okazy galanteryi i wyrobów z nowego srebra, często z przepyszną wystawą, między którymi odznacza się gustem, rozmaitością i obfitością okazów—Jüerst, a po nim (także z Bellealliance) Vollgoldt, obaj z Berlina. Gdzieindziej ogromne kilkołokciowej wysokości piękne bukiety ze sztucznych kwiatów (wiedeńskie A. Prir'a), dalej znowuż wyroby ryżowe, a między nimi najcelniejsze Maria Coffani z Wiednia. Tu ze słomy ryżowej żyrandole i toalety, kosze, worki, stoliki, wachlarze, wazon, parasolki i t. d. Te ostatnie chociaż z materyału nie właściwego na to, jednak są bardzo ładne, składają się i rozpinają dobrze.

Wystawą futer odznacza się Witzleben z Lipska, wystawą aksamitów Linden (Hannover); rypsami i dywanami rypсовemi imitującymi gobeliny Albert Wolff. Leitenberger z za Wiednia przedstawia ogromny wybór płócienek i wyrobów pikowych. Tu także ozdobiono wystawę lwiami paszczami, z których tryskają płócienkowe strumienie, na małe rezerwoary, w których te płóciénka niby się pienia i bałwanią. Wielkiego złudzenia tu niema, można się jednak łatwo domyśleć o co to wystawcy chodziło. Ciekawemi są tu cylindry miedziane z rysunkiem i okazami tegoż rysunku odcisniętemi na chustkach, i koronki bardzo delikatne, które pod silnym pressem wydrążyły swój deseń na cylindrach miedzianych, a te posłużyły następnie za wzory do drukowania tychże deseni koronkowych na płócienkach. Rypsy, chustki i inne materye wełniane najcelniejsze Vogla z Chemnitz-Lunzenau, w wyborze niezwykłym, bogactwo i rozmaitość bardzo wielka, koloryt i gust dobry.

Wiemy że przyrodzenie obdarzyło Szwecyę ogromnymi pokładami najlepszej rudy żelaznej i że ta stanowi jedno z najglówniejszych źródeł bogactwa krajowego. Widzimy tu pięknie się prezentującą fabrykę szwedzką żelaza (Fagersta) nagrodzoną i na paryzkiej wystawie. Tu pokazano maszyny do obtaczania żelaza, jeden cylinder żelazny mający $1\frac{1}{2}$ stopy w średnicy i 2 sążnie długi, obtoczony i obok nietoczony i nieszlifowany 4 sążnie długi. Toczanie takiego żelaza robi się za pomocą stalowego dłuta umieszczonego pionowo nad cylindrem. Maszyna równo obraca cylinder posuwając go ciągle ku dłutu, z pod którego nieustannym pasem wychodzą wióry żelazne, jak drzewne z pod hebla stolarskiego, tylko nierównie dłuższe, zwinięte spiralnie. Długość i gładkość wiórów świadczy także nieco o dobroci żelaza i maszyny, zatem tu są i okazy wiórów żelaznych: większe $1\frac{1}{2}$ cala średnicy mają po 7—8 łokci długości, cieńsze półcalowe zwoje bez końca złożone na kupę łokciowej wysokości. Ciekawém jest widzieć kiedy dluto zagłębia się w żelazie jak w maśle i struże wióry bez żadnego napozór wysilenia. Robotą tą, nietylko że się odbywa na zimno, ale jeszcze (ponieważ przy robocie dłuta żelazo silnie się ogrzewa) w to miejsce dla ostudzenia go, splywa nieustannie zimna woda.

To samo, tylko na mniejszą skalę może każdy oglądać i w Warszawie, np. w warsztatach mechanicznych drogi żelaznej.

Zwraca tu jeszcze powszechną uwagę wystawa wyrobów miedzianych i cynkowych J. J. Lareiltiere et fils z Paryża: ogromna altana

z miedzianych rur od 1½ stopy średnicy mających do najcieńszych, ubraną chorągwiemi narodowemi.

Altana cała na wysokim podniesieniu, na które wchodzi się po szerokich schodach, zrobionych z płyt cynkowych. Z jednej strony do wejścia zrobiony długi pomost z płyt cynkowych oparkaniony rurami miedzianymi, bez których przejście po tym pomoście na dość znacznej wysokości zrobionym, nie byłoby zupełnie bezpieczne.

Podłoga tej wielkiej altany chociaż mającej w środku dość obszerny salonik, ułożona z trzech tylko płyt cynkowych. W środku stoi armata śrubowa z brązu nabijana od tyłu (bardzo chwalona przez jakiegoś inżyniera specjalistę, którego tam spotkałem), okazy medali i monet wyrabianych w fabryce, na ścianach plany i widoki wielkiej fabryki. Naokoło masa okazów rudy miedzianej, miedzi czystej w płytach kwadratowych sążniowej szerokości, grubych na 6, 7, 8 cali, kotły miedziane 2 sążnie w średnicy mające i t. d. Ile taka jedna wystawa musi zająć przestrzeni, z opisu łatwo sobie wyobrazić.

Rozmaitością, masą i pięknością wyrobów kauczukowych odznacza się rossyjsko-amerykańska kompania, która w r. 1860 założyła w Petersburgu fabrykę, posługującą się 7-ma maszynami parowemi o sile 600 koni. Oprócz masy najrozmaitszych, najpiękniejszych wyrobów, jako mniej używane zwracają uwagę bardzo piękne okucia kół z gummy galwanizowanej. Gummowe obręcze na koła mają półtora cala grubości. Okucie takie znane już od lat najmniej 20-tu dla trudności wyrobu nie może się upowszechnić i prawdopodobnie zostanie na zawsze tylko osobliwością.

Jeszcze jedna fabryka harburgska (Reithofera) wystawia tu wazę gummową, ciemno-zieloną z czerwonymi pręgami, imitującą marmur, mającą dwa łokcie w średnicy.

Do rzeczy niezwykłych zaliczyć także można wyroby J. Bossi z Wiednia: dywany, materye na firanki, serwety, markizy, tkane z grubych nici konopnych, imitujące (kolorem i deseniem) gust wschodni. Fabryka ta nazbierała już wiele medali i za powyższe i za wyroby także pięknych chustek perskich.

Stolbergska fabryka szkła, obok wielu szyb kolorowych, matowych i gładkich, przedstawiła jedną białą lustrową, mającą 5,20 metra wysokości i 3,00 m. szerokości.

Oprócz tych różnego rodzaju towarów jest tu dla zamilowanego w geologii bardzo piękna, wielka mapa geognostyczna pierwotnych formacji Szwecyi z nad jeziora Meler, z okazami w naturze granitów, gnejsów, marmurów, kamienia magnetycznego, dolomitu; obok 2-jej kolumny z granitów szlifowanych i różnokolorowych marmurów, nareszcie okazy konch i dalej dyorytów, sienitów i innych kamieni.

Nieopodal od tej, bogata zdobycz dla geografii, topograficzna. mapa Szwajcaryi około 11 łokci długa i prawie tyleż wysoka; dla archeologa kopia wazy z Pompei, znalezionej w r. 1837 i znajdującej się w muzeum królewskiem w Neapolu, koloru niebieskiego z białą płaskorzeźbą (Bas-

reliefs). Szczególne w niej tylko to, że jest kopią wazy z Pompei, Waz takich we wszystkich szczegółach zupełnie podobnych do oryginału, przyrzeka dostarczyć ile się spodoba uprzejmy p. Franz Steigerwald z Monachium. Piękny bardzo jest monument nacyonalny genewski: na wysokiej podstawie granitowej wielka figura biała kobiety, wyobrażająca Szwajcaryę, ma jedną rękę podniesioną ku niebu, w drugiej wieniec laurowy. Poniżej, z czterech stron, czterech olbrzymów wyobrażających wiernych synów Szwajcaryi, co życie poświęcają krajowi. Jeden trzyma złamaną buławę, drugi z potrząskaną dzidą i toporem u boku, trzeci przebija siebie strzałą i pod nim napis: „Heldentod für's vaterland,” czwarty drzemiący starzec, co już się wysłużył ojczyźnie, a jednak nie opuszcza pola i zakończy służbę chyba razem z życiem; ma chorągiew w rękę i tylko rękojeść od złamanéj w bojach szablicy. Poniżej napis: „Unbesiegt Storben die den Tuhmrollen.“ Górą ten w najwyższym stopniu patryotyczny napis: „Unsere seelen Gott, Unsere leiber den feiden Schweiz.“

Za pośrednictwem téj pamiątki narodowej malutka Szwajcaryja (w obec przewrotów i rosnących potęg po za jéj granicami), jak gdyby chciała przypomnieć światu, że miłości dla ojczyzny i poświęcenia dla obrony swobód w potrzebie im nie zabraknie, że jéj synowie, godni są przodków swoich z czasów Wilhelma Tella.

Obok tego pomnika są piękne odlewy z brązu Thiebauta i syna z Paryża, z pokazaniem odlewów, jak wychodzą z form jeszcze nieodszlifowanych, z masą przylepionych do figur prętów i jakby wyciągniętych z wnętrza włókien, żył i arteryj, które muszą być odjęte. Wiele figur wcale pięknych, a u szczytu wystawy brązowy lew nierównie większy, niżeli naturalnéj wielkości. Takież odlewy Bechet i Com, także z Paryża nie tylko nie mają w sobie nic artystycznego, ale poprostu brzydkie, niezgrabne. Specyalnością fabryki są chyba wyroby kościelne, bo w wielkiej wystawie tylko figury świętych. Artystom téj fabryki oprócz brakū artyzmu, brak jeszcze i religijnego natchnienia, bo figury wszystkich bardzo niesympatyczne.

Do tego opisu, jeżeli wspomnieć jeszcze o wystawie modeli, statków i przyrządów nawigacyjnych (Bra Bizkenhead i ronworks); o modelu pięknej galerji Wiktora Emanuela w Milanie (architekt Mengoni), której najszczegółowszy opis na nic się nie przyda, bo nie da wyobrażenia o rzeczy; o dzwonach Alberta Samossa z Laibach bardzo pięknego wyrobu (sztuk 7), których dźwięki mają być bardzo harmonijne, to téż codziennie świdrują niemi uszy publiczności; o organach Rigera ze Szlązka, Dilingera i Stejnmejera z Wiednia, które nie zdają się być arcydziełem. O zegarze wieżowym Manhardta z Monachium, mającym cylinder na 1½ stopy w średnicy, na który się nawija powróz konopny przyzwoitéj grubości z wahadłem na sążeń polski długiém; o modelach mostów żelaznych, o maszynie do wyrabiania bardzo długich i szerokich arkuszy papieru, o fotografiach Lówy gorszych od wielu naszych warszawskich, ale w bardzo pięknej szafie szklannéj, o trąbach Cereny'ego z Kralowe

Hradec starannie wyrobionych; o ołówkach Hardmütz'a bardzo pięknych i o wielkim krajobrazie ołówkiem robionym, o kolektywnej wystawie koronek bardzo bogatej, jeszcze o wielkiej wystawie świec Hofa, który ułożył tu jedną wielką z bardzo białych i twardych świec stearynowych i cztery mniejsze piramidy, mające razem obwodu około 45 łokci i Himmelbauera, który postawił też kilkosążniową kolumnę z jednolitej masy stearynowej, a na niej takąż bardzo piękną figurę, to będziemy mieli opisaną całą wystawę rotundy. Przypominam tu tylko, że jeżeli było kilku wystawców tegoż rodzaju wyrobów, to wspominałem o najcelniejszych.

Wystawę w rotundzie opisałem szczegółowiej dlatego tylko, ażeby z tej części dać dokładniejsze pojęcie o całej wystawie przemysłowej w pałacu głównym i o dekoracyi, jakiej wystawcy użyli, w celu zwrócenia na siebie powszechnej uwagi. Szczegółowe, chociaż najpobieżniejsze opisanie całej wystawy, pomijając że byłoby nieużyteczne, jest najzupełniej niemożliwe, z powodu szerokich rozmiarów, jakie przyjęła wystawa. Na dowód wspomnę tylko o coraz częściej powtarzającym się zdaniu, jak się zdaje najsluszniejszemu, że wystawy powszechne, chociaż są rzeczą tak nową, co do czasu, a jednak zaczynają przechodzić epokę swojego racjonalnego istnienia, z powodu tak szybko wzrastającego przemysłu, że wystawa powszechna objąć go nie zdoła w rozmiarach, mogących dać dokładne wyobrażenie o jego stanie ogólnym i każdego kraju w szczególności.

Zatem przyszłość wystawy powszechnej, jak wszystkiego co szybko się rozrasta jest ta, że musi się rozpaść na części, ażeby tym częściom z kolei pozwolić się lepiej i prędziej rozwijać i doskonalić. Tak było w nauce, tak było w przemyśle, tak będzie w obrazowaniu przemysłu za pomocą wystawy powszechnej.

Wprawdzie w urządzeniu wystawy wiedeńskiej brak systematyczności i pod tym względem daleko niżej stoi od wystawy paryzkiej, ale też i nawał przedmiotu już dziś czyni bardzo utrudnionem systematyczne jej uporządkowanie.

Wiem o dwóch wypadkach, gdzie nasi specjaliści udając się na wystawę w celu wyłącznego zbadania jednej tylko gałęzi przemysłu, już po pewnym czasie poszukiwań odpowiednich do swojego wyłącznie specjalnego celu, uskarżali się że jeszcze do żadnego rezultatu przyjść nie mogli i niczego się jeszcze nie nauczyli, bo w tej massie przedmiotów źle ugrupowanych wątku dotąd znaleźć nie mogli.

Z tém wszystkiem jednak przejdziemy z czytelnikiem całą wystawę, w nadziei że wiele znajdziemy rzeczy godnych zanotowania.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa, sierpień 1873 r.* T. J. Rola wydał książkę p. t. „*Ziarnka mądrości.*” Jestto zbiór moralnych zdań, maksym i myśli wybranych z dzieł przeważnie polskich pisarzy, jako: Skargi, Kochanowskiego, Brodzińskiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Supińskiego i innych. Ma ona służyć dla zajmujących się wychowaniem dzieci, a także „dla młodzieży pracującej nad własnym moralnym kształceniem.” Istotnie, dobór maksym tyczących się głównych podstaw życia i moralności bardzo staranny, szkoda tylko że się ogranicza na wyborze pisarzy swojskich, pomijając tylu nieśmiertelnych myślicieli i że nie przytacza nazwisk autorów przy każdej przypowieści, którą się przeto więcej utrwaliło w pamięci. Tego rodzaju zbiory obce zawsze dodają nazwiska, tak np. p. Deschanela, który puścił w świat szereg tomów, traktujących w ten sposób epizodyczny o wszelkiego rodzaju uczuciach, mniej wszakże dbając o jakibądź cel wyższy.

Praca zaś p. Roli tém się przedewszystkiém odznacza, że jest poczęta i wykonana w znacznej myśli i znaczniejszych jeszcze zamiarach, za co samo już zasługuje na szerokie uwzględnienie.

— Z publikacyj Józefa Grajnera: „*Wybór powieści i opowiadań*” wyszła część IV i obejmuje: *Kontrabandzista*, powieść z prawdziwego zdarzenia Karola Vallut. Przełożona z francuzkiego, przez K. Bujnickiego; i *Marysia*, powieść kujawska, przez Grajnera. Warszawa. Czcionkami Gazety Lekarskiej, 1873 r. (w 12-ce, str. 128). Całe wydawnictwo obejmować ma 12 tomów.

— Czytamy w korespondencyi z Wielunia pomieszczonej w Gazecie Polskiej, o rozwijającym się artyzmie pomiędzy ludem naszym. „Są tu (pisze korespondent) wsie jak np. *Eubnice* i *Dzietrzkowice*, które wydają muzyków, rzeźbiarzy, astronomów, stolarzy i chórzystki. Muzykę stanowi kapela z samych wieśniaków złożona, reprezentując nieodzwonne skrzypce, klarnet, fagot, trąbki i t. p. i grywając z nut po kościołach lub na weselach. Chórzystką jest wieśniaczka, która w czasie odpustu u XX. Augustyanów w Wieluniu, śpiewała także z nut pięknie, wyciągając czyste, jak to mówią trele solowe. Zaś rzeźbiarzem, szklarzem, stolarzem i astronomem, a zarazem i gospodarzem rolnym w jednej osobie, jest włościanin *Karol Janik* z Łubina, który rzeźbi figurki świętych, robi meble wiejskie i urządza kompanasy dla ścian kościołów i domów, trafnie wskazujące godziny słoneczne. Syn ukształcony przezeń jest postępowym stolarzem. Piękne te ziarna nauki i sztuki w znaczeniu jój względném,

rzucone tu zostały szlachetną ręką ś. p. prałata Anzanowskiego, niedyś miejscowego proboszcza. Dla dziatwy wiejskiej trzymał ten szanowny kapłan zdolnego nauczyciela, który szczepił w jój serca i umysły wiedze i zaczątki sztuki.“

— *Gaz. Przem. Rzem.* pisze: Inżynier Janicki Warszawianin, były uczeń szkoły centralnej paryzkiej, który brał udział w budowie mostu żelaznego pod Warszawą, jako inżynier fabryki Gouin'a, jako téż w przekopaniu międzymorza Suez, zbudował niedawno dok pływający na pontonach żelaznych swojego pomysłu, któremu to dziełu dziennik angielski „Engineering“ z r. 1871 na str. 185, a z nim i pismo niemieckie „Zeitschrift des Architekten und Ingenieur-Vereins“ in Hannover, wielkie pochwały oddają.

— Na odbytém walném posiedzeniu Akademii umiejętności w Krakowie, przeszła cała lista kandydatów czytana na posiedzeniu inanguracyjnym d. 7 maja r. b. a którą podaliśmy już w naszym piśmie, dając szczegółowe sprawozdanie z téj uroczystości w starym grodzie.

— Stefan Buszczyński wydał rozprawę: „Oświata w Polsce i u Niemców za czasów Kopernika i w dzisiejszych czasach.“ Dr. August Sokołowski w Poznaniu ogłosił studjum historyczne: „Konrad książę na Mazowszu i Zakon niemiecki.“

— Dramat Adama Asnyka, znanego poety pod imieniem El...y, nakładem księgarni Nowoleckiego wyszedł w Krakowie.

— Komedye Aleksandra Fredry syna: *Przed śniadaniem i Posażna jedynaczka*, przełożone zostały na język niemiecki, przez znanego komedyo pisarza Juliusza Rosena i mają być odegrane w teatrze miejskim wiedeńskim pod dyrekcją Laube'go.

— Komisya archeograficzna wileńska wydała VI tom swych Akt (w 4-ce, str. LXIX, 597, 76). Mieszczą się w nim: 1) Akta brzeskiego sądu grodzkiego; 2) akta brzeskiego sądu podkomorskiego; 3) akta brzeskiego miejskiego sądu, tudzież kamienieckiego. Ten tom kończy zbiór akt sądowych dawnego województwa brzeskiego.

— *Wiestnik Europy* (tom na lipiec r. b.), jeden z celniejszych utworów Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli): „Fragmента o Filipie z Konopi“ wydrukował w przekładzie rosyjskim.

— *Literarisches Contrablät* w Lipsku wychodzące ogłosiło konkurs „Towarzystwa ks. Jabłonowskiego,“ mogący mieć interes i dla nas tém bardziej, że w konkursie tym idzie o rozprawy, tyżące się spraw naszych, a mogące być pisanemi nietylko w języku niemieckim, lecz także we francuzkim i łacińskim. Na rok 1837 z terminem po koniec listopada, idzie o rozprawę tak określoną: „Źródłowe dzieje handlu polskiego zbożem za granicą“ nagroda 60 dukatów. Na rok 1874 (termin nadesłania upływa w tymże roku z końcem listopada) żądana jest rozprawa przedstawiająca: „Szczegółowe zbadanie stosunku, w jakim znajdują się w obrębie rodziny indo-europejskiej języki grupy litewsko-słowiańskiej do języków germańskich.“ Szcze-

głowa uwaga co do tego opracowania: używać można tylko łacińskiego i greckiego alfabetu, oznaczając dźwięki litewskie i słowiańskie podług systemu, którego trzymał się August Schleicher. Nagroda, 60 dukatów. Na rok 1875 rozprawa „tycząca się dziejów rozpowszechnienia się i rozwoju języka niemieckiego w Prusiech Wschodnich i Zachodnich aż do końca XV-go wieku, ze szczegółowym uwzględnieniem wpływu, jaki nań wywarły dwa niemieckie dyalekta.“ Jeżeli dla zbadania przedmiotu, podróż się okaże konieczną, Towarzystwo oprócz nagrody 60 dukatów, zapewnia zwrot kosztów tej podróży. Nareszcie na rok 1876 ma być wypracowana rozprawa, dająca pogląd na połów śledzi i handel niemi w zakresie morza Niemieckiego i Baltyckiego: nagroda 700 marek. Wszystkie te prace mają być przesyłane pod adresem sekretarza Tow. ks. Jabłonowskiego. Na rok 1873 jest sekretarzem p. Zernecke, professor literatury niemieckiej w uniwersytecie lipskim, redaktor pisma powyżej cytowanego.

— Lucyan Siemiński zaczął w zeszytowej publikacji wydawać swój przekład *Odyssei* Homera w Krakowie. Całe dzieło wyjdzie w XII zeszytach ze wstępem o Homerze i *Odyssei* z litografiami i drzeworytami. Wiele pieśni poprzednio już znamy z *Dodatku do Czasu Biblioteki Ossolińskich* i z *Kłosów*. Tłumaczenie tego arcydzieła starożytnej Grecyi, należy do mistrzowskich przekładów i przynosi prawdziwą chlubę dla literatury polskiej.

— *Towarzystwo pomocy naukowej dla kobiet* w Poznaniu odbyło w dniu 28-ym z. m. walne zebranie. Czynności tego Towarzystwa są ze wszech miar godne uwagi i dlatego podajemy o nich dokładniejszą wiadomość, poczerpniętą z obszernego sprawozdania, pomijając szczegóły dotyczące zarządu, a głównie stanu kassy Towarzystwa. Myśl założenia podobnego Towarzystwa była nader szczęśliwa; tak rychtém jój uskutecznieniem z największą skusnością może pochlubić się W. Ks. Poznańskie. Towarzystwo to składa się z samych prawie kobiet, z bardzo małym wyjątkiem. Zadaniem jego jest, przychodzenie w pomoc kształcącym się w każdym zawodzie praktycznym, a jednak dotychczas największa ilość kandydatek, zgłaszała się na nauczycielki i krawczynie. W ciągu roku liczba uczennic, utrzymywanych kosztem Towarzystwa częściowo lub całkowicie wynosiła 31; z tych 8 kształciło się na nauczycielki, 15 na krawczynie, 2 na modniarki, 1 na gospodynią wiejską, 1 na muzykantkę, 2 w szkole handlowej i t. d.; oprócz tego Towarzystwo okazuje nawet pomoc kształcącym się na kucharki, praczki i t. p. Towarzystwo pomocy nauk, może działać zarówno dobroczynnie na wszystkie warstwy społeczeństwa, ułatwiając kobietom wszelkich stanów możliwość kształcenia się w obranym sobie zawodzie. Lecz co najdziwniejsza, że do zarządów obiecujących najwięcej korzyści i niezależności, jak np. do handlu wyższego, potrzeba było gorliwie namawiać, nim zaledwie 2 się zgodziły na wyjazd do Brzegu na Szlązku. Fundusze Towa-

rzystwa powoli zaczynają wzrastać, a tém samém można mieć nadzieję, że zakres jego działalności, musi znacznie się rozszerzyć. Towarzystwo nie odpowiedziało ani swój nazwie, ani swemu zadaniu, gdyby chciało gorliwie zajmować się kształceniem kucharek, na których u nas nigdy nie zbywało, a nie pomyślało o wyższém wykształceniu swoich kandydatek w zawodach dotychczas niedostępnych kobietom.

— Artur Wołyński, mieszkający we Florencji, wydał w tych dniach obszerną pracę, drukowaną poprzednio „w Archivio storico italiano“ pod tytułem: „Belazioni di Galileo Galilei colla Polonia, esposte suondo i documenti per la maggior parte non publicati dal dott. Arturo Wołyński“. W zbiorze tym mieści się bardzo ciekawa *korrespondencya Galileusza z Władysławem IV królem Polskim* i przypisanie temuż, jego „Dyalogów“; kroki czynione przez Mikołaja Wolskiego posła polskiego do W. ks. Toskańskiego, dla otrzymania od niego teleskopu Galileusza; wiadomość o Michale Aniole Galileuszu, bracie astronoma, który znaczną część życia w Polsce przepędził, niemniej ciekawe szczegóły o polskich uczniach Galileusza i t. d. Z ostatnich dokumentów pokazuje się, że panicze polscy, uczący się u wielkiego astronoma, pożyczali pieniądze u jego kamerdynera, który im oddał cały swój kapitalik mozolnie oszczędzony, a zwrotu pożyczki doczekać się nie mógł. Galileo Galilei pisał do nich list za listem, upominając się o pieniądze swego sługi.

— *L'Antechrist* par *Ernest Renan* (Paris Levy frères 1873, I tom) zawiera badania początków chrystyanizmu, wykład Apokálypsy i ewangelii ś-go Jana, panowanie Nerona, pożar w Rzymie, pierwsze prześladowanie chrześcian, pobyt ś-go Piotra w Rzymie i śmierć tego apostoła, przepowiednie, prorocstwa, stan umysłów aż do dnia zburzenia Jerozolimy. Dla rozświetlenia tak ważnej a zarazem tak tajemniczój epoki, autor zwrócił całą swoją uwagę nie na Jerozolimę, ale przedewszystkiém na Rzym i na kształtującą się w wiecznym grodzie gromadę chrześciańską. Przemawia zawsze z wielkiém poszanowaniem dla uczuć religijnych, a wykład swój historyczno-krytyczny prowadzi z właściwym sobie talentem artystycznym.

— Pan *Beulé*, nie sympatyczny dla republikanów francuzkich terażniejszy minister spraw wewnętrzných, ale zarówno przez wszystkie stronnictwa uwielbiany jako archeolog (heureux Beulé, jak powiadał *Sainte-Beuve*), wydał obecnie p. t. *Fouilles et découvertes* (Paris, Didier, 2 t.) dokładną opowieść o dokonanych przez siebie odkryciach w ateńskim Akropolu, w dawnój Etruryi, w Afryce na miejscu starożytnój Kartaginy, tudzież o odkryciach p. Marietti w Egipcie. Pan *Beulé* umiė ożywiać rzeczy martwe z takim wdziękiem i taką potoczystością dykcyi, że w ciągu pięciu tygodni cała edycya, odbita w 3,000 egzemplarzy została wyczerpaną.

— Niemało sporów i protestacyi obudzi zapewne dzieło pana *Moreau de Jonnés*, traktujące kilka najbardziej zagadkowych kwestyj z pierwotnej historyi rodzaju ludzkiego p. t.: *L'Océan des anciens et les peuples préhistoriques* (Paris, Didier I tom). W części pierwszej mówi autor o oceanie scytyjskim, o potopie, o legendzie Ozyrysa, o osadach Kuszytów, o słupach Herkulesa i wulkanie podmorskim; w drugiej: o ludach przedhistorycznych, Atlantach, Cymmeryjczykach, Scytach, Pelasgach i Hellenach; wnioskuje, że cywilizacya wyszła pierwotnie z Egiptu i postępowała przez Azyą Przedkową ku Indyom, Tybetowi i krainie kaukazkiej, że pierwotnymi cywilizatorami byli Kuszyty, od których pochodzić mają plemiona europejskie.

— Pani *Grote* wydała *Bibliografią Jerzego Grote'a* niegdy małżonka swojego, sławnego historyka Grecyi p. t. *The personal life of George Grote by Mrs. Grote*. Pomimo głębokiej znajomości świata starożytnego, która się uwydatnia na każdej karcie 12-tomowego dzieła, zmarły nie występował nigdy w tozce uczonego, wyglądał owszem na człowieka światowego, dżentelmena; jako bankier czynnie zajmował się interesami handlowemi, brał udział w życiu politycznym, występował z udatnemi mowami w parlamencie, domagając się liberalnej reformy parlamentarnej, trzyletnich wyborów, reform kościelnych, zniesienia dziesięciu, praw zbożowych, niewolnictwa etc., i nie przyjął ofiarowanej mu godności para, chociaż przyznawał, że „osobiście miałby się nieźle w towarzystwie członków Izby Lordów, pomiędzy którymi znajduje się wiele zdolnych i wykształconych osób, ożywionych najczystszeimi popędami do dobrego prawodawstwa“. Dom *Grote'a* był nadto ogniskiem znakomitego ruchu naukowego i filozoficznego: schodzili się tu zwykle *Ricardo*, *Mac Culloch*, *John Smith*, poeta *Th. Campbell*, lord *Bentinck* i serdeczny przyjaciel gospodarza *John Stuart Mill*. Odbywano nawet regularne posiedzenia i przeprowadzano porządnie dyskusyą szczególnie w przedmiotach dotyczących logiki i psychologii. Tu *Mill* rozwijał swój program filozoficzny z ulubioną indukcją, assocyacją idei, utylitaryzmem w moralności. Ta improwizowana Akademia zdobyła z czasem wielki wpływ na umysły nie tylko w Anglii, ale i w całej Europie. W pożyciu domowém *Grote'a* maluje się charakter prawy i szlachetny. Żona dzieliła nie tylko jego uczucia, ale i prace naukowe, prowadziła korektę, załatwiała interesa wydawnictwa, krytykowała niektóre ustępy tekstu, a nawet podała pierwszą myśl napisania dziejów Grecyi.

— *Bucellati* poświęcił obszerne studyum dziełom *Aleksandra Manzoni* (*Del progresso morale, civile e letterario, quale si manifesta nelle opere di Alessandro Manzoni*), w obronie wielkiego poety od zarzutu reakcyjnych dążeń, o które oskarżył go neapolitański professor *Settembrini*. Obrona była łatwą, bo całe życie *Manzoniego* dostarcza nieprzebranych dowodów miłości kraju i najszlachetniej-

szych uczuć. Zrodzony w 1785 r. z Julii Beccaria, córki sławnego kryminalisty i filantropa, który pierwszy zażądał zniesienia kary śmierci, *Manzoni* spędził młodość w domu swego dziadka w Medyolanie wśród wyborowego kółka patrycyuszów, należących do stronnictwa postępowego. Gdy wstępował w zawód literacki, Lombardia znajdowała się już pod panowaniem austriackim, nie mógł więc pisać o stanie swojego kraju inaczej jak w podobieństwach i porównaniach. Przedstawił ucisk Hiszpanów w XVII wieku w przedziwnym utworze p. t.: „Narzeczeni“ (*Promessi sposi*), który zjednął mu odrazu sławę europejską i gorące pochwały Góthe'go. Napisał potem dwa dramaty: *Adelchi* i *Carmagnola*, oraz wiele hymnów, dzieląc przekonania i dążności pierwszych bojowników jedności włoskiej, Sylwiusza Pellico, Gioberti, Balbi, Massimo d'Azeglio. Doczekał na starość urzeczywistnienia marzeń młodzieńczych. Przypomniawszy mu to Mazzini, odwiedzając go w wyzwolonym już Medyolanie w 1860 r. „Patrz, panie Aleksandrze, my dwaj tylko przez czas długi wierzyliśmy w zjednoczenie tych Włoch; dziś możemy powiedzieć, żeśmy mieli słusność“. Wszakże surowość zasad jego była tak wielka, że król Wiktor Emmanuel, dowiedziawszy się o szczupłych funduszach poety, nie wiedział jakim sposobem ma ofiarować mu 10,000 franków pensyi. Massimo d'Azeglio musiał udawać się do jednego z przyjaciół o poparcie, aby Manzoni zechciał przyjąć order ś-go Maurycego od „swego króla“; w takim razie pensya byłaby do orderu przywiązana. Manzoni umarł dnia 22 maja b. r. Na pogrzeb zbiegły się wszystkie znakomitości z całych Włoch i ze wszystkich stronnictw; w nieprzeliczonym tłumie pogrzebowego orszaku panowało jedno tylko uczucie czci dla zmarłego piewcy. Pisma czasowe ciągle jeszcze drukują wspomnienia, listy, ody i elegie o Manzoni.

— Niezmordowany v. *Ranke* wydał *Korrespondencję* króla pruskiego Fryderyka-Wilhelma IV z Bunsenem (Aus dem Briefwechsel Friedrich-Wilhelm's IV mit Bunsen, 1873. Leipzig Duncker u. Humblot). Są to po większej części tylko wyjątki z listów, gdyż wszystkie ustępy, w których znajdowały się wzmianki o osobach żyjących, musiały być usunięte. Zamiłowanie do historii i archeologii zbliżyło króla do znakomitego egiptologa; na tym gruncie rozwinął się stosunek przyjacielski, prawdziwie serdeczny pomiędzy dwoma umysłami najzupełniej różnemi i sprzecznemi w zapatrywaniu się na wypadki życia społecznego. Fryderyk-Wilhelm żył całkiem ideami z czasów reformacyi; wiek XIX przerazał go i budził w nim niechęć. W poufałej korespondencji używa nader energicznych, nawet prostaczych wyrażen, gdy mówi o ofiarowanej mu przez sejm frankfurcki koronie cesarskiej lub o „najbezpieczniejszym buncie“ Berlina, wywołanym przez sprzysiężenie galerników (t. j. Francuzów), Niemców południowych, Polaków i „Manhejmczyków“. Bunsen radził mu otwarcie zaniechać roli artysty-starożytnika i przema-

wiać językiem społecznego wieku. Ranke powiązał luźne częstokroć listy własnymi wyjaśnieniami i uwagami, które znakomicie wartość książki podnoszą.

— Wiadomo, że na poparcie teorii Darwina o pochodzeniu człowieka od małpy, K. Vogt dowodzi na rozmaitych kongresach antropologicznych i w rozprawach drukiem ogłaszanych, iż formą przechodową byli mikrocefale, którzy rodzą się czasem i dzisiaj skutkiem prawa atawizmu. Obecnie przeciwko pomysłowi temu występuje energicznie Dr. Th. *Bischoff*, podając: *Opis anatomiczny ośmioletniej dziewczyny mikrocefalicznej* Heleny Becker z Offenbach (Anatomische Beschreibung eines mikrocephalen 8-j. Mädchens etc. 1873. München. Franz. Mit 5 Tafeln). Z największą starannością jest tu badany mózg, w którym ukazują się wielkie różnice od budowy mózgów małpich i ludzkich, brak symetrii, odmienny układ zwojów i t. d.

— Szwajcarski zoolog i geolog *Agassiz* (obecnie professor w New-Cambridge) poczynił wiele odkryć w ciągu wyprawy naukowej, która wyruszyła w końcu 1871 r. z Bostonu na poszukiwania w najgłębszych otchłaniach oceanów Spokojnego i Atlantyckiego. Znalezione wiele gatunków zwierzęcych, które należą do bardzo dawnych okresów geologicznych a były dotychczas za wygasłe pożytywane, np. *Rhizocrinus*, *Pleuromataria*, *Micraster*. Nadto pod 37° szerokości południowej w odnodze Arauco znalazł pan Agassiz ślady ogromnego lodowca, który się staczał z Andów aż do morza, tudzież mniej rozległe ale liczne dowody działalności lodowców na wybrzeżach Ziemi Ognistej, Patagonii, Chili. Odkrycia te poprzę znakomicie teorią epoki lodowej, za pomocą której tłumaczono zmianę klimatu, fauny i flory dotychczas w samej tylko Europie. Sprawozdanie wyprawy jeszcze nie wyszło z druku; wiadomości te są podane z korespondencji p. Agassiza przez Ernesta Krause w „Magazin für die Literatur des Auslandes Nr. 27 t. r.“

— Dr. *Edward Strasburger*, professor botaniki w Jena, autor drukowanego w zeszycie sierpniowym Biblioteki artykułu „Mimoza“ wydał w języku niemieckim dzieło p. t.: „Die Coniferen und die Gnetaceen. Eine morphologische Studie“ z atlasem z 26 tablic złożonym. Krytyka niemiecka ocenia tę pracę bardzo przychylnie i zaleca ją szerszym kołom publiczności czytającej.

Sprostowanie pomyłek drukarskich w artykule „Żyd Wieczny Tułacz” w tomie III Biblioteki b. r.

Str. 1 od dołu wiersz 11, zamiast *Bässter* czytać *Bässler*. Str. 3 od dołu w. 6, zam. *Hraden* czytać *Hradcu*. Str. 10 od dołu w. 20 zam. *eu* czyt. *vu*. Str. 219 od dołu w. 12, zam. *rzczonych* czyt. *rzczowych*. Str. 226 od góry w. 4, zam. *Jezusowego* czyt *Janowego*. Str. 228 od góry w. 2, zam *pokazujemy* czyt. *pokazują*. Str. 228 od dołu w. 20, zam. *upatrujemy* czyt. *upa-
trujmy*. Str. 229 od góry w. 8, zam. *udać się* czyt. *wdać się*.

† Dnia 28 czerwca r. b. zakończył życie w Warszawie **Alfred Kurawski**, utalentowany artysta malarz w młodym wieku, bo nie dożył lat trzydziestu. Uczeń b. Szkoły Sztuk Pięknych, poświęcał się głównie pejzażom i wiele utworów jego pędzla, mieściła wystawa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Pisma ilustrowane jak *Kłosa* i *Tygodnik ilustrowany* umieszczały rysunki ołówka tego artysty, który w twardej walce światowej o chleb powszedni złamany, zgasł w kwiecie wieku. Zwłoki jego spoczęły w skromnej mogile na Cmentarzu Powązkowskim.

† W dniu 11 lipca r. b. umarł nagle w Kielcach **Leon Gautier**, założyciel i redaktor *Gazety Kieleckiej*. Pismo w skromnych rozmiarach odpowiadało swemu zadaniu w zupełności, zajmując się głównie sprawami i potrzebami miasta Kielc i jego okolic. Odznaczała się też ta Gazeta pomiędzy organami prasy prowincjonalnej, starannością redakcyi i doborem artykułów.

† Dnia 14 t. m. i r. zakończył życie mając lat 55 **Wiktor Dłużniewski**, b. professor szkół publicznych, emeryt. Z prac swoich drukował: „Poezye oryginalne i tłumaczone 1846 r.“ „Pierwsze zasady gramatyki niemieckiej“ 1847 r. „Paweł Łozdia Kubowicz i Scholastyk szewc, dwie gawędy“ 1857 r. „Zbiorek wierszy i wierszyków“ 1859 r. „Pogląd na dzieje ludzkie“ w dwóch częściach 1860 i 1870 r., wszystko drukowane w Warszawie.

† W W. Ks. Poznańskiem w Lubostroniu zmarł dnia 14 lipca r. b. **Erazm Rykaczewski**, w 71 roku życia. *Gazeta Polska* podaje nam obszerny następny życiorys zgasłego męża. W 1825 r. Rykaczewski otrzymał stopień magistra prawa filozofii. Na Uniwersytecie wileńskim przykładał się głównie do języków i historii i w nich doskonalił się całe życie. Języki: łaciński, francuzki, włoski, angielski znał jak język rodowity, a nie obce mu były języki: grecki, rossyjski, niemiecki i hiszpański.

Z Wilna przeniósł się do Warszawy i pisywał artykuły do wydawanego przez Ordyńca Dziennika Warszawskiego. Oprócz bezimiennych krytyk, są tam trzy jego ważniejsze artykuły z podpisem: „Rozprawa M'Culloch o ekonomii politycznej“, „Wiadomość o stowarzyszeniach do wydobywania kruszców w Meksyku“, „Wiadomość historyczna o stosunkach politycznych i handlowych Anglii z Indyami.“ Przetłumaczył na polski język romans Walterskotta „Kenilworth“ wydany w 1828 r. Mimo wysień lekarzy najświetniejszych, zmarł na raka w ustach dnia 14 lipca r. b. Straszne cierpienia nie odebrały

mu mocy duszy, do ostatnich chwil pracował nad tłumaczeniem dzieł Cycerona, których tom szósty jeszcze w przeddniu śmierci korygował.

Ułożone przezeń słowniki: polsko-angielski i angielsko-polski, a nadto gramatyka angielska na użytek Polaków przeznaczona przy Słowniku, wyszły w 1849—1851 (Behr w Berlinie wydał oddzielnie gramatykę). Słownik polsko-włoski i włosko-polski, wydany został w 1856/7 nakładem hr. Arnolda Skórzewskiego (Berlin, u Behra). Słownik angielski tém się między innymi zaleca, że autor podaje w nim sposób wymawiania wyrazów angielskich, co do pewnego stopnia ułatwia obojętnie się bez nauczyciela. Rykaczewski dotąd wydawał te dzieła bez swego na nich podpisu, który spotykamy po raz pierwszy dopiero na ułożonej także przez niego Gramatyce języka włoskiego, przyczém wyraźnie powiedziano, że autor jój jest także autorem Słownika angielskiego i włoskiego, tudzież Gramatyki angielskiej. W roku 1866 wydał u Behra w Berlinie: Słownik języka polskiego we dwóch tomach, jestto najmniejszy z trzech słowników naszego języka (inne są: Lindego i Wileńskiego wydany nakładem M. Orgelbranda), bo jak obliczył p. Sławiński (Obliczenie wyrazów i t. d. Warszawa, 1873), zawiera tylko 42,755 wyrazów. Przed wydaniem tego ostatniego słownika wydał Rykaczewski w Paryżu Gramatykę polską dla Francuzów (1861), a więc po francuzku.

Pracowitość ogromna Rykaczewskiego nie poprzestała na wymienionych powyżej dziełach. Przełożył na francuzki język cztery rozprawy historyczne Lelewela (Porównanie Hiszpanii z Polską, Rozbiór i porównanie trzech konstytucyi, O oświacie w Polsce aż do zaprowadzenia drukarstwa, Rys prawodawstwa cywilnego i kryminalnego w Polsce). Wyszły one wszystkie w Arras między r. 1832 i 1836. W 1861 wydał Rykaczewski Lelewela „Historję Litwy“ po francuzku, własnymi notami opatrzoną. W 1862 r. wyszło z pod jego redakcyi w Paryżu wielkiej wagi dzieło „Inwentarium omnium et singulorum privilegiorum, litterarum, diplomatum, scripturarum et monumentorum quaecumque in arce Cracoviensi continentur.“ Jestto inwentarz metryk koronnych, spisany przez wyznaczoną do tego komisję za Jana Sobieskiego (1631). Oryginał znajduje się w bibliotece watykańskiej; Rykaczewski porównał z nim kopię paryzką, oczyścił ją z błędów i uporządkował. Wypracował jeszcze Rykaczewski „Relacye nuncyuszów apostolskich i innych osób w Polsce od r. 1548 do 1690,“ do czego czerpał materyały z notatek Naruszewicza i Albertrandego. W dziele tém dwutomowém dokumenta oryginalne łaćńskie są wydane

po łacinie, włoskie przetłumaczone na język polski. Rykaczewski poopatrywał je notatami krytycznemi. Wyróżniają się między temi relacjami dotyczące pokoju zawartego za Stefana Batorego w Kiwerowej Horce. Rękopiśmienną Lelewela Historję Polski do Stefana Batorego, napisaną w 1813 r. i od tego czasu nietkniętą przez autora, Rykaczewski przepisał po jego śmierci, objaśnił, przypisami dopełnił i przygotował do druku. Jednocześnie zbierał materyały do dziejów Stefana Batorego i Henryka Walezyusza (z tych ostatnich obficie korzystał markiz de Noailles do napisania swego dzieła „Henri de Valois en Pologne en 1572“). „Batoryana“ zajmowały Rykaczewskiego do ostatnich chwil życia pospołu z pracą nad tłumaczeniem Cycerona. Półtora tysiąca z górą dokumentów zebrał pracowity ten człowiek; jeśli one wyjdą z druku, będzie to wspaniały skarbiec do dziejów z czasów Batorego. Do działu prac historycznych Rykaczewskiego należą pośmiertne rozprawy Lelewela „Dzieje bibliotek“, „Historja geografii i odkryć“ uporządkowane i jak to było zawsze zwyczajem Rykaczewskiego, opatrzone przezeń notami.

Tłumaczenia Cycerona wyszły trzy tomy *Mów* i dwa tomy *Listów*. Obecnie się drukuje tom szósty, zawierający prace retoryczne. Tom następny mający objąć rzeczy filozoficzne i akademickie, nie został przez Rykaczewskiego skończony. Wiadomo jednak, że wydawca poprzednich hr. Działyński powierzył już dokończenie księdzu I. P. i wyda go w swoim czasie.

Dla pamięci po takim dzielnym na różném polu pracowniku, hr. L. Skórzewski ma wznieść Rykaczewskiemu pomnik grobowy z granitu z napisem: „*Preceptori et amico discipulus et amicus.*“

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM.

Z R. 1873.

Materyały historyczne.

	stron.
O bitwie na Psiem-polu i o nazwisku. Przez Bolesława Sikorskiego.	36
Dawna ziemia Bielska i jej cząstkowa szlachta. Przez Zygmunta Glogera	243

Starożytne zabytki języka polskiego.

Ułamek starożytnego kazania o małżeństwie (z dwiema podobiznami). Przez Zygmunta Glogera.	51
--	----

Życiorysy.

Karol Holdziejewski. Przez Eust. hr. Tyszkiewicza.	307
--	-----

Dawne prawo polskie.

Mniemany statut króla Aleksandra o legitymacyi dzieci. Przez Romu- alda Hubego.	181
--	-----

Dzieje współczesne.

Józef Jungmann i obohód stoletniej rocznicy jego urodzin w Pradze czeskiej. Przez Adolfa Smorczewskiego.	390
---	-----

Studia literackie.

- Żyd wieczny tułacz. Legenda średniowieczna. Opowiedział i krytycznie rozebrał Jan Karłowicz. 214

Literatura zagraniczna.

- Tennyson, (Według H. Teina). Streścił Edward Lubowski. 333
 Józef Parini, Z włoskiego. Franciszka de Sanctis. 402

Nauki przyrodnicze.

- Mimoza. Przez Dra Edwarda Strasburgera, professora Uniwersytetu w Jena 233

Przemysł i odkrycia.

- Wystawa powszechna w Wiedniu. I i II. 321 491

Dramat.

- Anna. Dramat w czterech aktach. Przez A. M. (Dokończenie). 13

Powieść.

- Hrabina Kosel. Powieść historyczna. Przez J. I. Kraszewskiego. 56, 173, 351

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

- Dzieło Amadeusza Thierrego:—Ś-ty Jan Chryzostom i cesarzowa Eudoksya.—Kongres japoński w Paryżu.—Si-Ka-Zen-Yo, — Antologia japońska tłumaczona przez p. de Rosny.—Jan Thommeray, powieść Juliusza Sandeau.—Podróż w około świata p. Hübnera, dawnego posła austriackiego w Paryżu.—Stanowisko Niemców w Stanach Zjednoczonych.—Stydium nad Lamartinem pana Mazade.—Historja literatury hiszpańskiej przez amerykańskiego pisarza Ticknora, tłumaczenie na francuzki język p. Magnabal.—Zmarły akademik Piotr Lebrun.—Lista członków Akademii francuzkiej 93
- Przyjęcie pana Littré do Akademii.—Charakter pozytywizmu francuzkiego. Odpowiedź pana Champagne.—„Robert Rucy“ przez

Ksawerego Marmier. Podania szkockie o Brucym.—Pająk, Serce Brucego.—Nowe publikacye Lamartina.—Tom poezyi; dwa tomy korespondency.—Listy Sainte-Beuva do księżnej Matyldy.—„Cygania“, dramat odegrany w Odeonie.—„Koniec Cyganii“ rozprawa profesora Caro.—Jubileusz Molierowski.—Książka Juliusza Claretie.—„Molier, jego życie i dzieła.“—Zapowiedziana publikacya pana Fournier:—„Molier w teatrze i w domu“.—Komedya Ksawerego Aubrier. Zmarły Akademik Vitet.—Jego „studya nad historią sztuki.“—Dzieło profesora Ortolana.—Rozprawa nad piekłem Dantego ze stanowiska nauki karnego prawa.—„Impressions et Souvenirs“ przez George Sand.—Wspomnienie Szopena i Mickiewicza.	256
Literatura gallo-rzymska w IV wieku, ostatnia rozprawa Amadeusza Thierry. Dramat japoński: Czterdziestu siedmiu Lowinów.—Biografia Dickensa, przez Forstera, część druga.—Nieobeony, obrazek dramatyczny Eugeniusza Manuela.—Literatura pozytywna: powieść pana Zola „Le ventre de Paris“; poezye filozoficzne pani Ackermann.—Poezye lyońskie z czasów wojny: pieśń Laprada.—Książę Józef Michał Poniatowski.—Filaret Chasles.	423

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne

Historya wieku Peryklesa przez M. E. Filleul (Histoire du siècle de Périclès, Paris 1873) dwa tomy. Przez Tadeusza Korzona.	135
Rossyjska historyczna biblioteka wydawana przez komisję archeograficzną. Tom pierwszy. Petersburg 1872. Przez Kaź. Pułaskiego.	148
Kilka słów o słownictwie w naukach ścisłych. Odpowiedź na artykuł p. Witkowskiego p. t.: „Pamiętnik Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu“ w zeszyście 4tym tomu II-go, na miesiąc kwiecień Biblioteki Warszawskiej. Przez Władysława Folkierskiego.	152
Religia jako przedmiot umiejętności porównawczej. Wykłady prof. Maksa Müllera, przetłumaczył Adolf Dygasiński. Kraków, 1873. Przez A. Tyszyńskiego.	292
Laut und Formenlehre der Polabischen Sprache von August Schleicher, (Fonologia i morfologia języka połabskiego, przez Augusta Schleichera). St. Petersburg, 1871, w 8ce, str. XIX i 353. Przez J. Bandouin'a de Courtenay.	307
Dra L. Kelnera, Pedagogika w urywkuob, obejmująca sprawy szkoły początkowej i wychowania domowego, opracowana przez Zyg. Sawczyńskiego, Kraków 1872, w 8ce, str. 339. Przez Wł. N—i.	311
Przyczynki do krytycznego ocenienia historyi' polskiej Jana Długosza. Przez D-ra Nehringa.	312



	stron.
Laurentius Goslicius ejusque opus: De optimo Senatore, napisał Roman Łopiński. Halle, 1872. Przez D-ra Nehringa.	315
Dziesięć lat w Australii, przez Sygurda Wiśniowakiego, w dwóch częściach. Lwów, 1873. Przez A. J. S.	315
Życie, zdrowie, choroba, leczenie, przez Dra. Schulz-Schultzenstein prof. zwyczajnego na uniwersytecie Berlińskim (Leben, Gesundheit, Krankheit, Heilung etc. Basel, Richter, str. 496 in 8-vo maj. Wyd. 2-gie). Przez T. Korzona.	471
Stefan Damalewicz historyk, przelożony kanoników laterańskich w Kaliszu. Żywot skreślony przez Adama Chodyńskiego. 1872. Poznań. Przez A. Tyszyńskiego.	474
Obrazki z podróży do Tatarów i Pienin. Wydanie drugie, przejrane i pomnożone. Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1872, w 8-ce. Przez Antoniego Wągę.	478
Aleksandra Weryhi Darowskiego, Dyaryusz podróży do Warszawy, poprzedzony kilkoma słowy Stanisława Kunasiewicza. Lwów, 1873. Czoionkami K. Pillera (w 8-ce, str. 41). Przez W.	480
Opowiadania JP. Wita Narwoja rotmistrza konnej gwardyi koronnej. A. D. 1760—1767. Spisał Władysław Łoziński. Lwów, 1873 r. Z drukarni Zakładu Ossolińskich (w 8-ce, str. 313). Przez W.	482
Elekoya w Babinie. Historyczna bajka. Poznań, nakładem i czoionkami Merzbacha, 1872 (w 18-ce, str. 36). Przez W.	483
Groby rodziny Tyszkiewiczów opisał Eustachy Tyszkiewicz. Warszawa. Drukiem Jana Jaworskiego, 1873 roku (w 4-ce, str. 111). Przez R.	485
Bibliografia Polska XIX stulecia. Wydanie komisyi bibliograficznej przy C. K. Akademii Umiejętności. Zebrał na życzenie komisyi wystawowej wiedeńskiej K. Estreicher, w Krakowie, w drukarni Uniwersyteckiej 1873 (w 8-ce, str. XII, 146). Przez W.	487
Opis powiatu Radzyńskiego pod względem topograficzno historycznym, statystycznym, higienicznym i lekarskim, przez D-ra Leona Bokiewicza, lekarza praktykującego w Jadowie. Warszawa. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa (w 8-ce, str. 206). Przez W.	488
Dwie rzadkości bibliograficzne Marcina Bielskiego: Sen majowy jednego Pustelnika i Rozmowa dwu Baranów o jednej głowie. (Z dwiema podobiznami). We Lwowie. Nakładem Karola Wildu 1873 r. (w 8-ce, str. 32). Przez W.	489
Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok 1873/4 z mapą miasta, mapami kolei żelaznych i drzeworytami. Ułożony i wydany przez Feliksa Fryze i Ignacego Chodorowicza. Warszawa, w drukarni Gazety Lekarskiej (w 18-ce). Przez W.	490
WIADOMOŚCI LITERACKIE	161, 326, 499